

Preston Douglas
Child Lincoln

Cykl Pendergast
tom czwarty

Martwa natura z krukami

Lincoln Child dedykuje tą książką
swojej córce, Veronice.

Douglas Preston dedykuje
ją Mario Speziemu.

PODZIĘKOWANIA

Lincoln Child chciałby podziękować agentowi specjalnemu Douglasowi Marginiemu za jego pomoc w kwestiach zawodowych oraz dotyczących gitar elektrycznych. Pragnę również podziękować memu kuzynowi, Gregowi Tearowi, i moim przyjaciołom, Bobowi Wincottowi oraz Patowi

Allocco, za szczególną pomoc przy pracy nad niniejszym tekstem. Victor S. okazał się wyjątkowo pomocny przy pozyskaniu pewnych szczegółów. Chciałbym podziękować następującym osobom, dzięki którym upewniłem się, że życie pisarza nie musi kojarzyć się z mniszą ascezą — Chrisowi i Susan Yango, Tony'emu Trischce, Irene Soderlund, Rogerowi Lasleyowi, Patrickowi Dowdowi, Geraldowi i Terry Hylandom, Denisowi Kelly'emu, Bruce'owi Swansonowi, Jimowi Jenkinsowi, Markowi Mendelowi, Rayowi Spencerowi, Malou i Sonny'emu Bauli. Dziękuję Lee Suckno za pomoc w wielu sprawach. Co istotniejsze, pragnę podziękować moim rodzicom, Nancy i Billowi Childom, mojemu bratu Dougowi, siostrze Cynthii, córce Veronice, a zwłaszcza mojej żonie, Luchie, za ich miłość i wsparcie. Jestem również wdzięczny mojemu przybranemu rodzinnemu miastu Northfield w Minnesocie, które za sprawą wspomnień zawiera w sobie cały czar i urok małomiasteczkowej Ameryki, odrzucając wszystko to, o czym pragniemy zapomnieć.

Douglas Preston pragnie wyrazić podziękowania Bobby'emu Rotenbergowi za przeczytanie manuskryptu i trafne sugestie. Dziękuję mojej córce, Selene, za jej bezcenne uwagi, zwłaszcza dotyczące osoby Corrie. Jestem szczególnie wdzięczny Karen Copeland za jej ogromną pomoc i wsparcie. Dziękuję także Niccolo Capponiemu za fascynujące dysputy literackie i wyśmienite pomysły. Pragnę podziękować Barry'emu Turkusowi za to, że ciągał mnie po tokańskich wzgórzach in bici, a także jego żonie, Jody. Dziękuję też kilku moim przyjaciółom z Florencji, którzy pomogli mi zapłacić czas w inny sposób niż tylko siedząc przy komputerze. Oto oni — Myriam Slabbinck, Ross Capponi, Lucia Baldrini i Riccardo Zucconi, Vassiliki Lambron i Paolo Busoni, Edward Tosques,

Phyllis i Ted Swindellsowie, Peter i Marguerite Casparianowie, Andrea i Vahe Keushguerianowie i Catia Ballerini. Jestem szczególnie wdzięczny naszemu włoskiemu tłumaczowi, Andrei Carlo Cappiemu, za jego przyjaźń i wsparcie przy tworzeniu naszych książek, w tym także i tej. Czyż mógłbym w tym miejscu nie wspomnieć o niezrównanej Andrei Pinketts? Na koniec szczególne podziękowania dla mojej żony, Christiny, i dwójki dzieci — Alethei oraz Isaaka, za ich niesłabnącą miłość i wsparcie.

I jak zawsze chcielibyśmy podziękować osobom, bez których powieści Prestona i Childa nie mogłyby powstać — Jaime Levi-ne'owi, Jamiemu Raabowi, Ericowi Simonoffowi, Eadie Klemm i Matthew Snyderowi.

Choć umiejscowiliśmy akcję naszej powieści w południowo-zachodnim Kansas, miasteczko Medicine Creek, podobnie jak hrabstwo Cry oraz wiele innych wspomnianych w tej książce miast i miejscowości nie istnieje lub zostało wymyślonych na użytek postaci, które zaludniają niniejsze stronicie. Nie zawahaliśmy się także przed zmianami w topografii Kansas oraz rolnictwa w tamtych rejonach, a wszystko to na użytek niniejszej powieści.

JEDEN

Medicine Creek, Kansas. Początek sierpnia. Zmierzch.

Pod gniewnym niebem, od horyzontu po horyzont rozciąga się rozległe morze żółtej kukurydzy. Gdy zrywa się silniejszy wiatr, kukurydza faluje i szeleści jak żywa. Kiedy zaś wichura cichnie, na polach znów zapada cisza. Trwa już trzeci tydzień suszy i nad łąkami powietrze aż faluje z gorąca.

Jedna droga przecina łąki z północy na południe, druga ze wschodu na zachód. W punkcie przecięcia tych dwóch dróg ulokowane jest miasto. Smutne, szare budynki tulą się do siebie przy skrzyżowaniu, odległość między domami rośnie w miarę oddalania się od punktu przecięcia dróg, potem pojawiają się przy nich stojące samotnie farmy, a dalej nie ma już

nawet ich. Potok, na brzegach którego rosną powykrzywiane, gruzłowate drzewa, płynie z południowego zachodu, opływając leniwie miasteczko, i znika na południowym wschodzie. To jedyna krzywizna w tym krajobrazie pełnym linii prostych. Na południowym wschodzie wznosi się skupisko pagórków otoczonych drzewami.

Na południe od miasta stoi nikiąca wśród kukurydzy stara rzeźnia, jej metalowe ściany nadżarte są przez burze piaskowe, które nawiedzają te tereny każdego roku. Słaby odór krwi i środków odkażających napływa wraz z podmuchami wiatru od zakładu na południe, w stronę miasteczka. Jeszcze dalej, niemal na horyzoncie, rysują się trzy gigantyczne silosy zbożowe, jak zagubiony na morzu trójmasztowy okręt.

Temperatura wynosi prawie trzydzieści osiem stopni Celsjusza. Żar powoduje falowanie powietrza. Kukurydza ma ponad dwa metry wysokości, na łodygach wznoszą się dumnie grube, nabrzmiące kolby. Do żniw jeszcze dwa tygodnie.

Powoli zapada zmierzch. Ciemność spowija cały krajobraz. Pomarańczowe niebo nabiega czerwienią. W miasteczku zapalają się nieliczne latarnie.

Czarno-biały radiowóz przejeżdża wzdłuż głównej ulicy, kierując się na wschód, ku bezmiarowi łąnów, promienie reflektorów przecinają gęstniejący mrok. Prawie pięć kilometrów przed radiowozem nad łąnami kukurydzy krąży wolno stado ścierwojadów. Ptaki jeden po drugim opadają i ponownie wzbijają się w górę na prądach powietrznych, krążąc bez końca niespokojnie, to unosząc się, to obniżając lot w regularnym rytmie.

Szeryf Dent Hazen manipulował przez chwilę przy gałkach na tablicy

rozdzielczej i zaklął, czując strumień zatechłego powietrza wpływający przez otwory wentylacyjne. Przytknął wierzch dłoni do wentylatora, ale powietrze bynajmniej się nie ochłodziło, klima w końcu padła. Znow zaklął szpetnie i opuścił szybę, po czym pstryknięciem wyrzucił na zewnątrz niedopałek papierosa. Gorące powietrze wdarło się do środka, wypełniając wnętrze radiowozu zapachem Kansas w końcu lata — wonią ziemi i kukurydzy. Szeryf widział krążące urubu różowogłowe, unoszące się i opadające na przemian ponad dogasającym krwawo słońcem chylącym się za horyzontem. „Parszywe ścierwojady” — pomyślał Hazen, zerkając na leżącą obok niego na fotelu strzelbę — długolufego winczestera defendera. Przy odrobinie szczęścia zdoła podejść dostatecznie blisko, aby posłać parę tych popaprańców na tamten świat.

Zwolnił i raz jeszcze spojrzął na ciemne sylwetki ptaków, rysujące się na tle nieba. „Dlaczego żaden z nich nie ląduje?” — przemknęło mu przez myśl. Zjeżdżając z głównej drogi, skierował radiowóz na jedną z licznych zarośniętych ścieżek ciągnących się między łanami kukurydzy otaczającymi Medicine Creek. Jechał powoli, przez cały czas obserwując niebo, dopóki krążące w górze ptaki nie znalazły się niemal dokładnie ponad nim. Dalej nie mógł już dojechać samochodem. Będzie musiał pójść pieszo.

Zatrzymał samochód, zaciągnął hamulec i bardziej z przyzwyczajenia niż z konieczności włączył koguta na dachu. Wysiadł z samochodu i stał przez chwilę, lustrując łan kukurydzy i gładząc się po nieogolonym podbródku. Czekąło go nie lada zadanie — przedzieranie się przez kukurydżę. Na samą myśl o tym poczuł ogarniające go zmęczenie i przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien znowu wsiąść do auta i

wrzuciwszy wsteczny bieg, wrócić do miasteczka. Ale na to było już za późno; zgłoszenie zostało przyjęte i zanotowane. Stara Wilma Lowry nie miała nic lepszego do roboty, jak tylko wyglądać przez okno i donosić o miejscach, gdzie mogą znajdować się padłe zwierzęta. Było to jednak jego ostatnie zgłoszenie tego dnia i parę godzin dyżuru ekstra w piątkowy wieczór gwarantowało mu długie, leniwe, mocno zakrapiane moczenie kija w niedzielę, w parku stanowym Hamilton Lake.

Hazen zapalił kolejnego papierosa, zakasłał i podrapał się, patrząc na suche jak pieprz rzędy kukurydzy. Zastanawiał się, czy może to czyjaś krowa wlaźła między łany i tam padła, wzdęta i przeżarta. Od kiedy to do obowiązków szeryfa należało odnajdywanie padłych zwierząt? Tyle że on znał już odpowiedź — zajmował się tym, odkąd inspektor do spraw zwierząt przeszedł na emeryturę. Nie było nikogo, kto mógłby zająć jego miejsce, i właściwie nie był on wcale potrzebny. Każdego roku liczba farm w okolicy zmniejszała się, było coraz mniej zwierząt hodowlanych i coraz mniej ludzi. Większość mieszkańców miała już tylko krowy i konie, ale trzymała je tylko ze względu na nostalgiczne wspomnienia. Całe hrabstwo schodziło na psy.

Stwierdziwszy, że zbyt długo odwleka to, co nieuniknione, Hazen westchnął, podciągnął służbowy pas, wyjął z futerału latarkę, zarzucił na ramię strzelbę i zaczął przedzierać się przez łany.

Pomimo późnej pory wciąż było gorąco i duszno. Promień latarki, omiatając łodygi kukurydzy, kładł się przed nim na ziemi, tworząc wzory przywodzące na myśl więzienne kraty. Nozdrza mężczyzny wypełniła woń suchych łodyg, ów osobliwy zapach rdzy, który znał od wczesnego dzieciństwa. Spod jego butów wypryskiwały w górę grudy zeschniętej

ziemi i wzbijały się tumany kurzu. Wiosna była deszczowa, a lato — jeśli nie liczyć ostatnich tygodni upałów — dość umiarkowane. Hazen już dawno nie widział równie wysokich łądyg, sięgały dobre trzydzieści centymetrów powyżej jego głowy. To zdumiewające, jak szybko czarnoziem bez deszczu zmieniał się w pył i kurz. Dawno temu, będąc dzieckiem, w ucieczce przed bratem wbiegł na pole kukurydzy i zgubił się. Na dwie godziny. Znowu poczuł tę samą dezorientację jak przed laty. Pomiędzy łanami powietrze wydawało się nieruchome — jak uwięzione — gorące, zatęchłe, duszne.

Hazen zaciągnął się dymem z papierosa i ruszył dalej, z irytacją rozpychając na boki grube łądygi. Pole należało do Buswell Agricon z Atlanty i szeryf Hazen nie przejmował się, że wskutek jego bezceremonialnego przemarszu przez pole firma straci parę kolb kukurydzy. Za niecałe dwa tygodnie na horyzoncie pojawią się wielkie kombajny Agriconu i zaczną przesuwać się wzdłuż łanów, rozpoczynając żniwa.

Kukurydza zostanie następnie przewieziona ciężarówkami do wielkich silosów, widocznych nad horyzontem od północy, a stamtąd koleją trafi do wielu stanów, od Nebraski po Missouri, by zniknąć w żołądkach bezmyślnego, wykastrowanego bydła, które z kolei zostanie przerobione na grube, tłuste befsztyki, smakowite i pachnące, pożądane przez bogatych dupków w Nowym Jorku i Tokio. A może zbiory z tego pola zostaną wykorzystane przy produkcji biopaliwa i miast nasycić trzewia ludzi lub zwierząt, znajdą się w benzynie wlewanej do baków samochodów. Ku czemu zmierza ten nasz świat?

Hazen przedzierał się przez kolejne łany. Zaczęło już cieknąć mu z

nosa. Wyrzucił peta, po czym uświadomił sobie, że powinien go najpierw zgasić. A niech tam. Do diabła z tym. Mogłoby spłonąć nawet tysiąc hektarów tej cholernej kukurydzy, a korporacja Buswell Agricon nawet by tego nie zauważyła. To oni powinni dbać o swoje pola i zbierać rozkładające się tam padłe zwierzęta. Rzecz jasna, szefowie firmy raczej nigdy nie mieli okazji ujrzeć na własne oczy prawdziwego pola uprawnego.

Jak niemal wszyscy mieszkańcy Medicine Creek, Hazen pochodził z rodziny farmerów, którzy zaprzestali już uprawy roli. Sprzedali swoje grunty wielkim kompaniom, takim jak Buswell Agricon. Populacja Medicine Creek spadała z roku na rok od pół wieku i wśród wielkich, rozległych pól należących do wielkich korporacji napotkać można było wiele opuszczonych domów, których okna z powybijanymi szybami wpatrywały się jak martwe oczy w falujące łąny. Mimo to Hazen pozostał w miasteczku. Nie, żeby szczególnie przepadał za Medicine Creek, lubił natomiast nosić mundur i cieszyć się szacunkiem ze strony współmieszkańców. Lubiał to miasteczko, ponieważ je znał, podobnie jak wszystkich ludzi, którzy tu mieszkali, każdy kąt, każdy ciemny zakamarek i każdą, nawet najbardziej wstydliwą, tajemnicę. Prawda była taka, że nie wyobrażał sobie siebie w jakimkolwiek innym miejscu. Stanowił część tego miasta, tak jak Medicine Creek było częścią jego samego.

Hazen nagle zatrzymał się. Powiódł promieniem latarki po łądygach kukurydzy przed sobą. Powietrze, przesycone kurzem, niesło teraz ze sobą całkiem inną woń — słodkawy fetor rozkładu. Szeryf uniósł wzrok. Ścierwojady krążyły w tej chwili niemal dokładnie nad jego głową. Jeszcze pięćdziesiąt metrów i będzie na miejscu. Powietrze było

nieruchome, wokoło panowała iście grobowa cisza. Zdjął strzelbę z ramienia i z większą niż dotychczas ostrożnością jął przesuwać się naprzód.

Woń rozkładu przesączała się między łanami, słodkawy smród z każdą chwilą przybierał na sile. W pewnej chwili Hazen spostrzegł rozległy prześwit między łanami, znajdujący się dokładnie na wprost niego. To dziwne. Ostatnie krwiste smugi spłynęły już z nieba i dokoła zrobiło się całkiem ciemno.

Szeryf uniósł strzelbę, kciukiem zwolnił bezpiecznik i przedarłszy się przez ostatni rząd kukurydzy, wyszedł na przecinkę. Przez chwilę rozglądał się nerwowo wokół, nie pojmując tego, co zarejestrowały jego oczy. I nagle, zgoła niespodziewanie, zrozumiał, co ma przed sobą.

Huknął strzał, kiedy strzelba spadła na ziemię, ładunek śrutu przeciął powietrze, omijając o kilkanaście centymetrów ucho Hazena. Szeryf jednak prawie nie zwrócił na to uwagi.

DWA

Dwie godziny później szeryf Dent Hazen stał mniej więcej w tym samym miejscu. Teraz jednak pole kukurydzy zmieniło się w jedno wielkie miejsce zbrodni. Przecinkę otoczono przenośnymi lampami sodowymi, które oblewały całe to miejsce silnym białym blaskiem; gdzieś między łanami warczał pracujący generator. Policjanci stanowili utorowali spychaczem drogę dojazdową do tego miejsca i obecnie na prowizorycznym parkingu utworzonym na skraju pola stało kilkanaście radiowozów, furgonetek techników i ekspertów policyjnych, karettek oraz innych pojazdów. Dwóch fotografów robiło zdjęcia, ich flesze rozświetlały noc, podczas gdy samotny ekspert od materiałów dowodowych kuczał nieopodal, przepatrując teren za pomocą szczypczyków.

Hazen spojrzał na ofiarę i mdłości podeszły mu do gardła. Za jego życia to było pierwsze morderstwo w Medicine Creek. Ostatnie miało miejsce w okresie prohibicji, kiedy Rocker Menning został zastrzelony przy strumieniu, gdzie kupował ładunek bimbrow... Kiedy to było... w 1931 ? Jego dziadek prowadził tę sprawę i ujął sprawcę. Ale tamto w żadnym razie nie mogło równać się z tym zabójstwem. To było całkiem coś innego. To był pieprzony obłąd.

Hazen odwrócił się od trupa i spojrzął na prowizoryczną drogę przez kukurydzę, wykarczowaną, by oszczędzić policjantom półkilometrowego marszu. Istniało spore prawdopodobieństwo, że podczas przygotowywania tej drogi zatarto ważne ślady. Zastanawiał się, czy była to standardowa procedura postępowania policji stanowej i czy w ogóle dysponowali oni procedurą postępowania przy tego typu sprawach. Wszystko, co robili, wydawało się przypadkowe, jakby sami gliniarze byli zszokowani tą zbrodnią i wykonywali kolejne posunięcia, w miarę jak oswajali się ze sprawą.

Szeryf Hazen nie miał zbyt dobrego zdania o policji stanowej. W jego mniemaniu była to banda tępych osiłków o kanciastych szczękach, noszących wyglansowane buty. Mimo to potrafił ich zrozumieć. Nie co dzień człowiek spotyka się z czymś takim. Odpalił kolejnego camela od niedopałka poprzedniego i stwierdził, że mimo wszystko to wcale nie było jego pierwsze zabójstwo. Ta sprawa nie należała przecież do niego. Co prawda to on znalazł ciało, ale miejsce zbrodni znajdowało się poza miastem, a zatem śledztwo nie podlegało jego kompetencji. Zajmą się nią stanowi, i chwała Bogu.

— Szeryfie Hazen? — Postawny kapitan z policji stanowej Kansas podszedł do niego przez szeleszczące kukurydziane rżysko, jego czarne buty lśniły, wyciągnął do niego rękę, a wąskie usta i zaciśnięte mocno kanciaste szczęki wykrzywiły się w grymasie, który zapewne miał uchodzić za uśmiech. Hazen uścisnął jego dłoń, nieco skonsternowany potężnym wzrostem tamtego. Kapitan już po raz trzeci podawał mu rękę. Hazen zastanawiał się, czy tamten miał kiepską pamięć, czy może był tak zdenerwowany, że ten gest był dla niego instynktowną reakcją na stres.

Zapewne to drugie.

— Z Garden City jedzie koroner — rzekł kapitan. — Powinien dotrzeć tutaj za jakieś dziesięć minut.

Szeryf Hazen żałował, że nie zlecił tego zadania Tadowi. Z radością zrezygnowałby z weekendu na rybach, ba, mógłby nawet odpuścić chłapięciu czegoś mocniejszego, aby tylko nie mieć z tym nic do czynienia. Z drugiej strony, skonstatował, być może to byłoby dla Tada zbyt wiele. Pod wieloma względami Tad był jeszcze gołowąsem.

— Mamy tu prawdziwego artystę — rzekł policjant, kręcąc głową. — Prawdziwego artystę. Uważa pan, że napiszą o tym w „Kansas City Star”?

Hazen nie odpowiedział. To było dla niego czymś nowym. Pomyślał o swoim zdjęciu w gazecie i stwierdził, że ten pomysł ani trochę nie przypadł mu do gustu. Ktoś cofający się akurat z fluoroskopem potrafił go. Chryste, w tym miejscu zbrodni robiło się tłoczno jak na weselu baptystów.

Zaciągnął się dymem, po czym zmusił się, by raz jeszcze zlustrować miejsce zbrodni. Uznał za istotne przyjrzeć mu się raz jeszcze, zanim wszystko zostanie rozebrane, powrzućcane do worków i wywiezione. Wodził wzrokiem od jednego szczegółu do drugiego, automatycznie wprowadzając do pamięci każdy, nawet najdrobniejszy spośród nich.

Wszystko zostało zaaranżowane nieomal jak scena w sztuce. W samym sercu pola kukurydzy wytyczono równą, okrągłą polanę, połamane łodygi starannie poukładano z jednej strony, dzięki czemu powstało ściernisko o średnicy około dwunastu metrów. Nawet w przeraźliwej nierealności tej chwili Hazen zdumiał się nad geometryczną precyzją, z jaką uformowano tę figurę. Na jednym końcu polany wznosił się miniaturowy las

zaostrzonych patyków, o wysokości sześćdziesięciu do dziewięćdziesięciu centymetrów, wbitych w ziemię i sterczących ostrymi końcami do góry. Dokładnie pośrodku przecinki znajdował się krąg martwych kruków ponabijanych na patyki. Tyle że to nie były patyki, lecz indiańskie strzały, każda z nich zakończona trójkątnym grotem. Ptaków było ze dwadzieścia, a może nawet więcej, ich niewidzące oczy patrzyły tępo w przestrzeń, dzioby skierowane były ku dołowi. Pośrodku tego kręgu kruków spoczywały zwłoki kobiety. W każdym razie Hazen sądził, że to była kobieta, pozbawiono ją jednak warg, nosa i uszu.

Zwłoki leżały na wznak, szeroko otwarte usta przywodziły na myśl wejście do różowej jaskini. Nieboszczka miała tlenione włosy, ich pęk został brutalnie wyrwany, ale nie było go przy ciele, ubranie pocięto na pasy, cięcia były długie, równe, równoległe. Cała ta aranżacja sprawiała wrażenie przemyślanej. Nie było tu nic przypadkowego. Kąt pomiędzy głową a barkami wydał się Hazenowi dość nietypowy, zapewne kobiecie skrecono kark. Na szyi nie było jednak zasinień mogących świadczyć o duszeniu. Jeśli faktycznie miała złamany kręgosłup, dokonano tego jednym silnym, zdecydowanym szarpnięciem.

Hazen doszedł do wniosku, że zabójstwa dokonano w innym miejscu. Widział ślady na ziemi, prowadzące mniej więcej do granicy przecinki, wskazujące, że ciało zostało tu przyniesione, podążył wzrokiem dalej i dostrzegł prześwit między łąkami, gdzie ułamana została jedna z łodyg. Stanowi tego nie zauważyli. Prawdę mówiąc, niektóre ślady zostały zatarte przez samych policjantów, którzy całymi tabunami schodzili się na to pole. Odwrócił się do kapitana, pragnąc zwrócić mu uwagę na dostrzeżony przez siebie szczegół. Zmitygował się jednak. Po co mu to było? Przecież

to nie jego sprawa. Nie on prowadził śledztwo. Nie on ponosił odpowiedzialność. Kiedy polecą głowy, on będzie bezpieczny. Jeżeli teraz piśnie choć słówko, w razie ewentualnych kłopotów odpowiedzialność spadnie również na niego. Gdyby teraz powiedział: „Kapitanie, niszczycie dowody, zdeptujecie ślady”, za dwa miesiące musiałby to powtórzyć w obliczu jakiegoś kretyńskiego obrońcy, zeznając w charakterze świadka. Ponieważ cokolwiek teraz powie, wypłynie ponownie na procesie szaleńca, który dokonał tej jatki. A proces ani chybi się odbędzie. Tacy obłąkańcy prędzej czy później wpadali w ręce policji. Jeszcze żadnemu świrowi nie udało się zwodzić dłużej stróżów prawa.

Zaciągnął się gryzącym, kwaśnym dymem. „Gęba na kłódkę, niech popełniają błędy. To nie twoje śledztwo” — pomyślał.

Upuścił niedopałek i zdusił go pod butem. Wzdłuż drogi dojazdowej sunął teraz wolno jeszcze jeden samochód, światła jego reflektorów przebijały się między łanami. Wóz zatrzymał się na prowizorycznym parkingu, wysiadł z niego mężczyzna w bieli, niosący czarną torbę. Koroner McHyde.

Szeryf Hazen patrzył, jak mężczyzna zwinnie przechodzi przez rżysko, nie chcąc ubrudzić swoich mokasynów. Zamienił kilka słów z kapitanem i podszedł do ciała. Patrzył na nie przez chwilę to z jednej, to z drugiej strony, po czym ukląkł i starannie nałożył plastikowe torebki na dłonie i stopy ofiary. Następnie wyjął z czarnej torby jakiś przedmiot — tak zwaną sondę analną, jak przypomniał sobie ni stąd, ni zowąd Hazen. Zaraz potem koroner zaczął robić nieboszczce coś bardzo intymnego. Mierzył temperaturę zwłok. Jezu. To ci dopiero robota.

Szeryf Hazen spojrzał w ciemne niebo, lecz ścierwojadów dawno już

tam nie było. Przynajmniej one wiedziały, kiedy należało się ulotnić.

Teraz koroner i sanitariusze zaczęli przygotowywać zwłoki do transportu. Policjanci stanowi wyciągali z ziemi strzały z ponadziwanymi na nie krukami, oznakowując je i pakując do przenośnych lodówek na materiały dowodowe. Szeryf Hazen zdał sobie nagle sprawę, że musi odcedzić kartofelki. Wypił za dużo kawy. Choć to nie do końca prawda, kwasy w jego żołądku zaczynały się burzyć. Miał nadzieję, że jego wrzód nie da znów o sobie znać. Nie chciał puścić pawia na oczach tych facetów.

Rozejrzał się wokoło, upewnił się, że nikt nie zwracał na niego uwagi, po czym wślizgnął się między łany. Przeszedł kawałek dalej, oddychając głęboko, usiłując znaleźć miejsce dostatecznie odległe, by nikt nie natknął się na kałużę jego moczu i nie uznał jej za materiał dowodowy. Nie musiał się zbytnio oddalać, policjanci stanowi nie wykazywali się bowiem nadmierną gorliwością i nic nie wskazywało, by ze zwykłej ciekawości zapuścili się w głąb pola poza samo miejsce zbrodni.

Zatrzymał się tuż poza kręgiem światła. Tu, pośród morza kukurydzy, gwar głosów, cichy szum generatora i osobliwa brutalność miejsca zbrodni wydawały się bardzo odległe. Powiał wiatr, podmuch nie był silny, ale łany wokół niego zaszeleściły i zafalowały łagodnie. Hazen przystanął na chwilę, chłonąc aromat pól. Następnie rozpiął rozporek, stęknął i głośno oddał mocz na zeschniętą ziemię. W końcu po silnym strząśnięciu, od którego zagrzechotały przywieszzone u jego pasa pistolet, kajdanki, pałka i kluczyki, dostrzegł coś w odbitym świetle lamp. Przystanął i omiótł łany kukurydzy promieniem swojej latarki. Znow to zobaczył, było blisko, przy sąsiednim łanie. Przyjrzał się temu uważniej.

Na jednej z suchych łodyg wisiał strzęp materiału. Wyglądał tak samo

jak materiał, z którego wykonane było ubranie ofiary. Poświecił latarką w głąb przejścia między łanami, ale nie dostrzegł już nic więcej.

Wyprostował się. Znowu to robił. To nie było jego śledztwo. Może o tym wspomni, a może pozwoli stanowym, aby sami to znaleźli. O ile to faktycznie coś znaczyło.

Kiedy wrócił na przecinkę, kapitan z policji stanowej natychmiast do niego podszedł.

— Szeryfie Hazen, właśnie pana szukałem — powiedział. W jednym ręku trzymał urządzenie GPS, a w drugim mapę topograficzną amerykańskiego urzędu geologii. Na jego twarzy malował się całkiem inny wyraz niż przed kilkoma minutami. — Gratulacje.

— Ale o co chodzi? — spytał Hazen. Kapitan wskazał na GPS.

— Zgodnie z tym odczytem wciąż znajdujemy się w granicach miasta Medicine Creek. Ściśle rzecz biorąc, trzy i pół metra od tej granicy. Co oznacza, że ta sprawa należy do pana. Jeżeli pan pozwoli, szeryfie, chciałbym być pierwszym, który złoży panu gratulacje. — Uśmiechnął się promiennie i wyciągnął rękę.

Szeryf Dent Hazen zignorował jego dłoń. Miast tego wyłuskał z kieszonki na piersi paczkę papierosów, wytrząsnął z niej jednego camela, włożył do ust i zapalił. Zaciągnął się głęboko, po czym odezwał się, wydmuchując ustami kłęb dymu.

— Trzy i pół metra? — powtórzył. — Chryste Panie. Kapitan opuścił dłoń do boku.

Hazen kontynuował.

— Ofiara została zamordowana w innym miejscu, tu ją tylko przyniesiono. Zabójca przeszedł przez łany w tamtym miejscu, przez

ostatnie sześć metrów włókł ją po ziemi. Jeśli przejdzie pan kawałek w tamtą stronę, za tą złamaną łodygą odnajdzie pan strzępek jej ubrania. Materiał jest identyczny z ubiorem ofiary, ale strzęp zaczepił się o łodygę kukurydzy zbyt wysoko, aby mogło to się stać w normalnych okolicznościach, czyli gdyby kobieta sama szła przez pole. Zabójca musiał ją nieść, zapewne przerzucił ją sobie przez ramię, być może wykorzystał też chwyt strażacki. Zapewne napotka pan tam odciski moich stóp i odkryje miejsce, gdzie się odlałem, ale na to akurat proszę nie zwracać uwagi. I, na miłość boską, czy naprawdę potrzebujemy tu tych wszystkich ludzi? To miejsce zbrodni, a nie parking przy supermarkecie. Chcę mieć tu tylko koronera, fotografa i eksperta od zbierania próbek. Resztę niech pan stąd natychmiast odprawi.

— Szeryfie, mamy własne procedury i musimy ich przestrzegać...

— Od tej pory ma pan postępować według moich procedur. Kapitan przełknął ślinę.

— Potrzeba mi dwóch dyplomowanych, wyszkolonych policyjnych psów tropiących, które pójną śladem zabójcy. Chcę je tu mieć jak najszybciej. I chcę, aby ściągnął pan natychmiast z Dodge zespół ekspertów sądowych.

— Tak jest.

— I jeszcze jedno.

— Tak? Co takiego?

— Chciałbym, aby pańscy ludzie zatrzymali wszystkich dziennikarzy i reporterów, którzy tu zjadą. Mam na myśli zwłaszcza wozy transmisyjne lokalnych stacji telewizyjnych. Zatrzymajcie ich, dopóki tu wszystkiego nie skończymy.

— Mamy ich zatrzymać? Pod jakim zarzutem?

— Choćby nawet przekroczenia prędkości. Wlepcie im parę mandatów.

Przecież jesteście w tym dobrzy, nieprawdaż?

Szczęki kapitana zacisnęły się jeszcze bardziej niż dotychczas.

— A jeżeli nie przekroczą dozwolonej prędkości? Szeryf Hazen uśmiechnął się.

— Ależ oczywiście, że przekroczą, kapitanie. Może pan być tego pewien.

TRZY

Zastępca szeryfa, Tad Franklin, siedział pochylony nad biurkiem, wypełniając pliki nieznanych mu formularzy i usiłując udawać, że wzbudzony tłum dziennikarzy oraz reporterów, kłębiący się przed biurem

szeryfa w Medicine Creek, nie istnieje. Tadowi zawsze podobało się, że biuro założono w dawnym sklepie, przez którego okno wystawowe mógł machać do przechodniów, rozmawiać z przyjaciółmi i mieć oko na wszystko, co działo się w pobliżu. Teraz jednak mankamenty biura wydawały się aż nadto oczywiste.

Oślepiający blask gorących promieni sierpniowego słońca zaczął zalewać ulice, rozciągając długie cienie przy wozach transmisyjnych i złocąc smętne twarze reporterów. Przez całą noc nie zmrużyli oka i sprawy zaczęły wyglądać nieciekawie. Kolejne grupki odwiedzały bar restauracyjny Maisie, ale proste jadlo tylko czyniło ich jeszcze bardziej opryskliwymi i gderliwymi.

Tad Franklin usiłował skupić się na papierkowej robocie, nie był jednak w stanie zignorować stukania w szybę, pytań i rzucanych od czasu do czasu inwektyw. To wszystko stawało się coraz bardziej nie do zniesienia. Jeżeli obudzą szeryfa Hazena, który starał się zdrzemnąć choć przez chwilę w celi na tyłach, sytuacja zaogni się jeszcze bardziej. Tad wstał i z możliwie jak najbardziej posępną miną uchylił okno.

— Jeszcze raz proszę, abyście państwo odsunęli się od szyby — powiedział.

Jego słowa spotkały się z odzewem w postaci uszczypliwych, niewybrednych komentarzy, wykrzykiwanych na całe gardło pytań i nieskrywanych przejawów irytacji. Tad po napisach na furgonetkach zorientował się, że reporterzy nie wywodzili się z tych okolic, zjechali tu z Topeki, Kansas City, Tulsy, Amarillo i Denver. Cóż, jeżeli chcą, mogą po prostu wrócić do siebie i...

Z tyłu za nim rozległ się trzask drzwi i kasznięcie. Odwróciwszy się,

ujrzał szeryfa Hazena, ziewającego i pocierającego pokryty krótkim zarostem podbródek; miał zmierzwione, sterczące na bok włosy. Szeryf przyglądał je, po czym oburącz nasadził na głowę kapelusz.

Tad zamknął ono.

— Proszę wybaczyć, szeryfie, ale ci ludzie po prostu nie chcą odejść...

Szeryf ziewnął, machnął lekceważąco ręką i odwrócił się do tłumu plecami. Jakiś wyjątkowo zapalczywy reporter posłał mu ostrą wiązanę, z której najłagodniejszym epitetem był „niskopienny wieśniak”. Hazen podszedł do dzbanka z kawą i napełnił swój kubek. Upił łyk, skrzywił się, wypłuł kawę z powrotem do kubka, pociągnął nosem, ponownie splunął do kubka, po czym wlał wszystko do dzbanka.

— Mam zaparzyć świeżą? — spytał Tad.

— Nie, Tad. Dzięki — odparł szeryf, poklepując tamtego bezceremonialnie po ramieniu. Następnie raz jeszcze odwrócił się w stronę okna. — Ci ludzie potrzebują jakichś informacji do wiadomości o osiemnastej, nie uważasz? — mruknął. — Czas na konferencję prasową.

— Konferencję prasową? — Zastępca szeryfa nigdy dotąd nie był na konferencji prasowej ani tym bardziej w żadnej nie miał okazji uczestniczyć.

Szeryf Hazen zaśmiał się oschle, ukazując garnitur pożółkłych zębów.

— Wyjdziemy na zewnątrz i będziemy odpowiadać na pytania. — Podszedł do starych, przeszklonych drzwi, otworzył je i wychylił głowę na zewnątrz. — Jak leci?

W odpowiedzi zasypano go dziesiątkami wyrzaskiwanych na całe gardło pytań.

Hazen uniósł prawą dłoń do góry. Wciąż miał na sobie bluzę

mundurową z krótkim rękawem, tę samą, co ubiegłej nocy. Unosząc rękę, policjant odsłonił wielką plamę potu w kształcie półksiężyca, sięgającą od jego pachy do wysokości dolnych żeber. Szeryf był niski, ale krępy i muskularny jak buldog i miał w sobie coś, co wzbudzało respekt. Tad miał okazję widzieć, jak szeryf naruszył zęby podejrzanemu, który był niemal dwa razy wyższy od niego. „Nigdy nie wdawaj się w bójkę z kimś, kto ma mniej niż metr sześćdziesiąt pięć wzrostu” — powiedział sobie w duchu.

Tłum zamilkł.

Szeryf opuścił rękę.

— Mój zastępca, Tad Franklin, i ja wygłosimy zaraz oświadczenie i odpowiemy na pytania. Zachowujmy się jak cywilizowani ludzie. Co wy na to?

Tłum zafalował. Zapalono reflektory, wysunięto do przodu mikrofony, rozległ się szczeł dyktafonów, zdjęto osłony z obiektywów kamer i aparatów fotograficznych.

— Poczęstuj tych dobrych ludzi świeżą kawą — rzucił szeryf swemu zastępcy.

Ten spojrział na Hazena. Szeryf mrugnął porozumiewawczo. Tad sięgnął po dzbanek, zajrzał do środka i energicznie nim zakręcił, aby zamieszać zawartość. To uczyniwszy, wziął pakiet styropianowych kubków, wyszedł z biura i zaczął częstować zgromadzonych przedstawicieli prasy i telewizji kawą. Kilku dziennikarzy zdecydowało się sączyć napar, paru innych jeszcze się wahało.

— Pijcie! — zawołał serdecznie Hazen. — Nikt nie śmie powiedzieć, że mieszkańcy Medicine Creek są nieżyczliwi i niegościnni!

Tłum skorzystał z propozycji, kolejne osoby skosztowały kawy, kilka

osób zaczęło wachać ukradkiem zawartość kubków, parę innych zaglądało w głąb nich. Wydawało się, że kawa osłabiła, o ile całkiem nie zdławiła ducha grupy. Choć dopiero niedawno wzeszło słońce, żar mocno dawał się już wszystkim we znaki. Nie było co zrobić z kubkami, w zasięgu wzroku nie było ani jednego kosza na śmieci. A na tablicy informacyjnej na drzwiach biura szeryfa widniał napis: „Nie śmiecić. Osoby nie przestrzegające tego zakazu zostaną ukarane grzywną w wysokości 100 dolarów”.

Hazen poprawił kapelusz, po czym wyszedł na ulicę. Stał na chodniku, powiódł wzrokiem wokoło i wypiął pierś; czuł na sobie spojrzenia dziennikarzy, usłyszał pracę kamer. Następnie zwrócił się do zebranych. Oschłym, policyjnym żargonem opowiedział o znalezieniu zwłok; opisał przecinkę na polu, ciało i ponabijane na strzały ptaki. Sprawa była bulwersująca, lecz szeryf zdołał uporać się z nią rzeczowo, dorzucając tu i ówdzie swojski, prosty komentarz i tym sposobem umniejszając grozę znaleziska. Tad zdumiał się, jak niefrasobliwy, a nawet wręcz czarujący potrafił być jego szef, o ile tylko zechciał. Naturalnie sprawiał tylko takie wrażenie, był doskonałym aktorem.

Dwie minuty później skończył swój wywód. Z tłumu zaczęły dobiegać wykrzykiwane gorączkowo pytania.

— Pojedynczo, proszę podnosić ręce, nie wszyscy na raz — rzekł szeryf. — Tak jak w szkole. Kto krzyczy, ten zadaje pytanie na samym końcu. Pan pierwszy. — Wskazał na reportera w koszuli z krótkim rękawem, z wyjątkowo wydatnym kałdunem.

— Czy są już jakieś tropy lub może podejrzenia?

— Mamy pewne nader ciekawe poszlaki i obecnie skrupulatnie je

sprawdzamy. Nic więcej nie mogę na razie powiedzieć.

Tad spojrział na szeryfa ze zdumieniem. Jakże znowu poszlaki? Przecież na razie nie mieli absolutnie nic.

— Pan — rzekł Hazen, wskazując na kolejnego dziennikarza.

— Czy ofiarą jest ktoś miejscowy?

— Nie. Pracujemy nad identyfikacją zwłok, ale ta kobieta na pewno nie pochodziła z Medicine Creek. Znam tu wszystkich i mogę za to ręczyć.

— Czy wie pan, jak zginęła ta kobieta?

— Mam nadzieję, że wyjaśni nam to koroner. Ciało zostało przewiezione do Garden City. Gdy otrzymamy wyniki autopsji, poznacie je państwo pierwsi.

Poranny autobus dalekobieżny Greyhound, jadący na północ z Amarillo, wjechał z łoskotem na główną ulicę, z głośnym piskiem i sykami hamulców zatrzymując się przed restauracją Maisie.

Tad zdziwił się, autobus nigdy tu nie przystawał. Kto miałby chęć przyjechać lub może wyjechać z Medicine Creek w Kansas? Chyba nikt. A może zjechali się tu kolejni pismacy, zbyt splukani, by stać ich było na własną brykę.

— Teraz pani. Słucham pytania.

Rudowłosa, zadziorna kobieta skierowała mikrofon w stronę Hazena.

— Kto właściwie pracuje obecnie nad tym śledztwem?

— Bardzo nam pomogła policja stanowa, ale jako że ciało znaleziono w obrębie granic miasta, sprawa należy do nas.

— A FBI?

— FBI nie miesza się w sprawy lokalnych zabójstw, toteż nie oczekujemy, że zainteresuje się tym konkretnym przypadkiem. Udało się

nam pozyskać do współpracy zespół znanych i cenionych ekspertów, w tym także specjalistów z wydziału zabójstw w Dodge City, którzy spędzili całą noc na miejscu zbrodni. Nie musicie państwo martwić się, że nad rozwikłaniem tej sprawy będziemy biedzić się tylko Tad i ja. Potrafimy walczyć o swoje i zrobimy, co będzie konieczne, aby rozwiązać tę sprawę, a także — co więcej — by zrobić to w miarę możliwości jak najszybciej. — Uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo.

Rozległ się głośny ryk silnika — autobus odjechał, wzbijając chmurę kurzu i pozostawiając za sobą kłęb smrodliwych spalin. Hałas ucichł już wkrótce, zagłuszony przez kolejne pytania. Gdy chmura spalin rozwiała się, oczom wszystkich ukazał się samotny mężczyzna stojący na chodniku, obok niego na ziemi stała nieduża, skórzana walizka. Mężczyzna był wysoki i szczupły, ubrany od stóp do głów na czarno, cień, który rzucał, sięgał aż do połowy śródmieścia Medicine Creek.

Tad zerknął na szeryfa i zorientował się, że on także zauważył przyjezdnego.

Mężczyzna patrzył na nich przez całą szerokość ulicy. Hazen ożywił się.

— Następne pytanie — rzucił pośpiesznie. — Smitty? — Wskazał na pooraną zmarszczkami twarz Smita Ludwiga, reportera i właściciela miejscowej gazety o nazwie „Cry County Courier”.

— Czy wiadomo już, co miała oznaczać ta... ee... osobliwa aranżacja? Czy ma pan jakąś teorię wyjaśniającą takie, a nie inne ułożenie zwłok oraz innych znajdujących się wokół nich rekwizytów?

— Rekwizytów?

— No, rozumie pan, tych wszystkich rzeczy, którymi otoczono ciało.

— Jeszcze nie.

— Czy to może być dzieło satanistów?

Tad odruchowo spojrział na drugą stronę ulicy. Mężczyzna w czerni wzięła do ręki walizkę, ale wciąż stał w tym samym miejscu nieruchomo jak posąg.

— To ewentualność, którą, rzecz jasna, bierzemy pod uwagę — powiedział Hazen. — Bez wątpienia mamy do czynienia z osobnikiem ciężko chorym psychicznie.

Tad zauważył, że czarno odziany mężczyzna zszedł z chodnika i nonszalanckim, wolnym krokiem ruszył w ich stronę. Kim był? Nie wyglądał na reportera, policjanta ani komiwojażera. Wyglądał raczej na mordercę. „I kto wie — pomyślał Tad Franklin — może był mordercą”.

Zauważył, że szeryf także patrzył na przybysza, kilku dziennikarzy również odwróciło się w jego stronę.

Hazen wydobył z kieszeni koszuli paczkę papierosów. Mówił dalej.

— Czy w grę wchodzą sataniści, szaleniec czy ktoś inny, chcę teraz podkreślić — i Smitty, to będzie istotne dla twoich czytelników — że mamy do czynienia z czynnikami z zewnątrz, spoza miasta, a może nawet z innego stanu. — Hazen zamilkł, gdy postać w czerni zatrzymała się opodal tłumu dziennikarzy. Było już prawie trzydzieści stopni, ale mężczyzna miał na sobie czarny, wełniany garnitur, białą, wykrochmaloną koszulę i jedwabny krawat zaciągnięty mocno pod szyją. Pomimo upału wyglądał świeżo, a na jego czole nie było nawet kropli potu. Srebrzyste oczy przeszywały Hazena świdrującym spojrzeniem.

Zapadła cisza.

Mężczyzna w czerni odezwał się. Mówił dość cicho, ale jego głos było słychać bardzo wyraźnie.

— To nieuzasadnione przypuszczenie — powiedział. Zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

Hazen wykorzystał ten czas, by otworzyć paczkę, wytrząsnąć z niej papierosa i włożyć go do ust. Nic nie powiedział.

Tad spojrzął na przybysza. Wydawał się tak chudy, jego skóra była niemal przezroczysta, niebieskoszare oczy zaś tak jasne, że zdawały się lśnić wewnętrznym blaskiem — równie dobrze mógł być ożywionym trupem, wampirem dopiero co powstałym z grobu. Jeśli nie był chodzącym nieboszczykiem, z całą pewnością przywodził na myśl archetyp przedsiębiorcy pogrzebowego; tak czy owak, tego człowieka otaczała aura śmierci. Zastępca szeryfa na sam jego widok poczuł się nieswojo.

Zapaliwszy papierosa, Hazen znowu przemówił.

— Nie przypominam sobie, abym pytał pana o zdanie.

Mężczyzna wszedł w tłum, który rozstąpił się przed nim bezgłośnie, i zatrzymał się trzy metry od szeryfa. Ponownie się odezwał, a w jego głosie wyczuwało się aksamitny akcent dalekiego Południa.

— Zabójca działa pośród nocy, w czasie nowiu. Pojawia się i znika bez śladu. Czy naprawdę jest pan stuprocentowo pewien, szeryfie Hazen, że morderca nie pochodzi stąd, z Medicine Creek?

Hazen zaciągnął się głęboko, wypuścił smugę szarego dymu w kierunku nieznanego.

— Co pana upoważnia do wysuwania takich przypuszczeń? — odparował.

— Na to pytanie wolałbym odpowiedzieć w pańskim biurze, szeryfie.

— Mężczyzna wyciągnął rękę, dając do zrozumienia, że zarówno szeryf, jak i jego zastępca powinni wejść pierwsi do budynku.

— Kim pan jest, u licha, że śmie pan zapraszać mnie do mego własnego biura? — warknął Hazen, z wolna tracący spokój ducha.

Mężczyzna spojrzał na niego łagodnie i odpowiedział tym samym cichym, miękkim tonem.

— Czy mogę zaproponować, szeryfie Hazen, że również na to — jakże trafne — pytanie odpowiem, gdy już znajdziemy się w zaciszu pańskiego biura? Zaręczam, że tak będzie dla pana najlepiej.

Zanim szeryf Hazen zdołał znów wydobyć z siebie głos, mężczyzna odwrócił się do zgromadzonych wokół niego dziennikarzy i reporterów.

— Z przykrością pragnę państwa poinformować, że konferencja prasowa właśnie dobiegła końca.

Tad nie mógł nadziwić się własnym oczom, gdy stwierdził, że na dźwięk tych słów przedstawiciele czwartej władzy posłusznie zaczęli się rozchodzić.

CZTERY

Szeryf zajął miejsce za poobijanym biurkiem z formiki. Tak jak zawsze usiadł w fotelu, pełen niepokoju i wyczekiwania. Ubrany na czarno nieznajomy postawił swoją torbę przy drzwiach, a szeryf zaproponował mu, by spoczął na niewygodnym drewnianym krześle dla gości, które w pięć minut potrafiło złamać każdego podejrzanego. Mężczyzna osunął się na nie jednym płynnym, eleganckim ruchem, założył nogę na nogę i odchyliwszy się do tyłu, spojrzał na szeryfa.

— Poczęstuj naszego gościa kawą — rzekł ze słabym uśmiechem Hazen. W dzbanku zostało jeszcze naparu na pół filiżanki i tyle właśnie otrzymał przybysz.

Mężczyzna przyjął podsunietą mu filiżankę, spojrzał na brązowawy płyn, postawił filiżankę na biurku i uśmiechnął się.

— To bardzo uprzejme z pana strony, ale pijam tylko herbatę. Zieloną. Tak zastanawiał się, czy ten człowiek był jakimś dziwakiem, a może

nawet pedałem.

Hazen chrząknął, zmarszczył brwi i przesunął się nieznacznie na siedzeniu.

— W porządku. A teraz słucham. Mam nadzieję, że ma pan mi coś naprawdę ważnego do zakomunikowania.

Mężczyzna leniwym, niemal nonszalanckim ruchem wyjął z kieszeni marynarki skórzany portfelik i rozłożył go. Hazen wychylił się do przodu, przyjrzał się legitymacji i ponownie rozsiadł się wygodnie z głuchym westchnieniem.

— FBI. Niedobrze. Mogłem się tego domyślić. — Spojrzał na swego zastępcę. — Zainteresowały się nami naprawdę grube ryby.

— Tak jest — mruknął Tad. Mimo iż nigdy dotąd nie spotkał agenta FBI, ten facet wyglądał jak całkowite zaprzeczenie jego wyobrażeń o przeciętnym agencie federalnym.

— W porządku, panie... eee...

— Agent specjalny Pendergast.

— Pendergast. Pendergast. Nie mam pamięci do nazwisk. — Hazen zapalił kolejnego papierosa i głęboko zaciągnął się dymem. — Zjawił się pan tu w sprawie tego morderstwa z krukami? — spytał, wydmuchując ustami wielki kłęb dymu.

— Tak.

— Czy to oficjalne przejęcie śledztwa?

— Nie.

— A zatem jest pan tu sam.

— Jak na razie.

— Z jakiego jest pan oddziału?

— Teoretycznie z oddziału w Nowym Orleanie. Tyle tylko, że działałam w — dajmy na to — niekonwencjonalny sposób, prowadzę pewne... wybrane dochodzenia. — Uśmiechnął się przyjaźnie.

Hazen chrząknął.

— Jak długo zamierza pan tu pozostać?

— Przez cały czas.

„Czas czego?” — zastanawiał się w duchu Tad. Pendergast spojrzął na młodego policjanta swymi bladymi, niezwykłymi oczami i uśmiechnął się.

— Mojego urlopu.

Tad zaniemówił. Czy ten facet potrafił czytać w myślach?

— Pańskiego urlopu? — Hazen znów nieznacznie zmienił pozycję. — Pendergast, to wbrew przepisom. Będę potrzebował oficjalnego potwierdzenia z miejscowego oddziału pańskiego macierzystego biura. Nie prowadzimy tu kurortu dla absolwentów Quantico.

Zapadł długa chwila ciszy. Wreszcie odezwał się mężczyzna nazwiskiem Pendergast.

— Śmiem twierdzić, iż nie chciałby pan, aby mój pobyt tutaj nabrał cech oficjalnych, prawda, szeryfie Hazen?

Odpowiedziała mu cisza. Po chwili Pendergast podjął wywód.

— Nie zamierzam mieszać się w pańskie śledztwo. Będę działać niezależnie. Będę konsultować się z panem regularnie i gdy zdobędę jakieś istotne informacje, podzielę się nimi. To pan zbierze laury za schwytanie sprawcy. Ja nie szukam poklasku ani sławy, nie o to mi chodzi. Jedyne, o co proszę, to swoboda działania i spokój ze strony tutejszych stróżów prawa.

Szeryf Hazen zmarszczył brwi, podrapał się po podbródku i znów się

zasepił.

— Co się tyczy pojmania sprawcy, szczerze mówiąc, niewiele mnie obchodzi, kto się pod tym podpisze. Chcę po prostu dopaść tego sukinsyna.

Pendergast z aprobatą pokiwał głową. Hazen zaciągnął się dymem, wypuścił go ustami i powtórzył tę czynność raz jeszcze. Zastanawiał się intensywnie.

— W porządku, Pendergast, może pan spędzić u nas urlop. Tylko proszę za bardzo się nie wychylać, nie afiszować i nie rozmawiać z dziennikarzami.

— Oczywiście. Nie mam takiego zamiaru.

— Gdzie się pan zatrzymał?

— Liczyłem, że pan zechce mi coś doradzić. Szeryf parsknął śmiechem.

— W miasteczku jest tylko jedno dogodne miejsce — dom Krausów. Przy Jaskini Krausa. Mijał go pan przy wjeździe do miasta, to wielki, stary dom stojący na skraju pola kukurydzy, jakieś półtora kilometra na zachód stąd. Stara Winifreda Kraus wynajmuje pokoje na najwyższym piętrze. Choć ostatnio nie może uskarżać się na nadmiar gości. Na pewno namówi pana na wycieczkę po swojej jaskini. Podejrzewam, że będzie pan jej pierwszym gościem od blisko roku.

— Dziękuję — rzekł Pendergast, wstając i podnosząc torbę z podłogi. Hazen przez cały czas bacznie mu się przyglądał.

— Ma pan samochód?

— Nie.

Wargi szeryfa wykrzywił leciutki uśmiezek.

— Podwiozę pana.

— Przejdę się. Lubię długie spacery.

— Na pewno? Dziś mamy prawie trzydzieści osiem stopni w cieniu.

Mam wrażenie, że pański garnitur nie jest odpowiednim strojem na tutejsze upały. — Hazen uśmiechnął się szerzej.

— Czy naprawdę jest tak gorąco? — Agent FBI odwrócił się i skierował w stronę drzwi, ale Hazen miał do niego jeszcze jedno pytanie.

— Jakim cudem tak szybko dowiedział się pan o tym morderstwie? Pendergast przystanął.

— Dzięki staremu układowi mam w biurze kogoś, kto przegląda dla mnie depesze i pocztę elektroniczną miejscowej policji. Gdy ma miejsce zbrodnia odpowiadająca pewnym określonym kryteriom i kategorii, natychmiast zostaję o niej powiadomiony. Ale, jak już stwierdziłem, jestem tu z powodów osobistych, niedawno udało mi się bowiem doprowadzić do końca wyjątkowo żmudne dochodzenie, nad którym pracowałem na wschodzie. Powiedzmy, że zaintrygowała mnie wyjątkowo zastanawiająca natura tej sprawy.

W sposobie, w jaki agent wymówił słowo „zastanawiająca”, było coś tak niepokojącego, że Tad poczuł, jak jeżą mu się krótkie włoski na karku.

— O jakiej właściwie kategorii pan mówi? — W głosie szeryfa słychać było wyraźną nutę sarkazmu.

— O seryjnych zabójstwach.

— To zabawne, jak dotąd mieliśmy tu tylko jedno morderstwo.

Postać powoli zaczęła się odwracać. Jasnoszare oczy skierowały wzrok na siedzącego za biurkiem Hazena.

— Jak dotąd — wycedził niemal szeptem agent Pendergast.

PIĄTY

Winifreda Kraus odłożyła robótkę i wyjrzała przez okno salonu. Niecodziennie miała okazję ujrzeć taki widok. Poczwała lekki niepokój. Środkiem drogi maszerował wysoki mężczyzna w czerni, dźwigający skórzaną walizkę. Był oddalony o kilkaset metrów, ale Winifreda Kraus miała doskonały wzrok i zauważyła, że wyglądał jak zjawa, był chudy niczym szczapa i w falującym z gorąca powietrzu wydawał się prawie niematerialny. Była przerażona, ponieważ pamiętała doskonale, że jako dziecku pewnego dnia ojciec powiedział jej, że tak właśnie zjawia się śmierć, przybywa niespodzianie, kiedy najmniej się jej spodziewamy; z pozoru zwykły człowiek, zdrożony wędrowiec, który puka niby to przypadkiem do drzwi. Mężczyzna w czerni. Kiedy jednak spojrzysz na jego stopy, zamiast nich zobaczysz kopyta, a potem poczujesz woń siarki i smoły, a zanim się obejrzysz, czart pochwyci cię i porwie do piekła.

Mężczyzna stawiał duże, miarowe kroki, jego cień pożerał drogę przed nim. Winifreda Kraus upomniała się w duchu, że nie powinna w ogóle tak myśleć, to było głupie, cała historia była wyssana z palca, a poza tym przecież śmierć nie nosi walizki. Tylko czemu ktoś miałby ubierać się na czarno o tej porze roku? W tym upale nawet pastor Wilbur nie nosi czarnych rzeczy. A ten człowiek był ubrany na czarno od stóp do głów, miał na sobie czarny garnitur i eleganckie buty. Czyżby coś sprzedawał? Wobec tego gdzie był jego samochód? Nikt nie poruszał się pieszo w hrabstwie Cry — dosłownie nikt. A w każdym razie nie wtedy, gdy była jeszcze młodą dziewczyną, jeszcze przed wojną, kiedy wczesną wiosną

przybywały w te okolice rzesze włóczęgów, wędrowców kierujących się ku żyznym polom uprawnym Kalifornii.

Mężczyzna przystanął w miejscu, gdzie zarośnięty, pylisty podjazd przed jej domem stykał się z makadamem szosy. Przybysz spojrział w górę, na jej dom, a konkretnie w okno salonu i Winifreda w jednej chwili odruchowo odłożyła na bok robótkę. Tymczasem obcy kierował się na podjazd. Najwyraźniej szedł właśnie do niej. Do jej domu. W dodatku miał tak niesamowicie jasne, prawie białe włosy i tak dziwnie bladą cerę, w porównaniu z którą jego garnitur wydawał się nieprawdopodobnie czarny...

Rozległo się ciche stukanie kołatki. Winifreda uniosła dłoń do ust. Czy powinna się odezwać? A może lepiej będzie poczekać, aż ten obcy sobie pójdzie? Tylko czy faktycznie odejdzie?

Czekała.

Pukanie powtórzyło się, tym razem nieco bardziej natarczywe. Winifreda zmarszczyła brwi. Była stara i głupia. Wzięła głęboki oddech, podniosła się z fotela i przeszła przez salonik do holu, odblokowała zasuwkę w drzwiach i lekko je uchyliła.

— Panna Kraus?

— Słucham? Mężczyzna uklonił się.

— Czy mam przyjemność z panią Winifredą Kraus, która oferuje zakwaterowanie podróżnym? A także, o ile dobrze zrozumiałem, najwspanialsze domowe posiłki w całym hrabstwie Cry, w Kansas?

— No cóż, nie da się ukryć. — Winifreda Kraus otworzyła drzwi nieco szerzej, uradowana, że zamiast śmierci ujrzała w progu prawdziwego dżentelmena.

— Nazywam się Pendergast. — Wyciągnął do niej rękę, a Winifreda po chwili wahania uścisnęła ją nieśmiało. Dłoń była zdumiewająco sucha i chłodna.

— Nieźle mnie pan wystraszył, gdy ujrzałam pana idącego tą drogą. Tu nikt już nie chadza piechotą.

— Przyjechałem autobusem.

Przypomniawszy sobie o dobrych manierach, Winifreda natychmiast otworzyła drzwi szerzej i odstąpiła na bok.

— Pan wybaczy, zapraszam do środka. Może napije się pan mrożonej herbaty? Musi być panu potwornie gorąco w tym garniturze. Przepraszam, że spytam, ale może stracił pan ostatnio kogoś z rodziny?

— Z przyjemnością napiję się mrożonej herbaty, dziękuję.

Winifreda, czując dziwnie miłe oszołomienie, wróciła do spiżarni, napełniła herbatą szklanekę z lodem, dołożyła świeży listek mięty z sadzonki na parapecie, postawiła szklanekę na srebrnej tacy i wróciła do gościa.

— Proszę, panie Pendergast.

— Jest pani nazbyt miła.

— Może zechce pan usiąść?

Usiedli w salonie. Uprzejmy mężczyzna założył nogę na nogę i zaczął sączyć herbatę. Przyjrząwszy mu się z bliska, Winifreda stwierdziła, że był młodszy, aniżeli początkowo sądziła, włosy, które uznała za siwe, miały po prostu bardzo jasny, niemal biały odcień. Mężczyzna był poza tym dość przystojny i elegancki, jeśli nie liczyć bladości jego oczu i cery.

— Wynajmuję trzy pokoje na piętrze — wyjaśniła. — Będzie pan musiał, niestety, korzystać ze wspólnej łazienki, ale na razie nie ma innych

gości...

— Wynajmę całe piętro. Czy pięćset dolarów tygodniowo to dla pani propozycja do przyjęcia?

— Ależ tak. Ojej.

— Za wyżywienie, rzecz jasna, zapłacę dodatkowo. W grę będą wchodzić jedynie lekkie śniadania i od czasu do czasu herbata po południu oraz kolacja.

— Proponuje pan więcej, niż żądam zazwyczaj. Nie będę się czuła swobodnie...

Mężczyzna uśmiechnął się.

— Obawiam się, że mogę okazać się kłopotliwym gościem.

— No cóż, w takim razie...

Upił łyk herbaty, odstawił ją na tacę i wychylił się lekko do przodu.

— Nie chciałbym pani zaszokować, panno Kraus, ale muszę wyjawić, kim jestem i dlaczego tu przyjechałem. Spytała mnie pani, czy ostatnio ktoś umarł. Jak pani zapewne dobrze wie, tak właśnie było, i to całkiem niedawno. Jestem agentem specjalnym Federalnego Biura Śledczego mającym poprowadzić śledztwo w sprawie zabójstwa w Medicine Creek.

— Niejako kurtuazyjnym gestem pokazał jej swoją odznakę.

— Zabójstwo!

— Nie słyszała pani? Na drugim końcu miasta, zwłoki odkryto ubiegłej nocy. Bez wątpienia przeczyta pani o całej sprawie w jutrzejszej porannej gazecie.

— A niech mnie. — Winifreda Kraus wyglądała na wstrząśniętą i oszołomioną. — Morderstwo? W Medicine Creek?

— Przykro mi. Czy mając tę świadomość, zamierza pani zmienić

zdanie i nie zechce wynająć mi pokoju? Jeżeli tak, zrozumiem.

— Ależ nie, panie Pendergast. Bynajmniej. Poczuję się znacznie bezpieczniej, mając pana pod swoim dachem. Zabójstwo, jakież to straszne... — Wzdrygnęła się. — Kto byłby w stanie...

— Obawiam się, że będę musiał rozczarować panią jako źródło informacji o tej sprawie. A teraz czy mógłbym obejrzeć moje pokoje? Nie musi pani wskazywać mi drogi ani oprowadzać po pomieszczeniach na piętrze.

— Oczywiście. — Winifreda Kraus uśmiechnęła się nieco sztucznie, patrząc, jak mężczyzna miękko wspina się po schodach. Taki uprzejmy, młody dżentelmen, a tu... I w tej samej chwili przypomniała sobie o morderstwie. Wstała i podeszła do telefonu. Może Jenny Parker będzie wiedzieć coś więcej. Podniosła słuchawkę i kręcąc głową z niedowierzaniem, wybrała numer.

Po krótkiej inspekcji Pendergast wybrał najmniejszy pokój znajdujący się na tyłach domu i położył walizkę na szerokim łóżku. Na komódce stało obrotowe lustro, przed nim zaś porcelanowa miednica i dzbanek. Wysunął górną szufladę, z wnętrza której wypłynął aromat różanego drewna i dębu. Szufladę wyłożono gazetami z początku dwudziestego wieku, z reklamami sprzętu rolniczego. W kącie stał nocnik w starym stylu odwrócony do góry dnem. Ściany pokryto wiktoriańską tapetą z kwiecistym wzorem, obecnie trochę już wyblakłą, listwy pomalowano na zielono, a sufit ozdobiono perełkowym wzorem. Firanki były wykonane z ręcznie robionej koronki.

Ponownie podszedł do łóżka i lekko przesunął dłonią po pościeli. Zdobily ją hafty z wzorami przeplatających się róż i pe-onii. Przyjrzał się

uważnie haftom. Ręczna robota. Wykonanie tego musiało zająć komuś — bez wątpienia pani Kraus — co najmniej rok.

Pendergast stał w bezruchu, wpatrując się w haftowane wzory i chłonąc stare, zatechłe powietrze sypialni. Wreszcie wyprostował się, przeszedł po skrzypiących deskach podłogi do starego, spaczonego okna i wyjrzał na zewnątrz.

Poniżej, z prawej strony, w pewnej odległości od domu, spostrzegł prymitywny, niski metalowy daszek sklepiku z pamiątkami. Z tyłu, za nim popękany betonowy chodnik prowadził do obniżenia terenu, które z kolei wiodło do rozpadliny w ziemi; w głębi rozległej szczeliny panowała ciemność. Obok sklepiku z pamiątkami wisiał stary, obłazący z farby szyld z napisem następującej treści:

Jaskinia Krausa
największa jaskinia w hrabstwie cry
W KANSAS

Pomyśl życzenie
Przy Sadzawce Nieskończoności
pobaw się kryształowymi dzwonkami
zobacz bezdenną otchłań
zwiedzanie — codziennie od 10.00 do 14.00
Zapraszamy Turystów indywidualnych oraz
Wycieczki Zorganizowane
Mile widziane większe grupy

Pendergast spróbował otworzyć okno i zdumiał się, gdy dokonał tego bez najmniejszego trudu. Do pokoju wpłynęło parne, leniwe powietrze z zewnątrz, niosące ze sobą zapach kurzu i pól. Koronkowe firanki zafalowały leciutko. Za oknem rozległe morze złocistej kukurydzy rozciągało się aż po horyzont, poprzecinane jedynie hen, w oddali przez linię wysokich drzew rosnących nad brzegami Medicine Creek. Stado kruków poderwało się z pola, zakołowało nad łąkami i zaraz znowu wróciło na dalszą ucztę. Kukurydza była już dojrzała. Na niebie od zachodu pojawiły się burzowe chmury. Cisza była równie bezkresna jak cały krajobraz.

W korytarzu, u podnóża schodów, Winifreda Kraus odłożyła słuchawkę na widełki telefonu. Jenny Parker nie było w domu. Może kręciła się po mieście, zbierając wiadomości. Spróbuje zadzwonić do niej ponownie po obiedzie. Zastanawiała się, czy powinna zanieść temu miłemu mężczyźnie, panu Pendergastowi, drugą szklanekę herbaty. Południowcy zawsze charakteryzowali się nienagannymi manierami, byli dobrze wychowani i nad wyraz uprzejmi; wierzyła, że mieli w zwyczaju pijać mnóstwo mrożonej herbaty, czy to na zacienionym ganku przed domem, czy dajmy na to w salonie. Weszła do kuchni, napełniła powtórnie szklaneczkę i zaczęła wspinać się po schodach na górę. Nie, jednak nie... powinna pozwolić mu się rozpakować, zapewnić mu choć odrobinę prywatności. Co ona sobie myślała? Wiadomość o morderstwie pozbawiła ją zdolności racjonalnego myślenia. Musiała wziąć się w garść.

Winifreda nasłuchiwała, przechyliwszy nieznacznie głowę w bok. Przez chwilę w całym domu panowała niezmacona cisza. Zaraz jednak

Pendergast znów się odezwał i tym razem usłyszała wyraźnie, co powiedział.

— Wyśmienicie — rozległ się miękki, słodki głos. — Po prostu wyśmienicie.

SZEŚĆ

Droga była prosta jak strzeł, tak jak zaprojektował ją dziewiętnastowieczny mierniczy i z dwóch stron otaczały ją nieruchome łany kukurydzy. Agent specjalny Pendergast szedł wzdłuż drogi skrzęcej się od żaru, a jego czarne, wypastowane na glans oksfordy, ręczna robota od Johna Lobba z St. James's Street w Londynie, pozostawiały płytkie wgłębienia w miękkim asfalcie.

W oddali dostrzegł miejsce, gdzie ciężkie pojazdy wjeżdżały i wyjeżdżały z pola, pozostawiając brązowe ślady i grudy ziemi na szosie.

Podchodząc bliżej, skręcił, by dotrzeć wzdłuż prowizorycznej drogi dojazdowej, wytyczonej na polu, do miejsca zbrodni. Jego stopy zagłębiły się w pylistej ziemi.

W miejscu gdzie urządzono prowizoryczny parking, stał z włączonym silnikiem policyjny radiowóz, z urządzenia klimatyzacyjnego ściekały na ziemię krople wody. Miejsce zbrodni otoczone było żółtą taśmą przewiazaną wokół wbitych w suchy grunt wysokich palików. W radiowozie siedział policjant, czytając powieść w broszurowym wydaniu.

Pendergast podszedł i zastukał w szybę. Mężczyzna drgnął, ale natychmiast odzyskał rezon. Pospiesznie odłożył książkę, wyszedł i mrużąc lekko powieki w blasku słońca, zatknąwszy kciuki za szeroki pas, otaksował Pendergasta wzrokiem. Z auta wypłynęła fala chłodnego powietrza.

— Kim pan jest, u diabła? — warknął gniewnie. Ramiona policjanta pokrywały gęste, rudawe włosy, a skórzane buty skrzypiały przy każdym ruchu.

Pendergast pokazał swoją legitymację.

— A, FBI. Przepraszam. — Policjant rozejrzał się wokoło. — Gdzie pański wóz?

— Chciałbym trochę się tu rozejrzeć — odparł Pendergast.

— Proszę bardzo. Ale nic tu już nie zostało. Wszystko wywieziono.

— Nie ma sprawy. Nie chciałbym dłużej zabierać pańskiego czasu.

— Nic się nie stało. — Policjant z wyraźną ulgą wrócił do radiowozu i zatrzasnął drzwiczki.

Pendergast minął samochód i schyliwszy się, zwinnie prześlizgnął się pod pasem żółtej taśmy. Pokonał ostatnie dwadzieścia metrów dzielące go

od przecinki na polu. Dotarłszy tam, przystanął i uważnie przyjrzał się temu miejscu. Tak jak powiedział policjant, nic tu już nie zostało, nic prócz ziemi, połamanych łodyg kukurydzy i tysięcy śladów stóp. Pośrodku przecinki widniała niezbyt duża plama.

Przez kilka minut Pendergast stał w całkowitym bezruchu, skąpany w prażących promieniach słońca. Tylko jego oczy przesuwaly się z boku na bok, lustrując całą polankę. Wreszcie agent Pendergast sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął zrobione na miejscu zbrodni zdjęcie zwłok. Kolejna fotografia ukazywała całe to miejsce ze sporządzoną na nim scenografią z ponadzie-wanych na strzały ptaków i wbitych w ziemię patyków. Pendergast pospiesznie odtworzył w myślach oryginalny widok i zapamiętał ją, badając uważnie każdy szczegół.

Stał w bezruchu prawie kwadrans. W końcu włożył zdjęcia na powrót do kieszeni i postąpił krok naprzód, spoglądając na znajdującą się u jego stóp łodygę. Nie została ścięta, lecz złamana. Posuwając się dalej, podniósł drugą, a potem trzecią i czwartą. Wszystkie złamano. Pendergast wrócił na skraj polanki, wybierając jedną z łodyg kukurydzy, która pozostała nietknięta. Ukląkł i schwyciwszy u dołu, spróbował ją złamać, lecz choć starał się jak mógł, nie zdołał jej złamać.

Wrócił na przecinkę. Nie miało znaczenia, gdzie stąpał, tego miejsca nie można już było bardziej stratować. Szedł powoli, od czasu do czasu przykucnął, by zbadać coś, co dostrzegł na ziemi lub wśród łodyg. Co chwilę za pomocą szczypiec wyjętych z kieszeni marynarki podnosił jakiś fragment, przyglądał mu się z uwagą i odkładał na miejsce. Przez blisko godzinę krążył tak po całej przecince, zgięty wpół, w palącym słońcu.

Nie odkrył niczego istotnego.

Dotarł wreszcie do drugiego krańca przecinki i wszedł pomiędzy łąny. Z kilku łądyg zwieszały się strzępy materiału i odnalezienie oznaczonej w ten sposób drogi nie było trudne.

Pendergast przeszedł wzdłuż łąny, ale widniało tu tak wiele śladów stóp i psich łap, że o odkryciu jakichkolwiek tropów nie było mowy. Raport stwierdzał, że śladem zabójcy posłano dwie pary psów gończych, ale zwierzęta nie podjęły tropu.

Agent przystanął wśród łąnów, wyjął z kieszeni rulon błyszczącego papieru i rozłożył go. Było to zdjęcie, zrobione z jakiegoś bliżej nieokreślonego miejsca, przed zabójstwem, ukazujące to pole z powietrza. Łany nie biegły prosto, jak można by sądzić, gdy patrzyło się na nie z ziemi, lecz po łuku, dostosowując się do topografii terenu, tworząc labirynt eliptycznych ścieżek. Odnalazł miejsce, gdzie się obecnie znajdował, i sprawdził, jak biegł przesmyk, w którym stał. Następnie z trudem przedarł się do kolejnej przerwy między łąnami i stamtąd do następnej. Raz jeszcze przyjrzał się fotografii lotniczej, śledząc przesmyk, do którego dotarł. O wiele lepiej — ta ścieżka biegła prosto jak strzełił, dość daleko, aż do depresji w pobliżu Medicine Creek, w miejscu, gdzie potok zawraca w stronę miasteczka.

Było to, prawdę mówiąc, jedyne przejście dochodzące aż do strumienia.

Pendergast przeszedł przez pole, oddalając się od miejsca zbrodni. Żar zaległ między łąnami, a z uwagi na brak wiatru zrobiło się tu gorąco jak w piecu.

W miarę jak grunt zaczął stopniowo opadać w kierunku strumienia, oczom agenta ukazał się klaustrofobicznie monotony krajobraz pól kukurydzianych, rozciągających się aż po odległy horyzont. Widoczny w

oddali potok z paroma na wpół zeschniętymi topolami tylko pogłębiał wrażenie przytłaczającej pustki. Pendergast co kilka kroków przystawał, by obejrzeć którąś z łodyg lub fragment podłoża. Co pewien czas sięgał po coś szczypczykami, podnosił to i odkładał na miejsce.

Wreszcie przesmyk między łanami doprowadził go do obniżenia terenu nad brzegiem strumienia. Tam, gdzie łany i uprawna ziemia ustępowały miejsca piaszczystemu nasypowi, Pendergast przystanął i spojrzał w dół.

Dostrzegł ślady widoczne wyraźnie w piasku, głębokie odciski bosych stóp. Pendergast ukląkł i dotknął jednego ze śladów. Stopa miała rozmiar czterdzieści cztery i pół. Zabójca dźwigał ciężkie ciało.

Pendergast wstał i podążył za śladami do miejsca, gdzie zniknęły one w nurcie strumienia. Po drugiej stronie potoku nie było żadnych tropów. Agent przez kilka minut chodził wzdłuż strumienia, wypatrując śladów na drugim brzegu, ale bez powodzenia.

Zabójca musiał pokonać spory odcinek drogi, idąc z nurtem strumienia.

Pendergast wrócił między łany i skierował się w stronę przecinki. Miasteczko Medicine Creek przypominało wyspę na oceanie, trudno było wejść i wyjść zeń niepostrzeżenie. Wszyscy znali się nawzajem, setki par czujnych, starych oczu patrzyły z okien i ganków, obserwując przyjeżdżające i wyjeżdżające auta. Przybysz mógł dotrzeć do miasta niezauważony jedynie przez to morze kukurydzy, do najbliższego miasta było stąd ponad trzydzieści kilometrów.

Pierwotne przypuszczenia agenta potwierdziły się — zabójcą był ktoś miejscowy, osoba pochodząca stąd, z Medicine Creek.

SIEDEM

Harry Hoch, drugi co do ważności sprzedawca sprzętu rolniczego w hrabstwie Cry, rzadko zabierał autostopowiczów, ale w tym wypadku uznał, że zrobi wyjątek. Ten dżentelmen ubrany na czarno, bez wątpienia w żałobie, stał tak smutno i smętnie na poboczu drogi. Matka Hocha zmarła zaledwie rok temu i mężczyzna dobrze wiedział, co oznacza utrata bliskiej osoby.

Zatrzymał forda taurusa na żwirowym poboczu, tuż za człowiekiem w czerni i lekko nacisnął klakson. Opuścił szybę, gdy mężczyzna podszedł do samochodu.

— Dokąd zmierzasz, przyjacielu? — zagadnął Hoch.

— Do szpitala w Garden City, jeśli to nie będzie dla pana nazbyt kłopotliwe.

Harry skrzywił się. Nieszczęśnik. W piwnicy szpitala mieściła się kostnica. Tragedia musiała wydarzyć się całkiem niedawno.

— Nie ma sprawy. Wskakuj.

Spojrzał na niego ukradkiem, gdy pasażer wsiadł do samochodu. Z taką bladą cerą mógł nabawić się nieprzyjemnych oparzeń słonecznych, o ile nie zachowa należytej ostrożności. Był pewien, że tamten nie pochodził z tych stron, zdradzał go charakterystyczny akcent.

— Nazywam się Hoch. Harry Hoch. — Wyciągnął rękę. Obcy podał mu swoją, suchą i chłodną.

— Miło mi pana poznać. Nazywam się Pendergast.

Hoch spodziewał się usłyszeć również imię, lecz autostopowicz nie zechciał mu go wyjawić. Cofnął rękę i podkręcił klimę.

Ze szczelin wentylacyjnych buchnął podmuch chłodnego powietrza. Na zewnątrz było gorąco jak w piekle. Wrzucił bieg, nacisnął pedał gazu, wyjechał na szosę i przyspieszył.

— Nie za gorąco ci, Pendergast? — spytał po chwili Hoch.

— Prawdę mówiąc, panie Hoch, lubię, jak jest ciepło.

— Ciepło to i ja lubię, ale trzydzieści stopni w cieniu i sto procent wilgotności? — Hoch zaśmiał się. — Na masce mego wozu można by usmażyć jajecznicę.

— Nie wątpię.

Zapadła cisza. „Dziwny typ” — pomyślał Hoch.

Jego pasażer najwyraźniej nie miał ochoty na pogawędkę, toteż Hoch nabrał wody w usta i skupił się na prowadzeniu auta. Srebrny taurus mknął po prostej jak strzała szosie z prędkością ponad stu czterdziestu kilometrów na godzinę, pęd auta wprawiał w lekkie falowanie łąny kukurydzy, ciągnące się wzdłuż drogi. Cała ta trasa wyglądała jednakowo, a w tej okolicy nigdy nie było gliniarzy. Harry lubił szybką jazdę po rzadko uczęszczanych drogach. Poza tym był w dobrym nastroju, sprzedał właśnie kombajn Case 2388 z dodatkami za sto dwadzieścia tysięcy dolarów. To już trzecia maszyna, którą sprzedał w tym sezonie, dzięki czemu mógł sobie pozwolić na wypad do San Diego, gdzie czekał go weekend alkoholowego szaleństwa i seksu z niezbyt urodziwymi

panienkami z Del Mar Blu. A niech to.

W pewnym momencie droga nieznacznie się rozszerzała, samochód minął w pędzie rząd starych rudery, piętrowych, ceglanych budynków bez dachów, z wolna obracających się w ruinę, oraz spichlerz, którego wierzchołek wylaniał się znad zarośniętej chwastami bocznicy kolejowej.

— Co to takiego? — spytał Pendergast.

— Crater, Kansas. A raczej powinienem powiedzieć: „To było” Crater w Kansas. Trzydzieści lat temu to było normalne miasto. Ale wymarło, jak wiele innych. Zawsze jest tak samo. Najpierw zamyka się szkołę. Potem sklep spożywczy. Później sklep z artykułami rolniczymi. Na samym końcu traci kod pocztowy. Nie. To nie całkiem tak. Na końcu zamyka się knajpę. To się dzieje w całym hrabstwie Cry. Wczoraj Crater. Jutro DePew. Pojutrze — kto wie? Może Medicine Creek.

— Socjologia umierającego miasta musi być raczej złożona — rzekł Pendergast.

Hoch nie był pewny, do czego zmierzał Pendergast i nie zaryzykował odpowiedzi.

W niecałą godzinę później nad horyzontem zaczęły pojawiać się elewatory zbożowe Garden City, wielkie i pękate niczym zniekształcone drapacze chmur, samo miasto było nisko zabudowane, płaskie i prawie niewidoczne.

— Wysadzę pana pod samym szpitalem, panie Pendergast — powiedział Hoch. — No i rzecz jasna, wyrazy współczucia, łączę się z panem w smutku, niezależnie od tego, kogo pan stracił. Mam nadzieję, że to nie była przedwczesna śmierć.

Gdy przed nimi pojawił się budynek szpitala, niska bryła z czerwonej

cegły, otoczony morzem lśniących aut, Pendergast odezwał się.

— Czas to burza, w której wszyscy się gubimy, panie Hoch. Hoch potrzebował kolejnych trzydziestu minut ostrej jazdy z opuszczonymi szybami, by otrząsnąć się z szoku po tym, co usłyszał.

Szeryf Hazen, w za dużym o dwa numery chirurgicznym kitlu i papierowym czepku, w którym czuł się jak ostatni kretyn, wyprężył się i spojrzął na wózek noszowy. Z dużego palucha prawej stopy zwieszała się plakietka, ale nie musiał na nią patrzeć, by wiedzieć, co było na niej napisane. „Pani Sheila Swegg, dwukrotnie rozwiedziona, bezdzietna, lat 32, zam. 40A Whispery Meadow Trailer Estate w Bromide w Oklahomie”.

Cholerny biały śmieć.

Leżała teraz na stole z nierdzewnej stali, rozkrojona niczym świąteczny indyk, obok niej spoczywały poukładane jak należy wyjęte z niej organy. Odpiłowano czubek głowy, a mózg umieszczono w niklowanym naczyniu nieopodal. Woń rozkładu była wręcz powalająca, kobieta leżała na rozgrzanym polu dobre dwadzieścia cztery godziny, zanim tam dotarł. Koroner, bystry, długowłosego młodzian nazwiskiem McHyde, pochylał się nad nią radośnie, wykonując swoją pracę i zgodnie z procedurą komentując do mikrofonu poszczególne jej etapy w medycznym żargonie.

„Jeszcze pięć lat — pomyślał Hazen — i surowa rzeczywistość pozbawi go resztek dobrego humoru”.

McHyde przesunął się w górę torsu, doszedł właśnie do szyi i rozkroił ją szybkimi, efektywnymi ruchami prawej dłoni. Niektórym cięciom towarzyszył głośniejszy trzask, Hazenowi ten dźwięk ani trochę nie przypadł do gustu. Sięgnął do kieszeni po papierosy, przypomniał sobie o obowiązującym tutaj zakazie palenia, wyciągnął rękę do stojącego tuż

obok słoja mentolu i posmarowawszy odrobiną maści okolice nozdrzy, spróbował skupić swe myśli na czymś innym: Jayne Mansfield w The Girl Can't Help It, wieczorne polki w Deeper Elks Lodge, niedziele z piwkiem, spędzane na moczeniu kija w Hamilton Lake State Park. Myślał o wszystkim, tylko nie o Sheili Swegg.

— Hmm — mruknął koroner. — Zechce pan na to spojrzeć.

Przyjemne myśli rozwiały się równie szybko, jak się pojawiły.

— Co takiego? — spytał Hazen.

— Tak jak przypuszczałem. Kość gnykowa złamana. A raczej powinienem powiedzieć — strzaskana. Na szyi miała bardzo delikatne zasinienia, ale to potwierdza moje wcześniejsze przypuszczenia.

— Uduszenie?

— Niezupełnie. Schwycono ją za szyję i złamano kark jednym silnym szarpnięciem. Zanim nastąpiło uduszenie, zmarła wskutek przerwania rdzenia kręgowego.

Ciach, ciach, ciach.

— Siła była ogromna. Proszę spojrzeć. Chrząstka pierścienio-wata została całkiem oddzielona zarówno od chrząstki tarczowatej, jak i od blaszki. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Chrząstki tchawicze są zgruchotane. Kręgi szyjne złamane w... niech no się przyjrzę, czterech, nie, pięciu miejscach.

— Wierzę panu, doktorze — rzekł Hazen, spoglądając w drugą stronę.

Koroner uniósłszy wzrok, uśmiechnął się.

— Pierwsza autopsja, co?

Hazen poczuł narastające rozdrażnienie.

— Oczywiście, że nie — skłamał.

— Wiem, ciężko do tego przywyknąć. Zwłaszcza gdy zaczynają dojrzewać. Lato nie jest dobrą porą. Co to, to nie.

Gdy lekarz wrócił do swoich obowiązków, Hazen wyczuł za sobą czyjąś obecność. Odwrócił się i aż drgnął nerwowo — stał za nim Pendergast, pojawił się jakby znikąd.

Doktor uniósł wzrok, widok przybysza wyraźnie go zdziwił.

— Słucham pana. Proszę wybaczyć, ale...

— On jest w porządku — rzucił Hazen. — To agent FBI, współpracuje ze mną przy tej sprawie. Agent specjalny Pendergast.

— Agencie specjalny Pendergast — rzekł koroner z dziwną nutą w głosie — czy zechciałby pan przedstawić się dla potrzeb niniejszego nagrania? Jeżeli mógłbym prosić, chciałbym także, aby włożył pan fartuch i maskę. Są tam, z boku.

— Oczywiście.

Hazen zastanawiał się, jakim cudem Pendergastowi udało się tutaj dotrzeć, nie miał przecież samochodu i w ogóle. Mimo to nie żałował, że agent jednak się tu pojawił. Nie po raz pierwszy Hazen doszedł do wniosku, że na współpracy Pendergasta przy tym śledztwie może jedynie skorzystać. Rzecz jasna, jeśli tamten zechce tańczyć tak, jak Hazen mu zagra.

Pendergast wrócił już po chwili, w fartuchu, rękawiczkach i masce. Lekarz zajmował się obecnie twarzą ofiary, odchylając całymi płatami kolejne warstwy tkanek, po czym za pomocą szczypczyków przywracając je na miejsce. Twarz nieboszczki już wcześniej wyglądała fatalnie, pozbawiona nosa, uszu i warg.

Hazen patrzył na wstęgi mięśni, białe wiązadła i cienkie, żółte nitki

tłuszczu. Boże, to było okropne.

— Mogę? — zapytał Pendergast.

Koroner cofnął się, a Pendergast nachylił się tuż nad obrzmią, cuchnącą, pozbawioną rysów twarzą. Patrzył na miejsca okrwawione i rozdarte, gdzie znajdowały się nos i usta. Skalp został przesunięty do tyłu, ale Hazen nadal widział tlenione na blond włosy z czarnymi odrostami. Wreszcie Pendergast odstąpił od stołu.

— Amputacji dokonano, jak się wydaje, za pomocą jakiegoś prymitywnego narzędzia — ocenił.

Doktor uniósł brwi.

— Prymitywnego narzędzia?

— Sugerowałbym przeprowadzenie powierzchniowych nadań mikroskopowych z wykonaniem serii zdjęć. Poza tym wyrwana została także część skalpu, jak pan zapewne zdołał zauważyć.

— Oczywiście. Doskonale. — Lekarz wydawał się poirytowany udzielanymi mu przez agenta radami.

Hazen uśmiechnął się mimowolnie. Agent dawał popalić kor-nerowi. Jeśli jednak Pendergast miał rację w kwestii tego... Nie odważył się zapytać, co miał na myśli federalny, mówiąc o „prymitywnym narzędziu”. Mdłości podeszły mu do gardła i natychmiast skupił swoje myśli na postaci Jayne Mansfield.

— Czy wiadomo, co się stało z ustami, uszami i nosem? — spytał Pendergast.

— Policja nie zdołała ich odnaleźć — odparł koroner.

Hazen poczuł narastającą irytację wywołaną tym jawnym przytykiem. Koroner docinał mu przez całe popołudnie, krytykował, co się tylko dało,

począwszy od niedostatków raportu Hazena po ogólnie rozumianą nieudolność policji. Faktem było, że zanim wkroczył do akcji, gliniarze stanowi zdążyli już koncertowo spaprać robotę i zadeptać lub pozacierać mnóstwo dowodów.

Doktor podjął przerwana czynność krojenia doczesnych szczątków Sheili Swegg. Pendergast zaczął krążyć wokół stołu, przyglądając się kolejnym organom, ręce trzymał za plecami, wyglądał jak gość w muzeum oglądający co ciekawsze rzeźby. Spojrzał na plakietkę na palcu nieboszczki.

— Widzę, że mamy identyfikację zwłok.

— Tak — mruknął Hazen i zakasłał. — To jakaś szemrana przyjezdna z Oklahomy. Znaleźliśmy jej wóz, koreański szmelc ukryty na polu kukurydzy osiem kilometrów dalej, po drugiej stronie Medicine Creek.

— Domyśla się pan, co tu robiła?

— W bagażniku znaleźliśmy kilka łopat i oskardów. Poszukiwaczka skarbów, te typy od zawsze krążyły w okolicy Mounds w poszukiwaniu starych indiańskich artefaktów.

— A zatem to coś całkiem zwyczajnego?

— W tej okolicy nie bardzo, ale owszem, przyznaję, niektórzy ludzie nawet z tego żyją, wędrując od stanu do stanu, penetrując stare stanowiska archeologiczne i łupiąc, co się da, by potem sprzedawać zagrabione relikty na pchlich targach. Te hieny cmentarne nie oszczędziły ani jednego kopca, pola bitwy czy cmentarza od Dodge City aż po Kalifornię. Nie mają za grosz wstydu czy przyzwoitości.

— Była notowana?

— Za drobiazgi. Numery z kartami kredytowymi, wciskane ludziom

tandety przez Internet i drobne oszustwa ubezpieczeniowe.

— Poczył pan olbrzymie postępy, szeryfie. Hazen lekko skinął głową.

— Cóż — mruknął lekarz. — Właściwie już z nią skończyliśmy. Czy któryś z panów ma jeszcze jakieś pytania lub specjalne życzenia?

— Tak — odezwał się Pendergast. — Ptaki i strzały.

— Są w chłodziarce. Chce je pan zobaczyć?

— Jeżeli mógłbym prosić.

Doktor zniknął i wrócił w kilka chwil później, tocząc przed sobą kolejny wózek, na którym rzędami ułożone były kruki, każdy z plaketką przyczepioną do dużego palca. „A raczej pazura” — pomyślał Hazen. Obok nich położono strzały, na które były ponadziewane ptaki.

Pendergast nachylił się nad nimi, wyciągnął rękę i nagle znieruchomiał.

— Mogę?

— Bardzo proszę.

Ujął w dłoń przyobleczoną w lateksową rękawiczkę jedną ze strzał i powoli obrócił ją między palcami.

— Takie repliki może pan kupić niemal na każdej stacji benzynowej stąd do Denver — wtrącił McHyde.

Pendergast wciąż oglądał strzałę pod światło.

— To nie replika, doktorze — oznajmił wreszcie. — To autentyczna trzciniowa strzała południowych Czejenów z lotkami z piór bielika amerykańskiego i grotem klasy II Plains Cimarron Z rogowca. Powiedziałbym, że pochodzi z okresu między 1850 a 1870 rokiem.

Hazen spojrział na Pendergasta, który staranie odłożył strzałę na miejsce.

— Wszystkie? — spytał.

— Wszystkie. Są, jak może pan zauważyć, niemal identyczne.

Kolekcja oryginalnych strzał, takich jak te, i tak doskonale zachowanych kosztowałyby w Sotheby's co najmniej dziesięć tysięcy dolarów.

W ciszy, jaka potem zapadła, Pendergast podniósł wybranego na chybił trafił kruka i obracając delikatnie w dłoniach, naciskał przez chwilę palcami jego ciało w różnych miejscach.

— Wygląda na całkiem zmiażdżonego.

— Doprawdy? — W głosie koronera wyczuwało się coraz większą irytację.

— Tak. Wszystkie kości pogruchotane. Na miazgę. — Uniósł wzrok.

— Zamierza pan przeprowadzić autopsję tych ptaków, prawda, doktorze? Lekarz parsknął.

— Wszystkich dwudziestu czterech? Rozetniemy jednego lub dwa.

— Usilnie nalegam, aby poddał pan autopsji całe dwa tuziny. Doktor cofnął się o dwa kroki od wózka.

— Agencje Pendergast, nie pojmuję, czemu miałyby to służyć, jeśli nie liczyć straty mojego czasu i marnowania pieniędzy podatników. Jak powiedziałem, rozkroimy jednego czy dwa.

Pendergast odłożył kruka na wózek, sięgnął po następnego, obmacał go starannie, po czym zajął się kolejnym, aż w końcu wybrał jednego. Nagle, zanim koroner zdążył zaprotestować, Pendergast schwycił leżący na wózku skalpel chirurgiczny i długim, zdecydowanym cięciem rozplatał brzuch ptaka.

Doktor zdołał wreszcie wydobyć z siebie głos.

— Chwileczkę! Nie wolno panu...

Hazen patrzył, jak Pendergast odsłania żołądek ptaka. Agent znieruchomiał na moment ze skalpelem w uniesionej dłoni.

— Proszę natychmiast odłożyć tego kruka — rzucił gniewnie doktor.

Jednym szybkim cięciem Pendergast otworzył żołądek kruka. Następnie spomiędzy rozkładających się ziaren kukurydzy wyłuskał coś zniekształconego i różowego, co — jak stwierdził natychmiast Hazen — musiało być ludzkim nosem. Żołądek znów podjechał mu do gardła.

Pendergast odłożył kruka z powrotem na wózek.

— Odnalezienie warg i uszu pozostawię pańskim wprawnym dłoniom — powiedział, zdejmując rękawiczki, maskę i fartuch. — Poproszę o przekazanie mi kopii pańskiego ostatecznego raportu przez szeryfa Hazena.

To rzekłszy, nie oglądając się za siebie, wyszedł z sali.

OSIEM

Smit Ludwig siedział przy stoliku w Maisie's Diner, przed sobą miał talerz z niemal nietkniętymi, zimnymi teraz Mopsikami i leniwie mieszał kawę. Była już szósta, a on wciąż nie miał tematu na artykuł. Może ta historia po prostu go przerastała. Może nie był w stanie jej sprostać. Może

po latach pisania o festynach i wypadkach samochodowych utracił ostrość pióra. Kto wie. Może nigdy nie był naprawdę zdolnym dziennikarzem.

Wciąż mieszał kawę.

Przez frontową szybę Ludwig widział zamknięte drzwi biura szeryfa po drugiej stronie ulicy. Boże, ależ ten buńczuczny, zadufany w sobie szeryf założył mu za skórę. Ludwig nie był w stanie wydobyć od niego żadnych informacji. Od glin stanowych także niczego się nie dowiedział. Koroner nie chciał z nim rozmawiać. Jak, u licha, radzili sobie z takimi sprawami pismacy z „New York Timesa”? Zapewne uważano ich za wielkie szuchy i obawiano się, że odrzucenie propozycji rozmowy przyniesie więcej szkód niż sama rozmowa.

Wlepił wzrok w kubek z kawą. Problem w tym, że nikt nie obawiał się pismaka z „Cry County Couriera”. To brzmiało raczej niczym miejscowy żart. Jak mieli go szanować, skoro ledwie wiązał koniec z końcem, a ostatnio nawet sam rozwoził gazety, bo jego kierowca, Pol Ketchum, musiał zawieźć żonę na chemioterapię?

Miał przed sobą największą historię w całej karierze, a nie potrafił sklecić artykułu do jutrzejszej gazety. Nic. Naturalnie zawsze mógł przerobić wczorajszy materiał, dorzucić kilka aluzji o rzekomych tropach, wykorzystać klasyczną wymówkę, czyli słowa „bez komentarza”, i jakoś wybrnąćby z ambarasu. Tyle tylko, że okrucieństwo tej osobliwej zbrodni obudziło całe senne Medicine Creek i ludzie domagali się czegoś więcej. Jakaś jego częśćka pragnęła sprostać temu wyzwaniu, napisać cykl ciekawych artykułów. W głębi serca Smit Ludwig chciał udowodnić, że jest dziennikarzem z prawdziwego zdarzenia.

Uśmiechnął się do siebie i pokręcił głową. Był sam, odkąd zmarła mu

żona, a córka dawno temu przeniosła się na zachodnie wybrzeże, gazeta ledwo zipała, a on sam miał prawie sześćdziesiąt pięć lat. Dziennikarz z prawdziwego zdarzenia. Trochę na to za późno. O czym on myślał?

Ludwig zauważył, że gwar rozmów w barze restauracyjnym niespodziewanie ucichł. Kątem oka dostrzegł czarną postać stojącą przed wejściem do lokalu. To ten agent FBI, spoglądał na przyklejone do szyby menu. Mężczyzna podszedł do drzwi i otworzył je. Brzęknął maleńki dzwoneczek.

Smit Ludwig odwrócił się na stołku. Może nie wszystko stracone. Może uda mu się wyciągnąć coś od tego agenta. To wydawało się mało prawdopodobne, ale nigdy nie zaszkodzi spróbować. Potrzebował nawet najdrobniejszej informacji. Smit Ludwig potrafił czynić z nimi cuda.

Agent FBI — jak on się nazywał? — zajął miejsce przy jednym ze stolików, a Maisie podeszła, by przyjąć jego zamówienie. Nie miał kłopotów z dosłyszeniem Maisie, jej grzmiący głos dochodził do najdalszych zakamarków baru, ale musiał niezłe się natrudzić, by wychwycić odpowiedzi agenta.

— Dziś polecamy klopsiki — rzuciła Maisie.

— Oczywiście — mruknął agent FBI.

— Taa. Klopsiki z sosem beszamelowym i tłuczonymi ziemniakami z czosnkiem, wszystko świeżutkie, żadne mrożonki, do tego fasolka. Fasola zawiera dużo żelaza, a to chyba bardzo by się panu przydało.

Ludwig stłumił uśmiech cisnący mu się na usta. Maisie już zaczęła swoje zakusy. Nieznajomy nie wiedział, co go czeka.

Ani się obejrzy, jak przytyje o cztery i pół kilograma, a może nawet więcej.

— Widzę, że w karcie jest wieprzowina i fasola — rzekł federalny. — Jaki rodzaj warzyw strączkowych może mi pani zaproponować?

— Oferujemy wyłącznie świeżyznę! Żadnych warzyw z puszki! Mamy najlepszą czerwoną fasolę, wrzucamy ją do garnka, dodajemy trochę omasty, melasy, przypraw i tak się to podgrzewa przez całą noc na wolnym ogniu. Fasola wręcz rozplywa się w ustach. To jedno z naszych najpopularniejszych dań. No to jak, wieprzowinkę z fasolą?

To stawało się coraz ciekawsze. Ludwig nieznacznie zmienił pozycję, aby móc lepiej obserwować rozwój wydarzeń.

— Omasta, na boga, to niezwykle i brzmi zachęcająco... — mruknął agent. — A pieczony kurczak?

— Przyrządzamy go w specjalnym kukurydzianym cieście, które jest specjalnością zakładu, i smażymy na głębokim tłuszczu, podajemy z sosem beszamelowym. Jest pyszny, zwłaszcza w zestawieniu z firmowymi frytkami.

Mężczyzna przeniósł wzrok z karty dań na Maisie i z powrotem, na jego twarzy odmalował się dziwny wyraz. Wreszcie znów się odezwał.

— Musi mieć pani dostęp do najwyborniejszej angusowej wołowiny, z której słynie ta okolica.

— Oczywiście. Potrafię przyrządzić mięso na wiele sposobów. Smażone, grilowane, w ziołach, w cieście, gotowane, z frytkami i sałatką. Krwiste, średnio wysmażone i wypieczone. Niech pan tylko powie, co ma być, a już ja wszystkim się zajmę.

— Czy ma pani polędwicę krzyżową? — spytał. Ten człowiek miał miękki, ciepły, słodki głos. Ludwig stwierdził, że niemal połowa gości baru przysłuchiwała się rozmowie agenta z Maisie.

— Oczywiście. Najlepszy filet z polędwicy krzyżowej, po nowojorsku czy jak tylko pan sobie życzy.

Zapadła głucha cisza.

— Powiedziała pani, że może przygotować ją, jak tylko sobie zażyczę?

— Naturalnie. Troszczymy się o naszych klientów. — Maisie zerknęła przez ramię na Smita Ludwiga. Uśmiechnął się. — No nie, Smitty?

— Pewno, że tak, Maisie — odparł. — Klopsiki są boskie.

— Wobec tego nie leń się, tylko je wcinaj, raz, dwa! Ludwig pokiwał głową. Wciąż się uśmiechał. Maisie odwróciła się do federalnego.

— Proszę powiedzieć, czego pan sobie życzy, a ja uczynię wszystko, by podobać zamówieniu.

— Zastanawiam się, czy byłaby pani tak uprzejma i przyniosła mi mniej więcej stu pięćdziesięciogramową porcję najlepszej polędwicy krzyżowej, abym mógł rzucić na nią okiem.

Maisie nawet nie mrugnęła powieką, słysząc tę osobliwą prośbę. Skoro federalny chciał zobaczyć mięso przed jego usmażeniem, to tak właśnie będzie.

Ludwig patrzył, jak Maisie wychodzi na zaplecze i po chwili wraca z kawałkiem wybornego mięsiwa. Najlepsze porcje jednak zachowywała dla Tada Franklina — Smit Ludwig doskonale o tym wiedział — do którego miała szczególną słabość.

Podstawiła talerz federalnemu pod sam nos.

— Proszę uprzejmie. Zapewniam, że lepszego mięsa nie dostanie pan stąd aż do Denver.

Mężczyzna spojrzał na porcję, po czym ujął nóż i widelec i odkroił pasek tłuszczu z jednej strony. Następnie oddał talerz Maisie.

— Byłbym wdzięczny, gdyby przepuściła pani to mięso przez maszynkę. Proszę ustawić ją na poziom średni.

Ludwig zbaraniał. Przepuszczać filet mignon przez maszynkę do mięsa? Co teraz robi Maisie? Dziennikarz niemalże wstrzymał oddech.

Maisie patrzyła na federalnego. W całym barze wszyscy zamarli.

— Jak życzy pan sobie, abym mu przyrządziła tego hamburgera?

— Na surowo.

— Znaczy się, ma być krwisty?

— Powiedziałem, że ma być na surowo. Poproszę do tego surowe jajko w skorupce oraz kilka drobno posiekanych ząbków czosnku i pietruszkę.

Maisie przełknęła ślinę.

— Bułka sezamowa czy zwykła?

— Bez bułki, dziękuję.

Maisie skinęła głową, odwróciła się, po czym zerknąwszy ukradkiem przez ramię, zabrała talerz i wyszła na zaplecze, do kuchni. Ludwig obserwował to wszystko, odczekał chwilę, po czym wykonał swój ruch. Wziął głęboki oddech, sięgnął po kawę i podszedł do stolika agenta. Mężczyzna uniósł wzrok i otaksował Ludwiga przeciągłym, chłodnym spojrzeniem wyjątkowo jasnych, nieomal białych oczu.

Ludwig wyciągnął do niego rękę.

— Smit Ludwig. Wydawca „*Cry County Couriera*”.

— Panie Ludwig — rzekł mężczyzna, uściskawszy podaną mu dłoń. — Nazywam się Pendergast. Proszę spocząć. Był pan dziś rano na konferencji prasowej. Muszę przyznać, że zadał pan kilka nader trafnych i wnikliwych pytań.

Ludwig zapłonął się, usłyszawszy tę nieoczekiwaną pochwałę, i

usadowił swe niemłode już ciało na krześle po drugiej stronie stolika.

W drzwiach do kuchni znów pojawiła się Maisie. W jednym ręku trzymała półmisek ze świeżo zmieloną polędwicą, a w drugiej talerz z pozostałymi składnikami i jajko w kieliszku. Postawiła to wszystko przed Pendergastem.

— Czy życzy pan sobie coś jeszcze? — spytała. Wyglądała na skonsternowaną — w sumie nic dziwnego, stwierdził Ludwig, kto chciałby przepuszczać taki kawałek soczystego mięsa przez maszynkę?

— Nie, dziękuję, to by było wszystko.

— Smacznego — rzuciła Maisie, siląc się na uśmiech, ale Ludwig widział, że była wewnątrz przybita. Nigdy jeszcze nie przeżyła czegoś podobnego.

Ludwig — i wszyscy goście baru patrzyli, jak Pendergast posypał surowe mięso czosnkiem, dodał soli i pieprzu, wbił jajko, po czym starannie wszystko zamieszał. Ułożywszy potrawę widelcem w zgrabny pagórek, posypał ją jeszcze siekaną pietruszką i przez chwilę kontemplował swoje dzieło.

Dopiero teraz Ludwig doznał olśnienia.

— Befszyk tatarski? — spytał, wskazując na talerz.

— W rzeczy samej.

— Widziałem coś takiego na Food Network. Smaczny? Pendergast skosztował, żuł przez chwilę z przymkniętymi oczami.

— Brakuje tylko Leoville Poyferre rocznik 97.

— Naprawdę powinien pan spróbować klopsików — odparł Ludwig, zniżając głos. — Maisie ma swoje plusy i minusy, klopsiki to jeden z jej plusów. Naprawdę są bardzo smaczne.

— Wezmę to pod uwagę.

— Skąd pan pochodzi, panie Pendergast. Nie potrafię rozpoznać akcentu.

— Z Nowego Orleanu.

— Cóż za zbieg okoliczności. Byłem tam któregoś razu na Mardi Gras.

— To miło. Ja nie miałem tej przyjemności.

Ludwig przerwał, uśmiech zastygł na jego wargach, dziennikarz zastanawiał się, jak ma skierować rozmowę na interesujący go temat. Dokoła znów rozległ się gwar rozmów.

— To zabójstwo naprawdę wstrząsnęło całym miasteczkiem — powiedział jeszcze cichszym tonem. — Nigdy jeszcze nic takiego nie wydarzyło się w naszym sennym, małym Medicine Creek.

— Ten przypadek ma pewne nietypowe aspekty. Najwyraźniej Pendergast nie chwycił przynęty. Ludwig opróżnił kubek z kawą, uniósł go w górę.

— Maisie! Jeszcze jedną! — zawołał.

Maisie podeszła z dzbankiem i napełniła kubek dziennikarza.

— Powinieneś wreszcie nauczyć się dobrych manier, Ludwig — rzuciła, napełniając kawą także kubek dla Pendergasta. — Do matki nie odzywałbyś się w ten sposób.

Ludwig uśmiechnął się.

— Maisie od dwudziestu lat próbuje nauczyć mnie dobrego wychowania.

— Z mizernym skutkiem — dodała Maisie i oddaliła się. Rozmowa się nie kleiła. Ludwig postanowił zaatakować wprost.

Wyjął z kieszeni notes i położył na stoliku.

— Ma pan chwilkę? Chciałbym zadać panu kilka pytań. Pendergast znieruchomiał z widelcem na wysokości ust.

— Szeryf Hazen nalegał, abym nie rozmawiał z dziennikarzami. Ludwig zniżył głos.

— Potrzebuję czegoś, czegokolwiek do jutrzejszego wydania gazety. Mieszkańcy naszego miasteczka są skonsternowani. Boją się. Mają prawo wiedzieć. Bardzo pana proszę.

Przerwał. Nawet on sam zdziwił się, ile emocji zawarło się w tej prośbie. Agent FBI odnalazł jego spojrzenie. Wydawało się, jakby całą wieczność świdrował go wzrokiem.

Wreszcie federalny odłożył widelec i przemówił niemal szeptem:

— Moim zdaniem zabójca to ktoś miejscowy.

— Jak to miejscowy? Co to znaczy? Że pochodzi z południowo-zachodniego Kansas?

— Nie. Z Medicine Creek.

Ludwig poczuł, że krew odpływa mu z twarzy. To niemożliwe. Znał wszystkich w tym mieście. Agent musiał się mylić.

— Skąd to przypuszczenie? — spytał łamiącym się głosem. Pendergast dokończył posiłek i odchylił się do tyłu. Odsunął od siebie kubek z kawą i sięgnął po kartę dań.

— Jakie są tu lody? — zapytał z wyraźną nutą nadziei w głosie.

Ludwig odpowiedział szeptem.

— Czysta chemia. Pendergast wzdrygnął się.

— A ciasta?

— Z torebki.

— Placek?

— Szczerze odradzam. Pendergast odłożył kartę. Ludwig nachylił się w jego stronę.

— Desery nie są mocną stroną Maisie. Ona zna się tylko na mięsie i ziemniaczkach.

— Rozumiem. — Pendergast znów spojrzał na niego bladymi oczami. Ponownie się odezwał. — Medicine Creek to enklawa, jak samotna wysepka na Pacyfiku. Nikt nie zdoła tu wejść ani wjechać niepostrzeżenie. Do Deeper są stąd trzydzieści dwa kilometry marszu przez pola, a w okolicy nie ma bliżej innego miasta z motelem. — Przerwał, uśmiechnął się słabo, po czym zerknął na dziennikarza. — Widzę, że robi pan notatki.

Ludwig zaśmiał się nerwowo.

— Niech pan rzuci mi coś, co mógłbym wydrukować. Miasteczko na razie bazuje na jednym ważnym szczególe — że zarówno afera, jak i zabójca pochodzą „spoza naszego miasta”. Mamy własne czarne owce, ale może mi pan wierzyć, żaden z tych typów nie jest zabójcą.

Pendergast spojrzał na niego z łagodnym zaciekawieniem.

— Co właściwie ma pan na myśli, mówiąc o „czarnych owcach” z Medicine Creek? Na czym polegają tutejsze problemy?

Ludwig zdał sobie sprawę, że jeśli domagał się informacji, musiał dać tamtemu coś w zamian. Sęk w tym, że nie było tego wiele.

— Awantury domowe, rozróby po pijaku — zwłaszcza w sobotnie wieczory, jazda na prochach po Drag Road. W zeszłym roku mieliśmy w Gro-Bain włamanie w wtargnięciem, i to w zasadzie byłoby wszystko.

Przerwał. Najwyraźniej Pendergast czekał na coś więcej.

— Dzieciaki wachają aerozole, od czasu do czasu któremuś zdarzy się przedawkować. No i zawsze mieliśmy problem z niepożądanymi ciążami.

Pendergast uniósł brew w pytającym geście.

— Zwykle te sprawy załatwia się przez zawarcie małżeństwa. W dawnych czasach dziewczynę z brzuchem odprawiano z domu, aby urodziła i oddała dziecko do adopcji. Wie pan, jak to bywa w małych miasteczkach, młodzi nie mają wiele do roboty poza... — Ludwig uśmiechnął się, wspominając, kiedy on i jego żona chodzili jeszcze do szkoły średniej. Sobotni wieczór, samochód zaparkowany przy strumieniu, zaparowane szyby... Miał wrażenie, jakby to wszystko było tak dawno temu, w innym życiu. Ten świat już nie istniał. Odegnął od siebie te wspomnienia. — I w zasadzie to wszystko. Aż do teraz nie mieliśmy tu poważniejszych problemów.

Agent FBI uśmiechnął się i wychyliwszy do przodu, odezwał się do Ludwiga tak cicho, że tamten ledwie go usłyszał.

— Ofiarę zidentyfikowano jako niejaką Sheilę Swegg z Oklahomy. To drobna oszustka i naciągaczka. Jej wóz znaleziono ukryty na polu osiem kilometrów stąd, przy Cry Road. Wygląda na to, że ta kobieta prowadziła poszukiwania indiańskich artefaktów na terenie Mounds.

Smit Ludwig spojrzał na Pendergasta.

— Dziękuję — powiedział

No. Od razu lepiej. Teraz miał już co opublikować. Chciał odwdziżyć się jakoś agentowi za przysługę. Czuł się zobowiązany.

— I jeszcze jedno — dodał Pendergast. — Przy zwłokach odkryto aranżację z wykorzystaniem autentycznych, będących w doskonałym stanie strzał południowych Czejenów.

Ludwig miał wrażenie, że rozmówca świdruje go wzrokiem.

— To niezwykle — mruknął.

— Tak.

Ich rozmowę przerwało jakieś zamieszanie na zewnątrz i donośny, wysoki głos pełen oburzenia i gniewu. Ludwig spojrział przez szybę i zobaczył szeryfa prowadzącego do swego biura młodą dziewczynę — nastolatkę. Dziewczyna stawiała zaciekły opór i usiłowała protestować, zapierając się nogami, szarpiąc się mimo skutych dłoni, a pomalowane na czarno paznokcie jej dłoni zamasyżyście cięły powietrze. Dziennikarz rozpoznał ją w jednej chwili, wystarczyło, że spostrzegł czarną, skórzaną minispódniczkę, bladą skórę, obrozę nabitą spiczastymi ćwiekami, fioletowe, postawione włosy i kolczyki błyszczące na ciele. Krzyki nastolatki słychać było nawet wewnątrz baru.

— Ty ptysiożerny, zasmarkany, nałogowy palaczu najgorzej cuchnących na świecie fajek...

Zaraz jednak szeryf wprowadził ją do biura i zatrzasnął za nimi drzwi. Ludwig pokręcił głową z niedowierzaniem i rozbawieniem zarazem.

— Kto to był? — spytał Pendergast.

— Corrie Swanson, jedna z miejscowych „czarnych owiec”. Uważa się za „wyznawczynię gotyku” czy jak się to obecnie nazywa. Od dawna ma z szeryfem Hazenem na pieńku. Wygląda na to, że nasz stróż prawa wreszcie znalazł na nią haka, jak można by sądzić, skoro zdecydował się zakuć ją w kajdanki.

Pendergast zostawił na blacie zapłatę za posiłek, wstał i ukłonił się Maisie.

— Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy, panie Ludwig.

— Jasne. I dzięki za cynk.

Drzwi zamknęły się. Ludwig patrzył przez szybę, jak ubrany na czarno

agent federalny przechodzi przez ulicę, lecz już w chwilę potem Pendergast rozplynął się w ciemnościach.

Dziennikarz powoli dopił kawę, zastanawiając się nad tym, co usłyszał od agenta FBI. Równocześnie opracowany przez niego wcześniej w myślach wygląd pierwszej strony gazety zmienił się diametralnie, zmieniła się także treść największego nagłówka. Miał bombowy materiał, zwłaszcza ten numer ze strzałami. Jeżeli morderstwo nie wywarło jeszcze na mieszkańcach miasteczka dostatecznie silnego wrażenia, wzmianka o strzałach powinna przypomnieć im pewną wielce niechlubną kartę z dziejów Medicine Creek. Gdy tylko uznał, że wie już, co i jak zamierza napisać do kolejnego numeru swojej gazety, wstał od stolika. Miał ponad sześćdziesiąt lat, a ta piekielna wilgoć sprawiała, że coraz bardziej bolały go stawy. Mimo to, jeśli nawet nie był już młodzieniaszkiem, nadal był w stanie pracować do późna w nocy i pokrzepiając się kilkoma głębszymi, zdążyć z wydaniem gazety, zanim nastanie świt. Zapowiadała się długa noc, ale Ludwig nie przejmował się tym ani trochę. Miał do napisania naprawdę wystrzałowy artykuł.

DZIEWIĘĆ

Winifreda Kraus krzątała się po staroświeckiej kuchni, przygotowując tosty, dzbanek z sokiem pomarańczowym i gotując jajka dla gościa. Zaparzyła też dla niego cały dzbanek zielonej herbaty. Znalazła sobie zajęcie, by nie myśleć o koszmarnym artykule, który przeczytała dziś rano w „Cry County Courierze”. Kto mógłby zrobić coś tak strasznego? I te strzały, które znaleziono przy ciele, nie mogły chyba oznaczać, że... Wzdrygnęła się i odegnała niepokojące myśli. Pomimo dziwnych godzin jego funkcjonowania, ucieszyła się, że agent Pendergast postanowił zatrzymać się w jej domu.

Ten człowiek by bardzo konkretny, zarówno jeśli chodziło o posiłki, które spożywał, jak i o herbatę, którą pijał, a Winifreda zadała sobie wiele trudu, aby spełnić jego życzenia co do joty. Wyjęła nawet stary, koronkowy obrus po mamie i rozłożyła go, świeżo wyprasowany, na stole, na którym później postawiła wazon świeżo ściętych kwiatów, nagietków, dzięki czemu gość miał poczuć się tu jeszcze swobodniej. Po części jednak pragnęła w ten sposób poprawić humor samej sobie. Była coraz bardziej zaniepokojona i zmartwiona.

Krzątając się tak po kuchni, Winifreda poczuła, że strach związany z popełnionym w okolicy morderstwem powoli wypierało w jej wnętrzu

uczucie niecierpliwego wyczekiwania. Pendergast poprosił, by oprowadziła go dziś rano po jaskini. To znaczy nie zrobił tego wprost, ale wydawał się żywo zainteresowany, kiedy zaproponowała mu to poprzedniego wieczoru. Ostatni raz miała okazję oprowadzać gości po jaskini ponad dwa miesiące temu, byli to dwaj bardzo mili świadkowie Jehowy, którzy po zakończeniu zwiedzania aż do wieczora zabawiali ją uroczą pogawędką.

Dokładnie o ósmej usłyszała ciche kroki na schodach i jej oczom ukazał się pan Pendergast jak zawsze w czarnym garniturze.

— Dzień dobry, panno Kraus — powiedział.

Kiedy Winifreda zaprosiła go do pokoju jadalnego i zaczęła podawać śniadanie, przez chwilę zapało jej dech w piersiach. Już jako młoda dziewczyna uwielbiała ten rodzinny interes; różni ludzie zjeżdżający z najdalszych zakątków kraju, mnóstwo aut stojących na parkingu, odgłosy zachwyty i radości towarzyszące zwiedzaniu.

Pomaganie wychodzącym, oprowadzanie, to tylko niektóre ze sposobów, jakimi starała się zaskarbić przychylność ojca. I choć wszystko się zmieniło, odkąd na północy wybudowano nową autostradę międzystanową, przed każdym oprowadzaniem czuła ten sam ożywczy dreszcz, przyływ emocji i wyczekiwania, nawet gdy chodziło tylko o jednego człowieka.

Po śniadaniu zostawiła Pendergasta z porannym egzemplarzem „Cry County Couriera” i udała się do jaskini. Odwiedzała ją co najmniej raz dziennie, nawet kiedy nie było chętnych do zwiedzania, robiła to choćby po to, by pozamiatać liście i wymienić przepalone żarówki. Sprawdziła wszystko pośpiesznie, ale nie zauważyła niczego niepokojącego.

Następnie wróciła za ladę sklepiku z pamiątkami i czekała cierpliwie. Kilka minut przed dziesiątą pojawił się Pendergast. Nabył bilet — za dwa dolary — a pani Kraus poprowadziła go wzdłuż betonowego chodnika i w głąb otworu w ziemi aż do zamkniętych na kłódkę żelaznych drzwi. Nastął kolejny upalny dzień, chłodne powietrze płynące z głębi jaskini było przyjemne, orzeźwiające. Winifreda otworzywszy kłódkę, zdjęła ją, po czym odwróciła się i wygłosiła mowę wstępną, której treść nie zmieniała się, odkąd ojciec — za pomocą różgi i grochu, pół wieku temu — wpoił jej słowa.

— Jaskinia Krausa — zaczęła — została odkryta przez mojego dziadka Hirama Krausa, który przybył do Kansas z północnej części stanu Nowy Jork w roku 1888, pragnąc rozpocząć tu nowe życie. Był jednym z pierwszych pionierów w hrabstwie Cry, a wielkość jego działki wyniosła ogółem sześćdziesiąt pięć hektarów ziemi, od tego miejsca w stronę Medicine Creek.

Przerwała i zapłonila się lekko, uświadomiwszy sobie, że gość słuchał jej z wyteżoną uwagą.

— Piątego czerwca 1901 roku podczas poszukiwań zaginionej jałówki natknął się na wejście do jaskini, niemal całkiem ukryte wśród gęstwiny krzewów. Wrócił tam później z latarnią i siekierą, utorował sobie drogę w dół zbocza do jaskini i zaczął ją penetrować.

— Czy odnalazł jałówkę? — zapytał Pendergast.

To pytanie zbiło Winifredę z tropu. Nikt nigdy nie pytał o jałówkę.

— Ależ tak. Oczywiście. Jałówka weszła do jaskini i wpadła do Bezdennej Otchłani. Niestety, zginęła.

— Dziękuję.

— No, tak. — Winifreda stała przy wejściu do jaskini, usiłując podjąć przerwany wątek. — Właśnie. Było to mniej więcej w tym samym czasie, kiedy w Ameryce zaczęły pojawiać się pierwsze automobile. Na Cry Road było ich coraz więcej, przewoziły głównie rodziny zmierzające do Kalifornii. Hiramowi Krausowi zabrało cały rok wybudowanie drewnianych chodników, tych samych, po których będziemy zaraz stapać — a następnie udostępnił jaskinię zwiedzającym. Wtedy opłata za wstęp wynosiła pięć centów. — Przerwała, oczekując na chichot gościa, to była typowa reakcja, ale Pendergast pozostał niewzruszony. — To był wielki, natychmiastowy sukces. Niebawem powstał stragan, a później sklepik z pamiątkami, gdzie przyjezdni mogli kupić kamienie, minerały i skamieliny, jak również wyroby rzemieślnicze oraz robótki, z których pieniądze przekazywane były na miejscowy kościół. Dla zwiedzających Jaskinię Krausa ustalono nawet rabat w wysokości dziesięciu procent na wszystkie wyroby. A teraz proszę za mną, wejdziemy do jaskini.

Otworzyła żelazne drzwi i gestem zaprosiła Pendergasta do środka. Zeszli po szerokich, wapiennych, zniszczonych schodach, wykutych w stromiźnie ciągnącej się w głąb ziemi. Po obu stronach wznosiły się wapienne ściany, tworzące łukowato sklepiony korytarz tunelu. Z kamiennego sklepienia zwieszały się gołe żarówki. Jakies sześćdziesiąt metrów niżej stopnie przechodziły w drewniany chodnik, który ostro zakręcał i znikał wewnątrz jaskini.

Tu, w głębi ziemi, powietrze przesycone było zapachem wody i wilgotnych skał. Winifreda uwielbiała tę woń. Nie czuć było nieprzyjemnego fetoru pleśni czy guana; w Jaskini Krausa nie było nietoperzy. Przed nimi chodnik ciągnął się kręto pośród lasu stalagmitów.

Kolejne żarówki zwieszające się między stalagmitami rzucały groteskowe cienie na ściany jaskini. Sklepienie nikło w ciemnościach. Kobieta dotarła do środka jaskini, przystanęła i odwróciła się, rozkładając ręce, tak jak nauczył ją tatko.

— Znajdujemy się obecnie w Kryształowej Katedrze, pierwszej z trzech wielkich jaskiń w tych podziemiach. Przeciętna wysokość tych stalagmitów wynosi sześć metrów. Sklepienie znajduje się na wysokości dwudziestu siedmiu metrów nad nami, a szerokość jaskini od jednej ściany do drugiej wynosi ponad trzydzieści sześć metrów.

— Wspaniale — rzekł Pendergast.

Winifreda uśmiechnęła się promiennie i podjęła swój wywód na temat geologii pokładów kredowych południowo-zachodniego Kansas i sposobu, w jaki ta jaskinia formowała się przez miliony lat dzięki powolnemu procesowi przesączania się wody.

Na koniec wymieniła jeszcze wszystkie nazwy, którymi dziadek Hiram ochrzcił kolejne stalagmity: „Siedmiu Krasnoludków”, „Biały Jednorożec”, „Broda Świętego Mikołaja”, „Igła z Nitką”. Wreszcie zamilkła, oczekując na pytania.

— Czy byli tu wszyscy mieszkańcy miasteczka? — spytał Pendergast. Także to pytanie zaskoczyło Winifredę.

— Ależ tak, chyba tak. Miejscowi naturalnie nie płacą ani grosza. To byłoby nie w porządku wobec nich.

Nie doczekawszy się kolejnych pytań, odwróciła się i poprowadziła agenta pomiędzy las stalagmitów i niskiego, wąskiego przejścia wiodącego do sąsiedniej jaskini.

— Niech pan uważa na głowę! — ostrzegła, zwracając się do

Pendergasta przez ramię. Weszła do drugiej jaskini, przystanąła pośrodku niej i odwróciła się, zawijając spódnicą. — Znajdujemy się obecnie w Bibliotece Olbrzyma. Mój dziadek tak ją nazwał, bo — jak sam pan widzi — po prawej stronie znajdują się warstwy trawertynu nagromadzone przez miliony lat, przypominające kształtem sterty książek. A z tej strony pionowe kolumny wapienne przy samej ścianie wyglądają jak regały z książkami. Teraz...

Zrobiła krok naprzód. Lada chwila wejdą do jej ulubionej części jaskini, Kryształowych Dzwonków. I nagle coś sobie przypomniała, nie wzięła ze sobą małego, gumowego młotka. Sięgnęła do kieszeni, gdzie zwykle go trzymała, gotowa wydobyć i użyć narzędzia ku zaskoczeniu zwiedzających. Musiała zostawić go w sklepie z pamiątkami. Zapomniała także latarki, choć zawsze miała ją przy sobie na wypadek, gdyby wysiadło światło. Winifre-da zmartwiała. Pięćdziesiąt lat oprowadzania wycieczek i ani razu nie zdarzyło się jej zapomnieć małego, gumowego młotka.

Pendergast obserwował ją z uwagą.

— Wszystko w porządku, panno Kraus?

— Zapomniałam mojego gumowego młotka, którym zwykle uderzam w Kryształowe Dzwonki. — Skrzywiła się. Wyglądała, jakby lada chwila miała się rozpłakać.

Pendergast rozejrzał się dokoła, lustrując wzrokiem las stalaktytów.

— Rozumiem. Wyobrażam sobie, jak muszą rezonować przy lada uderzeniu.

Skinęła głową.

— Na tych stalaktytach można by nawet odegrać Odeę do radości

Beethovena. To kulminacyjny punkt zwiedzania.

— Wielce intrygujące. A zatem będę musiał tu jeszcze wrócić.

Winifreda zastanawiała się, co powinna teraz powiedzieć, ale miała w głowie kompletną pustkę. Poczowała, jak w jej wnętrzu narasta panika.

— To miasto musi mieć długą i ciekawą historię — rzekł jakby od niechcienia Pendergast, przyglądając się gipsowym naciekom, w których odbijało się światło.

Winifreda uśmiechnęła się i odetchnęła z ulgą, zadowolona, że agent mimowolnie wybawił ją z opresji.

— O tak. Jak najbardziej.

— A pani musi ją dobrze znać.

— Wydaje mi się, że wiem właściwie wszystko — stwierdziła. Poczowała się trochę lepiej. Czekają ją ponowne oprowadzanie gościa po jaskini, więc wtedy na pewno nie zapomni o gumowym młotku. Najwyraźniej to paskudne morderstwo tak nią wstrząsnęło. Chyba nawet bardziej, niż sądziła.

Pendergast nachylił się, by obejrzeć kolejne skupisko kryształów.

— Ostatniego wieczoru w Maisie's Diner miał miejsce osobliwy incydent. Szeryf aresztował dziewczynę, niejaką Corrie Swanson.

— Ach, tak. To niezłe ziółko. Od dawna sprawia kłopoty wychowawcze. Jej ojciec uciekł, a matka pracuje jako kelnerka w Candepin Castle. — Nachyliła się do przodu i dodała poufnym szeptem:

— Myślę, że ona niezłe popija. I... spotyka się z mężczyznami.

— Ach — mruknął Pendergast. Winifreda poszła za ciosem.

— Tak. Powiadają, że Corrie zażywa narkotyki. Wyjedzie z Medicine Creek, jak wiele innych przed nią, i krzyżyk na drogę. Tak to już tutaj jest,

panie Pendergast, dzieciaki dorastają i wyjeżdżają stąd na zawsze. Choć są i tacy, których chętnie bym się stąd pozbyła, a którzy nigdy nie opuszczają Medicine Creek. Dajmy na to Kudłaty Jim.

Agent FBI z przejęciem przyglądał się pobliskiemu naciekowi. To miło spotkać kogoś, kto naprawdę był tym wszystkim szczerze zainteresowany.

— Szeryf wydawał się bardzo zadowolony, dokonując aresztowania panny Swanson.

— Wcale mu się nie dziwię. Niestety, szeryf to typowy prostak, mięśniak i cham. Rajcuje go używanie siły. A przynajmniej tak mi się wydaje. Mogłabym powtórzyć mu to prosto w oczy. Jediną osobą, wobec której bywa uprzejmy, jest jego zastępca, Tad Franklin. — Przerwała, zastanawiając się, czy nie posunęła się za daleko, ale zauważyła, że Pendergast patrzył na nią i kiwał głową ze zrozumieniem.

— Jego syn to także gbur i tłuł pięściowy. Uważa, że dzięki temu, iż ma tatusia szeryfa, może sobie pozwolić na wszystko. Słyszałam, że terroryzuje całe liceum.

— Rozumiem. A ten Kudłaty Jim, o którym pani wspomniała? Winifreda pokręciła głową.

— To najpodlejszy człowiek, jakiego mógłby pan sobie wyobrazić. — Zaczekała z dezaprobatą. — Mieszka na złomowisku przy Deeper Road. Twierdzi, że jest potomkiem jedyne go, który przeżył masakrę w Medicine Creek. Był w Wietnamie i — rozumie pan — coś mu się poplątało pod kopułą. Ma namączone we łbie. Nie spotka pan nigdy bardziej plugawej od niego istoty ludzkiej, panie Pendergast. Używa imienia pana naszego na daremno. Popija. Nie uczęszcza do kościoła.

— Wczoraj wieczorem widziałem wielki transparent na trawniku przed

kościółem.

— To dla tego faceta z Kansas State. Pendergast spojrział na nią.

— Słucham?

— Zamierza założyć tu nowe pole. Jakaś eksperymentalna odmiana kukurydzy. Wahają się pomiędzy dwiema lokalizacjami, Medicine Creek i Deeper. Decyzja ma zostać ogłoszona w przyszły poniedziałek. Typ z Kansas State przyjeżdża akurat dziś i całe miasto szykuje się, by powitać go z honorami. Rzecz jasna, nie wszyscy są z tego powodu zadowoleni.

— A to czemu?

— Chodzi o kukurydzę, której uprawę mają tu testować. Jest jakaś podrasowana czy coś takiego. Szczerze mówiąc, nie bardzo się w tym wszystkim rozeznaję.

— Ale, ale — mruknął Pendergast i wyciągnął rękę. — Ja tu pani przeszkadzam i przerywam opowieść pytaniami.

Winifreda przypomniała sobie, na czym skończyła. Ruszyła zwawo naprzód, doprowadzając Pendergasta na skraj szerokiej, mrocznej czeluści, z której wnętrza biło chłodne powietrze.

— A oto Bezdenna Otchłań. Kiedy dziadek zjawił się tu po raz pierwszy, wrzucił do środka kamień i nie usłyszał, jak uderza on o dno.

Przerwała dla lepszego efektu, by bardziej udramatyzować swą opowieść.

— Skąd wiedział, że jałówka tam wpadła? — spytał Pendergast.

Winifreda niespodzianie wpadła w panikę. Tego pytania także nikt jej wcześniej nie zadał.

— Szczerze mówiąc, nie wiem — odparła. Pendergast uśmiechnął się i machnął ręką.

— Proszę mówić dalej.

Przeszli do Sadržawki Nieskończoności, gdzie Winifreda przeżyła rozczarowanie, gdy agent nie pomyślał życzenia — zbieranie wrzucanych tam monet było całkiem niezłym źródłem dodatkowych dochodów. Od sadzawki chodnik zawracał do kryształowej Katedry, gdzie rozpoczęli zwiedzanie. Winifreda dokończyła omawianie kolejnych miejsc, uściśniła Pendergastowi dłoń i ucieszyła się, niespodziewanie otrzymując hojny napiwek. Następnie powoli ruszyła w drogę powrotną po drewnianych schodach wiodących na powierzchnię. Gdy wyszła na górę, poczuła falę żaru, która uderzyła ją jak niewidzialny młot. Przystanąła.

— Jak już wspomniałam, wszyscy zwiedzający mają w tym dniu dziesięć procent upustu na towary, które oferujemy w sklepiku z pamiątkami. — Weszła do sklepiku i uśmiechnęła się pod nosem, widząc, że Pendergast podążył za nią.

— Chciałbym zobaczyć którąś z tych robótek — powiedział.

— Oczywiście. — Skierowała go w stronę gablot, przy których agent stał, przyglądając się dobre parę minut, aż w końcu wybrał ozdobną poszewkę na poduszkę. Winifreda ucieszyła się, między innymi dlatego, że haftowana poszewka była jej dziełem.

— Moja stryjeczna babka Cornelia będzie zachwycona — rzekł Pendergast, kiedy już zapłacił za poszwę. — Widzi pani, ona jest inwalidką i cieszy ją każdy, nawet najmniejszy drobiazg.

Winifreda uśmiechnęła się, pakując nabytą przez agenta poszewkę. Naprawdę cieszyła się z jego przyjazdu do Medicine Creek. Był prawdziwym dżentelmenem. W dodatku tak się troszczył o swoją starszą, zniedołężniałą krewną. Winifreda była przekonana, że stryjecznej babce

Pendergasta artystycznie wyszywana poszewka na poduszkę z pewnością przypadnie do gustu.

DZIESIĘĆ

Corrie Swanson siedziała na niedużej, składanej pryczy w jedynej celi aresztu w Medicine Creek, wpatrując się w graffiti pokrywające obłazące z farby ściany. Było ich sporo i choć różniły się charakterem pisma oraz rodzajem użytego tuszu, dotyczyły mniej więcej tej samej tematyki. Słyszała dochodzące z biura szeryfa nieopodal dźwięki włączonego telewizora. Leciała jedna z tych ckliwych oper mydlanych, typowa papka dla przeciętnej gospodyni domowej, której życie jest puste i miakkie;

wrażenia dopełniała rozedrgana muzyka organowa i histeryczny kobiecy szloch. Słyszała, jak szeryf krząta się nerwowo po swoim gabinecie niczym fretka w klatce i wykonuje kolejne telefony. I te jego wielkie buty. Jak tak niski mężczyzna mógł mieć takie wielkie stopy? W dodatku palił jak lokomotywa, całe to miejsce cuchnęło dymem. Jeszcze cztery godziny i jej matka wytrzeźwieje na tyle, aby przyjechać i odebrać ją stąd. A tymczasem była tutaj, „ucząc się życia”, odbierając „surową lekcję”, jak to określiła jej matka, i wsłuchując się w odgłosy nieustannej krzątaniny mężczyzny o wyglądzie i manierach tchórzofretki. Niezła nauczka. Lekcja na całe życie. Cóż, nie było to w sumie gorsze od siedzenia w domu i wysłuchiwania narzekania matki lub jej chrapania, kiedy odsypiała kolejną popijawę. W dodatku prycza była niemal równie wygodna jak zapadnięte łóżko w jej sypialni.

Usłyszała trzaśnięcie drzwiami w gabinecie obok, odgłos kroków, stłumione powitanie. Corrie rozpoznała jeden z głosów. To był Brad Hazen, syn szeryfa i jej kolega szkolny, z kilkoma kolegami. Mówili, że chcą obejrzeć jakiś program w telewizji. Czym prędzej położyła się na pryczy i odwróciła twarzą do ściany. Usłyszała, jak kręcą się po gabinecie. Jeden z nich zaczął pilotem przełączać kanały: teleturnieje, opery mydlane, kreskówki, poszczególne stacje dzieliły długie przerwy wypełnione głośnym, białym szumem.

Poszukiwania nie odniosły skutku, znów rozległy się kroki i pełne niezadowolenia komentarze. Corrie usłyszała, jak przechodzą korytarzem do pomieszczenia na tyłach, mijając po drodze jej celę. Nastąpiła chwila ciszy, aż nagle rozległ się cichy, choć pełen zdumienia głos Brada.

— Chłopaki, zobaczcie, kogo tu mamy. No, proszę! To ci dopiero!

Usłyszała, jak stają w przejściu, szepcząc i wymieniając sarkastyczne uwagi. Było ich co najmniej dwóch, może trzech. Bez wątpienia był wśród nich Chad i zapewne także Biff. Brad, Chad i Biff, cholerni trzej muszkieterowie.

Ktoś parsknął w głos. Rozległ się zduszony śmiech.

— Co to za smród? — Znów Brad. — Czyżby ktoś w coś wdepnął? —
I znów cichy śmiech. — Co znalazłaś tym razem?

Corrie odpowiedziała, nie odwracając się.

— Twój zastępca, niedorobiony John Q. Szczurzągęba, zostawił auto na chodzie z kluczami w stacyjce i opuszczonymi szybami, na pół godziny, pod Kołem u Wozu, gdzie postanowił przepłukać sobie trybiki. Jak mogłam się temu oprzeć?

— Mój kto?

— Twój niewiarygodnie kopcający, gliniarz z bożej łaski, tatko.

— O kim ty mówisz, u licha? — Głos przybierał na sile.

— O twoim starym, ośle.

Jego dwaj kumple zarechotali w głos.

— Co za żmija — wycedził Brad. — No cóż, ja przynajmniej mam ojca. Czego nie można powiedzieć o tobie. Matki zresztą też w gruncie rzeczy nie masz. — Cmoknął drwiąco, a ktoś, zapewne Chad, znów parsknął odrażająco. — Miejscowa zdzira. Siedziała w tej samej celi nie dalej jak miesiąc temu za pijaństwo i zakłócanie porządku. Jaka matka, taka córka. Widać to prawda, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. A w tym wypadku raczej wypierdek babie spod ogona.

Dał się słyszeć kolejny wybuch tłumionego śmiechu. Corrie leżała w bezruchu, wpatrując się w ścianę.

Brad szeptał dalej.

— Hej, czytaliście dzisiejszą gazetę? Piszą, że ten zabójca to może być ktoś stąd. Podejrzewają, że to jakiś satanista. Pasujesz do tego wizerunku, z tymi popapranymi, fioletowymi włosami i podkreślonymi na czarno oczami. Czy tym właśnie zajmujesz się w nocy? Oddajesz cześć Panu Ciemności?

— Przejrzałeś mnie, Brad — mruknęła Corrie, nie odwracając się. — Każdego miesiąca w porze nowiu kąpię się we krwi nowo narodzonego jagnięcia i wypowiadam inkantację Klątwy Dziewięciu Bram, a potem przywołuję Lucyfera i proszę go, aby pozbawił cię fajfusa. O ile go masz.

Kumple Brada zareagowali głośnym chichotem, ale on sam nie uznał tego przytyku za zabawny.

— Suka! — wycedził Brad. Postąpił krok naprzód i jeszcze bardziej zniżył głos. — Spójrz na siebie. Myślisz, że jesteś taka fajna, bo ubierasz się na czarno i w ogóle. Chcę ci uświadomić, że jesteś w błędzie. Wcale nie jesteś fajna. Jesteś do niczego. I mogę się założyć, że to, co powiedziałaś, było prawdą. Faktycznie wypuszczasz się nocami, aby zabijać zwierzęta i pławić się w ich krwi. Albo nawet lepiej, parzyć się z nimi. — Zachichotał. — Ponieważ żaden facet nigdy nie zechciałby cię przelecieć, ty porąbana zdziro.

— Jeśli zobaczę gdzieś jakiegoś prawdziwego faceta, dam ci znać — odparowała Corrie.

Usłyszała skrzyp otwieranych drzwi pomieszczenia na tyłach i nagle ni stąd, ni zowąd zapadła głucha cisza. Głos szeryfa był cichy, spokojny, ale zarazem groźny.

— Brad? Co ty wyprawiasz?

— O, cześć tato. Rozmawialiśmy tylko z Corrie, nic więcej.

— Doprawdy?

— Jak najbardziej.

— Nie wciskaj mi kitu. Dobrze wiem, co robiłeś.

Zapadła nieprzyjemna cisza.

— Jeśli jeszcze raz spróbujesz nękać mojego więźnia, osobiście wsadzę cię za kratki. Słyszałeś, co powiedziałem?

— Tak, tato.

— A teraz zjeżdżaj stąd razem ze swoimi kolegami. Spóźnicie się na rozróbę.

Brad i jego kumple wolno, powłócząc nogami jak skazańcy, wyszli z aresztu.

— Wszystko gra, Swanson? — spytał oschłym tonem szeryf. Corrie zignorowała pytanie. Zaraz potem drzwi zamknęły się i ponownie została sama; leżała w bezruchu, wsłuchując się w dźwięki włączonego telewizora i głosy dochodzące z biura. Starła się zachować regularny oddech, zapomnieć o tym, co usłyszała od Brada. Jeszcze rok i wyjedzie z tej zafajdanej dziury, zadupia galaktyki, skąd nawet wrony zawracają. Jeszcze rok. I żegnaj, zapyziałe Medicine Creek. Po raz nie wiadomo który uświadomiła sobie, że gdyby nie zawałiła dziesiątej klasy, już by jej tu nie było. A teraz znów narozrabiała. Sama przysparzała sobie problemów. Cóż, dalsze biadolenie miało się z celem. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem.

Znów skrzypnęły otwierane drzwi. Ktoś nowy wszedł do biura. Usłyszała cichą rozmowę. Czyżby to Tad, zastępca szeryfa? A może jej matka, dla odmiany trzeźwa? Nie, nowo przybyły, kimkolwiek był, mówił

bardzo cicho, do tego stopnia, że Corrie nie była w stanie rozpoznać, czy gość był mężczyzną czy kobietą. Głos szeryfa tymczasem stał się ostry, zdecydowany, jednak z uwagi na włączony telewizor Corrie nie udało się zrozumieć słów.

W chwilę potem w korytarzu rozległy się ciężkie kroki.

— Swanson?

To był szeryf. Usłyszała, jak zaciąga się głęboko i wypuszcza ustami kłęb dymu z papierosa. Zabrzęczały klucze i szcęknął otwierany zamek. Zardzewiałe, żelazne drzwi zaskrzypiały, gdy je otwierał.

— Wychodzisz.

Nie poruszyła się. Nawet nie drgnęła. Głos Hazena brzmiał wyjątkowo szorstko. Coś go nielecho wkrzurzyło.

— Ktoś wpłacił za ciebie kaucję.

Wciąż leżała nieruchomo. I wtedy usłyszała inny głos. Był cichy, łagodny, z wyraźnym obcym akcentem.

— Panno Swanson? Jest pani wolna.

— Kim pan jest? — spytała, nie odwracając się. — Czy to mama pana przysłała?

— Nie. Jestem agent specjalny Pendergast z FBI.

Boże. To ten wyglądający jak przedsiębiorca pogrzebowy, straszny człowiek, którego widziała spacerującego po mieście.

— Nie potrzebuję pańskiej pomocy — burknęła.

Hazen ochryplym głosem, w którym wciąż dało się wyczuć nutę oburzenia, zwrócił się do Pendergasta:

— Może powinien pan zaoszczędzić sobie wydatków i nie mieszać się w sprawy miejscowej policji.

Corrie jednak, jakby wbrew sobie, poczuła narastające zaciekawienie.

— Gdzie tkwi haczyk?

— Pomówimy o tym na zewnątrz — odparł Pendergast.

— A zatem jest jakiś haczyk. Wyobrażam sobie, na czym polega, ty obleśny zboczeńcu.

Szeryf Hazen wybuchnął śmiechem, który zakończył się typowym dla nałogowego palacza atakiem kaszlu.

— A nie mówiłem, Pendergast?

Corrie wciąż leżała skulona na pryczy. Zastanawiała się, dlaczego ten Pendergast zgodził się wpłacić za nią kaucję. Nie ulegało wątpliwości, że szeryf Hazen za nim nie przepadał. Przypomniała sobie maksymę: „Wróg twego wroga jest twoim przyjacielem”. Usiadła i rozejrzała się. Stał tam, w czarnym garniturze, jak przedsiębiorca pogrzebowy i przyglądał się jej z uwagą. Obok niego warował ten mały buldog Hazen, dłonie miał zaciśnięte w pięści, włosy ostrzyżone niemal do gołej skóry, czoło lśniące od potu i kilka skaleczeń na policzkach, pozostałości po niedawnym goleniu.

— A więc mogę stąd tak po prostu wyjść? — spytała.

— Jeśli tego pani chce — odparł Pendergast.

Wstała, minęła agenta FBI, szeryfa i skierowała się ku drzwiom.

— Nie zapomnij kluczyków — zawołał Hazen.

Przystanąła w drzwiach, odwróciła się i wyciągnęła rękę. Szeryf trzymał kluczki w dwóch palcach, lekko nimi kołysząc. Nie podał ich jej. Podeszła do niego i wyrwała mu je z ręki.

— Twój wóz stoi na parkingu z tyłu — wyjaśnił. — Opłatę za odholowanie możesz uiścić w późniejszym terminie. Będzie tego,

jakkolwiek by patrzeć, siedemdziesiąt pięć dolarów.

Corrie otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz. Po pobycie w klimatyzowanym areszcie odniosła wrażenie, jakby wpadła do gorącej zupy. Zamrugła, oślepią słońcem, i skręciła za róg budynku, gdzie na niewielkim parkingu stał jej samochód. O gremlina zaś opierał się nonszalancko znany jej już z widzenia zboczeniec w czerni. Gdy podeszła bliżej, postąpił naprzód i otworzył przed nią drzwiczki. Wsiadła bez słowa i trzasnęła drzwiczkami. Włożyła kluczyk do stacyjki, przekręciła go, po kilku nieudanych próbach silnik wreszcie zaskoczył, a z rury wydechowej buchnęły kłęby spalin. Mężczyzna w czerni cofnął się. Odczekała chwilę, po czym wychyliła się przez okno.

— Dzięki — rzuciła ostentacyjnie.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

Uruchomiła silnik raz jeszcze, rozgrzała go. Z rury wydechowej wypłynęły kolejne kłęby czarnego, oleistego dymu. Agent FBI wciąż stał nieopodal. Czego chciał, u licha? Musiała przyznać, że wcale nie wyglądał na zboczeńca. Ciekawość wreszcie wzięła nad nią górę i ponownie wychyliła głowę przez okno.

— No dobrze, panie agencie specjalny. W czym tkwi haczyk?

— Wyjaśnię to po drodze, kiedy odwiezie mnie pani z powrotem do domu Winifredy Kraus. Tam się właśnie zatrzymałem.

Corrie Swanson zawahała się, po czym otworzyła drzwi.

— Proszę, niech pan wsiada. — Machinalnie zgarnęła puste torby po posiłkach z McDonalda z fotela pasażera na podłogę. — Mam nadzieję, że nie zamierza pan zrobić nic głupiego.

Agent BI uśmiechnął się i miękko jak kot wślizgnął się na fotel obok

niej.

— Może mi pani zaufać, panno Swanson. A czy ja mogę zaufać pani?

Spojrzała na niego.

— Nie.

Zwolniła sprzęgło i wyjechała z parkingu, zostawiając po sobie chmurę oleistego dymu i dwa przepiękne dwudziestopięciocentymetrowe ślady opon na asfalcie. Gdy opuściła zaułek i skręciła w ulicę, z nieklamana satysfakcją dostrzegła jeszcze w lusterku wstecznym, jak niski szeryf wybiega ze swego biura i woła coś w przyływie niepoahowanej wściekłości, ale w chwilę potem jego postać rozmyła się w chmurze spalin, ciągnącej się za jej rozklekotanym samochodem.

JEDENAŚCIE

Dzielnicę handlową Medicine Creek w Kansas tworzyły trzy przecznice budynków o ścianach koloru piasku, z drewnianymi, przeszklonymi witrynami. Corrie przemknęła przez nią w czasie, jaki zajmują trzy, może cztery uderzenia serca. Gdy dodała gazu, zardzewiała karoseria gremlina zaczęła wibrować i dygotać.

W prześwicie między przednimi fotelami wały się jakieś trzy tuziny kaset, głównie z muzyką jej ulubionych gatunków — death metal, dark ambient oraz industrial i grindcore. Przejrzała je pobieżnie, omijając Discharge, Shinjuku Thief i Fleshcrawl, aż w końcu wybrała Lustmord. Mroczne, asynchroniczne brzmienie Heresy wypełniło wnętrze niedużego auta. Matka nie pozwalała jej w domu puszczać głośnej muzyki, toteż przeniosła magnetofon kasetowy do swego zdezelowanego gremlina.

A skoro już mowa o jej drogiej, troskliwej rodzicielce, Corrie wcale nie miała ochoty wracać do domu. Do tego czasu jej matka będzie na wpół pijana i na wpół skacowana, nie sposób wyobrazić sobie gorszej kombinacji. Postanowiła, że wysadzi tego, jak mu tam, Pendergasta przy starym domu Krausów, a potem pojedzie za miasto, aby przez parę godzin w spokoju poczytać książkę.

Spojrzała na agenta FBI.

— Co ma znaczyć ten czarny garnitur? Ktoś umarł?

— Podobnie jak pani, lubię przede wszystkim ten kolor. Parsknęła.

— Co to za haczyk, o którym pan wspominał?

— Potrzebuję samochodu i kierowcy.

Corrie wybuchnęła śmiechem.

— To znaczy mnie i tego rozklekotanego, starego gremlina AMC?

— Przyjechałem tu autobusem i muszę stwierdzić, że poruszanie się na piechotę jest raczej kłopotliwe i niezbyt przyjemne.

— Chyba pan żartuje. Tłumik jest rozwalony, bryka traci prawie litr oleju na tydzień, nie ma klimy, a w środku jest zawsze tyle spalin, że nawet zimą nie mogę podnosić w nim szyb.

— Proponuję wynagrodzenie w wysokości stu dolarów dziennie za samochód i kierowcę, plus standardową opłatę dziewiętnastu centów za kilometr, za paliwo i zużycie pojazdu.

Sto dolarów to więcej pieniędzy, niż Corrie miała okazję widzieć na raz. Nie. Niemożliwe. To jakaś bzdura.

— Skoro taki z pana wielki agent specjalny FBI, to gdzie ma pan swoją limuzynę z szoferem?

— Jako że teoretycznie jestem na urlopie, nie przydzielono mi samochodu.

— No dobra, ale dlaczego właśnie ja?

— To dość proste. Potrzebny mi ktoś, kto zna Medicine Creek, kto posiada auto i nie ma nic lepszego do roboty. Doskonale pasuje pani do tego profilu. Jest pani już pełnoletnia, prawda?

— Właśnie skończyłam osiemnaście lat. Ale wciąż mam jeszcze przed sobą rok nauki w liceum. A potem spadam z tej zapadłej dziury.

— Mam nadzieję, że zakończę swoją pracę na długo przed

rozpoczęciem zajęć szkolnych w przyszłym miesiącu. Najistotniejsze jest, że zna pani Medicine Creek, prawda?

Zaśmiała się.

— Jeżeli nienawidzić jest równoznaczne ze znać, owszem, znam to miasto. Czy zastanawiał się pan, co pomyśli szeryf o naszym małym układzie?

— Spodziewam się, że ucieszy go, iż znalazła pani dobrze płatną pracę. Corrie pokręciła głową.

— Nie bardzo zna się pan na ludziach, co? Na pewno nie zna pan tutejszego szeryfa.

— Mam nadzieję uzupełnić moje braki w wiedzy. Szeryfa proszę zostawić mnie. Zajmę się nim. A teraz, panno Swanson, chciałbym dowiedzieć się, czy przyjmuje pani moją propozycję?

— Za sto dolców dziennie? Jasne, że tak. I jeszcze jedno, czy wyglądam panu na „pannę Swanson”? Proszę mi mówić Corrie.

— Będę zwracał się do pani per „panno Swanson”, a pani niech zwraca się do mnie per „agencie specjalny Pendergast”.

Wywróciła oczami i odgarnęła z twarzy kosmyk fioletowych włosów.

— Dobrze, agencie specjalny Pendergast.

— Dziękuję, panno Swanson.

Mężczyzna wyjął portfel z kieszeni marynarki i wyjął pięć studolarowych banknotów. Corrie nie mogła oderwać wzroku od pieniędzy, gdy agent jakby od niechcienia otworzył zabezpieczoną drutem, uszkodzoną klapkę schowka na rękawiczki, włożył banknoty do środka i podgiął drut do poprzedniej pozycji.

— Proszę notować liczbę przejechanych każdego dnia kilometrów. Za

każdą nadgodzinę powyżej zwyczajowego ośmiogodzinnego dnia pracy otrzyma pani wynagrodzenie w wysokości dwudziestu dolarów za godzinę. Pięćset dolarów to zapłata z góry za pierwszy tydzień pani pracy. — Wyjął z kieszeni marynarki coś jeszcze. — A to jest pani telefon komórkowy. Proszę mieć aparat włączony przez całą dobę, nawet w nocy, gdy będzie się ładował. Niech pani nie wykorzystuje go do odbierania lub wykonywania prywatnych rozmów.

— A do kogo mogłabym zdzwonić na tym zadupiu?

— Nie mam pojęcia. A teraz, jeśli będzie pani tak uprzejma, może zawróci pani i wybierzemy się na małą przejażdżkę po mieście?

— Się robi. — Corrie zerknęła w lusterko wsteczne, aby się upewnić, że droga jest wolna. Następnie skręciła ostro kierownicą, wdeptując równocześnie pedały hamulca i gazu. Gremlin z piskiem opon obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i stanął skierowany przodem w stronę miasta. Corrie odwróciła się do Pendergasta i wyszczerzyła zęby. — Tej sztuczki nauczyłam się, grając w Grand Theft Auto na szkolnym komputerze.

— Imponujące. Jakkolwiek muszę o coś panią poprosić i będę tego kategorycznie przestrzegał, panno Swanson.

— Tak? A o co konkretnie chodzi? — spytała, ruszając z powrotem w kierunku miasteczka.

— Dopóki pracuje pani dla mnie, nie wolno pani łamać prawa. Musi pani ściśle przestrzegać wszystkich przepisów ruchu drogowego.

— Dobra, dobra.

— Wydaje mi się, że na tej drodze obowiązuje ograniczenie prędkości do siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Poza tym nie zapięła pani pasów.

Corrie spojrzała na prędkościomierz i stwierdziła, że jedzie osiemdziesiątką. Zwolniła do dozwolonej prędkości, a gdy dotarli do obrzeży miasta, nawet jeszcze bardziej. Próbowwała wydobyć pas z za fotela, a samochodem zarzuciło ostro na prawo i lewo, gdy przez chwilę prowadziła, przytrzymując kierownicę kolanem.

— Może byłoby pani wygodniej, gdyby zjechała pani na pobocze, zatrzymała samochód i zrobiła, co ma pani do zrobienia, tak jak należy?

Corrie westchnęła z irytacją, zatrzymała wóz, wyciągnęła pas z za siedzenia i zapięła go. Ponownie ruszyła z miejsca z piskiem opon.

Pendergast odchylił się do tyłu. Fotel pasażera był uszkodzony, złamany i agent musiał spoczywać w na wpół leżącej pozycji z głową nieco tylko powyżej poziomu bocznej szyby.

— A co z przejażdżką po mieście, panno Swanson? — zapytał z przymkniętymi lekko powiekami.

— Przejażdżką? Sądziłam, że pan żartuje.

— Bynajmniej. Mam ochotę pooglądać widoki.

— Chyba jest pan naćpany. Jedyne widoki w tym mieście to otyli ludzie, szpetne budynki i pole kukurydzy.

— Proszę mi o nich opowiedzieć. Corrie uśmiechnęła się.

— Dobra. Nie ma sprawy. Oto dojeżdżamy właśnie do przepięknego zakątka zwanego Medicine Creek w stanie Kansas, liczba mieszkańców wynosi obecnie trzysta dwadzieścia pięć dusz, ale szybko spada.

— Dlaczego?

— Żartuje pan? Tylko skończony dupek mógłby zostać w takiej zafajdanej dziurze.

— Panno Swanson?

— Czego?

— Domyślam się, że to niedostatki, żeby nie powiedzieć, brak odpowiedniego wychowania, skłaniają panią ku przekonaniu, że częste stosowanie wyrazów uważanych powszechnie za obraźliwe przydaje mocy pani wypowiedziom.

Dopiero po chwili Corrie zrozumiała, o co chodziło Pendergastowi.

— Dupek to powszechnie używany epitet.

— To zależy przez kogo.

— Szekspir, Chaucer i Joyce także używali, jak pan to określił — obraźliwych wyrazów.

— Widzę, że mam do czynienia z osobą, której nieobca jest literatura, a przynajmniej sprawia pani takie wrażenie. Prawdą jest również, że to Szekspir napisał:

Jak śliczny księżyc! W taką to noc jasną
Gdy luby wietrzyk z lekka liść
całował Nie czyniąc szumu, w taką to noc pewnie Troilus niegdyś stał na
murach Troi I duszą swoją w westchnieniach posyłał
Ku obozowi Greków, gdzie Kressyda
We śnie leżała.

Corrie spojrzała na mężczyznę wyciągniętego na fotelu obok niej, oczy wciąż miał przymknięte. Był naprawdę dziwny.

— A teraz, czy możemy kontynuować naszą przejażdżkę? Corrie rozejrzała się wokoło. Po obu stronach drogi znów pojawiły się łany kukurydzy.

— Koniec przejażdżki. Właśnie wyjechaliśmy z miasta. Pendergast nie odpowiedział natychmiast i przez chwilę Corrie zmartwiła się, że agent cofnie swoją propozycję i pieniądze spoczywające w zepsutym schowku

na rękawiczki ponownie wróca do kieszeni czarnego garnituru.

— Mogłabym jeszcze pokazać panu Mounds — dorzuciła.

— Mounds?

— No, indiańskie wzgórza, nad strumieniem. To jedyne naprawdę ciekawe miejsce w tej okolicy. Ktoś musiał panu o nich opowiadać, no wie pan, Klątwa Czterdziestu Pięciu i te wszystkie bzdury.

Pendergast zamyślił się przez chwilę.

— Może później wybierzemy się, aby zobaczyć Mounds. Teraz jednak proszę zawrócić i ponownie przejechać przez miasto, najwolniej jak to możliwe. Nie chciałbym niczego przeoczyć.

— Wolałabym tego nie robić.

— A to dlaczego?

— Szeryfowi to się nie spodoba. Nie lubi, jak ktoś kręci się po mieście.

Pendergast całkiem przymknął powieki.

— Czy nie wspominałem, że zajmę się szeryfem?

— No dobra. Pan jest tu szefem. — Zjechała na pobocze, wykręciła powoli i w żółtym tempie ponownie ruszyła przez miasto. — Po lewej — rzekła — znajduje się karczma Koło u Wozu, kierowana przez Swede'a Cahilla. To przyzwoity facet, choć nie grzeszy bystrością umysłu. Jego córka chodzi do mojej klasy. Prawdziwa Barbie. Ta karczma to w rzeczywistości bar, nie można tu zjeść niczego porządnego z wyjątkiem kabanosów, orzeszków ziemnych, pikli i ptysiów z czekoladą. Te ptysie to miejscowy przysmak. Naprawdę.

Pendergast leżał w bezruchu.

— Widzi pan tę kobietę idącą ulicą tę z fryzurą a la Narzeczonej Frankensteina? To Klick Rasmussen, żona Meltona Rasmussena,

właścicielka miejscowego sklepu wielobranżowego. Wraca właśnie z lunchu w Castle Club, a w torbie ma resztki rostbefu dla swojej psiny, Brzoskwinki. Nie jada u Maisie, bo ta była kiedyś dziewczyną jej męża, zanim go poślubiła jakieś trzysta lat temu. Gdyby tylko wiedziała, że Melton smali cholewki do żony wuefisty.

Pendergast milczał.

— Ta wysuszona na wiór starucha wychodząca z Coast to Coast z wałkiem do ciasta to pani Benderowa Lang, której ojciec zmarł, kiedy ich dom spłonął wskutek podpalenia, trzydzieści lat temu. Podpalacza nigdy nie wykryto. Nie wiadomo, dlaczego ktoś puścił ich dom z dymem. — Corrie pokręciła głową. — Niektórzy sądzą, że zrobił to stary Gregory Flatt. Był pijakiem i miejscowym świrem, a któregoś dnia po prostu wszedł na pole kukurydzy i zniknął. Jego ciała nigdy nie odnaleziono. Stale mówił o UFO. Jeżeli o mnie chodzi, myślę, że jego życzenie w końcu się spełniło i został przez nich wzięty. Tej nocy, kiedy zniknął, na północy widać było dziwne światła. — Zaśmiała się drwiąco. — Medicine Creek to typowe amerykańskie, prowincjonalne miasteczko. Każdy, zarówno mężczyzna, jak i kobieta, ukrywa w szafie jakiś szkielet.

Dopiero te słowa sprawiły, że Pendergast ożywił się, uniósł lekko powieki, aby spojrzeć na dziewczynę.

— Ach, tak. Nawet ta miła i uczynna starsza pani, w domu której raczył się pan zatrzymać, Winifreda Kraus. Może zgrywać pobożną, ale to wszystko pic na wodę. Jej ojciec pędził bimber i przemyczał alkohol. W dodatku facet był fanatykiem religijnym. Ale to nie wszystko. Słyszałam, że w młodości Winifreda była w tym miasteczku, delikatnie mówiąc, dość popularna.

Pendergast zamrugał.

Corrie uśmiechnąwszy się drwiąco, wywróciła oczami.

— O, tak, w Medicine Creek sporo się dzieje. Weźmy na ten przykład Verę Estrem, która wyczynia iście cyrkowe sztuczki z rzeźnikiem z Deeper. Gdyby jej mąż kiedyś się o tym dowiedział, polałaby się krew. Dale Estrem to przewodniczący Wspólnoty Farmerów, a poza tym chyba najgorszy szuja w całym Medicine Creek. Jego dziadek był niemieckim imigrantem i w czasie drugiej wojny światowej wrócił do swojej ojczyzny, aby walczyć po stronie nazistów. Może pan sobie wyobrazić, jak na to zareagowała reszta mieszkańców miasta. Dziadek już tu nigdy nie wrócił, ale zła, którego narobił całej rodzinie, nie udało się naprawić aż do dziś.

— Istotnie.

— Mamy tu także paru szajbusów. Jak choćby ten druciarz, który odwiedza Medicine Creek raz do roku i obozuje gdzieś na polach kukurydzy. Albo Kudłaty Jim, który spędził w Wietnamie o jedną turę za dużo. Mówią że rozwalił swojego przełożonego, jakiegoś porucznika. Nikt nie przypuszczał, że wróci tu w jednym kawałku.

Pendergast znów wyciągnął się na fotelu. Wyglądał, jakby zasnął.

— Nieważne. To Rexall Drug. W tamtym pustym budynku mieścił się Music Shop. To kościół, Kalwaria Luterska. Należy do Synodu Missouri. Pastorem jest John Wilbur. Żywa skamielina, o ile można tak powiedzieć o jakimś człowieku.

Pendergast milczał.

— Mijamy teraz stację paliw i naprawy samochodów Erniego. Tylko niech pan nie wstawia tam swego auta. Jeśli chciałby je pan naprawić, proszę pojechać gdzie indziej. Przy dystrybutorze stoi sam Ernie. Jego syn

to największy ćpun w hrabstwie Cry, ale Ernie nie ma o tym zielonego pojęcia. A ten stary drewniany budynek to sklep Rosmussenów. Ich motto brzmi: „Jeśli tego nie mamy na składzie, to znaczy, że nie jest ci to potrzebne”. Zawsze zastanawiałam się, o co tak naprawdę może im chodzić. Po lewej widać biuro szeryfa, ale tego akurat miejsca chyba nie muszę panu pokazywać. Po prawej mamy bar restauracyjny Maisie. Jej klopsiki są nawet zjadliwe. Ale deseru nie tknęłyby nawet wygłodniała hiena. O-o. Wiedziałam. Najeżdża.

Corrie obserwowała w lusterku wstecznym, jak z alejki, błyskając kogutem, wyłania się policyjny radiowóz.

— Proszę pana — rzekła do nieruchomego Pendergasta. — Proszę się obudzić. Muszę zatrzymać wóz.

Wydawało się jednak, że Pendergast usnął na dobre. Szeryf z tyłu podjechał do gremlina i włączył syrenę.

— Proszę zjechać na pobocze. — Z głośnika dobiegł ochryply głos Hazena. — Proszę pozostać w wozie.

Taka sytuacja przydarzyła się jej nie po raz pierwszy. Przerabiała ją wiele razy, ale tego dnia miała w swoim aucie Pendergasta. Zdała sobie sprawę, że szeryf najprawdopodobniej nie zauważył agenta rozwalonego na połamanym siedzeniu. Agent miał zamknięte oczy, jakby jęki syreny ani trochę mu nie przeszkadzały. A może Pendergast umarł. W gruncie rzeczy wyglądał jak nieboszczyk.

Drzwi radiowozu otwarły się i szeryf wysiadł z auta, pałka miękko obijała się o jego udo. Oparł mięsistą dłoń o opuszczoną szybę od strony pasażera i zajrzał do środka. Na widok Pendergasta drgnął jak oparzony.

— Jezus, Maria! — zawołał. Pendergast tworzył jedno oko.

— Jakiś problem, szeryfie?

Corrie ucieszyła się na widok nagłej zmiany wyrazu twarzy szeryfa. Jego oblicze w jednej chwili poczerwieniało, począwszy od szyi ponad kołnierzykiem aż po małżowiny włochatych uszu. Miała nadzieję, że Brad, gdy się zestarzeje, będzie podobny do ojca.

— Nie, agencie Pendergast — odparł Hazen. — Tyle tylko, że nie zezwalamy w Medicine Creek na jazdę po mieście w tę i w powrotem. A ona przejeżdża przez środek miasta już po raz trzeci.

Szeryf przerwał, najwyraźniej oczekiwał na jakieś wyjaśnienie, ale po dłuższej chwili zrozumiał, że raczej nic z tego.

Wreszcie Hazen odsunął się od samochodu.

— Możecie jechać — rzekł półgłosem.

— Skoro tak pana interesują moje poczynania — powiedział leniwie Pendergast, powoli cedząc słowa — pragnę poinformować pana, że za chwilę przejedziemy przez miasto po raz czwarty, a może nawet i piąty, podczas gdy panna Swanson będzie zapoznawać mnie z urokami tej miłej miejsciny. Bądź co bądź, jestem na urlopie.

Wpatrując się w coraz bardziej chmurne oblicze szeryfa Hazena, Corrie zaczęła zastanawiać się, czy ten rzekomy agent specjalny Pendergast naprawdę wiedział, co robi. Zyskać sobie wroga w osobie Hazena, w miasteczku takim jak Medicine Creek, to wcale nie przelewki. Ona była na tyle nierozsądna, że doświadczyła tego na własnej skórze.

— Dziękuję panu za okazaną troskę, szeryfie. — Pendergast odwrócił się do Corrie. — Jedziemy, panno Swanson?

Zawahała się przez chwilę, spoglądając na szeryfa Hazena. Po chwili jednak wzruszyła ramionami. „Co mi tam” — pomyślała i ruszyła z

cichszym niż zwykle piskiem opon, pozostawiając z tyłu, za rozklekotanym gremlinem, chmurę czarnych, smrodliwych spalin.

DWANAŚCIE

Słońce zachodziło, barwiąc chmury krwistą czerwienią podczas gdy agent specjalny Pendergast wyszedł z Maisie's Diner w towarzystwie szczupłego mężczyzny w uniformie Federal Express.

— Powiedziano mi, że tu pana znajdę — rzekł mężczyzna. — Nie chciałem przeszkadzać panu w kolacji.

— Nic się nie stało — odparł Pendergast. — Nie byłem za bardzo głodny.

— Jeśli zechce pan pokwitować odbiór, pozwolę sobie zostawić wszystko przy tylnym wejściu.

Pendergast złożył podpis na podsuniętym mu formularzu.

— Panna Kraus pokaże panu, gdzie ma pan to wnieść. Zgodzi się pan, abym obejrzał, co pan przywiózł?

— Proszę bardzo. Jest tego z pół ciężarówki.

Lśniąca ciężarówka Fedeksu stała przed wejściem do baru, wyróżniając

się wśród szarości tej pylistej, monochromatycznej ulicy. Pendergast zajrzał do środka. Pod jedną ze ścian stał tuzin okazałych pudeł. Na niektórych z nich widniały napisy:

„PRODUKTY NIETRWAŁE — ZAWARTOŚĆ ZABEZPIECZONA
LODEM”.

— Wszystko z Nowego Jorku — rzekł kierowca. — Zakłada pan restaurację czy jak?

— To wybawi mnie od Maisie.

— Że co, proszę?

— Wydaje się, że wszystko w porządku, dziękuję. Pendergast cofnął się i patrzył, jak ciężarówka odjeżdża w szarość gęstniejącego zmierzchu. Kiedy znikła mu z oczu, rażno pomaszerował na wschód. Pięć minut później zostawił za sobą miasteczko Medicine Creek. Ciągąca się przed nim droga przypominała wstęgę czerni rozciągniętą pomiędzy łąkami kukurydzy.

Przyspieszył kroku. Tym razem kierował się raczej intuicją niż pewnością. Lecz agent wiedział, że intuicja to końcowy rezultat najbardziej wymyślnego rozumowania.

Nadszedł zmierzch, kruki odfrunęły z pól, w powietrzu czuć było zapach kukurydzy i ziemi. Pojawiły się światła reflektorów, blask przybrał na sile i po chwili agenta minął wielki wóz kempingowy, pozostawiając za sobą kurz i smród spalin.

Trzy kilometry za miastem Pendergast przystanął. Stąd od drogi odchodziła ścieżka biegnąca w lewo i znikająca między łąkami.

Pendergast ruszył w tę stronę. Szedł szybko, stawiając długie, pewne kroki. Ścieżka zaczęła się wznosić, kierując się ku mrocznemu zagajnikowi na horyzoncie, otaczającemu ciemne kształty odcinające się na tle gasnącego nieba — Mounds.

Za polami ścieżka zwężała się jeszcze bardziej. W oddali widać było strzeliste topole o masywnych pniach i szorstkiej korze przypominającej popękane kamienie. Na ziemi wały się odłamane konary, gałęzie uniesione ku górze przywodziły na myśl zakrzywione szpony. Gdy wszedł do zacienionego zagajnika, Pendergast przystanął, by obejrzeć się wstecz. Łagodna stromizna opadała gładko w kierunku miasta. Odległe latarnie tworzyły świecący krzyż pośród morza ciemnej kukurydzy. Zakłady Gro-Bain, leżące na południe od miasta, były odrębnym skupiskiem światła samym w sobie. Pomiedzy nimi, z rosnącymi po obu stronach topolami, ciągnął się strumień, wijący się kręto wśród pól. Choć cały ten teren wydawał się płaski, był w rzeczywistości mocno pofałdowany. Punkt, w którym agent znajdował się obecnie, był najwyższym na przestrzeni wielu kilometrów.

Letni zmierzch zapadł nad całą okolicą. Powietrze stało się jeszcze bardziej parne — o ile to w ogóle możliwe. Na gasnącym niebie dostrzec można było kilka jasnych planet. Pendergast odwrócił się i wszedł jeszcze dalej w głąb zagajnika; w swoim czarnym garniturze był niemal całkiem niewidoczny. Szedł wzdłuż ścieżki ciągnącej się pośród krzewów. Czteryście metrów dalej Pendergast ponownie przystanął.

Przed sobą miał masyw Mounds.

Trzy wzgórza, niskie, szerokie, tworzące trójkątną formację wznoszącą się na wysokość sześciu metrów ponad otaczającymi je terenami. Boki

dwóch wzgórz były zniszczone przez wiatr i deszcze, widać było warstwy wapienia i potężne głazy pod nimi. Topolowy zagajnik był tutaj gęstszy i podobnie rzecz miała się z zalegającymi wśród drzew cieniami.

Pendergast wsłuchiwał się w odgłosy sierpniowej nocy. Chór nocnych owadów grał wściekle. Migoczące świetliki unosiły się wśród pni drzew, mieszając się z cichymi błyskawicami pojawiającymi się na północy. Tuż nad horyzontem wisiał sierp księżyca. Mężczyzna trwał w bezruchu. Nocne niebo skrzyło się gwiazdami. Zaczął słyszeć inne dźwięki — trzepot skrzydeł ptaków i szelest małych zwierzątek. W ciemnościach zaśniły przez chwilę błyszczące ślepia. Od strony strumienia dobiegło wycie kojota, w odpowiedzi gdzieś w miasteczku zaczął ujadać pies. Księżyc rzucał dość światła, by agent mógł rozeznać się w otoczeniu. Zaczęły grać świerszcze, ich świergot płynął jak senne brzmienie z pofalowanej połaci wysokich traw.

Wreszcie Pendergast zaczął przesuwać się naprzód w kierunku trzech ciemnych pagórków. Szedł powoli i bezgłośnie, wtem pod jego stopą zachrzęścił jakiś liść. Świerszcze ucichły. Pendergast odczekał, aż znów rozpoczną swój koncert. Dopiero wtedy podążył dalej, by dotrzeć do podnóża pierwszego ze wzgórz. Ukląkł bezgłośnie i odgarnawszy zeschłe liście, wbił dłonie w ziemię. Wydobył garść ziemi, rozgarnął grudki palcami i powąchał.

Każda gleba ma odmienną woń. Ta, jak stwierdził, była tą samą, której ślady odkryto na narzędziach w bagażniku Sheili Swegg. Szeryf miał rację, ta kobieta poszukiwała na terenie Mounds indiańskich artefaktów. Agent napełnił grudkami ziemi niewielką, szklaną fiolkę, zakorkował ją i wsunął do kieszeni marynarki.

Ponownie wstał. Księżyc znikł za horyzontem. Świetliki przestały migotać, ciche błyskawice pojawiały się coraz rzadziej, aż w końcu ustały zupełnie. Mounds z wolna spowijała gęstniejąca ciemność.

Pendergast minął pierwszy pagórek, potem drugi, aż w końcu stanął pomiędzy nimi, trzy ciemne formacje stopniowo stawały się nie do rozróżnienia. Zrobiło się całkiem ciemno.

Mężczyzna wciąż czekał. Minęło pół godziny. Godzina.

Nagle świerszcze ucichły.

Agent czekał, aż znowu zaczną grać. Jego mięśnie napięły się. Czuł czyjąś obecność w ciemnościach po prawej, ktoś się skradał i robił to niemal bezszelestnie. Nawet Pendergast, pomimo iż miał wyczulony słuch, nie zdołał usłyszeć zbliżającego się intruza. Świerszcze jednak potrafiły wyczuć wibracje niewyczuwalne dla ludzi. Świerszcze wiedziały.

Czekał w napięciu, aż obecność znalazła się nie więcej niż o półtora metra od niego. Ona także przystanąła. Czekwała, podobnie jak on.

Świerszcze jeden po drugim podjęły przerwany koncert.

Mimo to Pendergast nie dał się nabrać. Obecność wciąż tu była. Wyczekiwała.

Wreszcie obecność ponownie ruszyła naprzód. Powoli, lecz nieubłaganie zbliżała się do agenta. Jeden krok, potem drugi, nieomal mógłby jej już dotknąć.

Błyskawicznym ruchem Pendergast rzucił się w bok, równocześnie wyciągając latarkę i pistolet, by wymierzyć je w intruza.

Promień latarki oświetlił skulonego, dziko wyglądającego mężczyznę celującego z dwururki w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał Pendergast. Pistolet zagrzmiał, a mężczyzna zatoczył się w tył, wrzeszcząc

coś niezrozumiale, i w tym samym momencie agent rzucił się na niego. Jeszcze chwila i strzelba znalazła się na ziemi, a mężczyzna, zgięty w pół, wił się z bólu po wprawnym założeniu mu przez agenta dźwigni na staw łokciowy i barkowy. Pendergast przytknął lufę pistoletu do skroni intruza. Mężczyzna przez chwilę jeszcze próbował się opierać, ale wkrótce zaprzestał walki.

Agent federalny rozluźnił uścisk i tamten ciężko osunął się na ziemię. Leżał tam, potężny, wysoki mężczyzna przyodziany w skóry z nanizanymi na sznurek okrwawionymi truchłami kilku wiewiórek, przewieszonymi przez ramię. Za pas miał zatknięty wielki, ręcznie wykonany nóż. Stopy miał bose, podeszwy brudne i spłaszczone. Małe oczka wзираły z pomarszczonej twarzy niczym rodzyнки, a samo oblicze wyglądało niezwykle staro. Mimo to po sylwetce mężczyzny, jego krzepie oraz lśniących, wyjątkowo długich czarnych włosach i brodzie można było przypuszczać, że ten zaniedbany dziki człowiek miał nie więcej niż pięćdziesiąt lat.

— Nie należy zbyt popędliwie pociągać za spust — rzekł Pendergast, stając nad mężczyzną. — Mógł pan kogoś zranić.

— Kim pan jest, do cholery? — wychrypiał leżący na ziemi mężczyzna.

— O to samo chciałem zapytać pana.

Mężczyzna przełknął ślinę, doszedł trochę do siebie i usiadł.

— Nie świeć mi pan po oczach. Pendergast skierował latarkę ku ziemi.

— A teraz gadaj pan, kim jest, u licha, i za kogo się pan uważasz, że straszysz pan przyzwoitych ludzi — warknął brodac.

— Powinniśmy zadbać choćby o pozory dobrego wychowania — rzekł

Pendergast. — Proszę wstać i przedstawić się.

— Gadaj se pan zdrow — rzucił tamten. Wstał jednak, otrzepał brodę i włosy z liści oraz gałązek, po czym wyprostował się. Odchrząknął i splunął flegmą w ciemność. Otarłszy usta i brodę brudną ręką, splunął raz jeszcze.

Pendergast wyjął odznakę i podsunął ją tamtemu pod nos. Mężczyzna przyjrzał się legitymacji agenta. Zaśmiał się.

— FBI? Nigdy bym nie przypuszczał.

— Agent specjalny Pendergast. — Zatrzasnął skórzany port-felik i wsunął do kieszeni marynarki.

— Nie rozmawiam z FBI.

— Zanim usłyszę od pana kolejne pochopne stwierdzenia, które sprawiają, że później straci pan twarz, chciałbym już na wstępie wyjaśnić, że ma pan możliwość wyboru. Możemy porozmawiać nieformalnie tu i teraz... — Przerwał.

— Albo?

Pendergast uśmiechnął się nagle, jego wąskie wargi rozchyliły się, ukazując rząd śnieżnobiałych zębów. Ale grymas ten w świetle latarki wcale nie wyglądał przyjaźnie.

Mężczyzna wyjął z kieszeni prymkę tytoniu, oderwał kawałek i włożył do ust.

— Cholera — burknął i splunął.

— Czy mogę spytać, jak pańska godność? — odezwał się Pendergast.

Cisza przedłużała się.

— Do kroćset — wybuchnął w końcu mężczyzna. — Chyba wyjawienie komuś swego nazwiska to nie żadna zbrodnia, prawda?

Gasparilla. Lonny Gasparilla. Odda mi pan teraz moją fuzję?

— Zobaczymy. — Pendergast omiół promieniem latarki zabite wiewiórki. — Tym się pan tu zajmuje? Poluje pan?

— Nie przychodzę na Mounds, aby podziwiać widoki.

— Mieszka pan w pobliżu, panie Gasparilla? Mężczyzna parsknął śmiechem.

— To dopiero zabawne. — Nie doczekawszy się reakcji Pendergasta, lekko przekrzywił głowę w bok. — Obozuję niedaleko stąd.

Pendergast przełamał strzelbę, wyjął z niej zużyte łuski i oddał pustą fuzję Gasparilli.

— Proszę mnie tam zaprowadzić.

Po pięciu minutach marszu dotarli na skraj zagajnika i weszli między łan kukurydzy. Gasparilla poprowadził agenta wąską ścieżką pomiędzy nimi. Po dalszych kilku minutach znaleźli się w topolowym zagajniku nad brzegami Medicine Creek. Powietrze przesycone było wilgocią, słychać było delikatny, kojący szum płynącej wody. W oddali błyskało czerwienią ognisko rozpalone na gliniastym brzegu. Na ogniu stał wielki, żelazny kociołek, w którym coś się pitraowało, czuć było zapach cebuli, ziemniaków i papryki.

Gasparilla sięgnął po kilka polan i dołożył je do ogniska. Płomienie strzeliły w górę, rozjaśniając obozowisko. Opodał stał stary, brudny namiot, przed którym położono kłodę do siedzenia i oparte na kilku pniakach porzucone drzwi służące za stół.

Brodacz zdjął z ramienia pęk wiewiórek i upuścił je na prowizoryczny stół. Następnie wyciągnął nóż i zabrał się do roboty; rozplatał jedną z wiewiórek, wyłuskał z niej wnętrzności i cisnął je precz. Potem szybko i

sprawnie oskórował zwierzątko. Kilka szybkich cięć pozbawiło zwierzątko łebka, łapek i ogona. Następnie poćwiartował je, kawałki trafiły do bulgoczącego kociołka. Oprawienie każdej wiewiórki zajęło mu niespełna dwadzieścia sekund.

— Co pan tu robi? — spytał Pendergast.

— Wędruję.

— Wędruje pan?

— Ostrzę narzędzia. W letnich miesiącach odbywam dwie takie wędrowniki po moim terytorium. Na zimę ruszam na południe, do Brownsville. Ostrzę wszystko, od pił łańcuchowych po listwy nożowe kombajnu.

— Jak pan podróżuje?

— Pikapem.

— Gdzie on stoi?

Gasparilla wykonał ostatnie, zamaszyste cięcie i wrzucił ostatnią wiewiórkę do kociołka. Następnie wskazał ruchem głowy w stronę drogi.

— Tam, może pan sprawdzić.

— Mam taki zamiar.

— W miasteczku mnie znają. Niech pan spyta szeryfa, nigdy nie byłem na bakier z prawem. Pracuję uczciwie, aby zarobić na życie, tak jak pan, tyle że nie podkradam się do nikogo po ciemku i nie świecę ludziom po oczach, aby ich nastraszyć. — Dorzucił do kociołka trochę fasoli.

— Skoro, jak sam pan twierdzi, w miasteczku pana znają, dlaczego obozuje pan tutaj?

— Lubię przestrzeń.

— A te bose stopy?

— Że co?

Pendergast poświecił na brudne, gołe nogi tamtego.

— Buty są drogie. — Gasparilla sięgnął do kieszeni, wyjął prymkę tytoniu, znów oderwał kawałek i włożył do ust.

— Co tu robi agent FBI? — zapytał, szturchając palcem w wypchany policzek i żując zapamiętale.

— Śmiem twierdzić, że się pan tego domyśla, panie Gasparilla.

Tamten łypnął na niego z ukosa, ale nie odpowiedział.

— Ona kopała w okolicy Mounds, zgadza się? — spytał w końcu Pendergast.

Gasparilla splunął.

— Tja.

— Jak długo?

— Nie wiem.

— Znalazła coś?

Brodacz wzruszył ramionami.

— Nie po raz pierwszy kopano na Mounds. Przestałem zwracać na to uwagę. Gdy jestem w tej okolicy, wchodzę wyżej tylko po to, by polować. Nie zakłócam spokoju zmarłym.

— Czy na Mounds są pochowani ludzie?

— Tak powiadają. Dawno temu miała tam miejsce masakra. To wszystko, co wiem i co chcę wiedzieć. To miejsce mnie przeraża. W ogóle bym je omijał, ale tylko tam mogę znaleźć wiewiórki.

— Słyszałem o pewnej legendzie związanej z tym miejscem. O tak zwanej Klątwie Czterdziestu Pięciu. Niestety, nie wiem nic więcej na ten temat.

Gasparilla milczał i przez dłuższą chwilę w obozowisku panowała głucha cisza. Zamieszał patykiem w kociołku, od czasu do czasu zerkając na Pendergasta.

— Morderstwo miało miejsce trzy noce temu, podczas nowiu. Czy widział pan albo może słyszał coś niezwykłego? — spytał agent.

Gasparilla ponownie splunął.

— Nie.

— Co pan robił tamtej nocy, panie Gasparilla? Mężczyzna wciąż mieszał w kociołku.

— Jeżeli sugeruje pan, że zabiłem tę kobietę, to skończymy rozmowę.

— Powiedziałbym, że dopiero ją rozpoczęliśmy.

— Nie bądź pan taki cwany. W życiu nikogo nie zabiłem.

— Wobec tego powinien pan bez trudu przypomnieć sobie, co robił tamtego wieczoru.

— To był mój drugi dzień pobytu w Medicine Creek. Późnym popołudniem polowałem na Mounds. Ona tam była, grzebała w ziemi. Wróciłem tu o zmierzchu, noc spędziłem w obozowisku.

— Widziała pana?

— A pan mnie widział?

— Gdzie dokładnie kopała?

— Wszędzie. Obszedłem ją szerokim łukiem. Nie chciałem wpakować się w żadną kabałę. Z natury unikam kłopotów.

Gasparilla energicznie zamieszał w kociołku, wydobył emaliowaną, blaszaną miskę, poobijaną starą łyżkę i nałożył sobie porcję. Nabrał trochę na łyżkę, podmuchał, skosztował i powtórzył tę czynność. Nagle znieruchomiał.

— Chyba przydałaby się panu miska.

— Nie odmówię.

Brodacz bez słowa wyjął drugą miskę i postawił przed Pendergastem.

— Dziękuję. — Pendergast nałożył sobie sporą porcję, spróbował. —
Gulasz, jak mniemam?

Gasparilla skinał głową i zaczął pałaszować z apetytem, aż pociekło mu po brodzie. Przeżuwał głośno, wypluł kilka kostek, przełknął. Otarł usta dłonią, po czym wytarł rękę w brodę.

Dokończyli posiłek w milczeniu. Gasparilla odstawił miski na bok, odchylił się do tyłu, sięgnął po tytoń.

— A teraz, jeśli to już wszystko, czego chciał się pan dowiedzieć, pozwoli pan, że go pożegnam. Wieczory lubię spędzać w samotności i ciszy. Pendergast wstał.

— Panie Gasparilla, spełnię pańskie życzenie i zostawię pana samego. Jeśli jednak jest coś, co chciałby pan dodać, nim sobie pójdę, wolałbym, aby powiedział mi pan o tym teraz, niż gdybym miał sam się tego dowiedzieć.

Gasparilla strzyknął brązową od tytoniu śliną w kierunku strumienia.

— Wolę się nie mieszać. To nie moje sprawy.

— Już pan jest zamieszany. Albo jest pan zabójcą panie Gasparilla, albo przez dalszą obecność tutaj naraża się pan na śmiertelne niebezpieczeństwo. Jedno lub drugie.

Gasparilla chrząknął, odgryzł jeszcze kawałek tytoniu i splunął.

— Wierzy pan w diabła? — spytał w pewnej chwili. Pendergast spojrział na niego, blade oczy agenta rozblęły w płomieniach ogniska.

— Czemu pan pyta, panie Gasparilla?

— Bo ja nie wierzę. Z tego, co wiem, diabeł to tylko wymysł sprytnych klechów. Ale Zło istnieje i stąpa po tej ziemi, panie federalny. Pytał pan o Klątwę Czterdziestu Pięciu. Cóż, może już pan właściwie wrócić tam, skąd przyjechał, bo nigdy nie rozgryzie pan tej. zagadki. Zło, o którym mówię, zazwyczaj da się wyjaśnić w ten czy inny sposób. Zdarzają się jednak przypadki — Gasparilla jeszcze raz strzyknął sokiem tytoniowym, po czym wychylił się lekko do przodu, jakby chciał zwierzyć się agentowi z jakiejś tajemnicy — że pewnych zdarzeń nie sposób wytłumaczyć.

TRZYNAŚCIE

Smit Ludwig zatrzymał swego pacera AMC na parkingu przy Kalwarii Luteriańskiej, gdzie stał już rząd aut skrzących się w sierpniowym słońcu. Na ceglanej ścianie kościoła wisiał marszczący się już z gorąca transparent. Napis na transparencie głosił: „TRZYDZIESTY TRZECI DOROCZNY FESTYN PIECZONEGO INDYKA”. Obok niego wisiał drugi, z napisem: „MEDICINE CREEK WITA PROFESORA STANTONA CHAUNCY'EGO!!!”

„Te trzy wykrzykniki to jawna oznaka desperacji” — pomyślał Ludwig. Zaparkował samochód na drugim końcu placu, wysiadł, otarł kark chustką i podszedł do wejścia. Przystanął z dłonią na klamce. Przez lata miasteczko przywykło do jego artykułów traktujących o zwykłych, ludzkich sprawach, bardziej lub mniej kontrowersyjnych, ale zawsze życiowych. Przywykło do tego, że w „Courierze” często zajmowano się sprawami błahymi, nie zważając lub wręcz ignorując drobne wykroczenia tutejszej młodzieży — kradzieże aut kończące się szalonymi przejażdżkami i upojne popijawy. Nikt nie powiedział słowa, kiedy Ludwig umniejszył rangę problemów wynikłych po inspekcji w Gro-Bain, kwestię coraz częstszych wypadków i kłopoty ze związkami zawodowymi. Zapomniano, że „Courier” był gazetą, a nie miejskim organem public relations. Wczoraj to wszystko się zmieniło. „Courier” stał się gazetą nie tylko z nazwy, relacjonował autentyczne wydarzenia. Smit Ludwig zastanawiał się, jak na ten fakt zareagują mieszkańcy. Wolną ręką poprawił krawat. Od trzydziestu trzech lat pisał o festynie pieczonego indyka, nigdy

jednak nie odczuwał większego niepokoju niż tego dnia. W takich chwilach bardziej niż kiedykolwiek brakowało mu jego żony, Sary. Gdyby była przy nim, poczułby się o wiele swobodniej.

„Weź się w garść, Smitty” — powiedział sobie w duchu i otworzył drzwi.

Kościół był pełen ludzi. Właściwie zeszło się tu całe miasto. Niektórzy już zajęli miejsca i zabrali się do jedzenia, inni wciąż stali w długich kolejkach po odbiór porcji tłuczonych ziemniaków, sosu i fasolki. Byli też tacy, którzy jedli indyka, choć Smitty po raz kolejny zauważył, że pracownicy Gro-Bain jak zwykle stali z dala od kolejki, gdzie serwowano kawałki pieczonego indyka. To jeden z fenomenów, o którym nikt nigdy nie wspominał, na festynie pieczonego indyka właśnie mięsa spożywano najmniej.

Na wielkim plastikowym transparencie na jednej ze ścian widniały słowa podziękowania dla Gro-Bainu i dyrektora zakładu, Arta Riddera, za hojność i zapewnienie indyków na festyn. Na drugim transparencie wiszącym naprzeciwko można było przeczytać podziękowanie dla Buswell Agricon za regularne dotacje na utrzymanie kościoła. Jednak największy był trzeci transparent, głoszący przybycie Stantona Chauncy'ego, tegorocznego gościa honorowego festynu. Ludwig rozejrzał się dokoła. Same znajome twarze. To jeden z atutów wynikających z mieszkania w małym miasteczku.

Art Ridder wychwycił spojrzenie dziennikarza. Ridder miał na sobie brązowo-biały garnitur z poliestru, a na jego nienaturalnie gładkim obliczu widniał sztuczny uśmiezek. Ten potężnej postury mężczyzna powoli przedzierał się przez tłum, ani na centymetr nie schodząc z obranego

kierunku. To ludzie musieli jemu schodzić z drogi, a nie na odwrót, skonstatował Ludwig. Może Art Ridder osiągał ten efekt, gdyż zawsze towarzyszyła mu słaba woń martwych indyków, której nie była w stanie zabić nawet solidna dawka old spice'a, a może wynikało to z faktu, iż był najbogatszym człowiekiem w tym miasteczku. Ridder sprzedał zakład przetwórstwa indyków firmie Gro-Bain i nominalnie pozostał jej dyrektorem, choć konsorcjum rolnicze przekazało mu czek na okrągłą sumkę. Twierdził, że „lubił tę robotę”. Ludwig miał na ten temat inne zdanie — był przekonany, że Ridder lubił raczej piastować funkcję Ojca Miasta, niż miałby stać się byłym szefem największego zakładu przetwórstwa drobiu w Medicine Creek.

Ridder wciąż szedł w jego stronę, ani na chwilę nie spuszczał reportera z oczu, uśmiech wydawał się przyklejony na stałe do jego ust. Spośród wszystkich mieszkańców jemu zapewne najbardziej był nie w smak wczorajszy artykuł dotyczący morderstwa. Ludwig zebrał się w sobie.

Wybawienie pojawiło się nagle i niespodziewanie — w pewnej chwili do Riddera podeszła pani Lang i szepnęła mu coś na ucho. Zaraz potem oboje gdzieś zniknęli. „Chyba przyjechał Chauncy” — pomyślał Ludwig. Nic innego nie mogłoby skłonić Riddera do takiego pośpiechu.

W trzydziestotrzyletniej historii miejskich festynów pieczonego indyka w tym roku po raz pierwszy gościem honorowym nie był mieszkaniec miasteczka. To samo w sobie było jawnym dowodem, jak bardzo Medicine Creek pragnęło wyrzucić możliwie najlepsze wrażenie na doktorze Stantonie Chauncym z Kansas State University. To Chauncy miał do przyszłego poniedziałku zdecydować, czy to Medicine Creek stanie się

miejszem, gdzie założone zostanie nowe, eksperymentalne pole uprawne genetycznie zmodyfikowanej kukurydzy, czy też lokalizację otrzyma...

Wysoki, piskliwy głos wyrwał Ludwiga z chwilowego zamyślenia.

— Smicie Ludwigu, jak śmiesz! — Odwrócił się, by ujrzeć obok siebie Klick Rasmussen, jej włosy, upięte w kok przypominający gniazdo os, kołysały się na wysokości jego ramion. — Jak to możliwe, aby to, co się stało, mogło być dziełem kogoś spośród nas?

Odwrócił się do niej.

— Posłuchaj, Klick, wcale nie uważam, że...

— Skoro nie uważasz, że zrobił to ktoś z nas — zawołała Klick Rasmussen — to dlaczego napisałeś o tym w swojej gazecie?

— Ponieważ moim obowiązkiem jest przedstawiać wszystkie potencjalne teorie...

— A co z tymi słodkimi, miłymi artykułami, które zawsze publikowałeś? „Courier” był taką cudowną gazetą.

— Nie wszystkie doniesienia są miłe i przyjemne, Klick. Ale Klick nie pozwoliła mu skończyć.

— Jeśli szukasz potencjalnych podejrzanych, może powinieneś napisać o tym agencji FBI, który włóczy się po mieście, zadając dziesiątki pytań, wtykając nos w nie swoje sprawy i sącząc ci do mózgu kretyńskie teorie? Zobaczymy, co powie, kiedy to jego weźmiesz na tapetę. I jakby tego było mało, to wywlekanie na światło dzienne starych brudów, sprawy Widmowych Wojowników i Klątwy Czterdziestu Pięciu...

— Nie napisałem o tym ani słowa...

— Nie napisałeś o tym ani słowa, ale przecież każdy z nas, kto ma choć odrobinę oleju w głowie, bez trudu powinien domyślić się, o co

chodzi z tymi starymi indiańskimi strzałami, które znaleziono na polu. Jak sądzisz, z czym się to wszystkim kojarzy? Tylko tego nam brakowało, wskrzeszenia tej starej, paskudnej legendy.

— Proszę, zachowajmy zdrowy rozsądek... — Ludwig cofnął się o krok.

Widział zmierzającą w ich stronę żonę Swede'a Cahilla — Gladys. Było niedobrze. Gorzej niż się spodziewał.

Nagle tuż obok zmaterializowała się Maisie, miała na sobie biały fartuch.

— Klick, daj już spokój Smitty'emu — powiedziała. — Całe szczęście, że jest tu z nami. Większość hrabstw równie małych jak nasze nie ma własnej gazety, a co dopiero mówić o własnym dzienniku.

Klick cofnęła się o krok. Ludwig był wdzięczny Maisie, tym bardziej że wiedział, iż te dwie kobiety nie darzyły się wzajemnie sympatią. Maisie była chyba jedyną osobą w tym kościele, na widok której Klick tak szybko była gotowa dać tyły. Klick na odchodne posłała Ludwigowi jeszcze jedno złowieszcze spojrzenie, odwróciła się na pięcie, podeszła do Gladys Cahill, po czym obie, rozmawiając półgłosem, ruszyły w stronę stołów z pieczonymi indykami.

Ludwig spojrzał na Maisie.

— Dzięki za ocalenie.

— Zawsze się o ciebie troszczyłam, Smit. — Mrugnęła do niego i skierowała się w stronę stanowiska krojenia indyków.

Ludwig już miał pójść za nią, gdy nagle zorientował się, że w kościele zapadła głucha cisza. Rozmowy ucichły. Spojrzenia wszystkich skierowały się w stronę wejścia. Ludwig instynktownie uczynił to samo. W drzwiach

stała ubrana na czarno postać odcinająca się wyraźnie na tle złocistego nieba.

Pendergast.

Było coś przerażającego i osobliwego w sposobie, w jaki agent FBI przystanął w progu, skąpany w blasku słońca jak rewolwerowiec wchodzący nonszalancko do saloonu. Agent ruszył różnym krokiem naprzód, lustrując wzrokiem tłum, aż w końcu jego spojrzenie padło na Smita Ludwiga. Pendergast w jednej chwili ruszył w jego stronę, przeciskając się przez tłum.

— Cieszę się, że pana widzę, panie Ludwig — powiedział. — Nie znam tu nikogo prócz pana i szeryfa, a przecież nie mogę oczekiwać, że nasz wielce zajęty stróż prawa zechce poświęcić mi swój cenny czas, aby dokonać niezbędnej prezentacji. Chodźmy, pan przodem, bardzo proszę.

— Ja przodem? — zawtórował Ludwig.

— Potrzebny mi ktoś, kto dokona prezentacji, panie Ludwig. Tam, skąd pochodzę, uważa się za afront, gdy ktoś sam przedstawia się innym, bez udziału osoby trzeciej. Jako wydawca, redaktor naczelny i główny dziennikarz „Cry County Couriera” musi pan znać wszystkich mieszkańców tego miasta.

— Raczej tak.

— Doskonale. Może zaczniemy od pani Rasmussen? O ile dobrze zrozumiałem, to jedna z bardziej znanych kobiet w Medicine Creek.

Ludwig zamarł w przerażeniu. Dlaczego właśnie Klick Rasmussen, od której tak bardzo chciał się trzymać z daleka? Ludwig z konsternacją rozejrzał się wokoło. Klick stała przy jednym ze stołów z pieczonymi indykami wraz z Gladys Cahill i resztą ich ferajny.

— Jest tam — rzekł i począłpał w jej kierunku jak na ścięcie.

Gdy podeszli bliżej, kobiety niespodziewanie zamilkły. Ludwig zauważył, że Klick zerka na Pendergasta, nie usiłując ukrywać swojej dezaprobaty.

— Chciałbym przedstawić... — zaczął Ludwig.

— Wiem doskonale, kim jest ten człowiek. Chciałam tylko powiedzieć jedno...

Przerwała nagle, gdy Pendergast uklonił się, ujął ją za rękę i uniósł dłoń kobiety szarmanckim gestem, zbliżając ją na kilka centymetrów do swoich ust.

— To naprawdę wielka przyjemność, pani Rasmussen. Nazywam się Pendergast.

— Och — szepnęła Klick. Jej dłoń zwiotczała.

— Jak rozumiem, te dekoracje są pani dziełem, pani Rasmussen.

Ludwig zastanawiał się, co dzięki tym teatralnym gestom i słodkim słówkom chciał osiągnąć Pendergast. Południowy akcent agenta wpatrującego się w Klick swymi dziwnymi oczami stał się jeszcze bardziej słodki niż zazwyczaj. Ludwig z trudem powstrzymał uśmiech cisnący mu się na usta, gdy stwierdził, że Klick najzwyczajniej w świecie spiekła raka.

— Owszem, tak — odparła.

— Są czarujące.

— Dziękuję, panie Pendergast.

Pendergast ponownie się uklonił. Wciąż trzymał kobietę za rękę.

— Sporo o pani słyszałem i bardzo się cieszę, że mogłem poznać panią osobiście.

Klick zaczerwieniła się jeszcze bardziej. W tej samej chwili obok żony

pojawił się Melton Rasmussen, który najwyraźniej obserwował całą tę scenę z boku.

— Proszę, proszę — rzekł serdecznym tonem, wyciągając rękę i stając pomiędzy swą pulchną, zapłonioną małżonką a Pendergastem. — Witamy w Medicine Creek. Jestem Mel, Melton Rasmussen. Szkoda, że poznajemy się w takich okolicznościach, ale spodziewam się, że nawet teraz Medicine Creek pozwoli panu poznać prawdziwe znaczenie słów „kansaska gościnność”.

— Powitanie miałem naprawdę gorące, a na gościnność nie mogę narzekać, panie Rasmussen — odparł Pendergast, po czym uściśnił mu dłoń.

— Skąd pan pochodzi, Pendergast? Nie potrafię tego określić po pańskim akcencie.

— Z Nowego Orleanu.

— Ach, Nowy Orlean, wielkie miasto. Czy to prawda, że jada się tam aligatory? Słyszałem, że smakują jak kurczaki.

— Powiedziałbym, że raczej jak iguana lub wąż aniżeli kurczak.

— No tak. Wobec tego zostanę lepiej przy indyku — rzucił Rasmussen i roześmiał się. — Proszę odwiedzić mnie któregoś dnia w moim sklepie. Zapraszam.

— Dziękuję za zaproszenie.

— No dobrze — rzekł Rasmussen, podchodząc nieco bliżej. — Co słyhać? Jakies nowe wieści? Moze nowy trop?

— Sprawiedliwość nie śpi, panie Rasmussen.

— Szczerze mówiąc, mam własną teorię na ten temat. Chciałby pan ją poznać?

— Z przyjemnością.

— To robota tego faceta, który obozuje nad strumieniem, Gasparilli. Warto byłoby uważniej mu się przyjrzeć. To dziwak. Zawsze był taki.

— Daj spokój, Mel — złązała go Klick. — Wiesz, że zjawia się tu od lat i nigdy nie było z nim kłopotów.

— Nie wiadomo, kiedy komuś takiemu odbije szajba. Niby dlaczego ten facet obozuje nad strumieniem? Nie podoba mu się w naszym mieście?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Klick spojrzała poza swego małżonka, a jej rozdziawione małe usta przybrały kształt litery O.

Ludzie zebrani w kościele zaczęli szemrać. Rozległy się krótkie oklaski. Ludwig odwrócił się, by ujrzeć Art Riddera i szeryfa w towarzystwie jakiegoś nieznajomego. Mężczyzna był niski, miał starannie przystrzyżoną bródkę i nosił jasnoniebieski garnitur. Z tyłu za nimi szła pani Lang i kilka innych bardziej znanych w miasteczku kobiet.

— Panie i panowie, przyjaciele i sąsiedzi, mieszkańcy Medicine Creek! — zagrział Art Ridder. — Mam niewątpliwy zaszczyt przedstawić tegorocznego gościa honorowego, doktora Stanton Chauncy'ego z Uniwersytetu Stanowego Kansas!

Rozległy się gromkie oklaski i kilka przeciągłych gwizdów. Mężczyzna o nazwisku Chauncy przystanął, uklonił się lekko do zebranych, po czym odwrócił się do nich tyłem i zaczął dyskutować o czymś z Ridderem. Oklaski stopniowo ucichły.

— Panie Ludwig — rzekł Pendergast. — Tam pod ścianą stoi grupka dżentelmenów... Kim oni są?

Ludwig spojrzał we wskazanym kierunku. Czterech czy pięciu mężczyzn w ogrodniczkach popijało lemoniadę i rozmawiało o czymś

półgłosem między sobą. Nie przyłączyli się do owacji, lecz przyglądali się Chauncy'emu z nieskrywaną nieufnością i podejrzliwością.

— A, to Dale Estrem i pozostali członkowie Wspólnoty Farmerów — odparł Ludwig. — Ostatni twardzi faceci. Antyglobaliści. Ostatni, którzy nie sprzedali swojej ziemi wielkim koncernom rolniczym. Tylko oni mają własne farmy w okolicy Medicine Creek.

— Dlaczego nie dzielą radości i entuzjazmu pozostałych mieszkańców miasteczka?

— Wspólnota Farmerów jest przeciwna uprawom genetycznie modyfikowanej kukurydzy. Obawiają się, że może dojść do krzyżowania gatunków i zniszczenia ich własnych upraw.

Ridder przedstawiał obecnie przybysza z Kansas State wybranym grupkom osób.

— Chciałbym, aby przedstawił mi pan kilku osobom — rzekł Pendergast. — Na przykład pastorowi.

Ludwig przez chwilę przepatrywał tłum w poszukiwaniu pastora Wilbura, a w końcu dojrzał go stojącego samotnie w kolejce po kawałek indyka.

— Widzę go. Tam jest.

— Proszę najpierw, aby opowiedział mi pan co nieco na jego temat.

Ludwig zawahał się, nie chciał źle mówić o nikim.

— Pastor Wilbur jest w naszym mieście co najmniej od czterdziestu lat. Stara się. Chce dobrze. Tyle tylko, że... — Nie dokończył.

— Tak? — naciskał Pendergast. Ludwig poczuł się dziwnie, gdy agent spojrzał na niego przenikliwym wzrokiem.

— Chyba można powiedzieć, że nasz pastor trochę za bardzo spoczął

na laurach. Zagubił się. Nie wie, co tak naprawdę dzieje się obecnie w Medicine Creek. — Zamilkł na chwilę. — Są tacy, którzy uważają, że młody, bardziej energiczny pastor pomógłby ożywić to miasto i powstrzymać młodych od wyjazdu stąd. Wypełniłby pustkę, jaka się tu utworzyła.

— Rozumiem.

Pastor uniósł głowę, gdy do niego podeszli. Jak zawsze miał na nosie okulary do czytania, nawet jeśli w najbliższym czasie nie zamierzał niczego czytać. Zapewne chciał dodać sobie w ten sposób powagi.

— Pastorze Wilbur? — rzekł Ludwig. — Chciałbym przedstawić pastorowi agenta specjalnego Pendergasta z FBI.

Wilbur uścisnął wyciągniętą dłoń.

— Zazdroszczę panu, pastorze — powiedział Pendergast. — Pracy duszpasterskiej w społeczności takiej jak ta, w Medicine Creek.

Wilbur spojrzał dobrotliwie na Pendergasta.

— Niekiedy taka odpowiedzialność bywa straszliwie uciążliwym brzemieniem. Bądź co bądź, chodzi o setki dusz. Mam wszelako nadzieję, że właściwie wypełniam powierzone obowiązki.

— Wydaje się, że sługa boży, taki jak pan, pastorze, ma tu całkiem niezłe życie — ciągnął Pendergast.

— Bóg czasem mnie nagradza, a kiedy indziej wystawia na próby. Wszyscy pospołu skazani jesteśmy na reperkusje klątwy Adama, ale wydaje mi się, że duchowny doświadcza ich bardziej od innych. — Na twarzy Wilbura pojawił się uduchowiony, iście męczeński grymas.

Ludwig znał ten wyraz twarzy: Wilbur zamierzał zacytować kilka wersów któregoś ze swych ulubionych wierszy. Wilbur zaczął recytować.

Któż z nieustanną troską starań swych dokłada By pasterską posługę
czynić sercem całym?

Spojrzał na Pendergasta przez szkła okularów, a na jego ustach pojawił
się wyraz głębokiej satysfakcji.

— Milton, naturalnie.

— Naturalnie. Lycidas. Wilbur spieszył się.

— Tak. Chyba tak.

— Przychodzi mi na myśl jeszcze jeden znamienity wers z tej elegii.

A owce głodne łby unoszą w górę, strawy nie zaznając.

Zapadła krótka cisza. Ludwig wodził wzrokiem pomiędzy dwoma
mężczyznami, nie mogąc pojąć, co się stało i czy w ogóle cokolwiek się
wydarzyło.

Wilbur zamrugał powiekami.

— Ja...

— Nie mogę się doczekać, aby ponownie ujrzeć pastora na niedzielnej
mszy — rzucił gładko Pendergast, ponownie potrząsając dłonią Wilbura.

— Tak, tak, ja również — mruknął Wilbur; w jego głosie wciąż dało
się wyczuć nutę zdumienia i dezorientacji.

— Proszę o chwilę uwagi! — Wzmocniony, tubalny głos Arta Riddera
uciszył trwające w całym kościele rozmowy. — Panie i panowie, za
pozwoleniem, nasz szanowny gość honorowy chciałby powiedzieć teraz
kilka słów. Doktor Stanton Chauncy!

Wszyscy obecni w kościele odłożyli widelce i skupili całą uwagę na
osobie niskiego mężczyzny w jasnoniebieskim garniturze.

— Dziękuję — powiedział mężczyzna. Stał wyprostowany, z dłońmi
spłcionymi na podołku, jak podczas stypy. — Nazywam się Stanton

Chauncy. Doktor Stanton Chauncy. Reprezentuję Wydział Rolnictwa Uniwersytetu Stanowego Kansas. Ale wy już to doskonale wiecie. — Głos miał wysoki, modulowany i tak wyrazisty, że aż sztuczny. — Modyfikacja genetyczna kukurydzy to złożony temat, nie czas i nie miejsce, aby teraz o tym rozmawiać — zaczął. — Wymaga wiedzy z wielu różnych dziedzin, między innymi chemii organicznej i biologii roślin, a nie spodziewam się, by ktokolwiek z tu zebranych posiadał odpowiednie wykształcenie. — Pociągnął nosem. — Jakkolwiek postaram się w możliwie najprostszy sposób przekazać wam najważniejsze i najbardziej podstawowe informacje na ten temat.

Wszyscy zebrani na dźwięk tych słów utracili wcześniejszy entuzjazm. Wydawali się przygaszeni. Jeżeli spodziewali się usłyszeć choć kilka ciepłych słów na temat swego miasta, przygotowanego festynu czy może — choć to wydawało się mało prawdopodobne — nakłonić Chauncy'ego do szybszego podjęcia ostatecznej decyzji, spotkało ich srogie rozczarowanie. Miast tego gość wdał się w wykład na temat kukurydzy, jej odmian, uprawy i różnic, wykład tak szczegółowy, że nawet najbardziej rozentuzjasmowanemu farmerowi zaczęły kleić się oczy.

Ludwig odniósł wrażenie, że Chauncy stara się, by jego wykład był jak najbardziej nużący i nieciekawym. Znowu rozległy się ciche szepty, ten i ów ukradkiem zaczął pojadać tłuczone ziemniaki z sosem, pod ścianami zebrały się małe grupki osób znudzonych elaboratem przybysza z KSU. Dale Estrem i jego poplecznicy ze Wspólnoty Farmerów stali z tyłu w buntowniczych pozach, z zaciętym wyrazem twarzy.

Smit Ludwig przestał przysłuchiwać się wykładowi i powiódł wzrokiem dokoła. Pomimo wszystko lubił atmosferę dorocznego festynu, to

niezwykle ciepło i bliskość, typowe dla większości małych miasteczek oraz fakt, że festyn spajał całą społeczność, zmuszając nawet tych, którzy nie znosili się wzajemnie, aby byli wobec siebie uprzejmi i zachowywali się z godnością. To jedna z przyczyn, dlaczego nigdy nie chciał stąd wyjechać, nawet po śmierci żony. W Medicine Creek nie sposób się było zgubić. Tu ludzie troszczyli się o siebie nawzajem, o nikim nie zapominali i każdy miał swoje miejsce. W LA tak nie było. Tam ludzie każdego dnia umierali samotnie, nie zaznawszy miłości. Córka często do niego dzwoniła, nakłaniała, by przeniósł się do Los Angeles, aby zamieszkał bliżej niej. On jednak postanowił, że dokona żywota właśnie tu, w Medicine Creek, i zostanie pochowany na cmentarzu przy Deeper Road, obok żony.

Spojrzał na zegarek. Skąd te ponure myśli? Miał do napisania artykuł, nawet jeśli sam wyznaczał sobie terminy oddania tekstu do składu. Najwyższy czas, aby wrócił do domu i wziął się do pracy.

Cichcem jął skradać się w stronę otwartych drzwi. Widział przez nie rozświetlony promieniami popołudniowego słońca szeroki, zielony trawnik przed kościołem. Strugi żaru lejące się z nieba na trawnik, parking opodal i bezkresne pola kukurydzy były niczym niewidzialny koc zatykający usta i zapierający dech. Ale pomimo upału, duchoty i nieprzyjemnej wilgoci w powietrzu Smit Ludwig odetchnął z ulgą. Mieszkańcy miasteczka mogli go potraktować znacznie mniej wyrozumiale. Na szczęście miał Maisie, która stale o niego dbała. No i Pendergast także trochę mu pomógł. Po chwili zastanowienia reporter stwierdził, że miał temat na artykuł i choć przyjdzie mu napisać raz jeszcze o dorocznym festynie pieczonego indyka, ten tekst będzie

odmienny od wcześniejszych. Opisz wszystko w pełni obiektywnie. Od samego początku. Początek był raczej ponury — tak to przynajmniej odebrał — typowo stoicki, przedstawienie musi trwać, wbrew wszystkiemu. Jednak w miarę upływu czasu posępny nastrój zaczął się rozpraszać. Miasto znów było takie jak dawniej i nawet usypiający wykład Chauncy'ego, który wciąż przemawiał monotonnym głosem, nie był w stanie tego zmienić.

Trzydziesty trzeci doroczny festyn pieczonego indyka należało uznać za udany.

Ludwig stanął na stopniach kościoła, odetchnął głęboko i uniósł wzrok, spoglądając w niebo. I w tej samej chwili poczuł, że krew zastyga mu w żyłach.

Kolejne osoby jedna po drugiej wychodziły przed kościół i unosiły wzrok. Rozległy się stłumione westchnienia, lecz już po chwili ludzie zaczęli szemrać. Szmary rozchodziły się jak fale na wodzie, coraz dalej i dalej w głąb kościoła, przybierając na sile do tego stopnia, iż nieomal zagłuszyły przedłużającą się egzegezę Chauncy'ego na temat różnic w ubarwieniu ziaren kukurydzy.

— O co chodzi? — spytał Chauncy, przerywając wpół słowa. — Co się dzieje?

Nikt mu nie odpowiedział. Spojrzenia wszystkich skierowane były ku złocistemu niebu, na którym widniały złowrózbnne sylwetki stada ścierwojadów zataczających leniwie coraz węższe kręgi ponad łąkami.

CZTERNAŚCIE

Kiedy Corrie Swanson przyjechała pod kościół, ujrzała ludzi stojących na trawniku, zbitych w ciasne grupki i mamroczących coś trwożliwie. Od czasu do czasu ktoś odłączał się od grupki i spoglądał w stronę pól. Było tu z pół setki ludzi, ale Corrie nie zauważyła wśród nich Pendergasta. To dziwne, bo przecież zażyczył sobie, aby tu właśnie po niego przyjechała. Bardzo nalegał.

Nieomal odetchnęła z ulgą, stwierdziwszy, że nie było go tutaj. Przez

Pendergasta mogła tylko napytać sobie większej biedy, a w tym mieście i tak już wszyscy mieli ją za niezłe ziółko, czuła to w kościach. Była numerem jeden na lokalnej czarnej liście. Znow zaczęła zastanawiać się, w co się właściwie wpakowała. Pieniądze nadal tkwiły w schowku na rękawiczki. Ten federalny wpakuje ją w kłopoty, a potem wyjedzie, a ona nadal zostanie tu, w Medicine Creek, ponosząc konsekwencje swych decyzji. Gdyby miała dość oleju w głowie, oddałaby mu pieniądze i umyła ręce. Nie powinna w ogóle mieszać się w tę sprawę.

Drgnęła odruchowo, gdy czarna postać zmaterializowała się, jakby znikąd, tuż obok jej auta. Pendergast otworzył drzwi od strony pasażera i miękko jak kot wślizgnął się do środka. Jego ruchy czasami ją przerażały.

Sięgnęła do deski rozdzielczej i przyciszyła włączony na cały regulator Starfucker kapeli Nine Inch Nails.

— Dokąd, agencie specjalny? — spytała możliwie jak najbardziej obojętnym tonem.

Pendergast wskazał w kierunku pól.

— Czy widzi pani te ptaki?

Przysłoniła oczy dłonią, spoglądając w stronę zachodzącego słońca.

— Ma pan na myśli te urubu różowogłowe? Tak, widzę. Ale o co chodzi?

— Tam właśnie pojedziemy.

Rozgrzała silnik, samochód zadygotał, zadrżał, rzygnął czarnym dymem z rury wydechowej.

— Nie ma tam żadnych dróg, a mój wóz to gremlin, a nie hummer, o ile jeszcze pan tego nie zauważył.

— Bez obawy, panno Swanson, nie ugrzęźnie pani na polu. Proszę

ruszyć wzdłuż Cry Road na zachód.

— Nie ma sprawy. — Wcisnęła gaz, a gremlin, dygocząc z wysiłku, potoczył się naprzód. — Jak było na festynie? — spytała. — To każdego roku wielka uroczystość w tej zabitej dechami dziurze.

— Sporo się dowiedziałem z antropologicznego punktu widzenia.

— Antropologicznego? Tak, no jasne, agent specjalny Pendergast wśród dzikich plemion. Czy przedstawili już tego gościa z KSU, tego, który chce tu hodować radioaktywną kukurydzę?

— Genetycznie modyfikowaną. Owszem, tak.

— I jak ten facet? Ma trzy głowy?

— Jeżeli nawet miał, to dwie pozostałe musiano mu usunąć, gdy był jeszcze niemowlęciem.

Corrie spojrzała na federalnego. Agent patrzył na nią z typowym spokojnym, łagodnym wyrazem twarzy. Nie uśmiechał się. Leżał rozciągnięty na złamanym fotelu. Patrząc na niego, Corrie nigdy nie umiała wyczuć, kiedy żartował, a kiedy mówił poważnie. To był chyba najdziwniejszy dorosły, jakiego kiedykolwiek spotkała, a biorąc pod uwagę indywidua krążące po Medicine Creek, takie stwierdzenie musiało znaczyć wiele.

— Panno Swanson. Prędkość.

— Przepraszam. — Przyhamowała. — Sądziłam, że wy z FBI wszędzie jeździcie tak szybko, jak się wam podoba.

— Jestem na urlopie.

— Szeryf nawet gdy nie ma służby, nigdy nie zwalnia poniżej stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. I zawsze wiadomo, kiedy w Kole u Wozu serwują świeże ptysie. Wtedy pruje tam z prędkością stu

dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu.

— Panno Swanson, widzi pani radiowóz szeryfa? Proszę zatrzymać się tuż za nim.

Corrie przymrużyła lekko powieki, próbując przeniknąć gęstniejącą ciemność. W oddali dostrzegła radiowóz stojący na poboczu po drugiej stronie drogi, z obracającym się i błyskającym na czerwono kogutem. Powyżej, jakieś czterysta metrów w głąb pola, zauważyła krążące stado ścierwojadów.

Dopiero teraz zrozumiała.

— Jezu — jęknęła. — Czyżby jeszcze jeden? Oby nie...

— To się okaże.

Corrie zatrzymała gremlina za radiowozem i włączyła migacze.

Pendergast wsiadł.

— To może trochę potrwać.

— Nie zabierze mnie pan z sobą?

— Obawiam się, że nie.

— Nie ma sprawy, mam książkę. Poczytam sobie troszkę. Patrzyła, jak Pendergast znika pomiędzy łąkami. Ogarnęło ją lekkie rozdrażnienie. Po chwili zerknęła na tylne siedzenie. Zawsze miała tam pięć lub sześć książek z gatunku science fiction, horroru lub splatterpunka, od czasu do czasu trafiał się także romans dla młodzieży, choć Corrie nie pozwoliła, aby ktokolwiek kiedykolwiek przyłapał ją na takiej lekturze. Może w oczekiwaniu na powrót agenta zacznie czytać nowy technothriller Poza granicą lodu. Sięgnęła po książkę, nagle jednak zmitygowała się. Nie wiedzieć czemu, perspektywa siedzenia w aucie i zabijania czasu lekturą

książki nie wydawała się jej tak frapująca jak zazwyczaj. Ponownie spojrzała na ptaki. Krążyły wyżej niż przed chwilą. Nawet teraz, w gęstniejącym zmierzchu zauważyła, że były mocno spłoszone. Może szeryf je wystraszył. Ogarnęło ją nagle zaciekawienie, na tym polu mogło znajdować się coś znacznie ciekawszego niż perypetie bohaterów którejkolwiek z jej eskapistycznych powieści.

Odrzuciła książkę z powrotem na tylne siedzenie i parsknęła ze zniecierpliwieniem. Pendergast nie powinien jej tak zostawiać. Miała takie samo prawo jak wszyscy inni, by zobaczyć, co się tam wydarzyło.

Otworzyła drzwi i ruszyła między łany. Na ziemi dostrzegła wyraźne, pozostawione przez Hazena ślady. Były też drugie, nieco węższe, nakładające się na tamte, zapewne należały do dobrodusznego, choć ciemnego jak tabaka w rogu Tada — zastępcy szeryfa. A obok nich płytkie, słabo odcisnięte ślady stóp Pendergasta. Na polu było duszno i gorąco. Pomiedzy łanami człowieka instynktownie ogarniało nieprzyjemne uczucie klaustrofobii. Kukurydza sięgała Corrie powyżej głowy, a gdy dziewczyna przechodziła obok, łodygi szeleściły, szumiały i obsypywały ją pyłkiem oraz kurzem. Niebo jeszcze nie pociemniało zupełnie, ale na polu wydawało się, jakby zapadła już noc. Corrie stwierdziła, że oddycha coraz szybciej. Zaczęła mieć wątpliwości, czy postąpiła słusznie. Nigdy dotąd nie wędrowała po polu. Odkąd pamiętała, nie znosiła pól kukurydzy. Wiosną pola były jeszcze puste, wielkie maszyny orały ziemię, pozostawiając po sobie tumany kurzu, które spowijały całe miasteczko; często znajdowała wówczas w swoim łóżku ziarnka piasku. Potem zaczynała rosnać kukurydza i przez cztery miesiące ludzie nie rozmawiali o niczym innym, jak tylko o pogodzie. Wzdłuż drogi

z wolna zamykały się wywołujące uczucie klaustrofobii ściany kukurydzy. Jadąc tamtędy, odnosiło się wrażenie przemierzania niekończącego się tunelu zieleni. Obecnie kukurydza dojrzewała, nabierała złocistego odcienia i niebawem znów pojawią się wielkie maszyny, po których na polach zostaną jedynie szpetne ścierniska.

To było okropne, kurz wdzierał się jej do nosa, powodował łzawienie oczu, woń pleśni i wilgoci dławiła w gardle, przyprawiała o mdłości. I w dodatku cała ta kukurydza zamiast wyżywić głodnych ludzi, zostanie wykorzystana jako surowiec do wyrobu biopaliwa. To było chore. Pochrzanione, kretyńskie i chore.

Nagle, zgoła niespodziewanie, Corrie wyszła na niedużą wydeptaną przecinkę. Był tam szeryf z Tadem. Z latarkami w dłoniach pochylali się nad czymś. Pendergast stał nieco z boku, a kiedy wyszła na polanę, odwrócił się do niej, jego blade oczy nieomal lśniły w blasku zachodzącego słońca.

Serce podeszło Corrie do gardła. Pośrodku przecinki leżały jakieś zwłoki. Kiedy jednak zmusiła się, by na nie spojrzeć, stwierdziła, że to tylko truchło psa. Zwierzę było brązowe, napęczniałe od gazów gnilnych, tak że sierść na jego ciele zjeżyła się, nadając mu osobliwy wygląd. Przypominał dziwną czworonożną nadymkę. W nieruchomym powietrzu unosiła się odrażająca, słodkawa woń, słychać też było drażniące brzęczenie much.

Szeryf odwrócił się.

— Cóż, Pendergast — powiedział jowialnym tonem — wygląda na to, że fatygowaliśmy się tu na darmo.

Nagle jego wzrok padł na stojącą opodal Corrie. Patrzył na nią przez

kilka chwil, po czym znów przeniósł wzrok na agenta FBI. Pendergast nie odezwał się słowem.

Agent wyjął z kieszeni niedużą latarkę i skierował jej promień na obrzmiałe ciało. Corrie zrobiło się niedobrze; rozpoznała tego psa. Był to brązowy labrador należący do syna Sweda Cahilla, miłego, piegowatego dwunastolatka.

— W porządku, Tad — rzekł szeryf, klepiąc swego chudego zastępcę po ramieniu. — Widzieliśmy już wszystko, co trzeba. Zabierajmy się stąd.

Pendergast wyszedł na środek przecinki, ukląkł i zajął się oględzinami psa. Spłoszone muchy wzbiły się w górę i unosiły się czarną chmurą nad truchłem zwierzęcia.

Szeryf minął Corrie bez słowa, po czym przystanął na skraju polany.

— Pendergast? Idzie pan? — rzucił przez ramię.

— Nie skończyłem jeszcze oględzin.

— Znalazł pan coś ciekawego? Zapadła cisza.

— Mamy do czynienia z kolejnym zabójstwem — stwierdził po chwili Pendergast.

— Kolejnym zabójstwem? To tylko martwy pies leżący na polu, a my znajdujemy się trzy kilometry od miejsca, gdzie znaleziono zwłoki Sheili Swegg.

Corrie patrzyła ze zgrozą, jak agent FBI podnosi łeb psa, porusza nim delikatnie z boku na bok, odkłada, świeci latarką w głąb pyska, do uszu i ogląda bok zwierzęcia. Gniewne brzęczenie much przybrało na sile.

— No i co? — spytał szeryf bardziej stanowczym tonem.

— Temu psu skrecono kark w bardzo brutalny sposób — odparł Pendergast.

— Potrafił go samochód. Przywłókł się tu, aby zdechnąć. To się często zdarza.

— Samochód nie pozbawiłby psa ogona.

— Jakiego ogona?

— No właśnie.

Szeryf i Tad równocześnie oświetlili zad zwierzęcia. W miejscu, gdzie kiedyś znajdował się ogon, widniał jedynie postrzępiony różowy kikut z białą kością pośrodku.

Szeryf nic nie powiedział.

— Tutaj zaś — Pendergast poświecił latarką między łany — znajdzie pan, jak sądzę, odciski stóp zabójcy. Ślady bosych stóp rozmiar czterdzieści cztery i pół, kierujące się z powrotem w stronę strumienia. Identyczne jak te, które odkryto na miejscu pierwszego zabójstwa.

Znów zapadła cisza. Wreszcie szeryf odezwał się.

— No cóż, Pendergast, jedyne, co mogę powiedzieć — poczułem gwałtowną ulgę. Uważał pan, że mamy tu do czynienia z seryjnym zabójcą. Teraz wiemy już, że to jakiś szajbus. Zabić psa i odciąć mu ogon. Chryste Panie.

— Z pewnością zauważył pan tu pewną zasadniczą różnicę.

Temu zabójstwu nie towarzyszył rytuał, brak oznak, że zwłoki zostały w odpowiedni sposób przygotowane.

— A więc?

— Nie pasuje do schematu. To naturalnie oznacza, że mamy do czynienia z nowym wzorcem, a nawet, powiedziałbym, całkiem nowym typem.

— Czego?

— Raczej kogo. Seryjnego zabójcy. Hazen teatralnie wywrócił oczami.

— W moim mniemaniu nadal mamy do czynienia tylko z jednym morderstwem. Pies się nie liczy. — Odwrócił się do swego zastępcy. — Wezwij koronera, aby zabrał tego psa do Garden City i przeprowadził autopsję. Sprowadź techników i ekspertów, niech przeczeszą ten teren i uważnie przyjrzą się wszystkim śladom, które tutaj znajdują. Gliniarze z policji stanowej muszą postawić tu warty. Chcę, aby to miejsce zostało całkowicie odizolowane. Nie ma wstępu dla osób postronnych. Żadnych wyjątków. Rozumiemy się?

— Tak jest, szeryfie.

— To dobrze. A teraz, Pendergast, mam nadzieję, że wyprowadzi pan osobę postronną z tego miejsca, i to natychmiast.

Corrie drgnęła, gdy omiótł ją promień latarki szeryfa.

— Chyba nie ma pan na myśli mojej asystentki, szeryfie?

Zapadła głucha cisza. Corrie spojrzała na agenta, zastanawiając się, jaką grę właśnie rozpoczął. Asystentka? Powróciły wcześniejsze podejrzenia. Pewnie następną rzeczą, jaką zechce zrobić, będzie próba uwiedzenia jej. Asystentka do łóżka. A to dobre. Nieźle się wpakowała.

Po chwili szeryf znów się odezwał.

— Asystentka? Ma pan na myśli to ladaco, które stoi obok pana i któremu grozi oskarżenie o zabór mienia? Nawiasem mówiąc, w stanie Kansas jest to uznawane za bardzo poważne przestępstwo.

— Owszem, tak. Szeryf skinął głową.

— Jestem z natury cierpliwy, panie Pendergast — dodał po chwili łagodniejszym tonem. — Ale wiedz pan jedno — wszystko ma swoje granice.

Zapadła długa cisza. Wreszcie Pendergast odwrócił się do Corrie.

— Panno Swanson, czy zechciałaby pani z łaski swojej potrzymać mi latarkę, kiedy będę badał zad tego psa?

Zatykając nos, gdyż smród był potworny, Corrie wzięła od agenta latarkę i poświeciła we wskazane przez niego miejsce, świadoma, że szeryf Hazen stał za nią i przyglądał się jej z taką intensywnością, że aż zjeżyły się jej krótkie włoski na karku.

Pendergast odwrócił się, wstał i położył dłoń na ramieniu szeryfa. Mężczyzna spojrzał na nią tak, jakby chciał ją odtrącić.

— Szeryfie Hazen — rzekł Pendergast z powagą i szacunkiem w głosie. — Może się panu wydawać, że zjawilem się tutaj tylko po to, aby zrobić panu na złość. Zapewniam solennie, że wszystko, co robię, jest w pełni uzasadnione. Mam nadzieję, że będzie pan nadal wykazywał się tak wielką cierpliwością jak dotychczas, znosząc — jeszcze przez jakiś czas — zarówno moją skromną obecność, nieortodoksyjne metody działania, jak i obecność mojej asystentki.

Szeryf potrzebował kilku chwil, aby to przetrawić. Kiedy znów się odezwał, jego ton głosu wyraźnie złagodniał.

— Nie mogę powiedzieć, że nie podoba mi się, w jaki sposób prowadzi pan śledztwo. Wy, federalni, zawsze zapominacie, że kiedy już schwytamy podejrzanego, musimy jeszcze udowodnić mu winę. Wie pan, jak to jest w tych czasach — wystarczy coś pochrzanić w materiale dowodowym i rzekomy sprawca wychodzi na wolność. — Spojrzał na Corrie. — Przydałoby się jej oficjalne zezwolenie na udział w śledztwie. Dzięki temu miałyby bezproblemowy wstęp na miejsce zbrodni.

— Otrzyma je.

— Poza tym niech pan weźmie pod uwagę, co pomyślą o niej przysięgli, gdy stanie przed nimi w obroży z ćwiekami i fioletowymi, sterczącymi włosami. Że nie wspomnę o przestępstwach, jakie ma na koncie.

— Tym zajmiemy się w swoim czasie.

Szeryf spojrział na agenta przenikliwym wzrokiem.

— No to dobrze. Zostawiam pana sam na sam z reksiem. Proszę pamiętać o tym, co panu powiedziałem. Chodź, Tad, mamy jeszcze sporo roboty.

Odwrócił się, zapalił papierosa i zniknął między łanami. Zastępca podążył w ślad za nim. Gdy odeszli, na polu zapanowała cisza.

Corrie cofnęła się o kilka kroków od ciała psa.

— Agencie Pendergast?

— Panno Swanson?

— Co ma znaczyć ten bajer z „asystentką”?

— Uznałem, że chce nią pani zostać, nie przestrzegając moich poleceń i przychodząc tutaj, dzięki czemu zrozumiałem, że interesują panią tajniki przestępstw i prowadzenia dochodzeń kryminalnych.

Czy Pendergast znowu żartował?

— Po prostu nie lubię, jak ktoś zostawia mnie samą. Nie znam się na policyjnej robocie. Nie umiem pisać na maszynie ani na komputerze. Kiepska byłaby ze mnie sekretarka i asystentka pewnie też nie najlepsza. Nie umiem stenografować, czy jak się nazywa to, co robią zazwyczaj asystentki.

— Nie wymagam tego od pani. Może to panią zdziwi, ale przemyślałem sprawę dokładnie i stwierdziłem, że będzie pani wspaniałą

asystentką. Potrzeba mi kogoś, kto zna to miasto, jego mieszkańców i ich sekrety, a zarazem jest outsiderem i trzyma się zdecydowanie na uboczu. Kogoś, kto będzie mi mówił całą prawdę i tylko prawdę, nie próbując jej ubarwiać ani wybielać. Czy nie jest pani taką właśnie osobą?

Corrie zamyśliła się przez chwilę. Outsider, trzymający się na uboczu. Choć przyznawała to z niechęcią pasowała do tej charakterystyki jak ulał.

— Awans jest równoznaczny z podwyżką do wysokości stu pięćdziesięciu dolarów za dzień. Wszystkie dokumenty mam w wozie, włącznie z zezwoleniem na pani przebywanie na miejscach zbrodni. To oznacza zarazem, że będzie pani musiała wypełniać moje polecenia co do joty. Koniec z wychodzeniem z samochodu, kiedy przyjdzie pani na to ochota. Szczegóły pani nowych obowiązków omówimy nieco później.

— Kto wypłaca mi te pieniądze? FBI?

— Będę płacił pani z własnej kieszeni.

— Przecież pan wie, że nie jestem tego warta. Wyrzuca pan pieniądze w błoto.

Pendergast odwrócił się i spojrzał na nią. Także i tym razem przenikliwość jego spojrzenia poraziła ją do głębi.

— Wiem już jedno, mamy do czynienia z wyjątkowo niebezpiecznym zabójcą i nie możemy tracić czasu. Potrzebuję pani pomocy. Chodzi o ludzkie życie.

— Rozumiem, ale jak mogłabym panu pomóc? Szeryf ma rację. Jestem tylko tępą, zbuntowaną nastolatką.

— Panno Swanson, niech pani nie gada bzdur. To jak, umowa stoi?

— Stoi. Ale jestem tylko asystentką. Nikim więcej. Niech pan wybije sobie z głowy, że mogłabym mu świadczyć po godzinach inne usługi.

Spojrzał na nią.

— Że co proszę?

— Jest pan facetem. Wie pan, o czym mówię. Pendergast machnął ręką.

— Panno Swanson, zbliżenie, które pani sugeruje, jest dla mnie nie do pomyślenia. Pochodzimy z dwóch różnych światów. Dzieli nas spora różnica wieku, temperamentu, wychowania, środowiska, a także skądinąd względna, aczkolwiek diametralnie odmienna pozycja społeczna, nie mówiąc już o tym, że nosi pani kolczyk na języku. Moim zdaniem taki związek, choć zapewne pozwoliłby nam zająć się innymi, bardziej przyjemnymi i absorbującymi rzeczami, byłby nader nierozważny i niewskazany.

Corrie przyjęła jego wyjaśnienie z lekkim rozdrażnieniem.

— Nie podoba się panu mój przekłuty język?

— W zasadzie nic do niego nie mam. Kobiety z plemienia Wimbu na Andamanach przekłuwają wargi sromowe i przeplatają przez otwory sznurki z nanizanymi na nie muszlami ślimaka porcelanki. Tym samym, przy każdym ruchu muszle pobrzękują pod ich spódniczkami. Mężczyźni uważają, że to bardzo podniecające.

— To obrzydliwe! Pendergast uśmiechnął się.

— W takim razie muszę stwierdzić, że nie jest pani kulturową relatywistką, za jaką panią uważałem.

— Wie pan co? Prawdziwy z pana dziwak.

— Na tym polega cały mój urok, panno Swanson. — Odebrał od niej latarkę i ponownie oświetlił zad psa. — A teraz jako moja asystentka może pani na początek powiedzieć mi, czyj to pies.

Mimowolnie zerknęła na obrzmiałe cielsko zwierzęcia.

— To Jiff. Należał do Andy'ego, syna Swede'a Cahilla.

— Czy Jiff nosił obrozę?

— Tak.

— Czy zwykle biegał wolno?

— Większość psów w mieście biega swobodnie, pomimo nakazu wyprowadzania ich na smyczy.

Pendergast skinął głową.

— Wiedziałem, że nie bez kozery pokładam w pani moje zaufanie.

Corrie spojrzała na niego z rozbawieniem.

— Niezły z pana aparat.

— Dziękuję. Najwyraźniej mamy ze sobą coś wspólnego. Zapadła cisza. Pendergast powrócił do oględzin psa, Corrie

zaś jeszcze przez chwilę zastanawiała się, czy powinna potraktować słowa agenta jak obelgę, czy raczej jako komplement. Kiedy jednak skierowała wzrok w stronę napuchniętego truchła psa, poczuła pod sercem ukłucie żalu, był on silniejszy niż smród czy drażniące brzęczenie much.

Andy Cahill załamał się. Ktoś musiał mu przekazać smutną nowinę i wyglądało na to, że ten nieprzyjemny obowiązek właśnie jej przypadnie w udziale. Nie mogła

pozostawić tego szeryfowi ani jego zastępcy, którzy z pewnością nie wywiązałyby się z tego zadania jak należy.

Pomimo iż miała wysokie mniemanie o Pendergastie, on także nie wydał się jej odpowiednią osobą do przekazania smutnej wiadomości dwunastolatkowi. Uniosła wzrok i z niejakim zdziwieniem stwierdziła, że Pendergast przyglądał się jej w milczeniu.

— Tak — powiedział. — Wydaje mi się, że właśnie pani jest najbardziej odpowiednią osobą, aby powiadomić Andy'ego Cahilla o tym tragicznym wydarzeniu.

— Skąd pan...?

— Przy okazji, panno Swanson, mogłaby pani dowiedzieć się czegoś więcej na temat okoliczności zaginięcia Jiffa; kiedy Andy widział go po raz ostatni i dokąd mógł pójść jego nieszczęsny labrador.

— Innymi słowy, chce pan, abym pobawiła się w detektywa.

Pendergast skinął głową.

— Bądź co bądź, jest pani moją nową asystentką.

PIĘTNAŚCIE

Margery Tealander siedziała za starym, drewnianym biurkiem w swoim spartańsko urządzonej gabinecie, taśmowo wycinając kupony i przez cały czas zerkając jednym okiem na teleturniej *Dobra cena*. Obraz na ekranie starego, czarno-białego telewizora był tak marny, że musiała podkreślić głos, aby połapać się w przebiegu gry. Choć w gruncie rzeczy niewiele się dziś działo, rzadko widywała tak kiepskich uczestników. Podawali ceny zawyżone, wręcz z sufitu, albo potwornie zaniżone, o trafieniu tej właściwej w zasadzie nie było mowy. Przerwała wycinanie, aby spojrzeć na ekran, i wyteżyła słuch. Wszyscy uczestnicy podali już swoje propozycje kolejnej ceny, z wyjątkiem chudej, na oko dwudziestoletniej Azjatki.

— Moja propozycja ceny to tysiąc czterysta jeden dolarów, Bob — rzekła dziewczyna z nieśmiałym uśmiechem i pochyliła głowę.

— Święci pańscy! — Marge cmoknęła z dezaprobatą i powróciła do przerwanej gry. Tysiąc czterysta dolarów za byle maytaga? Na jakiej ona żyła planecie? Cena powinna wynieść góra dziewięćset pięćdziesiąt dolarów.

Widownia także nie pomagała uczestnikom, każdą błędną propozycję nagradzano gromkimi, zachęcającymi okrzykami. Gdyby to ona

prowadziła ten program, poleciałaby natychmiast usunięcie z sali połowy, a może nawet więcej widzów. Zawsze obstawiała właściwą cenę, zawsze wybierała tę dobrą bramkę. I nie poprzestałaby na żalonych nagrodach pocieszenia, zestawie kuchennym, tandetnym kredensie albo rocznym zapasie pasty do podłóg. Zagrałaby o czteroipółmetrową łódź, jej kuzyn mieszkający nad jeziorem Scotta miał przystań i hangar dla łodzi. Szkoda, że teraz, kiedy zdołała w końcu przekonać Rocky'ego, aby zabrał ją do Studio City, akurat zaniemógł. Wykryto u niego rozedmę płuc. Zostawił ją samą, Panie, świeć nad jego duszą, a ona ledwie wiązała koniec z końcem. Tego już było za wiele... O, to mogło być ciekawe, dwudziestoprocentowy rabat przy zakupach produktów spożywczych na sumę trzydziestu i więcej dolarów. Coś takiego trafiało się raczej rzadko, a jako że dysponowała potrójnymi kuponami weekendowymi, oznaczało to, że mogła dokonywać zakupów właściwie za pół ceny. Musiała zebrać jak najwięcej. Jeżeli chodzi o ceny, nie ma jak Shopper's Palace w Ulysses. Naturalnie bliżej było Red Owl w Garden City, ale jeśli chciałeś zaoszczędzić jak najwięcej grosza, Palace bił wszystkie inne sklepy na głowę. A w czasie wielkich sobotnich wyprzedaży mogła dostać rabat w wysokości trzech centów za każdy litr zwykłej benzyny, to powinno z nawiązką wynagrodzić jej trud związany z nadłożeniem drogi i wyprawą do Ulysses. Co prawda nie przepadała za Erniem, który traktował większość klientów z góry, ale cóż, czasy były ciężkie i należało przywyknąć do pewnych skądinąd drobnych niewygód... O, to dopiero dobre. Cena maytaga — dziewięćset dwadzieścia pięć dolarów. Pewnie, że chciała go mieć. Może uda się jej namówić Alice Franks, aby sprawdziła kursowanie autobusów, ciekawe, czy...

Nagle Marge zorientowała się, że przed jej biurkiem stał dziwnie wyglądający mężczyzna.

— Wielkie nieba! — Marge natychmiast ściszyła telewizor. — Młody człowieku, ale mnie pan wystraszył! — Był to mężczyzna w czarnym garniturze, ten sam, którego widziała niedawno.

— Pani wybaczy — odparł mężczyzna. Jego oddech był przesycony wonią miętówek, pralinek i cyprysów. Ukłonił się lekko, następnie stanął przed nią z rękoma opuszczonymi po bokach. Miał wąskie, spiczaste palce z paznokciami, które — jak stwierdziła z niejakim zaskoczeniem — poddano subtelnemu, lecz bardzo profesjonalnemu manikiurowi.

— Niech pan nie przeprasza — odparła. — Tylko niech się pan tak już więcej nie skrada. Ale, ale, co mogę dla pana zrobić?

Mężczyzna wskazał na kupony.

— Mam nadzieję, że nie jest pani zbyt zajęta. Marge wybuchnęła śmiechem.

— Ha! Zajęta! Dobre sobie! — Odsunęła kupony na bok. — Panie Nieznajomy, słucham, o co panu chodzi?

— Raz jeszcze pragnę panią przeprosić — powiedział mężczyzna. — Nie przedstawiłem się. Nazywam się Pendergast.

Marge w jednej chwili przypomniała sobie o artykule z gazety.

— Oczywiście. Jest pan tym dżentelmenem z południa, który bada sprawę morderstwa. Nie pochodzi pan z tych okolic, to dla mnie jasne jak słońce. Ma pan charakterystyczny akcent.

Przyjrzała mu się z nowym zaciekawieniem. Był raczej wysoki, jego włosy blond miały tak jasny odcień, że wydawały się nieomal białe, a w bladych oczach, kiedy na nią spojrział, pojawił się wyraz łagodnej

przenikliwości. Mimo iż był szczupły, nie wyglądał na słabeusza, wręcz przeciwnie, aczkolwiek o jego budowie ciała niewiele mogła powiedzieć, skutecznie maskował je elegancki, czarny garnitur. W gruncie rzeczy mężczyzna ten był bardzo atrakcyjny, jak na południowca.

— Miło mi pana poznać, panie Pendergast — rzekła. — Zaproponowałabym, aby pan spoczął, ale w tym gabinecie jest tylko jeden fotel, ten, na którym siedzę. Ludzie, którzy tu przychodzą, starają się zwykle zabawić u mnie możliwie jak najkrócej.

Znów się zaśmiała.

— A to czemu, pani Tealander? — Zadał to pytanie w tak uprzejmy sposób, że Marge nie zwróciła uwagi, iż znał jej nazwisko.

— Jak pan sądzi? No, chyba że należy pan do tych nielicznych osób, które lubią płacić podatki i wypełniać PIT-y, ma się rozumieć.

— No tak, to oczywiste. — Mężczyzna nazwiskiem Pendergast postąpił krok naprzód. — Pani Tealander, o ile dobrze zrozumiałem...

— Pięćset dolarów — przerwała Marge. Mężczyzna zamilkł.

— Że co proszę?

— Nie, nic. — Marge odwróciła wzrok od ekranu całkiem teraz milczącego telewizora.

— O ile dobrze zrozumiałem, opiekuje się pani dokumentami wszystkich mieszkańców Medicine Creek.

Marge pokiwała głową.

— To prawda.

— Pełni pani także funkcję administratora miejskiego.

— Na pół etatu. Ostatnimi czasy chyba nawet na ćwierć.

— Kieruje pani wydziałem robót publicznych.

— Polega to na tym, że wydaję polecenia Henry'emu Flemingowi, który kieruje pługiem śnieżnym i wymienia żarówki w latarniach miejskich.

— Ściąga pani również podatki od nieruchomości i podatek gruntowy.

— I dlatego nie jestem zapraszana na partyjki kanasty u Klick Rasmussen.

Pendergast przerwał na chwilę.

— Właściwie można by rzec, że to pani kieruje całym Medicine Creek.

Marge uśmiechnęła się szeroko.

— Młody człowieku, sama nie wyraziłabym tego lepiej. Naturalnie szeryf Hazen i Art Ridder nie podzieliliby pańskiego punktu widzenia.

— Nie będziemy ich nakłaniać do zmiany zdania, niech pozostają przy swojej opinii.

— A niech mnie, wiedziałam! — Marge zerknęła na ekran telewizora, po czym z wyraźnym wysiłkiem powróciła spojrzeniem do swego gościa.

Pendergast wyjął z kieszeni marynarki skórzany portfelik.

— Pani Tealander — rzekł, otwierając go, by pokazać znajdującą się wewnątrz złotą odznakę. — Czy zdaje sobie pani sprawę, że jestem agentem FBI?

— Doszły mnie takie słuchy.

— Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o ludziach z Medicine Creek, poznać ich, że się tak wyrażę, z urzędowego punktu widzenia. Czym się zajmują, gdzie mieszkają, jaki jest ich status materialny, tego typu rzeczy.

— Wobec tego trafił pan właściwie. Wiem wszystko, co tylko może wiedzieć prosty urzędnik państwowy o każdym miesz-kańcu naszego

małego miasteczka.

Pendergast machnął ręką.

— Teoretycznie, rzecz jasna, do przeprowadzenia tego typu inspekcji potrzebny mi jest nakaz.

— Jak pan uważa, gdzie się pan właściwie znajduje? W Great Bend? A może w Wichita? Jest pan agentem federalnym, a ja nie zamierzam bawić się w zbędne ceregiele. Poza tym nie mamy tu żadnych tajemnic. A w każdym razie nie takie, które mogłyby pana zainteresować.

— A zatem nie widzi pani przeciwwskazań, aby zapoznać mnie nieco lepiej ze szczegółowymi informacjami o mieszkańcach Medicine Creek?

— Panie Pendergast, w moim kalendarzu nie mam żadnych pilnych zajęć aż do 22 sierpnia, kiedy to będę musiała wydrukować formularze zeznań podatkowych na czwarty kwartał.

Pendergast podszedł nieco bliżej do jej biurka.

— Miejmy nadzieję, że to nie potrwa tak długo. Znow się zaśmiała.

— Miejmy nadzieję, że to nie potrwa tak długo! A to dobre! Toś mnie pan ubawił, młody człowieku!

Marge odwróciła swój obrotowy fotel w stronę tylnej ściany gabinetu, gdzie stał staroświecki sejf. Był masywny i ozdobiony na brzegach motywem w kształcie wyblakłych już dziś złotych liści. Jeżeli nie liczyć biurka i niedużego regału, sejf był jedynym meblem w tym pomieszczeniu. Pokręciła środkową tarczą w przód i w tył, wprowadzając kombinację, po czym zacisnąwszy dłoń na uchwycie, otworzyła ciężkie, żelazne drzwiczki. Wewnątrz znajdowała się mniejsza szkatuła, zamknięta na kłódkę. Marge otworzyła ją za pomocą klucza, który nosiła na łańcuszku na szyi. Sięgnąwszy do środka, wyjęła ze szkatuły jeszcze mniejszą,

drewnianą skrzynkę. Następnie znów obróciła się na fotelu i postawiła skrzynkę na blacie biurka pomiędzy sobą a Pendergastem.

— Proszę — rzekła, poklepując z wyraźnym zadowoleniem wieko niedużej skrzyneczki. — Od czego chce pan zacząć?

Pendergast spojrział na pudełko.

— Słucham?

— Pytałam, od czego chce pan zacząć?

— Chce pani powiedzieć, że... — Przez mgnienie oka twarz agenta była wyprana z wszelkich odczuć, zaraz jednak pojawił się na niej wyraz narastającego zaciekawienia.

— Sądził pan zapewne, że do kierowania miastem takim jak Medicine Creek potrzeba mi komputera? W tej małej skrzyneczce mam wszystko, czego mi potrzeba. A to, czego tam nie ma, jest tutaj. — Postukała się koniuszkami palców w skroń. — Proszę spojrzeć, pokażę panu. — Otworzyła pudełko i wyjęła z niego na chybił trafił jedną fiszkę. Na karcie widniało kilka linijek zapisanych zwartym, eleganckim pismem, poniżej zaś rząd cyfr, skrótów i symboli oraz parę barwnych oznaczeń, czerwonych, żółtych i zielonych. — Widzi pan? — Pomachała fiszką tuż przed nosem Pendergasta. — To karta Dale'a Estrema, szurniętego młodego farmera. Jego ojciec był szurniętym starym farmerem. A jego dziadek... no cóż, o nim lepiej w ogóle nie wspominać. Dale i reszta wicrzycieli ze Wspólnoty Farmerów zawsze przeciwstawiali się postępowi. Zgodnie z tym, co mam tu zapisane, Dale od dwóch kwartałów zalega z podatkami, jego najstarszy dzieciak musiał powtarzać dziewiątą klasę, jego szambo nie spełnia wymaganych norm, a Dale w ostatnich siedmiu latach siedmiokrotnie ubiegał się o dotację.

Zacmokała z dezaprobatą.

Pendergast spojrział najpierw na nią, potem na fiszkę, po czym znów przeniósł wzrok na Marge. — Rozumiem — powiedział.

— Mam tu dziewięćdziesiąt trzy fiszki, po jednej na każdą rodzinę w Medicine Creek i najbliższej okolicy. Mogłabym opowiadać panu o każdej z nich przez godzinę, a może nawet dwie, gdyby to było konieczne. — Marge czuła narastającą ekscytację. Nie co dzień agent federalny interesował się jej archiwum. A od śmierci Rocky'ego niewiele było osób, z którymi mogła tak zwyczajnie, od serca porozmawiać. — Obiecuję, że gdy z panem skończę, będzie pan wiedzieć na temat Medicine Creek wszystko, a nawet trochę więcej.

W gabinecie zapanowała cisza.

— Oczywiście — odezwał się po chwili Pendergast, jakby wyrwany z głębokiego zamyślenia.

— Pytam raz jeszcze, panie Pendergast. Od czego chciałby pan zacząć?

Pendergast zastanawiał się przez moment.

— Chyba powinniśmy zacząć od „A”.

— W Medicine Creek nie ma nazwisk zaczynających się na literę „A”, panie Pendergast. Zaczniemy od Davida Barnessa, zamieszkałego przy Cry Road. Przykro mi, że nie mogę zaproponować, aby pan usiadł. Może jutro, gdy ponownie weźmiemy się do roboty, przyniosę dla pana krzesło z mego domu.

Marge wsunęła kartę Dale'a Estrema na swoje miejsce, polizała energicznie palec wskazujący, wyjęła pierwszą fiszkę z pudełka i zaczęła mówić. Telewizor wciąż grał, ale kobieta była tak zafrapowana, że zupełnie zapomniała o teleturnieju.

SZESNAŚCIE

Zastępca szeryfa Tad Franklin wprowadził radiowóz na żwirowany parking pomiędzy wielkim, starym, wiktoriańskim domem a sklepikiem z pamiątkami. Wóz zatrzymał się, opony zachrzęściły na żwirze. Policjant otworzył drzwiczki i wyszedł na plac skąpany w promieniach gorącego sierpniowego słońca. Przystanął, przeciągnął się, podrapał po czarnej czuprynie i z lekkim niepokojem spojrzął na dom. Biały, drewniany płot

wokół domu całkiem się rozlatywał, farba złaźła płatami, sztachety przechylały się we wszystkie strony. Za płotem rozciągało się zaniedbane podwórze.

Olbrzymia, mansardowa budowla sprawiała wrażenie, jakby nie odmalowywano jej od pięćdziesięciu lat. Szalejące w Kansas burze pyłowe wypiaszkowały ją aż do surowego drewna, teraz zaś ścierały drewno do warstwy papy. Skrzypiący, przekrzywiony szyld z napisem: „JASKINIA KRAUSA”, obłożony z czerwonej i białej farby, wyglądał jak rekwizyt z tandetnego filmu grozy. Całe to miejsce głęboko go przygnębiało. Musiał wyrwać się z Medicine Creek. Lecz by tego dokonać, potrzebował czasu, musiał nabrać doświadczenia. Poza tym bał się powiedzieć o tym szeryfowi Hazenowi. Tad zdawał sobie sprawę, że szeryf na swój surowy, ojcowski sposób przygotowuje go do roli swego następcy. Wolał nie myśleć, co powiedziałyby szeryf, gdyby dowiedział się, że Tad zamierzał podjąć pracę w Wichita lub Topeka. Wszędzie, byle nie w Medicine Creek.

Zmusił się, by wejść przez bramę po zarośniętym chwastami chodniku i skrzypiących stopniach na stary, podniszczony ganek.

Jego skórzane buty wydawały ciężkie, głuche odgłosy, gdy podchodził do drzwi. Powietrze było nieruchome, od strony pól dochodziło senne granie cykad. Przystanął i energicznie zapukał do drzwi.

Otworzyły się tak szybko, że aż drgnął nerwowo. Agent specjalny Pendergast.

— Zastępca szeryfa. Proszę wejść.

Tad zdjął kapelusz i wszedł do saloniku. Czuł się nieswojo. Szeryf chciał, aby szybko i sprawnie zorientował się w zamiarach Pendergasta, a także, czy dowiedział się czegoś nowego o tym zabitym psie. Teraz

jednak, gdy już się tu znalazł, poczuł się zażenowany. Nie wyobrażał sobie, jak miał poruszyć ten temat, by nie zdradzić prawdziwej przyczyny swej wizyty tutaj.

— Zjawił się pan w samą porę na lunch — powiedział agent, zamykając za nim drzwi. Żaluzje były opuszczone i w domu było chłodniej niż na zewnątrz, ale jako że nie włączono klimatyzacji, mimo wszystko gorąco. Nieopodal drzwi stały dwie wielkie walizki, właściwie kufry podróżne, z nadal przypiętymi do nich plakietkami przewozowymi. Wyglądało na to, że Pendergast zamierzał zabawić tu dłużej.

— Lunch? — powtórzył Tad.

— Lekka sałatka z przystawkami. Prosciutto di San Daniele, ser pecorino, miód truflowy, baccelli, pomidory i rucola. Coś lekkiego w sam raz na upalny dzień.

— Eee. No tak. Jasne. Świetnie. — Skoro miał apetyt na coś z włoskiej kuchni, czemu nie wybrał pizzy? Zastępca szeryfa postąpił jeszcze jeden krok naprzód, nie wiedząc, co powiedzieć. Była pierwsza po południu. Kto je lunch o pierwszej? On jak zawsze zjadł lunch o wpół do dwunastej.

— Pani Kraus nie czuje się najlepiej. Położyła się. Zastępuję ją.

— Rozumiem. — Policjant wszedł za Pendergastem do kuchni. W kącie stała sięgająca aż pod sufit sterta pudeł z firm przewozowych DHL i Federal Express. Na kontuarze walało się co najmniej tuzin pojemników z żywnością, zaopatrzonych w obco brzmiące nazwy: Balducci, Zabar. Tad zastanawiał się, czy Pendergast nie był może Francuzem lub Włochem. Z całą pewnością nie odżywiał się jak przeciętny Amerykanin.

Pendergast zaczął krzątać się po kuchni, przemieszczał się szybko i sprawnie, energicznie wykładając na trzy talerze dziwnie wyglądające

jedzenie — salami, ser i coś, co przypominało dziwną odmianę sałaty.

Tad obserwował go, przekładając kapelusz z jednej ręki do drugiej.

— Zaniosę tylko posiłek pani Kraus — rzekł Pendergast.

— Tak. No jasne. Oczywiście.

Pendergast zniknął w głębi domu. Tad usłyszał łagodny głos Winifredy i ciche odpowiedzi Pendergasta. W chwilę potem agent powrócił.

— Co z nią? — spytał policjant.

— Już lepiej — odparł cicho Pendergast. — To w gruncie rzeczy bardziej dolegliwość natury psychicznej niż fizycznej. Opóźnione reakcje są w takich przypadkach rzeczą naturalną. Może pan sobie wyobrazić, jaki przeżyła szok na wieść o morderstwie.

— Wszyscy byliśmy wstrząśnięci.

— Naturalnie. Nie tak dawno sam zakończyłem w Nowym Jorku pewną wielce nieprzyjemną sprawę, a bądź co bądź, w tamtym mieście zabójstwa są, niestety, na porządku dziennym. Przywykłem do tego, panie Franklin, na tyle, na ile człowiek jest w stanie przywyknąć do takich rzeczy. Nie wątpię, że dla was wszystkich to, co się stało, było — i jest nadal — nowym, nader niemiłym doświadczeniem. Proszę spocząć.

Tad usiadł, położył kapelusz na stole, stwierdził, że to nie było właściwe miejsce, odłożył go na krzesło, ale zaraz znów po niego sięgnął, jakby obawiał się, że mógłby go zapomnieć.

— Wezmę kapelusz — powiedział Pendergast i odwiesił nakrycie głowy na specjalny wieszak przy wejściu.

Zastępca szeryfa poruszył się nerwowo na krześle, z każdą chwilą czuł się coraz bardziej nieswojo. Agent postawił przed nim talerz.

— Buon appetito — rzekł Pendergast, gestem zapraszając mężczyznę,

aby skosztował dania.

Tad sięgnął po widelec i wbił go w plasterek sera. Odkroił kawałek i spróbował.

— Zapewne zechce pan skropić posiłek odrobiną miele al tartufo bianco — rzekł Pendergast, podsuwając mu niewielki słoiczek miodu o dziwnym zapachu.

— Nie, dziękuję.

— Nonsens. — Pendergast sięgnął po małą łyżeczkę i skropił resztę sera na talerzu policjanta niewielką porcją miodu.

Tad wziął kolejny kawałek i stwierdził, że nawet mu smakuje. To nie było złe. Jedli w milczeniu. Tad uznał, że z tego wszystkiego najlepsze były niewielkie plasterki salami.

— Co to jest? — zapytał.

— Cinghiale. Dzik.

— Och.

Pendergast polał wszystko obficie oliwą z oliwek, dodał też trochę płynu o barwie smoły. Powtórzył tę czynność z porcją na talerzu Tada.

— Domyślam się, panie Franklin, że przybył pan tu w sprawie służbowej. Jak mi nie mam, chce pan, abym mu złożył raport.

Słowa te, wypowiedziane bez ogródek, sprawiły, że zastępca szeryfa odzyskał nieco pewności siebie.

— No cóż. Tak. Zgadza się.

Pendergast otarł usta i odchylił się nieco do tyłu.

— Pies wabił się Jiff i należał do Andy'ego Cahilla. O ile dobrze zrozumiałem, Andy to urodzony badacz, ciekawy świata i wszędzie chodził ze swoim psem. Moja asystentka przedstawi mi niebawem

przebieg rozmowy z nim.

Tad sięgnął po notes, wyjął go i zaczął robić notatki.

— Wygląda na to, że psa zabito ubiegłej nocy. Zapewne pamięta pan, że wczoraj po północy niebo było przez kilka godzin zachmurzone, to właśnie wtedy musiało dojść do zabójstwa. Mam tu wyniki autopsji, właśnie je otrzymałem. Drugi, trzeci i czwarty kręg zostały dosłownie zmiażdżone. Brak śladów wskazujących na użycie jakiegoś urządzenia lub maszyny, co może dawać do myślenia, jeśli bowiem przyjmiemy, że zabójca dokonał swego dzieła wyłącznie gołymi rękami, musiałyby to oznaczać, iż dysponuje ogromną, żeby nie powiedzieć — nadludzką siłą. Ogon odcięto za pomocą jakiegoś prymitywnego narzędzia i zabrano z miejsca zbrodni wraz z obrożą i blaszką z numerem.

Policjant gorączkowo robił notatki. Szeryf będzie zadowolony. Choć zapewne on również otrzymał kopię tego raportu. Mimo to mężczyzna nie przestał notować.

— Poszedłem po śladach prowadzących do i od miejsca zbrodni. W obu przypadkach sprawca przemieszczał się wzdłuż tej samej przecinki między łąkami, wiodącej z i do Medicine Creek. Dotarwszy do strumienia, nie byłem w stanie iść dalej po śladach sprawcy. W tej sytuacji spędziłem cały ranek z panią administratorką, Margery Tealander, pragnąc dowiedzieć się możliwie jak najwięcej na temat tutejszych mieszkańców i tej małej społeczności. Obawiam się, że to zadanie zajmie mi więcej czasu, niż sądziłem...

Z tyłu domu dobiegł drżący głos.

— Panie Pendergast?

Pendergast przyłożył palec wskazujący do ust.

— Pani Kraus wstała z łóżka — wyszeptał. — Wolalbym, aby nie usłyszała, o czym rozmawiamy. To z pewnością nie wyszłoby jej na zdrowie. — Odwrócił się i donośnym tonem rzucił: — Słucham, pani Kraus?

Tad ujrzał w drzwiach drobną postać staruszki odzianej pomimo upału w koszulę nocną i podomkę. Podniósł się spiesźnie.

— O, witaj, Tad — rzekła staruszka. — Źle się poczułam, a pan Pendergast był tak miły, że się mną zaopiekował. Proszę nie wstawać. Siadaj, siadaj. Rozgość się.

— Dziękuję — rzekł młody policjant.

Usiadła ciężko na krześle przy stole, jej twarz przepełnił wyraz głębokiego zatroskania.

— Szczerze mówiąc, mam już po uszy tego łóżka. Nie wiem, jak inwalidzi są w stanie to znieść. Panie Pendergast, czy zechciałby pan nalać mi filiżankę tej swojej zielonej herbaty? Odnoszę wrażenie, że bardzo mnie ona uspokaja.

— Wyśmienicie. — Pendergast wstał i podszedł do kuchenki.

— To okropne, nieprawdaż, Tad? — spytała. Zastępca szeryfa nie wiedział, co ma powiedzieć.

— Mam na myśli to zabójstwo. Kto mógł to zrobić? Czy może już coś wiadomo?

— Mamy pewne podejrzenia — odparł zastępca szeryfa. — Właśnie je sprawdzamy.

Szeryf zawsze powtarzał te słowa; były idealną odpowiedzią na niewygodne pytania.

Panna Kraus otuliła się szczelniej podomką.

— Czuję się okropnie, mając świadomość, że ktoś taki wciąż jest na wolności. W dodatku jeśli wierzyć temu, co piszą w gazetach, to może być ktoś stąd.

— Zgadza się, droga pani.

Pendergast zaparzył herbatę dla nich wszystkich i przy stole zapadła głucha cisza. Przez muślinowe firanki Tad widział rozległe pola kukurydzy, ciągnące się aż po horyzont falą monochromatycznej, rdzawej żółci. Od samego patrzenia na ten złocisty bezmiar rozboleły go oczy. Dopiero teraz po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że współpraca przy tym śledztwie — o ile sprawa zostanie pozytywnie rozwiązana — może stanowić dla niego szansę, której tak rozpaczliwie poszukiwał. Okazję na ostateczne wyrwanie się z tego miasta. Nagle kontrolowanie poczynań Pendergasta przestało wydawać mu się niechcianym, narzuconym odgórnie obowiązkiem. Miast tego zmieniło się w coś, co, jak stwierdził, powinien robić regularnie. Ale panna Kraus znów się odezwała i kurtuazyjnie odwrócił się do niej, by posłuchać, co miała mu do powiedzenia.

— Obawiam się o nasze miasteczko — rzekła Winifreda Kraus. — Boję się, co może się wydarzyć teraz, gdy gdzieś tam czai się morderca.

SIEDEMNAŚCIE

Corrie Swanson zatrzymała rozklekotanego gremlina, wzbijając chmurę pyłu, która powoli spiralnie wzniosła się w powietrze. Boże, ależ było gorąco. Zerknęła na sąsiedni fotel. Pendergast odnalazł jej spojrzenie, nieznacznie unosząc brwi.

— To tutaj — powiedziała. — Nadal nie wyjaśnił mi pan, po co tu przyjechaliśmy.

— Odwiedzimy niejakiego Jamesa Drapera.

— Po co?

— O ile dobrze rozumiem, twierdzi on, że zna szczegóły dotyczące masakry w Medicine Creek. Chyba już czas, abym je poznał.

— Kudłaty Jim z zasady dużo gada.

— Wątpi pani w prawdziwość jego słów? Corrie wybuchnęła śmiechem.

— Nie jest w stanie powiedzieć dwóch słów, aby nie skłamać.

— Z doświadczenia wiem, że od łgarza można zwykle dowiedzieć się znacznie więcej niż od osoby prawdomównej.

— Jak to?

— Ponieważ prawda to najbezpieczniejsze łgarstwo. Corrie wrzuciła

bieg i pokręciła głową, wóz ruszył. To wszystko było dziwne. Bardzo dziwne.

Kudłaty Jim mieszkał na ogrodzonym siatką zabezpieczoną drutem kolczastym złomowisku przy Deeper Road. Prosta, zbita z drewnianych desek, dwuizbowa chata stała w pewnej odległości od szosy, rosnąca przed domem strzelista topola choćby tylko z pozoru zapewniała odrobinę prywatności. Dom otaczało morze złomowanych aut, starych przyczep, przeżartych rdzą bojlerów, porzuconych lodówek, pralek, starych słupów telefonicznych, kompresorów, szczątki dwóch starych łodzi, coś, co przypominało lokomotywę parową i mnóstwo innych rzeczy, zbyt zniszczonych, aby można je było rozpoznać.

Kiedy Corrie wjechała na pylisty podjazd, trochę za mocno docisnęła pedał gazu i gremlin zadygotał, silnik zakaszał, zakrztusił się i zgasł. Przez chwilę wokoło panowała kompletna cisza. Wtem drzwi domu otwały się z hukiem i w cieniu ganku pojawił się jakiś mężczyzna. Kiedy wysiedli z auta, mężczyzna wyłonił się z cienia. Jak większość mieszkańców Medicine Creek, Corrie także starała się unikać Kudłatego Jima, lecz wyglądał on tak samo jak wtedy, gdy widziała go ostatnio: zmierzwiona, gęsta, jasnoruda czupryna i broda przesłaniały niemal całe jego oblicze, widać było jedynie małe jak paciorki, czarne oczy, wąskie usta i wysokie czoło. Miał na sobie grube dżinsy, robocze buty na grubym protektorze, niebieską koszulę z napisami z imitacji macicy perłowej i sfatygowany, filcowy kowbojski kapelusz. Na jego grubej szyi zwieszało się bolo z wielkim turkusem, który byłby w stanie strzaskać nawet czerep muła, skórzany rzemyk niemal całkiem niknął pod gęstą brodą mężczyzny. Kudłaty Jim miał grubo ponad pięćdziesiąt lat, ale z uwagi na swe bujne

owłosienie wyglądał o dziesięć lat młodziej. Zacisnął dłoń na drewnianej poręczy i obrzucił swoich gości długim, podejrzliwym spojrzeniem.

Pendergast ruszył w stronę ganku, poły jego marynarki falowały na wietrze.

— Stój pan! — zawołał Kudłaty Jim. — I gadaj, po coście przyjechali. Ale już!

Corrie przełknęła ślinę. Jeżeli miało się wydarzyć coś złego, to właśnie teraz. Pendergast stanął.

— Jak rozumiem, mam przyjemność z panem Jamesem Dra-perem, prawnikiem Isaiaha Drapera?

Na dźwięk tych słów Kudłaty Jim nieznacznie się wyprężył. Ale wyraz nieufności nie zniknął z jego twarzy.

— A jeżeli nawet?

— Nazywam się Pendergast. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej na temat masakry w Medicine Creek 14 sierpnia 1865 roku, którą pański pradziadek przeżył jako jedyny.

Wzmianka o masakrze wywołała dramatyczną zmianę w wyrazie twarzy Kudłatego Jima. Podejrzliwy wzrok jakby odrobinę złagodniał.

— A ta młoda dama, jeśli to jest dziewczyna. Kto to taki?

— Panna Corrie Swanson — odrzekł Pendergast. Jim wyprężył się jeszcze bardziej.

— Mała Corrie? — mruknął ze zdziwieniem. — Co się stało z twoimi blond włosami?

Corrie omal nie odparowała: „Zjadłam zbyt wiele oberżyn”. Tyle tylko, że Kudłaty Jim był nieprzewidywalny, wybuchowy, toteż uznała, że najlepszą odpowiedzią będzie najzwyczajniejsze wzruszenie ramionami.

— Wyglądasz fatalnie, Corrie, od stóp do głów na czarno. — Weteran stał i przez chwilę przyglądał się im obojgu. Wreszcie skinął głową. — No dobrze, możecie wejść.

Wmaszerowali za Kudłatym Jimem do jego niedużego, ciasnego domu. Okien było niewiele, w całym domu panował półmrok, wszędzie wałały się jakieś graty. Powietrze przesycone było wonią zepsutej żywności i nieudanych eksperymentów z wypychaniem zwierząt.

— Usiądźcie, napijcie się coli. — Z wnętrza lodówki, którą otworzył Jim, wypłynęła struga jasnego, miłego światła. Corrie usiadła na składanym krześle, a Pendergast, rozejrzawszy się pośpiesznie dokoła, wybrał wąski, narożny fragment obitej krowią skórą sofy, jedyny, na którym nie leżały sterty egzemplarzy „Arizona Highways”. Corrie nigdy dotąd nie była w domu Kudłatego Jima i z niepokojem rozglądała się we wszystkie strony. Na ścianach wisiały stare strzelby, skóry jeleni, tablice z przyklejonymi do nich strzałami, pamiątki z okresu wojny secesyjnej, tabliczki z przedstawionymi na nich różnymi rodzajami drutu kolczastego. Na jednej z półek stał rząd starych, niszczejących książek, przytrzymywany z boku przez solidne kawałki skamieniałego drewna. W kącie mościł się wypchany, choć także podniszczony i trawiony pleśnią koń appaloosa. Na podłodze wałały się brudne ubrania, uszkodzone łąki od siodeł i inne drobiazgi.

Całe to miejsce wyglądało jak spowite kurzem muzeum pamiątek starego Zachodu. Corrie spodziewała się ujrzeć pamiątki z Wietnamu: broń, insygnia, fotografie. Niczego takiego jednak nie dostrzegła. W tym domu nie było ani jednej rzeczy mogącej kojarzyć się z wojną, która na zawsze odmieniła Kudłatego Jima.

Weteran podał Corrie i Pendergastowi puszki z colą.

— A teraz, panie Pendergast, czego właściwie chciałby się pan dowiedzieć na temat masakry?

Corrie patrzyła, jak Pendergast odstawia puszkę.

— Wszystkiego.

— Dobrze. Zaczęło się to wszystko podczas wojny secesyjnej. —

Kudłaty Jim usadził swe masywne cielsko w wielkim fotelu i upił łyk coli.

— Jako historyk zapewne wie pan, panie Pendergast, wszystko na temat cholernego Kansas.

— Nie jestem historykiem, panie Draper. Jestem agentem specjalnym Federalnego Biura Śledczego.

Zapadła głucha cisza. Wreszcie Kudłaty Jim odchrząknął.

— No dobrze, panie Pendergast. Jest pan z FBI. Czy mogę spytać, co pana sprowadza do Medicine Creek?

— Ostatnie zabójstwo.

Na twarzy Kudłatego Jima znów pojawił się wyraz nieufności.

— Ale co to właściwie ma wspólnego ze mną?

— Ofiarą była poszukiwaczka skarbów, niejaka Sheila Swegg.

Prowadziła prace na terenie Mounds.

Kudłaty Jim splunął na podłogę, po czym roztarł plwociny pod butem.

— Cholerne hieny. Powinni pozostawić relikty w ziemi, tam, gdzie ich miejsce. — Ponownie przeniósł wzrok na Pendergasta. — W dalszym ciągu nie wyjaśnił pan, co to ma wspólnego ze mną.

— O ile dobrze rozumiem, historia Mounds i masakry w Medicine Creek są ze sobą nierozłącznie związane. A także coś, o czym wspomniano mi ostatnio, tak zwana Klątwa Czterdziestu Pięciu. Jak pan zapewne wie,

przy ciele odkryto sporą liczbę strzał używanych przez Czejenów Południowych.

Dopiero po dłuższej chwili Kudłaty Jim zdołał przyswoić sobie przekazane mu przez agenta informacje.

— Jakiego rodzaju to były strzały? — zapytał krótko.

— Trzciniowe, z lotkami z piór bielika amerykańskiego i grotami klasy II Plains Cimarron z rogowca oraz czerwonego jaspisu. Strzały były niemal identyczne, i w dodatku świetnie zachowane. Pochodziły właśnie z tamtego okresu, z czasów owej słynnej masakry.

Kudłaty Jim zagwizdał przeciągle, po czym zamilkł i zamyślił się głęboko.

— Panie Draper? — zagadnął Pendergast.

Kudłaty Jim milczał jeszcze przez chwilę. Wreszcie powoli pokręcił głową i rozpoczął swoją opowieść.

— Przed wojną secesyjną południowo-zachodnie Kansas było całkiem niezamieszkałe, zamieszkiwali tu jedynie Czejenowie, Arapaho, Paunisi i Siuksowie. Jedyni biali przejeżdżali tędy szlakiem do Santa Fe. Jednak od wschodniego Kansas powoli zaczęli zjeżdżać tu osadnicy. Ludzie ci mieli wielką chrapkę na doliny nad rzeką Cimarron, Arkansas, Crooked Creek i Medicine Creek. Kiedy wybuchła wojna secesyjna, wszyscy żołnierze odeszli, pozostawiając te tereny bez jakiegokolwiek ochrony. Osadnicy nękali Indian i doszło do licznych zmasowanych ataków Indian na osady białych. W końcu wojna secesyjna dobiegła końca, wielu żołnierzy powróciło, uzbrojonych i rozgoryczonych. Ujrzeni oblicze wojny, panie Pendergast. Mam na myśli jej prawdziwe oblicze. Tego rodzaju przemoc zabija coś w człowieku. Deprawuje umysł. — Mężczyzna

przerwał, odchrząknął. — A zatem wrócili tu i zaczęli tworzyć nieformalne grupy zbrojne, mające odeprzeć Indian na zachód, aby mogli przejąć te ziemie. Nazywali takie posunięcia „oczyszczaniem kraju”. Wtedy też w Dodge zawiązała się grupa znana jako Czterdziestu Pięciu. Naturalnie, wtedy to jeszcze nie było Dodge, tylko ranczo braci Hicksonów. Tak czy owak, grupę tę utworzyło czterdziestu pięciu mężczyzn, najgorsze męty i szumowiny, jakie można było sobie tylko wyobrazić, mordercy, szubrawcy i oszuści wyrzuceni z osad mieszczących się dalej na wschodzie. Mój pradziadek Draper był podówczas zaledwie szesnastoletnim gołowąsem i z gorliwością godną lepszej sprawy przyłączył się do wojska, zanim wojna dobiegła końca, toteż postanowił udowodnić wszem wobec, że jest już prawdziwym mężczyzną.

Kudłaty Jim znów siorbnął trochę coli.

— W czerwcu 1865 Czterdziestu Pięciu wyruszyło na szlak, kierując się na południe, na terytorium Oklahomy — kontynuował. — Ci weterani wojny secesyjnej wiedzieli wszystko o walce z konnymi przeciwnikami. Byli mężczyznami zaprawionymi w bojach, twardymi, bezwzględnymi i bezlitosnymi. Dlatego przeżyli tak długo. Przeszli przez piekło i zdołali stamtąd powrócić, panie Pendergast. Ale byli równocześnie tchórzami. Jeśli chcesz przeżyć wojnę, musisz mieć duszę na ramieniu i być tchórzem podszyty. To podstawa, panie Pendergast. Czterdziestu Pięciu zaczęło, aż indiańscy wojownicy wyruszą na polowanie, po czym zaatakowali ich wioskę nocą, wyrzynając w pień niemal wszystkie kobiety i dzieci. Nie okazywali litości. Mieli takie powiedzenie: „Ze szczenięcia wyrasta wilk”. Wymordowali nawet niemowlęta. Przebijali je bagnetami, aby oszczędzić naboje...

Kolejny łyk. Cichy, ochryply głos Kudłatego Jima rozlegający się w małym, ciemnym pokoju miał niemal hipnotyczną moc. Corrie miała wrażenie, jakby tamten opisywał scenę, którą widział na własne oczy. Kto wie, może faktycznie tak było... Odwróciła wzrok.

— Mój pradziadek był wstrząśnięty tym, co zobaczył. Gwałcenie i mordowanie kobiet, zabijanie dzieci... nie tak wyobrażał sobie okazanie własnej męskości. Pragnął opuścić oddział, ale z uwagi na wzburzenie okolicznych Indian próba samotnego odłączenia się od grupy i powrotu do domu byłaby równoznaczna z samobójstwem. Musiał więc jechać z nimi dalej. Którejś nocy tamci popili się i okrutnie złoili mu skórę, ponieważ nie chciał się do nich przyłączyć. Złamali mu kilka żeber. I to właśnie ocaliło mu życie — te połamane żebra. W połowie sierpnia grupa najechała na sześć obozowisk Czejenów, pozostałych zaś przegnała na północ lub zachodnie rubieże Kansas. Tak im się w każdym razie zdawało. Wracali właśnie na ranczo Hicksonów, a po drodze zawitali tutaj. Do Medicine Creek. W nocy 14 sierpnia obozowali na terenie Mounds. Był pan tam już, panie Pendergast?

Pendergast skinął głową.

— W takim razie wie pan, że to najwyżej położone miejsce w tej okolicy — wyjaśnił Jim. — Nie było tam wtedy drzew, jedynie pagórki z rzadka porośnięte krzewami. Rozciągał się stamtąd widok na dobre kilka kilometrów w każdą stronę. Grupa jak zawsze rozstawiła warty. Zaszło słońce, zerwał się wiatr. Zbierało się na burzę, wichura niosła ze sobą tumany piasku.

Mój pradziadek miał połamane żebra, więc tamci ułożyli go w małej niecce za Mounds, jakieś sto metrów dalej. Z połamanymi żebrami nie

mógł usiąść, aby cokolwiek zobaczyć, a kurz niesiony wiatrem doprowadzał go do szału. Dlatego ułożyli go w tym zagłębieniu osłoniętym krzewami, gdzie pył i wiatr już mu nie dokuczały. Chyba mieli wyrzuty sumienia, że tak brutalnie go potraktowali. Wszystko zaczęło się o zachodzie słońca, kiedy grupa miała właśnie zasiąść do kolacji. — Odchylił głowę do tyłu i pociągnął spory łyk. — Najpierw usłyszeli tętent końskich kopyt. Zanim się zorientowali, było już za późno. Trzydziestu wojowników na białych wierzchowcach pomalowanych czerwoną ochrą wyłoniło się z tumanów kurzu. Indianie mieli twarze ozdobione barwami wojennymi, byli przystrojeni w pióra, grzechotki i co tylko — zaatakowali obóz, wydając przeraźliwe okrzyki i szyjąc strzałami na lewo i prawo. Wyłonili się znikąd. Kompletnie zaskoczyli Czterdziestu Pięciu. Przejechali w tę i z powrotem kilka razy i wybili ich wszystkich co do jednego. Wartownicy nie zauważyli zbliżającego się zagrożenia. Nie dostrzegli nadciągających jeźdźców, niczego nie usłyszeli. Co więcej, panie Pendergast, wartownicy zginęli na samym końcu. To dość nietypowa sytuacja, jeśli zna się pan choć trochę na zachodniej taktyce prowadzenia działań wojennych.

Czejenowie nie wyszli jednak z tego starcia bez szwanku — ciągnął Kudłaty Jim. — Grupę Czterdziestu Pięciu tworzyli prawdziwi twardziele, którzy walczyli jak lwy i nim zginęli, uśmiercili co najmniej jedną trzecią napastników i wiele z ich koni. Mój pradziadek widział to wszystko z miejsca, w którym leżał. Kiedy... zabili już ostatniego z Czterdziestu Pięciu, Indianie po prostu odjechali, panie Pendergast. A kiedy kurz opadł, po czerwonoskórych nie było ani śladu. Nie znaleziono ciał zabitych Indian ani ich wierzchowców. Tylko czterdziestu czterech białych,

martwych i oskalpowanych.

Patrol Czwartego Pułku Kawalerii odnalazł mojego pradziadka dwa dni później w pobliżu szlaku do Santa Fe. Mój pradziadek zabrał ich na miejsce masakry. Odnaleziono tam ślady krwi i gnijące wnętrzności indiańskich koni, ale nie natrafiono na ciała czy świeże groby. Ślady końskich kopyt odkryto jedynie na szczycie wzgórza i nigdzie indziej. Poza miejscem, gdzie zabito wartowników, ślady się urywały. W Czwartym Pułku Kawalerii było kilku zwiadowców z plemienia Arapaho, których te znikające tropy przeraziły do tego stopnia, iż wpadli w histerię, zaczęli bredzić coś o widmowych wojownikach i odmówili prowadzenia dalszych poszukiwań. Zrobił się nie lada raban, spalono kilka kolejnych wiosek Czejenów, dokonały tego oddziały kawalerii, niejako w odwecie za krwawą masakrę, ale większość ludzi ucieszyła się na wieść o śmierci Czterdziestu Pięciu. To była parszywa, dzika banda.

I to już był koniec Czejenów w zachodnim Kansas. W 1871 roku założono Dodge City, a w 1872 poprowadzono linię kolei żelaznej do Santa Fe. Niebawem Dodge stało się kowbojską stolicą Starego Zachodu, ostatnim przystankiem na teksańskim szlaku, rozumie pan, strzelaniny, Wyatt Earp, cmentarz Boot Hill i tak dalej, i tak dalej. W 1877 roku hodowca bydła H.H. Keyser założył Medicine Creek, jego bydło miało piętno w kształcie litery H na lewym boku, a konie na prawym. Burza śnieżna w 1886 była tak sroga, że hodowca stracił jedenaście tysięcy sztuk bydła i koni, a następnego dnia Keyser przystawił sobie dubeltówkę pod brodę i pociągnął za oba spusty. Mówiono potem, że to sprawka klątwy. Dni wielkich hodowców bydła dobiegły końca, ale wciąż zjeżdżali się tu osadnicy i farmerzy. Najpierw uprawiano pszenicę i sorgo, potem zaś

kukurydżę jadalną, a teraz odmianę kukurydzy, z której wyrabia się biopaliwo. Przez wszystkie te lata jednak nikt nigdy nie zdołał rozwiązać zagadki Widmowych Wojowników i Masakry w Medicine Creek.

Kudłaty Jim wypił ostatni łyk i dla dodania dramatyzmu opowieści ostentacyjnie upuścił puszkę na podłogę.

Corrie spojrzała na Pendergasta. To była ciekawa historia, a Kudłaty Jim opowiedział ją z pasją. Pendergast nie poruszał się, wyglądał, jakby zasnął. Oczy miał półprzymknięte, palce dłoni złączone, ciało wyciągnięte wygodnie na sofie.

— A co z pańskim pradziadkiem, panie Draper? — mruknął półgłosem.

— Osiadł w Deeper, ożenił się i pochował aż trzy żony. Opisał to wszystko w swoim dzienniku, podając znacznie więcej szczegółów, niż ja byłem państwu w stanie przekazać, ale jego dziennik został sprzedany wraz z innymi rzeczami podczas Wielkiego Kryzysu i obecnie znajduje się w zbiorach jakiejś biblioteki gdzieś na wschodzie. Mówił mi o tym mój tato.

— Jakim cudem udało mu się zobaczyć to wszystko, przecież szalała wtedy burza piaskowa.

— No cóż, wiem tylko to, czego dowiedziałem się od ojca. Kiedy w tych stronach duje burza piaskowa, bywa, że raz wiatr jest silniejszy, a kiedy indziej niemal całkiem ustaje.

— Czy ci Czejenowie, panie Draper, nie byli już wcześniej znani oddziałom kawalerii jako „czerwone zjawy”, ponieważ potrafili podkraść się cichaczem do najbardziej czujnego wartownika i poderżnąć mu gardło tak szybko i sprawnie, że ten — nim się obejrzał — był już martwy?

— Jak na agenta FBI, sporo pan wie na ten temat, panie Pendergast.

Musi pan jednak pamiętać, że to się stało o zmierzchu, nie nocą, a Czterdziestu Pięciu brało udział w wojnie po stronie konfederatów i przegrało z kretesem. Wie pan, co to znaczy przegrać wojnę? Może pan być pewien, że mieli oczy i uszy szeroko otwarte.

— Jak to się stało, że Indianie nie odkryli kryjówki pańskiego pradziadka?

— Wspomniałem już, że kompani mieli wyrzuty sumienia z powodu tego, jak go potraktowali, i otoczyli nieckę, w której go ułożyli, gałęziami mającymi chronić go od wiatru. Mój pradziadek po prostu przykrył się nimi.

— Rozumiem. I z tego miejsca, leżąc w zagłębieniu w ziemi, nakryty gałęziami, o dobre sto metrów od obozowiska położonego na szczycie wzgórza, pośród burzy pyłowej był w stanie zobaczyć to wszystko, co tak barwnie przed chwilą pan mi opowiedział. Widmowych Wojowników pojawiających się i znikających jak za sprawą czarów.

W oczach Kudłatego Jima pojawiły się groźne błyski. Mężczyzna nieznacznie podźwignął się z fotela.

— Nie wciskam panu ciemnoty, panie Pendergast. Mój pradziadek też nie zamierzał nikogo oszukiwać. Nie debatujemy tu nad jego osobą. Opowiedziałem panu po prostu tę historię, tak jak przekazano ją mnie.

— Czy zatem ma pan jakąś teorię, panie Draper? Chodzi mi o pana własne zdanie na ten temat. Czy naprawdę sądzi pan, że to były duchy?

Cisza.

— Nie podoba mi się pański ton, panie Pendergast — rzekł Kudłaty Jim, podnosząc się z fotela. — I niezależnie, czy jest pan z FBI czy skądinąd, jeśli coś pan insynuujesz, mów pan prosto z mostu. Wal pan

śmiało. Chcę to usłyszeć,

Pendergast nie odpowiedział od razu. Corrie nerwowo przełknęła ślinę, zerkając w stronę drzwi.

— Ależ panie Draper — odezwał się w końcu Pendergast. — Nie jest pan idiotą. Chciałbym usłyszeć, co naprawdę pan sądzi o tym wszystkim.

Atmosfera zageściła się. Przez chwilę wszyscy trwali w pełnym napięcia milczeniu. Wreszcie wyraz twarzy Kudłatego Jima złagodniał.

— Wygląda na to, że mnie pan przejrzał, panie Pendergast.

Rzeczywiście nie uważam, aby ci Indianie byli duchami. Jeśli odwiedzi pan Mounds, choć teraz, gdy rosną tam drzewa, trudno to zauważyć, ale od strony strumienia ciągnie się łagodna stromizna. Oddział trzydziestu Czejenów mógłby wspiąć się tamtędy, prowadząc konie, tak by nie dostrzegli ich wartownicy. Zachodzące słońce ukryłoby ich w cieniu Mounds. Mogli zaczekać poniżej, aż burza przycichnie, a następnie dosiąść wierzchowców i wjechać do obozowiska. To wyjaśniałoby, czemu wcześniej nikt nie słyszał tętentu kopyt. Mogli odjechać tą samą drogą, zabierając zabitych i zacierając za sobą ślady. Poza tym nigdy nie słyszałem o Arapaho, który byłby w stanie wytropić Czejena.

Zaśmiał się posepnie.

— A co z zabitymi indiańskimi końmi? Jak wytłumaczyłby pan ich zniknięcie?

— Trudno pana zadowolić, panie Pendergast. Ja także się nad tym zastanawiałem. W młodości widziałem, jak osiemdziesięcioletni wódz Lakotów oparł bizona w niecałe dziesięć minut. Bizon jest dużo większy od konia. Indianie jedzą koninę. Mogli sprawić konie i zabrać mięso oraz kości wraz ze swoimi zabitymi lub pociągnęli je na włókach.

Zostawili bowiem wnętrzości, aby nie dźwigać zbyt wiele. Zresztą kto wie, może zabito nie więcej niż dwa, trzy konie. Może pradziadek Isaiah przesadził, twierdząc, że widział, jak zabito tych koni ze dwadzieścia.

— To możliwe — mruknął Pendergast. Wstał i podszedł do prowizorycznego regału. — Dziękuję panu za bardzo ciekawą i dającą do myślenia historię. Co jednak masakra w Medicine Creek ma wspólnego z tak zwaną Klątwą Czterdziestu Pięciu, o której pan wspomniał i o której rzekomo nikt nie ma ochoty mówić?

Kudłaty Jim drgnął nerwowo.

— To nie tak, że nie ma ochoty, panie Pendergast. Po prostu to nie jest miła dla ucha opowieść, i tyle.

— Zamieniam się w słuch, panie Draper.

Kudłaty Jim oblizał wargi. Następnie wychylił się lekko do przodu.

— No dobrze. Pamiętaj pan, że mówiłem, iż wartowników zabito na końcu?

Pendergast skinął głową. Sięgnął po sfatygowany egzemplarz Buttler & Company's New American First Reader i zaczął go kartkować.

— Ostatni zginął niejaki Harry Beaumont — ciągnął Kudłaty Jim. — Był przywódcą Czterdziestu Pięciu i typem spod ciemnej gwiazdy.

Indianie byli wściekli za to, co stało się z ich kobietami oraz dziećmi, i ukarali za to Beaumonta. Nie tylko go oskalpowali, lecz go ociosali.

— Nie wiem, niestety, na czym to polega. Nie znam tego zwrotu.

— Powiedzmy, że zrobili z Harrym Beaumontem coś takiego, dzięki czemu nawet w zaświatach nie mogłaby go poznać najbliższa rodzina. A kiedy z nim skończyli, rozkroili cholewki jego butów i oskórowali mu podeszwy stóp, aby jego dusza nie mogła podążać ich śladem. Następnie

zakopali buty po dwóch przeciwległych stronach Mounds, aby w ten dodatkowy sposób na zawsze uwięzić tu jego złego ducha.

Pendergast odłożył książkę na miejsce, wyjął następną, jeszcze bardziej zniszczoną, zatytułowaną Handel na prerii i przekartkował ją.

— Rozumiem. A co z tą klątwą?

— Różni ludzie opowiedzą panu różne wersje tej historii. Niektórzy uważają, że duch Beaumonta wciąż krąży po Mounds, szukając swoich straconych butów. Inni powiedzą panu jeszcze gorsze rzeczy, których, jeśli łaska, wolałbym nie powtarzać w obecności tej młodej damy. Jedno jest wszelako pewne. Otóż zanim skonał, Beaumont przeklął ziemię, na której spoczywał, obłożył klątwą cały teren Mounds i podobno ma ona obowiązywać po wsze czasy. Mój pradziadek wciąż jeszcze leżał ukryty w zagłębieniu w ziemi i słyszał jego słowa bardzo wyraźnie. Był jedynym żyjącym świadkiem tego zdarzenia.

— Rozumiem. — Pendergast wydobyl kolejną książkę, bardzo cienką i wysoką. — Dziękuję panu, panie Draper, za wielce interesującą lekcję historii.

Kudłaty Jim wstał.

— Nie ma za co.

Pendergast jednak zdawał się go nie słyszeć. Wpatrywał się z przejęciem w cieniutką książeczkę. Corrie zauważyła, że miała tanią, płócienną okładkę, a na pokrytych równymi liniami stronicach widniały proste, prymitywne rysunki.

— Ach, to to starocie — mruknął Kudłaty Jim. — Tato odkupił to wiele lat temu od wdowy po jakimś żołnierzu. To podróba. Wstyd mi, że dał się nabrać na taki oczywisty kant. Zawsze kusiło mnie, aby wywalić

ten szajs do kosza.

— To nie podróbka. — Pendergast niemal z nabożną czcią przerzucił kilka stron. — Wszystko wskazuje, że to oryginalny indiański dziennik. W dodatku nienaruszony.

— Dziennik? — spytała Corrie. — Jak to?

— Czejenowie musieli zdobyć stary dziennik wojskowy i zapełnili jego strony rysunkami przedstawiającymi bitwy, załoty i polowania. Na tych obrazkach przedstawiono całe życie wojownika, to swoista autobiografia. Indianie uważali, że ozdabiane dzienniki mają nadnaturalną moc i jeśli przytrócysz jeden z nich do swego ciała, uczyni cię on niezwyciężonym. W Nowojorskim Muzeum Historii Naturalnej jest taki dziennik sporządzony przez Czejena zwanego Mały Paznokieć. Nie miał tak magicznej mocy, jak spodziewał się jego twórca, po dziś dzień widać na nim ślad po kuli z wojskowego karabinu, która przeszła zarówno dziennik, jak i znajdujące się pod nim ciało.

Kudłaty Jim patrzył na agenta ze zdumieniem.

— Czy... to znaczy, że... — zaczął niepewnie. — Chce pan powiedzieć, że przez cały czas... — w jego głosie brzmiało niedowierzanie — ...że to autentyk?

Pendergast skinął głową.

— Powiem więcej, jeśli się nie mylę, mamy do czynienia z dziełem szczególnej wagi. Ta scena tutaj przywodzi na myśl bitwę pod Little Big Horn. A tu, na samym końcu widać coś, co przypomina rytuał Tańca Duchów. — Pieczołowicie zamknął dziennik i oddał go Kudłatemu Jimowi. — To dzieło wodza Siuksów. Poniżej widnieje znak, który można przetłumaczyć jako Bizoni Garb. Potrzebne byłyby szczegółowe

ekspertyzy, które potwierdziłyby moje nieśmiałe przypuszczenia.

Kudłaty Jim trzyma dziennik w drżącej dłoni tak, jakby lada chwila miał go upuścić.

— Zdaje pan sobie sprawę, że ta mała książeczka jest warta kilkaset tysięcy dolarów — rzekł Pendergast. — A może nawet więcej, jeśli zechciałby pan ją sprzedać. Niestety, wymaga ona konserwacji. Pulpa, z której wykonano papier użyty do produkcji tego dziennika, ma wysoki poziom kwasowości.

Kudłaty Jim uniósł dziennik w dłoni i zaczął go przeglądać.

— Chcę go zatrzymać, panie Pendergast. Pieniądze nic dla mnie nie znaczą. Tylko jak miałbym dokonać wspomnianych przez pana... zabiegów konserwacyjnych?

— Znam pewnego dżentelmena, który potrafi zdziałać cuda z równie delikatnymi i zaniedbanymi relikdami minionych stuleci. Ja zaś z przyjemnością — i rzecz jasna, nieodpłatnie — zaopiekuję się pana własnością na czas dokonania niezbędnych zabiegów — po czym niezwłocznie ją panu zwrócę.

Kudłaty Jim przez dłuższą chwilę wpatrywał się w zabytkowy dziennik. Po czym bez słowa wręczył go Pendergastowi.

Pożegnanie było krótkie, zdawkowe. W drodze powrotnej do Medicine Creek Corrie prowadziła, a Pendergast siedział rozparty na fotelu obok, pogrążony w milczeniu i głębokiej zadumie, z zamkniętymi oczami, jedną ręką delikatnie trzymając starannie zapakowany indiański dziennik.

OSIEMNAŚCIE

Willie Stott przesuwał się po śliskiej, betonowej posadzce, rozbryzgując energicznie w przód i w tył gorącą mieszaninę środka czyszczącego i wody, spychając zabłąkane ptasie żołądki, łby, grzebienie, flaki oraz inne odpadki w stronę wielkiej stalowej, niklowanej niecki w podłodze pod patroszalnią. Lata wprawy sprawiły, że Stott, przesuwając dłonią trzymającą szlauch w lewo i w prawo, bez najmniejszych problemów usuwał zalegające na ziemi odpadki i nieczystości, kierując je gładko w stronę zagłębienia pośrodku sali. Willie radził sobie ze szlauchem jak artysta z pędzlem; zebrawszy wszystkie resztki w jedną wielką stertę, wprawnym uderzeniem strugi wody spychał je do otworu odpływowego,

gdzie znikaly przy wtórze wilgotnego bulgotu. Raz jeszcze umyl cala posadzke, wyluskujac przeoczone wczesniej drobne szczatki, fragmenty dziobow czy koralu, po czym paroma szybkimi chlošniaciami wodnego bicza skierowal je w ślad za reszta.

Stott przestal jadać indyki w kilka dni po rozpoczęciu pracy w Gro-Bain, a pare miesiecy pózniej calkiem zrezygnowal ze spozywania miesa. Tak bylo z wiekszoscia osob, ktore tu pracowaly. Na Święto Dziękczynienia kierownictwo Gro-Bain dawalo swoim pracownikom w prezencie darmowe indyki, ale Stott nie znal nikogo, kto by je zjadal.

Skończywszy prace, zakrecil wode i odwiesil szlauch na miejsce. Bylo juz pietnaście po dziesiatej, ostatni pracownicy drugiej zmiany wyszli z zakladu pare godzin temu. W ubieglych latach pracowano tu na trzy zmiany, trzecia trwala od dwudziestej do czwartej rano, ale tamte czasy nalezaly juz do przeszlosci.

Poczul dajacy ukojenie nacisk tkwiacej w tylnej kieszeni butelki Old Grand Dad. Jakby w nagrode za skonczone prace, wyjal flaszke, odkrecil i pociagnal lyk. Whisky, podgrzana do temperatury ciala, wytoczyła miła, goraca, lehcaca sciezke w glab jego zoladka i w kilka chwil pózniej alkohol uderzyl mu do glowy.

Życie nie bylo takie złe.

Napił się raz jeszcze, opróżniając butelkę, wlozyl ja na powrot do kieszeni i siegnal po wielka, gumowa wycieraczka wiszaca na okafelkowanej scianie. W tyl i w przod, w tyl i w przod, jeszcze piec minut i cala podloga, platforma dla pracownikow oraz pas transmisyjny powyzej byly tak czyste i suche, ze mozna by z nich jesć. Woń indycznego guana, strachu, krwi, flakow i kwasow zoladkowych zostala zastapiona przez

świeży, gryzący zapach środka czyszczącego.

Znów wykonał dobrą robotę. Stott poczuł, że ogarnia go duma. Sięgnął po butelkę, ale przypomniał sobie, że była już pusta. Spojrzał na zegarek. Koło u Wozu powinno być otwarte jeszcze przez pół godziny. Jeśli Jimmy, strażnik nocny, zjawi się punktualnie, Willie będzie miał dość czasu, aby zdążyć na jednego.

Ta myśl dodała mu otuchy.

Kiedy odłożył już cały sprzęt na miejsce, usłyszał, że właśnie przyszedł Jimmy. Strażnik przybył do zakładu pięć minut przed czasem lub — co bardziej prawdopodobne — zegarek Stotta się późnił.

Przeszedł do hali rozładunkowej, by zaczekać na zmiennika. W chwilę później usłyszał krok Jimmy'ego, strażnik jak zawsze dzwonił pękiem kluczy, a miał ich sporo.

— Się ma, Jimmy — rzucił Stott.

— Cześć, Willie.

— Cały zakład należy do ciebie.

— Nie dziękuję.

Stott wyszedł na opustoszały parking pracowniczy, gdzie na samym końcu placu stał jego zakurzony samochód. Jako że zawsze przyjeżdżał pod koniec drugiej zmiany, wóz stał daleko od wejścia do zakładu. Noc była para i cicha. Ruszył przez oświetlony latarniami plac w kierunku swego auta. Za parkingiem rozciągały się niknące w mroku łąny kukurydzy. Najbliższe z nich, te, które widział, stały sztywno i nieruchomo. Zdawały się nasłuchiwać. Niebo zasnuły chmury, trudno było określić, gdzie kończyła się kukurydza, a zaczynała noc. Wszystko tonęło w atramentowej ciemności. Przyspieszył kroku. To nienormalne być

otoczonym przez taki bezmiar kukurydzy. Człowiek zaczyna czuć się wówczas dość dziwnie.

Otworzył drzwi samochodu, wślizgnął się do środka i zatrzasnął je za sobą. Ten brutalny ruch sprawił, że nagromadzona na dachu cienka warstewka kurzu i pyłków kukurydzy osypała się po szybach w dół. Zablokował drzwi, brudząc sobie dłonie pyłem. To świństwo było wszędzie. Chryste, już czuł smak whisky Swede'a przepływającej jego gardło do czysta. Uruchomił samochód, starego horneta AMC. Silnik zacharczał, zakasłał i zgasł.

Willie zaklął i wyjrzał przez szybę. Z prawej strony — mrok, z lewej — pusty parking z kręgami światła rzucanego przez latarnie. Odczekał chwilę, po czym znów przekręcił kluczyk w stacyjce. Tym razem silnik zaskoczył. Pogrzał go przez chwilę, po czym przestawił dźwigenkę automatycznej skrzyni biegów na jazdę. Auto, jak zawsze przy wtórze zgrzytów i jęków protestującego metalu, potoczyło się naprzód.

„Koło u Wozu, nadchodzę!” — ta przyjemna myśl poprawiła mu humor. Już czuł w ustach smak whisky, którą wypije, zanim przyjdzie mu wrócić do Elmwood Acres, smętnego, małego osiedla na drugim końcu miasteczka. Zastanawiał się, na ile sobie pozwoli. Jak na razie, opróżnił pintową butelkę. Może to powtórzy.

Albo nawet wypije jeszcze dwie pinty whisky. Tej nocy miał ochotę zaszaleć.

Światła zakładu Gro-Bain błysnęły, gdy go mijał, po czym Stott nagle znalazł się pośród ciemności, otoczony z dwóch stron łańcami kukurydzy, reflektory jego auta oświetlały niewielki tylko odcinek pylistej drogi. W oddali przed nim droga zataczała szeroki łuk, kierując się ku Medicine

Creek. Z lewej strony widać już było światła miasta, pomarańczowa luna rozjaśniała niebo ponad łąkami.

Gdy pokonał zakręt, silnik znów zaczął dudnić, tym razem groźniej niż poprzednio. I nagle zakrztusił się, prychnął, parsknął i zgasł.

— Cholera — mruknął Willie Stott.

Stary hornet potoczył się jeszcze kawałek siłą rozpędu i stanął. Stott przełączył dźwigienkę automatycznej skrzyni biegów na parkowanie i przekręcił kluczyk w stacyjce, ale bez rezultatu. Samochód wysiadł na dobre.

— Cholera! — krzyknął ponownie, uderzając pięścią w kierownicę. — Cholera, cholera, cholera!

Jego głos rozpląnął się we wnętrzu auta. Otoczyły go cisza i ciemność. Cokolwiek stało się z samochodem, wyglądało na poważną awarię, a on nie miał nawet latarki, aby zajrzeć pod maskę.

Wyjął butelkę, odkręcił, uniósł do góry i wysączył ostatnie palące krople. Obliznął wargi, odwracając butelkę w dłoniach i wpatrując się w nią z uwagą. W domu nie miał nawet kropelki alkoholu.

Cisnął butelkę za okno, pomiędzy łąki i spojrzał na zegarek. Do zamknięcia Koła u Wozu zostało jeszcze dwadzieścia minut. Miał do przejścia około półtora kilometra. Gdyby się sprężył, powinien jeszcze zdążyć, nie miał innego wyboru, będzie musiał pójść pieszo.

Już miał otworzyć drzwi, jego dłoń dotknęła klamki, kiedy nagle przypomniał sobie o niedawnym zabójstwie i okrutnych szczegółach, które sugerowano w gazetowym artykule.

Tak, no jasne. Miliardy hektarów kukurydzy, a jakiś świr nic, tylko czai się gdzieś tutaj, akurat pomiędzy Gro-Bain i Kołem u Wozu.

Parne nocne powietrze wpłynęło do wnętrza auta, kiedy otworzył drzwi. Chryste, za dwadzieścia jedenasta, a wciąż było gorąco jak cholera. Czuł zapach kukurydzy, woń wilgoci. W ciemnościach grały świerszcze. Na horyzoncie rozbłysła cicha błyskawica.

Zawrócił do samochodu, zastanawiając się, czy powinien włączyć światła awaryjne. Zmitygował się jednak. W ten sposób tylko dodałby do listy części do wymiany w swoim aucie zużyty akumulator. Poza tym aż do siódmej rano, kiedy w zakładzie pojawią się pracownicy przedmianowi, na tej drodze nie będzie raczej żywego ducha.

Jeżeli chciał zdążyć do Koła u Wozu, musiał się pospieszyć.

Szedł szybko, jego chude nogi w równym tempie przemierzały pylistą, czarną drogę. Pracując w zakładzie, zarabiał siedem i pół dolara za godzinę.

Jak, u licha, miał naprawić wóz, zarabiając siedem i pół dolara za godzinę? Ernie nie policzyłby mu za robociznę, ale części będą kosztować krocie. Nowy starter mógł kosztować ze trzy i pół, cztery stówy. Dwa tygodnie pracy. Mógł podjeżdżać do pracy z Ripem. Tak jak ostatnim razem, musiałby pożyczać auto Jimmy'ego, by dostać się do domu, a następnie wracać o siódmej, aby odebrać go z zakładu. Problem w tym, że Jimmy spodziewał się, iż to on będzie płacił za zużyte paliwo przez cały okres trwania tego dość skomplikowanego układu, a benzyna w dzisiejszych czasach kosztowała fortunę. To nieuczciwe. Był dobrym pracownikiem. Powinien otrzymywać wyższą stawkę. Dziewięć dolców za godzinę, no, powiedzmy dziewięć i pół.

Jeszcze bardziej przyspieszył kroku. Ciepły, żółty blaski bijący z okien Koła u Wozu, długi drewniany kontuar, szafa grająca, butelki i szklanki

lśniące na półkach przed lustrem — te obrazy wypełniły jego myśli, dodając sił nogom i przepelniając jego serce radością.

Nagle przystanął. Wydawało mu się, że usłyszał jakiś szelest w kukurydzy na prawo od niego.

Odczekał chwilę, nasłuchując, ale dokoła panowała cisza. Powietrze było nieruchome. Błysnęły kolejne ciche błyskawice.

Ruszył dalej, tym razem środkiem drogi. Wciąż nic, cisza. To pewnie jakieś zwierzę, może szop. Albo tylko mu się wydawało.

Znów skupił swoje myśli na Kole u Wozu. Oczyma duszy widział wielką przyjazną sylwetkę wąsatego Swede'a o rumianych policzkach, krzątającego się za barem; dobrego, starego Swede'a, który zawsze był życzliwy wobec wszystkich. Wyobraził go sobie stawiającego przed nim szklanę i napełniającego szkło aż po same brzegi, wyobraził sobie siebie, jak podnosi szkło, i nieomal poczuł strugę płynnego ognia wypalającego sobie drogę w głąb przetyku, aż do żołądka. Zamiast kupić butelkę, zapłaci trochę więcej, ale napije się przy barze. Swede odwiezie go do domu, był zawsze uprzejmy wobec swoich klientów. A może nawet Willie prześpi się na zapleczu, a z samego rana wybierze się do Erniego. Nie pierwszy raz przespałby się w Kole u Wozu. To było o niebo lepsze niż powrót do domowego kieratu i do tej hetery. Może zadzwoni do niej z baru, obmyśli jakąś wymówkę...

Spomiędzy łańców znów dobiegł jakiś dźwięk...

Willie znieruchomiał tylko na chwilę, po czym rażno pomaszerował dalej, podeszwy jego roboczych butów miękko pla-skały o rozgrzany asfalt. Nagle znowu usłyszał ten odgłos, rozległ się znacznie bliżej, na tyle blisko, że zdołał go rozpoznać.

To był szelest, jaki słyhać, kiedy ktoś przedziera się przez suche łany kukurydzy.

Stott spojrział w prawo, wyżej wzrok. Dostrzegł jednak tylko wierzchołki łodyg kukurydzy odcinające się słabo na tle nieba. Cała reszta była ciemnością.

Nagle, gdy tak patrzył, zauważył, że jedna z łodyg drży na tle nieba.

Co to mogło być? Jeleń? Kojot?

— Haa! — zawołał, machając rękami w stronę, skąd dobiegł podejrzany szelest. Krew zastygła mu w żyłach, gdy usłyszał odpowiedź. To było stęknienie, ludzkie i nieludzkie zarazem.

— Moe — padła odpowiedź.

— Kto tam jest, do cholery? Cisza. Żadnych dźwięków.

— Pieprzę cię — rzucił Stott, przyspieszając kroku i schodząc na skraj drogi. — Nie wiem, kim, u diabła, jesteś, ale pieprzę cię.

Rozległ się głośny szelest, ktoś przedzierał się przez kukurydzę szybciej niż do tej pory, jakby próbował dotrzymać mu kroku.

— Moe.

Stott przeszedł w lekki trucht.

Szelest spomiędzy łanów kukurydzy nadal mu towarzyszył. Dźwięk, ten dziwny, sapiący głos, przybrał na sile i intensywności.

— Moe! Moe!

Stott zaczął biec. Od strony łanów dały się słyszeć hałaśliwe dźwięki. Willie ujrzał na tle nieba, jak wierzchołki łodyg kukurydzy w łanie ciągnącym się wzdłuż drogi kołyszą się z szelestem i pękają z trzaskiem. Znów głośny łoskot, a w chwilę potem Willie zauważył coś, jakby wielki, mroczny kształt wybiegający z pola z przerażającą szybkością, biegnąc

zrazu równoległe do niego, lecz stopniowo coraz bardziej zbliżający się w jego stronę.

W ułamku sekundy Willie Stott, wiedziony jakimś atawistycznym instynktem, wskoczył do rowu po lewej stronie drogi i pognął co sił w nogach między łany. Gdy pochłonęło go morze kukurydzy, zaryzykował i pospiesznie obejrzał się przez ramię. W tym samym momencie dostrzegł gigantyczny, ciemny kształt przecinający szosę z tyłu za nim i sunący w jego stronę z niesamowitą prędkością.

Stott przedarł się przez kolejny łan i jeszcze jeden, zapuszczając się najdalej, jak tylko potrafił, w głąb dusznego, mrocznego pola, sapał ciężko, rozpaczliwie łapał oddech. Wciąż jednak słyszał za sobą suchy trzask łamanych i deptanych bezceremonialnie łądyg.

Skręcił ostro w bok i pognął w głąb przejścia między łanami. Z tyłu za nim trzask gruchotanych łądyg niespodziewanie ucichł.

Stott biegł dalej. Miał długie nogi, a w liceum należał do drużyny lekkoatletycznej. Od tamtego czasu upłynęło wiele lat, ale Willie wciąż umiał szybko biegać. Dlatego gnał co sił, nie myśląc o niczym innym prócz biegu, nie liczył się nic innego poza pragnieniem prześcignięcia podążającego jego śladem prześladowcy.

Pomimo iż otaczały go wysokie łany kukurydzy, Stott nie stracił do reszty orientacji. Medicine Creek znajdowało się kilometr dalej, na wprost niego. Mogło mu się udać...

Z tyłu za nim dał się słyszeć głośny tupot stóp o zeschniętą zbitą ziemię. Każdy ciężki krok przypieczętowany był rytmicznym stęknięciem.

— Moe. Moe. Moe.

Długi łan kukurydzy zakręcał łagodnym łukiem, zgodnie z

ukształtowaniem terenu, a Willie biegł wzdłuż niego; przepelniające go przerażenie dodawało mu sił.

— Moe. Moe. Moe.

Chryste, to coś zbliżało się do niego. Skręcił, przedarł się sprawnie przez kolejny łąn i popędził dalej.

Usłyszał za sobą rozziewający łoskot, to prześladowca przebił się przez kukurydzę, ścigając go i zmniejszając dzielący ich dystans.

— Moe. Moe. Moe.

— Zostaw mnie w spokoju, sukinsynu! — wrzasnął Willie.

— Moe. Moe. Moe.

To się zbliżało, nieomal czuł już na karku gorący oddech prześladowcy, pojawiający się w równym rytmie z grzmiącymi, ciężkimi krokami. Nagle jego uda zalała ciepła, wilgotna struga, pęcherz odmówił mu posłuszeństwa. Skręcił, przedarł się do przejścia między sąsiednimi łąnami, znów skręcił, zawrócił. Stwór był tuż za nim, zbliżał się, był tuż-tuż.

— Moe! Moe! Moe!

Prześladowca coraz szybciej zmniejszał dystans pomiędzy nimi.

Stott poczuł, że coś chwyta go za włosy, coś potwornie silnego. Spróbował potrząsnąć głową i uwolnić się, poczuł przeszywający ból, ale nie zdołał przełamać wyjątkowo mocnego chwytu. Jego płuca płonęły żywym ogniem. Nogi z każdym krokiem stawały się coraz cięższe, jak z ołowiu. Z przerażenia zaczęły mięknąć mu kolana.

— Pomocy! Niech mi ktoś pomoże! — krzyknął, dając susa w bok, potrząsając i szarpiąc głową tak gwałtownie, że nieomal poczuł, jak jego skalp zaczyna odrywać się od czaszki. Ten stwór prawie go już dopadł.

Nagle Willie poczuł na karku przeraźliwie mocny uścisk czegoś, co skojarzyło mu się ze stalowymi szczękami imadła, a zaraz potem brutalne szarpnięcie i skręt, jego uszy wypełnił suchy, rozdzierający trzask i zrobiło mu się lekko; był lekki jak piórko, frunął, unosił się ku ciemnemu niebu, podczas gdy wysoki głos zakrzyknął triumfalnie: —

Mooooooooooooooooooooo!

DZIEWIĘTNAŚCIE

Smit Ludwig zamknął na klucz drzwi do redakcji „Cry County Couriera” i wsunął pęk kluczy do kieszeni. Przechodząc przez ulicę, spojrzął odruchowo w niebo. Wielkie, jałowe chmury burzowe gromadziły się na wschodzie, tak jak każdego dnia od dwóch tygodni. Do zmierzchu rozejdą się po niebie i rankiem nie będzie już po nich śladu. Któregoś dnia tak się jednak nie stanie i nadejdzie naprawdę wielka burza. Wszystko jednak wskazywało, że upały będą nękać Medicine Creek jeszcze przez jakiś czas.

Ludwig domyślał się, o czym chcieli z nim porozmawiać Art Ridder i szeryf. Cóż, mieli pecha, artykuł o psie był już napisany i trafi do jutrzejszego wydania gazety. Ruszył przed siebie, czując żar bijący od chodnika, przenikający podeszwy jego butów i promienie słońca padające na jego odkrytą głowę. Do Magg's Candlepin Castle było pięć minut drogi piechotą, ale już w dwie minuty później Ludwig pożałował, że nie pojechał tam samochodem. Zjawi się na miejscu spocony i sfatygowany — to błąd taktyczny. Dobrze, że Magg's było klimatyzowane i panowały tam temperatury jak w tundrze.

Gdy wszedł przez podwójne, przeszklone drzwi, owionął go podmuch chłodnego powietrza, o tej porze na kręgielni było pusto i ciemno. W oddali widział światła Castle Clubu, gdzie co rano Art Ridder z gazetą w dłoni zasiadał do śniadania. Ludwig poprawił kołnierzyk, wyprostował się i pomaszerował naprzód.

Castle Club był nie tyle klubem, ile raczej przeszkloną kafejką z krzesłami obitymi czerwoną tapicerką z imitacji skóry. Do tego stoły z formiki imitującej drewno i ozdobne lustra. Ludwig wszedł do środka i

podszedł do narożnego stolika, gdzie siedzieli już, rozmawiając półgłosem, szeryf Hazen i Art Ridder. Ten ostatni na widok Ludwiga podniósł się z miejsca, uśmiechnął szeroko, wyciągnął rękę i gestem zaprosił dziennikarza, aby usiadł.

— Smitty! Cieszę się, że przyszedłeś.

— Jasne, Art.

Szeryf nie wstał, a teraz tylko kiwnął głową, wydmuchując ustami kłęb papierosowego dymu.

— Smit.

— Szeryfie.

Zapadła krótka cisza. Ridder rozejrzał się wokoło, po czym rzucił władczym tonem:

— Em! Kawę! A dla Smita Ludwiga jajecznicę na bekonie!

— Właściwie nie jadam śniadań.

— Bzdura. Dziś jest szczególnie ważny dzień.

— A to czemu?

— Ponieważ za kwadrans dołączy do nas doktor Stanton Chauncy, ten profesor z KSU. Zamierzam pokazać mu miasto.

Znów chwila ciszy. Art Ridder miał na sobie różową koszulę z krótkim rękawem i jasnoszare spodnie, biały blezer przewiesił przez oparcie krzesła. Art był pulchny, ale niespecjalnie miękki. Przez lata pracy w zakładzie przetwórstwa drobiu wyrobił sobie pokaźne mięśnie, które po dziś dzień nie znikły. Promieniał energią i witalnością.

— Mamy mało czasu, Smitty, więc będę się streszczał. Znasz mnie, jestem bardzo konkretny. — Ridder zachichotał.

— Jasne, Art. — Ludwig odchylił się do tyłu, pozwalając, by kelnerka

postawiła przed nim talerz z okazałą porcją jajecznicy na bekonie.

Zastanawiał się, co w tej sytuacji powinien zrobić prawdziwy dziennikarz.

Wyjść? Uprzejmie odmówić?

— No dobra, Smitty, posłuchaj, rzecz ma się tak. Wiesz, że ten Chauncy poszukuje miejsca, w którym jego macierzysty KSU mógłby założyć eksperymentalną uprawę. W grę wchodzi Medicine Creek oraz Deeper. W Deeper jest motel, dwie stacje benzynowe, a poza tym z Deeper jest trzydzieści dwa kilometry bliżej do autostrady międzystanowej. Kapujesz? Mógłbyś zapytać, co my mamy do zaoferowania? Dlaczego właśnie my? Rozumiesz, o co mi chodzi?

Ludwig pokiwał głową. „Rozumiesz, o co mi chodzi?” — to ulubiony zwrot Riddera.

Ridder uniósł kubek z kawą, napreżył mięśnie muskularnego ramienia i upił łyk gorącego naparu.

— No cóż, dysponujemy czymś, czego nie posiada Deeper. Słuchaj mnie teraz uważnie, ponieważ KSU nic o tym nie wie. Naszym atutem jest izolacja. — Przerwał dla dodania swoim słowom dramatyzmu. — Czemu izolacja jest tak ważna? Ponieważ na tym polu będzie testowana modyfikowana genetycznie kukurydza. — Zanucił melodyjkę ze Strefy mroku, po czym uśmiechnął się. — Rozumiesz, o co mi chodzi?

— Nie całkiem.

— Wszyscy wiemy, że genetycznie modyfikowana kukurydza jest w pełni nieszkodliwa. Są jednak ludzie, głównie ciemne miejskie ówoki, liberałowie, obrońcy środowiska, którym się wydaje, że genetycznie modyfikowana kukurydza niesie ze sobą Bóg wie jakie zagrożenia. — Znowu zanucił melodyjkę ze Strefy mroku. — Prawdziwym powodem, dla

którego wzięto pod uwagę kandydaturę naszego miasta, jest właśnie jego izolacja. Nie mamy hotelu, hipermarketu ani multikina. Do najbliższej stacji radiowej i telewizyjnej jest ponad sto sześćdziesiąt kilometrów. Innymi słowy, to najgorsze miejsce na świecie, aby można tu urządzić zorganizowany protest. Rzecz jasna, Dale Estrem i Wspólnota Farmerów będą się burzyć, ale w sumie jest ich niewielu. Dam sobie z nimi radę. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Ludwig pokiwał głową.

— Istnieje jednak pewien mały problem — ciągnął Ridder. — W okolicy szwenda się ten morderczy szajbus. Zabił już człowieka, psa, Bóg wie, co teraz strzeli mu do głowy. I to akurat teraz, kiedy do miasta zjechał Stanton Chauncy, kierownik programowy Wydziału Rolnictwa KSU, aby zbadać, czy nasza miejscina nadaje się na założenie tu tej eksperymentalnej uprawy. Chcemy pokazać mu, że jesteśmy idealnym miejscem na tę lokalizację. Że nasze miasteczko cechują spokój, prawo i porządek. Żadnych prochów, hipisów czy protestów ekooszołomów. Naturalnie Chauncy słyszał o zabójstwach, ale uznał, że to przypadek, a nie robota krążącego w okolicy seryjnego mordercy. Na razie nie przejmuj się tym i chęć, aby tak pozostało. Dlatego musisz pomóc mi w dwóch kwestiach. Ludwig czekał.

— Po pierwsze, przestań pisać artykuły o tych cholernych zabójstwach — zapowiedział Art. — No dobra, stało się. Teraz zrób sobie przerwę. I cokolwiek zrobisz, nie pisz artykułu o tym zabitym psie.

Ludwig przełknął ślinę. Zapadła cisza. Ridder patrzył na niego zaczerwienionymi, podkrążonymi oczami. Naprawdę przejął się tym wszystkim.

— Ale to ważna sprawa. Ludzie mają prawo o tym wiedzieć — odrzekł Ludwig łamiącym się głosem.

Ridder uśmiechnął się i położył wielką łapę na ramieniu Ludwiga. Zniżył głos.

— Proszę cię o przysługę, Ludwig, zrób sobie kilka dni przerwy od tej sprawy. Tylko na czas pobytu tego faceta w naszym mieście. Nie każę ci całkiem zarzucić tego tematu, nic z tych rzeczy. — Lekko ścisnął palcami ramię Ludwiga. — Posłuchaj, obaj wiemy, że zakład Gro-Bain to niepewna inwestycja. Kiedy w 1996 zlikwidowano nocną zmianę, z miasta wyjechało dwadzieścia rodzin. To byli porządni, ciężko pracujący ludzie, Smit-ty. Ludzie tracą pracę i porzucają rodzinne miasto oraz domy, które zbudowali ich dziadkowie. Nie chcę żyć w umierającym mieście. Ty zapewne też tego nie chcesz. Ta inwestycja mogłaby dać naszemu miastu nową przyszłość, nowy start. Jedno czy dwa pola to zaledwie początek, inżynieria genetyczna ma przyszłość i są z nią nieodłącznie związane pieniądze, duże pieniądze, część tych funduszy może trafić właśnie tutaj, do Medicine Creek. Gra toczy się o dużą stawkę, Smitty. Większą, niż myślisz. Proszę cię tylko o dwa, góra trzy dni zwłoki. Ten facet ma ogłosić decyzję w poniedziałek. Odłóż swój artykuł, opublikujesz go, kiedy Chauncy już stąd wyjedzie. We wtorek rano. Rozumiesz, o co mi chodzi?

— Zaczynam rozumieć.

— Zależy mi na tym mieście. I wiem, że tobie również, Smitty. Nie chodzi o mnie. Ja tylko staram się wypełniać swój obywatelski obowiązek.

Ludwig przełknął ślinę. Zorientował się, że jajecznicza na jego talerzu zdążyła już ostygnąć, a plastry bekonu zesztyniały. Dopiero teraz głos zabrał szeryf Hazen.

— Smitty, wiem, że mamy odmienne zdanie w wielu kwestiach. Jest jednak jeszcze jeden powód, dla którego nie powinieneś drukować artykułu o tym psie. Eksperci z dziedziny psychologii klinicznej z Dodge uważają że zabójca może żądać rozgłosu. Jego celem jest sterroryzowanie miasteczka. Mieszkańcy naszej małej osady już zaczynają plotkować o masakrze i Kłątwie Czterdziestu Pięciu, a te cholerne strzały wydają się rekwizytami wykorzystanymi w celu obudzenia w ludziach starych lęków i zabobonów. Mówi się, że artykuły tylko zachęcają tego typu do dalszego działania. Zupełnie jakby ów zabójca pragnął ziścić swoje chore fantazje dotyczące kłątwy. Nie chcemy, aby jakieś nasze posunięcie sprowokowało go do kolejnego zabójstwa. Ten facet nie żartuje, Smitty.

Zapanowała długa cisza. Wreszcie Ludwig westchnął.

— Może jednak odłożę ten artykuł o psie na parę dni — powiedział półgłosem.

Ridder uśmiechnął się.

— Doskonale. Po prostu doskonale. — Znów ścisnął Smitty'ego za ramię.

— Wspomniałeś o dwóch sprawach — rzucił niepewnie Ludwig.

— To fakt. Widzisz, Smitty, tak mi nagle przyszło do głowy, że mógłbyś napisać artykuł o doktorze Stantonie Chauncym. Każdy lubi znaleźć się w centrum zainteresowania, z tym facetem jest tak samo. Co się tyczy projektu — może lepiej nie ujawniać za wiele. Ale artykuł o nim, skąd pochodzi, jakie ma osiągnięcia, czego dokonał na KSU — rozumiesz, o co mi chodzi, Smitty?

— To niegłupi pomysł — mruknął Ludwig. Tak, to faktycznie był niezły pomysł. Jeżeli facet okaże się interesujący, artykuł powinien być

ciekawy, ludzie będą mieli co czytać. Przyszłość miasta zawsze była tematem numer jeden rozmów mieszkańców Medicine Creek.

— Doskonale. On zjawi się tu za pięć minut. Przedstawię cię, a potem zostawię was samych.

— Świetnie. — Ludwig ponownie przełknął ślinę. Ridder puścił wreszcie ramię Ludwiga. Reporter poczuł chłód w miejscu, gdzie dotykała go ciepła, wilgotna dłoń.

— Porządny z ciebie gość, Smitty.

— Jasne.

W tej samej chwili z krótkofalówki szeryfa dobiegły jakieś trzaski. Hazen odpiął ją od paska i wcisnął przycisk odbioru. Ludwig usłyszał cichy głos Tada relacjonującego poranny incydent.

— Jakiś żartowniś spuścił powietrze z opon samochodu trenera drużyny futbolowej — powiedział Tad.

— Coś jeszcze? — spytał Hazen.

— Kolejny martwy pies. Tym razem na poboczu drogi.

— Chryste. Coś jeszcze?

— Żona Williego Stotta powiedziała, że jej mąż nie wrócił na noc do domu.

Szeryf wywrócił oczami.

— Zajrzyj do Swede'a, pod Koło u Wozu. Pewnie Willie znów zapił i spędził noc na zapleczu knajpy.

— Tak jest.

— Psem sam się zajmę.

— Ma leżeć cztery kilometry stąd, przy Deeper Road po zachodniej stronie.

— Przyjąłem.

Hazen wsunął krótkofalówkę do futerału, zdusił papierosa w popielniczce, zgarnął swój kapelusz leżący na wolnym krześle obok, nałożył go i wstał.

— Na razie, Art. Dzięki, Smitty. Muszę lecieć.

Szeryf wyszedł, a wówczas jak na zawołanie pojawił się doktor Stanton Chauncy.

Ridder zawołał go, machnął do niego przez szybę. Chauncy pokiwał głową i wszedł do Castle Clubu. Szedł tym samym sztywnym krokiem jak wtedy, na festynie. Mężczyzna omiół spojrzeniem wnętrze lokalu, a Ludwig dostrzegł w jego oczach dziwny błysk — czego? — rozbawienia? pogardy?

Ridder wstał, podobnie jak Ludwig.

— Proszę nie wstawać — powiedział Chauncy. Uścisnął im dłonie na powitanie, po czym wszyscy usiedli.

— Doktorze Chauncy — zaczął Ridder. — Chciałbym panu przedstawić Smita Ludwiga z „Cry County Couriera”, naszej lokalnej gazety. To redaktor naczelny, wydawca i dziennikarz w jednej osobie — taka jednoosobowa armia. — Zaśmiał się.

Ludwig poczuł na sobie nieprzyjemne spojrzenie chłodnych, niebieskich oczu.

— To musi być bardzo ciekawe, panie Ludwig — stwierdził Chauncy.

— Proszę mówić mu Smitty. My tu w Medicine Creek nie bawimy się w konwenanse. Jesteśmy przyjaznym miastem.

— Dzięki, Art. — Chauncy odwrócił się do Ludwiga. — Smitty, mam nadzieję, że i ty będziesz mi mówił po imieniu. Jestem Stan.

Ridder nie dopuścił Ludwiga do słowa.

— Posłuchaj, Stan. Smitty chce napisać o tobie artykuł, a ja muszę już lecieć, więc zostawię was teraz samych. Zamawiajcie, co chcecie, ja stawiam.

W chwilę potem Ridder zniknął, a Chauncy ponownie skierował spojrzenie chłodnych, jasnoniebieskich oczu na Ludwiga. Przez moment Ludwig zastanawiał się, na co tamten czeka. Zaraz jednak przypomniał sobie, że przecież miał przeprowadzić z nim wywiad. Wyjął z kieszeni nieodłączny notes i pióro.

— Jeżeli nie ma pan nic przeciw temu, wolałbym zapoznać się wcześniej z przygotowanymi przez pana pytaniami — rzekł Chauncy.

— Chciałbym, abyśmy byli dobrze zorganizowani — mruknął Ludwig, siląc się na uśmiech.

Chauncy nie uśmiechnął się.

— Proszę mi wyjaśnić, jak pan sobie wyobraża ten artykuł.

— Chodzi mi o krótkie przedstawienie pańskiej osoby. Rozumie pan, główny koordynator planowanego projektu i tak dalej.

Cisza.

— Mamy do czynienia z delikatnym tematem. Trzeba to zrobić z wyczuciem — rzucił Chauncy.

— To będzie przychylny, pozytywny artykuł dotyczący głównie pańskiej osoby, nie zamierzam wdawać się w szczegóły dotyczące eksperymentalnego pola.

Chauncy zamyślił się przez chwilę.

— Będę musiał autoryzować wywiad, zanim go pan wydrukuje.

— Zwykle tego nie robimy.

— W tym przypadku uczyni pan wyjątek. To niezłomna zasada obowiązująca w KSU.

Ludwig westchnął.

— No dobrze.

— Proszę kontynuować — rzekł Chauncy. Usadowił się wygodniej na krześle.

— Ma pan ochotę na kawę, a może zje pan śniadanie?

— Już jadłem parę godzin temu, jeszcze w Deeper.

— No dobrze. Wobec tego zaczynajmy. — Ludwig otworzył notes, wygładził go, ujął w dłoń długopis i zaczął zastanawiać się nad pytaniami.

Chauncy spojrział na zegarek.

— Mam wiele zajęć, toteż byłbym zobowiązany, gdyby nie zajęło to panu więcej niż piętnaście minut. Następnym razem proszę zawczasu przygotować pytania, a nie wymyślać je na poczekaniu. To kwestia czystej kurtuazji, gdy przeprowadza się wywiad z osobą, której czas jest wyjątkowo cenny. Ludwig odetchnął głęboko.

— Proszę opowiedzieć mi trochę o sobie, gdzie uczęszczał pan do szkoły, jak doszło do tego, że zainteresował się pan rolnictwem, tego typu rzeczy.

— Urodziłem się i dorastałem w Sacramento w Kalifornii. Tam także uczęszczałem do liceum. Studia ukończyłem na uniwersytecie kalifornijskim w Davis, gdzie zrobiłem magisterium z biochemii. Jestem absolwentem Phi Beta Kappa, summa cum laude, rocznik 1985. — Przerwał. — Czy mam przeliterować „summa cum laude”?

— Poradzę sobie.

— Następnie podjąłem studia podyplomowe na Uniwersytecie

Stanforda, ukończyłem je w cztery lata później, czyli w 1989 roku doktorem z dziedziny biologii molekularnej. Moją dysertację nagrodzono Medalem Hensleya. Pisze się H-E-N-S-L-E-Y-A. Niedługo potem zaproponowano mi posadę na wydziale biologii Uniwersytetu Stanowego Kansas. W 1995 roku objąłem katedrę Leona Throckmorta, profesora zwyczajnego biologii molekularnej, a w 1998 zostałem kierownikiem programu rozwoju rolnictwa.

Przerwał, by Ludwig zdążył wszystko zanotować.

Ludwig miał na koncie wiele nudnych artykułów i już na pierwszy rzut oka potrafił wyczuć chłam. Ta historia cuchnęła na milę. Medal Hensleya, Chryste Panie. Ten człowiek był skończonym nudziarzem i dupkiem.

— Dzięki, Stan. A od kiedy zacząłeś interesować się inżynierią genetyczną? Kiedy zdecydowałeś, że wiesz, kim chcesz zostać?

— Nie nazywamy tego, co robimy, inżynierią genetyczną. Określamy to mianem genetycznych usprawnień.

— No dobrze, niech będzie — genetyczne usprawnienia. Kiedy się nimi zainteresowałeś?

Na twarzy Chauncy'ego pojawił się przez mgnienie oka wyraz nabożnej podniosłości.

— Kiedy miałem dwanaście albo trzynaście lat, zobaczyłem w czasopiśmie „Life” tłum głodujących dzieci z Biafry, tłoczących się wokół ciężarówki ONZ i walczących choćby o garstkę ryżu. Chcę zrobić coś, by nakarmić te głodujące dzieci.

Ale palant. Mimo to Ludwig zapisał jego wypowiedź słowo w słowo.

— A pańscy rodzice? Czym się zajmują? Czy nauka towarzyszy waszej rodzinie od pokoleń?

Zapadła krótka cisza.

— Wolałbym raczej skupić się na mojej osobie.

„Ojciec pewnie był kierowcą ciężarówki i bił żonę” — pomyślał

Ludwig.

— Dobrze. Proszę powiedzieć, czy opublikował pan jakieś książki lub artykuły.

— Tak. I to całe mnóstwo. Przefaksuję panu moje CV do redakcji, jeśli zechce mi pan podać numer faksu.

— Przykro mi, nie posiadam faksu.

— Rozumiem. Szczerze mówiąc, odpowiedzi na tego rodzaju pytania to dla mnie zwykła strata czasu. Prościej byłoby panu zdobyć te informacje z wydziału PR na KSU. Mają tam moją teczkę. Jest bardzo gruba. Dzięki temu obaj zaoszczędzilibyśmy sporo czasu. — Znów spojrzał na zegarek.

Ludwig zmienił temat.

— Dlaczego Medicine Creek?

— Czy mam panu przypomnieć, że nie podjęliśmy jeszcze ostatecznej decyzji o lokalizacji naszego pola właśnie w Medicine Creek?

— Wiem, ale dlaczego w ogóle bierzecie pod uwagę nasze miasto?

— Szukaliśmy przeciętnego, rolniczego miasteczka, mieliśmy ściśle opracowaną charakterystykę cech, jakie odpowiadały naszym wymaganiom. Po wprowadzeniu do komputera szczegółowych informacji na temat prawie stu małych miasteczek z zachodniego Kansas, dzięki wykorzystaniu złożonego programu porównawczego, otrzymaliśmy w rezultacie dwa potencjalnie najlepsze typy. W grę wchodziły tysiące rozmaitych kryteriów. Obecnie znajdujemy się w trzeciej fazie badań,

której wyniki zadecydują o podjęciu przez nas ostatecznej, optymalnej decyzji. Podjęliśmy już wstępne rozmowy z właścicielami ziemi, na której mielibyśmy założyć nasz uprawę. Teraz musimy jedynie podjąć ostateczną decyzję i wybrać jedno z tych dwóch miast. Właśnie dlatego jestem teraz tutaj, aby powziąć tę kluczową decyzję i ogłosić ją w poniedziałek.

Ludwig zapisał wszystko, choć już teraz wiedział, że to, co usłyszał od Chauncy'ego, nie nadawało się na artykuł. Nie miał nic konkretnego. Nic naprawdę ciekawego.

— Ale co pan tak w ogóle sądzi o naszym mieście? — zapytał. Zapanowała krótka cisza, Ludwig zorientował się, że było to jedno z pytań, na które Chauncy nie potrafił odpowiedzieć.

— Cóż... Niestety, nie ma tu hotelu, a jedyne miejsce, gdzie mogłem się zatrzymać, zostało wynajęte przez człowieka... bardzo trudnego w obyciu... otóż mężczyzna ten podnajął całe piętro w tym domu i kategorycznie odmówił zwolnienia dla mnie pokoju. — Wydał wargi, krótkie włoski wokół jego ust zjeżyły się. — W tej sytuacji musiałem pozostać w Deeper i każdego ranka zmuszony jestem pokonywać dystans czterdziestu kilometrów, co, jak się pan zapewne domyśla, bywa kłopotliwe i z gruntu nieprzyjemne. Tu w ogóle nic nie ma, jest tylko kręgielnia i bar restauracyjny... Nie ma biblioteki, wydarzeń kulturalnych, muzeum ani filharmonii. Medicine Creek nie ma niczego, co mogłoby stanowić wizytówkę miasta, szczerze mówiąc, nie widzę tu nic, co można by polecić potencjalnym turystom. — Uśmiechnął się pod nosem.

Ludwig czuł, jak wzbiera w nim złość.

— Hołdujemy tu prawym, staroświeckim, niezłomnym amerykańskim wartościom, z których słyną małe miasteczka. To chyba jest coś warte,

Chauncy lekko się wzdrygnął.

— Nie wątpię. Panie Ludwig, gdy dokonam ostatecznego wyboru pomiędzy Deeper a Medicine Creek, pan będzie jedną z pierwszych osób, które poznają moją decyzję. A teraz proszę wybaczyć, ale mam pilne sprawy. — Wstał.

Ludwig także się podniósł i uściśnął dłoń profesora. Kątem oka dostrzegł ogorzałe od słońca, zarośnięte twarze Dale'a Estrema i dwóch innych farmerów przyglądających się im przez szybę kłęgielni. Zauważyli Chauncy'ego i bez wątpienia czekali, aż wyjdzie z Castle Clubu. Ludwig stłumił uśmiech cisnący mu się na usta.

— Może pan przefaksować lub wysłać swój artykuł mailem do działu PR na KSU — rzekł Chauncy. — Mój numer jest na wizytówce. Artykuł zostanie mi przekazany do zatwierdzenia i odesłany panu najdalej do końca tygodnia. — Rzucił wizytówkę na stół i ruszył w stronę wyjścia.

„Do końca tygodnia”. Ludwig patrzył, jak ten zadufany, nadęty dupek wychodzi z lokalu z dumnie podniesioną głową i wypiętą piersią, jego krótkie nogi pracowały niczym elementy jakiegoś mechanicznego urządzenia. Chauncy wyszedł na ulicę i w tej samej chwili podszedł do niego Dale Estrem, wymachując muskularnymi łapskami. Podniesione głosy były na tyle donośne, że słyhać je było nawet wewnątrz Castle Clubu. Wyglądało na to, że Chauncy musiał odpierać skierowane przeciwko niemu zmasowane ataki słowne.

Ludwig uśmiechnął się. Dale Estrem — oto człowiek, który zawsze mówił to, co myślał. I mówił zwykle wprost. Pieprzyć Chauncy'ego, pieprzyć Riddera i pieprzyć szeryfa. Ludwig musiał przygotować na jutro kolejny numer swojej gazety.

Artykuł o psie pójdzie na pierwszą stronę.

DWADZIEŚCIA

Tad wyszedł z Koła u Wozu i omiotła go fala powalającego żaru. Jak dotąd nie dowiedział się niczego, Willie Stott nie spał jednak na zapleczu. Niemniej jednak policjant ucieszył się, że mógł to sprawdzić. Włożył do ust miętówkę, już drugą, aby zabić woń piwa, chłodnego coorsa, które Swede podał mu, rzecz jasna, po cichu. Swede Cahill był naprawdę porządnym gościem.

Radiowóz Tada stał przed biurem szeryfa, prażąc się w słońcu, a młody policjant poczłapał w jego stronę. Wślizgnął się za kółko i uruchomił silnik, starając się, by jego plecy i pośladki miały możliwie jak najmniejszą styczność z nagrzaną słońcem tapicerką. Gdyby mógł znaleźć pracę biurową w Topece lub Kansas City, nie spędzałby całych dni na szwendaniu się w tym porażającym upale, w dodatku siedząc za kierownicą auta, którego wewnątrz było rozgrzane jak piekarnik.

Włączył radiostację na częstotliwość dyspozytora stanowego.

— Wóz dwadzieścia jeden do dyspozytora — powiedział.

— Się ma, Tad — rozległ się głos La Verne, która pracowała na

dziennej zmianie. Uwielbiała Tada i gdyby była jakieś dwadzieścia lat młodsza, być może on odwzajemniłby to uczucie.

— Co nowego, La Verne? — zapytał.

— Ktoś z Gro-Bain doniósł właśnie o samochodzie stojącym na poboczu drogi prowadzącej do zakładu. Wóz wygląda na porzucony.

— Jaki to model? — Nie musiał pytać o markę. Z wyjątkiem caprice Arta Riddera i policyjnych mustangów rocznik 91, nabytych okazjnie od glin z Great Bend, niemal wszystkie samochody w mieście stanowiły AMC. Tylko takie auta oferowano w salonie, jedynym w obrębie godziny drogi od miasta. A i ten, jak wiele innych sklepów, zamknięto wiele lat temu.

— Hornet, numery rejestracyjne: whisky, echo, foxtrot, dwa, dziewięć, siedem.

Podziękował La Verne, po czym powrócił do zwyczajowego żargonu.

— Wóz dwadzieścia jeden, jadę tam — rzekł, odwieszając mikrofon radiostacji.

To zapewne hornet Stotta. Ani chybi facet śpi na tylnym siedzeniu, tak jak ostatnim razem, kiedy jego bryka zepsuła się o rzut kamieniem od miasteczka. Gość zwinął się w kłębek i nie zastanawiając się długo, uderzył w kimono, on i jego stary dziadek.

Tad wrzucił bieg i ruszył. Piętnaście sekund potem opuścił już miasto. Cztery minuty później wjechał na drogę do zakładu. Przed nim telepała się wielka ciężarówka z dostawą żywych indyków; woń drobiu, która się za nią ciągnęła, była tak mocna, że nieomal można by kroić ją nożem. Tad wyminął półciężarówkę, najszybciej jak tylko mógł, zerkając na klatki pełne przerażonego ptactwa, popatrującego wybałuszonymi oczyma.

Obowiązki służbowe zmusiły zastępcę szeryfa do kilkakrotnego jak dotąd odwiedzenia zakładów Gro-Bain. Po raz pierwszy był tam tuż przed Świętem Dziękczynienia; tego roku on i jego owdowiała matka zjedli w ten dzień smakowitą pieczeń wieprzową. Od tej pory zawsze na święta jedli tylko pieczeń. Tad cieszył się, że nigdy nie miał okazji odwiedzić świńskiej farmy.

A oto i on, hornet Stotta, stał przy drodze, prawie niewidoczny w cieniu kukurydzy. Tad zatrzymał radiowóz tuż obok, włączył koguta i wysiadł.

Szyby były opuszczone, wóz pusty. W stacyjce nie było kluczyka.

Ciężarówka z indykami przetoczyła się obok niego, pęd powietrza zafalował łanami kukurydzy po obu stronach, w powietrzu rozniósł się swąd spalin i ptasiego guana. Tad odwrócił się i skrzywił z niesmakiem. A potem odpiął od pasa krótkofalówkę.

— Co jest? — rozległ się głos Hazena, kiedy go wywołał.

— Jestem przy wozie Stotta. Stoi na poboczu drogi pod zakładami mięsnymi. Jest pusty, ani śladu Stotta.

— To było do przewidzenia. Pewnie śpi gdzieś na polu. Policjant zlustrował wzrokiem morze kukurydzy. Szczerze wątpił, aby ktokolwiek, nawet mocno zawiany, zechciał się tam przespać.

— Naprawdę tak uważasz?

— Jasne. Cóż by innego?

Pytanie zawisło w powietrzu jak gradowa chmura.

— No cóż...

— Tad, Tad. Nie możesz pozwolić, aby to szaleństwo tobą owładnęło. Nie każde zaginięcie kończy się odnalezieniem zmasakrowanych zwłok. Posłuchaj, właśnie znalazłem tego psa. I zgadnij co?

— Co? — Tad poczuł nieprzyjemny ucisk w gardle.

— To tylko truchło psa potrąconego przez samochód. Nadal ma ogon i całą resztę.

— To dobrze.

— Posłuchaj. Znasz Williego równie dobrze jak ja. Zepsuł mu się samochód i facet poszedł do Koła u Wozu, aby przepłukać gardło. Jak zwykle miał przy sobie piersiówkę i opróżnił ją do cna. W drodze powrotnej postanowił zdrzemnąć się gdzieś na polu. I tam go właśnie znajdziesz, skacowanego jak jasna cholera, ale całego i zdrowego. Jedź powoli drogą biegnącą wzdłuż pola, zapewne znajdziesz go leżącego gdzieś w rowie. W porządku?

— Tak jest, szeryfie.

— Zuch chłopak. Tylko bądź ostrożny, zgoda?

— Się wie.

Wracając do radiowozu, zastępca szeryfa zauważył coś błyszczącego, co leżało na ziemi obok horneta — była to pusta butelka. Podszedł, podniósł i powąchał. W nozdrza uderzyła go woń burbona.

A zatem musiało być tak, jak powiedział szeryf. Wydawało się, że Hazen wiedział o wszystkim, co działo się w mieście, a nawet potrafił przewidywać pewne zdarzenia. Był dobrym gliniarzem. I zawsze miał wobec zastępcy ojcowski stosunek. Tad powinien być wdzięczny, że może dla niego pracować.

Włożył butelkę do plastikowej torby na materiały dowodowe i oznakował miejsce. Szeryf cenił sobie skrupulatność, nawet jeżeli chodziło tylko o drobiazgi. Kiedy szedł do radiowozu, minęła go druga ciężarówka. Tym razem była to ciężarówka chłodnia, jadąca z zakładu z transportem

mrozonek, żadnych nieprzyjemnych woni, czysto, schludnie i septycznie. Kierowca pomachał wesoło. Tad pozdrowił go uniesieniem ręki, po czym wsiadł do auta i ruszył wolno wzdłuż drogi, wypatrując Stotta.

Dwieście metrów dalej zatrzymał radiowóz. Łodygi kukurydzy po lewej stronie były połamane. Podobnie po prawej stronie, kilka łodyg przechylało się ostro w bok. Zastępca szeryfa odniósł wrażenie, jakby ktoś wdarł się brutalnie między łany po lewej, podczas gdy ktoś inny wybiegł i przebiegł przez drogę z prawej strony.

Wyłączył silnik, niepokój powrócił.

Wysiadł z samochodu i zlustrował wzrokiem ziemię przy łanie kukurydzy po lewej stronie drogi. Dostrzegł drobne ślady, grudki ziemi rozsypane wokoło. Ślady mogły wskazywać, że ktoś przeszedł, a raczej przebiegł przez pylistą ścieżkę między dwoma łanami. Zapuszczając się nieco głębiej w kukurydzę, Tad dostrzegł kilka złamanych łodyg i parę suchych, zerwanych, a teraz leżących na ziemi.

Wszedł między łany, nie odrywając wzroku od ziemi. Jego serce biło niepokojąco szybko. W zbitej, suchej ziemi ciężko było dostrzec jakieś ślady, zauważył jednak wgłębienia wyglądające jak ślady stóp, zryte miejsca, w których ziemia została naruszona, suche grudki były rozrzucone, wзираła spod nich czarna gleba. Przystanął, tłumiąc w sobie pragnienie wezwania szeryfa. Trop ciągnął się dalej, wiódł przez kolejny łan, w którym złamanych zostało też kilka łodyg.

Wyglądało na to, że na ziemi pozostały ślady nie jednej, lecz dwóch par stóp. Tad nie chciał nawet przed sobą przyznać, z czym mu się to wszystko kojarzyło. To wyglądało, jakby ktoś kogoś gonił. Tak, wszystko na to wskazywało. Ktoś tu kogoś ścigał.

Szedł dalej w nadziei, że jego wstępne podejrzenia jednak się nie potwierdzą.

Trop wiódł przez jeszcze jeden łań, ciągnął się przez jakiś czas wzdłuż kolejnego rzędu łodyg i następnie wnikał pomiędzy nie. Nagle, zgoła niespodziewanie, policjant natknął się na miejsce, gdzie ziemia była zryta bardziej niż gdzie indziej. Dziesiątki połamanych łodyg wały się po ziemi. Wyglądało to fatalnie. I wszystko wskazywało, że rozegrała się tu jakaś wyjątkowo brutalna scena.

Tad przełknął ślinę i z uwagą przyjrzał się ścieżce przed sobą. Wreszcie poza obszarem, na którym, jak można sądzić po śladach, rozegrała się jakaś tragedia, dostrzegł wyraźny trop. Odcisk bosej stopy.

„O Boże” — pomyślał mężczyzna, czując, jak żołądek podchodzi mu do gardła. „O Boże”. Jego dłoń drżała, gdy odpiął od pasa krótkofalówkę i uniósł ją na wysokość ust.

Corrie Swanson w tumanach kurzu, które wzbiły się aż pod niebo zatrzymała rozklekotanego gremlina na parkingu przy Jaskini Krausa. Spojrzała na zegarek na tablicy rozdzielczej — wpół do siódmej. Boże, ależ było gorąco. Wyłączyła hałaśliwą muzykę, otworzyła drzwi i wysiadła, zabierając ze sobą notes. Przeszła przez parking i weszła po schodach do starego, niszczonego wiktoriańskiego budynku. Przez owalne okienko w drzwiach widać było panujący wewnątrz półmrok. Uniosła dużą, żelazną kołatkę i zastukała dwa razy. Usłyszała cichy odgłos kroków, po czym w drzwiach pojawił się Pendergast.

— Panna Swanson — powiedział. — Cóż za punktualność. Niestety, tym razem to my jesteśmy spóźnieni. Muszę przyznać, że wciąż nie potrafię przywyknąć do wczesnej pory kolacji, jakie jada się w tym mieście.

Corrie weszła za nim do jadalni, gdzie na stole skąpanym w blasku świec stały pozostałości najwyraźniej sutej i wymyślnej kolacji. Winifreda Kraus siedziała u szczytu stołu, ocierając usta koronkową chustką.

— Proszę spocząć — rzekł Pendergast. — Kawy, herbaty?

— Nie, dziękuję.

Pendergast znikł w kuchni i po chwili wrócił z dziwacznym, metalowym czajniczkiem. Napełnił dwie filiżanki zielonym płynem, jedną podał Winifredzie, drugą zatrzymał dla siebie.

— Jak rozumiem, panno Swanson, odbyła pani rozmowę z Andym Cahillem.

Corrie zaczęła wiercić się nerwowo na krześle i odłożyła notes na blat stołu.

Pendergast uniósł brwi.

— Co to ma być?

— Mój notatnik — odparła Corrie z niewytłumaczalnym zażenowaniem. — Chciał pan, żebym zadała Andy'emu kilka pytań, więc musiałam gdzieś to wszystko sobie zapisać.

— Doskonale. A teraz słucham pani raportu. — Agent FBI usadowił się wygodnie na krześle i złączył palce dłoni.

Corrie, wciąż czując się niepewnie, otworzyła notes.

— Cóż za cudowny charakter pisma, moja droga — wtrąciła Winifreda, nachylając się trochę za bardzo w jej stronę.

— Dziękuję. — Corrie odsunęła notes. Ciekawska, stara plotkara. — Wczoraj wieczorem poszłam do domu Andy'ego. Okazało się, że dopiero co wrócił. Był na festynie. Powiedziałam mu, że jego pies nie żyje, ale nie powiedziałam, jak zginął. Zapewne uznał, że potracił go samochód. Był bardzo zdenerwowany. Kochał tego psa. Wabił się Jiff.

Przerwała. Oczy Pendergasta znów zwęziły się w szparki. Miała nadzieję, że nie uśnie.

— Stwierdził, że przez ostatnie kilka dni Jiff dziwnie się zachowywał — ciągnęła Corrie. — Nie chciał wychodzić z domu, wciąż się kulił, jeżył i skomlał. Gdy miał dostać kolację, trzeba go było wywlekać spod łóżka.

Przekreśliła stronę.

— Wreszcie dwa dni temu...

— Poproszę o dokładną datę.

— Dziesiątego sierpnia.

— Proszę kontynuować.

— Dziesiątego sierpnia Jiff sfajdał się na samym środku dywanu w

salonie. — Gdy zapadła cisza, Corrie rozejrzała się nerwowo dokoła. —
Przepraszam, ale staram się relacjonować to, co się wydarzyło.

— Moja droga — wtrąciła Winifreda — powinnaś powiedzieć, że pies zabrudził dywan.

— On go nie tylko zabrudził, ale wręcz zapaskudził — ucięła Corrie.
W sumie z jakiej racji ta starucha w ogóle słuchała jej relacji? Dziewczyna zastanawiała się, jak Pendergast mógł w ogóle wytrzymać z tą starą.

— Proszę mówić dalej, panno Swanson — rzekł Pendergast.

— Pani Cahill, prawdziwa suka i osoba o nader wybuchowym charakterze, wściekła się, wyrzuciła Jiffa za drzwi, Andy'emu zaś kazała po nim posprzątać. Andy chciał zabrać psa do weterynarza, ale matka powiedziała, że nie zapłaci za tę wizytę. I wtedy po raz ostatni widział psa żywego.

Zerknęła na Winifredę i zauważyła na jej twarzy wyraz dezaprobaty. Dopiero po chwili zorientowała się, że z pewnością był to skutek użycia przez nią słowa „suka”.

— O której to się stało? — spytał Pendergast.

— O siódmej wieczorem.

Pendergast pokiwał głową i złączył czubki palców obu dłoni.

— Gdzie mieszkają Cahillowie?

— W ostatnim domu przy Deeper Road, półtora kilometra na północ od miasta, niedaleko cmentarza, tuż przy moście.

Pendergast skinął głową z aprobatą.

— Czy kiedy wyrzucono go z domu, Jiff miał na szyi obrozę?

— Tak — odrzekła Corrie, nie posiadając się z dumy, że pomyślała, by o to zapytać.

— Świetna robota. — Pendergast usiadł. — Są jakieś wieści o zaginionym Williamie Stottcie?

— Nie — odparła Corrie. — Wciąż go szukają. Słyszałam, że sprowadzono nawet samolot obserwacyjny z Dodge City.

Pendergast kiwnął głową, po czym wstał od stołu, podszedł do okna, złączył dłonie za sobą i utkwiał wzrok w bezkresnych łąkach kukurydzy.

— Uważa pan, że go zamordowano? — spytała Corrie. Pendergast wciąż patrzył na kukurydzę, jego mroczna postać odcinała się na tle wieczornego nieba.

— Obserwuję ptasią faunę Medicine Creek.

— Tak. Jasne, że tak — mruknęła Corrie.

— Czy na przykład widzi pani tego urubu? — rzucił Pendergast.

Corrie podeszła do niego. Nic nie zauważyła.

— Tam — uściślił agent.

Dopiero teraz spostrzegła samotnego ptaka widocznego na tle pomarańczowego nieba.

— Te urubu różowogłowe stale tu latają — stwierdziła.

— Owszem, ale przed minutą ten ptak wznosił się na prądach powietrza, tak jak to robił przez ostatnią godzinę. A teraz lata pod wiatr.

— I co z tego?

— Latanie pod wiatr kosztuje ścierwnika sporo energii. Te ptaki robią to tylko w jednym przypadku. — Czekał, wyglądając z przejęciem przez okno. — Proszę spojrzeć, kołuje. Wie, czego chce. Widzi to. — Pendergast odwrócił się do niej pospiesznie. — Chodźmy — mruknął. — Nie ma czasu do stracenia. Musimy dotrzeć na miejsce, rozumie pani, o co mi chodzi, na wypadek gdyby znów zjechały tu kohorty policji stanowej i

zadeptały wszystkie ślady. — Odwrócił się do Winifredy. — Proszę wybaczyć, panno Kraus. — oznajmił nieco głośniejszym głosem. — Ale z uwagi na szczególną sytuację zmuszeni jesteśmy panią opuścić.

Staruszka wstała. Była blada jak ściana.

— Chyba nie chodzi o kolejne...

— To może być cokolwiek. Znów usiadła, załamując ręce.

— Ojej.

— Możemy pojechać drogą, przy której biegną słupy wysokiego napięcia — powiedziała Corrie, spiesząc za Pendergastem do samochodu. — Niestety, ostatnie czterysta metrów będziemy musieli przejść na piechotę.

— Zrozumiałem — odparł pełnym powagi tonem Pendergast, wsiadając do auta i zamykając za sobą drzwi. — To jedyna okoliczność, która zezwala na przekroczenie przez panią ograniczenia prędkości, panno Swanson.

Pięć minut później Corrie sunęła gremlinem po wąskiej, zarośniętej chwastami drodze, przy której stały słupy wysokiego napięcia. Znała doskonale tę rzadko uczęszczaną trasę, to właśnie tu przyjeżdżała, by poczytać książkę, marzyć lub po prostu odpocząć od matki oraz kretyków z liceum. Na myśl, że morderca mógł ukrywać się — i być może wciąż ukrywał się — gdzieś wśród tych pól, przepełniał ją dreszcz zgrozy. Przed nimi do samotnego urubu różowogłowego dołączyły dwa następne i krążyły teraz leniwie wysoko w górze. Samochód kołysał się i podskakiwał na licznych koleinach. Niebo na zachodzie dogasało zmierzchem, ciemne burzowe chmury pochłaniał mrok.

— Tutaj — rzekł jakby do siebie Pendergast.

Corrie zatrzymała auto. Wysiedli. Ścierwojady, które dostrzegły nowo przybyłych, zaniepokojone uniosły się nieco wyżej ku niebu. Pendergast ruszył szybkim krokiem między łąny. Corrie pospieszyła, aby za nim nadążyć.

Nagle Pendergast zatrzymał się.

— Panno Swanson — powiedział. — Proszę posłuchać, muszę panią ostrzec. Może się okazać, że na miejscu znajdziemy coś bardziej wstrząsającego aniżeli padłego psa.

Corrie skinęła głową.

— Jeżeli chce pani zaczekać w samochodzie... Corrie z trudem zachowała spokój głosu.

— Jestem pańską asystentką, zapomniał pan? Pendergast przez chwilę patrzył na nią pytająco. Wreszcie

kiwnął głową.

— Dobrze. Wierzę, że pani to wytrzyma. Proszę pamiętać, że znajdziemy się na miejscu jeszcze przed ekipą ekspertów. Niech pani niczego nie dotyka, stąpa po moich śladach i wykonuje co do joty wszystkie moje polecenia.

— Tak jest.

Agent odwrócił się i zaczął szybko, bezszelestnie prześlizgiwać się między łąnami, wydawało się, że nie poruszył ani jednej łodygi, między którymi się przeciskał.

Corrie podążyła za nim, z trudem starając się dotrzymać mu kroku. Mimo to cieszyła się, że marsz kosztował ją odrobinę wysiłku, dzięki temu nie myślała o tym, co ją czekało u kresu drogi. Ale cokolwiek to było, nie wyobrażała sobie, aby mogła zostać sama, o zmierzchu, w swoim

samochodzie.

„Widziałam już miejsce zbrodni" — pomyślała. „Widziałam psa. Dam radę. Wytrzymam".

Nagle Pendergast znów przystanął. Łodygi kukurydzy w łąkach na wprost niego były połamane i odgarnięte na bok, dzięki czemu pomiędzy nimi powstała nieduża przecinka. Corrie zastygła w bezruchu obok agenta, była tak wstrząśnięta, że nie mogła ruszyć się z miejsca. Światło, choć słabe, nie oszczędziło jej koszmarnego widoku tego, co znajdowało się na niewielkiej polanie. Ale Corrie wciąż nie potrafiła zrobić choćby jednego kroku naprzód. Powietrze było nieruchome, w nozdrza dziewczyny uderzyła woń czegoś, co przywodziło na myśl zepsutą szynkę. Poczowała ucisk w gardle, nieprzyjemne palenie, potem gwałtowny skurcz żołądka.

„O cholera" — pomyślała. „Nie teraz. Nie tu. Nie przy Pendergaście".

Nagle zgięła się w pół i zwymiotowała w kukurydzę, wyprostowała się, schyliła i znów zwymiotowała. Zakasłała, spróbowała podnieść się do pionu, otarła usta wierzchem dłoni. Przeważenie, zgroza i uczucie wstydu oładnęły ją bez reszty.

Pendergast zdawał się tego nie zauważać. Ruszył naprzód i po chwili ukląkł pośrodku polany, bez reszty pochłonięty tym, co zobaczył. Fizyczny akt opróżnienia żołądka przełamał paraliż Corrie, a nawet w pewnym sensie przygotował ją na okrutny widok. Ponownie otarła usta, postąpiła krok naprzód i weszła na polanę.

Ciało było nagie, leżało na wznak z szeroko rozłożonymi rękoma i nogami. Skóra miała nienaturalny, sztuczny, szarobiały odcień. Ciało dziwnie lśniło, jakby pokryte warstwą czegoś bliżej niesprecyzowanego. Całe zwłoki wyglądały wodniście, jakby skóra i ciało zmieniły

konsystencję i lada chwila miały zsunąć się z kości. Corrie stwierdziła z przerażeniem, że w kilku miejscach faktycznie tak było. Skóra twarzy zwieszała się luźno, oddzielona od żuchwy i zębów, ciało obwisło; na wysokości barku przez rozdarcie na skórze widać było białą, wystającą kość. Na ziemi leżało zniekształcone, śliskie, całkiem oderwane od ciała ucho. Drugiego nie było wcale. Corrie znów poczuła ucisk w gardle. Odwróciła się, zamknęła na moment oczy i świadomie spowolniła oddech. Następnie odwróciła się.

Ciało było całkiem pozbawione włosów.

Męskie organy płciowe także odpadły, choć widać było, że ktoś zadał sobie wiele trudu, by je na powrót przymocować, a przynajmniej umieścić we właściwym miejscu. Corrie widywała Stotta, ale nigdy nie odgadłaby, że te zwłoki należały do chudego pijaczka, który pracował jako sprzątac w Gro-Bain. To w ogóle nie przypominało człowieka. Raczej rozdętego wieprza.

Pierwszy szok i zgroza zaczęły mijać, a równocześnie Corrie zaczęła zwracać uwagę na inne rzeczy obecne na miejscu zbrodni. Tu i ówdzie z kolb kukurydzy ułożono dziwne, geometryczne kształty. Było też kilka przedmiotów, które w prymitywny sposób wyrzeźbiono z suchych kaczanów. Mogły to być kubki, miski lub coś całkiem innego. Corrie nie miała co do tego pewności.

Nagle usłyszała głucho, przeciągłe buczenie rozlegające się wysoko w górze. Uniosła wzrok. Nad polem krążył samolot obserwacyjny. Leciał bardzo nisko. Nawet nie usłyszała, kiedy się pojawił. Samolot zamachał skrzydłem, wykonał zwrot i odleciał na północ.

Corrie zorientowała się, że agent Pendergast przygląda się jej z uwagą.

— To samolot obserwacyjny z Dodge. Za dziesięć minut zjawi się tu szeryf, wkrótce po nim policja stanowa.

— Och — wykrztusiła z trudem. Pendergast ścisnął w dłoni małą latarkę.

— Wszystko w porządku? — spytał. — Może mi pani przytrzymać latarkę?

— Chyba tak.

— Doskonale.

Corrie zatkała nos, wzięła głęboki oddech. Następnie wzięła od Pendergasta latarkę i poświeciła we wskazane przez niego miejsce.

Robiło się coraz ciemniej. Pendergast wyjął z kieszeni marynarki niedużą fiolkę i po chwili ukląkł, wkładając podgumowanymi szczypczykami do naczynka jakieś niewidoczne drobiazgi. Następnie wydobył z kieszeni drugą fiolkę i jeszcze jedną umieszczając w nich kolejne próbki. Agent pracował szybko i sprawnie, zataczając wokół ciała coraz węższe kręgi i od czasu do czasu wydając Corrie kolejne polecenia dotyczące kierunku padania światła z trzymanej przez nią latarki.

Corrie usłyszała niosący się nad łąkami słaby jęk syreny radiowozu szeryfa.

Pendergast przyspieszył tempo pracy, nachylał się nad ciałem to z jednej, to z drugiej strony, przyglądając się skórze nieboszczyka i w kilku miejscach zdejmując z niej coś. Woń gnijącej szynki wciąż wisiała w powietrzu, Corrie znów poczuła nieprzyjemny ucisk w dołku.

Syrena zawodziła coraz głośniejsze, aż nagle ucichła. Spoza łąków dało się słyszeć trzaśnięcie drzwi — jedno, potem drugie.

Pendergast wyprostował się. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki

wszystkie jego akcesoria zniknęły w przepastnych kieszeniach czarnego garnituru.

— Proszę się cofnąć — oznajmił.

Wycofali się na skraj polany dokładnie w chwili, gdy zjawili się tam szeryf i jego zastępca. Wśród łąnów rozległo się zawodzenie kolejnych syren i głośne trzaski krótkofalówek.

— A więc to pan, Pendergast — rzekł szeryf, podchodząc bliżej. — Kiedy pan tu dotarł?

— Chciałbym prosić o zezwolenie na zbadanie miejsca zbrodni.

— Założę się, że i tak już pan to zrobił. Odmawiam, do czasu gdy sami się z tym wszystkim uporamy.

Przez łąny przedzierali się kolejni mężczyźni, gliniarze z policji stanowej i posepni faceci w granatowych garniturach — jak uznała Corrie, pracownicy wydziału zabójstw z Dodge.

— Wytyczcie tu granicę! — ryknął szeryf. — Tad, rozciągnij taśmę! — Odwrócił się do Pendergasta. — Proszę się cofnąć za taśmę, jak wszyscy, i zaczekać na swoją kolej.

Corrie zdumiała reakcja Pendergasta. Zupełnie jakby przestało go to interesować. Zamiast tego zaczął krążyć w tę i z powrotem wokół polany, pozornie bez żadnego konkretnego celu. W pewnej chwili wszedł między łąny. Corrie poszła za nim. Potknęła się raz i drugi, stwierdzając, że wciąż jeszcze była w silnym szoku.

Nagle Pendergast przystanął między dwoma łąnami kukurydzy. Agent delikatnie odebrał od Corrie latarkę i oświetlił nią na ziemię.

Corrie patrzyła, ale niczego nie dostrzegła.

— Widzi pani te ślady? — spytał Pendergast.

— Mniej więcej.

— To ślady stóp. Bosych stóp. Kierują się w stronę strumienia. Corrie cofnęła się o krok.

Pendergast zgasił latarkę.

— Widziała dziś pani — i dokonała — dość jak na jeden dzień. Jestem wdzięczny za pomoc. — Spojrzał na zegarek. — Wpół do dziewiątej. Jest jeszcze dość wcześnie, aby zdążyła pani bezpiecznie wrócić do domu.

Proszę iść do samochodu, pojechać prosto do siebie i porządnie wypocząć. Ja jeszcze tu trochę zostanę.

— A co z moją pracą? Przecież miałam pana wozić...

— Odwiezie mnie któryś z tych miłych, młodych stróżów prawa.

— Na pewno?

— Tak.

Zawahała się, wciąż nie chciała odejść.

— Ee... przepraszam, że puściłam pawia. W półmroku dostrzegła, że się uśmiechnął.

— Nic się nie stało. Podobna rzecz spotkała mego dobrego znajomego, porucznika policji z Nowego Jorku, kilka lat temu na miejscu zbrodni. To tylko dowodzi, że nie zatraciła pani w sobie zwykłej, ludzkiej wrażliwości.

Gdy odwróciła się, by odejść, usłyszała:

— A, i jeszcze jedno, panno Swanson. Przystanąła, odwróciła się i spojrzała na niego.

— Słucham?

— Gdy wróci pani do domu, proszę starannie pozamykać wszystkie okna i drzwi. Starannie, rozumiemy się? Na wszystkie zamki.

Pokiwała głową, po czym ruszyła różnym krokiem między łanami w

stronę światła policyjnych kogutów, myśląc o słowach Pendergasta: „Jest jeszcze dość wcześnie, aby zdażyła pani wrócić bezpiecznie do domu”.

DWADZIEŚCIA DWA

Oślaniając starannie latarkę, Pendergast podążył za śladami bosych stóp w mrok między łanami. Ślady były dość wyraźnie widoczne, odcisnięte głęboko w suchej ziemi na ścieżce pomiędzy rzędami kukurydzy. Kiedy tak szedł, hałas panujący na miejscu zbrodni został w tyle, poza nim. Pole łagodnie zaczęło obniżać się ku strumieniowi, agent przystanął, by obejrzeć się za siebie. Na tle nieba, rozjaśnionego ostatnimi promieniami zachodzącego słońca, odcinały się surowe sylwetki słupów elektrycznych, przywodzących na myśl wiecznie cierpiących, stalowych strażników, ponad nimi zaczęły migotać pierwsze gwiazdy. Kruki i wrony, które przycupnęły na słupach wysokiego napięcia, krakały posepnie. Zaczekał, aż z nadejściem nocy ptaki uspokoją się i zamilkną. Wreszcie zrobiło się całkiem cicho. Wiatr ustał, powietrze zrobiło się nieruchome, zatechłe, jak w grobie, cuchnęło suchą ziemią i zeschniętymi liśćmi kukurydzy.

Pendergast wsunął dłoń do kieszeni marynarki i wyjął zrobionego na zamówienie les baera 45. W dalszym ciągu osłaniając latarkę, ponownie zbadał ślady. Wiodły prosto między łanami, ten, kto je pozostawił, po prostu odszedł niespiesznie, kierując się ku strumieniowi.

I obozowisku Gasparilli.

Zgasił latarkę i odczekał chwilę, aby jego oczy przyzwyczyły się do ciemności. Następnie cicho jak ryś pomaszerował między łanami, przemykając pośród cieni bezszelestnie jak zjawa.

Rzędy kukurydzy zakreśliły lekko przy strumieniu, agent dostrzegł połamane i powykrzywiane łodygi, uszkodzone przez przechodzącego między łanami zabójcę. Pendergast również prześlizgnął się przez powstałą w tym miejscu szczelinę i w chwilę później znalazł się na skraju pola. Poniżej rozciągał się obszar żyznych gleb, topole rosnące nad brzegami potoku rzucały mroczne cienie na jego powierzchnię. Pendergast ruszył dalej krajem pola, starając się czynić jak najmniej hałasu, i w parę chwil potem znalazł się w cieniu drzew. Przystanął. Szum wody płynącej korytem strumienia był prawie niesłyszalny. Agent raz jeszcze sprawdził broń, upewniając się, że w komorze naboju tkwi pocisk. Następnie ukląkł i osłaniając ją jedną ręką, zapalił latarkę. W słabym, żółtym świetle pojawiły się ślady, na piasku były one jeszcze wyraźniejsze. Trop w dalszym ciągu wiódł w stronę obozowiska Gasparilli. Agent przykląkł i zbadał same ślady. Były takie same jak wcześniej, ślady bosych męskich stóp rozmiar czterdzieści cztery i pół. W sypkim piasku dokoła dostrzegł wyraźne nieregularne wgłębienia wokół palców stóp i pięty, mogące znamionować, że stopy te były nadzwyczaj szorstkie, zgrubiałe i twarde. Sporządził kilka pospiesznych notatek i szkiców, po czym zagłębił czubki palców w jednym z odcisniętych śladów. Powstały mniej więcej dwanaście do piętnastu godzin wcześniej, tuż przed świtem tego samego dnia. Zabójca w tym miejscu nieznacznie przyspieszył kroku, nie spieszył się zbytnio co prawda, ale szedł rażno, jakby przyświecał mu jakiś cel. Sądząc po sposobie, w jaki maszerował, nie odczuwał lęku ani nic go nie

ponaglało. Był rozluźniony. Zadowolony. Zupełnie jakby wracał do domu.

Wracał do domu...

Obozowisko Gasparilli znajdowało się niespełna kilkaset metrów dalej. Przysłaniając latarkę dłonią tak, by jej promień oświetlał tylko ślady na piasku, agent niezmiernie wolno zaczął skradać się naprzód. Przystanął, nasłuchując z uwagą, po czym znów ruszył przed siebie. W oddali na wprost niego było ciemno. Nie dostrzegł blasku ogniska ani jakiegokolwiek źródła światła. Gdy znalazł się w odległości stu metrów od obozowiska, zgasił latarkę i po ciemku zbliżył się do obozu Gasparilli. Panowała w nim grobowa cisza.

I wtedy to wychwycił, słaby, prawie niesłyszalny dźwięk.

Zamarł w bezruchu.

Minęło kilka chwil.

Znów to usłyszał, tym razem głośniejsze, długie, przeciągłe westchnienie.

Pendergast zszedł ze szlaku i obszedł obozowisko z prawej strony, poruszając się powoli i z nadzwyczajną ostrożnością. Gdy od strony obozu powiał wiatr, nie wyczuł w nim zapachu dymu ani przygotowanego posiłku. Nie było nawet widać węgli żarzących się w ognisku.

A jednak w obozie ktoś był.

Ktoś lub może coś.

Znów odgłos wypuszczanego powietrza. Wilgotny, strudzony, niemal jak rzeźnienie. I brzmiała w nim jakaś osobliwa nuta, zwierzęca, nie całkiem ludzka.

Ostrożnie, by nie wydać żadnego dźwięku, Pendergast uniósł pistolet. Odgłosy dochodziły ze środka obozowiska Gasparilli.

Dźwięk znów się powtórzył.

Gasparilla — czy coś, co wydawało te odgłosy — znajdował się nie więcej niż piętnaście metrów od agenta. Dokoła panowała nieprzenikniona ciemność. Pendergast zupełnie nic nie widział.

Schylił się, podniósł nieduży kamyk. Po czym cisnął go w stronę drugiego końca obozowiska.

Pac.

Nagła cisza. A potem gardłowy dźwięk, przywodzący na myśl warkot rozwścieczonego zwierzęcia.

Pendergast odczekał kilka minut, aż ponownie zapadła cisza. Wszystkie jego zmysły pracowały na pełnych obrotach, usiłując wyczuć, czy coś lub ktoś nie skrada się ku niemu w ciemnościach. Gasparilla udowodnił mu już raz, że potrafi poruszać się w mroku. Czy znów to robił?

Pendergast bardzo wolno podniósł kolejny kamyk i rzucił go w drugą stronę.

Pac.

W odpowiedzi i tym razem rozległo się parsknięcie, krótkie, bardzo głośne i dochodzące z tego samego miejsca. Ktokolwiek — a raczej cokolwiek tam było, nie ruszyło się z miejsca.

Pendergast zapalił latarkę i równocześnie ścisnął rękojeść pistoletu, aktywizując wskaźnik laserowy. Promień latarki oświetlił ludzką postać leżącą na wznak na ziemi i patrzącą w górę wybałuszonymi, przekrwionymi oczami. Twarz i cała głowa leżącego były skąpane we krwi.

Czerwona kropka lasera tańczyła przez chwilę na upiornym obliczu. Zaraz potem Pendergast włożył broń do kabury i postąpił krok naprzód.

— Gasparilla?

Głowa drgnęła nieznacznie. Usta otwarły się, wypłynęła spomiędzy nich zmieszana z krwią spieniona ślina.

Agent ukląkł obok mężczyzny. To był z całą pewnością Gasparilla. Pendergast omiół promieniem latarki jego twarz. Lśniące, czarne włosy mężczyzny i jego gęsta, długa broda zniknęły, wyrwane wraz ze skalpem; na ciele widać było ślady płytkich nacięć wykonanych jakimś prymitywnym narzędziem, być może kamiennym nożem. Pendergast pospiesznie obejrzał resztę ciała. Lewy kciuk Gasparilli został na wpół odrąbany, po czym oderwano go brutalnie, pozostawiając jedynie fragment białej kości i strzępy ukreconych chrząstek. Jeśli nie liczyć utraty palca i włosów, mężczyzna wydawał się fizycznie nietknięty. Pomijając zdarty skalp, utrata krwi była raczej niewielka. Mężczyzna doznał większego uszczerbku na umyśle aniżeli na ciele.

— Uhmhm! — wychrypiał Gasparilla, usiłując podźwignąć się z ziemi. Wzrok miał dziki, oczy przepełnione szaleństwem. Z jego ust wypłynęła krwawa ślina.

Pendergast nachylił się nad nim.

— Już w porządku. Wszystko będzie dobrze. Mężczyzna toczył oczyma na lewo i prawo, nie był w stanie skupić wzroku na Pendergaście ani na niczym innym. Gdy tylko jego gałki oczne nieruchomiały, zaraz zaczynały drgać, po czym znów błędziły nerwowo z boku na bok, jak gdyby skupienie wzroku na jakimś obiekcie było dla rannego zbyt wielkim wysiłkiem.

Pendergast ujął go za rękę.

— Zajmę się panem. Zabierzemy pana stąd.

Odchylił się do tyłu i poświecił latarką wokoło. Dostrzegł miejsce ataku, dwanaście metrów dalej, w północnej części obozowiska. Ziemia była tam zryta, ze śladami Gasparilli mieszały się inne ślady bosych stóp.

Pendergast wstał i podszedł do tego miejsca, omiatając ziemię promieniem latarki. Zobaczył miejsce, gdzie Gasparilla upadł i skąd przez ostatnie piętnaście godzin musiał się przeczołgać, miotając się po ziemi. Nieco dalej zaś, po drugiej stronie obozu, widniały odcisnięte w wilgotnym piasku bardzo wyraźne odciski stóp zabójcy, kierującego się w stronę strumienia.

Ślady zabójcy oddalającego się ze zdobytymi trofeami.

Piasek opowiedział agentowi całą historię.

Pendergast odwrócił się i spojrzał głęboko w te dzikie, błędzące, przepelnione szaleństwem oczy. Nie dostrzegł w nich niczego, żadnej inteligencji, żadnych wspomnień, żadnego człowieczeństwa, jedynie bezmiar najczystszej zgrozy.

Nie mógł liczyć, że Gasparilla udzieli mu odpowiedzi na jakiegokolwiek pytanie, ani teraz, ani — kto wie — może już nigdy.

DWADZIEŚCIA TRZY

Szeryf Hazen wszedł do podziemnego laboratorium i mimowolnie rozejrzył się wokoło. W powietrzu unosił się ten sam kwaśny, nieprzyjemny odór, tym bardziej dokuczliwy, że nieudolnie zabijany przez woń środków chemicznych i odkażających; te same żużlowe ściany barwy łąjna, te same buczące świetlówki. Oddychanie ustami nie pomagało, maska chirurgiczna dokładała jedynie do tej mieszanki zapachów woń antyseptycznego papieru. Potrzebował raczej solidnej maski przeciwgazowej.

Przywołał w myślach całą gamę przynoszących ulgę dźwięków i obrazów: ballady Hanka Williamsa, smak pierwszego wieczornego piwa, festyny dożynkowe, które odwiedzał w dzieciństwie z ojcem i starszym bratem. Nie pomagało. Szeryf Hazen wzdrygnął się i bynajmniej nie tylko z powodu wyczuwalnej w tym pomieszczeniu woni śmierci.

Przeszedł na drugi koniec laboratorium, szeleszcząc fartuchem, który miał na sobie. Koroner już tam był, ubrany tak jak on na niebiesko. Hazen usłyszał cichy szmer głosów. Obok lekarza stał ktoś jeszcze i mimo iż mówił niezbyt głośno, szeryf wychwycił charakterystycznych łagodny akcent z dalekiego Południa. Pendergast.

Pendergast miał rację. To był seryjny zabójca. I zapewne nie pomylił się także, sugerując, że zabójca pochodził z Medicine Creek.

Hazen nie mógł, nie chciał w to uwierzyć. Skwitował głośnym śmiechem wiadomość, że Pendergast przesiadywał całymi godzinami z Marge Tealander, wiedząc, że ta stara wścibska plotkara zajmie mu tylko czas i zrobi wodę z mózgu, każąc uganiać się po całym mieście za ułudami.

Teraz jednak, po odkryciu kolejnej ofiary, musiał przyznać, że

wszystkie poszlaki faktycznie wskazywały na seryjnego zabójcę. Naprawdę ciężko było dostać się do Medicine Creek i opuścić je niepostrzeżenie. Zwłaszcza nocą, kiedy nawet widoczne z oddali światła reflektorów auta przyciągały zaintrygowanych mieszkańców do okien; ludzie w miasteczku byli bardzo ciekawscy.

Nie, to nie była robota jakiegoś wędrowca, który zabijał, a następnie ruszał w dalszą drogę. Wyglądało na to, że mordował ktoś, kto mieszkał tutaj, w Medicine Creek. Może to wydaje się nieprawdopodobne, ale tak właśnie było. Ktoś stąd. Miejscowy.

Co oznaczało, że on, Hazen, znał zabójcę.

— Ach, szeryf Hazen, miło mi pana widzieć. — McHyde skinął głową uprzejmie, żeby nie powiedzieć z szacunkiem.

Facet diametralnie zmienił ton. Nie był już arogantem. Sprawa stała się głośna i koroner zorientował się, że może na niej wypłynąć. Miał okazję zdobyć dzięki niej bilet wyjazdowy z zachodniego Kansas, on i wszyscy, którzy mieliby ochotę wskoczyć do tego pociągu.

— Szeryfie. — Pendergast powitał go z lekkim skinieniem głowy.

— Dzień dobry, Pendergast.

Zapadła krótka cisza. Ciało leżało na wózku noszowym. Wyglądało na to, że koroner nie rozpoczął jeszcze swojej pracy. Hazen natychmiast pożałował, że zjawił się tak wcześnie.

Koroner chrząknął.

— Siostrze Malone?

— Tak, doktorze? — dobiegło z głośnika.

— Czy jesteśmy gotowi do nagrania?

— Tak, doktorze.

— Świetnie. Włącz kamerę.

— Już się robi, doktorze.

Przeszli przez etap czynności wstępnych, każdy z nich poda swoje imię, nazwisko oraz status. Hazen nie mógł oderwać wzroku od przykrytego prześcieradłem trupa. Rzecz jasna, widział je leżące na polu, ale nie wiedzieć czemu, w tym sterylnym, sztucznym otoczeniu wyglądało ono inaczej. Gorzej.

Koroner powoli, bardzo delikatnie uniósł prześcieradło. Pod nim leżał Stott. Jego ciało, dziwnie obrzmiałe, niemal odchodziło od kości.

Hazen czym prędzej odwrócił wzrok. Zaraz jednak zebrał się w sobie i zmusił, by ponownie spojrzeć na wózek.

Widował już zwłoki, żadne jednak nie wyglądały tak jak te. Skóra na wysokości mostka pękła i jakby się skurczyła, odsłaniając widoczne pod nią tłuste ciało. Pękła również na twarzy i obu biodrach. Stopiony tłuszcz wyciekł z kilku miejsc, rozlewając się na powierzchni wózka, gdzie zgęstniał podczas przechowywania ciała w chłodni. Mimo to nie było widać robaków, co już samo w sobie było bardzo dziwne. Poza tym ofierze brakowało kawałka ciała. Na wysokości lewego uda widniał strzępiasty, nierówny otwór okolony śladami zębów. Wyglądało to na dzieło jakiegoś psa. Najlepszego przyjaciela człowieka. Hazen przełknął ślinę.

Koroner zaczął mówić.

— Mamy tu ciało osoby zidentyfikowanej jako William La-Rue Stott, białego mężczyzny, lat trzydzieści dwa. — Mówił dalej dla potrzeb nagrania, podczas gdy szeryf i agent stali w milczeniu przy ciele. Na szczęście pierwszy monolog trwał krótko. Koroner zwrócił się do Pendergasta i spytał z obłudną życzliwością w głosie: — Agencje

Pendergast, czy ma pan jakieś komentarze albo sugestie, zanim przejdziemy do kolejnego etapu sekcji?

— Na razie nie, dziękuję.

— Doskonale. Dziś rano dokonaliśmy już wstępnych oględzin ciała i zwróciliśmy uwagę na kilka istotnych anomalii. Zacznę od opisanie ogólnego stanu zwłok.

Przerwał, odchrząknął. Hazen zauważył, że lekarz zerknął w stronę kamery wideo, zawieszanej nad wózkiem noszowym. Tak, wygląda pan wspaniale, doktorze.

— Pierwsze, na co zwróciłem uwagę, to brak aktywności insektów na ciele i fakt, że proces rozkładu właściwie dopiero się rozpoczął, mimo iż ofiara po śmierci przeleżała co najmniej osiemnaście godzin w temperaturze minimum trzydziestu pięciu stopni Celsjusza i co najmniej dwanaście godzin w pełnym słońcu. Druga anomalia jest bardziej oczywista. Widać wyraźnie, że ciało w wielu miejscach zaczęło oddzielać się od kości. Najbardziej jest to widoczne w okolicach twarzy, na dłoniach i stopach, nos i wargi wydają się niemal całkiem stopione. Brak obu małżowin usznych, jedną odnaleziono na miejscu odkrycia zwłok. Na wysokości bioder i barków skóra jest popękana, oddzielona i cofnięta od znajdującej się pod nią tkanki tłuszczowej. W miejscach tych dostrzec można obfitość tłustej, przypominającej łój substancji, która najpierw wytopiła się, a po schłodzeniu ciała zastygła w stałą masę. Brak włosów oraz skalpu, najwyraźniej usunięto go post mortem i po... ee... dokonanej na ciele obróbce... tkanka tłuszczowa wygląda na częściowo stopioną. To wszystko oraz inne przykłady wspomnianych przeze mnie anomalii można wyjaśnić w jeden tylko sposób. — Przerwał i wziął głęboki oddech. —

Ciało zostało ugotowane.

Pendergast skinął głową.

— Właśnie.

Hazen przez chwilę nie mógł pojąć, co przed chwilą usłyszał.

— Ugotowane?

— Ciało najwyraźniej zanurzono w wodzie, którą następnie doprowadzono do wrzenia i pozostawiono w tym stanie przez trzy godziny, a może nawet dłużej. Autopsja oraz pewne analizy biochemiczne pozwolą określić dokładniej czas trwania tego procesu. Powiem tylko, że ciało było gotowane dostatecznie długo, by tkanki na wysokości kości szczękowej górnej oraz żuchwy zostały oddzielone. — Dotknął palcem otwartych ust, odchylając cały policzek od znajdującej się pod nim kości.

— A tutaj, na

stopie, można zauważyć brak paznokci, które po prostu odpadły od palców. Podobnie jest z paznokciami u rąk, w dodatku u lewej dłoni w palcu wskazującym i serdecznym brakuje kości i tkanek aż do wysokości drugiego stawu.

Hazen patrzył z coraz większym niedowierzaniem. Do licha, to ciało wyglądało jak pieczone prosię.

— Ale... przecież takie ugotowanie ciała musiałyby zająć dobre parę dni.

— Myli się pan, szeryfie. W temperaturze stu stopni Celsjusza, czyli w zwykłym wrzątku, nawet słoń ugotuje się równie szybko jak kura. Bo widzi pan, gotowanie polega, najogólniej rzecz biorąc, na przełamaniu czwartorzędowej struktury białka poprzez zastosowanie ciepła...

— Wiem, na czym to polega — uciął Hazen.

— Brakujących kości palców nie znaleziono na miejscu odkrycia zwłok — rzekł Pendergast. — Musimy zatem zakładać, że oddzieliły się one w trakcie gotowania.

— To uzasadnione przypuszczenie. Bez wątpienia na nadgarstkach i kostkach denata zauważyliście panowie coś, co wygląda jak otarcia od sznura. Sugerują one — a przynajmniej ja tak to odbieram, że gotowanie ofiary mogło rozpocząć się... ee... przed jej zgonem.

Tego już było za wiele. Hazen poczuł, że traci kontrolę nad swoim małym światkiem. W tym samym szpitalu na piętrze leżał Gasparilla, ekscentryczny, choć nieszkodliwy stary dziwak, ze skalpem zdartym nie tylko z czubka głowy, lecz również z podbródka, górnej wargi, pachwin, a nawet krocza, a tutaj, w piwnicy, spoczywała druga ofiara tajemniczego mordercy, ugotowana żywcem. On, Hazen, ścigał bliżej nieokreślonego mieszkańca Medicine Creek, seryjnego zabójcę, który na bosaka szwendał się po okolicy, krojąc i skalpując swoje ofiary, a następnie gotując je lub robiąc z nich osobliwe aranżacje.

— Skąd ktoś mógłby mieć dostatecznie duży gar, aby ugotować w nim człowieka? — zapytał. — Poza tym czy podczas gotowania nie byłoby czuć dziwnej woni?

Szeryf poczuł na sobie spojrzenie zimnych, szarych oczu Pendergasta.

— Zadał pan dwa nader trafne pytania, szeryfie, sugerujące dwie obiecujące drogi dalszego dochodzenia.

„Obiecujące drogi dalszego dochodzenia”. Miał przed sobą tylko Stotta, faceta, którego niejedyn raz odwoził do domu spod Koła u Wozu.

— Nie muszę chyba dodawać — ciągnął koroner — że zweryfikuję tę hipotezę, przeprowadzając sekcję tkanek i analizę biochemiczną. Teraz

jednak pragnąłbym zwrócić uwagę panów na ośmiocentymetrowe ukośne rozdarcie na lewym udzie. Jest głębokie, sięga przez vastus lateralis — mięsień obszerny boczny aż do vastus intermedins — mięśnia obszernego pośredniego, odsłaniając os femoris — kość udową.

Hazen bardzo niechętnie przyjrzał się śladowi po ugryzieniu. Rana była bardzo nierówna, ciało ciemnobrązowe, wskutek gotowania niemal samo odchodziło od kości.

— Gdy przyjrzycie się panowie bliżej temu miejscu, zobaczycie wyraźnie ślady zębów — ciągnął koroner. — Ciało zostało częściowo zjedzone.

— Przez psy? — Hazen z trudem wydusił z siebie to pytanie.

— Nie sądzę, raczej nie. Odciski zębów, choć są one w wyjątkowo kiepskim stanie, wskazują na człowieka.

Hazen ponownie odwrócił wzrok. Żadne inne pytania nie przychodziły mu do głowy.

— Dokonamy pomiarów, sfotografujemy te ślady i pobierzemy próbki tkanek. Ciało było jedzone już po ugotowaniu.

— Powiedziałbym raczej, że tuż po ugotowaniu — wtrącił Pendergast. — Proszę zwrócić uwagę, że pierwsze ugryzienia są niewielkie, jakby zrobione na próbę, być może zabójca chciał skosztować mięsa, czekając, aż włoki dostatecznie ostygną.

— Ee... no tak. Doskonale. Miejmy nadzieję, że uda się nam pozyskać DNA z próbek śliny... osoby... która jadła to mięso. Pomimo fatalnego stanu uzębienia sprawcy, mamy dowody świadczące o ogromnej sile jego szczęk.

Szeryf zajął się studiowaniem bardzo ciekawego wzoru płytek na

podłódze, pozwalając, by melodia Jambalaya Hanka Williamsa zagłuszyła słowa koronera.

Ciało było jedzone!

Melodia jeszcze przez dłuższy czas rozbrzmiewała w jego myślach. Kiedy ucichła i szeryf wreszcie uniósł wzrok, ujrzał Pendergasta pochylającego się nad obrzmiałym ciałem o popękanej, pokrytej plamami skórze. Hazen usłyszał, jak agent głośno pociąga nosem.

— Czy mogę dotknąć ciała? — spytał Pendergast, unosząc do góry palec wskazujący.

Koroner skinał głową.

Pendergast zaczął dotykać, dźgać, szturchać zwłoki palcem, następnie potarł koniuszkiem palca ramię i twarz denata. To uczyniwszy, spojrzął na palec, potarł go o kciuk i powąchał.

Tego już było za wiele. Hazen natychmiast wlepił wzrok w płytki podłogi, przywołując w myślach znane i lubiane dźwięki Lovesick Blues. Ledwie jednak rozległo się gitarowe intro, usłyszał głos Pendergasta.

— Czy mogę coś zasugerować?

— Oczywiście — odparł koroner.

— Skóra na ciele wydaje się pokryta jakąś oleistą substancją, inną niż wytopiony podczas gotowania ludzki tłuszcz. Wygląda na to, że ciało zostało nim nasmarowane celowo. Proponuję przeprowadzenie serii analiz chemicznych, które pozwolą ustalić, jakiego konkretnie rodzaju tłuszczu użyto.

— Weźmiemy to pod uwagę, agencie Pendergast.

Ale Pendergast zdawał się go nie słyszeć. Wpatrywał się z przejęciem w ciało. W pomieszczeniu zapanowała cisza. Hazen zdawał sobie sprawę, że

wszyscy, z nim samym włącznie, czekali na to, co teraz powie Pendergast.

Agent uniósł wzrok znad wózka ze zwłokami.

— Co więcej, dostrzegam obecność na skórze drugiej substancji — powiedział, cofając się od wózka, jakby uznał badanie za zakończone. —

Sugeruję przeprowadzenie testu na obecność $C_{12}H_{22}O_{11}$.

— Chyba nie chce pan powiedzieć, że...? — Koroner nie dokończył.

Hazen uniósł wzrok. Koroner wyglądał na zaskoczonego i zdezorientowanego. Co mogło być bardziej wstrząsające i bulwersujące od tego, co odkryli dotychczas?

— Obawiam się, że tak — odparł Pendergast. — Wszystko wskazuje, że ciało polano masłem i ocukrzono.

DWADZIEŚCIA CZTERY

Zakład przetwórstwa drobiu Gro-Bain zdawał czaić się pośrodku wielkiego pola kukurydzy, którego łany nieomal dotykały fabrycznych ścian z blachy falistej. Były w tym samym kolorze co kukurydza, brudnożółte, a tym samym z daleka prawie niewidoczne. Corrie zatrzymała gremlina na ogromnym parkingu. Stało już na nim sporo lśniących, rozgrzanych od słońca aut i musiała zaparkować z dala od wejścia. Pendergast otworzył drzwi od strony pasażera i wysiadł na zewnątrz jednym płynnym, miękkim ruchem. Rozejrzał się wokoło.

- Czy była pani kiedyś w środku, panno Swanson?
- Nigdy. Dość się nasłuchałam o tym zakładzie.
- Przyznam, że jestem ciekaw, jak oni to robią.
- Co takiego?
- Jak każdego dnia zmieniają czterdzieści pięć tysięcy kilogramów

żywego indycznego mięsa w mrożonki.

— Ja nie bardzo — parsknęła Corrie.

Duża półciężarówka wjechała na podjazd, dał się słyszeć pisk hamulców hydraulicznych, a potem auto zaczęło tyłem podjeżdżać do rampy rozładunkowej. Na pace półciężarówki znajdował się ładunek w postaci klatek z indykami. Ciężarówka podjechała do rampy przesłoniętej tak jak w myjni gumowymi płachtami. Znow zapiszczały hamulce i auto stanęło.

— Agencie Pendergast, czy mogę spytać, co tutaj robimy?

— Oczywiście, że pani może. Przyjechaliśmy tu, by dowiedzieć się czegoś więcej o Williamie LaRue Stotcie.

— Jaki to ma związek ze sprawą?

Pendergast odwrócił się do niej.

— Panno Swanson, w mojej karierze przekonałem się wielokrotnie, że wszystko jest ważne. Wszystko ma jakiś związek. Muszę poznać to miasto i wszystkich, co się w nim znajduje. Medicine Creek nie jest jedynie drugoplanową postacią tego dramatu, lecz jego protagonistą. A oto przed nami zakład pracy, ściśle mówiąc, rzeźnia, od której zależy życie ekonomiczne tego miejsca. Tu pracowała nasza druga ofiara. Ten zakład to — że tak powiem — bijące serce Medicine Creek.

— Może powinnam poczekać w samochodzie. Nie kręć mnie martwe indyki.

— Powiedziałbym raczej, że to powinno pasować do pani Weltanschauung. — Pendergast wskazał na gotyckie akcesoria, od których roило się w aucie. — Poza tym przywozi się je tutaj żywe. Zresztą zrobi pani, co zechce.

I ruszył rażno przez parking.

Corrie patrzyła na niego przez chwilę. Wreszcie otworzyła drzwi gremlina i podbiegła, by dotrzymać kroku agentowi.

Pendergast podszedł do pozbawionych okna stalowych drzwi z napisem „WEJŚCIE DLA PRACOWNIKÓW — OTWIERAĆ KLUCZEM”. Poruszał klamką, ale drzwi były zamknięte. Corrie patrzyła, jak agent sięga do kieszeni marynarki, w ostatniej chwili jakby się zmytygował i wyciągnął rękę.

— Proszę za mną — powiedział.

Przeszli po betonowym nasypie do betonowych schodów. Prowadziły one do hali rozładunkowej, gdzie stała półciągarówka, ładunek znalazł się już wewnątrz zakładu. Pendergast prześlizgnął się pomiędzy szerokimi paskami gumy na skraju rampy i zniknął. Corrie przełknęła ślinę, wzięła głęboki oddech i pośpieszyła za nim.

Znalazła się w wielkiej hali rozładunkowej. Mężczyzna w grubych, gumowych rękawicach zdejmował z paki półciągarówki klatki z indykami i otwierał je. U góry znajdował się pas transmisyjny ze zwieszającymi się zeń hakami. Trzej inni mężczyźni wyjmowali indyki z otwartych klatek i wieszali je za łapki na hakach. Ptaki, tak upačkane po podróży, iż ledwie można było rozpoznać, że to indyki, gulgotały i podrygiwały niemrawo, zwisając łebkami w dół; dziobały puste powietrze i ze strachu oddawały kał.

Pas transmisyjny sunął powoli naprzód z metalicznym klekotem, znikając w otworze w przeciwległej ścianie hali. Całe to miejsce było klimatyzowane. Panowała tu temperatura jak na Syberii, a w dodatku śmierdziało. I to jak!

— Słucham pana? — Do Pendergasta podszedł ochroniarz. — Proszę pana?

Pendergast odwrócił się do niego.

— FBI — rzekł na tyle głośno, by tamten zdołał go usłyszeć pośród potwornego hałasu, i pomachał mu przed nosem legitymacją.

— W porządku, ale widzi pan, nikt nie ma wstępu na teren zakładu bez uprzedniego powiadomienia. Tak mi w każdym razie mówiono. Takie są przepisy... — dokończył nieśmiało.

— Oczywiście — rzekł Pendergast, chowając portfelik do kieszeni. — Przyszedłem tu, aby zadać kilka pytań panu Jamesowi Breenowi.

— Jimmy'emu? Pracował na cmentarnej zmianie, ale po tym zabójstwie poprosił o przeniesienie na dzienną.

— Wspominano mi o tym. Gdzie on pracuje?

— Przy taśmie. Proszę posłuchać, będzie pan musiał założyć kask i fartuch, a poza tym muszę powiadomić szefa...

— Przy taśmie?

— Tak. Przy taśmie. — Młody ochroniarz wyglądał na zdezorientowanego. — No, wie pan, przy taśmie. — Wskazał na wiszące na pasie transmisyjnym podrygujące indyki.

— Wobec tego wystarczy, że pójdziemy wzdłuż tej taśmy, a w końcu na niego natrafimy.

— Ale, proszę pana, przepisy zabraniają... — Spojrzał na Corrie, jakby poszukiwał u niej wsparcia.

Corrie знаła go. To był Bart Bledsoe — Porzeczkowy Bart. W zeszłym roku skończył liceum. Przeciętniak. I oto, gdzie wylądował. Prawdziwy człowiek sukcesu. Uosobienie ducha Medicine Creek.

Pendergast ruszył po śliskiej, betonowej podłodze, poły jego marynarki falowały jak czarne skrzydła. Bledsoe szedł za nim. Wciąż usiłował protestować, ale po chwili agent i ochroniarz zniknęli w sąsiednim pomieszczeniu. Corrie zatykając nos, poczłapała za nimi, uważając, by unikać indyczego guana, które skapywało jak deszcz z pasa transmisyjnego powyżej.

Sąsiednie pomieszczenie było małe, znajdowało się w nim tylko długie, płytkie koryto z wodą. Na żółtych tabliczkach na ścianach widniały znaki ostrzegające przed możliwością porażenia prądem. Indyki były najpierw polewane wodą, po czym trafiały do koryta. Corrie patrzyła z bezpiecznej odległości, jak łebki bezradnych ptaków zanurzają się w wodzie. Dało się słyszeć buczenie, a potem cichy trzask. Indyki przestały się szamotać i już bezwładne wyłaniały się z koryta.

— Są, jak widzę, oszołomione — rzekł Pendergast. — To bardzo humanitarne.

Corrie znów przełknęła ślinę. Domyślała się, co stanie się teraz.

Taśma zniknęła teraz w wąskim otworze prowadzącym do kolejnego pomieszczenia z dwoma solidnymi oknami po bokach. Pendergast podszedł do jednego z nich i zajrzał do środka. Corrie zbliżyła się do drugiego i z niepokojem zerknęła do wnętrza pomieszczenia.

Było duże, okrągłe. Gdy indyki, teraz już zwiotczałe, przesuwały się coraz dalej, w ich stronę podjechała maszyna i niedużym ostrzem podcinała gardła kolejnym ptakom. Buchnęły strugi szkarłatu, posoka zbryzgiwała ściany, Corrie miała wrażenie, że krwi było całe morze. Z boku siedział mężczyzna z maczetą, gotów zadać coup de grace, gdyby maszyna przypadkiem ominęła jakiegoś indyka.

Corrie odwróciła wzrok.

— Jak się nazywa to pomieszczenie? — spytał Pendergast.

— Wykrwawialnia — odparł Bledsoe. Już nie próbował protestować, na jego twarzy malował się wyraz rezygnacji.

— Właściwa nazwa. Co się dzieje z krwią?

— Przelewa się ją do zbiorników. Potem wywozi się ciężarówkami, nie wiem dokąd.

— Zapewne do jakiegoś zakładu mięsnego, gdzie zostanie dodana choćby do kaszanki. Sporo tu tej krwi.

— O tej porze dnia jej poziom powinien wynosić jakieś sześćdziesiąt centymetrów. Do końca zmiany jeszcze się podwyższy.

Corrie skrzywiła się. To było niemal tak samo odrażające jak widok Stotta na polu kukurydzy.

— Dokąd później trafiają indyki?

— Do oparzalni.

— Ach tak. Pańska godność?

— Bart Bledsoe, proszę pana.

Pendergast poklepał skonsternowanego młodzieńca po plecach.

— Doskonale, panie Bledsoe. Niech pan prowadzi. Obeszli wykrwawialnię po metalowej kładce — woń krwi dławiała w gardle, przyprawiała o mdłości, po czym znaleźli się w ogromnej hali z pasem transmisyjnym i indykami przesuwanymi się to w jedną, to w drugą stronę, w górę i w dół, znikającymi i wyłaniającymi się z czegoś, co przypominało wielkie, stalowe kontenery. Hałas był nie do zniesienia, wilgotność powietrza powyżej poziomu skraplania; Corrie poczuła, jak na jej ramionach, nosie i podbródku formują się drobniutkie krople. Wnętrze

hali cuchnęło mokrym indyckim pierzem, guanem i czymś jeszcze gorszym, czego nie zdołała rozpoznać. W głębi duszy żałowała, że nie została w samochodzie.

Martwe, odsączone z krwi ptaki wyłaniały się z wykrwawialni, by zniknąć wewnątrz kolejnego metalowego kontenera, skąd dochodził głośny syk.

— Co się tam dzieje? — spytał Pendergast, wskazując na stalowy kontener.

— To oparzalnia. Ptaki są oparzane parą wodną.

Z pasa transmisyjnego, wyłaniającego się ze środka oparzalni, zwisały parujące, czyste i białe już indyki, częściowo pozbawione piór.

— Co dalej? — spytał Pendergast.

— Trafiają do skubalni, ma się rozumieć. — Bledsoe zawahał się i nagle powziął jakąś decyzję. — Proszę tu chwilkę zaczekać — powiedział i już go nie było.

Ale Pendergast nie zamierzał czekać. Pomaszerował dalej w towarzystwie Corrie. Wspólnie przeszli przez kładkę otaczającą skubalnię, wewnątrz której znajdowały się cztery maszyny. Każda zaopatrzona w kilka tuzinów gumowych palców dziwaczного kształtu, które wykonywały drobne, zdecydowane ruchy, pozbawiając kolejne indyki resztek piór. Z taśmy zwisały już teraz nagie, różowożółte truchła. Następnie pas transmisyjny kierował się w górę i skręcając w bok, zniknął z pola widzenia. Jak dotąd, wszystkie stanowiska były zautomatyzowane, jeśli nie liczyć mężczyzny w wykrwawialni, jedynymi pracownikami byli tu ludzie nadzorujący działanie maszyn.

Pendergast podszedł do kobiety obserwującej wskaźniki przy

konsolecie skubaczek.

— Czy mogę przeszkodzić na chwilę? — spytał.

Gdy na niego spojrzała, Corrie rozpoznała Doris Wilson, tlenioną blondynkę po pięćdziesiątce, o rumianej twarzy i palcach pożółkłych od nikotyny, która mieszkała na tym samym co ona parkingu przyczep.

— Pan federalny?

— A pani?

— Doris Wilson.

— Czy mogę zadać pani kilka pytań, panno Wilson?

— Wał pan.

— Znała pani Williego Stotta?

— Pracował tu jako sprzątacznik na nocnej zmianie.

— Jak sobie radził?

— Był raczej dobrym pracownikiem.

— Z tego, co mi wiadomo, trochę popijał.

— Odrobinę. Ale to nie kolidowało z jego pracą.

— Skąd pochodził?

— Z Alaski.

— Co tam robił?

Doris przekręciła kilka gałek.

— Pracował w wytwórni konserw rybnych.

— Czy domyśla się pani, czemu stamtąd wjechał?

— Słyszałam, że poszło o kobietę.

— Dlaczego został w Medicine Creek?

Doris niespodziewanie uśmiechnęła się, ukazując brązowe, krzywe zęby.

— Wszyscy zadajemy sobie to pytanie. Jeżeli chodzi o Wil-iego, znalazł tu przyjaciela.

— Kogo?

— Swede'a Cahilla. Swede kumpluje się ze wszystkimi, którzy piją w jego knajpie.

— Dziękuję. A teraz czy zechciałaby pani powiedzieć mi, gdzie znajdę Jamesa Breena?

Wskazała na dalszy odcinek pasa transmisyjnego.

— W patroszalni. Proszę szukać grubego faceta, czarne włosy, okulary, tubalny głos.

— Jeszcze raz dziękuję.

— Nie ma sprawy. — Doris skinęła głową do Corrie. Pendergast zaczął wspinać się po metalowej drabince. Corrie

była tuż za nim. Sunące obok, zwisające z taśmy martwe indyki z łoskotem toczyły się pod górę w stronę stanowiska, którego dla odmiany nie obsługiwały maszyny, lecz ludzie. Ludzie w białych strojach, w białych czepkach, wprawnie rozcinali kolejne indyki, wywlekając z nich wnętrzności za pomocą urządzeń przypominających przerośnięte odkurzacze.

Stamtąd indyki docierały do sąsiedniego stanowiska, gdzie oczyszczano je strugami wody pod silnym ciśnieniem. Nieco dalej Corrie dostrzegła dwóch mężczyzn odrąbujących indykom łebki i wrzucających je do wielkiego zsypu.

„Święto Dziękczynienia już nigdy nie będzie takie jak kiedyś” — pomyślała.

Przy taśmie stał gruby, czarnowłosy mężczyzna, opowiadał o czymś

bardzo głośno, z przejęciem relacjonował jakąś historię.

Corrie wychwyciła nazwisko „Stott”, a potem — „ostatnim, który go widział żywego”. Spojrzała na Pendergasta. Uśmiechnął się do niej zdawkowo.

— To chyba człowiek, którego szukamy.

Kiedy podeszli do Breena, Corrie zauważyła, że znów pojawił się Bart, prawie biegł, włosy miał w nieładzie. Przed nim sunął jak burza kierownik zakładu, Art Ridder. Miał krótkie, grube nogi, ale stawiał całkiem solidne kroki.

— Dlaczego nikt nie powiadomił mnie o obecności FBI? — krzyczał w przestrzeń. Był bardziej czerwony na twarzy niż zazwyczaj, a Corrie dostrzegła wilgotne indycze piórko przyklepione do czubka wysuszonego suszarką kasku jego włosów. — Tu nie wolno wchodzić.

— Proszę wybaczyć. — Bart nieudolnie walczył z paniką.

— On sam tu wszedł. Tak po prostu. Prowadzi śledztwo w sprawie...

— Wiem, w jakiej sprawie... — Ridder wspiał się po drabince i odwrócił się do Pendergasta; oddychał ciężko, usiłował przywrócić nieszczery uśmiech, który niemal zawsze wykrzywiał jego usta. — Co słychać, agencie Pendergast? — Wyciągnął rękę.

— Art Ridder. Pamiętam, że widzieliśmy się na festynie.

— Miło mi pana poznać — odparł Pendergast i uściśnął podaną dłoń.

Ridder znów spojrzał na Barta. Już się nie uśmiechał.

— Wracaj na halę. Zajmę się tobą później. — Odwrócił się do Corrie.
— Co ty tu robisz?

— Jestem... — Spojrzała na Pendergasta, licząc, że agent coś powie, lecz on milczał jak zakłęty.

— Jestem z nim — dokończyła.

Ridder łypnął spode łba na Pendergasta, lecz agent wydawał się pochłonięty obserwacją dziwnych urządzeń zwieszających się z sufitu.

— Jestem jego asystentką — dodała po chwili Corrie. Ridder głośno wypuścił powietrze. Pendergast odwrócił się i podszedł do miejsca, gdzie pracował Jimmy Breen — mężczyzna zamilkł, kiedy zjawił się jego szef — i zaczął obserwować Jimmy'ego przy pracy.

Ridder odezwał się spokojniejszym tonem.

— Panie Pendergast, czy mogę zaprosić pana do mego biura, gdzie będzie nam o wiele wygodniej?

— Chciałbym zadać kilka pytań panu Breenowi.

— Zaraz go tam przyślę. Bart wskaże panu drogę.

— Nie ma potrzeby, aby przerywał pracę.

— W moim gabinecie będzie znacznie ciszej...

Ale Pendergast już zaczął rozmawiać z Jimmym. Mężczyzna nadal nie przerywał pracy i wkładał końcówkę urządzenia do wnętrza indyka, odsysając zeń wnętrzności przy wtórze wilgotnego młasniewca. Jimmy spojrzał najpierw na Riddera, a następnie na Pendergasta.

— Panie Breen, jak rozumiem, był pan ostatnią osobą, która widziała Williego Stotta żywego.

— To prawda — przytaknął Jimmy. — Biedaczysko. To przez ten jego wóz. Powinien był wydać parę groszy, aby naprawić tego gruchota, niż przepijać te pieniądze u Swede'a. Ten stary złom stale się psuł, wciąż coś w nim szwankowało...

Corrie spojrzała na Arta Riddera, który stał teraz za Jimmym z upiornym uśmiechem ponownie przylepionym do pucołowatej twarzy.

— Jimmy — wtrącił Ridder. — Wkładaj całą rurkę do środka, a nie tak, jak to robisz. Proszę wybaczyć, panie Pendergast, to jego pierwszy dzień na tym stanowisku.

— Dobrze, panie Ridder — bąknął Jimmy.

— O, tak. Głębiej. Właśnie tak. Teraz dobrze. — Kilkakrotnie sam zademonstrował Jimmy'emu sposób wykorzystania urządzenia, po czym oddał je swemu pracownikowi. — Czy to jest jasne? — Odwrócił się z uśmiechem do agenta. — Sam zaczynałem od pracy przy taśmie, dokładnie tu, przy patroszalni, panie Pendergast. I tak krok po kroku dostałem się na szczyt. Lubię, gdy praca jest wykonywana bardzo dokładnie i solidnie. — Nutka dumy, którą Corrie wychwyciła w jego głosie, była, delikatnie mówiąc, dość zatrwazająca.

— Oczywiście, panie Ridder — powiedział Jimmy.

— Na czym to pan skończył? — Pendergast nie spuszczał wzroku z Breena.

— Mówiłem o tym gruchocie. Zaledwie miesiąc temu wóz Williego ponownie się zepsuł i musiałem podwozić go do pracy, a potem do domu. Założę się, że ten rzęch znowu wysiadł, a Willie postanowił wpaść jeszcze na kielicha do Swede'a. I po drodze dopadł go ten zabójca. Jezu. Następnego ranka po tym, jak go znaleziono, poprosiłem o przeniesienie, prawda, panie Ridder?

— Prawda.

— Wolę wyjmować flaki z indyków, niż skończyć gdzieś na polu jak Willie. — Usta Jimmy'ego wykrzywił wilgotny uśmieszek.

— Nie wątpię — mruknął Pendergast. — Proszę opowiedzieć mi o swoim poprzednim zajęciu.

— Byłem nocnym stróżem. Pracowałem w zakładzie od północy do siódmej rano, kiedy zjawiają się pracownicy przedzmiannowi.

— Czym się oni zajmują?

— Sprawdzają działanie wszystkich urządzeń, aby były sprawne, kiedy przybędzie pierwsza ciężarówka z indykami, żeby praca toczyła się bez zahamowań. Nie można pozwolić, aby ptaki czekały w rozgrzanej ciężarówce, podczas gdy mechanicy naprawiają jakiś sprzęt, bo mogłyby pozdychać.

— Czy to się często zdarza?

Corrie zauważyła, że Jimmy Breen zerknął niepewnie na Riddera.

— Prawie wcale — odparł pośpiesznie Ridder.

— Kiedy jechał pan tamtej nocy do zakładu — ciągnął Pendergast — czy zauważył pan coś lub może kogoś na drodze?

— A jak pan sądzi, dlaczego poprosiłem o przeniesienie mnie na dzienną zmianę? Wtedy wydawało mi się, że to jakaś zbłąkana krowa, która weszła na pole kukurydzy. To było coś wielkiego, zgarbionego...

— Gdzie konkretnie pan to zobaczył?

— Dokładnie w połowie drogi, trzy kilometry od miasta i trzy kilometry od zakładu. To stało na poboczu drogi po lewej stronie. Wydawało się, jakby na coś czekało. Chyba wbiegło między łany, kiedy spostrzegło światła reflektorów mojego wozu. Odniosłem wrażenie, jakby poruszało się na czworakach. Naturalnie to tylko moje przypuszczenia. Nie mam co do tego pewności. To mógł być jakiś cień. Ale jeżeli to był cień, to naprawdę musiał być wielki.

Pendergast skinął głową. Odwrócił się do Corrie.

— Czy ma pani jakieś pytania? Corrie była bliska paniki.

— Pytania? — Zauważyła, że Ridder łypie na nią spode łba. —
Owszem. Tak. Jasne, że tak.

Chwila ciszy.

— Jeżeli to był zabójca, to co tam robił? Na co czekał? Przecież nie
mógł spodziewać się, że silnik Stotta odmówi posłuszeństwa, prawda?
Może interesował go sam zakład?

Znów zapadła cisza. Corrie zorientowała się, że Pendergast uśmiecha
się leciutko.

— Cóż... sam nie wiem — wykrztusił Jimmy. — Może. To ciekawe, co
pani powiedziała.

— Jimmy, weź się w garść — wtrącił nagle Ridder. — Przeoczyłeś
jednego. — Podszedł i dopadł oddalającego się na taśmie indyka. Jednym
energicznym ruchem zagłębił dłoń w ciele indyka i wyrwał zeń kłęb
wnętrzości, po czym wrzucił je do pojemnika próżniowego, gdzie flaki
znikły przy wtórze upiornego gulgotu. Ridder odwrócił się, strząsając
krople posoki z palców silnym strzepnięciem dłoni. Uśmiechnął się
szeroko. — Kiedy nie mieliśmy tu jeszcze odsysaczy próżniowych —
powiedział — nikt z nas, którzyśmy tu pracowali, nie bał się zabrudzić
sobie rąk, Jimmy.

— Rozumiem, panie Ridder.

Mężczyzna poklepał Jimmy'ego po plecach, zostawiając na nich rdzawy
ślad.

— Rób dalej swoje.

— Chyba już tu skończyliśmy — powiedział Pendergast. Ridder
nieomal odetchnął z ulgą. Wyciągnął rękę.

— Cieszę się, że mogłem pomóc.

Pendergast uklonił się nisko, po czym odwrócił się, by odejść.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Corrie Swanson z dłońmi na biodrach stała na poboczu drogi, patrząc, jak Pendergast wydobywa z bagażnika jej auta fragmenty dziwnie wyglądającego urządzenia i zaczyna je skręcać. Kiedy zabrała go sprzed domu Krausów, stał przy drodze, czekając ze skrzynką pełną metalowych części, leżącą u jego stóp. Nie wyjaśnił jej wtedy, co zamierza i teraz też najwyraźniej się do tego nie kwapił.

— Lubi pan trzymać ludzi w niepewności, prawda? — spytała.

Pendergast przykręcił ostatni element, sprawdził urządzenie i włączył je. Rozległ się cichy szum.

— Słucham?

— Wie pan, o czym mówię. Nigdy nic pan nikomu nie mówi. Tak jak teraz. Wciąż nie wiem, co zamierza pan zrobić z tym sprzętem.

Pendergast wyłączył urządzenie.

— W życiu, moim skromnym zdaniem, nie ma nic bardziej nużącego niż wyjaśnienia.

Corrie skwitowała jego słowa śmiechem. Nie ma co, trafił w dziesiątkę, w jej przypadku sprawdzało się to idealnie, począwszy od jej matki, poprzez dyrektora szkoły, po tego kretyńskiego szeryfa. „Musisz nam coś wyjaśnić”. Zawsze słyszała od nich te same słowa.

Słońce wznosiło się nad polami, wypalając i tak już mocno sprażoną ziemię. Pendergast spojrział na nią.

— Czy ta ciekawość oznacza, że przystosowuje się pani z wolna do roli mojej asystentki?

— To oznacza, że przyzwyczajam się do pieniędzy, które od pana otrzymuję. A kiedy ktoś każe mi zerwać się z łóżka bladym świtem, zwykle lubię wiedzieć dlaczego.

— Dobrze wiec. Będziemy dziś badać zagadkę tak zwanej Masakry Duchów w okolicy Mounds.

— Ten sprzęt wygląda raczej na wykrywacz metalu niż aparaturę pogromców duchów.

Pendergast zarzucił sobie urządzenie na ramię i ruszył wzdłuż wąskiej ścieżki biegnącej wśród krzewów w stronę strumienia. Odezwał się do Corrie:

— A jeżeli chodzi o duchy, co pani myśli?

— To znaczy?

— Czy pani w nie wierzy? Parsknęła.

— Chyba nie sądzi pan, że w tej okolicy naprawdę krąży jakiś oskałpowany, zmasakrowany nieboszczyk szukający swoich butów czy czegośkolwiek innego?

Czekała na odpowiedź, lecz bez powodzenia.

W kilka minut później znaleźli się w cieniu drzew. Tu wciąż jeszcze czuło się słabe, chłodne tchnienie nocy, mieszające się z zapachem topoli. Po kolejnych paru minutach dotarli do samych Mounds, pagórków wyłaniających się łagodnie z otaczającej je ziemi; u podnóża były kamieniste, u szczytu zaś z rzadka porośnięte trawą i krzewami. Pendergast przystanął, aby znów włączyć urządzenie. Rozległ się przeciągły jęk, zaraz jednak ucichł, gdy agent pokręcił kilkoma gałkami. Wreszcie maszyna ucichła. Corrie patrzyła, jak agent wyjmie z kieszeni drut z przymocowaną na jednym końcu pomarańczową chorągiewką i wtyka go w ziemię u swoich stóp. Z drugiej kieszeni wyłuskał coś, co wyglądało jak telefon komórkowy, po czym zaczął przy nim manipulować.

— Co to takiego?

— Aparat GPS.

Pendergast zapisał coś w swym nieodłącznym, oprawnym w skórę notesie, po czym z wykrywaczem metalu niemal dotykającym ziemi zaczął wolno przemieszczać się w kierunku północnym, przesuując okrągłym końcem urządzenia w przód i w tył. Corrie podążała za nim z coraz większym zaciekawieniem.

Wykrywacz metalu wydał ostry pisk. Pendergast natychmiast osunął się na kolana. Zaczął orać ziemię szpachelką i po paru sekundach odsłonił

miedziany grot strzały.

— No, no — mruknęła Corrie. Bez namysłu uklękła obok agenta. —

Indiański?

— Tak.

— Sądziłam, że wyrabiali groty z krzemienia.

— Około 1865 roku Czejenowie zaczęli przerzucać się na metal. Około 1870 mieli już broń palną. Ten metalowy grot dość trafnie określa datowanie tego stanowiska.

Wyciągnęła rękę, aby wydobyć grot z ziemi, ale Pendergast powstrzymał ją.

— Niech zostanie w ziemi — powiedział. A potem znacznie ciszej dorzucił: — Proszę zwrócić uwagę na kierunek, który wskazuje grot.

Notatnik i GPS znów pojawiły się w dłoniach agenta; Pendergast sporządził kolejny wpis, po czym schował notes i aparat do kieszeni marynarki. Oznakował miejsce jeszcze jedną małą chorągiewką i pomaszerował dalej.

Przeszli nie więcej niż dwieście metrów, Pendergast przez cały czas omiatał grunt przed sobą wykrywaczem metalu, zaznaczając miejsce odkrycia każdego grotu strzały i każdej odnalezionej kuli. Corrie nie mogła nadziwić się, ile śmieci kryło się w ziemi. Wreszcie wrócili do punktu wyjścia i skierowali się w drugą z czterech stron świata. Pendergast badał teren wykrywaczem metalu. Rozległ się kolejny pisk. Ukląkł, rozgarnął ziemię i tym razem odsłonił metalowy, oderwany fragment puszkę, typowy produkt lat siedemdziesiątych.

— Nie oznakuje pan tego wiekopomnego znaleziska? — spytała Corrie.

— Zostawimy to dla archeologów z przyszłych pokoleń. Znów piski, kolejne śmieci, groty strzał, kilka ołowianych kul, zardzewiały nóż. Corrie zauważyła, że Pendergast zasępił się, jakby zaniepokoiły go dotychczasowe znaleziska. Już miała go o to zapytać, ale w ostatniej chwili zmitygowała się. Poza tym, dlaczego tak ją zżerała ciekawość? To, co robili, było równie dziwne jak wszystko inne, czym do tej pory zajmował się Pendergast.

— W porządku — rzuciła Corrie. — Jestem w kropce. Co to wszystko ma wspólnego z zabójstwami? No, chyba że według pana zabójcą naprawdę jest duch jednego z Czterdziestu Pięciu, który przeklął te ziemie po wsze czasy czy coś w tym rodzaju.

— Wyśmienite pytanie — odparł Pendergast. — W tym momencie nie potrafię jeszcze stwierdzić, czy zabójstwa i masakra są ze sobą powiązane. Jednak Sheila Swegg została zabita, gdy prowadziła prace wśród tych wzgórz, a Gasparilla spędzał sporo czasu, polując na tym obszarze. Poza tym w całym mieście krążą plotki, że zabójcą jest duch Harry'ego Beaumonta, który powrócił z zaświatów, by dokonać krwawej zemsty. Zapewne pamięta pani, że pozbawiono go butów i odarto stopy ze skóry.

— Chyba pan w to nie wierzy, prawda?

— Że zabójcą jest duch Beaumonta? — Pendergast uśmiechnął się. — Nie. Ale muszę przyznać, że obecność starodawnych strzał i innych indiańskich artefaktów zdaje się wskazywać na istnienie związku, choćby tylko istniał on w umyśle zabójcy.

— Jaką ma pan zatem teorię?

— Poważnym błędem jest stawianie przedwczesnych hipotez, gdy nie dysponuje się solidnymi dowodami na ich poparcie. Ja, o ile to możliwe,

staram się nie wysnuwać żadnych teorii. Jedyne, czego teraz pragnę, to zebrać możliwie jak najwięcej danych. — Wciąż przeczesywał teren, oznakowując kolejne miejsca.

To już trzeci kierunek, jaki obrali, musieli przy tym przejść przez jeden z pagórków. U kamiennego podnóża wzniesienia odkryli kilkanaście grotów strzał. W kilku różnych miejscach Pendergast wskazał na świeże wgłębienia w ziemi, które ktoś starał się nieudolnie zamaskować gałęziami.

— To tu prowadziła prace Sheila Swegg. Ruszyli dalej.

— A zatem nie ma pan najmniejszego pojęcia, kim jest ten zabójca? — naciskała Corrie.

Pendergast przez chwilę nie odpowiadał. Kiedy się wreszcie odezwał, Corrie usłyszała jego cichy głos, niemal szept.

— Najbardziej intrygujące wydaje mi się raczej to, kim nie jest.

— Nie rozumiem.

— Nie ulega wątpliwości, że mamy do czynienia z seryjnym zabójcą. Jest równie oczywiste, że będzie on zabijał dopóty, dopóki nie zostanie powstrzymany. Intryguje mnie to, że ten człowiek przełamuje wszelkie wzorce i schematy. Nie przypomina żadnego znanego seryjnego mordercy.

— Skąd pan to wie? — spytała Corrie.

— W centrali FBI w Quantico, w Wirginii, istnieje tak zwany Wydział Nauk Behawioralnych, specjalizuje się on w określaniu profilu psychologicznego najróżniejszych przestępców. Przez ostatnie dwadzieścia lat na wydziale tym gromadzono akta spraw seryjnych zabójców z całego świata i wprowadzono je do komputerowej bazy danych.

Pendergast mówił, przez cały czas maszerując naprzód i prze-patrując grunt przed sobą za pomocą wykrywacza metalu. Wraz z Corrie zeszli właśnie po zboczu pagórka i weszli między drzewa. Agent spojrzał na dziewczynę.

— Czy na pewno chce pani wysłuchać wykładu na temat sądowych nauk behawioralnych?

— To ciekawsze niż trygonometria.

— Zabójstwa seryjne, tak jak inne typy ludzkich zachowań, można pogrupować według pewnych określonych schematów. FBI sklasyfikowało seryjnych zabójców w dwóch kategoriach — zorganizowanych i niezorganizowanych. Zorganizowani zabójcy są inteligentni, nie mają problemów ze znalezieniem się wśród ludzi, obok których żyją, ani nie cierpią na zaburzenia seksualne. Starannie zaplanowują każdą zbrodnię, ofiara jest dla nich osobą obcą, wybraną z wielką pieczołowitością. Nastrój i zachowanie mordercy są w pełni przez niego kontrolowane, przed, w trakcie i po dokonaniu zabójstwa. Panują także nad samym miejscem zbrodni. Ciało ofiary zostaje zwykle wywiezione i ukryte. Zabójcę zaliczanego do tej kategorii zazwyczaj bardzo trudno jest złapać.

Niezorganizowany zabójca z drugiej strony zabija spontanicznie. Zwykle to osobnik nieprzystosowany społecznie, cierpiący na zaburzenia seksualne, wykonuje proste prace fizyczne i charakteryzuje się niskim ilorazem inteligencji. Miejsce zbrodni cechuje olbrzymi nieład, częstokroć jest ono przypadkowe. Ciało pozostawione zostaje na miejscu zbrodni, morderca nie podejmuje najmniejszej próby ukrycia zwłok. Zabójca niejednokrotnie okazuje się sąsiadem ofiary i przeważnie ją zna. Atak

następuje nagle, niespodziewanie, jest brutalny, szybki i spontaniczny.

Szli dalej.

— Wygląda na to, że nasz zabójca zalicza się do kategorii „zorganizowanych” — wtrąciła Corrie.

— Otóż nie — zaproponował Pendergast i spojrzał na nią. — Nie wiem, czy powinna pani tego słuchać, panno Swanson. To może panią zaszokować.

— Wytrzymam.

Patrzył na nią przez chwilę.

— Wierzę, że tak — mruknął do siebie.

Urządzenie ponownie zapiszczało, Pendergast ukląkł i po kilku chwilach odkrył tkwiący w ziemi zardzewiały, metalowy samochodzik. Corrie zauważyła, jak na wargach agenta przez mgnienie oka zagościł cień uśmiechu.

— O, mini morris. Miałem w dzieciństwie całą kolekcję takich samochodzików.

— Gdzie są one teraz?

Przez oblicze Pendergasta przesunął się cień, Corrie nie próbowała drażnić tego tematu.

— Z pozoru nasz zabójca pasuje do kategorii „zorganizowanych”. Są jednak pewne wyraźne różnice, które podważają tę teorię. Po pierwsze, we wszystkich, dosłownie wszystkich zorganizowanych zabójstwach seryjnych występuje element seksualny. Może on być ukryty lub utajony, ale istnieje zawsze. Niektórzy zabójcy polują na prostytutki, inni na homoseksualistów, jeszcze inni na pary w samochodach. Są zabójcy dokonujący seksualnych okaleczeń zwłok. Inni najpierw gwałcą, a dopiero

potem zabijają swoje ofiary. Jeszcze inni tylko całują trupa i zostawiają przy nim kwiaty, jakby właśnie skończyli upojną randkę. Corrie wzdrygnęła się.

— W tych zabójstwach natomiast wątek seksualny w ogóle nie występuje — dodał agent.

— Proszę mówić dalej.

— Zorganizowany zabójca posiada również swój modus operandi, który eksperci z Wydziału Nauk Behawioralnych nazywają „rytuałem”. Zabójstwa są dokonywane w sposób rytualny. Zabójca często wkłada to samo ubranie, dokonując kolejnych morderstw, używa za każdym razem tego samego noża lub pistoletu oraz uśmierca swoje ofiary w ten sam, ściśle określony sposób. Po dokonaniu zbrodni zazwyczaj układa ciało w ceremonialnej pozycji. Towarzyszy temu specyficzny rytuał. Może on nie być oczywisty, ale pojawia się za każdym razem. To część samego zabójstwa.

— To zdaje się pasować do naszego seryjnego zabójcy.

— Bynajmniej. Wcale tak nie jest. Owszem, nasz zabójca realizuje pewien rytuał. I oto haczyk — za każdym razem jest to całkiem inny rytuał. Poza tym ten zabójca morduje nie tylko ludzi, lecz także zwierzęta. Zabójstwo psa to absolutna zagadka. Nie wiąże się z nim żaden ceremoniał. Ma to wszelkie przejawy zbrodni dokonanej przez osobnika z kategorii „niezorganizowanych”. Zabójca po prostu uśmiercił psa i urwał mu ogon. Po co? Podobnie było z atakiem na Gasparillę — brak rytuału, żadnego, nawet najdrobniejszego usiłowania zabójstwa. Sprawca, najogólniej mówiąc, wziął, co chciał — włosy mężczyzny i jego kciuk, po czym odszedł. Innymi słowy, zabójstwa te zawierają w sobie elementy

charakteryzujące zarówno zorganizowanych, jak i niezorganizowanych morderców. Nigdy dotąd nie spotkałem się z czymś takim.

Przerwał mu głośny pisk wykrywacza metali. Dotarli niemal do wyznaczonej przez siebie granicy penetrowanego obszaru; przed nimi trawiaste zbocze opadało płynnie ku odległemu morzu kukurydzy poniżej. Pendergast ukląkł i zaczął odgarniać ziemię. Tym razem nie odkrył niczego. Umieścił wykrywacz metali dokładnie nad rozgrzebanym miejscem i pokręcił gałkami, podczas gdy urządzenie wciąż wydawało z siebie przeciągły pisk.

— Co najmniej pół metra pod nami — powiedział. W jego dłoni pojawił się rydel. Agent zaczął kopać.

W kilka minut wykopał spory dołek. Następnie Pendergast zaczął starannie rozgarniać krawędzie dołu, odgarniając ziemię warstwa po warstwie, aż w końcu jego rydel natrafił na jakiś twardy przedmiot. W dłoni mężczyzny jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znalazł się niewielki pędzelek, którym agent jął oczyszczać znaleziony przedmiot z ziemi. Corrie zerkała mu przez ramię. Stopniowo ich oczom zaczął ukazywać się jakiś kształt, stary, pomarszczony, dziwnie powykręcany. Jeszcze kilka pociągnięć pędzlem i obiekt został całkiem odsłonięty — był to jeden stary kowbojski but z podkutą gwoździami podeszwą. Pendergast wydobył go z ziemi i obrócił w dłoniach. Cholewka buta została gładko rozkrojona na całej długości, najwyraźniej dokonano tego nożem. Agent spojrzał na Corrie.

— Wygląda na to, że Harry Beaumont nosił buty numer czterdzieści cztery i pół, nieprawdaż? — powiedział.

Z tyłu, za nimi rozległo się czyjeś wołanie. Jakaś postać, sapiąc i

dyszając, biegła od strony Mounds w ich kierunku, wymachując rękoma. To był Tad, zastępca szeryfa.

— Panie Pendergast! — krzyczał. — Panie Pendergast!

Pendergast wstał, podczas gdy poczerwieniały na twarzy szczupły młodzieniec podbiegł do nich, ociekając potem i ciężko chwytając powietrze.

— Gasparilla... w szpitalu. On... odzyskał przytomność... i... — Tad przerwał, przez chwilę nie mógł złapać tchu. — I pytał o pana... chce się z panem widzieć.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Hazen siedział na jednym z dwóch plastikowych turystycznych krzeseł pod drzwiami sali intensywnej opieki, gdzie przebywał Gasparilla. Sporo rozmyślał: o pierwszych chłodnych, jesiennych nocach, gotowanej kukurydzy z masłem, powtórce Miodowych lat, nagiej Pameli Anderson. Starał się natomiast usilnie nie myśleć o nie ustających ani na chwilę jękach i potwornym odorze bijącym z pomieszczenia za jego plecami, przenikających nawet przez zamknięte drzwi. Miał ochotę stąd odejść. Choćby tylko do poczekalni. Ale nie mógł. Musiał zaczekać tutaj na Pendergasta.

Jezu Chryste.

A oto i agent we własnej osobie, jak zawsze w garniturze, w którym wyglądał niczym przedsiębiorca pogrzebowy, szedł korytarzem różnym, równym krokiem. Hazen wstał i z wahaniem uściśnął podsuniętą w jego stronę dłoń. Wyglądało na to, jakby tam, skąd pochodził Pendergast, uścisk dłoni wymieniano po kilka razy dziennie. Idealny sposób na roznoszenie zarazy.

— Dziękuję, że zechciał pan na mnie zaczekać, szeryfie — rzekł Pendergast.

Hazen chrząknął.

Zza drzwi dobiegł kolejny długi, łamiący się jęk, zawodzący, jakby

szalony.

Pendergast zapukał i drzwi otwały się, ukazując lekarza zajmującego się chorym i dwóch asystujących mu pielęgniarzy. Gasparilla leżał na łóżku, cały w bandażach jak mumia, widać było tylko jego czarne oczy i wąską szczelinę ust. Był zaintubowany.

Stojące wokoło maszyny i urządzenia wydawały dziwaczne, regularne dźwięki, jak osobliwa orkiestra elektroniczna. Woń była tu silniejsza, wisiała w powietrzu niczym wyczuwalna obecność. Hazen pozostał przy wejściu, miał wielką ochotę zapalić papierosa, z ponurą miną patrzył, jak agent przechodzi przez pokój, by nachylić się nad leżącym mężczyzną.

— Jest bardzo pobudzony, panie Pendergast — powiedział lekarz. — Wciąż o pana pyta. Mieliśmy nadzieję, że pana wizyta choć trochę go uspokoi.

Przez kilka chwil Gasparilla pojękiwał żałośnie. Nagle wydawało się, że spostrzegł Pendergasta.

— To ty! — krzyknął, a jego spowite w bandażu ciało poruszyło się gwałtownie.

Lekarz położył dłoń na ramieniu Pendergasta.

— Pragnę ostrzec, że jeśli to w jakikolwiek sposób wpłynie na pogorszenie jego stanu, będzie pan musiał opuścić pokój.

— Nie! — krzyknął Gasparilla głosem pełnym paniki. — Pozwólcie mi mówić! — Koścista dłoń, okutana w bandażu, wyłoniła się spod pościeli i schwyciła połą marynarki Pendergasta tak brutalnie i gorączkowo, że jeden z guzików odpadł i potoczył się po podłodze.

— Zaczynam mieć co do tego wątpliwości... — mruknął niepewnie lekarz.

Jeden z pielęgniarzy pospiesznie zamknął drzwi za Hazenem. Nawet urządzenia zareagowały na swój mechaniczny sposób cichym buczeniem i mruganiem czerwonych światełek.

— Wystarczy — rzekł stanowczo lekarz. — Przykro mi. To był błąd; on nie jest w dość dobrym stanie, by mówić. Muszę poprosić panów, abyście wyszli.

— Neeee! — Druga dłoń złapała Pendergasta za ramię i pociągnęła go w dół. Maszyny nagle zwariowały. Lekarz powiedział coś i w tej samej chwili przy łóżku pacjenta pojawił się pielęgniarz ze strzykawką w dłoni. Wkłuł igłę do rurki doprowadzającej kroplówkę i opróżnił zawartość strzykawki.

— Pozwólcie mi mówić!

Pendergast, nie mogąc się uwolnić, pochylił się nad rannym.

— Co się stało? Co pan widział?

— O Boże! — Udręczony, zdławiony, łamiący się głos Gasparilli walczył z działaniem środka uspokajającego.

— Co? — Głos Pendergasta był cichy, nagły. Gasparilla wciąż trzymał go za połę marynarki, skręcając ją tak, że zmuszał agenta, by jeszcze bardziej się nad nim pochylił. Potworny smród bił od strony łóżka słodkomdłymi falami.

— Twarz, ta twarz!

— Jaka twarz?

Hazen odniósł wrażenie, jakby leżący na łóżku Gasparilla nagle odzyskał pełną świadomość. Jego ciało zeszywniało, dziwnie się wydłużyło.

— Pamiętasz, co powiedziałem? O diable?

— Tak.

Gasparilla zaczął się miotać, z jego ust dobył się bulgoczący głos.

— Pomyliłem się!

— Pielęgniarz! — Lekarz krzyknął do asystującego mu ogorzałego mężczyzny. — Jeszcze dwa miligramy ativanu i proszę natychmiast wyprowadzić stąd tego mężczyznę!

— Nieee! — Szponiasta dłoń szarpała się z Pendergastem.

— Powiedziałem, że ma pan wyjść! — ryknął lekarz, usiłując uwolnić agenta od trzymającego się go kurczowo rannego. — Szeryfie! Pański człowiek usiłuje zabić mojego pacjenta! Proszę go wyprowadzić!

Hazen skrzywił się. „Pański człowiek”? Mimo to podszedł i dołączył do lekarza, usiłując rozewrzeć zaciśnięte jak szpony palce Gasparilli. Równie dobrze mógłby mocować się ze szczękami stalowego imadła. A Pendergast wcale nie próbował im pomóc.

— Pomyliłem się! — wrzasnął Gasparilla. — Pomyliłem się.
Pomyliłem się!

Pielęgniarz wkuł igłę drugiej strzykawki do rurki kroplówki i wprowadził do niej kolejną dawkę środka uspokajającego.

— Nikt z was nie jest bezpieczny, nikt z was, teraz, kiedy on tu jest!
Lekarz odwrócił się do pielęgniarza.

— Proszę wezwać ochronę — rzucił oschłym tonem. U wezgłowia łóżka rozległ się sygnał alarmowy.

— Co pan zobaczył? — spytał cichym, pełnym współczucia głosem Pendergast.

Nagle, dość niespodziewanie, Gasparilla usiadł na łóżku. Wyrwane z nosa rurki, rozbryzgując dokoła drobne kropelki krwi, opadły na oparcie

łóżka. Szponiasta dłoń zacisnęła się na szyi Pendergasta.

Hazen zaczął mocować się z rannym. Chryste, Gasparilla zamierzał udusić agenta Pendergasta.

— Diabeł! On nadchodzi! Już tu jest!

Oczy Gasparilli wywróciły się w oczodołach, gdy druga dawka podanego mu leku zaczęła wreszcie działać. Mimo to nie dawał za wygraną i nadal stawiał zaciekły opór.

— On istnieje! Widziałem go tamtej nocy!

— Jak wygląda? — spytał Pendergast.

— To dziecko... Dziecko...

Nagle Hazen poczuł, że ręce Gasparilli zwiotczały. Od strony urządzeń ponownie dał się słyszeć jęk alarmu, tym razem głośniejszy i nieprzerwany.

— Zatrzymanie akcji serca! — zawołał doktor. — Szybko! Aparatura reanimacyjna!

Do sali wpadło równocześnie kilka osób, ochrona oraz paru lekarzy i pielęgniarzy. Pendergast wstał, uwolnił marynarkę z uścisku wiotkich już rąk i otrzepał ją. Jego blade zazwyczaj oblicze było zaróżowione, ale poza tym wyglądał całkiem normalnie. Był niewzruszony jak zawsze.

W chwilę potem pielęgniarze wyprowadzili jego i Hazena na korytarz.

Zaczekali przed salą, gdzie przez najbliższe dziesięć, piętnaście minut trwała zawzięta krzątanina. I nagle, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wewnątrz zapanował niezmacony spokój. Hazen usłyszał szcęk wyłączanych urządzeń, alarmy cichły jeden po drugim, aż wreszcie zamilkły wszystkie. Zapanowała błoga cisza.

Pierwszy z pokoju wyszedł lekarz prowadzący. Szedł wolno, jakby bez

celu, ze spuszczoną głową. Mijając ich, uniósł wzrok. Miał przekrwione oczy. Spojrzał na Hazena, a potem na Pendergasta.

— To pan go zabił — powiedział ze znużeniem, jakby wszystko było mu już obojętne.

Pendergast położył dłoń na jego ramieniu.

— Obaj robiliśmy tylko to, co do nas należy. Nie mogło być inaczej. Kiedy mnie schwycił, doktorze, nie miałem szans, aby się wyzwolić, dopóki nie powiedział tego, co chciał mi powiedzieć. Tak musiało być. On musiał to powiedzieć.

Lekarz pokręcił głową.

— Zapewne ma pan rację.

Pokój opuszczali teraz pielęgniarze i technicy, jeden po drugim odchodzili, każdy w swoją stronę.

— Muszę zapytać o jedno — ciągnął Pendergast. — Co było przyczyną śmierci?

— Rozległy zawał, po długim okresie migotania przedsionków. Po prostu nie mogliśmy ustabilizować jego serca. Nigdy dotąd nie widziałem, aby ktoś tak opierał się działaniu środka uspokajającego. Jego serce nie mogło tego wytrzymać. Po prostu eksplodowało.

— Czy domyśla się pan, co mogło spowodować to migotanie? Doktor ze znużeniem pokręcił głową.

— Zapewne było to skutkiem przebytego szoku. To efekt tego, co go spotkało. Nie mam na myśli samych ran, które nie zagrażały jego życiu, lecz rozległy szok natury psychologicznej, towarzyszący obrażeniom, z którego nie zdołał się otrząsnąć.

— Innymi słowy, umarł z przerażenia.

Lekarz spojrział na pielęgniarza, który wytaczał właśnie z sali wózek noszowy. Ciało Gasparilli było od stóp do głów nakryte prześcieradłem i ciasno opięte płóciennymi pasami. Lekarz zamrugał i otarł czoło rękawem fartucha. Parzył, jak ciało na wózku znika za podwójnymi wahadłowymi drzwiami.

— To dość melodramatyczne stwierdzenie, ale w gruncie rzeczy można tak to ująć — odparł po namyśle.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

Kilka godzin później i ponad trzy tysiące kilometrów na wschód promienie zachodzącego słońca wytrawiały fale Hudsonu na kolor spizu. W cieniu mostu Waszyngtona samotna barka mozolnie brnęła w górę rzeki. Nieco dalej na południe dwie żaglówki, małe niczym zabawki, pruły spokojną toń, kierując się ku Upper New York Bay.

Ponad stromą skarpą skalnego podłoża Manhattanu tworzącego Riverside Park, z bulwaru o nazwie Riverside Drive rozciągał się przepiękny widok na rzekę. Jednak trzypiętrowa rezydencja w stylu Beaux Arts, ciągnąca się po wschodniej stronie bulwaru pomiędzy Ulicą 137 a 138, od lat już była całkiem ślepa. Gonty jej mansardowego dachu były popękane i obluzowane. Przez witrażowe szyby nie przebijało światło, natomiast pod elegancką niegdyś bramą wjazdową nie stał żaden pojazd. Dom był mroczny i cichy, w cieniu zaniedbanych sumaków i dębów.

Mimo to jednak w przypominającej labirynt płataninie pomieszczeń znajdujących się pod domem coś się poruszało.

W nie mających końca kamiennych korytarzach poprzedzielanych prostymi izbami, gdzie unosiła się woń kurzu i innych, znacznie bardziej subtelnych i egzotycznych zapachów, przesuwała się wolno samotna, dziwaczna postać. Był to mężczyzna chudy jak szkielet, o długich, gęstych niczym lwia grzywa, sięgających do ramion siwych włosach i równie siwych, krzaczastych brwiach. Miał na sobie laboratoryjny kitel, z kieszeni którego wystawał czarny marker, nożyczki biblioteczne i klej w sztyfcie. Pod pachą ścisnął notatnik na podkładce. Z lampy, którą miał przypiętą na kasku, płynął strumień żółtego światła, omiatającego wilgotne, kamienne ściany i szeregi wysokich, drewnianych regałów.

Postać przystanąła przed wysokimi, dębowymi regałami, z których każdy zawierał tuziny wąskich, głębokich szuflad. Mężczyzna powiódł palcem po rzędach miedzianych tabliczek z wyblakłymi dziś już napisami, które trudno było odczytać. Palec zatrzymał się przy jednej z tabliczek, stukając jakby w zadumie w mosiężną obudowę. Po chwili mężczyzna wysunął szufladę. Jego oczom ukazały się rzędy ciem, jasnozielonych w

światle latarki, tę rzadką mutację spotkać można było jedynie w Kaszmirze. Odstąpiwszy krok w tył, zrobił kilka notatek. Następnie zasunął szufladę i otworzył drugą, znajdującą się tuż pod nią. Zawierała rzędy ciem barwy indygo. Z przeszklonej gabloty błyskały srebrzyście osobliwe wzory na grzbietach owadów, przypominające ludzkie oko bez powieki. *Lachrymosa codriceptes*, skrzydlata śmierć, przepiękny i wyjątkowo zabójczy zarazem motyl z Juka-tanu. Mężczyzna dokonał kolejnego wpisu w notesie. Następnie zasunął szufladę i przeszedł przez kilka kolejnych pomieszczeń, oddzielonych jedno od drugiego ciężkimi gobelinami, by dotrzeć do izby pełnej przeszklonych gablot. Pośrodku niej na kamiennym stole lśnił włączony laptop. Mężczyzna podszedł do niego, odłożył notatnik i zaczął pisać.

Przez kilka minut słychać było tylko stukanie w klawisze i od czasu do czasu odgłos kapiącej wody. Wtem z kieszeni kitla mężczyzny dobiegło suche buczenie.

Mężczyzna przerwał pisanie, sięgnął do kieszeni i wyłuskał z niej dzwoniący telefon komórkowy.

Tylko dwaj ludzie na świecie wiedzieli, że posiadał komórkę, a numer znał tylko jeden człowiek. Mężczyzna podniósł komórkę do ucha.

— Agent specjalny Pendergast, jak sądzę — rzekł.

— We własnej osobie. — Rozległ się głos z drugiego końca łącza. —

Co u ciebie, Wren?

— Zapytaj o mnie nazajutrz, a dowiesz się, żem odszedł bezpowrotnie.

— Szczerze wątpię. Czy ukończyłeś już swój catalogue raisonne biblioteki na parterze?

— Nie. To zostawiam sobie na koniec. — W głosie mężczyzny

zabrzmiało wyraźne ożywienie. — Nadal sporządzam listę artefaktów z piwnic.

— Doprawdy?

— Owszem, tak, hypocrite lecteur. I spodziewam się, że zajmie mi to jeszcze co najmniej parę dni. Zbiory twojego stryjecznego pradziadka są — powiedziałbym — nader liczne. Poza tym mogę przebywać tu tylko za dnia. Noce mam zarezerwowane dla biblioteki. Nic nie może stanąć na przeszkodzie pracy, jaką tam wykonuję.

— To oczywiste. Usłuchałeś, jak mniemam, moich ostrzeżeń, by nie wchodzić do ostatnich pomieszczeń za opuszczonym laboratorium?

— Naturalnie.

— To dobrze. Jakieś nader ciekawe niespodzianki?

— Och, i to całe mnóstwo. Ale one mogą jak myślę, poczekać.

— Tak myślisz? Wyjaśnij to.

Wren zawahał się przez moment, co jak mogliby stwierdzić jego przyjaciele — jeśli ich miał — było dlań czymś nietypowym.

— Jeszcze nie teraz. Nie bardzo potrafię. Nie mam na razie pewności.

— Przerwał na chwilę i obejrzał się pospiesznie przez ramię. — Wiesz, że nie są mi obce ciemność i rozkład. Jednak już kilka razy, gdy pracowałem tam, na dole, ogarnęło mnie dziwne uczucie. Było wyjątkowo niemiłe. Odniosłem wrażenie, jakby ktoś mnie obserwował.

— W gruncie rzeczy wcale mnie to nie zdziwiło — rzekł po krótkiej chwili Pendergast. — Obawiam się, że nawet osoba obdarzona szczątkową wyobraźnią uznałaby ów szczególny gabinet osobliwości za niepokojące miejsce. Może popełniłem błąd, prosząc cię o wykonanie tego zlecenia.

— O, nie! — zaprotestował żywo Wren. — Nie, nie, nie! Nigdy bym

sobie nie darował takiej okazji. Nie powinienem był nawet o tym wspominać. To tylko moja wyobraźnia, jak powiedziałeś. Bywa, że człek więcej diabłów postrzega, niżli ich piekło pomieścić może, takie to sztuczki z ludźmi wybujała wyobraźnia czyni. Zapewne winę za to ponosi moja podświadoma wiedza o... hmm wypadkach, jakie miały miejsce w tych murach.

— Bez wątpienia. Wciąż jeszcze mam żywo w pamięci wydarzenia ubiegłej jesieni. Sądziłem, że ten wyjazd pozwoli mi choć do pewnego stopnia o nich zapomnieć.

— Ale jak na razie bez powodzenia? — Wren zachichotał. — Nic dziwnego, zważywszy na to, w jaki sposób spędzasz wolne chwile: prowadząc śledztwo w sprawie seryjnych zabójstw. I o ile zrozumiałem, interesujesz się również osobliwymi zabójstwami. Prawdę mówiąc, są one tak niezwykle, że wydają się na swój sposób znajome. Czy przypadkiem twój brat nie bawi na wakacjach w Kansas?

Przez chwilę nie było odpowiedzi. Kiedy Pendergast znów się odezwał, jego głos był zimny, pełen dystansu.

— Już ci mówiłem, Wren, ani słowa więcej o mojej rodzinie.

— Jasne, jasne — odparł pośpiesznie Wren.

— Dzwonię, bo mam do ciebie sprawę. — Ton Pendergasta stał się rzeczowy, ożywiony.

— Chciałbym, abyś znalazł dla mnie pewien artykuł. Wren westchnął.

— To ręcznie napisany dziennik — dodał agent. — Dzieło niejakiego Isaiaha Drapera, zatytułowany Historia Czterdziestu Pięciu z Dodge. Moje badania wskazują, że dziennik ten został włączony do zbiorów Thomasa Van Dyke'a Seldena, który nabył go podczas podróży przez Kansas,

Oklahomę i Teksas w 1933 roku. Jak rozumiem, zbiory te znajdują się obecnie w nowojorskiej bibliotece publicznej.

Wren skrzywił się.

— Kolekcja Seldena to najbardziej chaotyczny i nieuporządkowany zbiór efemeryd, jaki kiedykolwiek zgromadzono. Sześćdziesiąt skrzyń zajmujących dwa pomieszczenia magazynowe i zawartość niewarta funta kłaków.

— Bynajmniej. Muszę poznać szczegóły, które mogę zgłębić jedynie dzięki temu dziennikowi.

— Po co? Jakie światło może rzucić na te morderstwa stary dziennik? Odpowiedzi nie było, Wren znów westchnął.

— Jak wygląda ten dziennik?

— Nie potrafię powiedzieć.

— Jakież znaki szczególne?

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Na kiedy go potrzebujesz?

— Na pojutrze, o ile to możliwe. Na poniedziałek.

— Chyba żartujesz, hypocrite lecteur. Całe dni spędzam tutaj, a noce... Cóż, dobrze wiesz, czym się zajmuję. Tak wiele uszkodzonych książek, a tak mało czasu. Znalezienie konkretnego egzemplarza w tej całej masie...

— Naturalnie możesz spodziewać się szczególnej gratyfikacji za swój trud.

Wren zamilkł. Oblizał wargi.

— Powiedz coś więcej.

— Indiański dziennik, wymagający konserwacji.

— Coś takiego.

— Wygląda na to, że mamy do czynienia z wyjątkowym egzemplarzem.

Wren docisnął komórkę do ucha.

— Mów dalej.

— Początkowo sądziłem, że to dzieło wodza Siuksów, Bizoniego Garba. Jednak po uważnym przejrzaniu dochodzę do wniosku, że musi to być dziennik samego Siedzącego Byka, sporządzony zapewne w jego chacie pod Standing Rock, możliwe, że w porze Księżyca Spadających Liści, w ostatnich miesiącach przed jego śmiercią.

— Siedzący Byk — wyszeptał Wren, rozkoszując się tymi słowami jak strofami najpiękniejszej poezji.

— Dostaniesz go do rąk własnych w poniedziałek. Tylko do konserwacji. Będziesz mógł cieszyć się nim przez dwa tygodnie.

— A dziennik — jeśli faktycznie istnieje — trafi w twoje ręce.

— Istnieje. Ale, ale, nie chcę dłużej przeszkadzać ci w pracy. Miłego dnia, Wren. Bądź ostrożny.

— Bywaj. — Włożywszy komórkę na powrót do kieszeni, Wren ponownie usiadł przy laptopie, przepatrując w myślach rozkład kolekcji Seldona; jego poprzecinane żyłami dłonie nieomal drżały z niecierpliwości, Wren nie mógł już doczekać się chwili, kiedy będzie mógł wziąć do ręki dziennik spisany przez samego Siedzącego Byka.

Z ciemności za przeszklonymi regałami para niewielkich, pełnych powagi oczu patrzyła z przejęciem, jak Wren ponownie zabiera się do pisania.

DWADZIEŚCIA OSIEM

Smit Ludwig rzadko uczęszczał do kościoła, ale przeczucie, jakie nawiedziło go w ten upalny niedzielny ranek, podpowiadało mu, że warto by się tam wybrać. Nie potrafił powiedzieć, co było tego przyczyną, wyczuwał jednak narastające w całym miasteczku napięcie. Ludzie rozmawiali wyłącznie o zabójstwach. Sąsiedzi patrzyli na siebie nawzajem spod łba. Mieszkańcy byli przerażeni, zdezorientowani. Szukali choć odrobiny pocieszenia. Reporterski nos podpowiadał Ludwigowi, że wszyscy będą szukać owego pocieszenia w Kalwarii Luteirańskiej.

Gdy zbliżył się do niebrzydkiego, ceglanego kościółka z białą wieżą, zrozumiał, że przeczucie go nie myliło. Na parkingu stało mnóstwo aut, samochody zaparkowano nawet po obu stronach ulicy. Zatrzymał swój

pojazd przy drugim jej końcu, skutkiem czego miał jeszcze do przejścia blisko czterysta metrów. Aż trudno uwierzyć, że w Medicine Creek w Kansas mieszkało jeszcze tylu ludzi.

Drzwi były otwarte, już przy wejściu tradycyjnie wciśnięto mu do rąk program. Przecisnął się przez tłum z tyłu i zajął miejsce z boku, tak by mieć jak najlepszy widok. To było coś więcej niż msza, to był temat do gazety. W kościele znaleźli się ludzie, których stopa nigdy dotąd nie przestąpiła progu tego przybytku. Smit poklepał się po kieszeni, aby sprawdzić, czy aby na pewno ma przy sobie notes i ołówek. Wyjął je i ukradkiem zaczął sporządzać notatki. Byli tu Langowie, Klick i Melton Rasmussenowie, Art Ridder z żoną, Cahillowie, Maisie i Dale Estrem z kumplami ze Wspólnoty Farmerów. Szeryf Hazen stał z boku z posepną miną — Ludwig ostatni raz widział go w kościele, gdy zmarła jego matka. Obok stał jego syn, z wyrazem irytacji malującym się na pyzatej twarzy. A jeszcze dalej, w cieniu, zajął miejsce agent FBI Pendergast i Corrie Swanson, zbuntowana nastolatka z najeżonymi jak szpikulce, fioletowymi włosami, ustami pomalowanymi na czarno, cała obwieszona srebrną biżuterią. To ci dopiero dobrana para.

W kościele zapadła cisza, gdy wielebny John Wilbur podszedł powoli do pulpitu. Msza zaczęła się jak zawsze od hymnu, modlitwy na dany dzień. Podczas czytań, które potem nastąpiły, w kościele było cicho jak makiem zasiał. Ludwig domyślał się, że ludzie czekali na kazanie. Zastanawiał się, jak pastor Wilbur poradzi sobie z tym niełatwym zadaniem. Ten mężczyzna, szczupły i pedantyczny, nie słynął z oratorskich wystąpień. W swoje kazania wplatał cytaty z angielskiej poezji i literatury, co miało wskazywać na jego erudycję, ale w efekcie całość zwykle

brzmiała sztucznie i pompatycznie. Dla pastora Wilbura nadeszła chwila prawdy. Miasto znalazło się w wielkiej potrzebie.

Czy sprosta temu zadaniu?

Dobiegło końca czytanie Ewangelii, pora na kazanie. Oto czas pociechy duchowej, której tak łaknęli mieszkańcy Medicine Creek, po to tu przyszli — by znaleźć otuchę w słowach swego pasterza.

Pastor podszedł do pulpitu, kaszlnął dwa razy w zaciśniętą dłoń, wydał wąskie wargi i z szelestem wygładził dwie kartki pożółkłego papieru, które leżały przed nim na ozdobnie rzeźbionym blacie.

— Przyszły mi dziś rano do głowy dwa cytaty — rzekł Wilbur, wodząc wzrokiem po twarzach wiernych. — Jeden rzecz jasna z Biblii. Drugi ze słynnego kazania.

W serce Ludwiga wstąpiła nadzieja. To chyba coś nowego. Słowa pastora brzmiały obiecująco.

— Przypomnijcie sobie obietnicę, jaką Bóg złożył Noemu w Księdze Rodzaju: „Będą zatem istniały, jak długo trwać będzie ziemia: siew i żniwo, mróz i upał, lato i zima, dzień i noc”.

A cytując dobrego doktora Donne'a — „Bóg przychodzi do cię nie jako ziarno o poranku, nie jako pąk wiosenny, lecz jako zbiór do zżęcia gotowy, w porze żniw”.

Wilbur przerwał, by zlustrować wiernych znad oprawek swoich okularów do czytania.

W jednej chwili Ludwigo poczuł, że traci wszelką nadzieję, jego entuzjazm przygasł. Aż za dobrze znał te cytaty. Dał się oszukać mistrzowskiej improwizacji Wilbura. „O Boże — pomyślał — chyba nie zamierza znów truć nam o żniwach”. A jednak, jak wszystko na to

wskazywało, Wilbur ku temu się właśnie skłaniał. Rozłożył szeroko ręce w majestatyczno-dramatycznym geście.

— Oto znów tu jesteśmy, mieszkańcy tego miasta i ono samo, małe Medicine Creek obiecane nam przez Boga — kukurydza, której łodygi uginają się pod ciężarem złocistych kolb, dojrzałych w promieniach letniego słońca.

Ludwig w przypiływie desperacji rozejrzał się dokoła. To było to samo kazanie, które Wilbur wygłaszał rokrocznie w porze żniw, od tak dawna, jak tylko dziennikarz był w stanie sięgnąć pamięcią. Dawno temu, kiedy jeszcze żyła jego żona, Ludwig uważał cykl kazań, równie przewidywalny jak cykl pór roku, za przynoszący spokój, odprężenie i ukojenie. Ale nie teraz. Zwłaszcza nie teraz.

— Tym, co proszą o znak Bożej Łaski, tym, co łakną widoku Jego przemożnej dobroci, tak odpowiem: podejdźcie do drzwi — ciągnął pastor. — Podejdźcie do drzwi i wyjrzyjcie na zewnątrz, zobaczcie ów bezmiar życia, morze kukurydzy, która tylko czeka, by ją zebrać i spożyć, by mogła nasycić nasze ciała i tchnąć w nasze dusze odrobinę pociechy duchowej.

— Raczej aby ją przerobiono na biopaliwo — rozległ się nagle z boku czyjś głos.

Ludwig czekał. Może pastor tylko się rozgrzewał i niebawem przejdzie do zasadniczego tematu.

— ...podczas gdy Dzień Dziękczynienia to czas, kiedy dziękujemy Bogu za dary Jego ziemi, chciałbym właśnie teraz, przed żniwami, w szczególny sposób podziękować za to, co od Niego otrzymaliśmy i otrzymujemy każdego dnia, dobro owo widać bowiem w postaci pól kukurydzy, które rozciągają się jak okiem sięgnąć aż po sam horyzont.

Pójdźmy wszyscy, jak namawia nas nieśmiertelny bard John Greenleaf Whittier, „polami, co się kukurydzą złocą”, a następnie zatrzymajmy się, popatrzmy przez chwilę na tę piękną kansaską ziemię, która co roku rodzi nam najwspanialsze owoce, i podziękujmy Bogu za zbiory. — Przerwał, by dać wiernym kilka sekund na gruntowniejsze przemyślenie tych słów.

W kościele panowała nerwowa, niespokojna atmosfera, wszyscy czekali, że temat kazania mimo wszystko się zmieni i skoncentruje na bardziej palących problemach.

— Pewnego dnia — zaczął jowialnym tonem pastor — jechałem do Deeper z moją żoną, Lucy, kiedy nieoczekiwanie zabrakło nam benzyny.

O, nie. Opowiadał tę historię w zeszłym roku. I dwa lata temu.

— Staliśmy tak pośród pól kukurydzy. W pewnej chwili Lucy spojrzała na mnie i spytała: „I co teraz zrobimy, kochanie?” Odpowiedziałem: „Nie trać wiary w Boga”. — Zachichotał, nie zdając sobie sprawy, że coraz więcej wiernych zaczęło szemrać. — Lucy bardzo się wówczas zdenerwowała. Bo widzicie, obowiązkiem mężczyzny jest dbać o to, by zbiornik paliwa był zawsze pełen, i to była moja wina, że utknęliśmy wśród pól. „Ty nie trać wiary w Boga — rzuciła — a ja zawierzę moim własnym nogom...” I z tymi słowy zaczęła wysiadać z auta...

Nagle rozległ się grzmiący głos:

— ...a potem wyjęła z bagażnika kanister i pomaszerowała z nim na najbliższą stację benzynową!

Te słowa padły z ust Swede'a Cahilla, który dokończył rozpoczęte przez pastora zdanie — Swede'a Cahilla, najbardziej uprzejmego mężczyzny w całym miasteczku.

Ale nawet on nie wytrzymał, stał oburzony, gniewny, z poczerwieniałą

twarzą.

Pastor zacisnął usta tak mocno, że jego wąskie wargi zlały się w jedną cienką kreskę.

— Panie Cahill, czy mogę przypomnieć panu, że znajdujemy się w kościele, a ja usiłuję wygłosić kazanie?

— Dobrze wiem, co wielebny robi...

— Wobec tego za pozwoleniem chciałbym mówić dalej.

— Nie! — rzucił Cahill, ciężko dysząc. — Nie zrobi pastor tego.

— Swede, usiądź, na litość boską — rozległ się czyjś głos. Cahill odwrócił się w stronę, skąd dobiegły strofujące go słowa.

— W naszym miasteczku miały miejsce dwa okrutne morderstwa, a jedyne, na co stać pastora, to serwować nam kazanie, które napisał w 1973 roku? Nie, ten numer nie przejdzie. Co to, to nie!

Jakaś kobieta podniosła się z miejsca — to Klick Rasmussen.

— Swede, jeśli masz coś do powiedzenia, miej odrobinę przyzwoitości i zaczekaj, aż...

— Nie, on ma rację! — przerwał jej inny głos. Ludwig odwrócił się. To pracownik zakładu Gro-Bain. — Swede ma rację. Nie przyszliśmy tu, by wysłuchiwać kazania o zafajdanej kukurydzy. W okolicy grasuje zabójca i nikt z nas nie jest bezpieczny.

Klick, choć niskiego wzrostu, odwróciła się do niego z wściekłością.

— Młody człowieku, to dom boży, nie zebranie mieszkańców miasta!

— Nie słyszałaś, co ten człowiek, Gasparilla, powiedział, leżąc na łożu śmierci? — zawołał Swede. Jego oblicze — o ile to w ogóle możliwe — jeszcze bardziej pokraśniała — To nie żarty, Klick. Mamy poważny problem. Całe miasto jest zagrożone.

Kilka osób głośno przytaknęło jego słowom. Smit Ludwig pisał jak szalony, starając się niczego nie przeoczyć. Interesowały go zwłaszcza wypowiedzi Swede'a.

— Błagam, błagam! — rzekł z przejęciem pastor Wilbur, unosząc teatralnym gestem obie ręce w górę. — Nie w domu bożym!

Ale inni już podnosili się z miejsc.

— Taa — mruknął inny pracownik Gro-Bain. — Słyszałem, co powiedział Gasparilla. Pewno, że słyszałem.

— Ja też.

— Ale to chyba nie może być prawda? Szmer głosów narastał z każdą chwilą.

— Pastorze — rzekł Swede — jak pastor sądzi, dlaczego w kościele jest dziś tylu ludzi? Przyszli tu, bo się boją. Powiem więcej — są przerażeni. Te okolice widziały już niejedno. Bywało różnie, raz lepiej, raz gorzej. Bywały też trudne, wręcz tragiczne chwile. Tym razem jednak jest inaczej. Ludzie mówią o Klątwie Czterdziestu Pięciu, masakrze, jakby na całe miasto padła jakaś klątwa. Jakby ci mordercy z za grobu próbowali osądzić nas wszystkich. Ludzie przyszli tu, szukając pociechy duchowej.

— Panie Cahill, wydaje mi się, że jako właściciel miejscowej karczmy nie jest pan uprawniony do prawienia mi kazań i mówienia, co należy do obowiązków duszpasterskich — warknął gniewnie Wilbur.

— Z całym szacunkiem, wielbny...

— A co z tą zmutowaną kukurydzą, którą chcą tutaj zasadzić? — rozległ się głęboki, tubalny głos. Należał do Dale'a Es-trema, który ścisnął w dłoni kolbę kukurydzy. — Co z tym?

„Przyniósł tu kaczan kukurydzy w charakterze rekwizytu” — pomyślał

Ludwig, notując zawzięcie. „Przyniósł go tutaj, aby narobić rabanu. Chce wywołać skandal”.

— Pyłki tej i naszej kukurydzy mieszają się i skażą nasze pola! Ci naukowcy chcą zjechać tutaj i bawić się w Boga, eksperymentując z naszą żywnością, wielebny! Kiedy porozmawiamy na ten temat?

W tej samej chwili inny, bardziej histeryczny głos zagłuszył pozostałe. Stary mężczyzna, chudy jak tyka, z wielkim, opadającym i unoszącym się na przemian jabłkiem Adama i sterczącymi jak szczecina sztywnymi włoskami na szyi, podniósł się z miejsca i jał wygrażać pięścią Wilburowi. To stary Whit Bowers, odludek, który na co dzień mieszkał poza Medicine Creek.

— Nadchodzi koniec świata! To dni ostatnie! Czy tego nie widzisz, ty ślepy głupcze!

Swede odwrócił się.

— Posłuchaj, Whit, nie o to mi...

— Wszyscy jesteście głupcami, jeśli tego nie dostrzegacie! Diabeł krąży pośród nas! — Głos mężczyzny był wrzaskliwy, wysoki i ochryply i rozcinał panujący dokoła hałas gładko niczym niewidzialny nóż. — Szatan jest nawet tutaj, w tym kościele! Czy wszyscy postradaliście wzrok? Nie widzicie tego? Nie czujecie jego woni?

Pastor Wilbur uniósł obie ręce w górę i zaczął coś krzyczeć, ale jego oschły, pedantyczny głos nie był w stanie uporać się z coraz większym gwarem i harmiderem w całym kościele. Wszyscy poderwali się z miejsc. W domu bożym zapanował chaos.

— On tu jest! — wrzeszczał Whit. — Spójrzcie na swego sąsiada. Popatrzcie w twarz swemu bratu. Czy dostrzeżecie w niej oblicze szatana?

Czy to jego ślepią odnajdą wasze spojrzenie? Przyjrzyjcie się dobrze! I bądźcie czujni! Azali zapomnieliście już o słowach Piotra? „Bądźcie trzeźwi! Czuwajcie! Przeciwnik wasz, diabeł, jak lew ryczący krąży, szukając, kogo pożreć”.

Inni zaczęli się nawzajem przekrzykiwać. Zdenerwowani ludzie stłoczyli się w głównej nawie. Rozległ się krzyk. Ktoś upadł, Ludwig opuścił notes, usiłując zobaczyć, co się stało. Pendergast, blady jak śmierć, stał nadal w bezruchu w ciemnym kącie. Corrie obok niego uśmiechała się promiennie od ucha do ucha. Tłum nagle ruszył w stronę wyjścia.

— Ty sukinsynu! — ryknął ktoś. W tłumie przez chwilę się zakotłowało, rozległ się odgłos pięści uderzającej w ciało. Boże, w kościele rozgorzała bójka. To coś niesłychanego. Ludwig nie mógł dojść do siebie. Był oszołomiony i dezorientowany. Pospiesznie podszedł do głównej nawy, aby się lepiej przyjrzeć. Wspiął się na ławkę i stanął na niej z notesem w dłoni. Walczącymi okazali się Randall Pennoyer, kolega Stotta, i jeden z pracowników Gro-Bain.

— Nikt nie zasłużył, aby umrzeć w taki sposób, ugotowany jak jakiś wieprzek!

Rozległy się kolejne, pełne przerażenia krzyki, po czym kilku mężczyzn podbiegło, by rozdzielić walczących. Do akcji wkroczył nawet sam Ridder, krzyczał coś, usiłował dotrzeć do miejsca, gdzie toczyła się bójka. Szeryf Hazen również skierował się w tę stronę, szedł nisko pochylony, jak buldog, z opuszczoną głową. Szeryf z impetem rzucił się naprzód. Ludwig ujrzał, jak Hazen spada na plecy Berthy Blodgett, ale zaraz znów się podnosi z pociemniałą z wściekłości twarzą.

Echo przerażonych głosów odbijało się od ceglanych ścian i wysokiego,

łukowatego sklepienia. Ci, co stali z tyłu, otworzyli drzwi i z kościoła natychmiast zaczęła wylewać się na zewnątrz zbita w bezładną masę fala ogarniętych paniką ludzi.

Rozległ się trzask pękającej drewnianej ławki. Jakaś kobieta krzyknęła.

— Nie w domu bożym! — ryczał Wilbur, oczy niemal wychodziły mu z orbit.

A ponad tym wszystkim rozlegał się grzmiący, złowieszczy, apokaliptyczny głos Whita.

— Spójrzcie w ich oczy, a ujrzycie! — ostrzegał posepnie. — Pociągnijcie mocniej nosem, a poczujecie smród siarki! On jest sprytniejszy, ale przejrzycie i odnajdziecie go. Tak się stanie. Zabójca jest tutaj! Jest jednym z nas! Diabeł przybył do Medicine Creek i stąpa obok nas. Słyszeliście słowa konającego, ten diabeł ma twarz dziecka!

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

Corrie Swanson siedziała w samochodzie, w cieniu drzew, przy zakręcie strumienia, dokąd kazał się zawieźć tajemniczy jak zwykle agent Pendergast. Właśnie minęło południe, z nieba lał się duszący żar. Corrie przesunęła się lekko na fotelu, czując krople potu perlące się na jej czole i

karku. Pendergast znów dziwnie się zachowywał. Wyciągnął się na złamanym fotelu i zamknął oczy. Wyglądało, że zasnął, ale Corrie знаła go już na tyle, by wiedzieć, iż wcale nie spał. Rozmyślał. Ale o czym? I dlaczego tutaj? I czemu to trwało już ponad pół godziny?

Pokręciła głową. Ten człowiek był naprawdę dziwny. Dziwny na swój miły sposób, ale jednak dziwny.

Sięgnęła po książkę, którą niedawno zaczęła, Poza granicę lodu, znalazła zagiętą stronę, w ten sposób oznaczyła miejsce przerwanej lektury, początek szóstego rozdziału i zabrała się do czytania.

„Morze na horyzoncie zdawało zlewać się z niebem, dwa odcienie błękitu stapiały się ze sobą, zdając się przyzywać statek coraz to dalej na południe”.

Zamknęła książkę i odłożyła ją. Niezła, choć brakowało jej atmosfery pierwszej części. A może po prostu umysł dziewczyny zaprzętało teraz coś innego. Na przykład to, co ujrzała w kościele.

Jej matka nie była osobą religijną, a Corrie tylko parę razy w życiu przestąpiła próg świątyni. Mimo to była przekonana, że nikt, niezależnie, jak często odwiedzał Kalwarię Luterską, nie miał okazji oglądać czegoś takiego. Całe miasto rozsypywało się w gruzy. To pastor Wilbur, który zawsze mijał ją, odwracając wzrok i krzywiąc się z dezaprobatą, zawałił sprawę. Pompatyczny, nadęty dupek. Nie mogła powstrzymać uśmiechu, gdy przypomniała sobie te wydarzenia — szalonego, starego Whita wrzeszczącego o piekle i potępieniu, Estrema wymachującego motyką, ogarnięty paniką tłum przedzierający się do wyjścia, robotników potykających się, przewracających i walczących ze sobą nawzajem. Tyle razy w swoich fantazjach widziała to miasteczko starte z powierzchni

ziemi przez jakiś kataklizm, nalot bombowy, wielki pożar czy rozruchy i gmach jej liceum osuwający się w głąb czarnej rozpadliny, która rozwiera się pod nim niczym paszcza wygłodniałego, gigantycznego potwora. Właściwie jej marzenie po części się spełniło. Wciąż jeszcze uśmiechała się, wspominając tamte chwile, ale uśmiech zastygł na jej twarzy jak upiorny grymas. Rzeczywistość nie była aż tak zabawna.

Spojrzała na Pendergasta i omal nie poderwała się z fotela. Siedział obok niej czujny, rozbudzony, przyglądając się jej bladymi, kocimi oczyma.

— Do Castle Clubu poproszę — rzekł półgłosem. Corrie szybko wzięła się w garść.

— Ale czemu właśnie tam?

— Jak rozumiem, szeryf Hazen i Art Ridder zamierzali zjeść dziś lunch z doktorem Chauncym. Jak pani wiadomo, Chauncy ma jutro ogłosić, które z miast stanie się lokalizacją nowego pola eksperymentalnego. Bez wątplenia obywatele Hazen i Ridder będą starali się przekonać go, już po raz ostatni, aby wybrał Medicine Creek. Ponieważ Chauncy jutro stąd wyjeżdża, chciałbym przedtem zadać mu kilka pytań.

— Uważa pan, że jest w to zamieszany?

— Jak już wspomniałem, staram się trzymać moją zdolność dedukcji na wodzy i pani radzę to samo.

— Naprawdę sądzi pan, że tam będą? Po tym, co się stało w kościele?

— Chauncy'ego nie było w kościele. Może nie wiedzieć o całym zajściu. Niezależnie od tego szeryf i pan Ridder będą starali się dać mu do zrozumienia, że nic się nie stało. Aby go uspokoić, gdyby zaszła taka potrzeba.

— W porządku. — Corrie wrzuciła wsteczny. — Już się robi.

Choć bardzo ją korciło, Corrie zachowywała dozwoloną prędkość przez całą drogę powrotną do Medicine Creek. Nie minęło wiele czasu, gdy zatrzymała gremlina na wielkim parkingu przy kręgielni. Nie uszło jej uwagi, że parking był prawie pusty. Cóż, to przecież Medicine Creek, tu pustka stanowiła rzecz całkiem normalną.

Pendergast dał jej znak, aby go poprowadziła, i ruszyli w stronę przeszklonego wejścia do Castle Clubu. Wewnątrz przy stoliku zajmowanym zwykle przez Riddera siedzieli Chauncy, Ridder i Hazen. Poza nimi w lokalu nie było innych gości. Wszyscy trzej spojrzeli na nowo przybyłych.

Hazen wstawszy, pospiesznie podszedł do agenta i dziewczyny.

— O co tym razem chodzi, Pendergast? — spytał cichym tonem. — Mamy ważne spotkanie w interesach.

— Przepraszam, że przeszkodziłem w lunchu — odparł łagodnym tonem agent. — Mam kilka pytań do doktora Chauncy'ego.

— Nie teraz.

— Raz jeszcze przepraszam. — Pendergast wyminął szeryfa. Corrie pospieszyła za nim.

Gdy podeszli do stolika, Corrie zauważyła, że Art Ridder także się podniósł z gniewnym, lodowatym uśmiechem na gładkiej, pucołowatej twarzy.

— O, agent specjalny Pendergast — powiedział sztucznie przyjaznym tonem. — Miło mi pana widzieć. Jeżeli chodzi panu o... tę sprawę... za chwilę będziemy do pańskiej dyspozycji. Chcemy jeszcze zamienić kilka słów z doktorem Chauncym.

— Przyszedłem tu właśnie po to, aby się z nim zobaczyć. —

Pendergast wyciągnął rękę. — Nazywam się Pendergast.

Chauncy, któremu nie udało się wstać, lekko uściśnął podsuniętą w jego stronę dłoń.

— Już pamiętam, to pan odmówił zwolnienia dla mnie pokoju.

Uśmiechnął się, ale w jego oczach kryła się irytacja.

— Jak rozumiem, doktorze Chauncy, zamierza nas pan jutro opuścić?

— Właściwie jeszcze dziś — odparł Chauncy. — Ogłoszenie wyników odbędzie się w KSU.

— Wobec tego mam do pana kilka pytań.

Chauncy starannie złożył serwetkę, zrobił to wolno, z namaszczeniem, po czym odłożył ją obok talerza z niedojedzoną porcją gulaszu z ziemniakami.

— Przykro mi, ale już jestem spóźniony. Będziemy musieli odłożyć to na kiedy indziej. — Wstał i włożył marynarkę.

— Obawiam się, że to nie wchodzi w grę, doktorze Chauncy. Chauncy odwrócił się i spojrzał na agenta zuchwale.

— Jeżeli chodzi o zabójstwa, nic o nich nie wiem. Jeżeli zaś o eksperymentalne pole, to wykracza to poza pańskie kompetencje, agencje federalny, pańskie i pana pomocnicy. — Zerknął z ukosa na Corrie. — Za pozwoleniem...

Pendergast znów się odezwał, jeszcze łagodniej niż dotychczas.

— To ja oceniam, komu mam zadać kilka pytań, a komu nie i czy jest to w ogóle konieczne.

Chauncy sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął z niej portfel i wyłuskał zeń wizytówkę. Podał ją Pendergastowi.

— Zna pan procedurę. Odmawiam odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania, chyba że w obecności mojego adwokata.

Pendergast uśmiechnął się.

— Oczywiście. Jego nazwisko? Chauncy zawahał się.

— Dopóki nie poda mi pan nazwiska i numeru telefonu swego adwokata, będę zmuszony rozmawiać wyłącznie z panem — wyjaśnił agent FBI. — Tak jak pan powiedział, procedura.

— Proszę posłuchać, panie Pendergast... — zaczął Art Ridder. Chauncy wyrwał wizytówkę z dłoni agenta i napisał coś na odwrocie. To uczyniwszy, ponownie mu ją oddał.

— Dla pańskiej informacji, agencie Pendergast, prowadzę obecnie bardzo ważną misję z ramienia Wydziału Rolnictwa KSU w Kansas, a w istocie chodzi wyłącznie o los wszystkich głodujących ludzi tego świata. Nie dam się wciągnąć w miejscowe śledztwo w sprawie paru ponurych morderstw. — Odwrócił się. — Panowie. Dziękuję za lunch. — Powiedział to w taki sposób i tak zaakcentował poszczególne słowa, że zabrzmiały one raczej jak obelga niż komplement.

Zanim jednak Chauncy skończył mówić, Pendergast wyjął z kieszeni marynarki komórkę i wybrał numer. Było to na tyle niespodziewane posunięcie, że wszyscy na chwilę zamarli w bezruchu. Chauncy również.

— Pan Blutter? — spytał Pendergast, zerkając na wizytówkę Chauncy'ego. — Mówi agent specjalny Pendergast z Federalnego Biura Śledczego.

Chauncy zasepił się.

— Jestem obecnie w Medicine Creek z pańskim klientem, Stantonem Chauncym — ciągnął Pendergast. — Chciałbym mu zadać kilka pytań w

związku z zabójstwami, jakie miały tu miejsce. Mamy dwa wyjścia. Albo zrobimy to tu i teraz, dobrowolnie, albo w terminie późniejszym na urzędowe wezwanie wystosowane przez sędziego. Doktor Chauncy czeka na pańską poradę w tej sprawie.

Podał telefon Chauncy'emu. Ten schwycił kurczowo aparat.

— Blutter?

Zapadła długa cisza, aż nagle Chauncy wybuchnął:

— Blutter, toż to zwykłe nękanie! Narobi tylko brudów KSU. Nie mogę sobie pozwolić na negatywną kampanię. Mamy tu delikatną sytuację, nie czas...

Znów zapanowała cisza. Oblicze Chauncy'ego poczerwieniało.

— Blutter, do cholery, nie zamierzam gadać z tym gliną... I kolejna chwila ciszy.

A potem:

— Chryste! — Przerwał połączenie i niemal odrzucił komórkę Pendergastowi. — W porządku — mruknął. — Ma pan dziesięć minut.

— Dziękuję, ale potrwa to tyle, ile będzie trzeba. Moja wielce utalentowana pomocnica będzie sporządzać notatki. Panno Swanson?

— Co? Ach, tak. — Corrie zaniepokoiła się, gdyż zostawiła swój notes w samochodzie. Nagle jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w dłoni Pendergasta pojawił się notatnik i pióro. Wzięła je i przekartkowała notes tak nonszalancko, jakby robiła to codziennie.

Ridder znów się odezwał.

— Hazen? Będiesz tak stał i pozwolisz na tę samowolę? Hazen spojrział na Riddera z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

— A co twoim zdaniem miałbym zrobić?

— Powstrzymaj tę farsę. Ten agent FBI wszystko popsuje.

— Dobrze wiesz, że nie mogę tego zrobić — odpowiedział półgłosem Hazen.

Odwrócił się do Pendergasta i milczał z wyrazem obojętności na twarzy.

Corrie знаła jednak Hazena na tyle dobrze, że wiedziała, iż była to tylko maska.

Pendergast odezwał się radośnie do Chauncy'ego.

— Proszę powiedzieć, doktorze Chauncy, kiedy po raz pierwszy wzięto Medicine Creek pod uwagę jako potencjalne miejsce założenia nowego eksperymentalnego pola uprawnego?

— Wyłoniono je po dokonaniu gruntownej analizy komputerowej. W kwietniu zeszłego roku — odparł monotonnym głosem Chauncy.

— Kiedy po raz pierwszy odwiedził pan to miasto?

— W czerwcu.

— Czy kontaktował się pan wówczas z kimś z tego miasta?

— Nie. To był tylko rekonesans.

— Co zatem w ogóle pan tu robił? Czym konkretnie się pan zajmował?

— Nie rozumiem... Pendergast podsunął mu telefon.

— Wystarczy wcisnąć „redial” — rzucił pogodnie.

Chauncy z trudem opanował wściekłość.

— Zjadłem lunch w Maisie's Diner.

— I?

— I co? To był najgorszy lunch, jaki miałem nieszczęście spożyć.

— A potem?

— Dostałem rozstroju żołądka.

Zanim zdążyła się pohamować, Corrie wybuchnęła śmiechem. Ridder i

Hazen wymienili spojrzenia, nie wiedząc, jak powinni zareagować.

Na ustach Chauncy'ego wykwitł ponury uśmiech, najwyraźniej mężczyzna odzyskiwał wewnętrzną równowagę, choć wciąż brakowało mu dawnej arogancji. Podjął swój wywód.

— Dokonałem inspekcji pola będącego własnością Buswell Agricon, spółki rolniczej, która jest naszym partnerem w tym przedsięwzięciu.

— Gdzie?

— Nad strumieniem.

— Gdzie konkretnie?

— Obszar piąty, pasmo pierwsze, północno-wschodni kwadrat sektora dziewiątego.

— Na czym polegała rzeczona inspekcja? Jak się pan tam poruszał?

— Pieszo. Pobrałem próbki ziemi, kukurydzy i parę innych.

— To znaczy?

— Wody. Roślin. Owadów. Próbkę naukowe. To rzeczy, których pan nie zrozumie, panie Pendergast.

— Którego konkretnie dnia to było?

— Musiałbym zajrzeć do swego kalendarzyka. Pendergast zaplótł ręce na piersiach i czekał.

Doktor Chauncy skrzywił się, sięgnął do kieszeni, wyjął kalendarzyk i przekartkował.

— Jedenastego czerwca.

— Czy zauważył pan coś niezwykłego? Nietypowego?

— Jak już wspomniałem, nic takiego nie zaobserwowałem.

— Proszę powiedzieć, na czym właściwie będą polegały eksperymenty prowadzone na tym nowym polu?

Chauncy wyprężył się jak struna.

— Proszę wybaczyć, panie Pendergast, ale te naukowe koncepcje są zbyt skomplikowane, aby mógł je pojąć laik. Dalsze odpowiadanie na pytania dotyczące tych spraw uważam za bezcelowe.

Pendergast uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Cóż, może zatem spróbowałby pan wyjaśnić mi to w możliwie najprostszy sposób, tak by zrozumiał to nawet tępy półgłówek.

— Mógłbym chyba spróbować. Otóż staramy się opracować szczep kukurydzy do produkcji biopaliwa, wie pan, co to takiego?

Pendergast pokiwał głową.

— Potrzebujemy szczepu o wysokiej zawartości skrobi i w dodatku takiego, który będzie produkował naturalny pestycyd, dzięki czemu unikniemy konieczności stosowania pestycydów zewnętrznych. Tylko tak mogę to wytłumaczyć, prościej już się nie da. Każdy, nawet tępy półgłówek, powinien to zrozumieć. Mam nadzieję, że nadaża pan za mną, panie Pendergast. — Uśmiechnął się z przekąsem.

Pendergast wychylił się lekko do przodu, jego twarz przybrała pusty, tępy wyraz. Agent przypominał Corrie kota szykującego się do skoku.

— Doktorze Chauncy, a jak zamierzał pan zapobiec krzyżowaniu gatunków? Gdyby pański zmodyfikowany genetycznie szczep zmieszał się z tym morzem kukurydzy dokoła, nie udałoby się już zamknąć tego dzina z powrotem do butelki.

Chauncy wydawał się zdezorientowany.

— Stworzymy strefę buforową, zaorzemy pas ziemi o szerokości trzydziestu metrów pomiędzy plantacją kukurydzy zwykłej a zmodyfikowanej.

— Mimo to Addison i Markham w artykule z czerwca 2002, opublikowanym na łamach „Journal of Biomechanics” stwierdzili, że istnieją dowody na występowanie krzyżówek dokonywanych przez zmodyfikowaną genetycznie kukurydzę w odległości sięgającej nawet kilku kilometrów od granic pola eksperymentalnego. Z pewnością zna pan ten artykuł, doktorze Chauncy? Addison i Markham, kwiecień...

— Znam go! — rzucił Chauncy.

— Musi pan zatem znać także prace Engelsa, Traumeraiia i Greena, którzy wykazali, że szczep 3PJ-5 genetycznie zmodyfikowanej rośliny uprawnej produkuje pyłek zabójczy dla monarcha, gatunku dużego tropikalnego motyla. Nawiasem mówiąc, czy pracuje pan właśnie ze szczepem 3PJ?

— Owszem, ale przypadki śmierci motyli występują jedynie wówczas, gdy skupienie wyniesie więcej niż sześćdziesiąt ziaren pyłku na milimetr kwadratowy...

— Skupienie to występuje na obszarze minimum trzystu metrów w każdą stronę od granicy pola eksperymentalnego, zgodnie z tym, co na podstawie badań na uniwersytecie w Chicago napisano w artykule opublikowanym w „Proceedings of the Third Annual”...

— Znam ten cholerny artykuł! Nie musi mi go pan cytować!

— To świetnie, doktorze Chauncy. Pytam zatem raz jeszcze — jak zamierza pan zapobiec krzyżowaniu roślin i jak zamierza pan ochronić miejscową populację motyli?

— O to właśnie chodzi w tym eksperymencie, Pendergast! To są problemy, które staramy się rozwiązać...

— Zatem Medicine Creek ma być w istocie świnką morską, na której

chcecie testować potencjalne rozwiązania tych problemów?

Chauncy przez chwilę nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Wyglądał, jakby miał dostać ataku apopleksji. Zdaniem Corrie przegrał na całej linii.

— Czemu miałbym tłumaczyć się z mojej jakże ważnej pracy jakiemuś... pieprzonemu glinie?

Zapadła cisza. Chauncy ciężko oddychał, pot ściekał mu z czoła, widać też było ciemne plamy formujące się pod pachami jego marynarki.

Pendergast odwrócił się do Corrie.

— Chyba nic tu po nas. Zapisała pani wszystko, panno Swanson?

— Słowo w słowo, włącznie z „pieprzonym gliną” na samym końcu.

Zamknęła z trzaskiem notes, wsunęła pióro do skórzanego futerału przy notatniku, po czym uśmiechnęła się promiennie do trzech mężczyzn siedzących przy stole.

Pendergast skinął głową i odwrócił się, by odejść.

— Pendergast — rzucił Ridder. Głos miał cichy i bardzo lodowaty.

Na widok wyrazu jego twarzy Corrie mimowolnie zadrżała. Pendergast przystanął.

— Słucham?

Oczy Riddera zalśniły jak bryłki miki.

— Przeszkodził pan nam w lunchu i zdenerwował naszego gościa. Czy nie powinien pan powiedzieć mu czegoś jeszcze, na odchodne?

— Nie sędzę. — Pendergast zamyślił się przez chwilę. — No, chyba że pozwolę sobie z tej okazji zacytować Einsteina: „Jedyną rzeczą groźniejszą od niewiedzy jest arogancja”. A doktorowi Chauncy'emu mogę tylko powiedzieć, że połączenie tych dwóch cech wydaje się jeszcze

groźniejsze.

Corrie i Pendergast przeszli przez zacienioną alejkę przy kręgielni i wyszli na skąpany w słońcu parking.

Gdy wsiedli do samochodu, nie mogąc się już dłużej powstrzymać, Corrie wybuchnęła śmiechem.

Pendergast spojrział na nią.

— Rozbawiona?

— Pewno, że tak. Ale dał pan Chauncy'emu popalić.

— Już po raz drugi słyszę ten ciekawy zwrot. Co on właściwie oznacza?

— To oznacza, że zrobił pan z niego głupca. Pokazał mu pan, jaki z niego dureń.

— Gdybyż tak było... O Chauncym i jemu podobnych można powiedzieć wiele, ale na pewno nie to, że są głupcami, i właśnie przez to są jeszcze bardziej niebezpieczni.

TRZYDZIEŚCI

Była już dziewiąta, kiedy Corrie wróciła do Wyadham Parke Estates, osiedla przyczep za kręgielnią, gdzie mieszkała z matką. Po odwiezieniu Pendergasta pojechała jeszcze do swojej sekretnej czytelnicy przy drodze do elektrowni, aby zabić czas. Kiedy jednak zaszło słońce, ogarnął ją narastający niepokój i postanowiła pojechać do domu.

Ostrożnie otworzyła rozchybotane frontowe drzwi i zamknęła je za sobą bezgłośnie, ta umiejętność była efektem wieloletnich ćwiczeń. O tej porze matka powinna spać jak zabita. Była niedziela, matka miała dzień wolny i zapewne od bladego świtu zaglądała do butelki. Mimo to ostrożności nigdy za wiele.

Dziewczyna wślizgnęła się do kuchni. Przyczepa nie była klimatyzowana i wewnątrz panowała straszna duchota. Otworzyła kredens, wyjęła paczkę płatków Cap'n Crunch, miseczkę i napełniła ją powoli. Następnie zalała płatki mlekiem wydobytym z lodówki i zaczęła pałaszować. Boże, ależ była głodna. Dopiero po drugiej porcji poczuła się najedzona.

Po cichu umyła miseczkę, wytarła ją i odstawiła na miejsce, podobnie jak mleko i płatki, usuwając wszelkie dowody swej obecności. Jeśli jej matka faktycznie odpłynęła, Corrie mogła jeszcze z godzinkę lub dwie pograć w Resident Evil na swoim nintendo, zanim się położy. Zdjęła buty i ruszyła chyłkiem przez korytarz.

— Corrie?

Zamarła w bezruchu. Co się stało? Czemu jej matka wciąż była na nogach? Ochrypli głos dochodzący z sypialni nie wróżył niczego dobrego.

— Corrie, wiem, że to ty.

— Słucham, mamó. — Starła się nadać swemu głosowi możliwie jak najzwyczajniejszy ton.

Cisza. Boże, ależ w tej przyczepie było gorąco. Zastanawiała się, jak jej matka może przesiadywać tu całymi dniami w tej duchocie i upale, pocąc się jak szczur i pociągając z butelki. Na samą myśl zrobiło się jej smutno.

— Chyba masz mi coś do powiedzenia, młoda damo — rozległ się zduszony głos.

— O czym? — Corrie starała się, by w jej głosie zabrzmiała nuta radości i nonszalancji.

— O swojej nowej pracy.

Corrie poczuła, że serce zamiera jej w piersi.

— To znaczy?

— No... sama nie wiem... ale przecież jestem twoją matką i choćby tylko z tego powodu powinnam wiedzieć, co się dzieje w twoim życiu.

Corrie chrząknęła.

— Czy możemy pomówić o tym rano?

— Porozmawiamy o tym już teraz. Musisz mi coś wyjaśnić.

Corrie zastanawiała się, od czego powinna zacząć. Niezależnie, co wybierze, cała sprawa i tak zabrzmiała dziwnie, żeby nie powiedzieć podejrzanie.

— Pracuję dla agenta FBI, który bada sprawę tych zabójstw.

— Słyszałam.

— A więc już o tym wiesz. Parsknięcie.

— Ile ci płaci?

— To nie twoja sprawa, mamó.

— Doprawdy? Nie moja sprawa? Myślisz, że możesz tu sobie mieszkać za darmo, jeść za darmo, przychodzić i wychodzić jak w jakimś hotelu? Tak ci się wydaje?

— Większość dzieciaków mieszka z rodzicami, nie płacąc za to ani grosza.

— Ale nie kiedy podejmują dobrze płatną pracę. Wówczas dzielą się zarobkami z rodzicami.

Corrie westchnęła.

— Zostawię ci trochę pieniędzy na stole w kuchni.

Ile mogły kosztować płatki? Nie pamiętała nawet, kiedy jej matka ostatni raz była na zakupach albo ugotowała obiad, zwykle przynosiła do domu przekąski z kręgielni, gdzie pracowała w tygodniu jako kelnerka. Przekąski i te miniaturowe butelki wódki. Na to właśnie szły wszystkie pieniądze, na wódkę.

— Wciąż czekam na twoją odpowiedź, młoda damo. Ile ci płaci? Sądzę, że raczej niewiele.

— Mówiłam już, to nie twoja sprawa.

— Nic nie umiesz. Ile mogą być warte twoje usługi? Nie piszesz na komputerze, na sekretarkę też się nie nadajesz, nie wyobrażam sobie, po co cię w ogóle wynajął.

Corrie wybuchnęła.

— On uważa, że jestem coś warta. A dla twojej wiadomości, płaci mi siedem i pół stówy tygodniowo. — Ledwie to powiedziała, już uświadomiła sobie, że popełniła poważny błąd.

Zapadła krótka chwila ciszy.

— Powiedziałaś siedemset pięćdziesiąt dolarów na tydzień?

— Zgadza się.

— I co ty właściwie robisz za te pieniądze?

— Nic.

Boże, dlaczego pozwoliła się matce sprowokować i wdała się w tę dyskusję?

— Nic? Nic?

— Jestem jego asystentką. Sporządzam notatki. Jestem jego kierowcą.

— Co ty wiesz o pracy asystentki? Kim jest ten człowiek? Ile ma lat? Jesteś jego kierowcą? Wozisz go? Swoim samochodem? Za siedemset pięćdziesiąt dolarów tygodniowo?

— Tak.

— Masz umowę?

— No... nie.

— Nie masz umowy? Czy ty naprawdę jesteś aż tak głupia? Corrie, naprawdę sądzisz, że ci zapłaci siedemset pięćdziesiąt dolarów? Niby za co? A może ty dobrze wiesz za co, czy o to właśnie chodzi? Nic dziwnego, że mnie okłamujesz, ukrywając przede mną tę intratną fuchę. Wyobrażam sobie, co naprawdę musisz dla niego robić, młoda damo.

Corrie zatkała uszy dłońmi. Gdyby tylko mogła wyjść stąd, wsiąść do samochodu i odjechać. Jak najdalej stąd. Nieważne dokąd. Dokądkolwiek. Mogłaby przespać się w aucie nad brzegiem strumienia. Tylko że za bardzo się bała. Zapadł już zmierzch. Noc była niebezpieczna. Nocą po okolicy grasował zabójca.

— Mamo, to nie to, o czym myślisz, naprawdę. Uwierz mi, dobra?

— Żadne „dobra”. Jesteś licealistką, w dodatku zepsutą i rozwydrzoną. Nie jesteś warta funta kłaków, a co dopiero siedem i pół stówy na tydzień.

Corrie, ja też wiem co nieco o świecie. Znam się na tych sprawach. I na mężczyznach. Wiem, czego chcą i jak rozumują. Wiem, jacy to popaprańcy. Spójrz na swego ojca, który wziął tyłek w troki i zostawił mnie, zostawił nas obie. Nigdy nie przysłał na twoje wychowanie złamanego centa. Ten człowiek nie był nic wart, absolutnie nic. I mogę stwierdzić z całą stanowczością, że ten twój pracodawca nie jest agentem FBI. Który agent FBI zatrudniłby sprawiającą kłopoty wychowawcze nastolatkę z całą listą wykroczeń na koncie? Nie okłamuj mnie, Corrie.

— Nie kłamię.

Gdyby tylko mogła wynieść się stąd. Choćby na tę noc. Ale tej nocy całe miasto wydawało się kompletnie wymarłe. To efekt tego, co wydarzyło się w kościele. W drodze powrotnej do domu nielecho się wystraszyła. Wszystkie domy były pozamykane na głucho. A przecież dopiero minęła dziewiąta.

— Jeśli to ma trwać dłużej, przyprowadź go tutaj. Chcę go poznać.

— Prędzej umrę, niż pozwolę, by zobaczył ten chlew! — wrzasnęła Corrie przepełniona niepoohamowaną, gorejącą wściekłością. — Albo ciebie!

— Nie waż się tak do mnie mówić, młoda damo!

— Idę do łóżka!

— Ani mi się waż odchodzić, kiedy do ciebie mówię... Corrie weszła do swego pokoju i z trzaskiem zamknęła drzwi.

Pospiesznie nałożyła słuchawki i włączyła kompakt w nadziei, że Cryptopsy zagłuszą do reszty gniewny głos matki, przesączaający się przez ścianę. Wątpliwe, żeby jej matce zachciało się wstać z łóżka. To oznaczało nieprzyjemny ból głowy. W końcu zmęczy się tymi krzykami i jeśli Corrie

dopisze szczęście, rano nie będzie nawet pamiętać tej rozmowy. Choć kto wie, może wcale o niej nie zapomni. Wydawała się dziwnie trzeźwa.

Zanim przebrzmiały grzmiące, hałaśliwe dźwięki ostatniej piosenki, w przyczepie zapanowała cisza. Corrie zdjęła słuchawki i podeszła do okna, by napełnić płuca nocnym powietrzem. W ciemnościach grały świerszcze. Do pokoju wpłynęła mieszanina zapachów nocy, kukurydzy, pola rozciągającego się tuż za parkiem przyczep i parnego żaru. Na zewnątrz było bardzo ciemno, latarnie przy parkingu już dawno przestały działać i nikt nie kwapił się, by je naprawić. Przez chwilę wpatrywała się w mrok, ocierając z oczu bezgłośnie płynące łzy, po czym w ubraniu położyła się na łóżku i raz jeszcze puściła od początku tę samą płytę. „Spójrz na swojego ojca” — powiedziała jej matka. „Ten człowiek nie był nic wart, absolutnie nic”. Jak zawsze Corrie starała się o nim nie myśleć. Rozmyślanie o ojcu zawsze ją przygnębiało. Sprawiało jej jeszcze większy ból, ponieważ wbrew temu, co twierdziła matka, z jego osobą miała wyłącznie same miłe wspomnienia. Dlaczego odszedł? Czemu tak nagle zniknął z jej życia? Dlaczego nigdy nie napisał, nie wyjaśnił, choćby w krótkim liście, powodów swojej decyzji? Może naprawdę nie była nic warta, do niczego się nie nadawała, nie zasługiwała na miłość, co matka powtarzała jej po wielokroć.

Podkreśliła dźwięk, usiłując odegnać od siebie niepokojące myśli. Jeszcze rok. Tylko jeden rok. Gdy tak leżała na łóżku w samym środku wymierającego miasteczka, zapomnianego zarówno przez Boga, jak i ludzi, kolejny rok w tej miejscinie wydawał się jej wiecznością. Ale rzecz jasna wytrzyma. To przecież tylko rok. Kto jak kto, ale ona da radę... Nawet ona...

Obudziła się pośród czerni. Świerszcze przestały grać, zrobiło się całkiem cicho. Usiadła, zdejmując słuchawki, z których nie płynął już żaden dźwięk.

Coś ją obudziło. Ale co? Sen? Nie, nic jej się nie przyśniło, a w każdym razie nic, co zdołałaby zapamiętać. Czekwała, nasłuchując.

Nic.

Wstała i podeszła do okien. Zza chmur na moment wyłonił się blady sierp księżyca, ale zaraz znowu zniknął. Na horyzoncie rozbłysła cicha błyskawica, żółte mętne iskierki rozcięły mrok nocy. Serce Corrie zabiło żywszym rytmem, nerwy miała napięte do granic wytrzymałości.

Dlaczego? Może to przez tę mroczną muzykę, przy dźwiękach której usnęła.

Podeszła do otwartego okna. Nocne powietrze wypełnione wonią pól, lepkie i parne, wpłynęło do pomieszczenia. Było ciemno choć oko wykol. Poza czarną sylwetką sąsiedniej przyczepy dostrzegła jedynie mrok odległych pól i pojedynczą, samotną gwiazdę.

Usłyszała jakiś dźwięk. Sapnięcie.

Czy to jej matka? Nie. Dźwięk wydawał się dochodzić z zewnątrz. Z ciemności.

Kolejne sapnięcie, zupełnie jakby ktoś miał katar i ciekło mu z nosa.

Wyteżyła wzrok, usiłując przeniknąć nim spłachetki cieni zalegających wokół przyczepy. Ulica opodal przywodziła na myśl czarną rzekę. Spróbowała raz jeszcze, wyteżając wszystkie zmysły. Była czujna, ożywiona. I nagle tam, przy żywopłocie ciągnącym się wzdłuż ulicy... czy tylko się jej zdawało, czy dostrzegła tam jakieś poruszenie? Kształt? A może to tylko sztuczki jej wybujałej wyobraźni?

Uniosła rękę do okna i spróbowała je zamknąć, lecz ono jak zawsze się zacięło. Szarpnęła mocno w przód i w tył, usiłując je odblokować. Czuła narastającą panikę.

Znów usłyszała nosowe sapnięcie, które skojarzyło się jej z zia-janiem jakiegoś wielkiego zwierzęcia. Dochodziło z bardzo bliska. Nasłuchując, na chwilę zastygła w bezruchu, zaraz jednak w przyływie nagłej paniki podwoiła wysiłki w celu zamknięcia okna, niewiele brakowało, aby dopięła swego, i przez chwilę macała na oślep w poszukiwaniu taniej, aluminiowej zasuwki. Tam, na zewnątrz, coś się poruszało. Czuła to coś, wyczuwała to, a teraz, tak, teraz już na pewno, nie miała co do tego wątpliwości, zdołała to dostrzec — zgarbiony, zdeformowany, zniekształcony cień, wielką czarną masę na tle czerni, skradającą się bezgłośnie w jej stronę.

Instynkt wziął nad nią górę i odsunęła się, przerywając dalsze próby zamknięcia okna, aby zapalić światło i rozproszyć gęstniejący mrok. Sięgnęła ręką w bok, strącając kompakt na podłogę, ale znalazła włącznik światła. Przekręciła go.

W pokoju natychmiast zrobiło się jasno, okno zmieniło się w nieprzejrzysty prostokąt czerni. Usłyszała nagłe stęknienie, głuche łupnięcie i głośny szelest. Potem zapadła cisza.

Czekała cierpliwie, cofnięta o kilka kroków od poczerniałego okna. Jej ciałem wstrząsały dreszcze, których nie była w stanie opanować, w gardle miała sucho. Nie widziała już niczego na zewnątrz. Czy to stało teraz w oknie i patrzyło na nią? Upłynęła minuta, potem jeszcze jedna i następna. Wreszcie z pewnej odległości dobiegł ją dziwny dźwięk, ni to kasznięcie, ni to jęk; bardzo cichy, lecz przepełniony bólem i trwogą do tego stopnia,

że odgłos ten zmroził jej krew z żyłach. Dźwięk urwał się nagle, zastąpiony dziwnym, wilgotnym trzaskiem, po którym nastąpił głośny plusk, jakby ktoś rozlał na ulicy wiadro wody. I znów zapadła cisza. Głucha, niczym niezmacona cisza. Nie wiedzieć czemu, ta cisza była jeszcze gorsza niż słyszalne wcześniej dźwięki. W gardle Corrie z wolna zaczął rodzić się krzyk.

Nagle, zgoła nieoczekiwanie, rozległ się suchy trzask, zduszony bulgot i przeciągły syk, który stopniowo przerodził się w cichy, regularny szum.

Odetchnęła z ulgą, jej ciało w jednej chwili się rozluźniło. To tylko włączyły się zraszacze trawników u pana Dacle'a. Zawsze włączały się automatycznie. Każdej nocy o tej samej porze, punktualnie o drugiej. Spojrzała na zegarek i faktycznie była druga w nocy. Ile razy słyszała, aby zraszacze wydawały takie dźwięki — świsty, trzaski, bulgoty i przeciągłe rżenia, zanim się włączą? Jej wyobraźnia znów dawała o sobie znać. Chyba wyrabiała nadgodziny.

W sumie to nic dziwnego, zważywszy na to, co działo się w mieście... i co miała okazję ujrzeć wraz z Pendergastem na polach kukurydzy.

Wróciła do okna i z pewną nieśmiałością, trwożliwie sięgnęła w stronę zasuwki. Tym razem wystarczyło jedno zdecydowane szarpnięcie, aby okno się zatrzasnęło. Zamknęła je na zasuwkę, położyła się do łóżka i zgasiła światło.

Szum zraszaczy przesączał się przez szybę, odgłosy przypominające ulewę brzmiały niczym najlepsza kołysanka. Mimo to sen na dobre ponownie ogarnął ją dopiero dwie godziny później.

TRZYDZIEŚCI JEDEN

Tad przeturlał się tak mocno, że aż spadł z łóżka. Dźwignął się chwiejnie na kolana, przesunął dłonią po twarzy, po czym sięgnął ręką do telefonu. Odnalazł słuchawkę, podniósł i niepewnym ruchem przyłożył do ucha.

— Halo? — wybełkotał. — Halo? — Przez ciężkie od snu żaluzje rzęs zauważył, że za oknem sypialni wciąż było ciemno, na niebie nadal migotały gwiazdy, jedynie horyzont od wschodu z wolna zaczynał jaśnieć.

— Tad? — To był Hazen i sądząc po głosie, wcale nie był zaspany. —

Jestem na Fairview, przy wejściu do Wyndham Parke. Potrzebuję cię tutaj. Masz dziesięć minut.

— Szeryfie? — Ale w słuchawce już panowała cisza. Tad był na miejscu już po pięciu minutach.

Choć słońce jeszcze nie wzeszło, na Fairview zebrał się niemały tłumek ubranych w szlafroki i podomki ludzi z pobliskiego osiedla przyczep. Wszyscy byli dziwnie milczący. Hazen też tam był, na środku ulicy, rozciągając żółtą policyjną taśmę i rozmawiając przez komórkę przytrzymywaną między zuchwą a barkiem. Nieco z boku stał również agent Pendergast. Szczupły i niemal niewidzialny w swoim czarnym garniturze. Zastępca szeryfa rozejrzał się wokoło, czując w żołądku osobliwy niepokój. Ale jak okiem sięgnąć, nie było żadnego ciała, żadnych nowych ofiar, jedynie bryłowata, nieregularna sterta czegoś, co wałało się pośrodku ulicy. Obok niej leżał płócienny, pękaty, wypełniony czymś worek. Niepewność ustąpiła miejsca niepohamowanej uldze. Wyglądało na to, że mieli do czynienia z kolejnym zwierzęciem. Zastanawiał się, po co był ten cały pośpiech. Gdy podszedł bliżej, Hazen zatrzasnął klapkę swego telefonu.

— Cofnąć się! Cofnijcie się wszyscy! — krzyknął, odganiając tłum i machając energicznie dłonią, w której trzymał telefon. — Tad! Zajmij się taśmą i zmuś tych ludzi, żeby się choć trochę cofnęli!

Tad pospiesznie ruszył naprzód i przejął od szeryfa koniec taśmy. Równocześnie jego wzrok padł na walającą się na środku ulicy stertę. Błyszczała czerwonawo, perliście i parowała w słabym świetle przedświt. Czym prędzej odwrócił wzrok, gwałtownie przełykając ślinę.

— W porządku, ludziska — zaczął policjant, ale jego głos nie brzmiał

normalnie, toteż przerwał i ponownie przełknął ślinę. — No dobra, ludzie, cofnijcie się. Jeszcze trochę. Jeszcze bardziej. Proszę.

Tłum cofnął się w milczeniu, twarze ludzi w półmroku wydawały się blade. Tad rozciągnął plastikową taśmę w poprzek drogi i przymocował ją do drzewa, owijając je kilka razy, a tym samym zamykając kwadrat wytyczony przez Hazena. Zauważył, że Hazen rozmawiał z tą małą punkową, Corrie Swanson. Pendergast stał obok niej bez słowa. Z tyłu stała jej matka, wyglądała jak zawsze fatalnie, cienkie, brązowe włosy zdawały się przyklejone do jej czaszki, otulał ją szczelnie postrzępiony i mocno poplamiony różowy szlafrok. Odpalała jednego virgina slima od drugiego.

— Mówisz, że coś słyszałaś? — powtórzył Hazen. W jego głosie brzmiała nuta niedowierzania, ale mimo wszystko przez cały czas robił notatki.

Corrie była blada, rozdygotana, ale jej wargi zwały się w wąską, zaciętą kreskę, a oczy lśniły wewnętrznym blaskiem.

— Obudziłam się. To było tuż przed drugą...

— Skąd wiesz, która była wtedy godzina?

— Spojrzałam na zegarek.

— Mów dalej.

— Coś mnie obudziło. Nie byłam pewna co. Podeszłam do okna i właśnie wtedy usłyszałam ten dźwięk.

— Jaki dźwięk?

— Coś jakby sapanie.

— Psa?

— Nie. Raczej człowieka... kogoś mocno zakatarzonego, z zapchanym

nosem.

Hazen wciąż sporządzał notatki.

— Mów dalej!

— Odniosłam wrażenie, że coś tam jest, coś się porusza, tuż pod moim oknem, ale nie mogłam tego dostrzec. Było zbyt ciemno. Zapaliłam światło. I wtedy usłyszałam inny odgłos, jak gdyby jęk.

— Ludzki? Corrie zamrugła.

— Trudno powiedzieć.

— Co było dalej?

— Zamknęłam okno i wróciłam do łóżka.

Hazen opuścił trzymany w dłoni notes i spojrzał na nią.

— Nie pomyślałaś o tym, aby zadzwonić do mnie lub do swego... ee... szefa? — Skinął na Pendergasta.

— No bo... pomyślałam, że to pewnie tylko zraszacze, one włączają się co noc około drugiej. I wydają dziwne odgłosy.

Hazen schował notes. Odwrócił się do Pendergasta.

— Niezła ta pańska asystentka, nie ma co. — Następnie zwrócił się do Tada. — W porządku. Powiem ci, co tutaj mamy. Ktoś wyrzucił na drogę stertę flaków. Moim zdaniem to krowie wnętrzności, jest ich zbyt wiele, aby mogły należeć do owcy albo psa. Leżący obok worek jest pełen świeżo zebranej kukurydzy. Chcę, żebyś odwiedził okoliczne farmy hodowlane i popytał, czy z którejś z nich nie zniknęła ostatnio krowa lub może świnia. W każdym razie jakieś duże zwierzę. — Zerknął w stronę Corrie, po czym powrócił wzrokiem do swego zastępcy. Zniżył głos. — Cała ta afera coraz bardziej przywodzi mi na myśl robotę jakiejś sekty.

Ponad ramieniem Hazena Tad widział, jak Pendergast podchodzi i klęka

obok walającej się na drodze sterty trzewi. Agent wyciągnął rękę i choć to mogło się wydawać nie do pomyślenia, szturchnął coś palcem. Policjant odwrócił wzrok. Następnie agent sięgnął ręką i rozchylił brzegi płóciennego worka.

— Szeryfie Hazen? — rzucił Pendergast, nie podnosząc się z klęczek. Hazen właśnie zaczął wybierać numer na komórce.

— Co jest?

— Sugeruję, aby jednak zaczął pan szukać zaginionej osoby. Te słowa sprawiły, że na drodze przez kilka chwil panowała grobowa cisza.

Hazen opuścił telefon.

— Skąd pan wie, że to są... Nie dokończył.

— Krowy raczej nie jadają klopsików Maisie i nie popijają ich piwem.

Hazen postąpił naprzód i oświetlił latarką wielką, lśniącą stertę.

Przełknął gwałtownie ślinę.

— Ale po co zabójca miałby... — Znów przerwał. Twarz miał trupio bladą. — To znaczy po co miałby zabierać ciało, porzucając wszystkie wnętrzności?

Pendergast wstał, wycierając palec wskazujący w śnieżnobiałą, jedwabną chustkę.

— Może po to — odparł posepnym tonem — aby nie musiał tyle dźwigać.

TRZYDZIEŚCI DWA

Była już jedenasta, gdy Tad wrócił w końcu do biura szeryfa. Pot lał mu się z czoła, mundur miał mokry po same mankiety. Zjawił się ostatni, gliniarze z policji stanowej i Hazen, który nadzorował poszukiwanie, przybyli na miejsce przed nim. W gabinecie urządzono sztab dowodzenia, spora grupka glin stanowych rozlokowała się tam, rozmawiając przez komórki i krótkofalówki. Prasa, rzecz jasna, zwietrzyła trop i na ulicy znów pojawił się sznurek furgonów stacji telewizyjnych oraz tłum reporterów i fotografów. Ale na ulicę wylegli tylko oni, wszyscy mieszkańcy pozamykali się w swoich domach. Koło u Wozu było zamknięte na głucho. Zwolniono do domów całą zmianę pracowników z Gro-Bain. Jeśli nie liczyć żadnych sensacji reporterów, Medicine Creek stało się właściwie miastem duchów.

— I jak, udało się? — spytał Hazen, gdy tylko Tad pojawił się w drzwiach.

— Nie.

— Cholera. — Szeryf rąbnął pięścią w stół. — Twój kwadrat był ostatni. — Pokręcił głową. — Trzysta dwadzieścia pięć osób i wszyscy

obecni. Przeszukują Deeper i okoliczne farmy, ale nikt nie zaginął.

— Jest pan pewien, że te wnętrzości były ludzkie?

Hazen spojrział z ukosa na zastępcę, oczy miał zaczerwienione, podkrążone. Tad nigdy jeszcze nie widział szeryfa w takim stresie. Muskularne dłonie mężczyzny zacisnęły się w pięści, kłykcie zbieleły.

— Też się nad tym zastanawiałem. Ale szczątki trafiły obecnie do Garden City i McHyde zapewnia, że są ludzkie. To wszystko, co na razie zdołali ustalić.

Tad poczuł nieprzyjemny ucisk w dołku. Widok klopsika wyłaniającego się z otworu w rozdartych trzewiach i piany piwnej mieszającej się z krwią już na zawsze pozostaną w jego pamięci. Nie powinien był na to patrzeć. Nigdy. Przenigdy.

— Może to był ktoś obcy, kto zjawił się tu przejazdem — wtrącił niemal szeptem. — Kto z miejscowych mógłby być na nogach o tak późnej porze?

— Też o tym pomyślałem. Ale gdzie jest wobec tego samochód?

— Ukryty, jak auto Sheili Swegg?

— Sprawdzaliśmy wszędzie. Od ósmej w powietrzu krąży samolot zwiadowczy.

— Na polu kukurydzy nie ma kręgu?

— Nic. Zero. Żadnych ukrytych aut, kręgów czy porzuconych ciał. Śladów stóp też tym razem nie było. — Hazen otarł czoło wierzchem dłoni i usiadł ciężko.

Trudno było się skupić, obecni w gabinecie gliniarze z policji stanowej strasznie hałasowali, rozmawiając przez komórki i krótkofalówki. Co gorsza, na zewnątrz zgromadził się już tłum reporterów i dziennikarzy z

baterią kamer wymierzoną w ich stronę przez szybę w drzwiach.

— Czy to mógł być wędrowny komiwojazer? — spytał Tad. Hazen skinął głową w stronę gabinetu.

— Stanowi sprawdzają wszystkie motele w okolicy.

— A co z tym workiem kukurydzy?

— Pracujemy nad tym. Chryste Panie, nie wiemy, czy zostawił go zabójca, czy może niosła go ofiara. Ale po co ktoś miałby dźwigać w środku nocy wór kukurydzy? Co więcej, każda kolba była oznakowana i ponumerowana przy użyciu jakiegoś dziwnego szyfru. — Spojrzał w stronę baterii kamer czającej się tuż za drzwiami. Zaczął się podnosić, usiadł i wstał ponownie. — Przynieś mi puszkę białej farby i pędzel ze składziku, dobra?

Tad domyślał się, co zamierzał zrobić Hazen. Kiedy wrócił, szeryf prawie wyrwał mu puszkę z rąk, otworzył ją, zanurzył pędzel w farbie i zaczął zamalowywać szybę.

— Ścierwa — mruczał pod nosem, przesuując dłonią z boku na bok, strużki farby ściekały po szkle i rozlewały się w kałużę na progu. — Dranie. Teraz będziecie mogli sobie kręcić do woli, ciekawe, jak to się wam spodoba.

— Może pomogę... — zaproponował jego zastępca.

Hazen zignorował go jednak i zamaszystymi, zdecydowanymi pociągnięciami pędzla wkrótce zamalował całe drzwi. Następnie włożył pędzel do puszek z farbą, nałożył wieczko i docisnąwszy je, znów usiadł ciężko i zamknął oczy. Na mundurze miał ślady białej farby.

Tad, strapiony, usiadł obok niego. Kanciaste oblicze Hazena miało szarawy odcień, jak mięso zepsutej ryby. Strąki jasnych włosów

przyklepiały mu się do czoła. Na prawej skroni pulsowała żyła.

Nagle oczy szeryfa otwarły się szeroko. To stało się tak szybko, że Tad aż podskoczył.

Usta Hazena rozchyliły się i dobyło się z nich tylko jedno słowo.

— Chauncy!

Około południa szeryf Hazen uznał, że nie zniesie dłużej patrzenia, jak opiekun, Lefty Weeks, użera się z psami. Weeks był jedną z tych osób, które naprawdę potrafiły zszargać Hazenowi nerwy: był niskim mężczyzną o białych rzęsach, wielkich uszach, długiej, cienkiej szyi i czerwonych powiekach, hałaśliwym i nużącym, który nigdy nie przestawał mówić, nawet gdy jego jedynymi słuchaczami była para psów. Powietrze pod topolami było rozgrzane i nieruchome, Hazen czuł pot ściekający mu po czole, karku, pod pachami i po plecach, wypływający ze wszystkich porów ciała, to było okropne. Z powodu tych przeklętych psów nie mógł zapalić, lecz w tym upale nawet nie miał na to ochoty. Coś podobnego.

Dwa psy, skamłąc i płaszcząc się przy ziemi, z podwiniętymi ogonami krążyły w kółko. Hazen spojrzał na Tada, a potem raz jeszcze na psy. Weeks łajał je podniesionym, wysokim głosem, klnąc i bezskutecznie szarpiąc smycze.

Hazen podszedł i wymierzył silnego kopniaka w zad jednego z psów.

— Znajdźcie tego sukinsyna! — krzyknął. — Jazda! Ruszajcie! Pies zaskowyczał i skulił się jeszcze bardziej.

— Za pozwoleniem, szeryfie... — zaczął Weeks, jego uszy zapłonęły jasną czerwienią.

Hazen odwrócił się do niego.

— Weeks, już trzeci raz przyprowadzasz tu psy i wciąż powtarza się to samo.

— Ale kopanie psów nic nam nie da.

Hazen usilnie starał się pohamować swój krewki temperament, w głębi duszy żałował już tego, co zrobił. Gliniarze z policji stanowej patrzyli na niego tępym wzrokiem. Bez wątpienia w myślach uznali go za jeszcze jednego małomiasteczkowego szeryfa, brutala, impertynenta i prymitywa. Przełknął ślinę.

— Lefty, posłuchaj — rzucił łagodniejszym tonem. — To nie żart. Zrób coś, żeby te psy poszły za tropem, albo złożę oficjalną skargę w Dodge.

Weeks wydał wargi.

— Wiem, że złapały trop, po prostu wiem. Ale nie chcą za nim pójść. Hazen poczuł, że znów wzbiera w nim wściekłość.

— Weeks, obiecałeś mi, że tym razem to będą dobre psy, a popatrz tylko, płaszczą się przy ziemi jak pudle przed masti-fem. — Postąpił krok naprzód. Jeden z psów zawarczał groźnie.

— Nie — ostrzegł Weeks.

— Ta suka nie boi się mnie, choć powinna. Spróbuj jeszcze raz.

Weeks wyjął plastikową torebkę zawierającą próbkę zapachową, przedmiot zabrany z miejsca drugiego zabójstwa, i otworzył ją dłońmi w rękawiczkach. Psy zaczęły się cofać, skomlać.

— No dalej, maleńka, dalej — namawiał bezskutecznie Weeks. Psy niemal szorowały brzuchami po ziemi.

Weeks przykucnął, jego rzadka bródka zafalowała, gdy zamachał trzymanym w dłoni plastikowym woreczkiem.

— No dalej, maleńka. Powąchaj! Bierz zapach! Idź zanim! Podsunął

suce torebkę pod nos.

Rozdygotane, kulące się coraz niżej zwierzę oddało mocz na suchy piasek.

— Chryste — jęknął Hazen i odwrócił się. Skrzyżował ramiona i powiódł wzrokiem w stronę strumienia.

Użerali się z psami już od trzech godzin, usiłując nakłonić je, aby poszły za tropem. Nieco dalej, na polach, Hazen widział sylwetki pracujących gliniarzy z policji stanowej. Jeszcze dalej eksperci i technicy na czworakach przeczesywali piaszczysty brzeg strumienia w poszukiwaniu jakichkolwiek, choćby najdrobniejszych śladów. W górze w tę i z powrotem krążyły dwa samoloty obserwacyjne.

Dlaczego nie mogli odnaleźć ciała? Czy zabójca zabrał je ze sobą? Na drogach rozstawiono policyjne blokady, ale zabójca mógł przecież uciec nocą. W ciągu nocy można przejechać spory kawał drogi.

Uniósł wzrok i ujrzał podchodzącego ku niemu Smita Ludwiga z notesem w dłoni.

— Szeryfie, czy mógłbym...

— Smitty, nie możesz tu wchodzić, to zamknięty teren. — Hazen miał już tego dość.

— Nie widziałem żadnej taśmy i...

— Precz stąd, Ludwig. Natychmiast. Ludwig nie ruszył się z miejsca.

— Mam prawo tu być. Hazen odwrócił się do zastępcy.

— Odprowadź pana Ludwiga do szosy.

— Nie może pan tego zrobić! — zaproponował dziennikarz. Szeryf odwrócił się do niego plecami.

— Chodźmy, panie Ludwig — usłyszał głos Tada. Reporter i zastępca

szeryfa zniknęli wśród drzew. Ludwig wciąż protestował, ale jego głos rozpląnął się w ciężkim, parnym powietrzu.

Z krótkofalówki przy pasie Hazena dobiegły ciche trzaski. Odpiął ją.

— Hazen.

— Chauncy'ego od wczoraj nie widziano w hotelu. Zniknął. — To był Hal Brenning, oficer łącznikowy policji stanowej z Deeper. — Nie wrócił tam zeszłej nocy. Łóżko jest zasłane. Na pewno w nim nie spał.

— No to pięknie, coś jeszcze?

— Nie mówił nikomu, co ma w planach ani dokąd się wybiera. Nikt nie wie, co zamierzał. Nikt nie zna jego grafiku.

— Sprawdzamy to — odparł Hazen. — Wydaje się, że miał kłopoty z autem, zostawił swego saturna na stacji Ernie's Exxon.

Chciał, aby wóz został naprawiony od ręki, mimo iż Ernie tłumaczył mu, iż robota zajmie co najmniej dwa dni. Chauncy'ego widziano ostatnio w barze Maisie na kolacji. Nie zgłosił się po samochód. Wygląda na to, że poszedł na pole, gdzie zbierał i oznaczał kolejne próbki kukurydzy.

— Zbierał kukurydzę?

— Wiem, wiem. To szaleństwo, zwłaszcza teraz, gdy ten zabójca wciąż jest na wolności. Chauncy jak dobry pokerzysta nie ujawniał swoich kart. Prawdopodobnie nie chciał, by ktokolwiek zawracał mu głowę, nękał niewygodnymi pytaniami. — Hazen pokręcił głową i przypomniał sobie, jak bardzo zdenerwował się Chauncy, gdy Pendergast zaatakował go zarzutami o możliwość spontanicznego skrzyżowania gatunków kukurydzy.

— Cóż. Obecnie z paroma chłopcami szeryfa Larssena przeszukujemy papiery doktora Chauncy'ego. Wygląda na to, że dziś w południe miał

wygłosić jakieś oświadczenie.

— Tak. Chodziło o projekt eksperymentalnego pola, które przejdzie Medicine Creek koło nosa. Coś jeszcze?

— Jakiś dziekan z KSU wybiera się tutaj w towarzystwie szefa ochrony kampusu. Powinni dotrzeć najdalej za jakieś pół godziny.

Hazen jęknął.

— Poza tym zbiera się na burzę pyłową. Ogłoszono stan podwyższonej gotowości dla obszarów wschodniego Kolorado i terytorium hrabstwa Cry.

— Kiedy?

— Wczesnym wieczorem. Mówią, że może się to przerodzić w zagrożenie tornadem.

— Pięknie. — Szeryf wyłączył radio, przypiął krótkofalówkę do paska i uniósł wzrok. Rzeczywiście — na zachodzie zaczęły gromadzić się pierwsze, ciemniejsze niż zazwyczaj burzowe chmury, wyglądały tak, jakby gdzieś za horyzontem rozpętała się wojna atomowa. Każdy, nawet średnio inteligentny mieszkaniec Kansas wiedział, co oznaczały takie chmury. Zapowiadało się coś gorszego niż burza pyłowa. Z całą pewnością poziom strumienia podniesie się, może nawet woda wystąpi z brzegów.

A jeśli tak, okoliczne pola zostaną zalane. Kto wie, może spadnie też grad. I wszystkie ślady diabli wezmą. On, Hazen, zostanie z niczym... aż do następnego zabójstwa. A jeżeli faktycznie nadejdzie tornado, całe śledztwo zostanie tymczasowo zawieszona, dopóki nie minie zagrożenie. Cholera, ale się porobiło.

— Weeks, jeśli te psy nie chcą złapać tropu, to je stąd wyprowadź. Gdy tak szwendasz się z nimi w tę i z powrotem wzdłuż strumienia, uniemożliwiasz pracę wszystkim innym. To niedopuszczalne.

— Nie moja wina.

Hazen ruszył w dół strumienia. Jego radiowóz stał wśród tuzina innych pojazdów, oznakowanych i nieoznakowanych, dziesięć minut marszu stąd. Szeryf zakasłał, splunął i nabrał powietrza przez nos.

Na żwirowym poboczu drogi stał Art Ridder, wysiadł z samochodu, którego silnik wciąż pracował na jałowym biegu. Mężczyzna energicznie machał ręką.

— Szeryfie!

Hazen podszedł do niego.

— Hazen, szukam cię wszędzie — rzucił Ridder, poczerwieniały na twarzy bardziej niż zazwyczaj.

— Art, mam naprawdę kiepski dzień.

— Rozumiem.

Hazen wziął głęboki oddech. Ridder mógł być miejscową grubą rybą, ale to nie oznaczało, że szeryf będzie tańczył tak, jak tamten mu zagra.

— Dzwonił właśnie do mnie dziekan Fisk z wydziału rolnictwa na KSU. Jedzie tu ze świtą.

— Słyszałem.

Ridder wyglądał na zaskoczonego.

— Słyszałeś? Ale z pewnością nie słyszałeś tego, co ci zaraz powiem. Nie uwierzysz.

Hazen czekał.

— Chauncy miał dziś ogłosić, że eksperymentalne pole uprawne zostanie założone w Medicine Creek.

Hazen sądził, że goręcej już być nie może, a jednak właśnie w tej chwili zalała go nowa fala żaru.

— W Medicine Creek? Nie w Deeper?

— Od początku chcieli to zrobić u nas.

Hazen tylko patrzył, oszołomiony gorącem i nagłym szokiem.

— To nie do wiary.

— Mógł nienawidzić tego miasteczka, co nie zmienia faktu, że jest ono idealnym miejscem na założenie eksperymentalnego pola. — Ridder otarł spocone czoło i schował wilgotną chustkę do kieszeni na piersi. — Nasze miasto umiera, szeryfie. Mój dom jest wart sześćdziesiąt procent tego, ile kosztował przed dwudziestu laty. Prędzej czy później w zakładzie przetwórci indyków zlikwidują drugą zmianę, a może całkiem zamkną i zwiną interes. Czy wiesz, co oznaczałoby dla nas to pole? Inżynieria genetyczna, Hazen. Jedno pole to dopiero początek. Będzie ich więcej, a do tego centrum komputerowe, hotele dla przybywających na miejsce naukowców i ich ekip, a może nawet instytut meteorologii. To oznaczałoby możliwość rozbudowy, wzrost wartości nieruchomości, pracę dla wszystkich, w tym także dla naszych dzieci. — Jego głos rozszedł się w nieruchomym powietrzu. — To pole ocaliłoby nasze miasto.

— Nie wybiegajmy zanadto w przyszłość, Art — mruknął Hazen, wciąż jeszcze nie mógł dojść do siebie po tym, co właśnie usłyszał.

— Jesteś idiotą, jeżeli tego nie dostrzegasz. To wielkie możliwości! Ale czy wydaje ci się, że po tym, co się stało, dostaniemy tę lokalizację? Teraz, kiedy ich człowiekowi wypruto flaki na środku naszego małego miasteczka? No, jak ci się wydaje?

Hazen poczuł ogromne znużenie, jakby na jego barkach spoczął niewidzialny, niewyobrażalny ciężar. Spróbował wyminąć Riddera.

— Nie mam na to czasu, Art. Muszę odnaleźć ciało. Ridder zastąpił mu

drogę.

— Posłuchaj, szeryfie. Tak sobie myślałem... — zniżył głos. — Sprawdziłeś tego przyjezdnego, jak mu tam... Pendergasta?

Zastanów się nad tym. Zjawił się w mieście piekielnie szybko, właściwie tuż po pierwszym zabójstwie. O tym, że pracuje w FBI, wiemy wyłącznie od niego. Skąd pewność, że nie jest w to zamieszany? Skąd wiadomo, że nie jest jakimś psychopata? Zjawia się na miejscu każdego zabójstwa i wpycha ten swój biały nochal.

Hazen prawie go nie słyszał. Głos Riddera zdawał się dobiegać z bardzo daleka.

Hazenowi przyszła do głowy pewna myśl.

Ridder miał rację. Teraz to Deeper stanie się miejscem, gdzie naukowcy założą swoje eksperymentalne poletko. Sprawa była oczywista. Choć zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami powinno ono powstać w Medicine Creek. W przeddzień ogłoszenia przez Chauncy'ego ostatecznej decyzji zostaje on zamordowany. A tym samym — Deeper staje się zwycięzcą w tym nieoficjalnym, małym wyścigu.

Pole zostanie założone w Deeper...

Wszystko zaczynało układać się w spójną całość.

Zagłuszył w sobie głos Riddera, usiłując zebrać myśli. Pierwsze zabójstwo, którego ofiarą padła Sheila Swegg, miało miejsce na trzy dni przed przyjazdem Chauncy'ego. Powtórnie zabójca uderzył w dzień po jego przybyciu. W obu przypadkach zabójca pozostawił po sobie z pozoru dziwne „pamiątki” i artefakty — strzały, odciski stóp i osobliwe aranżacje powstałe na miejscach zbrodni, jakby starał się ożywić znaną w tych stronach od dziesiątków lat legendę o Widmowych Wojownikach i Klątwie

Czterdziestu Pięciu. Ta strategia nie poskutkowała. Chauncy nie przejął się morderstwami, a co dopiero mówić o starych legendach i klątwach. Nawet nie czytał gazet. Był naukowcem, który przyjmował wszystko nader sceptycznie. Duchy i morderstwa mogły wystraszyć mieszkańców Medicine Creek, ale nie kogoś takiego jak Chauncy.

I oto w noc poprzedzającą ogłoszenie przez niego Medicine Creek jako miejsca, gdzie powstanie nowe eksperymentalne pole, Chauncy zostaje zamordowany. Czyż to nie oczywiste? Nie chodziło o seryjnego zabójcę. I nie był to nikt miejscowy, wbrew temu, co sugerował Pendergast. Był to ktoś, kto mógłby wiele stracić, gdyby lokalizację pola uzyskało Medicine Creek. Ktoś z Deeper. Art miał rację, w grę wchodziły duże pieniądze, a może nawet przyszłość miasta — czy raczej jednego z miast. Deeper także przeżywało ciężkie chwile. Chryste, przez ostatnie pięćdziesiąt lat liczba ludności spadła u nich o połowę, jeszcze bardziej niż w Medicine Creek. Deeper było większe, miało z czego tracić, a przecież nie było tam nawet zakładu przetwórstwa drobiu. Zabić albo zginąć. Deeper. Chodziło o przetrwanie.

— Słuchasz mnie? — krzyczał Ridder. Hazen spojrzał na niego.

— Art — rzucił ostro. — Mam ważną sprawę i muszę natychmiast się nią zająć.

— W ogóle mnie nie słuchałeś! Hazen położył dłoń na jego ramieniu.

— Rozwiążę zagadkę tych zabójstw i może nawet Medicine Creek uda się odzyskać to pole. Tylko daj mi trochę czasu. Cierpliwości, Art.

— Niby jak zamierzasz to zrobić?

Ale Hazen szedł już w stronę swego radiowozu. Ridder pospieszył za nim, czekając na odpowiedź. Hazen przystanął, dotknął dłonią klamki.

— I jeszcze jedno. Miałeś rację co do tego agenta FBI. To on stanowi źródło wszystkich naszych problemów.

— Chcesz powiedzieć, że to on jest zabójcą? Szeryf otworzył drzwiczki.

— Art, nie bądź idiotą. On nie jest zabójcą. Ale to on wszystko dokumentnie spieprzył. To on się tu szarogęsi i on próbował wmówić nam, że mamy do czynienia z seryjnym zabójcą. Od początku sprowadził śledztwo na fałszywy tor. Tak zamącił mi w głowie, że nie potrafiłem myśleć logicznie. Zacząłem wątpić w to, co podpowiadał mi instynkt.

— O czym ty mówisz?

— Nie do wiary, że się wcześniej nie zorientowałem.

— Ale o co chodzi?

Hazen uśmiechnął się i po przyjacielsku uściśnął ramię Arta.

— Pozwól mi zająć się tą sprawą, Art. Zaufaj mi.

Szeryf wszedł do radiowozu i sięgnął po mikrofon radiostacji.

Pendergast zjawił się w Medicine Creek bez samochodu, kierowcy czy wsparcia i nie zgłosił się do miejscowego oddziału FBI w Dodge. Ten sukinsyn zgrywał wolnego strzelca. Pracował na własną rękę. Najwyższa pora raz na zawsze położyć kres samowoli.

Hazen włączył radio i wcisnął przycisk w mikrofonie.

— Harry? Tu szeryf Hazen w Medicine Creek. Posłuchaj, to bardzo ważne. Chodzi o te zabójstwa. Czy znasz kogoś w okręgowym biurze FBI w Dodge, kto zechciałby wyświadczyć mi drobną przysługę? Tak, chodzi mi o jakąś grubą rybę. — Nasłuchiwał przez chwilę, pokiwał głową. — Wielkie dzięki, Harry.

Kiedy odwiesił mikrofon radiostacji na miejsce, Ridder nachylił się do

bocznej szyby radiowozu, twarz Arta była cała czerwona z upału.

— Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Hazen. Chodzi o przyszłość Medicine Creek. To o nią toczy się gra.

Hazen uśmiechnął się.

— Art, oby spełniły się wszystkie twoje marzenia. Wcisnął gaz i skierował radiowóz na wschód, w kierunku

Dodge.

TRZYDZIEŚCI CZTERY

Smit Ludwig w minorowym nastroju siedział za kontuarem w barze Maisie, przegoniony od swego stolika przez hałaśliwą grupkę reporterów któregoś z poczytnych dzienników. A może pracowali dla jednego ze szmatławców w rodzaju „National Enquirer” albo „Weekly World News”. To nie miało znaczenia.

W barze roiło się od reporterów i miejscowych, którzy zeszli się tu tłumnie, by plotkować, nabrać pewności, podzielić się nowymi informacjami i rozważać je. Każde nowe morderstwo ściągało więcej

dziennikarzy i za każdym razem zostawali oni nieco dłużej. Ale nie tylko reporterzy zgromadzili się w zazwyczaj cichej i spokojnej restauracji — była tu pani Bender Lang ze stadkiem tlenionych piękności, przy drugim stoliku siedział z kumplami mechanik Ernie, był tu także Swede Cahill, który w ten dzień zamknął Koło u Wozu, zjawili się również ludzie z Gro-Bain — przy jednym stoliku siedzieli pracownicy, przy sąsiednim członkowie zarządu. Bar pękał w szwach, poziom hałasu dorównywał temu, jaki panuje na co dzień w nowojorskich klubach. Brakowało jedynie Arta Riddera.

Gdzie, zapytywał sam siebie Ludwig, miał się zwrócić, by poznać dalszy ciąg tej historii? Poznał smak bycia prawdziwym reporterem, co prawda tylko przez moment, ale i tak przypadł mu on do gustu. Przypomniał sprawę Kłątwy Czterdziestu Pięciu, opisał Masakrę Duchów i dorzucił garść krążących w miasteczku plotek. Oskalpowanie Gasparilli z użyciem prymitywnego noża oraz pęk strzał znaleziony przy ciele Swegg pobudziły wyobraźnię mieszkańców miasteczka. Opisał zabójstwa i zajście w kościele, zajął się także sprawą zaginięcia Chauncy'ego. Mimo to pragnął posunąć się o krok dalej. Potrzebował czegoś nowego, najlepiej na jutro.

Prawdziwy dziennikarz nie przesiadywałby w barze, sącząc kawę. Prawdziwy dziennikarz przebywałby w terenie, rozmawiając z policjantami i porządkując fakty. Ten łajdak Hazen z pewnością mógł złożyć na niego skargę. Co należy zrobić, jeśli policja nie chce współpracować, gdy grozi ci, że zostaniesz aresztowany za to, że wykonujesz swój zawód?

Pierwszy raz w życiu Ludwig wpadł na trop wielkiej sprawy. Naprawdę

wielkiej. To była prawdziwa sensacja. A on rzucił się na nią jak pitbull. Zatopił w niej zęby i nie zamierzał odpuścić. Dotrze do końca tej sprawy. Zasłużył na to. Jako sześćdziesięciodwulatek miał prawo odejść z fasonem. Jego wnuki będą z nabożną czcią przeglądać kiedyś pożółkłe stronice „Couriera”, mówiąc: „Pamiętacie te morderstwa z dwa tysiące trzeciego? Nasz dziadek rozgryzł tę sprawę. Rany, ależ był z niego reporter”.

To przyjemne złudzenie prysło, gdy na stołku obok niego zasiadł mężczyzna. Ludwig odwrócił się, by ujrzeć, że tamten wyciągnął do niego rękę na powitanie. W jego polu widzenia pojawiła się młoda, świeża, pełna przejęcia twarz. Dostrzegł krótki zarost pokrywający policzki tamtego, niedopałek papierosa tkwiący w kącie jego ust, zmierzwione włosy, poluzowany krawat, ale pomimo zachowania wszelkich pozorów obcy i tak wyglądał jak dzieciak bawiący się w dziennikarza.

Smit uściśnął dłoń sąsiada.

— Joe Rickey z „Boston Globe”.

— Się ma. — Smit trochę się zdziwił. „Boston Globe”? Facet pofatygował się tu z daleka.

— Smit Ludwig, prawda? Z „Cry County Couriera”? Ludwig skinął głową.

— Nie za gorąco dla pana?

— Bywało goręcej.

— Doprawdy? Ja nie pamiętam takich upałów. — Mężczyzna wyjął z podajnika chusteczkę higieniczną i otarł nią skronie. — Jestem tu od dwóch dni i za cholerę nie mogę ugryźć tej sprawy. Obiecałem naczelnemu coś innego, odmiennego, rozumie pan, sceny z życia

prawdziwej, prowincjonalnej Ameryki. Tym się zajmuję. Prowincjonalną Ameryką. Ludzie w Bostonie lubią czytać o tym, co dzieje się w innych częściach kraju. Tak jak o tych zabójstwach, o tym facecie, którego ugotowano, podlano masłem i pocukrzono. — Przeszedł go dreszcz rozkoszy.

Ludwig spojrzął na dzieciaka. W osobliwy sposób przypominał mu jego samego sprzed czterdziestu lat. „Boston Globe”? Dzieciak musiał mieć talent. Wyglądał na absolwenta dziennikarstwa, bystrego i cwane, ale pozbawionego wrodzonego talentu i obycia, które zyskuje się z czasem.

— Ten wasz wsiowy szeryf i faszyci z policji stanowej nie chcą puścić pary z gęby. Ale pan jest stąd, na pewno zna pan wiele miejscowych tajemnic. Zna pan mnóstwo sekretów, miejsca, gdzie są pogrzebane zwłoki. To takie powiedzenie, przenośnia, rozumie pan. No to jak, mam rację?

— Jasne. — Ludwig nie zamierzał mówić dzieciakowi, że jechali na tym samym wózku.

— Narobię sobie kłopotów, bądź co bądź „Globe” zapłacił za wysłanie mnie tutaj, jeśli wrócę z niczym, skrewię jak nic.

— To był pański pomysł? — spytał Ludwig.

— Tak. W dodatku sporo się namęczyłem, aby przekonać naczelnego.

Ludwigowi żal było dzieciaka. To faktycznie mógł być on, gdyby dostał stypendium na Columbii zamiast otrzymać posadę kopisty w „Courierze”, kiedy za całe wydanie gazety odpowiadał jeden człowiek. Fatalna decyzja, ale co mogło się wydawać niewiarygodne, nigdy jej nie żałował.

Zwłaszcza gdy ujrzał wyraz desperacji, ambicji, trwogi i nadziei w oczach młodego człowieka.

Chłopak nachylił się do niego, zniżając głos.

— Tak się tylko zastanawiałem. Może ma pan jakieś informacje, którymi mógłby się ze mną podzielić? Obiecuję, że zachowam je dla siebie, dopóki pan nie opublikuje ich pierwszy.

— No cóż... — Ludwig przerwał. — Prawdę mówiąc, panie Rickey...

— Joe.

— Cóż, Joe, tak się składa, że akurat teraz nie mam nic nowego.

— Ale z całą pewnością może pan mieć?

Ludwig spojrzał na niego. Naprawdę widział w tym chłopaku siebie sprzed czterdziestu lat.

— Nigdy nie zaszkodzi spróbować — mruknął.

— Muszę mieć materiał na wpół do dwunastej w nocy. Ludwig spojrzał na zegarek. Wpół do czwartej.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się na oścież i do baru wparowała Corrie Swanson, odrzucając do tyłu fioletowe włosy i pobrzękując powpinanymi w obcisły podkoszulek łańcuszkami i metalowymi ozdobami.

— Dwie duże mrożone kawy na wynos — rzuciła. — Jedną czarną, a drugą z podwójnym cukrem i śmietanką.

Ludwig obserwował ją, jak stała z dłonią opartą o wypięte biodro i nerwowo stukała monetą w kontuar, ignorując wszystkich zebranych w lokalu ludzi. Pracowała dla Pendergasta, była jego Piętaszkiem. I właśnie wypełniała dla niego zlecenie. Odbierała dwie kawy. Na wynos. Dokąd się wybierała? Ona i Pendergast.

Zanim jeszcze to pytanie zaświtało w jego głowie, Ludwig sam sobie na nie odpowiedział. Pendergast ponownie miał wyratować go z opresji.

Maisie przyniosła dwie kawy. Corrie zapłaciła i ruszyła w stronę wyjścia.

Ludwig posłał Rickeyowi krótki uśmiech i wstał.

— Zobaczmy, co da się zrobić.

Już sięgał po pieniądze, gdy Rickey powstrzymał go, unosząc dłoń.

— Zapłacę za kawę.

Ludwig skinął głową i wyszedł z baru, podążając w ślad za dziewczyną. Zanim jeszcze drzwi zamknęły się za nim, dobiegł go głos Rickeya.

— Znajdzie mnie pan tutaj, panie Ludwig. Będę czekał. I dziękuję. Dziękuję bardzo.

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

„Wszystkie budynki FBI wyglądają tak samo” — pomyślał Hazen, spoglądając na białą jak nagrobna płyta fasadę z przyciemnionymi szybami, skrzącymi się w promieniach popołudniowego słońca — prymitywne, pudełkowe, szpetne. Upchnął koszulę za pasek, poprawił krawat, zgniótł niedopałek pod butem i nasadził kapelusz bardziej na czoło. Następnie przeszedł przez dwuskrzydłowe drzwi, za którymi omiótł go podmuch lodowatego powietrza, na który — gdyby była zima — z pewnością poskarżyłby się w głos.

Przystanął przy recepcji, wpisał się, dowiedział, dokąd i jak ma trafić, przypiął do kieszonki identyfikator gościa i ruszył przez wyłożony lakierowanym linoleum korytarz w stronę wind. „Pierwsze piętro, drugi korytarz po prawej, trzecie drzwi po lewej...” — powtarzał sobie w myślach.

Kiedy drzwi windy otwarły się, ujrzał za nimi długi korytarz ozdobiony rządowymi biuletynami i drukowanymi listami ezoterycznych zarządzeń.

Idąc wzdłuż korytarza, Hazen zauważył, że wszystkie drzwi były otwarte, a w każdym gabinecie siedzieli mężczyźni i kobiety w białych koszulach i bluzkach. Chryste Panie, w całym stanie Kansas nie było aż tylu przestępstw, aby dać zajęcie tym wszystkim ludziom. Co oni robili przez cały dzień?

Hazen przemierzał korytarze, aż w końcu napotkał otwarte drzwi z tabliczką z napisem: „GŁ. AGENT SPECJALNY J. PAULSON”.

Gabinet wydawał się równie sterylny jak reszta budynku, tu jednak na ścianie wisiała przynajmniej fotografia jego właściciela na koniu i drugie zdjęcie, stojące na biurku, przedstawiające tego samego mężczyznę z żoną i dziećmi. Wspomniany mężczyzna podniósł się z za biurka, wyprostował i podał gościowi rękę.

— Jim Paulson. — Agent uściśnął dłoń Hazena i omal jej nie zmiądzzył. Paulson wskazał gościowi krzesło, po czym wrócił na swój fotel, założył nogę na nogę i odchylił się lekko do tyłu. — Słucham, szeryfie Hazen, co mogę dla pana zrobić? — spytał Paulson. — Przyjaciel Harry'ego McCullena jest moim przyjacielem.

Żadnego owijania w bawełnę, żadnych pogawędek. Oto człowiek, który od razu przechodził do sedna, z fryzurą „na zapalkę”, w eleganckim garniturze, z niebieskimi oczami i dołeczkami na policzkach, widocznymi, kiedy się uśmiechał. Wacka pewnie też miał wielkiego jak słup. Marzenie każdej żony.

Hazen wiedział, jak ma rozegrać tę partię. Był małomiasteczkowym szeryfem, który po prostu starał się wypełniać swoje obowiązki.

— Bardzo się cieszę, panie Paulson, że znalazł pan chwilę czasu, aby się ze mną zobaczyć...

— Proszę mi mówić Jim. Hazen uśmiechnął się nieśmiało.

— Przypuszczam, Jim, że nie znasz Medicine Creek. To spory kawałek za Deeper.

— Słyszałem o nim z uwagi na niedawne zabójstwa.

— W takim razie wiesz, Jim, że dla naszego małego miasteczka najważniejszy jest solidny fundament podstawowych amerykańskich wartości. Stanowimy zwartą społeczność i ufamy sobie nawzajem. Jako szeryf uosabiam to zaufanie. Wiesz o tym lepiej ode mnie. Chodzi o coś więcej niż o przestrzeganie i egzekwowanie prawa. Chodzi o zaufanie.

Paulson pokiwał głową z wyrozumiałością.

— Aż tu nagle zaczęły się te zabójstwa.

— Tak. Cóż za tragedia.

— Jako że jesteśmy niewielką społecznością, z chęcią przyjmiemy każdą pomoc.

Paulson uśmiechnął się, ukazując dołeczki na policzkach.

— Szeryfie, bardzo chętnie pomogliśmy panu w tej sprawie, ale potrzeba nam dowodów na istnienie działalności terrorystycznej, przekroczenie przez przestępcę lub przestępców granicy stanu, rozumie pan, szeryfie, musimy mieć podstawę do uzasadnionego podjęcia działań w terenie. Do tego czasu, niestety, obawiam się, że mam związane ręce.

„Doskonale” — pomyślał Hazen. Udał zdziwienie.

— Jak to, Jim? Przecież macie tam już swojego człowieka. FBI działa u nas od samego początku tej nieprzyjemnej afery. Nie wiedziałeś o tym?

Uśmiech zastygł na ustach Jima Paulsona. Po chwili lekko zmienił pozycję.

— Jasne. Oczywiście, że tak. Dopiero teraz sobie przypomniałem.

— I o to mi właśnie chodzi. O tego agenta specjalnego Pendergasta z FBI. Zajmuje się tą sprawą od pierwszego dnia. Podejrzewam, że wie pan o nim wszystko, mam rację?

Paulson znów nieznacznie zmienił pozycję, wydawał się odrobinę zaniepokojony.

— Szczerze panu powiem, że nie byłem w pełni powiadomiony o szczegółowych poczynaniach tego agenta.

— Naprawdę? Twierdzi, że jest z wydziału Federalnego Biura Śledczego w Nowym Orleanie. Sądziłem, że kontaktuje się z panem. Czy nie tak właśnie powinno być? To zwyczajowa procedura.

Przerwał. Paulson milczał.

— Tak czy owak, Jim, przykro mi. Przypuszczałem, że... — Nie dokończył.

Paulson podniósł słuchawkę telefonu.

— Darlene? Sprawdź dla mnie agenta specjalnego Pendergasta z filii w Nowym Orleanie. Zgadza się, nazwisko Pendergast. — Odłożył słuchawkę.

— Tak czy owak, z całym szacunkiem, przyszedłem tu po to, bo chciałem poprosić, aby FBI odsunęło go od tej sprawy.

Paulson spojrział na niego z ukosa.

— Naprawdę? — Na starannie wygolonych policzkach zaczął wykwitać rumieniec.

— Wspominałem już, że przydaje się nam w Medicine Creek każda pomoc. Zwykle tak właśnie jest. Wiem, że jestem tylko prostym, małomiasteczkowym szeryfem z Kansas, ale zyskaliśmy pomoc od ekspertów z Dodge, od policji stanowej, natomiast agent Pendergast,

prawdę powiedziawszy... — Przerwał, jakby wahał się, czy powinien krytykować jednego agenta przed drugim.

— No, co?

— Jest trochę grubiański i bezczelny. I nie szanuje miejscowych stróżów prawa.

— Rozumiem. — Wściekłość Paulsona narastała z każdą chwilą. Hazen nachylił się w stronę biurka.

— Prawdę mówiąc, Jim, wydało mi się dość dziwne, że ten facet łązi w drogich garniturach i ręcznie robionych angielskich butach, cytując fragmenty poezji — dodał konspiracyjnym szeptem.

— Racja. — Paulson pokiwał głową.

Rozległ się dźwięk telefonu, Paulson błyskawicznie podniósł słuchawkę.

— Darlene? Świetnie. Przynies mi je.

W chwilę potem do gabinetu weszła sekretarka z przewieszonym przez jedną rękę długim wydrukiem komputerowym. Podała wydruk Jimowi, który w odpowiedzi leciutko musnął jej dłoń.

„Marzenie każdej sekretarki” — poprawił się w myślach Hazen, zerkając na stojące na biurku zdjęcie Paulsona z żoną i dziećmi. Żonę też miał niebrzydką. Miło mieć przy sobie takie dwie kobiety.

Paulson przejrzał wydruk. Spomiędzy jego warg dobył się cichy gwizd.

— Niezły gość z tego Pendergasta. Na imię ma Al... Al... Chryste, nie potrafię tego nawet wymówić. Pierwsze miejsce w ogólnokrajowym turnieju strzeleckim w strzelaniu z pistoletu w roku 2002, nagroda za wybitne zasługi w służbie w roku 2001, nagroda za odwagę w roku 2000 i 1999, nagroda za wybitne zasługi w roku 1998, kolejny złoty orzeł w roku

1997, cztery wstęgi purpurowego serca za obrażenia odniesione w trakcie wykonywania działań służbowych. Lista jest bardzo długa. Ten agent wypełnił wiele zadań na terenie Nowego Jorku — można było się tego spodziewać, ale mam tu całkiem sporo innych, wcześniejszych, tajnych zleceń z przyznanymi za ich wykonanie utajnionymi odznaczeniami. Mogę się tylko domyślać, że to odznaczenia wojskowe. Kim, u licha, jest ten facet?

— Też się nad tym zastanawiałem — mruknął Hazen. Jim Paulson był teraz naprawdę wściekły.

— I za kogo on się, u diabła, uważa, przyjeżdżając do Kansas jak na swój prywatny folwark? Przecież ta sprawa nie leży nawet w zakresie działań FBI.

Hazen siedział spięty, nie odzywając się słowem. Paulson cisnął wydruk na blat biurka.

— Nikt w tym biurze nie udzielał mu pełnomocnictwa. A on sam nie zechciał nas nawet odwiedzić i przedstawić swoich listów uwierzytelniających. — Sięgnął po telefon. — Darlene, połącz mnie z Talmadge'em z KC.

— Tak jest, panie Paulson.

W chwilę potem rozległ się brzęczyk telefonu. Paulson podniósł słuchawkę. Spojrzał na Hazena.

— Szeryfie, czy zechciałby pan poczekać przez chwilę w sekretariacie?

Hazen, siedząc w sekretariacie, zabijał czas, przyglądając się Pannie Kociookiej. Pomijając te zabawne okulary, buzię miała całkiem milutką i zdecydowanie atrakcyjną figurę. Szeryf nie czekał długo. W niecałe pięć minut później Paulson wyszedł z gabinetu. Znow był spokojny,

uśmiechnięty. Dołeczki wróciły na jego policzki.

— Szeryfie? — rzucił. — Proszę zostawić sekretarce numer swojego faksu.

— Oczywiście.

— Za dzień, dwa przefaksujemy dla agenta specjalnego Pendergasta odgórne polecenie przerwania działań operacyjnych. Nikt w filii FBI w Nowym Orleanie nie wie, czym się on obecnie zajmuje. W filii nowojorskiej poinformowano mnie, jakoby wspomniany agent miał przebywać na urlopie. Ma status stróża prawa, rzecz jasna, ale nie wolno mu przekraczać swoich uprawnień. Jak dotąd, co prawda, nic nie wskazuje, aby złamał jakiegokolwiek przepisy, ale jego zachowanie z całą pewnością jest nieregulaminowe, a w obecnych czasach musimy zadbać o wyjątkową ostrożność.

Hazen starał się zachować pokerowe oblicze, ale w głębi duszy miał ochotę krzyczeć z radości.

— Ten człowiek ma jakichś wysoko postawionych przyjaciół w Biurze, ale wygląda na to, że posiada również wielu groźnych wrogów — ciągnął Paulson. — W tej sytuacji proszę czekać na nakaz, zachować dyskrecję i wręczyć mu pismo, kiedy tylko je pan otrzyma. To wszystko. W razie jakichkolwiek problemów, proszę, oto moja wizytówka.

Hazen włożył ją do kieszeni.

— Rozumiem. Paulson pokiwał głową.

— Dziękuję, że zechciał pan poinformować mnie o tej niecodziennej sprawie, szeryfie Hazen.

— To nic wielkiego.

Jeszcze jeden błysk dołeczków, zerknięcie i dyskretne mrugnięcie do

Panny Kociookiej i szef działań operacyjnych znikł w swoim gabinecie.

„Dzień lub dwa" — pomyślał Hazen, zerkając na zegarek. Nie mógł się już doczekać. Była trzecia po południu. Przed sobą miał jeszcze wyprawę do Deeper.

TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

Corrie w iście żółwym tempie prowadziła gremlina po polnej drodze, manewrując kierownicą jedną ręką, drugą bowiem przytrzymywała na podołku dwa kubki z mrożoną kawą, aby się nie wylała. Lód prawie całkiem się już stopił, uda dziewczyny były wilgotne i odrętwiałe. Samochodem zatrzęsło przy pokonywaniu wyjątkowo głębokiej koleiny, a Corrie skrzywiła się, tłumik auta zwieszał się ostatnio raczej dość luźno pod podwoziem, nie chciała stracić go na jakimś wykrocie.

W oddali, ponad koronami drzew, zamajaczyły niskie pasma wzgórz Mounds, promienie popołudniowego słońca przydawały trawom złocistej, roziskrzonej aureoli. Corrie podjechała najbliżej, jak tylko się odważyła, po czym przestawiła dźwignię automatycznej skrzyni biegów na parkowanie i z niekłamaną przyjemnością wysiadła z samochodu. Z kubkami w dłoniach powędrowała między drzewa. Spiżowe, burzowe chmury majaczyły na północy, przesłaniając teraz już jedną trzecią nieba. Powietrze było całkiem nieruchome, panowała potworna duchota. Ale taki stan nie potrwa długo.

Weszła między drzewa i ruszyła ścieżką w kierunku wzgórz. Był tam już Pendergast, stał odwrócony do niej plecami, rozglądał się, od razu spostrzegła jego ciemną, szczupłą sylwetkę. Agent nie tyle rozglądał się, ile raczej na coś patrzył. Z przejęciem. Zupełnie jakby starał się zapamiętać każdy szczegół otaczającego krajobrazu.

— Kawa! — zawołała z nieco przesadną wesołością w głosie. Niekiedy w Pendergastie było coś, co sprawiało, że na sam jego widok przeszywały ją zimne dreszcze.

Odwrócił się powoli, spojrzął na nią, po czym uśmiechnął się półgębkiem.

— Ach, panna Swanson. Jak to miło z pani strony. Niestety, piję wyłącznie herbatę. Nie pijam kawy. Nigdy.

— Och, tak? Przepraszam. — Przez chwilę czuła dziwne rozczarowanie, że chociaż się starała, nie zdołała sprawić mu miłej niespodzianki. Zaraz jednak odeгнаła od siebie tę myśl, teraz mogła wypić obie kawy sama.

Rozejrzawszy się wokoło, dostrzegła rozłożone na ziemi, przyciśnięte kamieniami szczegółowe mapy topograficzne terenu. Pod kolejnym kamieniem spoczywał stary dziennik, podsuszone stronicę pokrywało koślawe, jakby dziecięce pismo.

— Bardzo mi miło, że pani o mnie pomyślała, panno Swanson. Już prawie skończyłem.

— Co pan właściwie robi?

— Poznaję genius loci. I przygotowuję się.

— Do czego?

— Zobaczy pani.

Corrie usiadła na kamieniu i zaczęła sączyć kawę. Była zimna, mocna i słodka jak lody, taką lubiła. Patrzyła, jak Pendergast krąży to w jedną, to w drugą stronę, przyglądając się poszczególnym miejscom i przystając w nich na kilka minut. Od czasu do czasu wyjmował swój notes i coś w nim zapisywał. Kiedy indziej wracał do jednej z map — niektóre z nich

wyglądały na stare, może nawet dziewiętnastowieczne — i zaznaczał na niej jakiś punkt lub kreślił prostą linię. W pewnej chwili Corrie chciała zadać mu pytanie, lecz uciszył ją stanowczym uniesieniem ręki.

Upłynęło czterdzieści pięć minut i słońce z wolna zaczęło kryć się za szpetną nawałą chmur na horyzoncie od zachodu. Corrie obserwowała agenta, jak zawsze zdumiona, lecz zarazem pełna osobliwego, bliżej niewyjaśnionego podziwu dla niego. Bardzo chciała mu pomóc, zaskarbić sobie jego podziw i uznanie, zyskać szacunek i zaufanie, a przede wszystkim pokazać, na co było ją stać. W ostatnich latach żaden nauczyciel, koleżanka, przyjaciel ani tym bardziej matka nie dali jej odczuć, że była osobą wartościową, niezbędną i użyteczną. Przy agencji czuła się inaczej. Zastanawiała się, co popychało Pendergasta do zajmowania się takimi sprawami, rozwiązywania zagadek potwornych zbrodni, wiecznego narażania się na niebezpieczeństwo.

Zastanawiała się, czy choćby tylko troszeczkę się w nim nie zadurzyła. Ale nie, to przecież niemożliwe, nie sposób zakochać się w takim mężczyźnie o trupio bladej skórze, długich, upiornie chudych palcach, dziwnych, tak jasnych, że niemal białych włosach i zimnych, srebrzystoniebieskich oczach, które zawsze patrzyły na wszystko, w tym także na nią, trochę za bardzo przenikliwym wzrokiem. No i w dodatku był stary, miał co najmniej czterdzieści lat. Uch.

Wreszcie Pendergast skończył. Podszedł do niej, wsuwając notes do kieszeni.

— Chyba jestem gotowy.

— Ja też bym była, gdybym wiedziała, o co chodzi. Pendergast ukląkł na ziemi pośród map i dokumentów, po czym starannie je pozbierał.

— Słyszała pani kiedykolwiek o pałacu wspomnień?

— Nie.

— To ćwiczenie mentalne, rodzaj treningu pamięci, które pochodzi jeszcze z czasów greckiego poety Symonidesa. Zostało usprawnione przez Matteo Ricciego w końcu szesnastego wieku, kiedy nauczał on tej techniki chińskich uczonych. Przeprowadzam podobną formę koncentracji umysłowej, którą sam opracowałem i która łączy pałac wspomnień z elementami Chongg Ran, pradawnej techniki medytacyjnej z Bhutanu. Nazywam to ćwiczenie wędrówką pamięci.

— Nic z tego nie rozumiem.

— Udzielę pani możliwie najprostszego wyjaśnienia: dzięki wytężonym badaniom, połączonym następnie z głęboką koncentracją, staram się odtworzyć w myślach pewne szczególne miejsca, w konkretnym czasie, w przeszłości.

— W przeszłości? Jak podczas podróży w czasie?

— Rzecz jasna, tak naprawdę nie podróżuję w czasie. Miast tego staram się zrekonstruować w myślach dane miejsce w przeszłości, a następnie przenieść się w nie, aby następnie przeprowadzić obserwacje, które w innych okolicznościach nie byłyby możliwe. Dzięki temu zyskuję możliwość spojrzenia na dane miejsce z całkiem innej perspektywy. To pomaga wypełnić luki, uzupełnić braki. Często zaś bywa tak, że właśnie owe luki zawierają najistotniejsze informacje. — Zaczął zdejmować marynarkę. — W tej sprawie to ćwiczenie może okazać się nad wyraz pomocne, gdyż stwierdziłem, iż dzięki zwyczajnym metodom nie zdołam już posunąć się dalej, wyczerpałem regulaminowe sposoby działania, nie pomogła mi nawet pani Tealander.

Pendergast starannie złożył marynarkę i położył ją na zebranych mapach, dokumentach oraz dzienniku. Corrie zdziwiła się, ujrawszy tkwiący w kaburze podramiennej wielki pistolet.

— Czy chce pan to zrobić już teraz? — spytała Corrie z niepokojem i zaciekawieniem zarazem.

Pendergast położył się na ziemi. Gdy tak leżał w całkowitym bezruchu, wyglądał jak nieboszczyk.

— Tak.

Złożył ręce na piersiach.

— A... ja... co mam robić?

— Niech pani nade mną czuwa. Gdyby usłyszała pani coś dziwnego, proszę mnie obudzić. Porządne potrząśnięcie za ramię powinno wystarczyć.

— Ale...

— Słyszysz pani te ptaki? I grające świerszcze? Jeżeli ucichną, musi pani natychmiast mnie obudzić.

— Dobrze.

— Na koniec, gdybym sam nie powrócił w ciągu godziny, będzie pani musiała mnie obudzić. To trzy sytuacje, w których bezwarunkowo musi mnie pani obudzić. Tylko te trzy. Rozumiemy się?

— To dość proste.

Pendergast skrzyżował ramiona na piersiach. Gdyby Corrie leżała w ten sposób, myślałaby jedynie o twardej ziemi i kłujących ją w plecy korzeniach. A mimo to agent zachowywał niemal całkowity bezruch.

— Do jakiego okresu zamierza pan wrócić?

— Do wieczora 14 sierpnia 1865 roku.

— Do Masakry Duchów?

— Zgadza się.

— Ale po co? Co to ma wspólnego z seryjnymi zabójstwami?

— Wiem tylko, że te dwie sprawy są ze sobą ściśle związane. Mam nadzieję odkryć, w jaki sposób. Jeśli w teraźniejszości brak klucza do rozwikłania zagadki nowych zabójstw, zatem musi on znajdować się w przeszłości. I dlatego wybieram się w przeszłość.

— Ale tak naprawdę nigdzie pan nie odchodzi, prawda?

— Zapewniam panią, panno Swanson, podróż, w którą się wybieram, rozegra się wyłącznie w moim umyśle. Niemniej jednak jest to długa i niebezpieczna wewnętrzna podróż na obszary terra incognita. Kto wie, czy nie groźniejsza, niż gdybym odbył ją fizycznie.

— Nic nie... — Corrie nie dokończyła. Wszelkie dalsze pytania miały się z celem.

— Czy jesteśmy gotowi, panno Swanson?

— Chyba tak.

— Wobec tego pozwolę sobie poprosić panią o zachowanie absolutnej ciszy.

Corrie czekała. Pendergast znieruchomiał. W miarę upływu czasu dziewczyna odniosła wrażenie, że agent przestał nawet oddychać. Promienie popołudniowego słońca jak zawsze przebijały się między koronami drzew, ptaki śpiewały, świerszcze grały swe smętne melodie, a na niebie wciąż gromadziły się ciemne, burzowe chmury. Wszystko wyglądało tak jak dotychczas, a mimo to miała wrażenie, że jakimś cudem przeniosła się sto czterdzieści lat wstecz, do owego późnego popołudnia, kiedy trzydziestu Czejenów, galopując na swych wierzchowcach, wyłoniło

się jak zjawy z tumanów kurzu, pałając żądzą krwawej zemsty.

TRZYDZIEŚCI SIEDEM

Szeryf Hazen wjechał na wielki parking przy Deeper Mall, przemknął przez niemal pusty plac i zatrzymał samochód na miejscu zarezerwowanym wyłącznie dla radiowozów, przed biurem szeryfa Deeper. Hazen dobrze znał szeryfa z Deeper, Hanka Larssena. To był porządny facet, uczciwy, choć może trochę zbyt wolno kojarzył fakty. Hazen poczuł w głębi serca ukłucie zazdrości, gdy przechodził przez biuro

pełne buczących komputerów i atrakcyjnych sekretarek. Chryste, w Medicine Creek policji nie stać było nawet na naprawę klimy w radiowozach. Skąd ci ludzie brali na to wszystko pieniądze?

Dochodziła siedemnasta, ale wszyscy wciąż jeszcze krzżeli się jak w ukropie. Hazen był tu dobrze znaną postacią i nikt nie zatrzymał go, kiedy przechodził na drugi koniec budynku, gdzie mieścił się gabinet Larssena. Drzwi były zamknięte. Zapukał, po czym nie czekając na zaproszenie, otworzył je.

Larssen siedział w obrotowym, drewnianym fotelu, słuchając dwóch mężczyzn w garniturach, którzy mówili coś do niego równocześnie. Kiedy Hazen wszedł, zamilkli obaj.

— Doskonale wyczucie czasu, Dent — rzekł Larssen z uśmiechem. — To Seymour Fisk, dziekan z KSU, a to Chester Raskovich, szef ochrony kampusu. Panowie, przedstawiam wam szeryfa Denta Hazena z Medicine Creek.

Hazen usiadł i niespiesznie otaksował spojrzeniem obu mężczyzn.

Fisk był typowym wykładowcą akademickim, łysym, pyzaty, z okularami do czytania zawieszonymi na rzemyku.

Chester Raskovich także wyglądał na typowego przedstawiciela wykonywanego zawodu: brązowy garnitur, krępa budowa ciała, pot na czole, blisko osadzone oczy i uścisk dłoni jeszcze bardziej miażdżący niż agenta Paulsona. Niedoszły glina. Typowy przypadek.

— Nie muszę panom mówić, dlaczego się tu spotkaliśmy — ciągnął Larssen.

— Nie. — Hazen szczerze lubił Hanka i żałował tego, co będzie musiał zrobić. Wciąż zastanawiał się nad swoją teorią i nawet on sam zdumiał się,

jak wszystkie elementy tej układanki złożyły się w spójną całość.

— Rozmawialiśmy o walorach Medicine Creek i Deeper. W związku z polem eksperymentalnym, ma się rozumieć.

Hazen pokiwał głową. Nie spieszyło mu się. Tak, idealne wycucie czasu. Cóż za szczęśliwy traf, że przedstawiciele KSU byli tutaj i mogli usłyszeć to, co miał do zakomunikowania.

Fisk wychylił się do przodu, podejmując wywód przerwany wejściem Hazena.

— Prawda jest taka, szeryfie, że te tragiczne zabójstwa zmieniają wszystko. Nie wyobrażam sobie, abyśmy mogli nadal brać pod uwagę Medicine Creek jako potencjalne miejsce na założenie eksperymentalnej uprawy. W tej sytuacji oczywiste jest, że powstanie ono w Deeper. Od pana, szeryfie, pragnąłbym usłyszeć zapewnienie, że negatywne skutki ostatnich wydarzeń nie dotrą do Deeper. Nie muszę chyba wyjaśniać, jaki miałyby to wpływ na opinię publiczną. To niedopuszczalne.

Umiejscowienie pola eksperymentalnego w tym jakże... hm... zacisznym zakątku stanu miało na celu uniknięcie niepotrzebnego cyrku związanego zwykle z tego typu przedsięwzięciami oraz protestów ludności podjudzanej przez przeciwników genetycznie modyfikowanej żywności, przejawiających skądinąd nieuzasadnione obawy przed tak zwaną inżynierią genetyczną.

Szeryf Larssen skinął lekko głową na jego twarzy malował się wyraz głębokiej powagi.

— Medicine Creek leży trzydzieści dwa kilometry stąd, a morderstwa, o których mowa, ograniczają się wyłącznie do terytorium tego miasta. Władze — co szeryf Hazen bez wątpienia potwierdzi — uważają, że

zabójca to ktoś miejscowy, mieszkaniec Medicine Creek. Mogę z całą powagą zapewnić, że ta sprawa nie zdoła przeniknąć do Deeper. Nie mieliśmy tu zabójstwa od 1911 roku.

Hazen milczał.

— Doskonale — rzekł Fisk i pokiwał głową, aż zatrzęsły się jego obwisłe policzki. — Pan Raskovich jest tutaj, by współpracować z policją — skinął na szeryfa Hazena — przy wykryciu i schwyтaniu psychopaty, który popełnił tę okropną zbrodnię, jak również przy odnalezieniu ciała doktora Chauncy'ego, który — o ile nam wiadomo — nadal uważany jest za zaginionego.

— Zgadza się.

— Będzie on również współdziałał z panem, panie Larssen, by zadbać o kontrolę przepływu informacji i bezpieczeństwo mieszkańców Deeper. Naturalnie oświadczenie o nowej lokalizacji pola eksperymentalnego zostanie odłożone na czas późniejszy, kiedy sprawy nieco przycichną, ale tak między nami, mogę powiedzieć, że miastem tym będzie Deeper. Jakies pytania?

Cisza.

— Szeryfie Hazen, czy ma pan jakieś nowe informacje o postępach w pańskim śledztwie?

Hazen tylko na to czekał.

— Tak — odparł łagodnym tonem. — Właściwie tak. Wszyscy nachylili się w jego stronę. Hazen rozparł się na

krześle i czekał, aż napięcie osiągnie kulminację. W końcu zaczął mówić.

— Wygląda na to, że Chauncy zszedł nad brzeg strumienia, zbierając

próbki kukurydzy, które odpowiednio sortował i oznaczał. Rzekomo czekał, aż kukurydza dojrzeje czy coś w tym rodzaju.

Wszyscy trzej przytaknęli.

— To by było po pierwsze. Po drugie, wydaje się, że zabójca jednak nie pochodzi z Medicine Creek. To znaczy nie jest jednym z mieszkańców.
— Hazen powiedział to niemal beznamiętnym tonem. Chciał, by zabrzmiało to możliwie jak najbardziej nonszalancko.

Cała trójka w jednej chwili się ożywiła. Żaden z mężczyzn nie próbował ukrywać zaciekawienia.

— Poza tym wszystko wskazuje na to, że te zabójstwa nie są bynajmniej dziełem jakiegoś psychopatycznego seryjnego zabójcy. One miały tylko tak wyglądać. Skalpowanie, bosc stopy, aluzje do starej Masakry Duchów i Klątwy Czterdziestu Pięciu — to wszystko jest tylko sprytną mistyfikacją, mydleniem oczu. Tak naprawdę te zabójstwa są dziełem kogoś, kto ma jeden tylko motyw, stary jak te wzgórza, a mianowicie pieniądze.

Teraz miał ich w garści. Zyskał ich niepodzielną uwagę.

— Jak to? — spytał Fisk.

— Zabójca uderzył po raz pierwszy na trzy dni przed spodziewanym przyjazdem doktora Chauncy'ego. Następnie zaatakował powtórnie w dzień po jego przybyciu. Zbieg okoliczności?

Pozwolił, by zastanowili się przez chwilę nad tym, co powiedział.

— Do czego zmierzasz? — Larssen był coraz bardziej zaniepokojony.

— Pierwsze dwa zabójstwa nie wywarły zamierzonego skutku. I właśnie dlatego musiał zginąć Chauncy.

— Nie rozumiem, co suponujesz — mruknął Larssen. — O jakim

zamierzonym skutku mowa?

— O przekonaniu Chauncy'ego, że Medicine Creek nie jest właściwym miejscem do założenia pola eksperymentalnego. — No i już. Wyjawiał swoją rewelację. Reakcją była grobowa cisza. Ciągnął dalej. — Pierwsze dwa zabójstwa miały na celu próbę przekonania KSU, by odrzucił ofertę Medicine Creek jako dogodnego punktu na założenie nowego eksperymentalnego pola uprawnego i wybrał na ten cel Deeper. Ale to nie poskutkowało. W tej sytuacji zabójca nie miał innego wyboru, jak tylko zabić samego Chauncy'ego. I to w przeddzień ogłoszenia przezeń wielkiej nowiny.

— Ejże, chwileczkę — zaczął szeryf Larssen.

— Pozwól mu skończyć — rzekł Fisk, opierając przyobleczone w tweed rękawy na okrytych tweedem kolanach.

— Te tak zwane seryjne zabójstwa stanowiły jedynie środek do osiągnięcia celu, jakim było skompromitowanie Medicine Creek, miały wykazać, że miasto jest nieprzygotowane na tak delikatny projekt, i zapewnić, że inwestycja zostanie przeniesiona do Deeper. Okaleczenia i indiańskie bzdety to jedynie barwne dodatki, mające wywołać wzburzenie w całym Medicine Creek, sprawić, że wszyscy zaczną mówić o klątwie, i ukazać nas w negatywnym świetle jako gromadę nieokrzesanych, zabobonnych prostaków. — Hazen odwrócił się do Hanka. — Na twoim miejscu, Hank, zacząłbym zapytywać sam siebie, kto straciłby najwięcej, gdyby uprawę założono w Medicine Creek?

— Zaraz, zaraz! — rzekł szeryf z Deeper, podnosząc się z miejsca. — Chyba nie sugerujesz, że zabójca pochodzi z Deeper? Taką mam przynajmniej nadzieję.

— Niestety, tak. Właśnie to chciałem zasugerować.

— Nie masz nawet cienia dowodu! Nie masz nic prócz swojej wydumanej teorii. Właśnie tak — teorii! A co z dowodami?

Hazen czekał. Niech Hank upuści trochę pary. Tak będzie lepiej.

— To jakiś absurd! Nie wyobrażam sobie nikogo stąd, kto mógłby w brutalny sposób zamordować trzy osoby za jakieś cholerne pole uprawne!

— To coś więcej niż cholerne pole uprawne — wtrącił lodowatym tonem Hazen. — I jestem pewien, że profesor Fisk mógłby dokładnie wyjaśnić ci dlaczego.

Fisk pokiwał głową.

— Ten projekt jest niezmiernie ważny. Oznacza mnóstwo pieniędzy zarówno dla miasta, jak i dla KSU. Buswell Agricon to jedna z największych kompanii rolniczych na świecie. Jest tu sporo do wzięcia — patenty, opłaty, laboratoria, dotacje, co tylko chcesz. Dlatego, Hank, pozwól, że zapytam raz jeszcze — kto w Deeper miał najwięcej do stracenia?

— Nie zamierzam wszczynać śledztwa na podstawie wydumanych, bezpodstawnych teorii.

Hazen uśmiechnął się.

— Nie musisz, Hank. Ja prowadzę tę sprawę. I ja rozpocznę dochodzenie. Proszę cię jedynie o współpracę.

Larssen odwrócił się do Fiska i Raskovicha.

— My tu w Deeper nie mamy w zwyczaju marnować czasu na badanie poronionych teorii.

Fisk spojrzał na niego.

— Szczerze mówiąc, to, co mówi szeryf Hazen, wydaje mi się całkiem

sensowne. — Odwrócił się do Raskovicha. — Co o tym sądzisz, Chester?

— Powiedziałbym, że przydałoby się to sprawdzić — odparł tubalnym głosem Raskovich.

Larssen spojrział najpierw na jednego, a potem na drugiego.

— Naturalnie, zbadamy tę ewentualność, ale szczerze wątpię, aby zabójca ujawnił się w naszym mieście. To przedwczesne...

Hazen gładko wszedł mu w słowo.

— Doktorze Fisk, z całym szacunkiem, myślę, że nie powinien pan jeszcze podejmować ostatecznej decyzji co do lokalizacji tego eksperymentalnego pola. Jeżeli zabójca stara się wpłynąć na pańską decyzję... — Przerwał znacząco.

— Rozumiem, do czego pan zmierza, szeryfie.

— Ale przecież decyzja już zapadła — rzekł Larssen.

— Nic jeszcze nie zostało ostatecznie przesądzone — stwierdził Fisk.

— Jeżeli zabójca pochodzi z Deeper — a muszę przyznać, że ta teoria wydaje mi się całkiem prawdopodobna — to szczerze mówiąc, jest to ostatnie miejsce, w którym chcielibyśmy założyć nasze pole.

Larssen zamilkł. Miał dość oleju w głowie, by wiedzieć, kiedy w najgorszym razie należało nabrać wody w usta. Spojrzał spode łba na Hazena. Szeryfowi zrobiło się go żal. Larssen nie był złym facetem, choć bez wątpienia brakowało mu bystrości umysłu i wyobraźni.

Hazen wstał.

— Muszę wracać do Medicine Creek. Wciąż jeszcze szukamy ciała, ale wrócę tu jutro z samego rana, by rozpocząć moje dochodzenie. Hank, mam nadzieję, że mogę liczyć z twojej strony na życzliwą, przyjacielską współpracę.

— Oczywiście, Dent — wykrztusił z niejakim trudem Hank. Hazen zwrócił się do przedstawicieli z KSU.

— Miło mi było panów poznać. Postaram się na bieżąco informować was o wynikach mojego śledztwa.

— Szczerze to doceniamy, szeryfie.

Hazen wyłuskał z kieszeni paczkę papierosów i spojrzał na Raskovicha.

— Gdy zjawi się pan w Medicine Creek, proszę zajrzeć do mojego biura. Załatwimy dla pana dokument nadający panu status tymczasowego stróża prawa. To współczesny ekwiwalent zaprzysiężenia na zastępcę szeryfa. Pańska pomoc z pewnością nam się przyda.

Szef ochrony kampusu pokiwał głową jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie, jego oblicze pozostało niewzruszone jak wykute z kamienia, lecz Hazen zdawał sobie sprawę, że właśnie zdobył kilka bardzo ważnych punktów u szefa mundurowych odźwiernych" z kampusu, silnorękiego Chestera Raskovicha.

TRZYDZIEŚCI OSIEM

Trening Chongg Ran, wymyślony przez konfucjańskiego mędrca Ton Wei w czasach dynastii Tang, został później przeniesiony z Chin do Bhutanu, gdzie przez pięćset lat był przekształcany i udoskonalany w klasztorze Tenzin Torgangka, jednym z najbardziej odizolowanych miejsc na świecie. Jest to forma koncentracji, która wiąże absolutną pustkę ze stanem skrajnie podwyższonej świadomości, połączenie rygorystycznych nauk umysłowych z doznaniem w najczystszej postaci.

Pierwszy etap Chongg Ran polega na wizualizacji równocześnie czerni i bieli, lecz nie postrzegania tych barw jako szarości. Tylko jeden procent adeptów jest w stanie przejść do etapu kolejnego. Wiązą się z nim znacznie trudniejsze ćwiczenia mentalne. Niektóre polegają na rozgrywaniu jednocześnie wielu sprzecznych ze sobą partii go lub też bardziej popularnych i nieco bardziej współczesnych szachów czy brydża. Inne są oparte na umiejętnym łączeniu ze sobą wiedzy z niewiedzą, dźwięków z ciszą, jaźni z niebytem, życia ze śmiercią, wszechświata z kwarkiem.

Chongg Ran to ćwiczenie oparte na antytezach. Nie jest celem samym w sobie, lecz środkiem do jego osiągnięcia. Przynosi ze sobą dar niewysłowionych umiejętności mentalnych. To ostateczne rozwinięcie możliwości ludzkiego umysłu.

Pendergast leżał na ziemi, zachowując pełną świadomość swego

otoczenia — czuł zapach suchych traw, lepkie, duszne powietrze oraz kamyki i chwasty uwierające go w plecy. Wyizolował każdy odrębny dźwięk, granie świerszczy, szum wiatru, szelest traw, aż po słaby szept oddechu jego asystentki siedzącej kilka metrów dalej. Z zamkniętymi oczami wizualizował otaczający go krajobraz, postrzegał to wszystko, nie widząc. Krok po kroku poszerzał walory pejzażu — drzewa, trzy pagórki, grę światła i cieni, pola kukurydzy rozciągające się poniżej, czarne burzowe chmury w górze, powietrze, niebo i ziemię. Niebawem krajobraz był już kompletny. Teraz, wyizolowawszy każdy obiekt, mógł usunąć go jeden po drugim ze swej świadomości.

Zaczął od zapachów. Wymazywał jeden po drugim złożony aromat topoli, wilgoci, ozonu zwiastującego rychłą burzę, trawy, liści i kurzu. Potem doznania — usuwał je po kolei, wszystkie, które dotąd zarejestrował — uwieranie kamyków w plecy, upał, dotyk owadów pełzających po jego dłoni. Następnie przyszła kolej na dźwięki. Pierwsze ucichły owady, później szelest liści, stukanie dzięcioła, śpiew ptaków w koronach drzew, słaby ruch powietrza, odległy grzmot.

Krajobraz wciąż rozciągał się wokół niego, ale teraz spowijała go absolutna cisza.

Stłumił w sobie wrażenie cielesności, owo wewnętrzne doznanie posiadania ciała i świadomości jego miejsca w czasie i przestrzeni.

Dopiero wtedy zaczęła się właściwa koncentracja: Jeden po drugim Pendergast usuwał poszczególne elementy pejzażu. Likwidował je w odwrotnej kolejności do tego, jak się pojawiały. Najpierw znikła droga, potem kukurydza, drzewa, miasto, trawa, kamienie i na końcu światło. Pozostał matematycznie czysty krajobraz: nagi, pusty, ciemny jak noc,

istniejący wyłącznie hipotetycznie.

Odczekał pięć minut, dziesięć, po czym zachowując w głowie ten pusty, doskonały fraktal, zaczął się przygotowywać. Wreszcie powoli znów zaczął budować pejzaż, lecz tym razem nieco różniący się od poprzedniego.

Najpierw powróciło światło. Potem pojawiła się trawa, wysoka, typowo preriowa odmiana z astrami, polnymi makami, chabrami, wieczornikami i łubinem. Dodał do tego spiżowe, górskie chmury, skaliste występy i zacieniony strumień płynący swobodnie przez Wielkie Równiny. Stopniowo zaczęły pojawiać się inne szczegóły: stado bizonów w oddali, płytkie sadzawki skrzące się srebrzyście w promieniach popołudniowego słońca i wszędzie, jak okiem sięgnąć, aż po horyzont rozciągały się łąki porośnięte dziką roślinnością, tworząc istny ocean falującej zieleni.

Poniżej pojawiła się smużka dymu. Dostrzegł czarne sylwetki poruszających się ludzi i kilka podniszczonych namiotów. Pięćdziesiąt koni leniwie skubało trawę nad brzegiem strumienia.

Pendergast z wolna dopuścił do siebie dźwięki, a następnie zapachy, usłyszał śmiech i siarczyste przekleństwa, poczuł upał i wilgoć, woń dymu i aromat steków z bizoniego mięsa; w oddali zarżał koń, brzęknęły ostrogi, dał się słyszeć szcęk metalowych naczyń.

Pendergast czekał, czujny, wyęzając wszystkie zmysły. Głosy stały się wyraźniejsze.

— Chabeta Didiera znów kuleje — rozległ się głos. Polano zapłonęło jasnym ogniem.

— Żarcie jest prawie gotowe.

— Ten chłopak nie potrafiłby się nawet odlać bez pomocy mamusi.

Śmiech. Mężczyźni stali wokoło z poobijanymi blaszanymi talerzami w dłoniach. Obraz wciąż był niewyraźny, zamazany, nie w pełni ukształtowany.

— Nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do Dodge i zmyję z siebie cały ten kurz.

— Tymczasem przepłucz gardło, Jim.

Promienie popołudniowego słońca przeniknęły przez butelkę, rozległ się łapczywy gulgot. Potem dał się słyszeć brzęk, odgłos zdejmowanej metalowej pokrywki. Podmuch wiatru wzbił w górę tuman kurzu, po czym osłabł. Kurz opadł. Z ogniska dobiegł trzask pękającego polana.

— Kiedy wrócimy do Dodge, przedstawię cię pewnej damie, która oczyści z kurzu inną część twego ciała.

Znów śmiech.

— Daj no tu tę butelkę whisky, amigo.

— Czym ty nas chcesz nakarmić, Hoss, gotowanym końskim łajnem?

— Nie chcesz, nie musisz jeść, Crowe.

— Daj no mi whisky, amigo.

Stopniowo obraz jednak się wykrystalizował. Mężczyźni stali przy ognisku u podnóża pagórka. Mieli na sobie poplamione kapelusze kowbojskie, postrzępione chusty, podarte koszule i spodnie tak sztywne z brudu i prze pocone, że zdawały się pękać przy każdym, nawet najlżejszym ruchu. Wszyscy mieli długie, zmierzwione brody.

Wzgórze wyglądało jak pylista wyspa w morzu traw. Poniżej rozciągała się połać otwartej przestrzeni. Gęstwina krzewów porastająca pagórki u podnóża rzucała długie cienie. Zerwał się wiatr, trawy zafalowały majestatycznie. W powietrzu rozszedł się aromat polnych kwiatów,

mieszając się ze słodką wonią dymu palonego topolowego drewna, gotowanej fasoli i niemytych ciał. W cieniu jednego z pagórków mężczyźni rozłożyli posłania, podkładając sobie pod głowy odwrócone siodła. Widać było kilka starych, rozlatujących się namiotów. W połowie wysokości wzgórza stał jeden z wartowników, uzbrojony w karabin. Z drugiej strony dostrzec można było jeszcze jednego.

Gdy wiatr przybrał na sile, w powietrzu zrobiło się gęsto od kurzu.

— Żarcie gotowe.

Mężczyzna o pociągłej twarzy i wąskich jak szparki oczach, z blizną na podbródku, stał leniwie i poruszał nogami, tak że zabrzęczały przytroczone do jego butów ostrogi. To przywódca grupy, Harry Beaumont.

— Sink, Web, idźcie, zluźnicie warty. Zjecie później.

— Ale ostatnim razem...

— Ani słowa więcej, Sink, albo urwę ci jaja i wrzucę je do strumienia.

Stłumiony śmiech.

— A pamiętacie pod Two Forks tego Indiańca z wielkimi jajami?

Squaw musiały się o niego zabijać, pamiętacie go?

Znów śmiech.

— Pewno miał jakieś paskudne choróbko.

— Oni wszyscy je mają.

— Ale nie martwiłeś się tym, kiedy zabrałeś się za ich squaw, Jim.

— Możesz mi nie przeszkadzać w jedzeniu?

Z boku jakiś mężczyzna zaczął nucić półgłosem:

Siedzę dumnie, sztywno w siodle
Wiele mil za sobą mam Przeganiamy
wielkie stado Lecz nie jestem tutaj sam
Choć pogoda nie rozpieszca

Deszcz wciąż leje się na łeb Nikt z nas tu nie mątykuje Żaden wszakże nie jest kiep A raz, kiedy pewien buhaj Urwać się od stada chciał Spiałem konia ostrogami I ruszyłem za nim w cwał...

Dwaj wartownicy wrócili, oparli karabiny o siodła, po czym podeszli ze swoimi talerzami, otrzepując koszule i spodnie z kurzu. Kucharz nałożył każdemu z nich porcję fasoli i pieczonego mięsa; usiedli po turecku na ziemi.

— Niech cię diabli, Hoss, w tym gulaszu jest pełno piasku!

— To pomaga na trawienie.

— Daj no tu whisky, amigo.

Rozległa połać prerii zafalowała podmuchami wiatru. Widać było, jak wichura zbliża się, przyginając trawy do ziemi, odsłaniając ich jaśniejsze spody, zieleń na chwilę stała się bledsza. Wichura uderzyła w podnóże wzgórz, wzbijając w górę tumany kurzu. Słońce wiszące nad horyzontem nagle przygasło. Przez chwilę czas jakby stanął w miejscu i nagle dał się słyszeć tętent kopyt.

— Co, u licha?

— Konie, ktoś spłoszył konie.

— To nie nasze.

— Czejenowie!

— Broń, szybko, bierzcie broń!

Chaos, kompletny chaos. Tumany kurzu unoszącego się coraz wyżej rozstały się i wyłonił się z nich biały wierzchowiec z odbitymi na ciele krwistoczerwonymi odciskami dłoni, a po nim następny i jeszcze jeden. Rozległy się krzyki. Konie rozdzieliły się, z dwóch stron osaczając ogarniętych paniką mężczyzn. Wydawało się, że konie te wyłoniły się

znikąd.

— Ajeeeeee!

Świst przeciął powietrze. Z dwóch stron posypał się grad strzał, a po chwili rozległy się odgłosy pierwszych trafień, krzyki, jęki, brzęk ostróg, dźwięk strzał przeszywających ciała i łoskot ciał walących się na ziemię.

Kurz spowił wszystko niczym gęsta, żółta mgła, w której dostrzec można było jedynie rozmazane kształty mężczyzn uciekających, osuwających się i wirujących w przedśmiertnym tańcu.

Dał się słyszeć jeden strzał, potem drugi, mężczyźni strzelali na oślep, chaotycznie. Jakiś koń ciężko runął na ziemię. Mglista postać niemal z przyłożenia wypaliła w głowę Indianina siedzącego na grzbiecie zabitego zwierzęcia, strzępy czaszki i mózgu rozbryznęły się dokoła.

Kurz unosił się i opadał gryzącymi, miałkimi kaskadami, wiatr zawodził i szemrał, ranni rządzili i jęczeli przeraźliwie. Tętent kopyt ucichł, ustał na chwilę, po czym znów się pojawił.

— Wracają.

— Wracają, zawracają, szykujcie się, chłopcy. Widmowe kształty jeźdźców znów się pojawiły, także i tym razem Indianie rozdzielili szyki.

— Ajeeee-jip-jip-jip-ajeeee!

Ci, którzy wciąż pozostali przy życiu, zaczęli strzelać, tym razem już w znacznie bardziej przemyślany i zorganizowany sposób; klęczeli na ziemi, starannie składając się do strzału. Powietrze znów rozdarł morderczy świst setki strzał wbijających się w ziemię i w ludzkie ciała, odgłos kolejnych padających koni, szcęk ostróg i upręży, dźwięk gorączkowo przeładowywanej broni i huk wystrzałów. Jakiś mężczyzna wyłonił się z półmroku, charcząc i usiłując wyrwać strzałę, która przeszła mu usta,

kolejny kręcił się jak bąk z czterema strzałami sterczącymi z piersi i nagle jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w jego plecach utkwily trzy następne. Opodał stał koń, stał całkiem nieruchomo, ze zwieszonym łbem, a pod nim piętrzyła się sterta parujących wnętrzności, które wypływały z jego brzucha.

Kolejna szarża i jeszcze jedna. W powietrzu czuć było coraz silniejszy odór krwi, z ciał martwych wierzchowców i ludzi wypływała istna rzeka posoki.

Piąta szarża. Wystrzały były już tylko sporadyczne, w mig uciszył je świst celnych strzał. Jęczący, wijący się z bólu mężczyźni leżeli pośród nieruchomych już ciał. Tym razem Indianie zatrzymali swoje wierzchowce, zsiadli z nich i z nożami w rękach ruszyli w kierunku rannych.

Stali się ciemnymi kształtami nachylającymi się nad leżącymi na ziemi niewyraźnymi sylwetkami. Krzyki, błagania, szloch, wilgotne odgłosy zdzieranych skalpów, a potem cisza.

Leżący na ziemi, udający trupa mężczyzna został brutalnie podźwignięty na nogi. Wśród charkotu, jęków i rżenia konających słyhać jego błagalne prośby. To Harry Beaumont. Ciemne sylwetki Indian otoczyły go — ciche, widmowe, niespieszne. Błagania przybrały na sile, zmieniły się w nieartykułowany bełkot. Schwycono go mocno, odciągnięto mu głowę do tyłu, pośród wirującego kurzu błysnął stalowy nóż, rozległ się krzyk. Strzęp ciała został ciśnięty precz. Indianie obrabiali głowę mężczyzny, ich ręce wykonywały szybkie, krótkie, wprawne ruchy, jakby rzeźbili w drewnie; krzyki stały się histeryczne, zdławione. Kolejne czerwone strzępy wylądowały na ziemi. Jeszcze jeden wilgotny trzask,

tym razem dłuższy niż poprzednie. Kolejny krzyk.

Dwa ostatnie ruchy, jeszcze dwa strzępy ciała spadły na ziemię. I znów krzyk, tym razem krótszy.

Potem na tyczkach przytroczonych do siodeł Indianie wywieźli z miejsca masakry padłe wierzchowce, znikając w tumanach kurzu. Pomogli swoim rannym ułożyć się na włókach i ich także zabrali. W niecałą minutę później rozplynęli się pośród pyłowej zawieruchy, z której się wyłonili.

Pozostał już tylko jeden mężczyzna, słaniający się na nogach i płaczący jak dziecko. Harry Beaumont. Osunął się na kolana pośrodku wzgórza pomiędzy pagórkami. Nie miał już twarzy; pozbawiono go nosa, warg, uszu i skalpu. Została jedynie owalna bryła surowego, ociekającego wilgotną czerwienią mięsa. Został ociosany.

Mężczyzna zakołysał się w tył i w przód, pochylił głowę, krew spływała po jego okaleczonych ustach i podbródku, ściekając wielkimi kroplami na ziemię. Z ciemnej czeluści pośrodku krwawego owalu dobył się przeraźliwy, zniekształcony krzyk.

— Fo kfosset, fseklinam fe siemie fo fsze fasy fa moją fref ferdefną na fej siemi, fseklina...

Osunął się ciężko, charcząc i rżąc na okrwawiony piach.

Kiedy wiatr ucichł, kurz opadł i widoczność powróciła do normy, nie pozostało tu nic prócz zabitych białych mężczyzn. Zabici Czejenowie i ich wierzchowce zniknęli. I jak okiem sięgnąć, rozciągał się bezmiar zielonych, kołyszących się leniwie traw. Z zagłębienia w ziemi, osłoniętego gałęziami, znajdującego się sto metrów niżej wygramoliła się nagle samotna postać, młody chłopak, który do tej pory leżał w swojej kryjówce, a teraz drżąc z przerażenia, chwiejąc się na nogach, pobiegł

przez pustą prerię. Jego drobna sylwetka rozpływała się w pomarańczowej poświacie rozlewającej się nad horyzontem, aż w końcu znikła zupełnie.

I zapadła kompletna cisza.

Corrie drgnęła nerwowo, gdy powieki Pendergasta uniosły się nagle i ujrzała w świetle zmierzchu jego błyszczące, srebrzyste oczy. Było już późno i niebawem sama zamierzała go obudzić. Omal nie uczyniła tego wcześniej, kiedy ptaki niespodziewanie ucichły, ale już po minucie czy dwóch znów się odezwały, rozpraszając narastający w niej niepokój. Wstała, przez chwilę nie wiedziała, co ma powiedzieć. Pod drzewami zrobiło się już ciemno, parne nocne powietrze przesycone było dźwiękami wydawanymi przez mrowie niewidocznych owadów.

— Wszystko w porządku? — wykrztusiła w końcu.

Pendergast podniósł się, otrzepując liście, kurz i trawę z marynarki oraz spodni. Jego oblicze poszarzało, wyglądał, delikatnie mówiąc, niezdrowo.

— Nic mi nie jest, dziękuję za troskę — odparł beznamiętnym tonem.

Corrie zawahała się. Rozpaczliwie pragnęła dowiedzieć się, co zobaczył lub czego dowiedział się agent, lecz bała się go o to zapytać.

Pendergast spojrział na zegarek.

— Ósma.

Szybko pozbierał swoje dokumenty, papiery i notatki, po czym rażnym krokiem ruszył w dół ścieżki do samochodu. Corrie, potykając się, pospieszyła za nim. Zajął już miejsce na fotelu pasażera i czekał na nią, kiedy dotarła do auta i w słabym świetle przez chwilę nie mogła odnaleźć klamki w drzwiach od strony kierowcy.

— Proszę zawieźć mnie z powrotem do domu Krausów, panno Swanson.

— Dobrze. Oczywiście.

Przekręciła kluczyk, silnik zakrztusił się i zgasł, przekręciła kluczyk ponownie, silnik zaskoczył i po chwili wahania zdołał się rozruszać. Włączyła reflektory i wyprowadziła samochód z wąskiej, wyboistej ścieżki.

Kilka minut później nie wytrzymała. Nie mogła już dłużej znieść tej niepewności. Zżerała ją ciekawość.

— No i jak? — spytała. — Co pan widział?

W dziwnych oczach Pendergasta pojawił się zagadkowy błysk.

— Coś niemożliwego i niewyobrażalnego — odparł lakonicznie.

TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

Światło przygasło, nadchodził zmierzch. Wśród milczących liści od czasu do czasu dostrzec można było na otwartej przestrzeni pomiędzy pagórkami mężczyznę i dziewczynę. Rozmawiali półgłosem, z większej odległości nie było ich słychać, a kiedy skończyli, zapanowała kompletna cisza. Mężczyzna położył się na ziemi, dziewczyna zaś usiadła na skale dwadzieścia metrów dalej, od czasu do czasu wstając, by rozejrzeć się

wokoło. Słońce znikło już za horyzontem na zachodzie, na niebie widać było jeszcze gasnącą łunę, lecz i ona zniknęła pośpiesznie, ustępując miejsca nocy.

Za zagajnikiem rozciągały się mroczne, nieruchome pola kukurydzy. Na niebie pojawiła się pierwsza gwiazda. Obserwator ze swej kryjówki zaczął wypatrywać kolejnej i odnalazł ją. A zaraz potem następne. Powrócił wzrokiem do postaci leżącej na ziemi. Co, u licha, robił Pendergast? Leżał w kompletnym bezruchu jak nieboszczyk.

Minęły dwie godziny, całe dwie godziny zmarnowanego czasu. Było już dobrze po siódmej. Wyznaczony dla reportera „Globe” Joe Rickeya ostateczny termin zbliżał się milowymi krokami. Nie mówiąc już o terminie, jaki miał Ludwig na swój własny artykuł do „Couriera”. Co to za kuglarskie sztuczki? Sposób New Age na komunikowanie się z duchami? Może jednak będzie z tego materiał na artykuł, tyle tylko, że inny niż się spodziewał. Tak czy owak, coś z tego wysmaży i nie ruszy się stąd, dopóki cały ten cyrk nie dobiegnie końca.

Smit Ludwig przeciągnął się, rozprostował zeszywniałe kończyny i ziewnął. Gdy to zrobił, świerszcze umilkły na chwilę, jednak zaraz znów podjęły swój nocny koncert. Wydawane przez nie dźwięki były miłe dla ucha, spokojne, kojące. Znał te odgłosy. Podobnie jak i okolice. Spędził tu całe swoje dzieciństwo, włócząc się między wzgórzami, bawiąc się z bratem w Indian i kowbojów czy też taplając się w strumieniu. Kilka razy był tu nawet pod namiotem. Opowieść o Harrym Beaumoncie i Czterdziestu Pięciu oraz złowroga reputacja Mounds tylko wzmagają w nim dziecięce pragnienie przygody. Pamiętał, jak pewnej nocy, gdy obozował tu pod namiotem, obserwował spadające gwiazdy. Doliczył do

stu i przestał. Jego brat wyjechał z Medicine Creek, był teraz na emeryturze, cieszył się wnukami i mieszkał w Leisure w Arizonie. Wtedy to była całkiem inna epoka. Matki nie martwiły się o los swych dzieci, które całymi dniami bawiły się poza domem. Teraz wszystko się zmieniło. Do Medicine Creek krok po kroku zawitała parszywa terażniejszość. I jeszcze te paskudne zabójstwa. Jakaś część Smita cieszyła się, że Sarah tego nie doczekała. Nawet jeśli odnajdą zabójcę, miasteczko już nigdy nie będzie takie jak dawniej.

Ludwig ponownie wlepił wzrok w gęstniejący zmierzch. Pendergast wciąż leżał na ziemi w całkowitym bezruchu. Nawet śpiący od czasu do czasu zmienia pozycję. Poza tym nikt tak nie sypia — wyprężony jak struna, ze złączonymi nogami i rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Chryste, facet wciąż miał na nogach buty. Całe to widowisko było niezmiernie dziwne.

Zaklął pod nosem. Czy powinien wstać i przerwać im, zapytać, co się dzieje? Nie, jednak nie mógł tego zrobić. Czekał tak długo, chciał zobaczyć, co się wydarzy, kiedy...

Nagle Pendergast wstał i otrzepał się z kurzu. Ludwig czym prędzej skrył się wśród głębokich cieni. Rozległy się przytłumione głosy, po czym agent i dziewczyna, nie zwlekając, ruszyli z powrotem w stronę samochodu.

Ludwig raz jeszcze zaklął pod nosem. Popęłnił błąd, decydując się na śledzenie Corrie; oszukał sam siebie, pragnąc pomóc młodemu dziennikarzowi i przy okazji zdobyć dla siebie nowy, ekscytujący materiał. A teraz jego nadzieje na zyskanie ciekawego tematu spełzły na niczym, dzieciak będzie miał nie lada kłopoty, a dzień później kolejne wydanie

„Couriera" stanie pod wielkim znakiem zapytania.

Reporter zaczekał, aż się oddała, jego rozgoryczenie osiągało kulminację. Po co miał się spieszyć? Nie miał tematu, którym mógłby się zająć, nikt nie czekał na niego w domu. Równie dobrze mógł przesiedzieć tu całą noc. Nikt nie będzie tęsknił za nim ani za jego gazetą...

Jednakże Ludwig nie należał do osób, które lubią długo użalać się nad sobą, toteż wkrótce i on się podniósł. Ukrył swój samochód nieco dalej za autem Corrie, na polu kukurydzy przy drodze, gdzie — jak wiedział — nie mogli zauważyć go, wyjeżdżając.

Otrzeptał się z kurzu i rozejrzał dokoła. Zrobiło się już całkiem ciemno, w dodatku zerwał się wiatr, wichura o zmierzchu zwiastuje nadciągającą burzę. Liście nad jego głową zaszeleściły, gałęzie zafalowały, szarpnięte silniejszym podmuchem wiatru. Było bardzo ciemno, księżyc skrył się za płynącymi szybko po niebie chmurami.

Zobaczył błyskawicę i zaczął liczyć. Cichy odgłos grzmotu doszedł go niemal po pół minucie.

Burza była jeszcze daleko.

Pochylony z uwagi na silny wiatr, podszedł do miejsca, gdzie leżał Pendergast. Może odnajdzie tam coś, jakiś ślad, który pozwoli mu domyślić się, co robił agent. Ale niczego nie znalazł, nawet najmniejszego drobiazgu. Ludwig wyjął swój notes, zamierzając zrobić kilka notatek, lecz w ostatniej chwili zmitygował się. Kogo próbował oszukać? Przecież nic z tego nie będzie. Nie miał tematu, pora, aby przyznał się do tego przed sobą samym.

Nagle powietrze ożyło kaskadą dźwięków: szelestem traw i liści, skrzypieniem gałęzi, jękiem kołyszących się drzew. Poczuł woń wilgoci i

ozonu, zmieszana z zapachem kwiatów. Kolejny cichy grzmot.

Lepiej się pospieszyć i wrócić do miasta, by przekazać młodemu złą nowinę. Było tak ciemno, że przez chwilę Smit zastanawiał się, czy zdoła odnaleźć tę starą ścieżkę. Ale przecież wędrował tędy tysiące razy jako dziecko, a dziecięce wspomnienia nigdy nie przemijają. Ruszył wzdłuż ścieżki, zgięty niemal w pół, kierując się pod wiatr, który z każdą chwilą przybierał na sile. Obok niego przelatwały liście, jakaś mała gałązka wplątała mu się we włosy. Szum wiatru wydawał się nieomal przyjemny po tygodniach duchoty i upałów.

Przystanął, gdy z prawej strony dobiegł go nowy dźwięk. Być może to jakieś zwierzę.

Zaczekał chwilę, zrobił jeden krok, potem drugi — po czym usłyszał wyraźny trzask suchych liści pod stopą.

Ale nie pod jego stopą.

Odczekał jeszcze kilka sekund, lecz nie usłyszał nic prócz szelestu liści i szumu wiatru. W minutę później odwrócił się i żwawym krokiem ruszył dalej.

Niemal natychmiast znów usłyszał odgłosy stąpania, dochodzące z prawej strony.

Zatrzymał się.

— Kto tam jest?

Wiatr wiał, topole skrzypiały.

— Pendergast?

Pomaszerował dalej i w tej samej chwili usłyszał, a może nawet wyczuł, że ktoś wciąż idzie za nim. Lodowaty dreszcz przebiegł mu po plecach.

— Kimkolwiek jesteś, słyszę cię! — zawołał, przyspieszając kroku.

Próbował wypowiedzieć te słowa buńczucznie i gniewnie, ale nie był w stanie pohamować drżenia głosu. Jego serce zaczęło bić jak szalone.

Prześladowca nadal podążał za nim.

Niespodziewanie Ludwig przypomniał sobie słowa starego Whita, które usłyszał tej niedzieli w kościele: „...diabeł jak lew ryczący krąży, szukając, kogo pożreć...” Teraz w ciemnościach te słowa nabrały nowego, jeszcze bardziej przerażającego znaczenia.

Poczuł przyływ dławiącej paniki i spróbował ją w sobie stłumić. Już wkrótce, upomniał sam siebie, wyjdzie spomiędzy drzew i znajdzie się na polu. Stąd miał już tylko dwieście metrów do drogi i kolejne dwieście do samochodu. Na drodze będzie bezpieczny.

Ale, o Boże, te ciężkie, chrzęszczące, przeraźliwe kroki...!

— Wynoś się stąd! — krzyknął przez ramię.

Nie zamierzał krzyknąć, to wyrwało mu się prawie instynktownie. I równie instynktownie mężczyzna zerwał się nagle do biegu. Był za stary, aby biec, a w dodatku zmęczony, odniósł wrażenie, jakby lada moment miało mu pęknąć serce.

W ciemności obok niego niewidoczny prześladowca wciąż dotrzymywał mu kroku. Teraz Ludwig usłyszał jego oddech — krótkie, regularne sapanie towarzyszące dudniącemu, ciężkiemu stapaniu.

„Mógłbym wbiec między łany, zgubić go” — pomyślał Ludwig, wybiegając spomiędzy drzew. Ciemne morze kukurydzy na wprost niego kołysało się, szumiało i skrzypiało, targane wiatrem. Piekące drobiny kurzu wpadły mu do oczu. Błysnął piorun.

— Moooe! — Głośne warknięcie, które rozległo się nadspodziewanie blisko, na nowo przepełniło go przerażeniem; dźwięk wydawał się

pochodzić od człowieka, ale równocześnie brzmiało w nim coś nieludzkiego.

— Precz ode mnie! — krzyknął, biegnąc jeszcze szybciej niż dotychczas; nie sądził, że jest do tego zdolny.

— Mooe, mooe, mooe — powtarzała, stękając, istota biegnąca w mroku obok niego.

Kolejny błysk pioruna i w jasnym świetle Smit dostrzegł kształt sunący równo z nim między łąkami. Widział go tylko przez mgnienie oka, ale przerażająco wyraźnie. Na moment znieruchomiał. Szok był tak silny, że Ludwig omal nie runął na ziemię, gdy nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Kolana miał jak z waty. To było niemożliwe. Nieprawdopodobne. Coś takiego nie mogło istnieć. Jezu Przenajświętszy, ta twarz, ta twarz!

Reporter pobiegł dalej. I kiedy tak pędził, ogromna postać przez cały czas bez wysiłku dotrzymywała mu kroku.

— Mooe. Mooe. Mooe. Mooe. Mooe.

Droga! Światła reflektorów, przejeżdżał jakiś samochód!

Ludwig wybiegł na drogę, wydając z siebie przeraźliwy skowyt zgrozy. Krzyczał i biegł środkiem szosy, wymachując rękoma za samochodem, którego tylne światła wciąż jeszcze widać było w oddali. Jego wrzaski utonęły w huku kolejnego grzmotu. Zatrzymał się, osunął do przodu, ukląkł, podpierając się na dłoniach, miał wrażenie, że lada chwila eksplodują mu płuca. Kompletnie wyczerpany czekał zrezygnowany i przybity na szybki cios, przeszywającą falę rozdzierającego, białego bólu...

Ale nic takiego nie nastąpiło, toteż po chwili wyprostował się i rozejrzał we wszystkie strony.

Wiatr kołysał łanami kukurydzy po obu stronach drogi, zagłuszając wszelkie odgłosy, ale w panującym dokoła półmroku Ludwig zorientował się, że potwór zniknął. Odszedł. Może przestraszył się jadącego samochodu. Ludwig wciąż rozglądał się dziko na lewo i prawo, z trudem chwytając powietrze i pokaszując. Nie był w stanie uwierzyć w swoje szczęście.

A jego samochód stał zaledwie dwieście metrów dalej.

Na wpół biegnąc, na wpół ciężko powłócząc nogami, Smit Ludwig, sapiąc i dysząc, ruszył wzdłuż drogi w stronę miejsca, gdzie pozostawił swoje auto. Serce nieomal wyrywało się z jego piersi.

Jeszcze tylko sto metrów. Pięćdziesiąt. Dziesięć.

Westchnąwszy głośno, nabrał tchu i potykając się, zszedł z szosy na polną drogę, gdzie ukrył samochód. Na widok auta, którego karoseria błyszczała delikatnie wśród falujących łanów kukurydzy, Ludwig poczuł tak głęboką ulgę, że aż ugięły się pod nim kolana. Był bezpieczny, Bogu dzięki, był bezpieczny! Szlochając w głos, sięgnął dłonią do klamki i otworzył drzwi.

W tej samej chwili z ciemnego półkola otaczającej go kukurydzy wypadła wielka istota i rzuciła się na niego, rycząc na całe gardło:

— Moooooooooooooooooooooo!

Gardłowy, ochrypły wrzask Ludwiga utonął wśród jękliwego zawodzenia wichury.

CZTERDZIEŚCI

Ze swego mieszkania na piętrze starego domu Krausów Pendergast obserwował brudnoczerwoną poświatę brzasku, barwiącą horyzont na wschodzie. Z oddali przez całą noc dobiegały grzmoty i błyski piorunów. Wiatr wciąż się wzmaczał, falując łanami kukurydzy i sprawiając, że tablica z napisem „Jaskinia Krausa” obracała się i drżała na podniszczonym słupku. Korony drzew nad strumieniem osiemset metrów dalej kołysały się targane kolejnymi porywami, a z suchych pól wzbijały się tumany kurzu, przetaczając się po nich i unosząc ku szaremu niebu.

Agent spuścił wzrok. Po raz chyba setny odbywał w myślach wędrówkę pamięci, odtwarzając przygotowania, szykując całą scenę, mentalną dekonstrukcję i rekonstrukcję obszaru wzgórz oraz minionych wydarzeń, które się tam rozegrały. Po raz pierwszy wędrówka pamięci zawiodła go. Gdy prowadzone przez niego współcześnie śledztwo w Medicine Creek nie przyniosło rezultatów, odbył mentalną podróż, usiłując zrozumieć wydarzenia z przeszłości, rozwikłać zagadkę Klątwy Czterdziestu Pięciu i

pojąć, co naprawdę wydarzyło się tamtego dnia w 1865 roku. Wszystko rozegrało się tak, jak to opisywały legendy — Indianie naprawdę pojawili się znikąd, a następnie odeszli nie wiadomo dokąd, jakby rozplynęli się w powietrzu.

Ale to przecież niemożliwe. Chyba że nadeszła pora, aby wziąć pod uwagę ewentualność, której zawsze stawiał zdecydowany opór, i przyjąć, że faktycznie w grę wchodziły tu nadnaturalne moce, potęgi, których co prawda się nie obawiał, ale których zarazem nie pojmował.

Obrót wydarzeń wprawiał go w nie lada frustrację. Od południowego wschodu dobiegło go słabe buczenie. Unosząc głowę, Pendergast spostrzegł maleńką kropkę — samolot krążący wysoko nad łąkami. Maszyna rosła w oczach i w kilka chwil później agent rozpoznał w niej rolniczą cessnę, używaną do spryskiwania pól. Gdy maszyna dotarła do granicy pól, weszła w zakręt i zawróciła — był to wspomniany samolot zwiadowczy, wysłany w celu odnalezienia ciała Chauncy'ego.

Od strony jaśniejącego horyzontu dobiegł kolejny odgłos i Pendergast ujrzał drugi samolot zmierzający w kierunku pól i przesuwaną się nad łąkami.

Z dołu dobiegł brzęk imbryczka stawianego na kuchni. W parę chwil później agent poczuł w nozdrzach aromat parzonej kawy. Winifreda Kraus z pewnością zaparzy też dla niego herbatę w sposób, jakiego ją nauczył. Przygotowanie King's Mountain Ulung we właściwy sposób nie było proste, uzyskanie prawidłowej temperatury zarówno wody, jak i czajniczka, użycie odpowiedniej liczby herbacianych listków i zaparzenie ich nie dłużej, niż jest to konieczne. Ale najważniejsza była odpowiednia woda. Wyjaśnił to wszystko Winifredzie, cytując z pamięci piąty rozdział

Świętej księgi herbaty Lu Yu, w którym poeta opisywał różnice pomiędzy walorami wody górskiej, rzecznej i źródlanej, jak również poszczególne stadia parzenia. Winifreda zdawała się słuchać go z żywym zaciekawieniem. Jakież było jego zdumienie, gdy stwierdził, że kranówka w Medicine Creek była świeża, chłodna, czysta i naprawdę wyborna, idealnie zrównoważona, jeśli chodzi o zawartość jonów i minerałów. Zaparzona z jej użyciem herbata była wręcz wyśmienita.

Pendergast rozmyślał nad tym przez chwilę, obserwując, jak dwa samoloty krążą w tę i z powrotem nad polami, I nagle, dość niespodziewanie, jedna z maszyn zaczęła kołować nad łąkami.

Podobnie jak ścierwojady parę dni temu.

Wciąż pogrążony w zadumie Pendergast wyjął z kieszeni marynarki komórkę i wybrał numer. Odpowiedział mu zaspany głos.

— Panno Swanson? Byłbym rad, gdyby zjawiała się tu pani za dziesięć minut. Wygląda na to, że znaleźliśmy ciało doktora Chauncy'ego.

Zamknął klapkę telefonu i odwrócił się od okna.

Miał jeszcze dość czasu, aby wypić herbatę.

CZTERDZIEŚCI JEDEN

Corrie starała się nie patrzeć, ale jakimś cudem niepatrzenie wydawało się straszniejsze od tego wszystkiego. Mimo to jednak z każdym kolejnym spojrzeniem koszmar przybierał na sile.

Miejsce wyglądało dość banalnie — krąg wytyczony na polu kukurydzy, ze starannie ułożonym wewnątrz ciałem otoczonym akcesoriami.

Ziemia wokół zwłok została pieczołowicie oczyszczona i wygładzona, wokół ciała, w glebie, widniał wyryty wzór w kształcie koła z licznymi szprychami. Podmuchy wiatru zakołysały łanami i podniosły w górę tumany gryzącego pyłu i kurzu. Na niebie gromadziły się ciemne, groźnie wyglądające chmury.

Chauncy leżał na ziemi pośrodku koła, był nagi, ręce miał złożone na piersiach, nogi starannie ułożone. Jego otwarte, szkliste oczy wpatrywały się niewidzącym wzrokiem w ciemne niebo. Skóra miała barwę przegniłego banana. Od klatki piersiowej do podbrzusza Chauncy'ego biegło postrzępione rozcięcie, jego brzuch był odrażająco nabrzmiąły, zwłaszcza w miejscach, gdzie zszyto go w prosty, prymitywny sposób grubym szpagatem. Wyglądało na to, że do środka coś włożono.

Co miało znaczyć to wielkie koło? Corrie patrzyła na zwłoki, nie mogąc oderwać od nich wzroku. Czy tylko jej się zdawało, czy dostrzegła, że pod skórą tego topornie pozszywanego brzucha coś się poruszyło? Tak, odniosła wrażenie, że pod skórą coś się przesunęło, wybrzuszenie na ciele pojawiło się, ale zaraz znikło. W ciele Chauncy'ego było coś żywego.

Szeryf Hazen dotarł na miejsce pierwszy i nachylał się nad zwłokami z koronerem, który przyleciał tu śmigłowcem. To dziwne — Hazen uśmiechnął się do Corrie, kiedy tu przybyli, i powitał Pendergasta serdecznymi słowami. Sprawiał wrażenie znacznie bardziej pewnego siebie niż dotychczas. Spojrzała na niego z ukosa, rozmawiał półgłosem z koronerem i grupą ekspertów przeszukujących miejsce zbrodni w poszukiwaniu potencjalnych śladów. Tak jak w poprzednich przypadkach, tak i tu odkryto odciski bosych stóp, kiedy jednak eksperci wskazali je szeryfowi, ten jedynie zachichotał pod nosem. Jeden z ekspertów nachylił się nad wyjątkowo wyraźnym śladem, aby zrobić zeń plastikowy odlew.

Pendergast tymczasem wydawał się całkiem nieobecny. Nie odezwał się prawie słowem, odkąd po niego przyjechała, a teraz spoglądał w dal, w kierunku Mounds, jakby pogrążony w głębokiej zadumie. Patrzył tak jeszcze przez chwilę, po czym otrząsnął się z odrętwienia. Podszedł bliżej.

— Proszę, proszę — rzucił serdecznym tonem szeryf. — Niech pan się przyjrzy, agencie specjalny Pendergast, jeżeli jest pan zainteresowany. Ty także, Corrie.

Pendergast podszedł bliżej, Corrie podążała za nim jak cień.

— Koroner zamierza go otworzyć.

— Radziłbym poczekać z tym, aż przewieziemy zwłoki do laboratorium.

— Bzdura.

Fotograf zrobił kilka zdjęć, flesz błysnął w słabym świetle poranka, po czym mężczyzna wycofał się.

— Do dzieła — rzekł szeryf, zwracając się do koronera. Koroner wyjął nożyczki i ostrożnie wsunął koniec jednego z ostrzy pod szpagat. Ciach.

Brzuch nabrzmiał, szpagat zaczął wysuwać się z otworów w ciele.

— Jeżeli nie zachowacie należytej ostrożności, niektóre z materiałów dowodowych mogą, że tak powiem, czmychnąć — ostrzegł Pendergast.

— To, co znajduje się w środku, nie ma znaczenia — rzucił radosnym tonem szeryf.

— Powiedziałbym raczej, że ma zasadnicze znaczenie.

— Może pan sobie mówić, co chce — uciął szeryf, dobry nastrój przydał jego słowom ironicznego brzmienia. — Proszę przeciąć z drugiej strony.

Ciach.

Brzuch trupa otworzył się jak płatki osobliwego kwiatu i zaczęły wylewać się zeń na ziemię nagromadzone wewnątrz rzeczy. W powietrzu rozszedł się ohydny fetor. Corrie skrzywiła się i cofnęła o kilka kroków, przytykając dłoń do ust. Dopiero po chwili zdołała rozpoznać, co konkretnie wypływało z brzucha nieboszczyka na ubitą ziemię: były tam liście, patyki, ślimaki, salamandry, żaby, myszy i kamyki. A także widoczna wśród tej kolekcji niewyobrażalnych okazów wilgotna od śluzu skórzana opaska, bez wątpienia stara psia obroża.

Ranny, ale wciąż żywy wąż wypełził spomiędzy sterty gałązek i powoli, jakby z trudem popęzł w stronę wysokiej trawy.

— Sukinsyn — wycedził Hazen, krzywiąc się z obrzydzenia.

— Szeryfie?

— Co?

— Ma pan tu ogon, którego pan szukał.

Pendergast wskazywał na coś, co wystawało spomiędzy gnijących liści.

— Ogon? O czym pan mówi?

— O ogonie, który urwano psu.

— Ach, o tym ogonie. Zapakujemy go jako dowód, poddamy badaniom. — Hazen błyskawicznie doszedł do siebie. Corrie zauważyła, jak szeryf mrugnął porozumiewawczo do koronera.

— I obroża.

— Tja — mruknął Hazen.

— Czy mogę zauważyć — ciągnął Pendergast — że wygląda na to, iż brzuch ofiary został rozpruty za pomocą tego samego prymitywnego narzędzia, którego użyto wcześniej do okaleczenia Sheili Swegg, odrąbania ogona psu i oskalpowania Gasparilli?

— Tak, tak, zgadza się — przytaknął szeryf, wcale go jednak nie słuchając.

— Jeśli się nie mylę — rzekł Pendergast — mamy tu także wspomniane przeze mnie prymitywne narzędzie. Złamało się i zostało wyrzucone.

Wskazał na coś, co leżało z boku na ziemi.

Szeryf spojrział w tę stronę, zmarszczył brwi i skinął na policyjnego eksperta, który obfotografował ów przedmiot in situ, po czym, używając podgumowanych szczypiec, włożył oba kawałki jeden po drugim do plastikowego woreczka na materiały dowodowe.

Był to krzemienny nóż indiański z przymocowaną do niej rzemieniem drewnianą rękojeścią.

— Z tego miejsca powiedziałbym, że to protohistoryczny nóż południowych Czejenów, krzemienne ostrze przymocowano do rękojeści z wierzbowego drewna rzemieniem z niewyprawionej skóry. Dodam tylko, że wygląda na autentyczny i w doskonałym stanie, dopóki nie złamano go

wskutek nieudolnego używania. To bardzo ważne i cenne znalezisko.

Hazen uśmiechnął się.

— Tak. Ważne. Jeszcze jeden rekwizyt w tym parszywym dramacie.

— Że co proszę?

Z tyłu za nimi coś zaszeleściło, Corrie odwróciła się, by ujrzeć dwóch gliniarzy z policji stanowej, muskularnych sztywniaków w wypastowanych i wyglansowanych butach, przedzierających się przez kukurydzę na niewielką przecinkę. Jeden z nich trzymał w ręku faks. Szeryf z szerokim uśmiechem odwrócił się w stronę nowo przybyłych.

— Ach. Nareszcie to, na co tak długo czekałem. — Wyciągnął rękę, wyrwał gliniarzowi faks, przejrzał go i wyszczerzył się jeszcze bardziej. Następnie podał faks Pendergastowi. — To nakaz natychmiastowego przerwania wszelkich działań w terenie, Pendergast, wydany przez Okręgowy Wydział Federalnego Biura Śledczego na terytorium Środkowego Zachodu. Wylatujesz z tej sprawy.

— Doprawdy? — Pendergast uważnie przeczytał treść dokumentu. Następnie uniósł wzrok. — Czy mogę to zatrzymać, szeryfie?

— Ależ oczywiście — odparł Hazen. — Proszę to zatrzymać, oprawić w ramki i powiesić nad łóżkiem, może pan z tym robić, co tylko zechce.

— W jednej chwili jego głos stał się chłodny, urzędowy, stanowczy. — A teraz, panie Pendergast, z całym szacunkiem, ale to jest miejsce zbrodni i nie mogą tu przebywać osoby postronne. — Przeniósł wzrok na Corrie. — To się tyczy pana i pańskiej pomocnicy.

Pendergast starannie złożył faks i wsunął do kieszeni marynarki. Odwrócił się do Corrie.

— Idziemy? Spiorunowała go wzrokiem.

— Agencie Pendergast — zaczęła. — Chyba nie powoli pan, aby coś takiego uszło mu na sucho?

— To nie jest właściwy czas, Corrie — rzekł półgłosem.

— Przecież nie może pan tak po prostu...!

Pendergast ujął ją za ramię i delikatnie, acz stanowczo wyprowadził z miejsca zbrodni. Zanim się obejrzała, stała już z Pendergastem na wąskiej, polnej drodze obok jej gremlina. Corrie bez słowa zajęła miejsce za kierownicą, a kiedy Pendergast wślizgnął się miękko na fotel obok, uruchomiła silnik. Nieomal zaślepiona wściekłością, wyminęła stojące na skraju pola furgonetki i radiowozy. Pendergast pozwolił, aby szeryf potraktował go jak intruza, a w dodatku obraził także ją, i nie zrobił nic, zupełnie nic. Miała ochotę wybuchnąć płaczem.

— Panno Swanson, muszę stwierdzić, że kranówka w Medicine Creek jest wyjątkowo smaczna. Jak pani wie, jestem zwolennikiem zielonej herbaty i wydaje mi się, że nigdzie indziej nie natknąłem się na wodę, która bardziej nadawałaby się do parzenia tej najwspanialszej spośród gatunków herbaty.

Nie była w stanie odpowiedzieć na to rzucone z głupia frant stwierdzenie, nie mające — zdawałoby się — związku z tym, co wydarzyło się przed chwilą. Zatrzymała gremlina przy wjeździe na asfaltową szosę i spojrzała na agenta.

— Dokąd teraz jedziemy?

— Wysadzi mnie pani pod domem Krausów. Następnie sugeruję, aby wróciła pani do swojej przyczepy i pozamykała starannie wszystkie okna. Jak rozumiem, nadciąga burza pyłowa.

Corrie parsknęła.

— Widywałam już wcześniej burze pyłowe.

— Nie taką jak ta. Burze pyłowe są jednymi z najbardziej przerażających zjawisk meteorologicznych. W Azji Środkowej bywają tak gwałtowne, że tubylcy nadają imiona wiatrom, które je przynoszą. Nawet w tym kraju określa się je często mianem „czarnych zawieruch”. Znane są przypadki osób, które znalazłszy się podczas takiej burzy poza domem i, nie mając się gdzie schronić, po prostu zginęły, udusiły się piaskiem i pyłem.

Corrie z piskiem opon wjechała na szosę. Wszystko, co się działo, wydawało się jej coraz mniej rzeczywiste, coraz mniej prawdziwe. Oto Pendergast, którego niedawno upokorzono, odgórnie polecając odsunięcie go od sprawy, dla zbadania której przyjechał tu aż z Nowego Jorku... a on jest w stanie mówić wyłącznie o herbacie i pogodzie?

Upłynęła jedna minuta, potem druga. Wreszcie nie mogła już dłużej znieść przytłaczającej ciszy.

— Wie pan co? — wybuchnęła. — Nie mogę uwierzyć, że pozwolił pan tak sobą pomiatać temu zafajdanemu szeryfowi.

— Pomiatać? Pani wybaczy, ale nie rozumiem, o co pani chodzi.

— Jak to o co? Potraktował pana jak śmiecia! Odsunął pana od śledztwa! Wyrzucił z miejsca zbrodni!

Pendergast uśmiechnął się.

— Nisi paret imperat. Ten, kto nie podporządkowuje się rozkazom, sam je wydaje.

— Czy to znaczy, że nie zamierza pan podporządkować się odgórnym zaleceniom?

— Panno Swanson, nie mam w zwyczaju zwierzać się komukolwiek ze

swych planów i dotyczy to, niestety, nawet mojej zaufanej asystentki.

Zaczerwieniła się mimo przepełniającego ją gniewu.

— A więc po prostu ich olejemy? Będziemy robić swoje? Będziemy kontynuować nasze śledztwo? Do diabła z tym niskopiennym palantem, tak?

— To, co zamierzam zrobić z, jak to pani barwnie ujęła, niskopiennym palantem, to wyłącznie moja sprawa i nie powinno to pani interesować. Najważniejsze jest to, że nie mogę pozwolić, aby ze względu na mnie sprzeciwiała się pani woli szeryfa. No i jesteśmy na miejscu. Proszę podjechać do garaży za domem, jeśli łaska.

Corrie zatrzymała wóz za domem Krausów, gdzie stał szereg tandetnych, rozlatujących się, drewnianych garaży. Pendergast podszedł do jednego, na drzwiach którego wisiał łańcuch i nowa kłódka, otworzył ją i rozwarł wierzeje na oścież. Corrie zajrzała do środka.

Wewnątrz stał jakiś lśniący, wielki samochód. Pendergast zniknął w półmroku, a w chwilę później dał się słyszeć ryk silnika przechodzący w niski, łagodny warkot. Z garażu wolno wychynął przód potężnego auta. Corrie nie mogła uwierzyć własnym oczom, gdy lśniaca, wypolerowana wizja elegancji wyjechała na spowity szarym kurzem plac w Medicine Creek. Nigdy dotąd nie widziała takiego samochodu, no, chyba że w kinie. Samochód zatrzymał się, silnik wciąż jednak pracował na jałowym biegu. Pendergast wysiadł.

— Skąd pan wytrzasnął to чудо?

— Od początku wiedziałem, że może nadejść taka chwila, iż jakimś zrządzeniem losu zostanę pozbawiony pani usług, toteż sprowadziłem tu mój własny wóz.

— Pański? Co to za gablota?

— Rolls-royce silver wraith rocznik '59.

Dopiero teraz uświadomiła sobie w pełni znaczenie wypowiedzianych przez niego słów.

— Co to znaczy: „zostanie pan pozbawiony moich usług”? Pendergast wręczył jej kopertę.

— W środku znajdzie pani zapłatę za cały ten tydzień.

— Jak to? Przecież jestem pańską asystentką? Czy to nic nie znaczy?

— Nie po wręczeniu mi oficjalnego nakazu zaprzestania wszelkiej działalności w terenie. Nie mogę pani przed tym ochronić, a nie mogę też prosić, by przeze mnie weszła pani świadomie w konflikt z prawem. Z żalem muszę poinformować, że od tej chwili już pani dla mnie nie pracuje. Sugeruję, by wróciła pani do domu i do normalnego życia.

— Jakiego normalnego życia? Moje normalne życie jest do bani. Przecież musi być coś, co mogłabym zrobić! — Poczwała narastającą falę gniewu i bezradności; teraz gdy na dobre zainteresowała, a może nawet zafascynowała się tą sprawą, gdy poczuła, że oto spotkała wreszcie kogoś, kogo potrafiła obdarzyć szacunkiem i zaufaniem, gdy miała w końcu powód, by każdego ranka ochoczo zwlec się z łóżka, on tak po prostu rezygnował z jej usług. Bezceremonialnie ją wylał. Zwolnił. Mimo iż starała się stłumić w sobie płacz, uroniła jedną łezkę. Otarła ją wściekle wierzchem dłoni.

Pendergast uklonił się.

— Może mi pani pomóc, ale to już naprawdę ostatni raz, zaspokajając moją ciekawość, jeżeli chodzi o źródło tej cudownej wody pitnej, którą macie tu, w Medicine Creek.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Ten człowiek był naprawdę niemożliwy.

— Pochodzi ze studni, która rzekomo sięga do jakiejś podziemnej rzeki — odparła, starając się zachować niewzruszony ton głosu.

— Podziemna rzeka — powtórzył Pendergast w zamyśleniu, jego oczy zmętniały, jakby skierował spojrzenie w głąb siebie, gdzie miał nadzieję odnaleźć rozwiązanie kolejnej, niesprecyzowanej zagadki. Uśmiechnął się, ukłonił raz jeszcze, ujął jej rękę i uniósł, zatrzymując na centymetry od swoich ust. Następnie wsiadł do samochodu i odjechał, pozostawiając ją obok jej starego, zdezelowanego grata, wśród kłębow kurzu i wirującego pyłu, pogrążoną we wściekłości, smutku i głębokim zdumieniu.

CZTERDZIEŚCI DWA

Radiowóz mknął po szosie biegnącej między łanami kukurydzy ze stałą prędkością prawie stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. „Klima mogła nie działać — pomyślał Hazen — a tapicerka wyglądała fatalnie, ale policyjny mustang 5.0 nadal potrafił pokazać, co naprawdę kryje pod maską”. Ciężkie podwozie kolebało się z boku na bok, a we wstecznym lusterku Hazen widział dwa zwięzające się rzędy falującej kukurydzy. Panował nad sytuacją, prowadził śledztwo jak uparty pies gończy i szło mu coraz lepiej. Spojrzał na siedzącego obok niego Chestera Raskovicha. Szef ochrony miał nietęgą minę, pozieleniał na twarzy, a na jego czole perlił się pot. Chyba nie lubił szybkiej jazdy. Hazen wolałby, aby na fotelu

pasażera siedział Tad niż ten sztywniak z kampusu. Konfrontacja, jaką mieli przed sobą, pomogłaby mu zyskać nieco więcej doświadczenia. Po raz nie wiadomo który Hazen żałował, że jego własna latorośl nie przejawiała odpowiednich cech, którymi odznaczał się jego zastępca: szacunek, ambicja, upór i kultura osobista. Hazen westchnął. Pobożne życzenia niczego nie zmieniają. Teraz liczyło się tylko zaangażowanie w sprawę Raskovicha. Jeśli on będzie brał czynny udział, utrzyma się też doktor Fiska. Jeśli szeryf dobrze rozegra tę partię, eksperymentalne pole trafi jednak do Medicine Creek.

Za szybami radiowozu mignęły zabudowania pierwszych farm leżących na obrzeżach Deeper. Hazen zwolnił do granicy dozwolonej prędkości. Nie chciał spowodować wypadku, gdyby ni stąd, ni zowąd jakiś miejscowy dzieciak wybiegł na drogę tuż przed maskę jego auta. I tak miał już dość kłopotów.

— Jaki mamy plan, szeryfie? — wykrztusił Raskovich. Znow zaczął oddychać.

— Odwiedzimy szanownego pana Norrisa Lavendera.

— Kto to taki?

— Właściciel połowy tego miasta i większości przyległych do niego pól. Wynajmuje je. Rodzina Lavendera założyła pierwsze ranczo w tych stronach.

— Myśli pan, że jest z tym wszystkim w jakiś sposób związany?

— Lavender macza palce we wszystkim, co się tutaj dzieje. Ze wszystkiego zgarnia profity. Jak już wspomniałem, kto ma najwięcej do stracenia? Akurat na to pytanie odpowiedź jest bardzo prosta.

Raskovich skinął głową.

Ich oczom ukazała się dzielnica handlowa Deeper. Po jednej stronie miasta rozlokowało się Hardee's, a po drugiej A&W, pomiędzy nimi zaś grupka zaniedbanych lub pozamykanych na głucho sklepików — ze sprzętem sportowym i strzeleckim, spożywczy, salon używanych samochodów (gdzie oferowano wyłącznie stare, nie nadające się do niczego AMC), pralnia samoobsługowa i motel. Wszystkie te przybytki pochodziły jeszcze z lat pięćdziesiątych.

„Mogliby nakręcić tu film. To miejsce wygląda jak plan filmowy” — pomyślał Hazen.

Skręcił na parking za kinem Grand Theater (budynek był od dawna opuszczony) i salonem fryzjerskim. Na tyłach wznosił się niski, parterowy budynek z czerwonej cegły, otoczony skrzącą się w słońcu połącią rozgrzanego, wzmacnianego asfaltu. Hazen podjechał pod przeszklone drzwi i zaparkował swój samochód przy hydrancie, czyli niezgodnie z prawem. Opodal stał radiowóz Hanka. Hazen pokręcił głową. Hank nie potrafił wzbudzać u innych respektu i szacunku. Po prostu nie wiedział, jak to się robi. Zostawił włączonego koguta, aby wszyscy wiedzieli, że przyjechał tu w sprawach służbowych.

Hazen wszedł do środka przez wielkie, dwuskrzydłowe, przeszklone drzwi i wszedł do klimatyzowanego, chłodnego Lavender Building. Raskovich nieomal deptał mu po piętach. Zlustrował wzrokiem recepcję. Niezbyt atrakcyjna sekretarka, w której głosie pobrzmiwała nieskrywanie wroga nuta, rzuciła:

— Może pan wejść, szeryfie. Już na pana czekają.

Musnął palcami rondo kapelusza i przeszedł przez hol, skręcił w prawo, a następnie pokonał jeszcze jedno szklane drzwi. Druga sekretarka, jeszcze

bardziej szpetna niż jej poprzedniczka, gestem zaprosiła ich do środka.

„W tym Deeper chyba w ogóle nie ma ładnych kobiet” — pomyślał.
„Pewnie pobierają się w obrębie własnych rodzin”.

Hazen przystanął w progu gabinetu i przymrużywszy lekko powieki, powiódł wzrokiem dokoła. Biuro wyglądało całkiem nowocześnie i stylowo — modne metal i szkło w różnych odcieniach szarości i czerni, nieco przyduże biurko, gruby, miękki dywan, figi w doniczkach. Jednak dwa wiszące na ścianach plakaty z biuściastymi kobietami zdradzały, z jakiej rodziny i jakiej klasy społecznej wywodził się Lavender. On sam siedział za wielkim biurkiem, susząc zęby w teatralnym uśmiechu. Kiedy padł na niego wzrok Hazena, mężczyzna podniósł się z miejsca. Miał na sobie dres z modnymi paskami, a na małym palcu sygnet z brylantem.

Lavender był szczupły i dość wysoki, poruszał się leniwie, co — jak zapewne przypuszczał — miało mu przydać arystokratycznej manieri. Jego głowa jednak wydawała się nieco za duża w porównaniu do reszty ciała i miała spiczasty kształt, wargi były zbyt szerokie, a świdrujące oczy, osadzone zdecydowanie zbyt blisko siebie, podkreślały zwieszające się nad nimi wąskie czoło, gładkie i białe jak płat słoniny. To była głowa tłuściocha, osadzona na chudym ciele.

Szeryf Larssen, który siedział na krześle opodal, także wstał.

Lavender nie odezwał się słowem, wyciągnął jedynie rękę, miał małe, bardzo białe dłonie i wskazał Hazenowi miejsce. To był rodzaj wyzwania. Czy Hazen podporządkuje się, czy sam wybierze dla siebie miejsce?

Hazen uśmiechnął się, podprowadził we wskazane miejsce Raskovicha, po czym przysunął sobie drugie krzesło.

Lavender nie usiadł. Oparł małe jak u dziecka dłonie na blacie biurka i

wciąż uśmiechając się, wychylił się lekko do przodu.

— Witam w Deeper, szeryfie Hazen. A to, jak mniemam, pan Raskovich z Kansas State University? — Głos miał gładki, przymilny, obłudny.

Hazen pokiwał głową.

— Domyślasz się, co mnie tu sprowadza, Norris?

— Czy powinienem wezwać mojego adwokata? — Lavender obrócił treść tych słów w żart.

— To zależy od ciebie. Nie jesteś podejrzany. Lavender uniósł brwi.

— Doprawdy?

„Doprawdy. A twój dziadek był cholernym przemytnikiem alkoholu” — pomyślał Hazen.

— Doprawdy — powiedział głośno.

— A więc dobrze, szeryfie. Może przejdziemy do rzeczy? Skoro zgodziłem się na to spotkanie, chciałbym mieć możliwość zakończenia go, kiedy uznam to za stosowne.

— Wobec tego nie będę dłużej owijał w bawełnę. Mam do pana kilka pytań. Kto jest właścicielem terenów w Deeper, gdzie KSU mógłby założyć swoje eksperymentalne pole?

— Wie pan doskonale, że to moja ziemia. Wynająłem ją korporacji Buswell Agricon, która partneruje KSU przy tym projekcie.

— Znał pan doktora Stanton Chauncy'ego?

— Oczywiście. Szeryf i ja obwoziliśmy go po mieście, aby mu je pokazać.

— Jakie było pana zdanie na jego temat?

— Przypuszczam, że zbliżone do pańskiego. — Lavender uśmiechnął

się półgębkiem, to wystarczyło, aby szeryf Hazen pojął, co Lavender myślał o Chauncym.

— Czy już wcześniej wiedział pan, że Chauncy wybrał Medicine Creek na lokalizację tego nowego pola?

— Nie wiedziałem. Ten człowiek nie miał w zwyczaju przedwcześnie zdradzać nikomu swoich decyzji.

— Czy negocjował pan z KSU nową umowę najmu terenów pod eksperymentalną uprawę?

Lavender leniwie zmienił pozycję i przekrzywił ciężką głowę w bok.

— Nie. Nie chciałem tego. Stwierdziłem, że jeśli wybiorą Deeper, będą musieli wynająć grunty pod uprawę na tych samych warunkach co Buswell Agricon.

— Ale planował pan podwyższyć opłatę za wynajem? Lavender uśmiechnął się.

— Drogi przyjacielu, jestem biznesmenem. Miałem nadzieję na zwiększenie opłat za założenie w przyszłości kolejnych pól.

„Drogi przyjacielu”.

— Zatem spodziewał się pan, że ta inicjatywa w przyszłości się rozwinie.

— Oczywiście.

— Czy to prawda, że jest pan właścicielem tutejszego motelu?

— Wie pan, że tak.

— Ma pan także umowę dzierżawną z Hardee?

— To jedno z najbardziej intratnych źródeł mego dochodu w tym mieście.

— Jest pan właścicielem wszystkich budynków od sklepu sportowo-

strzeleckiego Boba po salon fryzjerski, zgadza się?

— To nie żadna tajemnica.

— Pana własnością jest także gmach dawnego kina — obecnie pusty, podobnie jak smażalnia steków i Cry County Mini-Mall.

— To także powszechnie wszystkim wiadomo.

— Ilu dzierżawców pańskich budynków zwinęło interes w ciągu ostatnich pięciu lat i wyniosło się z miasta?

Lavender wciąż się uśmiechał, ale Hazen zauważył, że mężczyzna zaczął jakby od niechcienia obracać sygnet z brylantem, który nosił na małym palcu.

— Pan wybaczy, ale finanse to moja prywatna sprawa.

— Proszę pozwolić, że zgadnę... połowa? Rookery zamknięto, podobnie jak księgarnię. Jimmy's Round Up splajtował rok temu. Mini-Mall także świeci pustkami.

— Pragnę zaznaczyć, że motel wciąż pracuje na pełnych obrotach. Nie mamy wolnych pokoi. Ani jednego.

— Owszem. A to dlatego, że zjechali się tu dziennikarze i reporterzy. Co się stanie, gdy cała ta afera się skończy? Pański motel stanie się równie wymarły jak motel z Psychozy Hitchcocka.

Lavender nadal się uśmiechał, ale w grymasie wykrzywającym jego wielkie, mięsiste wargi nie było ani krzty wesołości.

— Ilu dzierżawców zalega z płaceniem czynszu? Kłopot w tym, że nie ma pan wystarczająco silnej pozycji, żeby tak po prostu ich stamtąd wykopać na bruk, prawda? Bo przecież kto miałby zająć ich miejsce? Lepiej obniżyć stawkę czynszu, poczekać na uregulowanie płatności, pisać ponaglenia...

Znów cisza. Hazen czekał, pozwalając, by napięcie stopniowo narastało, i wykorzystał ten czas na ponowne zlustrowanie gabinetu wzrokiem. Jego spojrzenie padło na wiszące na ścianie fotografie przedstawiające Lavendera z licznymi grubymi rybami — Billym Carterem, bratem prezydenta, paroma futbolistami, gwiazdą rodeo, piosenkarzem country. Na kilku z nich Hazen dostrzegł trzecią postać — potężną, muskularną, śniadą i posepną — postać Lewisa McFelty'ego, zausznika Lavendera. Nie dostrzegł go, gdy tu wszedł, choć starał się go wypatrzeć. Kolejny dowód na poparcie jego teorii.

Hazen oderwał wzrok od budzącego grozę ochroniarza-osiłka i uśmiechnął się do Lavendera.

— Pan i pańska rodzina trzymaliście to miasto w kieszeni od stu lat, ale wygląda na to, że słońce z wolna zaczyna zachodzić nad imperium Lavenderów, co nie, Norris?

Odezwał się szeryf Larssen.

— Posłuchaj, Dent, mącisz tylko wodę. Nie rozumiem, jaki to wszystko mogłoby mieć związek z tymi zabójstwami.

Lavender uciszył go nieznacznym uniesieniem dłoni.

— Dzięki, Hank, ale od początku przejrzałem grę Hazena. Ten pies potrafi jedynie głośno szczekać.

— Co ty powiesz? — odciął się Hazen.

— Właśnie tak. Nie chodzi o zabójstwa w Medicine Creek. Chodzi o to, że mój dziadek rzekomo postrzelił twojego dziadunia w nogę. — Odwrócił się do szefa ochrony z KSU. — Panie Raskovich, rody Lavenderów i Hazenów mają w hrabstwie Cry długą i zawiłą historię, niektórzy ludzie jednak nie są w stanie pogodzić się z przeszłością. —

Znów uśmiechnął się do Hazena. — Proszę wybaczyć, ale ja tego nie kupuję. Mój dziadek nie postrzelił pańskiego, a ja nie jestem seryjnym zabójcą. Proszę mi się przyjrzeć. Wyobraża mnie pan sobie na polu kukurydzy, uprawiającego którąś z tych ofiar, które znaleźliście w Medicine Creek? — Wyraźnie zaakcentował dwa ostatnie słowa i uśmiechnął się z przekąsem.

„Nie kupuje tego”. To ci dopiero. Norris Lavender mógł używać zwrotów w rodzaju: „Drogi przyjacielu” czy „doprawdy”, ale jego słownictwo było nader ubogie i prędzej czy później dawał temu wyraz. Z butów pseudoarystokraty wyłaziła słoma.

— Jesteś taki sam jak twój dziadek, Norris — odparował Hazen. — Brudną robotę odwalają za ciebie inni.

Lavender uniósł brwi.

— To zabrzmiało jak oskarżenie. Hazen uśmiechnął się.

— Norris, wiesz co, zastanawiam się, co porabia twój koleś, Lewis McFelty. Gdzie on się podziewa? Myślałem, że dziś go tu spotkam.

— Mój asystent, nieszczęśnik, pojechał do Kansas City w odwiedziny do chorej matki. Dałem mu tydzień urlopu.

Uśmiech Hazena poszerzył się.

— Mam nadzieję, że to nic poważnego. Znów cisza.

Hazen zakasłał i podjął przerwany monolog.

— Miałbyś wiele do stracenia, gdyby to eksperymentalne poletko założono jednak w Medicine Creek.

Lavender otworzył drewnianą szkatułkę pełną cygar i podsunął ją w stronę Hazena.

— Wiem, że jest pan nałogowym palaczem, szeryfie. Proszę się

poczęstować.

Hazen spojrział na pudełko. To z pewnością kubańskie cygara. Pokręcił głową.

— A pan, panie Raskovich? Może cygarko? Raskovich także grzecznie odmówił. Hazen odchylił się lekko do tyłu.

— Miałeś wszystko do stracenia, zgadza się?

— A nie będzie wam przeszkadzać, jeśli ja się poczęstuję? — Lavender sięgnął do pudełka i wyjąwszy cygaro, ujął je w dwa palce.

— Śmiało — rzucił Hank, spoglądając z ukosa na Hazena. — Jesteś u siebie, wolno ci.

Hazen czekał cierpliwie, podczas gdy Lavender sięgnął po leżącą na biurku małą, srebrną obcinarkę do cygar i przyciąwszy koniuszek hawany, przez chwilę przyglądał się swemu dziełu, wziął do ręki złotą zapalniczkę, podgrzał leciutko cygaro, po czym polizał jego koniec, włożył do ust i zapalił. Cała ta czynność trwała kilka minut. Następnie Lavender wstał, podszedł do okna, splótł drobne dłonie za sobą i wlepił wzrok w połać parkingu, pykając leniwie, wydmuchując dym i co pewien czas wyjmując cygaro z ust, by spojrzeć na jego żarzący się koniec. Poza szczupłą postacią Laven-dera Hazen widział horyzont, czarny jak bezgwiezdna noc. Nadciągała burza i zapowiadało się, że będzie naprawdę wielka.

Cisza przedłużała się, wreszcie Lavender znów się odwrócił.

— O — rzucił, udając zdziwienie. — Jeszcze tu jesteście?

— Zadałem pytanie i wciąż czekam na odpowiedź. Lavender uśmiechnął się.

— Czy pięć minut temu nie wspomniałem, że uważam to spotkanie za zakończone? Jestem taki zapominalski. — Ponownie odwrócił się do okna

i wydmuchnął ustami kłęb dymu z cygara. — Uważajcie, żeby burza was nie złapała, panowie — rzucił przez ramię.

Hazen wyjechał z parkingu, pozostawiając na asfalcie ślady spalonej gumy. Gdy znów znaleźli się na szosie, Raskovich spojrzął na szeryfa.

— Co to za historia o waszych dziadkach?

— Zwykła zasłona dymna.

Zapadła cisza. Szeryf dopiero po chwili z irytacją uświadomił sobie, że Raskovich wciąż czekał na odpowiedź. Z wysiłkiem zwalczył w sobie narastającą złość. Musiał mieć KSU po swojej stronie, potrzebował tego, a Raskovich był dla niego środkiem do osiągnięcia wytyczonego celu.

— Lavenderowie zaczęli jako ranczerzy, a w latach dwudziestych zarobili kupę szmalu na pędzeniu bimbru — wyjaśnił. — Kontrolowali całą produkcję bimbru w tym hrabstwie, wykupując towar od bimbrowników i rozprowadzając go sobie znanymi sposobami. Mój dziadek był podówczas szeryfem w Medicine Creek i którejs nocy on i paru federalnych dopadło Kinga Lavendera przy starym domu Krausów, prowadzącego muła objuczonego bańkami z księżycówką. Stary Kraus miał w owych czasach w głębi jaskini, poza częścią otwartą dla turystów, destylatornię, gdzie pędził bimber. Wywiązała się bójka i mój dziadek zarobił kulkę. King Lavender stanął przed sądem, ale przysięgli byli przekupieni i wypuścili go na wolność.

— Naprawdę uważa pan, że to Lavender stoi za tymi zabójstwami?

— Panie Raskovich, w pracy policjanta liczą się — motyw, środki i sposobność. Lavender miał motyw, a poza tym to parszywy sukinsyn, który zrobiłby właściwie wszystko za psi grosz. Obecnie muszę się tylko dowiedzieć, czy dysponował odpowiednimi środkami i miał sposobność,

aby popełnić te zbrodnie.

— Szczerze mówiąc, nie wyobrażam go sobie jako mordercy. Ten Raskovich był skończonym kretynem. Hazen starał się ostrożnie dobierać słowa.

— To, co powiedziałem w jego gabinecie, mówiłem całkiem szczerze. Nie uważam, aby on sam popełnił te morderstwa, to nie w jego stylu. Lavender raczej wynająłby jakiegoś płatnego zbira, aby ten odwalił za niego mokrą robotę. — Zamyślił się przez chwilę. — Chciałbym zamienić słówko z Lewisem McFeltym. Chora matka w Kansas City, akurat. — Co teraz zrobimy?

— Dowiemy się, jak zaleźć za skórę i dopiec Norrisowi Lavenderowi. Po pierwsze, obejrzymy sobie jego zeznania podatkowe. Potem porozmawiamy z jego wierzycielami i wrogami. Sprawdzimy, jak głęboko utkwiał w całym tym bagnie, jak dalece zaangażował się w aferę z polem eksperymentalnym. To jego ostatnia szansa, nie zdziwiłbym się, gdyby zainwestował w farmę na rzeczonym hipotetycznym jeszcze polu. — Przerwał. Odrobina konsultacji nigdy nie zawadzi. — I co o tym sądzisz, Chester? Cenię sobie twoje zdanie.

— Cała ta teoria trzyma się kupy.

Hazen uśmiechnął się i skierował samochód w stronę ratusza miejskiego w Deeper. Oczywiście, że ta teoria trzymała się kupy. Nie mogło być inaczej.

CZTERDZIEŚCI TRZY

O wpół do trzeciej po południu Corrie rozciągnęła się leniwie na łóżku, słuchając ze swego kompaktu kapeli Tool. W pokoju musiało być ze trzydzieści stopni Celsjusza, ale po wydarzeniach zeszłej nocy nie odważyła się otworzyć okna. Wciąż nie mogła uwierzyć, że ten facet z Kansas State zginął nieco dalej, przy tej ulicy. Ale w gruncie rzeczy nie mogła uwierzyć w wydarzenia całego ubiegłego tygodnia.

Skierowała wzrok w stronę okna. Na zewnątrz potężne chmury burzowe rozprzestrzeniały się po całym niebie, zaczęło się robić ciemno. Jednak nadciągająca burza tylko wzmagала wrażenie duchoty i gorąca.

Usłyszała głos matki za ścianą i w odpowiedzi podkreśliła dźwięk. Rozległo się kilka stłumionych uderzeń; to matka usiłowała zwrócić jej uwagę, waląc pięścią w ścianę. Jezu. Jej matka musiała wziąć chorobowe akurat tego dnia, gdy Pendergast już jej nie potrzebował i teraz siedziała w domu, nudząc się jak mops. Nie miała nic do roboty. Za bardzo się bała, by zdecydować się na choćby krótki spacer. Prawie zaczęła tęsknić za Świętem Pracy i rozpoczęciem szkoły.

Drzwi do pokoju otwarły się i stanęła w nich jej matka, w koszuli nocnej, z chudymi rękoma splecionymi na tłustym podołku. Paliła papierosa.

Corrie zdjęła słuchawki.

— Corrie, wołałam cię tak, że omal nie zdarłam sobie gardła. Któregoś dnia zabiorę ci te słuchawki.

— Sama kazałaś mi ich używać.

— Nie wtedy, gdy próbuję z tobą porozmawiać.

Corrie patrzyła na matkę, na jej rozmazany tusz i resztki szminki wciąż widoczne na spieczonych, popękanych wargach. Bez wątpienia piła, choć nie dość, by nie podźwignąć się z łóżka. Jakim cudem ta kosmitka mogła być jej matką?

— Dlaczego nie pracujesz? Czyżby ten mężczyzna już się tobą znudził?

Corrie nie odpowiedziała. To nie miało znaczenia. Jej matka i tak powie to, co zamierzała.

— Jak przypuszczam, otrzymałaś pensję za dwa tygodnie. W sumie tysiąc pięćset dolarów. Zgadza się?

Corrie tylko na nią patrzyła.

— Dopóki tu mieszkasz, musisz się dokładać. Już ci o tym wspominałam. Wiesz, że ostatnio wydatki horrendalnie wzrosły. Podatki, wyżywienie, opłaty za samochód i w ogóle. A teraz jeszcze tracę całodzienne napiwki przez to cholerne przeziębienie.

„Raczej przez tego cholernego kaca”. Corrie czekała.

— Spodziewam się, że dasz mi co najmniej połowę tego, co zarobiłaś.

— To moje pieniądze.

— A jak sądzisz, za czyje pieniądze żyłaś przez ostatnie dziesięć lat? Na pewno niełożył na ciebie twój zafajdany ojczulek. To była moja krwawica. Urabiałam sobie ręce po łokcie, aby cię wychować, i Bóg mi świadkiem, młoda damo, wiesz dobrze, że jesteś mi coś winna.

Corrie przykleiła pieniądze taśmą pod jedną z szuflad komody i nie zamierzała zdradzić matce, gdzie je schowała. Dlaczego w ogóle powiedziała jej, ile zarabia? Będzie potrzebować tych pieniędzy, aby

opłacić adwokata, kiedy zacznie się proces. W przeciwnym razie trafi się jej papuga z urzędu i ostatecznie wyląduje za kratkami. To byłoby niezłe, gdyby z więzienia zaczęła wysyłać aplikacje do college'u.

— Powiedziałam, że zostawię ci trochę forsy na stole w kuchni.

— Zostawisz tam siedemset pięćdziesiąt dolarów.

— To zbyt wiele.

— To niewiele za te wszystkie lata, kiedy cię wychowywałam.

— Jeżeli nie chciałaś mnie wychowywać, nie trzeba było zachodzić w ciążę.

— Niestety, wypadki chodzą po ludziach.

Corrie poczuła kwaśny swąd tłącego się filtra, jej matka wypaliła papierosa aż do końca. Matka rozejrzała się i zgasiła niedopałek w podstawce na kadzidełka Corrie.

— Jeżeli nie chcesz dzielić ze mną kosztów utrzymania, będziesz musiała się stąd wyprowadzić.

Corrie odwróciła się ostentacyjnie, nałożyła słuchawki i podkreśliła dźwięk tak, że prawie rozboleły ją uszy. Z kamienną twarzą wlepiła wzrok w brudną ścian. Niemal nie słyszała krzyków matki.

„Jeżeli tknie mnie choć jednym palcem — pomyślała — zacznę krzyczeć”.

Wiedziała jednak, że matka tego nie zrobi. Uderzyła ją kiedyś, a Corrie zaczęła wrzeszczeć tak głośno, że zjawił się u nich szeryf. Naturalnie ten mały buldog nie kiwnął palcem w jej obronie — wręcz przeciwnie, to jej, Corrie, zagroził ukaraniem za zakłócanie spokoju — ale od tego czasu matka już więcej nie podniosła na nią ręki. Nie mogła jej nic zrobić. Corrie musiała po prostu to przeczekać.

Jeszcze długo po tym, jak jej matka, wściekła niczym osa, wróciła do swego pokoju, Corrie leżała na łóżku, rozmyślając. Zmusiła się, by nie myśleć o matce, o przyczepie i o pustym, bezsensownym piekle, jakim stało się jej życie. Skoncentrowała się natomiast na osobie Pendergasta. Myślała o jego fajnym, czarnym garniturze, bladych oczach i szczupłej sylwetce. Zastanawiała się, czy był żonaty i czy miał dzieci. To nie w porządku, że tak ją odprawił i odjechał swoją fantastyczną gablotą. Ale może jak wszyscy, on również poczuł się nią rozczarowany. Może w końcu nie spisała się tak, jak tego oczekiwał, i nie spełniła jego wymagań. Nie posiadała się z oburzenia, że szeryf miał czelność załatwić te dokumenty i tak obcesowo potraktował Pendergasta. Ale ten człowiek z pewnością nie zamierzał się poddawać. Nie był z tych, co rezygnują, gdy ktoś rzuca im kłody pod nogi. Czy nie zasugerował, że zamierza kontynuować swoje śledztwo? Musiał wyłączyć ją ze sprawy, tak to sobie przynajmniej tłumaczyła. Nie zawiodła go. Nie zrobił tego dlatego, że nie wypełniała należycie swoich obowiązków. Sam przecież powiedział wyraźnie: „Nie mogę pozwolić, aby ze względu na mnie sprzeciwiała się pani woli szeryfa”.

Skupiła się na samej sprawie. W dalszym ciągu nie mogła uwierzyć, że ktoś w Medicine Creek mógł popełniać te zbrodnie. Jeśli to faktycznie był ktoś tutejszy, musiał to być ktoś, kogo znała. Ale przecież znała wszystkich na tym zadupiu galaktyki i nie wyobrażała sobie, aby ktokolwiek z nich mógł być seryjnym zabójcą. Wzdrygnęła się, powracając myślami do scen zbrodni, które miała okazję widzieć — psa z odciętym ogonem... Chauncy'ego pozszywanego jak faszerowany indyk...

Najdziwniejszy był przypadek ugotowanego Stotta. Dlaczego zabójca

tak go potraktował? I jak można ugotować całego człowieka? Zabójca musiałby rozpaść ogień, przygotować wielki kocioł. .. To wydawało się niemożliwe. Skąd wzięłoby tak wielki kocioł? Od Maisie? Nie, jasne, że nie, największy garnek, jaki miała, to ten, w którym przyrządzała środowe chili, do tego naczynia nie zmieściłaby się nawet cała ręka. W Castle Club także była kuchnia — czy to mogło się stać właśnie tam?

Corrie parsknęła. To czyste szaleństwo. Nawet w Castle Club nie było kotła tak wielkiego, by można w nim ugotować całego człowieka, potrzebna była do tego kuchnia przemysłowa. A może zabójca użył wanny? Czy ktoś mógłby podwiesić wannę nad kuchnią i w ten sposób ugotować ciało? Albo umieścić wannę nad ogniskiem rozpalonym gdzieś na polu? Nie, z pewnością dostrzeżono by je z samolotów patrolowych. Poza tym ktoś poczułby zapach gotowanego mięsa lub w najgorszym razie woń dymu.

Nie, nic z tego, w Medicine Creek nie było miejsca, gdzie można by ugotować człowieka...

Usiadła niespodziewanie.

Jaskinia Krausa.

To szaleństwo. Choć w gruncie rzeczy może wcale nie. Wszyscy wiedzieli, że w czasach prohibicji stary Kraus pędził w swojej jaskini bimber.

Poczuła, że ogarniają coś dziwnego, niemożliwa do opisanego mieszanina podniecenia, zaciekawienia i strachu.

Może jego sprzęt do pędzenia bimbru w dalszym ciągu znajdował się w jaskini? Do pędzenia bimbru używa się wielkich kotłów destylacyjnych, nieprawdaż? Ale czy taki kocioł jest na tyle duży, by pomieścić człowieka?

Może, kto wie? Może...

Znów się położyła, jej serce biło szybszym rytmem. Powoli zaczęła się uspokajać. Zdała sobie sprawę z irracjonalności swego rozumowania. Prohibicja skończyła się siedemdziesiąt lat temu, do dzisiaj starą aparaturę z pewnością rozebrano. Nie pozostał po niej żaden ślad. Nie zostawia się tak cennych rzeczy, aby sczeły w jakiejś jaskini. Poza tym jak zabójca mógłby zakraść się do środka, a potem niepostrzeżenie wymknąć z jaskini? Ta wścibska starucha Winifreda Kraus zamykała wejście do jaskini na klucz i w dodatku była czujna jak jastrząb.

Dziewczyna zaczęła przewracać się nerwowo na łóżku. Zamki można sforsować. Ona sama przegrała sobie na dyskietkę Przewodnik włamywacza, odkryty podczas buszowania po sieci w szkolnym komputerze i nawet udało się jej, po zapoznaniu się z podstawami tej trudnej sztuki, otworzyć na próbę kilka zamków i kłódek.

Jeżeli zabójca był tutejszy, musiał wiedzieć, że stary Kraus pędził kiedyś bimber i miał w jaskini destylatornię. Mógł którejs nocy przynieść tam ciało, ugotował je i wyniósł się z samego rana. Stara Winifreda nawet się zapewne nie zorientowała.

W gruncie rzeczy to nic dziwnego, ostatnio zjawiało się tu niewiele wycieczek, które mogłaby oprowadzić po jaskini.

Corrie zastanawiała się, czy powinna powiadomić o swoich przemyśleniach Pendergasta. Czy wiedział o bimbrowni? Szczerze w to wątpiła, księżycówka pędzona przez Krausa należała do zamierzchłej historii Medicine Creek i wątpliwe, by ktokolwiek pokwapił się, by wspomnieć o tym agentowi. Właśnie dlatego Pendergast ją wynajął, aby mówiła mu o takich rzeczach. Sięgnęła do kieszeni, wyjęła komórkę, którą

od niego otrzymała, i zaczęła wybierać numer.

Nagle przerwała tę czynność. Cały ten pomysł był w gruncie rzeczy absurdalny. Głupi. To tylko jej bezpodstawne teorie. Niczym nieuzasadnione domysły. Pendergast wyśmiałby ją. Może nawet by się rozłościł? Przecież miała dać sobie spokój z tą sprawą.

Odłożyła telefon i znów odwróciła się do ściany. Chyba powinna najpierw sama to sprawdzić — ot tak, dla pewności. Aby przekonać się, że sprzęt destylacyjny nadal znajdował się w jaskini. Jeżeli jej przypuszczenia potwierdzą się, powie o wszystkim Pendergastowi. Ale tylko w tym przypadku — po co miała robić z siebie idiotkę.

Usiadła, spuściła stopy na podłogę. Wszyscy wiedzieli, że prócz jaskini dostępnej dla turystów istniały jeszcze dwie lub trzy mniejsze pieczary, do których jednak zwiedzający nie mieli wstępu. Destylatornia pewnie znajdowała się w jednej z nich. Nie powinno być trudności z jej znalezieniem. Zakradnie się tam, sprawdzi, co trzeba, i wymknie się niepostrzeżenie. A dzięki temu będzie mogła pobyc trochę poza domem. Oddałaby wszystko, by choć na chwilę wyrwać się z tego piekła.

Przyciszyła muzykę i nasłuchiwała przez chwilę. Matka zamilkła.

Corrie zdjęła słuchawki i ponownie wyteńczyła słuch. Następnie powoli, bardzo ostrożnie wstała z łóżka, ubrała się i otworzyła drzwi. Nic. Cisza. Z butami w ręku zaczęła przekradać się w głąb korytarza. Dotarła do samego końca, gdy drzwi do pokoju matki otwarły się z hukiem i usłyszała jej donośny, ochryply głos.

— Corrie! Dokąd to się wybierasz?

Paroma susami przemknęła przez kuchnię i wyskoczyła z przyczepy. Drzwi same się za nią zatrzasnęły.

Wskoczyła do samochodu, cisnęła buty na fotel obok siebie i przekręciła kluczyk w stacyjce, modląc się, aby rzech mimo wszystko zaskoczył. Silnik zakasłał, zakrztusił się i zgasł.

— Corrie! — Matka wyszła z przyczepy. Jak na osobę cierpiącą na paskudne przeziębienie, poruszała się przeraźliwie szybko.

Corrie ponownie spróbowała uruchomić silnik, rozpaczliwie pompując stopą pedał.

— Corrie!

Tym razem silnik zaskoczył i wóz pomknął z piskiem opon po żwirowym placu Wyndham Parke Estates, rozbryzgując wokoło fontanny drobnych kamyków i pozostawiając za sobą kłęby czarnego, oleistego dymu.

CZTERDZIEŚCI CZTERY

Marjorie Lane, recepcjonistka w korporacji ABX, była coraz bardziej zaniepokojona obecnością mężczyzny w czarnym garniturze w poczekalni.

Przebywał tam od półtorej godziny. To samo w sobie nie było niczym niezwykłym, ale przez ten czas mężczyzna nie sięgnął po żadne z kolorowych czasopism leżących nieopodal, nie skorzystał z telefonu komórkowego, nie otworzył laptopa, innymi słowy nie zrobił żadnej rzeczy, którą zwykle zajmują się osoby oczekujące na spotkanie z

prezesem firmy, Kennethem Bootem. Prawdę powiedziawszy, mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby przez te półtorej godziny w ogóle się nie poruszył. Jego oczy, tak dziwne i srebrzyste, zdawały się patrzeć przez szklaną ścianę poczekalni w stronę śródmieścia, topoli i zielonych hektarów farm poza obrzeżami miasta.

Marjorie przeżyła wraz ze swoją firmą liczne zmiany. Było ich w ostatnim czasie sporo. Najpierw porzucono starą nazwę, Kompania Wydobywcza Anadarko Basin, na rzecz bardziej chwytliwego, nowego akronimu i logo. Następnie firma zaczęła inwestować w przedsięwzięcia wykraczające poza wydobycie ropy naftowej: sprzedaż energii, włókna optyczne, szerokie pasma (cokolwiek to znaczyło) oraz milion innych rzeczy, o których nie miała zielonego pojęcia, podobnie jak ci, których o nie pytała. Pan Boot był osobą niezwykle zajętą, a nawet gdy miał wolny czas, lubił, by na niego czekali. Niekiedy kazał czekać na siebie cały dzień, tak jak ostatnio przytrafiło się to kilku menedżerom, którzy chcieli zadać mu kilka pytań w tej czy innej sprawie.

Marjorie tęskniła za starymi czasami — kiedy jeszcze rozumiała, czym zajmowano się w jej firmie i ludzie nie musieli czekać na spotkanie z szefem. Czuła się niezręcznie, gdy ludzie byli zmuszeni czekać na pana Boota. Skarżyli się wówczas, głośno rozmawiali przez komórki, z wściekłością stukali w klawisze laptopów i nerwowo spacerowali w koło. Bywało, że używali wulgarnych wyrazów i musiała wzywać ochronę.

Tym razem jednak było gorzej niż kiedykolwiek.

Ten facet ją przerażał. Nie miała pojęcia, czy pan Boot zobaczy się z nim wkrótce ani czy w ogóle zechce się z nim widzieć. Wiedziała, że gość był agentem FBI — pokazał jej odznakę — ale zdarzało się już, że pan

Boot kazał czekać ważniejszym personom.

Marjorie Lane zajęła się swoimi obowiązkami, odbieraniem telefonów, pisanem na komputerze, odpowiedziami na e-maile, przez cały czas jednak kątem oka widziała tę postać w czerni, nieruchomą jak posąg z czasów wojny secesyjnej. Mężczyzna chyba nawet nie mrugał powiekami.

Kiedy wreszcie nie mogła już dłużej tego znieść, Marjorie zrobiła coś, czego nie powinna była robić, połączyła się z osobistą sekretarką pana Boota.

— Kathy — rzekła półgłosem. — Ten agent FBI siedzi tu już od blisko dwóch godzin. Naprawdę uważam, że pan Boot powinien go przyjąć.

— Pan Boot jest bardzo zajęty.

— Wiem, Kathy, ale mimo to sędzę, że powinien go przyjąć. Mam złe przeczucie. Zrób to dla mnie, bardzo cię proszę.

— Chwileczkę.

W słuchawce pojawiła się melodyjka. W chwilę potem Marjorie znów usłyszała głos sekretarki.

— Pan Boot ma pięć minut. Marjorie odłożyła słuchawkę.

— Panie Pendergast?

Blade, niemal srebrne oczy spojrzały w jej stronę.

— Pan Boot przyjmie pana.

Pendergast wstał, lekko się uklonił i bez słowa wszedł do gabinetu.

Marjorie westchnęła z ulgą.

Kenneth Boot nachylał się nad stołem kreślarskim, który służył mu za biurko — pracował na stojąco — i dopiero po chwili zorientował się, że agent FBI wszedł do jego gabinetu i usiadł. Dokończył wpisywanie notatki do laptopa, przesłał jej treść sekretarce i odwrócił się, by spojrzeć na

swego gościa.

Zdumiał się. Ten agent FBI nie wyglądał jak Efrem Zimbalist junior, jeden z bohaterów jego dzieciństwa. Prawdę mówiąc, nie mógł chyba bardziej się od niego różnić. Wspaniale skrojony, czarny garnitur, ręcznie szyte, angielskie buty, nie mówiąc już o białej skórze i szczupłych dłoniach. Ten człowiek miał na sobie ubranie za pięć, sześć tysięcy dolarów, nie licząc bielizny. Kenneth Boot na pierwszy rzut oka potrafił rozpoznać markowy ubiór, podobnie jak znał się na dobrych winach, cygarach i kobietach, te warunki musiał spełniać każdy szanujący się prezes amerykańskiej firmy, jeśli nie chciał pozostać w tyle za innymi. Bootowi nie spodobało się, że mężczyzna tak rozgościł się w jego gabinecie. Gość lustrował wzrokiem wnętrze pomieszczenia w niemal obraźliwy dla gospodarza sposób, zupełnie jakby chciał rozebrać gabinet na części pierwsze.

— Panie Pendergast?

Mężczyzna nie spojrzał na niego ani nie odpowiedział. Wciąż lustrował, penetrował i przepatrywał wzrokiem wnętrze gabinetu. Kim był, że tak swobodnie zachowywał się w obecności prezesa ABX, siedemnastej co do wielkości korporacji znajdującej się na nowojorskiej giełdzie?

— Ma pan pięć minut, a jedna właśnie upłynęła — rzekł półgłosem Boot, powracając do stołu i wpisując kolejną notatkę do komputera. Czekał, aż gość się odezwie, lecz mężczyzna milczał jak zakłęty. Boot dokończywszy wpis, spojrzał na zegarek. Minęły trzy minuty.

To naprawdę było denerwujące; ten mężczyzna siedzący w jego gabinecie, sprawiający wrażenie, jakby czuł się swobodnie, odprężony, zrelaksowany, ze wzrokiem utkwionym w boazerię na przeciwległej

ścianie. Patrzył na ścianę. Ale na co konkretnie?

— Panie Pendergast, ma pan jeszcze dwie minuty — mruknął.

Mężczyzna machnął ręką i wreszcie się odezwał.

— Niech pan nie zwraca na mnie uwagi. Kiedy skończy pan swoją pracę i będzie w stanie poświęcić mi niepodzielnie całą swoją uwagę, wówczas porozmawiamy.

Boot obejrzał się przez ramię.

— Lepiej niech pan powie, co ma mi do powiedzenia, agencie Pendergast — rzucił, siląc się na obojętny ton. — Ponieważ została panu już tylko minuta.

Niespodziewanie przybysz spojrział na niego, siła wzroku była tak potężna, że Boot nieomal drgnął nerwowo.

— Skarbiec znajduje się za tamtą ścianą, prawda? — spytał Pendergast.

Boot z trudem zachował niezmacony spokój. Wymagało to ogromnego wysiłku woli. Mężczyzna był świadom, gdzie znajdował się skarbiec korporacji, wiedzieli to jedynie trzej wysocy urzędnicy oraz prezes zarządu firmy. Czy na boazerii widniały jakieś znaki zdradzające miejsce ukrycia skarbcza? Ale przecież przez dziesięć lat nikt nawet nie domyślił się jego istnienia. Czy znajdował się pod obserwacją FBI? To oburzające. Wszystkie te myśli przepląły pod czaszką Boota, ale jego oblicza nie zmącił najdrobniejszy nawet grymas zaniepokojenia.

— Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

Pendergast uśmiechnął się, ale był to sztuczny grymas, jak u dorosłego usiłującego rozbawić dziecko.

— W pańskim fachu, panie Boot, pewne dokumenty muszą być

przechowywane w ściśle strzeżonym i poufnym miejscu. Te dokumenty stanowią swego rodzaju klejnoty koronne pańskiej firmy. Mam, rzecz jasna, na myśli mapy nadzoru i kontroli sejsmicznej formacji Anadarko. Mapy te wskazują miejsca, w których znajdują się złoża ropy naftowej oraz gazu ziemnego, zdobycie ich sporo pana kosztowało. Jako że jest pan człowiekiem, który nie ufa nikomu, oczywiście wydaje się, że sejf powinien znajdować się w pańskim biurze, gdzie mógłby pan stale mieć go na oku. Zastanówmy się dalej — na trzech ścianach wiszą drogie płótna starych mistrzów. Na tej części czwartej ściany zaś widnieją obrazy znikomej wartości. Obrazy, które można przesuwac i zdejmować bez obawy, że coś im się stanie. Stąd moje przypuszczenie, że właśnie za tą ścianą umieszczony został pański skarbiec.

Boot wybuchnął śmiechem.

— Uważa się pan za współczesnego Sherlocka Holmesa, nieprawdaż?

Pendergast także się zaśmiał.

— Z całym szacunkiem, chciałbym prosić pana, panie Boot, i, rzecz jasna, pragnąłbym, aby uczynił pan to dobrowolnie — o otwarcie sejfu i przekazanie mi dokumentów oraz map badań sejsmologicznych hrabstwa Cry w Kansas. Chodzi mi o ostatnie badania, zakończone w roku 1979.

Boot stwierdził, że trudno jest mu nad sobą zapanować. Mimo to jak zawsze, tak i tym razem mu się udało. Dawno temu nauczył się, że cichy głos brzmi groźniej niż krzyk, toteż przemówił teraz ledwie słyszalnym szeptem.

— Panie Pendergast, jak sam pan stwierdził — te dokumenty, gdziekolwiek miałyby się one znajdować, stanowią klejnoty koronne ABX. Są w nich zawarte informacje geologiczne z okresu ostatnich

trzydziestu lat badań sejsmologicznych i związanych z nimi spekulacji, których koszt waha się w granicach pół miliarda dolarów. A pan chce, abym tak po prostu je panu oddał? — Uśmiechnął się lodowato.

— Jak już wspomniałem, chciałbym, aby zrobił pan to z własnej woli. Nie mam nakazu polecającego panu wydanie w moje ręce tych dokumentów.

Ten człowiek nie miał już żadnych atutów, których mógłby użyć, żadnego asa z rękawa, o czym sam nieopatrznie go poinformował. To był jakiś żart — a może sztuczka. W całej tej sprawie było coś dziwnego i — choć Boot przyznawał to z niechęcią, również niepokojącego. Wysilił się na życzliwy uśmiech.

— Przykro mi, że nie mogę spełnić pańskiej prośby, panie Pendergast. Jeśli nie ma pan do mnie żadnych innych spraw, pozostaje mi życzyć panu miłego dnia.

Znów zajął się pisaniem kolejnej notatki. Jednak czarna postać, którą widział kątem oka, nawet nie drgnęła.

Boot odezwał się znowu, nie odrywając wzroku od ekranu laptopa.

— Panie Pendergast, za dziesięć sekund stanie się pan osobą niepożądaną intruzem i będę zmuszony wezwać ochronę, aby wyprowadziła pana z mego gabinetu.

Odczekał dziesięć sekund, po czym wcisnął guzik interkomu, by połączyć się z sekretarką.

— Kathy, wezwij ochronę, aby odprowadziła pana Pendergasta do wyjścia. Natychmiast. — Boot podjął przerwana pracę. Mimo to, uderzając w klawisze, wciąż widział tego upartego, złośliwego skurwiela, który siedział jak gdyby nigdy nic, stukając palcem wskazującym w

oparcie fotela i rozglądając się leniwie dokoła, jakby znajdował się w poczekalni u lekarza. Bezczelny drań.

Rozległ się brzęczyk interkomu.

— Jest już ochrona, panie Boot.

Zanim Boot zdążył odpowiedzieć, mężczyzna błyskawicznie, z kocią zwinnością, podniósł się z fotela i podszedł miękkim krokiem do stołu kreślarskiego. Boot spojrział na niego, ale głos uwiązł mu w gardle, gdy zobaczył wyraz malujący się na bladej jak płótno twarzy agenta.

Pendergast nachylił się i wyszeptał mu wprost do ucha numer:

— 2300576700.

Przez chwilę Boot wydawał się zdezorientowany, ale ten numer brzmiał znajomo. Nie mógł go jednak skojarzyć. Zimne ciarki przeszły mu po krzyżu. W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu weszło trzech strażników z ochrony. Zatrzymali się, z dłońmi na kolbach pistoletów.

— Czy to ten człowiek, panie Boot?

Boot spojrział na nich, był bliski paniki, jego umysł wypełniała pustka.

Pendergast uśmiechnął się i nonszalancko machnął ręką, dając znak, że powinni opuścić gabinet.

— Panowie, wybaczenie, ale pan Boot nie będzie potrzebować waszej pomocy. Pragnie równocześnie przeprosić, że was fatygował. Gdybyście byli panowie tak uprzejmi i wychodząc, zechcieli zamknąć za sobą drzwi na klucz — ciągnął Pendergast. — Proszę również, abyście powiadomili sekretarkę, by przez następne dziesięć minut nie łączyła tu żadnych rozmów ani nie wpuszczała gości. Będziemy potrzebować odrobiny prywatności.

Ochroniarze ponownie spojrzeli na Boota, oczekując na potwierdzenie z jego strony.

— Tak — mruknął Boot. — Potrzeba nam teraz odrobiny prywatności.

Mężczyźni wycofali się, szcęknął klucz przekreślony w zamku i w całym gabinecie zapadła głucha cisza. Pendergast odwrócił się do prezesa firmy ABX i zagadnął go pogodnym tonem.

— A teraz, drogi panie Boot, może powrócilibyśmy do naszej przerwanej rozmowy o klejnotach koronnych?

Pendergast zmierzał w kierunku swego rolls-royce'a z długą, kartonową tubą pod pachą. Odblokował drzwi, położył tubę na fotelu pasażera i wślizgnął się do nagrzanego wnętrza. Uruchomiwszy silnik, zaczął, aż wewnątrz auta trochę się ochłodzi, a przez ten czas pospiesznie przejrzał zawartość tuby, aby upewnić się, że zdobył to, o co mu chodziło.

Było tego więcej, niż się spodziewał. Teraz wszystko z grubsza zaczynało łączyć się w zwartą całość — wzgórza Mounds, Legenda o Widmowych Wojownikach, Masakra Czterdziestu Pięciu i niewytłumaczalne posunięcia seryjnego zabójcy. To tłumaczyło nawet wysmienitą jakość wody w Medicine Creek i okazało się, że właśnie ten szczegół łączył ze sobą poszczególne elementy skomplikowanej układanki. Tak jak tego oczekiwał — a raczej miał nadzieję — wszystko było tu, na tych mapach, planach i dokumentach dotyczących badań wydobywania ropy naftowej. Miał odpowiedzi wypisane czarno na białym czy — jak w tym przypadku — niebiesko na białym.

Ale wszystko po kolei. Sięgnął po telefon, wcisnął opcję szyfrowania przekazu i wybrał numer z poprzedzającym go numerem kierunkowym Cleveland w Ohio. Błyskawicznie uzyskał połączenie, ale dopiero po

dłuższej chwili usłyszał bardzo cichy głos z drugiego końca łącza.

— I jak?

— Dziękuję, Mimie. Numer z Kajmanów spełnił swoje zadanie.

Spodziewam się, że nasz obiekt czeka teraz co najmniej kilka nieprzespanych nocy.

— Cieszę się, że moja pomoc nie poszła na marne. — Rozległ się suchy trzask.

Pendergast odłożył telefon i ponownie spojrzął na mapę, skupiając całą uwagę na przedstawionym na niej skomplikowanym labiryncie podziemnych jaskiń i tuneli.

— Doskonale — mruknął pod nosem.

Jednak wędrówka pamięci nie okazała się porażką. Wręcz przeciwnie, jak potwierdziła to mapa, którą trzymał w ręku, odbyta przez niego mentalna podróż zakończyła się niespodziewanie wielkim sukcesem. Po prostu nie zdołał jej właściwie zinterpretować. Zrolował mapę i wsunął do tuby, po czym zamknął pojemnik kartonowym, nakładanym wieczkiem.

Teraz wiedział już, skąd przybyli Widmowi Wojownicy — i co więcej, wiedział również, dokąd odeszli.

CZTERDZIEŚCI PIĘĆ

W Nowym Jorku było ciepłe, słoneczne popołudnie. Jednak w przesyconych osobliwą wonią podziemiach pod rezydencją przy Riverside Drive panowała wieczna noc.

Mężczyzna znany jako Wren maszerował przez piwniczne pomieszczenia, chudy i drobny jak ulotna zjawa. Żółte światło jego górniczego kasku przenikało aksamitny mrok, omiatając napotykaną po drodze drewnianą i metalową regałami. Tu i ówdzie połyskiwały miedzie i spiże, światło odbijało się też w taflach witrażowego szkła.

Po raz pierwszy od wielu dni Wren nie niósł pod pachą notatnika z podkładką. Zostawił go wraz z laptopem kilka izb dalej, skąd potem zabierze je na górę. Po ośmiu tygodniach wyczerpującej, fascynującej pracy zakończył właśnie katalogowanie zawartości gabinetu osobliwości, zlecone mu przez Pendergasta. Zbiór okazał się naprawdę niezwykły, jeszcze bardziej zdumiewający, niż się wydawało agentowi federalnemu. Było tu mnóstwo różnorodnych rzeczy, a wszystkie w najlepszym gatunku, począwszy od klejnotów i drogich kamieni, poprzez skamieliny, szlachetne metale, motyle, rośliny, po zwierzęta należące do wymarłych gatunków, monety, broń i meteoryty. Każda z izb, każda nowa półka i szuflada zawierały coś zdumiewającego, niezwykłego, w najgorszym razie niepokojącego. Był to bez wątpienia najwspanialszy gabinet osobliwości, jaki kiedykolwiek powstał.

Jaka szkoda, że szansa, iż zawartość tych zbiorów zostanie

kiedykolwiek udostępniona szerszej publiczności, była niemalże równa zeru. A na pewno nie stanie się to w tym stuleciu. Poczł pod sercem ukłucie zazdrości, że wszystkie te rzeczy miały należeć do Pendergasta, a nie do niego.

Wren szedł powoli przez ciemne pomieszczenia, przechodził z jednego do drugiego, popatrując na lewo i prawo, by mieć pewność, że wszędzie panował nienaganny porządek. Nie mógł niczego przeoczyć czy zostawić w niewłaściwym miejscu. W końcu dotarł do celu. Przystanął. Promień jego latarki czołówki padł na istny szklany las, były tu zlewki, retorty, naczynia do miareczkowania, pojemniki i szklane rurki, wszystkie odbijały światło z długich, mrocznych prostokątów tuzina stołów laboratoryjnych. Żłocisty promień padł w końcu na drzwi w przeciwległej ścianie laboratorium. Za progiem znajdowały się ostatnie z pomieszczeń, do których Pendergast stanowczo zabronił mu wchodzić.

Wren odwrócił się, spoglądając w głąb mrocznych, zdobionych gobelinami izb, przez które dotarł aż tutaj. Ta długa wędrówka przypominała mu poniekąd Maskę czerwonego moru Poego, w której książę Prospero urządził bal w kilkunastu połączonych ze sobą komnatach, z których każda kolejna była bardziej fantastyczna, niezwykła i makabryczna od poprzedniej. Ostatnia komnata — sala śmierci, była czarna, a jej okna pomalowano na kolor krwi.

Wren ponownie rozejrzał się po laboratorium, kierując światło ku niedużym, zamkniętym drzwiom w przeciwległej ścianie. Podczas katalogowania często zastanawiał się, co się za nimi znajdowało. Ale może to i lepiej, że tego nie wiedział. Co więcej, pragnął jak najszybciej wrócić do biblioteki, gdzie czekał na niego wyjątkowo rzadki dziennik. Praca nad

nim pozwalala mu choćby na pewien czas zapomnieć o tej dziwnej i niepokojącej kolekcji.

... I znów to samo — szelest materiału, echo delikatnych kroków. Jak gdyby ktoś się skradał.

Wren przez całe życie pracował w mrocznych, cichych piwnicach i miał wyjątkowo wyczulony słuch. Od czasu do czasu, gdy pracował w tych podziemiach, zdarzało mu się słyszeć ten zagadkowy szelest i przytłumione odgłosy kroków. Przytrafiało się to zbyt często, aby dźwięki te mogły być wytworem jego wyobraźni. Kiedy się odwrócił i zaczął przemierzać ciemne izby, wsunął dłoń do kieszeni laboratoryjnego fartucha i zacisnął palce na rękojeści noża introligatorskiego. Ostrze było nowe i wyjątkowo ostre.

Odgłosy stóp zdawały się towarzyszyć mu przez całą drogę, jak gdyby ktoś pragnął dotrzymać mu kroku.

Wren jakby od niechcienia spojrział w stronę, skąd dobiegały dźwięki. Dochodziły najwyraźniej zza potężnych, dębowych regałów stojących wzdłuż ściany po prawej.

Piwniczne pomieszczenia tworzyły istny labirynt, ale Wren przez dwa miesiące pracy tutaj zdołał dość dobrze je poznać. I wiedział, że rząd tych regałów kończył się przy poprzecznej ścianie. To była ślepa uliczka.

Szedł dalej, aż dotarł niemal do końca pomieszczenia. Miał przed sobą sporych rozmiarów, ciężki, gruby gobelin, przesłaniający wejście do sąsiedniej izby.

Nagle z szybkością atakującego ichneumona Wren rzucił się w prawo, stając pomiędzy ostatnim z regałów a ścianą. Wyciągając skalpel z kieszeni i dźgając nim przed siebie, poświecił czołówką w czerń za

regałami.

Nic. Kompletnie pusto.

Kiedy jednak wsuwał nóż na powrót do kieszeni i odstępował od ściany, usłyszał aż nadto wyraźnie tupot oddalających się, biegnących kroków. Kroki te były lekkie i niewiarygodnie szybkie, jak kroki dziecka.

CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ

Corrie przejechała powoli obok domu Krausów, taksując z góry na dół

szpetny budynek. Przypominał rezydencję Rodziny Addamsów. Tej wścibskiej staruchy nigdzie nie było widać, zapewne znów coś jej dolegało i położyła się do łóżka. Samochód agenta Pendergasta także gdzieś zniknął, tak więc całe to miejsce wyglądało na opustoszałe, gdy tak trwało skąpane w upale, pośród pól złocącej się kukurydzy. Na niebie pojawiało się coraz więcej złowrogo wyglądających burzowych chmur. W radiu coraz częściej podawano ostrzeżenia przed możliwością wystąpienia tornad, zagrożona była cała okolica od Dodge aż po granicę Kolorado. Gdy dziewczyna spojrzała ku wschodowi, zobaczyła niebo czarne i niewzruszone jak wykute z kamienia. Nieważne. Za kwadrans wyjdzie z jaskini. Tylko się tam rozejrzy, nic więcej.

Czteryście metrów za domem Krausów Corrie wprowadziła samochód na polną drogę. Zatrzymała wóz w takim miejscu, by nie można go było zobaczyć od strony szosy. Ponad łanami kukurydzy widziała ganek na szczycie domu Krausów, jeśli podejdziesz do jaskini przez pole, nikt jej nie zauważy.

Zastanawiała się przez chwilę, czy postępuje właściwie, kręcąc się tak po polu. Zaraz jednak przypomniała sobie słowa Pendergasta, jakoby zabójca miał działać wyłącznie nocami.

Schowała latarkę do kieszeni, wysiadła z auta i zamknęła drzwi. Następnie ścieżką między łanami ruszyła w kierunku jaskini.

Było potwornie duszno, prawie nie mogła oddychać. Kukurydza wysychała, jako surowiec do produkcji biopaliw zbierano ją dopiero, gdy całkiem wyschła, a Corrie przez chwilę zastanawiała się, co by się stało, gdyby na polach wybuchł pożar. Z tą myślą dotarła do połamanego płotu oddzielającego dom Krausów od okolicznych pól.

Ruszyła wzdłuż ogrodzenia, aż znalazła się na tyłach domu. Obejrzała się pospiesznie za siebie, na wypadek gdyby staruszka pojawiła się w którymś z okien, wszystkie jednak pozostawały ciemne i puste. Ten dom ją przerażał, na sam jego widok przechodziły ją lodowate ciarki. Stał tak niszczący, samotny, rysując się na tle ciemniejącego nieba, a z tyłu za nim wznosiły się sylwetki dwóch gruzłowatych, martwych drzew. Słabe promienie słońca wciąż oświetlały mansardowe dachy i okrągłe okienka. Jeszcze gdy tak patrzyła, cień nadciągającego frontu burzowego spowił łany kukurydzy jak narzucony na nie koc i dom widniejący na tle mrocznego nieba pociemniał jeszcze bardziej. Poczwała w powietrzu zapach ozonu, duchota stała się jeszcze bardziej dokuczliwa. Zapowiadało się na solidną burzę, gwałtowniejszą, aniżeli wcześniej przypuszczała. Oby zdążyła zrobić, co sobie zaplanowała, zanim rozpęta się piekło.

Odwróciła się i pomaszerowała ścieżką wiodącą do jaskini, skulona, przygarbiona, na wypadek gdyby stara pani Kraus wyjrzała przez któreś z okien na piętrze. Chwilę potem znalazła się w otworze w ziemi i podeszła do żelaznych drzwi.

Przyjrzała się uważnie ziemi przy drzwiach, ale nie dostrzegła na niej świeżych śladów. Od kilku dni nikogo tu nie było. Poczwała jednocześnie ulgę i rozczarowanie, zabójca, jeśli faktycznie przebywał w środku, musiał ulotnić się już dawno temu, lecz brak śladów na piasku mógł wskazywać, iż jej teoria nie była warta funta kłaków. Mimo to, skoro już tu dotarła, mogła przynajmniej zajrzeć do środka.

Raz jeszcze obejrzała się przez ramię, po czym schyliła się, aby obejrzyć wiszącą na drzwiach kłódkę. Doskonale, to był stary, prosty model z rodzaju tych, które produkuje się od stu lat i które od dawna nie

podlegają żadnym unowocześnieniom. Taka sama wisiała na drzwiach frontowych jej przyczepy, i to na niej wstępnie ćwiczyła. Takie same kłódki znajdowały się też na szafkach w liceum. Uśmiechnęła się, przypominając sobie pięknie zapakowane pudełko pełne końskiego łajna, które podrzuciła ongiś do szafki Brada Hazena z liścikiem i pojedynczą różą. Nigdy się nie domyślił, kto wyciął mu taki kawał.

Najpierw mocno szarpnęła kłódką, musiała upewnić się, że faktycznie była zamknięta. To podstawowa zasada przy pokonywaniu każdego zamka czy kłódki — po co masz męczyć się z narzędziami, skoro może okazać się, że nie są wcale potrzebne.

Była zamknięta. „Do dzieła” — pomyślała Corrie.

Wyjęła z kieszeni zielone, filcowe zawiniątko i starannie je rozłożyła. Wewnątrz znajdował się zestaw prostych wytrychów, które wykonała po cichu na zajęciach praktyczno-technicznych w szkolnym warsztacie. Wzięła wytrych, który jej zdaniem powinien najlepiej pasować, i włożyła go do otworu kłódki, naciskając i usiłując przekręcić znajdujące się wewnątrz bębny zapadkowe. Wiedziała, że sztuka otwierania zamków polega w gruncie rzeczy na odkryciu mechanicznych defektów każdego z nich, poszczególne bębny zapadkowe nigdy nie były idealnie tej samej wielkości, a nawet najdrobniejszą różnicę rozmiarów i szerokości można było wykorzystać w celu ich pokonania. Następnie zagłębiwszy wytrych w otworze kłódki, spróbowała dzięki naciskowi na zapadki odnaleźć najgrubszą z nich. Ta powinna chodzić najciężej. Jako że to najgrubsza zapadka zwalnia zamek w momencie przekręcenia w nim klucza, najważniejsze było, aby uporać się z zapadkami w kolejności od najgrubszej do najcieńszej i ustawić je według grubości. Tak też uczyniła,

powoli, mozolnie gmerając wytrychem w zamku. Odnalazłszy najgrubszą zapadkę, skupiła się z kolei na najcieńszej, powtarzając tę czynność jak w poprzednim przypadku, a potem jeszcze raz, ostrożnie, delikatnie wyczuwając przy nacisku wytrycha różnice w grubości zapadki. Wreszcie usłyszała miły dla ucha szcęk, szarpnęła mocno i kłódka otworzyła się.

Corrie cofnęła się i uśmiechnęła się z dumą. Nie mogła się powstrzymać. Otwieranie zamków nie szło jej zbyt szybko, poza tym istniały jeszcze inne techniki ich pokonywania, których nie zdążyła sobie na razie przyswoić, ale jakoś dała radę. Szkoda, że Pendergast nie może być dumny z jej nowej umiejętności. Lecz czy aby na pewno?

Chowając wytrychy z powrotem do kieszeni, zdjęła kłódkę i odłożyła ją na bok. Skrzypnęły zardzewiałe zawiasy u drzwi. Corrie stanęła w progu, wahała się przez chwilę. Stojąc w ciemnościach, zastanawiała się, czy powinna zapalić światło w jaskini, czy raczej włączyć latarkę. Gdyby zjawiała się tu Winifreda Kraus, z pewnością zauważyłaby światło i Corrie wpadłaby jak śliwka w kompot. Z drugiej jednak strony, było już po trzeciej, o tej porze nigdy nie oprowadzano tu wycieczek, zgodnie z tym, co głosił napis przy wejściu, a poza tym Corrie nie spodziewała się, aby od czasu wizyty Pendergasta Winifreda Kraus miała okazję kogokolwiek tu oprowadzać. Wątpliwe, aby wścibska baba zechciała w taki dzień ruszyć się z domu. Przecież zbierało się na burzę. Poza tym ciemność za bardzo ją denerwowała. Lepiej oszczędzać baterie.

Dotknęła dłonią wilgotnej, kamiennej ściany, namacała przełącznik i przekręciła go.

Minęło wiele lat, odkąd była w tej jaskini. Zabrał ją tu kiedyś ojciec, miała wtedy jakieś sześć, może siedem lat, to było na krótko przed tym,

jak się ulotnił.

Stała jeszcze przez chwilę w bezruchu, kierując wzrok w głąb przepastnego tunelu. W końcu ruszyła po wapiennych stopniach, a odgłos podeszew jej martensów odbijał się gromkim echem od kamiennych ścian.

Po długim marszu dotarła do drewnianego chodnika, który zniknął między stalaktytami i stalagmitami. Corrie zapomniała już, jak dziwne to było miejsce. W dzieciństwie była tu w towarzystwie dorosłych. Teraz otaczała ją wyłącznie cisza. Ruszyła ostrożnie naprzód, żałując, że jej buty tak głośno tupią o drewniany chodnik. Gołe żarówki zwieszające się z nierównego sklepienia rzucały widmowe cienie na ściany. Po obu stronach wznosił się las strzępiastych, ostrych stalagmitów. Słyszeć było jedynie odgłos stąpania dziewczyny i kapanie kropel wody, dochodzące gdzieś z oddali.

Może jednak nie powinna tu była przychodzić. Nikogo tu nie było. Na piasku zalegającym deski chodnika prócz śladów jej butów nie było żadnych innych. Nie ulegało wątpliwości, że od dobrych paru dni nikt tu nie zaglądał. Ostatnią osobą był zapewne oprowadzany przez Winifredę agent Pendergast.

Corrie przeszła pospiesznie przez pierwszą jaskinię, prześlizgnęła się przez wąską szczelinę i weszła do sąsiedniej pieczary. Niemal natychmiast przypomniała sobie jej nazwę — Biblioteka Olbrzyna. Pamiętała, że jako dziecko naprawdę sądziła, że to miejsce było biblioteką olbrzyna. Nawet teraz musiała przyznać, że te formacje skalne wyglądały zdumiewająco realistycznie.

Nadal jednak czuła się niepewnie pośród panującej dokoła ciszy i półmroku, toteż czym prędzej pomaszerowała dalej. Minęła Bezdenną

Otchłań i dotarła do Sadržawki Nieskończoności, połyskującej w świetle osobliwym, zielonkawym blaskiem. Wycieczki kończyły się w tym miejscu, dalej się już nie szło, stąd wszyscy zawracali do Kryształowej Katedry. Dalej była już tylko ciemność.

Corrie zapaliła latarkę i spróbowała przeniknąć wzrokiem mrok poza chodnikiem, lecz bez powodzenia.

Przeszła przez drewniany płotek i stanęła na skraju sadzawki. W ścianach jaskini, którą zostawiła za sobą, nie dostrzegła żadnych otworów czy wejść. Jeśli było coś dalej, musiała przejść przez sadzawkę, aby to odnaleźć.

Usiadła na chodniku, rozwiązała sznurówki butów, zzuła je, zdjęła skarpetki, wetknęła zrolowane do martensów, po czym związała sznurowadła razem. Trzymając buty w jednym ręku, niepewnie zanurzyła w sadzawce duży paluch stopy. Woda była piekielnie zimna i głębsza, niż jej się wydawało. Przeszła przez sadzawkę, najszybciej jak potrafiła, i wygramoliła się na drugi brzeg. A niech to, teraz miała mokre nogi. Przeszła kawałek pieszko i omiotła promieniem latarki ścianę przy brzegu sadzawki. Z prawej strony dostrzegła niski tunel. Podłoże było z miękkiego wapienia, mocno wydeptane, najwyraźniej ktoś często korzystał z tego przejścia. Była na właściwym tropie.

Usiadła na wapiennym występie, naciągnęła skarpety na wilgotne stopy, włożyła buty i związała sznurowadła. Powinna była jednak wziąć stare trampki.

Wstała i podeszła do wylotu tunelu. Musiała się schylić, sklepienie znajdowało się na wysokości półtora metra, a nieco dalej jeszcze bardziej się obniżało. Po ziemi płynęła strużka wody. Niebawem sklepienie znów

się podniosło, a sam tunel zakrecał ostro w prawo. Światło latarki padło na żelazne drzwi z kłódką, taką samą jak ta, którą sforsowała niedawno.

„A więc to tutaj. To musi być droga do starej bimbrowni” — pomyślała Corrie.

Ponownie wyjęła swoje wytrychy i zabrała się do pracy. Z jakiejś przyczyny — zapewne z powodu kiepskiego oświetlenia, a może zziębniętych palców — pokonanie tej kłódki zajęło jej nieco więcej czasu. Jednak po kilku minutach usłyszała znajomy trzask. Bezgłośnie zdjęła kłódkę, odłożyła ją na bok i otworzyła drzwi na oścież.

Przystanęła u wejścia i rozejrzała się niepewnie dokoła, przyświecając sobie latarką. Miała przed sobą ciemny korytarz wykuty w litej skale, o gładkich, z lekka fosforyzujących ścianach. Przeszła nim około trzydziestu metrów, omiatając ściany światłem latarki, aż w końcu dotarła do rozległej pieczary. Nie była ona tak niezwykła jak te, które zostawiła za sobą, ot, kilka niskich stalagmitów wznoszących się z nierównego podłoża. W pieczarze było chłodno, a w powietrzu unosił się swąd dymu. Dymu i czegoś jeszcze, czegoś obrzydliwego. Poczowała podmuch chłodnego powietrza wiejącego od otwartych drzwi i to sprawiło, że zjeżyły się jej włoski na karku. To musiało być to, stara bimbrownia.

Weszła w głąb mrocznej jaskini i nagle w świetle latarki coś zabłysło matowo, metalicznie. Zrobiła jeden, potem drugi krok w tę stronę. Ujrzała wielki kształt kotła destylacyjnego, niemal legendarnego reliktu minionej epoki, ogromne miedziane naczynie na trójnogu, pod którym widać było popiół, pozostałości starego ogniska. Na półce nad podłożem leżało kilka drewnianych szczap. Górna część kotła, z miedzianymi rurkami, została zdjęta i na wpół zniszczona wałała się nieopodal. Wokoło leżały też inne,

mniejsze naczynia, porozrzucane na ziemi.

Dziewczyna przystanęła, by przyświecając sobie latarką, rozejrzeć się po jaskini. Na podłodze, obok przeżartej pleśnią karty do gry — asa, jak zauważyła Corrie, leżały szczątki starego krzesła. W kącie dostrzec można było stos potłuczonych butelek i słoików oraz jakieś bliżej niesprecyzowane, pokryte pleśnią resztki. Wyobrażała sobie mężczyzn, którzy musieli tu kiedyś przebywać, rozpalających ognisko, grających w karty, popijających wino i palących papierosy.

Poświeciła latarką w górę. W pierwszej chwili niczego nie dostrzegła, sklepienie było tak czarne. Zauważyła jednak kilka pokruszonych stalaktytów i pajęczynę pęknięć, przez które zapewne dym wydobywał się na zewnątrz. Tak czy owak, nie wydostawał się stąd dostatecznie szybko, w chłodnym powietrzu z jej ust wypływały białe obłoczki pary.

Podeszła do stojącego na trójnogu kotła. Był dostatecznie duży, by można w nim ugotować człowieka. W tej wilgoci ciężko było stwierdzić, czy ktoś z niego ostatnio korzystał. Czy swąd dymu, unoszący się w powietrzu, mógł pochodzić jeszcze z czasów, gdy pędzono tutaj bimber? Nie była pewna. No i jeszcze ten ohydny smród. Nie tyle fetor zgnilizny, ile coś znacznie gorszego. Ten sam odór zepsutego mięsa, który poczuła na miejscu zbrodni.

Corrie przystanęła. Nagle ogarnęło ją przerażenie. Przyszła tu, aby sprawdzić, czy w jaskini wciąż znajdował się stary kocioł destylacyjny. I był tutaj. Powinna czym prędzej wziąć nogi za pas. Teraz nie miała już wątpliwości, że nie powinna była tu przychodzić.

Przełknęła ślinę. Znowu upomniała samą siebie, że skoro już tu dotarła, mogła dokończyć inspekcji. To potrwa nie więcej niż pięć sekund.

Podkraǳła się na paluszkach i zajrzała do kotła. Gdy poświeciła latarką do wewnątrz, poczuła ǳawiącą woń zjełczanego tłuszczu.

Na dnie kotła leżało coś bladego, prawie przezroczystego jak macica perłowa.

Ludzkie ucho.

Corrie z jękiem obrzydzenia cofnęła się o dwa kroki od kotła, latarka wypadła jej z ręki, spadła na twarde wapienne podłóże i potoczyła się w ciemny kąt. Żółty promień przez chwilę oświecił na przemian kamienne podłóże i sklepienie, aż w końcu latarka z ciężkim stukotem zatrzymała się pod przeciwległą ścianą.

W chwilę potem zgasła i w jaskini zapanowały egipskie ciemności.

„Cholera” — pomyślała Corrie. „Cholera, cholera”.

Następnie na czworakach, bardzo powoli zaczęła przesuwać się naprzód w stronę, gdzie potoczyła się latarka, macając dłońmi po omacku, aby ją odnaleźć. Niebawem dotknęła palcami kamiennej, szorstkiej ściany jaskini. Znów zaczęła wodzić dłońmi w jedną i w drugą stronę, szukając latarki.

Ale jej tam nie było.

Dziewczyna przełknęła ślinę i przykucnęła. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie spróbować po ciemku poszukać drogi wyjścia z jaskini. Była jednak zbyt kręta, łatwo można się zgubić. Spróbowała stłumić w sobie narastającą panikę. Odnajdzie latarkę. Musiała odbić się od ściany i potoczyła się kawałek dalej. Znajdzie ją, a potem znów zapali i wydostanie się stąd jak najprędzej.

Ruszyła wzdłuż ściany, najpierw w lewo, a potem w prawo, macając dłońmi po ziemi.

Ani śladu latarki.

Może poszła nie w tę stronę. Powoli przypełzła z powrotem do miejsca, skąd zaczęła poszukiwania i spróbowała raz jeszcze, pełznąć w kierunku, gdzie — jak pamiętała — poturlała się latarka. Mimo to jednak i tym razem jej poszukiwania zakończyły się niepowodzeniem.

Latarka zniknęła.

Z przyspieszonym oddechem wróciła na środek jaskini. A przynajmniej Corrie wydawało się, że znalazła się pośrodku, w tych egipskich ciemnościach coraz szybciej traciła orientację. „W porządku” — pomyślała. „Nie ruszaj się przez chwilę, weź się w garść”. No dobrze, zrobiła głupio, przychodząc tu tylko z jedną latarką i bez zapalek. Ale jaskinia, którą odwiedziła, gdy była dzieckiem, nie była duża i miała tylko jedno główne wejście — a może tylko tak się jej wydawało? Nie pamiętała żadnych bocznych odnóg korytarzy, choć, rzecz jasna, wtedy nie miała okazji zapuścić się aż tak daleko.

Jej serce biło tak szybko, że prawie nie mogła oddychać. „Uspokój się” — pomyślała. Pora zapomnieć o latarce. Pewno i tak się zepsuła przy uderzeniu o ziemię. Teraz najważniejsze było wydostać się stąd, nie stać w miejscu, w przeciwnym razie ogarnie ją panika. Dzięki Bogu, nie zamknęła drugich drzwi, a w głównej jaskini wciąż paliło się światło. Wystarczy wyjść z tej pieczary i wrócić korytarzem do pomieszczeń dla zwiedzających.

„Idiotka, idiotka, idiotka...” — karciała się w duchu.

Przez chwilę zastanawiała się, gdzie powinno znajdować się wyjście z tej pieczary. Następnie powoli, ostrożnie popęzła naprzód. Podłoże było chłodne, szorstkie, nierówne, pełne drobnych, tłustych kamyczków i kałuż.

W tej nieprzeniknionej ciemności było naprawdę strasznie. Corrie nie przypominała sobie, aby kiedyś przebywała w równie ciemnym miejscu. Nawet w najczarniejszą noc świeci zwykle księżyc albo gwiazdy... Jej serce zaczęło bić jeszcze szybciej niż dotychczas.

Wtem uderzyła w coś głową. Wyciągnęła rękę i poczuła pod palcami metalową powierzchnię kotła. Wpełzła w sam środek popiołów z dawnego ogniska.

A zatem zmierzała w całkiem przeciwnym kierunku. Popęźnie wzdłuż ściany — tą drogą prędzej czy później dotrze do wyjścia. Gdy znajdzie się w tunelu, będzie się czołgać, jedną ręką dotykając ściany, aż odnajdzie żelazne drzwi. Stamtąd już bez trudu zdoła znaleźć drogę do Sadzawki Nieskończoności, dotrze tam nawet po ciemku, była o tym przekonana. A dalej będzie już z górki, w jaskini Krausa paliło się przecież światło, a chodnik doprowadzi ją do wyjścia. „To niedaleko” — powtarzała w myślach. „To nie tak daleko...”

Zmuszając się do choćby odrobiny rozluźnienia, zaczęła pełznąć naprzód, przesuwając lewą ręką po ścianie — przesunięcie, zatrzymanie, przesunięcie, zatrzymanie i jeszcze raz to samo. Trzy, cztery, pięć. Jej serce biło teraz ciut wolniej niż dotychczas.

Rąbnęła głową w stalagmit, spróbowała odzyskać orientację. Z niejaką ulgą stwierdziła, że wyjście powinno znajdować się dokładnie na wprost niej. Czołgała się dalej, wodząc jedną ręką po podłożu, a drugą po ścianie. Sześć, siedem, osiem.

W ciemnościach jej dłoń dotknęła czegoś ciepłego.

Odruchowo cofnęła rękę. W chwilę potem ogarnęły ją zdziwienie i strach. Czy to jakieś stworzenie zamieszkujące w jaskini, szczur albo może

nietoperz? A może to tylko wytwór jej wybuchającej wyobraźni?

Czekała. Kompletna cisza. Żadnego ruchu. Znow wyciągnęła rękę.

To było ciepłe, nagie, bezwłose i wilgotne.

Cofnęła się, z jej ust dobył się zduszony jęk. Woń czegoś brudnego i nieopisanie plugawego rozeszła się w powietrzu, wdzierając się do jej nozdrzy. Czy ten hałas to jej własny oddech? Tak, z przerażenia była bliska hiperwentylacji. Zacisnęła zęby, zamruwała powiekami, usiłując rozproszyć ciemność i odzyskać kontrolę nad sercem wrywającym się z jej piersi.

To coś, czego dotknęła, nawet nie drgnęło. Zapewne to tylko jakaś osobliwa wypukłość podłoża. Jeśli nie przewalczy nękających ją koszmarów, nigdy nie wydobędzie się z tej jaskini.

Wyciągnęła rękę i znow otarła się o to coś. Było ciepłe, nie uroiła sobie tego, zapewne to efekt jakiegoś zjawiska geotermalnego, wulkanicznego lub czegoś w tym rodzaju. Dotknęła tego raz jeszcze, przesuując palcami po dziwacznych wypukłościach. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że dotyka gołej stopy o długich, połamanych paznokciach.

Wolno, bardzo wolno cofnęła rękę. Jej dłoń drżała tak mocno, że nie była w stanie nad tym zapanować, każdemu oddechowi wydostającemu się z jej ust towarzyszył przeciągły, ochrypły świst. Spróbowała przełknąć ślinę, ale miała kompletnie sucho w ustach.

I właśnie wtedy z ciemności dobiegł piskliwy, śpiewny, sepleniący głos, przywodzący na myśl nieudolne naśladownictwo ludzkiej mowy:

— Popafis sie ze mnom?

CZTERDZIEŚCI SIEDEM

Hazen rozsiadł się wygodnie w miękkim fotelu, lekko dotykając koniuszkami palców polakierowanego drewnianego blatu stołu konferencyjnego. Po raz kolejny zachodził w głowę. Dlaczego policji w Medicine Creek nie było stać na biuro szeryfa z miętymi, miękkimi fotelami albo stołem takim jak ten. Ale nagle przyszło mu do głowy, że biuro szeryfa z Deeper, jak wszystkie inne instytucje w tym mieście, funkcjonowało dzięki pożyczkom. Przynajmniej jego wydział rokrocznie wychodził na czysto. Czas Medicine Creek jeszcze nadejdzie, poniekąd dzięki niemu.

W tle słyszał głos Hanka Larssena, ale prawie nie zwracał nań uwagi. Uznał, że lepiej będzie, jeśli pozwoli szeryfowi z Deeper wygadać się do woli. Spojrzał ukradkiem na zegarek. Siódma. Sporo dziś załatwili, poczynili olbrzymie postępy. Co się tyczy jego, miał dużo czasu na rozmyślanie i o ile był w stanie stwierdzić, sprawa, nad którą pracował, była właściwie zakończona. Martwił go tylko jeden szczegół.

Wyglądało na to, że Larssen kończy swoją tyradę.

— To nazbyt przedwczesne, Dent. Nie usłyszałem niczego, co można by uznać za niezbity dowód. Zaprezentowałaś jedynie same domysły i supozycje.

„Domysły i supozycje”. Chryste, Hank czytał zbyt wiele powieści Grishama.

Larssen wypiął pierś i dokończył wywód.

— Nie zamierzam rzucać cienia podejrzenia na jednego z najznakomitszych obywateli Deeper, nie dysponując solidnym materiałem dowodowym. Nie zrobię tego i nie pozwolę tego zrobić nikomu innemu. Ja tu stanowią prawo.

Hazen odczekał chwilę, po czym zwrócił się do Raskovicha.

— Chester? Co o tym sądzisz?

Raskovich przeniósł wzrok na Seymoura Fiska, dziekana KSU, który słuchał w pełnym napięcia milczeniu, a jego łysinę przecięła pojedyncza głęboka zmarszczka.

— No cóż — mruknął Raskovich. — Myślę, że to, co znaleźliśmy ja i szeryf Hazen, wystarczy, by usprawiedliwić kontynuację dochodzenia.

— Dowiedzieliście się jedynie, że Lavender ma kłopoty finansowe — odparł Larssen. — Wielu ludzi je ma. Takie czasy.

Hazen i tym razem powstrzymał się od komentarza. Niech Chester mówi za niego.

— Powiedziałbym, że dowiedzieliśmy się czegoś więcej — zaoponował Raskovich. — Nie chodzi tylko o kłopoty finansowe. Od lat nie płacił on podatków od niektórych nieruchomości. Ciekaw jestem, dlaczego dotąd za to nie beknął. Poza tym Lavender od jakiegoś czasu zapewniał wszystkich, że eksperymentalne pole zostanie założone w Deeper. Twierdził, że ma pewien plan. Jakby wiedział coś, o czym nikt inny nie miał pojęcia. Ten „plan” wydaje mi się szczególnie podejrzany.

— Na miły Bóg, on mówił tak tylko po to, by uspokoić swych wierzycieli. — Larssen niemal podźwignął się z wygodnego fotela, by wyrazić swoją opinię.

„Świetnie” — pomyślał Hazen. „Teraz Hank zacznie kłócić się z ludźmi

z KSU". Larssen zawsze był impulsywny i reagował bez zastanowienia.

— Jest oczywiste — ciągnął Raskovich — że gdyby doktor Chauncy ogłosił w poniedziałek, że pole zostanie założone w Medicine Creek, wierzyciele Lavendera przeszliby do działania i w końcu doprowadziłyby to do jego bankructwa. To bardzo solidny motyw.

Zapadła cisza. Larssen kręcił głową.

Dopiero teraz do dyskusji włączył się Fisk, jego stentorowy głos wypełnił wnętrze gabinetu.

— Szeryfie, nie jest naszym zamiarem rzucanie na kogokolwiek oskarżeń. Chcemy jedynie kontynuować dochodzenie i przyjrzeć się bliżej osobie pana Lavendera, ale równocześnie rozwijać inne wątki, jakie wyszły na jaw podczas tego śledztwa.

Hazen czekał. Ze względów politycznych ważna była dla niego współpraca z Larssenem. Stary Hank nie pojmował jeszcze, że to wszystko było jedynie czystą formalnością, że nic, co powie, nie zdoła zatrzymać śledztwa przeciwko Lavenderowi.

— Panie Fisk — rzekł Larssen. — Pragnę jedynie powiedzieć, że nie powinien pan przedwcześnie traktować Lavendera jako podejrzanego. Jest jeszcze wiele tropów, które należałoby zbadać. Posłuchaj, Dent, wszyscy wiemy, że Lavender nie jest święty, ale to z pewnością nie zabójca. Zwłaszcza nie taki zabójca. Nawet gdyby kogoś wynajął, jak u licha miałby niepostrzeżenie sprowadzić tego kogoś z Deeper do Medicine Creek? Gdzie ten ktoś miałby się ukryć? Gdzie jest jego samochód? Gdzie spędza noce? Cały ten teren był wielokrotnie spenetrowany z ziemi i z powietrza, o czym wiesz równie dobrze jak ja!

Hazen zrobił wydech. Właśnie to wciąż nie dawało mu spokoju. To był

jedyny słaby punkt jego teorii.

— Wydaje mi się — ciągnął Larssen — że zabójca jest jednak mieszkańcem Medicine Creek i co więcej, zalicza się do typu osób cierpiących na rozdwojenie jaźni, jak doktor Jekyll i pan Hyde. Gdyby był przybyszem z zewnątrz, ktoś z pewnością musiałby go zauważyć. Nie sposób wielokrotnie przybywać do Medicine Creek i opuszczać je niepostrzeżenie.

— Przecież ten ktoś mógłby ukrywać się na polach kukurydzy — rzekł Raskovich.

— Zauważono by go z powietrza — odparł Larssen. — Nad Medicine Creek od paru dni niemal bez przerwy krążą samoloty obserwacyjne. Przeszukano okolice strumienia na długości ponad trzydziestu kilometrów, przepatrzone Mounds, przetrząśnięto cały ten teren. Nie napotkano żadnych śladów mogących świadczyć, że ktoś się tam ukrywa, nie dostrzeżono także w pobliżu podejrzanych osób. Tak naprawdę gdzie miałby ukrywać się ten zabójca? W dziurze w ziemi?

Na dźwięk tych słów Hazen nagle zeszywniał. Poczuł, jak jego kończyny drętwieją i nagle doznał olśnienia. „Oczywiście” — powiedział sobie w duchu. „Oczywiście”. To była owa ulotna odpowiedź, której tak gorączkowo poszukiwał, brakujące ogniwo w jego teorii.

Wziął głęboki oddech i rozejrzał się wokoło, by upewnić się, że nikt nie zwrócił uwagi na jego reakcję. Musiał zachować pozory. Nie chciał, by wyszło na jaw, że to Hank podsunął mu rozwiązanie zagadki.

Chwilę potem oznajmił swoją rewelację niemal znużonym tonem.

— Otóż to, Hank. Zabójca ukrywa się w dziurze w ziemi. Zapadła cisza.

— Jak to? — spytał Raskovich. Hazen spojrzał na niego.

— Jaskinia Krausa — stwierdził.

— Jaskinia Krausa? — powtórzył Fisk.

— Przy Cry Road, obok tego wielkiego, starego domu i sklepiku z pamiątkami. Ta jaskinia to atrakcja turystyczna. Była tam od zawsze. Teraz zajmuje się nią stara Winifreda Kraus.

To niesamowite, jak szybko elementy układanki trafiały w umyśle Hazena na swoje miejsce. Przez cały czas miał rozwiązanie łamigłówki w zasięgu ręki, a jednak nie potrafił go dostrzec. Jaskinia Krausa. „No jasne” — pomyślał.

Fisk pokiwał głową, podobnie jak Raskovich.

— Pamiętam to miejsce. Widziałem je — rzekł Raskovich. Larssen zbladł. Wiedział, że Hazen rozwikłał tę zagadkę. To

było doprawdy niesamowite. Wszystko pasowało do siebie wręcz idealnie.

Hazen znów się odezwał.

— Zabójca ukrywa się w tej jaskini. — Spojrzał na Larssena i nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. — Jak zapewne wiesz, Hank, to ta sama jaskinia, gdzie stary Kraus pędził bimber. I dodam tylko, że pędził ten bimber dla Kinga Lavendera.

— To faktycznie bardzo ciekawe — rzekł Fisk, spoglądając z podziwem na Hazena.

— Prawda? Za jaskinią, po której oprowadza się turystów, znajduje się jeszcze jedna pieczara i tam właśnie znajdowała się stara bimbrownia. Z całym wyposażeniem. Także z wielkim kotłem destylacyjnym — dokończył Hazen, mocno akcentując dwa ostatnie słowa.

Zauważył, że Raskovich przygląda mu się z nietęgą miną.

— Czy ten kocioł jest dostatecznie duży, by można w nim ugotować człowieka?

— Pewno, że tak — odparł Hazen.

Napięcie w gabinecie sięgało zenitu. Larssen zaczął się pocić. Hazen domyślał się, że tamten nareszcie uwierzył w jego teorię.

— Zatem widzi pan, panie Fisk — ciągnął Hazen. — Człowiek Lavendera został zamelinowany w jaskini, skąd wychodził nocami, boso i z odpowiednio przygotowanymi rekwizytami, aby mordować ludzi w taki sposób, by zabójstwa te zostały skojarzone ze starą klątwą widmowych wzgórz. W czasach prohibicji King Lavender sfinansował bimbrownię dla starego Krausa i wprowadził go do interesu. Robił to w całym hrabstwie Cry. Wspierał i finansował wszystkich bimbrowników w tej części kraju.

Hank Larssen wyjął chustkę i otarł nią zroszone potem czoło.

— Lavender oznajmił, że jego asystent, McFalty, wyjechał, by odwiedzić chorą matkę w Kansas City. To jedna z rzeczy, które sprawdziliśmy dziś rano z Raskovichem. Spróbowaliśmy skontaktować się z matką McFalty'ego. I dowiedzieliśmy się o niej wszystkiego. — Przerwał. — Zmarła dwadzieścia lat temu — dodał. Pozwolił, by przyjęli tę wiadomość, po czym podjął swój monolog. — Ten McFalty miał już wcześniej kłopoty z prawem. Chodziło głównie o drobne przestępstwa, lecz mimo wszystko wskazują one, że człowiek ten miał skłonności do przemocy: napaść, pobicia, prowadzenie samochodu po pijanemu.

Przekazywane przez Hazena informacje błyskawicznie wnikały do umysłów słuchających go mężczyzn, nagromadzając się w nich. To nie był jednak koniec. Hazen miał w zanadrzu jeszcze jedną rewelację.

— McFelty zniknął dwa dni przed zamordowaniem Sheili Swegg. Sądzę, że zszedł pod ziemię. Jak Hank słusznie zauważył, nie sposób niepostrzeżenie wejść i wyjść z Medicine Creek. Albo obcego wypatrzą mieszkańcy, albo ja. McFelty przez cały ten czas ukrywa się w Jaskini Krausa i wychodzi stamtąd tylko nocą, by kontynuować swe mordercze dzieło.

Zapanowała długa cisza, wszyscy zgromadzeni w gabinecie milczeli. Wreszcie Fisk chrząknął głośno.

— Pierwszorzędna robota, szeryfie. Jaki będzie następny ruch? Hazen wstał z miną pełną powagi.

— W miasteczku roi się od policji i dziennikarzy. Może pan być pewien, że McFelty wciąż jeszcze ukrywa się w tej jaskini, czekając, aż sprawa nieco przycichnie i będzie mógł się ulotnić. Bo on zakończył już swoją misję. Zrobił to, co miał do zrobienia.

— I co dalej?

— To proste. Wejdziemy tam i dopadniemy sukinsyna.

— Kiedy?

— Niezwłocznie. — Odwrócił się do Larssena. — Połącz nas z komendą główną policji stanowej w Dodge. Chcę pomówić z samym komendantem Erniem Wayesem. Będziemy potrzebować dobrze uzbrojonego zespołu i — co więcej — musimy go dostać natychmiast. Potrzeba nam psów, ale tym razem naprawdę dobrych psów. Udam się zaraz do gmachu sądu i poproszę sędziego Andersona o nakaz.

— Jest pan pewien, że McFelty wciąż przebywa w tej jaskini? — zapytał Fisk.

— Nie — odparł Hazen. — Nie mam stuprocentowej pewności. Ale w

najgorszym razie natkniemy się tam na jakieś pozostawione przez niego ślady. Przydadzą się jako materiał dowodowy. Nie zamierzam ryzykować. Ten człowiek jest niebezpieczny. Może i wykonuje zlecenie dla Lavendera, ale najwyraźniej

371

zabijanie za bardzo go rajcuje i nie będę ukrywał, że właśnie to najbardziej mnie przeraża. Nie wolno nam popełnić błędu i zlekceważyć McFelty'ego. — Wyjrzał przez okno na ciemniejący horyzont, zrywał się coraz silniejszy wiatr. — Musimy ruszać. Nasz człowiek może spróbować wykorzystać burzę, aby ulotnić się z kryjówki. — Spojrzał na zegarek, po czym raz jeszcze rozejrzał się wokoło. — Wejdziemy do jaskini dziś w nocy o dziesiątej i — co więcej — wejdziemy tam z wielkim hukiem.

CZTERDZIEŚCI OSIEM

Ciemność była całkowita, nieprzenikniona. Corrie leżała na wilgotnym, skalistym podłożu, przemoczona do nitki, a całe jej ciało drżało z zimna i przerażenia. Nieopodal słychać było, jak to coś krząta się, pomrukując do siebie śpiewnie, wydając dziwne bulgoczące dźwięki, a niekiedy chichocząc, jakby z jakiegoś zasłyszanego właśnie żartu.

Umysł dziewczyny uporał się już z niedowierzaniem i nieskrywaną zgrozą i przekroczył granicę, za którą panowało odrętwienie oraz lodowaty spokój. Zabójca zdołał ją dopaść. Ten stwór — zakładała, że był to

mężczyzna — związał ją i przerzucił sobie przez ramię jak worek ziemniaków, po czym poniósł ją przez labirynt korytarzy, jednych biegnących w górę, innych wiodących w dół, po drodze przekroczył także kilka podziemnych strumieni; miała wrażenie, że ta podróż nigdy się nie skończy.

I ciemność, przez cały czas ciemność. Ten stwór wydawał się iść przed siebie po omacku, jakby doskonale znał drogę.

Jego ramiona były śliskie i wilgotne, ale zarazem silne jak stalowe szczęki imadła, które w każdej chwili mogły ją zmiażdżyć. Krzyczała, prosiła, błagała, ale jej słowa trafiały w próżnię. A kiedy w końcu dotarli do tego miejsca, gdzie panował nie-wysłowiony smród, stwór upuścił ją bezceremonialnie na kamienne podłoże. W chwilę potem szorstka, twarda stopa silnym kopnięciem posłała ją w kąt, gdzie teraz leżała, oszołomiona, obolała, krwawiąca. Smród, wcześniej słaby i niemożliwy do rozpoznania, wydawał się tu dławiący, wszechobecny, przerażający.

Przez bliżej nieokreślony czas leżała odrętwiała, nie myśląc o niczym. Wreszcie zaczęła dochodzić do siebie. Pierwotny paraliż spowodowany strachem powoli zaczynał słabnąć. Spoczywała nieruchomo, zmuszając swój umysł do pracy. Musiała zacząć myśleć, i to intensywnie. Znajdowała się w głębi jaskiń; okazało się, że ten labirynt był znacznie rozleglejszy, niż się komukolwiek zdawało.

Nikt nie zdoła tu dotrzeć, aby ją ocalić...

Na tę myśl zaczęła tłumić w sobie narastającą panikę. Jeśli nikt się tu nie zjawi, aby ją uratować, musiała zadbać o siebie sama.

Nasłuchując, zmrużyła mocno powieki przed osaczającą ją ciemnością. On robił coś w ciemnościach nieopodal, gulgocząc i podśpiewując

niezrozumiale pod nosem.

Czy to w ogóle jest człowiek...?

To musiał być człowiek. Miał ludzką stopę, choć stwardniałą i chropowatą jak stara wyprawiona skóra.

Co więcej, mówił, a raczej nucił coś cichutko wysokim, dzieciennym głosem.

Jeśli jednak był człowiekiem, to z pewnością jedynym w swoim rodzaju. Na całym świecie nie było drugiej takiej istoty.

Nagle poczuła, że zbliża się do niej. Rozległo się gardłowe chrząknięcie. Zamarła z przerażenia, wyczekując. Mocna dłoń schwyciła ją brutalnie, postawiła na nogi i gwałtownie potrząsnęła.

— Mooaaa? Zaszlochała.

— Zostaw mnie. Daj mi spokój. Kolejne szarpnięcie, tym razem silniejsze.

— Hoooo — rozległ się wysoki, dziecienny głosik. Spróbowała się wyrwać, ale on stęknął tylko i cisnął na ziemię.

— Przestań..., przestań...

Dłoń schwyciła ją za kostkę i ostro szarpnęła. Corrie krzyknęła, czując ból, który przeszył ją aż po biodro. Zaraz potem oplotły ją mocarne ramiona i schwyciwszy za rękę, dźwignęły ją w górę.

— Proszę, proszę cię, przestań...

— Oosze — pisnął głos. — Ooszę. Sestań. Rozpaczliwie usiłowała odepchnąć go od siebie, ale przycisnął ją mocno, a jej twarz omiótł jego cuchnący oddech.

— Nie... puść mnie...

— Heeee!

Znów ją puścił i usłyszała, jak odchodzi, powłócząc nogami i mamrocząc coś cichutko. Zaczęła szamotać się jak oszalała, usiłując usiąść. Sznury boleśnie otarły jej nadgarstki, a palce zaczęły drętwieć z braku dopływu krwi. Zamierzał ją zabić, zdawała sobie z tego sprawę. Musiała uciec.

Z olbrzymim wysiłkiem udało się jej podźwignąć do pozycji siedzącej. Gdyby tylko wiedziała, kim był, co robił i dlaczego przebywał w tych jaskiniach... Gdyby tylko zrozumiała, może miałyby szansę. Przełknęła ślinę, zadrżała i spróbowała się odezwać.

— Kim... kim ty jesteś? — spytała. Z jej ust dobył się tylko cichy szept.

Przez chwilę panowała kompletna cisza. Zaraz potem dało się słyszeć lekkie szuranie. Podchodził do niej.

— Proszę, nie dotykaj mnie.

Corrie usłyszała jego oddech. Po chwili zaczęła zastanawiać się, czy dobrze zrobiła, ponownie zwracając na siebie jego uwagę. Mimo to, jeśli miała się stąd wydostać, musiała zaryzykować i zbliżyć się w jakiś sposób do niego. To była jej jedyna nadzieja. Raz jeszcze przełknęła ślinę i powtórzyła pytanie.

— Kim jesteś?

Poczuła, że pochyła się nad nią. Wilgotna dłoń dotknęła jej twarzy, połamane paznokcie musnęły boleśnie jej skórę, wielkie paluchy były szorstkie, stwardniałe i ciepłe. Odwróciła się ze zdławionym krzykiem.

W tej samej chwili poczuła jego dłoń na swoim ramieniu. Spróbowała leżeć w bezruchu, ignorować to, co się z nią działo.

Stwór ścisnął ją za ramię, po czym zaczął przesuwając dłoń w dół,

dotykając raz po raz jej ciała. Skóra istoty była zrogowaciała i chropowata, połamane paznokcie przypominały drewniane drzazgi.

Ręka cofnęła się, ale niemal natychmiast wróciła, przesuając się w górę i w dół po jej kręgosłupie. Corrie próbowała się odsunąć, lecz w tej samej chwili dłoń z potworną siłą schwyciła ją za obojczyk. Corrie krzyknęła mimowolnie. Dłoń pełzła coraz dalej. Opasała jej szyję, ścisnęła. Corrie była niemal całkiem sparaliżowana ze strachu. Palce coraz mocniej zaciskały się na jej szyi.

— Czego chcesz? — wykrztusiła.

Dłoń rozwarła się powoli. Usłyszała oddech stwora, melodyjkę, którą nucił pod nosem, później zaś wypowiedane spiesznie śpiewne, niewyraźne słowa. Znow mówił do siebie.

Dłoń pogładziła jej kark, po czym przesunęła się wyżej, muskając potylicę i czubek głowy.

Corrie znow miała chęć się odsunąć, ale przemogła ją w sobie. Ręka wciąż ją miętoszyła, dotykała, przesuając się obecnie na czoło. Szorstkie palce ocierały się o jej twarz, przesunęły się po policzku, dotknęły warg, spróbowały rozchylić jej usta; te cuchnące, chropawe paluchy przywodziły na myśl gliniane łapy golema. Odwróciła się, ale dłoń podążyła za ruchami jej głowy, szturchając ją i dźgając szponiastymi palcami, jakby badała połąć surowego mięsa.

— Proszę, przestań! — zaszlochała.

Dłoń zatrzymała się, rozległo się głucho stęknienie. Po chwili potężne palce znow zacisnęły się na jej szyi, tym razem od przodu i ścisnęły, zrazu delikatnie, a potem nieco silniej. Uścisk wzrastał się.

Corrie próbowała krzyknąć, ale dłoń stwora zbyt mocno już ścisnęła

jej tchawicę. Zaczęła się szamotać i szarpać jak oszalała, przed jej oczyma zawirowały gwiazdy.

A on dusił ją coraz mocniej. I kiedy znalazła się już na granicy utraty świadomości, a jej kończyny zaczęły mimowolnie wiotczeć, Corrie jeszcze raz rozpaczliwie spróbowała sięgnąć ręką w górę, ku ciemności, by rozszarpać ją paznokciami, odepchnąć od siebie...

Jego dłoń stopniowo rozluźniła uścisk, uwalniając dziewczynę.

Osunęła się ciężko, dysząc, z trudem chwytając powietrze, w skroniach czuła przeraźliwe, tępe pulsowanie. Jego dłoń znów dotknęła jej włosów i zaczęła je gładzić.

Nagle przerwał tę czynność. Cofnął rękę i odstąpił od niej.

Przerażona Corrie, milcząc, leżała w ciemnościach. Usłyszała odgłos pociągania nosem, dźwięki powtórzyły się kilkakrotnie. Stwór najwyraźniej coś zwęszył. Dopiero teraz poczuła, że przez ten fragment jaskini przepływa słaby, ledwie zauważalny wietrzyk. Ruch powietrza był prawie niewyczuwalny. Poczowała zapach zewnętrznego świata, ozonu, deszczu, ziemi i chłodne aromaty nocy, które na chwilę przynajmniej do pewnego stopnia zdołały zabić fetor koszmarnego miejsca. Ta woń zdawała się go przywoływać, zmuszać do odejścia.

W chwilę potem już go nie było.

CZTERDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

Była 20.11, w normalnych warunkach pora zachodu słońca. Tyle tylko, że w zachodnim Kansas zmierzch już zapadł, cztery godziny wcześniej. Nadchodzący od wczesnego popołudnia z Kanady front chłodnego powietrza, mający półtora tysiąca kilometrów długości, dotarł nad terytorium Great Plains, gdzie od wielu tygodni panowały upał i susza. W miarę jak front zaczął się przesuwać, unoszące się przed nim powietrze jęło podnosić z ziemi drobiny kurzu. Niebawem zaowocowało to pojawieniem się pyłowych diabłów — spiralnych wirów kurzu, które wzbijały się pionowo ku pochmurnemu niebu. Front przemieszczał się coraz dalej, a pyłowe wiry coraz bardziej przybierały na sile, podrywając w górę zeschniętą na miał wierzchnią warstwę ziemi i zagęszczając ją tak, że utworzyła niemal zwartą ścianę świszczącego, wirującego kurzu. Niebawem osiągnęła ona wysokość trzech kilometrów. Widoczność zmniejszyła się do niespełna czterystu metrów.

Front atmosferyczny zaczął przesuwać się przez terytorium Kansas z zachodu na wschód, poprzedzany ostrzeżeniami o burzach pyłowych. Ciemnobrażowa ściana atakowała kolejne miasteczka, pochłaniając jedno po drugim. Przemieszczający się zimny front, nabrzmiały od pyłu, wbił się klinem w obszar gorącego, suchego, nieruchomego powietrza, zalegający nad Great Plains. Gdy zderzyły się ze sobą, masy powietrza o różnej

gęstości i temperaturze zaczęły walczyć między sobą o supremację. Te zaburzenia wywołały falę niskiego ciśnienia, która przeciwnie do ruchu wskazówek zegara przetoczyła się ponad mierzącym tysiąc kilometrów kwadratowych obszarem High Plains. Na koniec ciepłe powietrze unoszące się z ziemi przeniknęło chłodniejsze masy powyżej i wdarło się w warstwy cumulonimbusów, wiszące na niebie niczym ciemne, gniewne góry, masywniejsze niż Himalaje. Potężny łańcuch chmur wyglądających jak góry wypiętrzał się do wysokości osiemnastu kilometrów, aby spłaszczyć się na wysokości tropopauzy, rozszczepiając się na mniejsze, posępne chmury burzowe o kształcie kowadła.

Przybierający na sile front burzowy rozdzielił się na kilka poszczególnych ognisk, działających, mimo swej odrębności, jak jeden wielki organizm. Centrum frontu burzowego było już w pełni „dojrzałe”, podczas gdy na jego obrzeżach wciąż powstawały nowe chmury. Spośród ognisk burzowych, które nadciągnęły nad Cry County, jedno było najsilniejsze, i to właśnie wierzchnia część tej przypominającej kowadło formacji zaczęła uwypuklać się ku górze. Zjawisko to znamionowało, iż wznoszący prąd powietrza w centrum burzy był tak potężny, że przedarł się przez tropopauzę aż do stratosfery. Rozciągnięta dolna część wału burzowego zwiastowała potężną ulewę, grad, porywiste wiatry, a nawet tornada.

Krajowy Instytut Meteorologii śledził przesuwanie się frontu burzowego za pomocą radaru, satelitów i raportów pilotów oraz cywilnych „obserwatorów”. Uaktualniono biuletyny pogodowe i obecnie — prócz ostrzeżeń przed wirami pyłowymi oraz burzami — zamieszczono w nich ostrzeżenie o tornadach. Regionalne biura instytutu meteorologii zaczęły

informować władze o konieczności podjęcia niezbędnych działań prewencyjnych. Ostrzegano przy tym o możliwości wystąpienia najrządziej spotykanego rodzaju burzy — tak zwanej superburzy. W tym przypadku główny prąd wznoszący, znany pod nazwą mezocyklonu, osiąga prędkość rzędu trzystu kilometrów na godzinę. Nadejście takiej burzy łączy się z opadami gradu, wiatrami, których prędkość dochodzi do stu trzydziestu kilometrów na godzinę oraz tornadami. Nawet teraz nad zagrożonymi terenami dochodziło do gwałtownych ulewnych opadów deszczu i zawieruch, które niszczyły pola, wrywały drzewa z korzeniami i zrywały dachy z przyczep. Z nieba sypał się grad odłupujący kolby kukurydzy, siekący pola i rozszczepiający zeschnięte łodygi jak zapałki.

Setki metrów poniżej tego ogniska burzy, niemal niktający pośród nadciągającego frontu burzowego, samotny rolls-royce mknął z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, dwie i pół tony precyzyjnie skonstruowanej stali cięło mrok, sunąc po długiej wstędze czarnej, asfaltowej szosy.

Siedzący w aucie kierowca trzymał jedną ręką kierownicę i zerkał z ukosa na leżący na sąsiednim fotelu otwarty laptop. Na ekranie komputera widać było zachodzące w czasie realnym przesuwanie się burzy, symulacja była możliwa dzięki załadowaniu do laptopa informacji pobranych z krążących na orbicie około-ziemskiej satelitów pogodowych.

Nadjeżdżając od strony topoli, zjechał z międzystanowej siedemdziesiątki tuż za Saliną i mijał obecnie obrzeża Great Bend. Stąd droga do Medicine Creek była węższa, bardziej lokalna. To oraz nadciągająca burza sprawiły, że musiał drastycznie zwolnić prędkość. Tyle tylko, że czas grał kluczową rolę. Zabójca już wkrótce uderzy ponownie.

Wszystko wskazywało, że przyciągnie go burza, a ściślej rzecz biorąc, towarzyszący jej mrok i gwałtowność. Prawie na pewno zdecyduje się znów kogoś zabić.

Sięgnął po komórkę i wybrał numer. Także tym razem nagrany głos powiadomił go, że osoba, do której próbował się dodzwonić, znajdowała się poza zasięgiem.

Poza zasięgiem. Zamyślił się przez chwilę nad tymi złowróżbnymi słowami: „poza zasięgiem”.

I natychmiast przyspieszył. Silnik rollsa zawył, gdy maszyna pomknęła na spotkanie burzy.

PIĘĆDZIESIĄT

Odkąd po raz pierwszy jeszcze jako dziecko zobaczył Czarnoksiężnika z Oz, Tada Franklina zafascynowały tornada. Czuł się wielce zawiedziony, że mieszkając przez całe życie w zachodnim Kansas, w samym środku

„alei tornad”, nigdy nie miał okazji zobaczyć żadnego z nich. Częściej, niżby sobie tego życzył, oglądał ich skutki — obrócone w perzynę parkingi dla przyczep, drzewa roztrzaskane w drobny mak, samochody porwane przez wichurę i ciśnięte na drugą stronę szosy, lecz ani razu nie udało mu się zobaczyć samego tornada na własne oczy.

Był pewien, że tej nocy to się zmieni. Przez cały dzień nadawano komunikaty pogodowe. Wydawało się, że z każdą godziną sytuacja stawała się coraz poważniejsza: zagrożenie burzowe, zagrożenie nawałnicowe, zagrożenie tornadowe. Przed godziną przeszła silna burza pyłowa, zrywając dachówki i gonty, piaskując karoserie aut i ściany domów, wywracając drzewa i zmniejszając widoczność do kilkuset metrów. Wreszcie o 20.11, gdy Tad siedział sam w biurze szeryfa, nadeszła hiobowa wieść — całe hrabstwo Cry zostało do północy objęte zagrożeniem tornado-wym. Przewidywano możliwość wystąpienia tornad o sile F2 lub F3 w skali Fujity, prędkość wiatru mogła wynieść ponad trzysta kilometrów na godzinę, co oznaczało żywioł o prawdziwie niszczycielskiej sile.

Dziesięć sekund później szeryf Hazen połączył się z nim przez radio.

— Tad — powiedział. — Jestem w Deeper, ale niedługo stamtąd wracam.

— Szeryfie...

— Nie mam dużo czasu. Posłuchaj. Nastąpił poważny postęp w sprawie. Uważamy, że zabójca ukrywa się w Jaskini Krausa.

— Zabójca...?

— Na miłość boską, pozwól mi skończyć. To najprawdopodobniej McFelty, zaufany Norrisa Lavendera. Zaszył się w pieczarze na tyłach

Jaskini Krausa, gdzie kiedyś była stara bim-brownia. Musimy jednak działać szybko, bo nasz ptaszek może mieć ochotę zwiać pod osłoną burzy. Zbieramy grupę uderzeniową, aby wkroczyć punktualnie o dwudziestą drugą. Tyle tylko, że właśnie otrzymaliśmy komunikat KIM, Krajowego Instytutu Meteorologii, że dla całego hrabstwa Cry ogłoszono zagrożenie tornadowe.

— Wiem. Też je odebrałem.

— ...i to właśnie na twoich barkach spoczywać będzie odpowiedzialność za sprawy związane z tornadem. Znasz przepisy?

— Pewnie, że tak.

— To dobrze. Zawiadam wszystkich, dopilnuj, żeby całe Medicine Creek i najbliższe okolice zostały odpowiednio zabezpieczone.

Przyjedziemy około dwudziestej pierwszej, a wówczas rozpęta się prawdziwe piekło i wcale nie mam na myśli burzy. Przygotuj nam parę dzbanków mocnej kawy. Nie idziesz z nami, więc nie musisz się martwić. Ktoś powinien bronić fortu.

Dopiero zaczynając się rozluźniać, Tad uświadomił sobie, że był trochę podenerwowany. Nie miał nic przeciwko zajęciu się zabezpieczeniem miasta przed potencjalnym tornadem, robił to już wcześniej, ale perspektywa ścigania zabójcy po mrocznych jaskiniach ani trochę nie przypadła mu do gustu.

— Zrobi się, szeryfie — powiedział.

— Cieszę się, Tad. Liczę na ciebie.

— Może pan na mnie polegać.

Zastępca szeryfa wyłączył się. Znał przepisy, wiedział, co musi zrobić. Po pierwsze, należało ostrzec miejscową ludność. Jeżeli ktoś przebywał

poza domem, należało skierować te osoby do budynków lub schronów.

Tylnym wyjściem opuścił biuro, odwracając głowę od wiatru. Wichura niosąca ze sobą drobiny piasku i żwiru zdawała się kąsać jak wściekły pies. Otworzył drzwi radiowozu, wślizgnął się na siedzenie, otrzepał włosy i otarł twarz z kurzu, zapuścił silnik i włączył na chwilę wycieraczki. Następnie uruchomił syrenę i włączył koguta. Wyjechał na Main Street i ruszył wolno, przez megafon ogłaszając zagrożenie tornadowe. Naturalnie większość mieszkańców już je słyszała w radiu, niemniej jednak należało zachować odpowiednią procedurę.

„Mówi zastępca szeryfa. W całym hrabstwie Cry ogłoszono alarm tornadowy. Powtarzam, w całym hrabstwie Cry ogłoszono alarm tornadowy. Wszyscy mieszkańcy powinni niezwłocznie ukryć się w schronach burzowych lub budynkach wzmocnionych betonem. Proszę trzymać się z daleka od okien i drzwi. Powtarzam, w całym hrabstwie Cry ogłoszono alarm tornadowy...”

Dotarł do rogatek miasta, minął ostatnie domy, zatrzymał wóz i powiódł wzrokiem wzdłuż pylistej drogi. Nawet z tej odległości widział, że w okolicznych domach, na farmach wszystkie okna i drzwi były pozamykane na głucho, nie dostrzegł tam żadnych oznak życia. Farmerzy z pewnością już od dobrych paru godzin mieli włączone radia i słuchali kolejnych komunikatów pogodowych. Lepiej niż ktokolwiek wiedzieli, jak należy zachować się w podobnych sytuacjach — przeprowadzić zwierzęta, zwłaszcza te młode, do bezpiecznych, starannie zamykanych pomieszczeń, zatroszczyć się o dodatkową żywność i paszę, upewnić się, że dysponują odpowiednimi zapasami prowiantu na wypadek braku prądu. Farmerzy wiedzieli, co mają robić. Powinien martwić się raczej o nierozgarniętych

mieszczuchów.

Tad powiódł wzrokiem aż po horyzont. Niebo powyżej było czarne, czarne jak smoła, słońce zapewne już zaszło, a nadciągająca burza do reszty stłumiła jego gasnące promienie. Wiatr wciąż się wzmaczał, silne podmuchy omiatały radiowóz, niosąc ze sobą strzępy liści i zakurzonych łodyg kukurydzy. Od południowego zachodu dostrzegł ciemnoczerwone migotanie, przywodziło mu to bardziej na myśl działania wojenne niż błyski piorunów. W hrabstwie Cry tornada niemal zawsze przechodziły z południowego zachodu na północny wschód. Było tak ciemno, że nawet gdyby nadeszło tornado, i tak nikt by go nie zauważył. Zdradziłyby je dopiero towarzyszące mu odgłosy.

Zawrócił i czym prędzej skierował się z powrotem do miasta. W półmroku jedynie z okien Maisie's Diner bił przyjemny, ciepły, złocisty blask. Tad zatrzymał radiowóz i wysiadł, stawiając kołnierz i przytrzymując go z uwagi na silny wiatr. Powietrze niesło ze sobą woń suchej ziemi i korzeni drzew. Kilka skrawków liści kukurydzy plasnęło o jego kurtkę.

Wszedł do środka i rozejrzał się. W barze restauracyjnym zrobiło się cicho jak makiem zasiał, jakby obecni tam ludzie wiedzieli, że nie wpadł tu tylko na kawę.

Tad odchrząknął.

— Proszę wybaczyć, ale mam komunikat, że dla całego hrabstwa Cry ogłoszono właśnie alarm tornadowy. Możliwe jest pojawienie się tornada o sile F2, a nawet F3. Pora, abyście wrócili do swoich domów.

Dziennikarze i reporterzy umknęli już przed nadchodzącą burzą, tak więc w barze znajdowali się wyłącznie stali bywalcy. Melton Rasmussen,

Swede Cahill z żoną Gladys, Art Ridder. Co dziwne, brakowało tu Smita Ludwiga. Prawie zawsze można go było tutaj zastać. Może wyruszył w teren, by napisać artykuł dotyczący burzy. Jeżeli tak, powinien jak najszybciej pofatygować się do schronu.

Rasmussen zareagował pierwszy.

— Są jakieś wieści na temat tych zabójstw? — zapytał.

W barze zapanowała nieprzyjemna cisza, Tad ujrzał na twarzach stałych bywalców baru wyraz pełnego niepewności wyczekiwania. Nawet teraz, w obliczu zagrożenia tornadowego, ich myśli zaprzątnięte były przede wszystkim sprawą ostatnich morderstw. To dlatego u Maisie było tylu ludzi: policjant widział krowy zachowujące się w podobny sposób — gdy były przerażone, zbierały się w zwartą gromadę.

— Powiedziałbym, że raczej... — Tad przerwał. Szeryf dałby mu popalić, gdyby wspomniał choć słowem o planowanej operacji. — Mamy kilka tropów, zobaczymy, dokąd nas doprowadzą, tymczasem uważnie je sprawdzamy — dokończył, choć zdawał sobie sprawę, że jego wyświechtana formułka musiała wypaść bardzo blado.

— Powtarzasz tę samą śpiewkę od tygodnia — warknął Mel, wstając. Poczerwieniał na twarzy.

— Spokojnie, Mel — rzucił Swede Cahill.

— Mamy nowy trop, wydaje się, że lepszy niż poprzednie — wtrącił uspokajającym tonem zastępca szeryfa.

— Nowy, lepszy trop. Słyszałeś to, Art?

Art Ridder siedział przy barze, popijając kawę. Jego spojrzenie nie było ani trochę przyjazne. Odwrócił się na barowym, chromowanym stolku i łypnął na Tada.

— Szeryf wspominał, że ma jakiś plan, pomysł na schwytanie tego mordercy i załatwienie, że eksperymentalne pole na pewno zostanie założone w Medicine Creek. Chcę wiedzieć, na czym polega ten jego cholerny plan. A może to wszystko było z jego strony zwyczajnym mydleniem oczu.

— Nie jestem uprawniony, by wyjawiać komukolwiek jego plany — odparł Tad. — A poza tym najważniejsze jest teraz zagrożenie tornadowe, w związku z czym...

— Do diabła z ostrzeżeniem — warknął Ridder. — Chcę zobaczyć, że coś robicie, jeżeli chodzi o te zabójstwa.

— Szeryf Hazen poczynił pewne postępy.

— Postępy? A gdzie on się w ogóle podziewa? Nie widziałem go od rana.

— Jest w Deeper, sprawdzając pewien trop...

Nagle dwuskrzydłowe, wahadłowe drzwi do kuchni otwały się szeroko i za kontuarem pojawiła się Maisie.

— Arcie Ridder, zamknij dziób — warknęła. — Zostaw Tada w spokoju. On tylko wykonuje swoje obowiązki.

— Ale zrozum, Maisie...

— Żadnego: „zrozum, Maisie”. Mam dość twojego utyskiwania i wszczynanych przez ciebie kłótni. To tyczy się także ciebie, Mel. Wynocha stąd. — W barze zapadła nieprzyjemna, głucha cisza. — Ogłoszono alarm tornadowy — ciągnęła Maisie. — Wszyscy wiecie, co to oznacza. Macie pięć minut na opuszczenie lokalu. Możecie załatwić swoje sprawy później. Zamierzam teraz pozamykać wszystkie okna i zejść do piwnicy. Wy lepiej zróbcie to samo, jeśli nie chcecie jeszcze tej nocy

zobaczyć, co znajduje się na drugim krańcu tęczy.

Odwróciła się i wróciła do kuchni, a drzwi zamknęły się za nią z takim hukiem, że wszyscy drgnęli mimowolnie.

— Ukryjcie się w schronach — rzekł policjant, wodząc wzrokiem po twarzach otaczających go osób i recytując z pamięci kolejne punkty procedury postępowania w przypadku zagrożenia tornadowego. — Zejdźcie do piwnicy lub przynajmniej schowajcie się pod schodami. Trzymajcie się z dala od okien. Zabierzcie ze sobą latarki, zapas wody pitnej i przenośne radia na baterie. Ostrzeżenie obowiązuje do północy, ale może zostać przedłużone, nigdy nic nie wiadomo. Znosi się na nieliczną burzę.

Gdy w lokalu zrobiło się pusto, Tad wszedł na zaplecze, szukając Maisie.

— Dzięki — powiedział.

Maisie tylko machnęła ręką. Nigdy jeszcze nie widział jej tak zmęczonej.

— Tad, nie wiem, czy powinnam o tym mówić, ale Smit zniknął — rzekła ze smutkiem.

— Też się nad tym zastanawiałem.

— Pewien młody reporter czekał na niego wczoraj aż do zamknięcia. Smit nie pojawił się na śniadanie ani na lunch. To nie w jego stylu, nawet gdyby miał wyjechać na pewien czas, z pewnością by mnie o tym powiadomił. Dzwoniłam do niego do domu i do redakcji gazety, ale nikt tam nie odbiera telefonu.

— Sprawdzę to — zapewnił Tad. Maisie kiwnęła głową.

— Zapewne to nic takiego.

— Zapewne — potaknął mężczyzna i wróciwszy do głównej sali, pozamykał wszystkie okna, opuścił żaluzje, po czym skierował się ku drzwiom. Z dłonią na klamce odwrócił się. — Zejdź do piwnicy, dobrze, Maisie?

— Już tam idę — dobiegł go od schodów głos Maisie.

Po powrocie do biura szeryfa Tad otrzymał wiadomość z dyspozytorni hrabstwa. Dzwoniła pani Higgs. Jej syn widział w swoim pokoju potwora. Kiedy zaczął krzyczeć i zapalił światło, potwór uciekł. Chłopiec dostał ataku hysterii, podobnie jak pani Higgs.

Policjant z niedowierzaniem słuchał relacji dyspozytorki.

— To jakiś żart — mruknął po chwili.

— Matka domaga się przyjazdu szeryfa — dokończyła dyspozytorka. Tad nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał.

— Mamy na karku seryjnego zabójcę i zagrożenie tornadowe, a ty chcesz, abym zbadał doniesienie o jakimś potworze?

Zapadła cisza.

— No co? — rzekła dyspozytorka. — Ja tylko wykonuję swoją pracę. Wiesz, że muszę przekazywać ci wszystkie zgłoszenia. Pani Higgs twierdzi, że potwór zostawił odcisk stopy.

Zastępca szeryfa na chwilę zaniemówił. Chryste Panie. Spojrzał na zegarek. Wpół do dziewiątej. Mógł dotrzeć do domu Higgsów i wrócić tu w ciągu dwudziestu minut.

Westchnął głośno.

— Dobra. Sprawdzę to — powiedział z rezygnacją w głosie.

PIĘĆDZIESIĄT JEDEN

Zanim Tad dotarł do domu Higgsów, stary Higgs zdążył wrócić i złoił chłopakowi skórę; dzieciak siedział teraz w kącie wściekły jak osa, z zaciśniętymi pięściami i policzkami, na których obeschły łzy. Pani Higgs krążyła w tle, zmartwiona i podenerwowana, jej wargi zacisnęły się w wąską, białą kreskę. Sam Higgs siedział przy kuchennym stole i z kamienną twarzą zajadał ziemniaki.

— Przyjechałem w związku ze zgłoszeniem — powiedział policjant, kiedy wszedł do środka i zdjął kapelusz.

— Niech pan o nim zapomni — rzekł stary. — Przepraszam, że pan się fatygował.

Tad podszedł do chłopaka i ukląkł.

— Wszystko gra?

Chłopak skinął głową, twarz miał czerwoną jak pomidor, jasne włosy i niebieskie oczy.

— Hillis, tylko ani słowa więcej o żadnych potworach, rozumiemy się?

— rzucił farmer.

Pani Higgs usiadła i zaraz wstała.

— Proszę mi wybaczyć, panie władzo, może ma pan ochotę na kawę?

— Dziękuję, ale nie, droga pani. — Znów spojrzał na chłopaka i odezwał się półgłosem: — Co widziałeś?

Chłopak milczał.

— Ani słowa o potworach — warknął farmer. Zastępca szeryfa nachylił się w stronę chłopca.

— Widziałem to coś — powiedział zuchwale dzieciak.

— Coś ty powiedział? — ryknął farmer. Tad odwrócił się do pani Higgs.

— Zechciałaby pani pokazać mi ten odcisk stopy? Pani Higgs podniosła się nerwowo.

— Chyba nie gada wciąż o tych potworach, co? — odezwał się farmer. — Bo w przeciwnym razie, jak mi Bóg miły, znów przetrzepię mu skórę! Wzywać policję w sprawie jakiegoś potwora!

Pani Higgs zaprowadziła policjanta przez niewielki salonik na tyły domu, do pokoju chłopca. Wskazała na okno.

— Wiem, że zamknęłam okno, zanim kazałam Hillowi pójść do łóżka, ale kiedy zaczął krzyczeć i weszłam tutaj, zobaczyłam, że było otwarte. A gdy podeszłam, by je zamknąć, zobaczyłam na kwiatowej rabacie odcisk

stopy.

Tad usłyszał dobiegający z kuchni podniesiony głos Higgosa.

— To żenujące jak jasna cholera, wzywać szeryfa do domu z powodu złego snu.

Zastępca szeryfa podniósł okno. Gdy to uczynił, do pokoju wpadły podmuchy gwałtownego, zawodzącego wiatru, unosząc zasłony aż pod sufit. Tad wychylił głowę za okno i spuścił wzrok.

W słabym świetle płynącym z pokoju dostrzegł starannie utrzymaną rabatę cynii. Kilka z nich zostało wgniecionych w ziemię, na której widniał jakiś długi ślad. To mógł być odcisk stopy, aczkolwiek niekoniecznie.

Tad przeszedł przez salon, wyszedł bocznymi drzwiami, obszedł cały dom, trzymając się tuż przy samej ścianie, dopóki nie znalazł się przy oknie pokoju chłopca. Następnie zapaliwszy latarkę, ukląkł przy klombie.

Ślad był niewyraźny, rozmazany i rozmyty przez burzę, ale w gruncie rzeczy nieodparcie przypominał odcisk stopy.

Policjant wyprostował się, omiatając promieniem latarki ziemię przy domu. W regularnych odstępach napotkał widoczne na niej kolejne ślady. Poszedł wzdłuż nich, oddalając się od domu Higgosów. Czteryście metrów stąd, poza falującym, wzburzonym morzem kukurydzy widniały słabe światła zakładu Gro-Bain.

Z uwagi na ostrzeżenia o burzy zakład tego dnia zamknięto wcześniej, nie było tam już żywego ducha.

Gdy tak patrzył, w zakładzie pogasły nagle wszystkie światła. Odwrócił się. Zgasło także światło w domu Higgosów. Ale wciąż widać było światła Medicine Creek.

Awaria zasilania. Brak prądu.

Ponownie obszedł dom i wrócił do środka.

— Wygląda na to, że faktycznie przybłąkał się tu jakiś intruz — powiedział.

Farmer burknął coś gniewnie, ale nie pokusił się o żaden komentarz. Pani Higgs już zapalała świece.

— Mieliliśmy ostrzeżenie o zbliżającym się tornadzie. Chciałbym poprosić, abyście pozamykali państwo starannie wszystkie okna oraz drzwi na klucz. Gdy zacznie wiać silniejszy wiatr, najlepiej zejździe do piwnicy. Jeżeli macie radio na baterie, miejcie je włączone na częstotliwość awaryjną.

Farmer burknął coś potakująco. Wiedział dobrze, jak ma się zachować w przypadku tornada.

Tad wrócił do samochodu i przez chwilę siedział pogrążony w zamyśleniu. Potężny radiowóz kołysał się pod wpływem coraz silniejszych podmuchów wiatru. Była już dziewiąta. Hazen i jego zespół do tej pory powinni być już z powrotem w mieście. Odpiął mikrofon policyjnej radiostacji i zgłosił się.

— To ty, Tad?

— Tak. Wróciłeś na posterunek, szeryfie?

— Jeszcze nie. Burza zwała drzewo na Deeper Road i uszkodziła kilka stacji przekaźnikowych.

Tad pospiesznie wyjaśnił całą sytuację.

— Potwory, co? — Hazen zachichotał. W tle słychać było spory hałas.

— No wiesz, pod numer 911 trafiają najróżniejsze zgłoszenia.

Przepraszam, że...

— Nie przepraszaaj. Postąpiłeś słusznie. Co się właściwie stało?

— Wszystko wskazuje na to, że zakradł się tam jakiś typek. Krzyk dzieciaka spłoszył niepożądanego gościa. Sądząc po śladach, nasz intruz skierował się w stronę zakładu Gro-Bain. Gdzie, nawiasem mówiąc, przed chwilą zgasło światło.

— To pewnie znów młody Cahill i jego kolesie. Pamiętasz, co się zdarzyło w zeszłym miesiącu? Lepiej, żeby ci chłopcy nie szwendali się w taką noc poza domem. Brak prądu sprawia, że sobie trochę zaszaleją, ale w efekcie może się skończyć tak, że któremuś z nich niesione wicherą drzewo rozłupie czaszkę. Skoro już tam jesteś, może zajrzałyś do zakładu? Masz jeszcze czas. Zdażysz. Bądź w kontakcie.

— Ta jest.

— I jeszcze jedno, Tad.

— Tak?

— Nie widziałeś czasem tego, jak mu tam, Pendergasta?

— Nie.

— To dobrze. Wygląda na to, że po tym, jak go potraktowałem, wyniósł się z miasta jak niepyszny.

— Dziwne nie jest.

— O dziesiątej wchodzimy do jaskini. Chciałbym, żebyś do tego czasu uporał się z tym, co masz do zrobienia. Ktoś przecież musi czuwać na posterunku.

— Się wie.

Policjant odmeldował się i uruchomił samochód. Trochę mu ulżyło. Za sprawą odgórnego polecenia nie będzie musiał ruszać w głąb jaskiń śladem zabójcy. Co się tyczy Gro-Bain, odkąd sięgał pamięcią, nie było

tam nocnego strażnika. Po prostu sprawdzi wszystkie wejścia. Jeśli okażą się zamknięte i nie napotka żadnych oznak obecności intruza, będzie mógł wrócić na posterunek. Zrobi swoje i po wszystkim.

Skierował radiowóz na południe, w stronę mrocznych, ciemnych zabudowań starego zakładu.

PIĘĆDZIESIĄT DWA

Tad wprowadził radiowóz na przyzakładowy parking. Pustą połać asfaltu omiatały potężne podmuchy wiatru, niosące ze sobą źdźbła traw i strzępy liści kukurydzy. Deszcz lał jak z cebra, a wichura jeszcze bardziej wzmagająca siłę ulewy. Zacinające strugi zabębniły o maskę i dach radiowozu niczym seria z karabinu maszynowego. Słysząc było, jak wichur chłoszcze otaczające zakład łany kukurydzy. Mężczyzna usiłował przeniknąć ciemność zalegającą dokoła i na poły z nadzieją, na poły z trwogą wypatrywał złowrogiego leja trąby powietrznej. Nie dostrzegł go jednak.

Szeryf stwierdził, że podejrzewa Andy'ego Cahilla i jego kumpli o terroryzowanie rodziny Higgsów. Tad był raczej skłonny przypuszczać, że odpowiedzialny był za to Brad i jego paczka. Syn szeryfa nigdy nie wyrośnie na mężczyznę, jakim był jego ojciec. Tad zastanawiał się, co by zrobił, gdyby napotkał przy zakładzie syna Hazena. To mogłoby okazać się bardziej niż tylko trochę kłopotliwe.

Zatrzymał wóz, gdy jego oczom ukazały się mroczne zabudowania zakładu, nie zgasił jednak silnika. Nawet przez podniesione szyby słysząc było wiatr, zawodzący i wyjący niczym bestia cierpiąca katusze. Zakład tonął w ciemnościach, otoczony kukurydzą, mroczny, opustoszały.

Spoglądając na niski, złowieszczy budynek, zastępca szeryfa stwierdził, że wcale mu się nie uśmiechało tam wchodzić. Rutynowa inspekcja wydała mu się czymś wymuszonym i nieprzyjemnym. Dlaczego Gro-Bain nie zatrudni jeszcze jednego nocnego strażnika? To nie w porządku, aby

policja miała zapewniać zakładowi bezpieczeństwo i wyręczać w tym ochronę.

Tad przeczesał dłonią krótko przystrzyżone włosy. Nie miał wyjścia. Dokona szybkiej inspekcji, sprawdzi, że żadne drzwi nie zostały sforsowane, potem zajrzy do Smita Ludwiga i wróci na posterunek.

Uchylił drzwiczki radiowozu, a wicher z zajadłym wyciem pchnął je z powrotem. Naciągając kapelusz głębiej na głowę i stawiając kołnierz, mężczyzna naparł mocniej na drzwi, po czym wyslizgnął się na zewnątrz, skulił i pobiegł w stronę wjazdu dla ciężarówek. Gdy tak pędził, smagany wiatrem, usłyszał pojedynczy, powtarzający się dźwięk. Znalazszy się pod chroniącą go od wichury żuźlową ścianą budynku, poprawił kapelusz, zapalił latarkę i ruszył w stronę wejścia. Hałas przybrał na sile.

Kiedy znalazł się u podnóża schodów prowadzących do hali załadunkowej, w świetle latarki ujrzał otwarte drzwi kołyszące się na zerwanych zawiasach i głucho uderzające w ścianę.

„Cholera” — pomyślał.

Stał w bezruchu, promień latarki omiół strzaskany zamek i zniszczone zawiasy. Ktoś nieźle się tu zabawił. W normalnych okolicznościach Tad wezwałby wsparcie. Tylko jak miał to zrobić w taką noc jak ta? Wszyscy stróże prawa, nie biorący udziału w pościgu za zabójcą, będą z pewnością zajęci ostrzeganiem okolicznych mieszkańców przed spodziewanym tornadem. Może powinien odpuścić i wrócić tu rano.

Wyobraził sobie siebie tłumaczącego się ze swej decyzji gniewnemu Hazenowi i stwierdził, że takie rozwiązanie nie wchodziło w grę. Hazen niejednokrotnie docinał mu, twierdząc, że powinien bardziej się starać, wykazywać więcej inicjatywy.

Przecież nie było się czym przejmować. Zabójca zamelinował się na powrót w jaskini. Dzieciaki pokroju Brada Hazena często włamywały się dla zabawy do zakładu, nawet gdy służbę pełnił tam nocny strażnik. Takie incydenty miały już miejsce w przeszłości, ostatnio w zeszłym roku w Halloween wdarło się tam sześciu rozrabiaków z Deeper, którzy chcieli zabawić się w najsztywniejszym zakładzie miasteczka od dekad rywalizującego z ich rodzinną miejscowością.

Tad poczuł narastające rozdrażnienie. Nie dość, że noc zapowiadała się fatalnie, to teraz jeszcze to. Pchnął wyłamane drzwi, starając się czynić jak najwięcej hałasu i oświetlił latarką wnętrze hali.

— Jestem z policji — oznajmił pełnym powagi głosem. — Proszę wyjść z rękoma do góry.

Odpowiedziało mu tylko powracające z ciemności echo własnego głosu.

Policjant ostrożnie ruszył naprzód, przełożył latarkę z lewej ręki do prawej, wyszedł z hali załadunkowej i przeszedł po metalowej kładce do głównego budynku zakładu. Było tu bardzo ciemno, w powietrzu czuć było drażniącą woń chloru. Kiedy minął przepierzenie, raczej wyczuł, niż zobaczył, że sklepienie, które miał nad sobą, znacznie się podwyższyło. Przystanął, by omieść światłem latarki pas transmisyjny ciągnący się przez cały zakład jak niekończąca się metalowa droga w tę i z powrotem, w górę i w dół na co najmniej trzech poziomach. Wychodząca z niedużego, wyłożonego kafelkami pomieszczenia przylegającego do ogłuszalni taśma przechodziła przez kilka wolno stojących oddzielnych sektorów, budynków wewnątrz tej jednej, zasadniczej budowli: oparzalnię, skubalnię, oczyszczalnię. Tad pamiętał te nazwy ze swych poprzednich

wizyt w tym miejscu. Takich rzeczy szybko się nie zapomina.

Skierował promień latarki w stronę pokrytego kafelkami pomieszczenia. Mieściła się w nim wykrwawialnia. Drzwi były uchylone.

— Policja — rzucił ochryplym głosem, podchodząc bliżej. W odpowiedzi usłyszał dochodzący z zewnątrz nieco cichszy ryk wichury.

Przekładając latarkę do lewej ręki, Tad odpiął zabezpieczony napą pasek przy kaburze służbowego pistoletu. Oparł dłoń na kolbie broni. Naturalnie nie będzie musiał posunąć się do jej użycia.

Mimo to dotyk broni przyniósł mu wyraźną ulgę.

Odwrócił się i poświecił latarką dokoła, jej promień omiółł pas transmisyjny, węże i uchwyty znajdujące się na szarych ścianach. Cały zakład był olbrzymi, światło latarki nie docierało dalej niż do jednej trzeciej jego całkowitej długości. W budynku panowała cisza i wyglądało na to, iż nie ma tu żywego ducha.

Odetchnął z ulgą. Dzieciaki najprawdopodobniej zwiały, gdy tylko ujrzwały nadjeżdżający radiowóz.

Spojrzał na zegarek, prawie kwadrans po dziewiątej. Hazen powinien być już na posterunku, szykując się do planowanej na dziesiątą akcji. Mógł spenetrować cały zakład, tylko po co? Przecież nikogo tu nie było. To strata czasu. Zajrzy do Smita Ludwiga i wróci na posterunek.

Odwracał się właśnie, gdy usłyszał dziwny hałas.

Znieruchomiał, nasłuchując. Dźwięk powtórzył się — jakby chichot albo wilgotny rechot. Dochodził chyba z wykrwawialni, dziwnie zniekształcony przez metalową posadzkę i wyłożone płytkami ściany. Chryste, te gnojki tam się schowały.

Omiółł latarką uchylone drzwi do wykrwawialni. Wyłaniający się z

pomieszczenia pas transmisyjny z hakami lśnił w świetle latarki, rzucając okrutne, zniekształcone cienie na ścianę za nim.

— W porządku — rzucił. — Wyłaźcie stamtąd. Wszyscy. Kolejne parsknięcie.

— Liczę do trzech, jeżeli nie wyjdziecie, napytacie sobie biedy. Ja nie żartuję.

To jakiś absurd, marnował czas, podczas gdy na zewnątrz trwał stan zagrożenia tornadowego. Załatwi tych gnojków na cacy. To z pewnością znów jakieś szumowiny z Deeper.

— Jeden. Żadnej odpowiedzi.

— Dwa.

Czekał, lecz i tym razem nic się nie wydarzyło.

— Trzy. — Tad szybkim krokiem podszedł do drzwi, podeszwy jego butów załomotały o wyłożoną śliskimi kafelkami posadzkę. Kopniakiem otworzył drzwi na oścież, towarzyszący temu odgłos rozniósł się echem po całym zakładzie.

Na szeroko rozstawionych nogach ugiętych w kolanach zastępca szeryfa wpadł do wykrwawialni, omiatając jej wnętrze snopem światła. Jego oczom ukazały się metalowe sprzęty, okrągły otwór odpływowy pośrodku podłogi, lśniące kafelkami ściany.

Nic. Pusto. Przeszedł na środek pomieszczenia i stanął, w nozdrza uderzyła go woń środka czyszczącego.

Nad nim coś załomotało, Tad skierował latarkę ku górze. Znów ten wściekły łoskot, brzęk metalu. Haki zwieszające się z pasa transmisyjnego zakołysały się dziko i zaczęły uderzać o siebie nawzajem. Policjant zdążył jeszcze dostrzec mroczny kształt prześlizgujący się po taśmie i znikający

w otworze nad drzwiami.

— Hej! Ty! — Tad podbiegł do drzwi i zatrzymał się. Błysnął latarką. Nic, tylko haki kołyszące się na pustym pasie transmisyjnym, ciągnącym się w dal i niknącym w ciemnościach.

Tym razem pogra ostro, dość użerania się z rozrabiakami. Zastępca szeryfa dorwie te dzieciaki i zapuszkuje je. Dostaną lekcję, na jaką zasłużyły.

Światło jego latarki padło na pas transmisyjny. Haki wciąż jeszcze skrzypiały i kołysały się, wyglądało na to, jakby dzieciaki wspięły się po nim i przeszły przez przesłonięty płachtą plastiku otwór do sąsiedniego pomieszczenia — lśniącej stalą oparzalni.

Posuwał się naprzód jak najciszej. Plastik przy wejściu do oparzalni wciąż lekko falował.

Bingo.

Tad podszedł do oparzalni z drugiej strony. Wyłaniał się stąd wąski, ciemny kształt pasa transmisyjnego, ale plastikowe płachty wisiały nieruchomo.

Dzieciaki były w środku.

Zastępca szeryfa cofnął się, wodząc promieniem latarki pomiędzy jednym a drugim wyjściem z oparzalni. Odezwał się niezbyt głośnym, lecz zdecydowanym tonem.

— Posłuchajcie, i tak będziecie już mieli poważne kłopoty za włamanie i wtargnięcie na teren zakładu. Jeśli jednak zaraz stamtąd nie wyjdziecie, dojdzie wam także oskarżenie o stawianie oporu przy aresztowaniu i kto wie, co jeszcze. Żadnych „zawiasów” czy odpracowania kary, pójdziecie siedzieć. Czy to jasne?

Cisza. I nagle z wnętrza oparzalni dobył się cichy pomruk.

Tad nasłuchiwał przez chwilę.

— Że co?

Mruczenie, tym razem głośniejsze, przeradzające się w śpiewny bełkot. Świszczący, dziecięcy, sepleniący głos, niewyraźny i zniekształcony.

Te dzieciaki drwiły sobie z niego.

W przypływie wściekłości i upokorzenia policjant kopnął w ścianę oparzalni. Stalowa płyta wydała głuchy łomot, który poniósł się echem w głąb mrocznego zakładu.

— Wyłazić stamtąd, ale już! — wrzasnął.

Wziął kilka głębokich oddechów. Potem zaś odgarnął plastikową płachtę i wszedł do oparzalni, uważając, by nie rozbić sobie głowy o zwieszające się powyżej haki. Gdy omiótł światłem latarki wnętrze metalowego pomieszczenia, kątem oka dostrzegł postać prześlizgującą się po pasie transmisyjnym i wychodzącą przez otwór w przeciwległej ścianie. Postać wydawała się wielka i zniekształcona, zapewne dostrzegł dwie zlewające się ze sobą sylwetki uciekających chłopaków z Deeper. Ale mimo olbrzymich rozmiarów postać poruszała się zadziwiająco szybko. W czerni, której Tad nie zdołał przeniknąć wzrokiem, postać zeskoczyła z pasa transmisyjnego, rozległo się głuchy odgłos, a potem szybki tupot kroków, intruz kierował się w głąb zakładu.

— Stać! — krzyknął Tad.

Obiegł oparzalnię i puścił się w pościg, krąg światła rzucanego przez latarkę kołysał się na wprost niego. Ciemna postać minęła skubalnię i wspięła się na drabinkę wiodącą do patroszalni, przebiegła po kładce i zniknęła za grubym pękiem przewodów hydraulicznych.

— Stój, do cholery! — rzucił w ciemność stróż prawa. Wspiął się po drabince, wyjął pistolet i co sił pognął po metalowej kładce.

Gdy mijał przewody hydrauliczne, kątem oka dostrzegł jakiś błysk i poczuł przerażająco silne uderzenie w przedramię. Krzyknął z zaskoczenia i bólu. Latarka wypadła mu z ręki i z trzaskiem potoczyła się po kładce, zsunęła się z jej krawędzi i poleciała w dół. Rozległ się głuchy stukot, kiedy wylądowała na betonie poniżej, brzęk tłuczonego szkła, po czym zapadła ciemność.

Z zewnątrz słychać było smętne zawrodozenie wiatru i łoskot gradu bębniącego o dach.

Tad przykucnął, wymierzył pistolet w ciemność, a wtedy jego lewe ramię przeszył potworny ból. Chryste, nie był w stanie unieść przedramienia, zacisnąć pięści ani nawet poruszyć palcami. Jego ręka płonęła żywym ogniem.

Ten sukinsyn złamał mu rękę. Złamanie było poważne. W dodatku ten skurwiel dokonał tego jednym ciosem. Stróż prawa zdusił w sobie szloch i zacisnął zęby.

Nasłuchiwał z uwagą, ale słyszał tylko odgłosy szalejącej na zewnątrz burzy.

To nie żaden pieprzony dzieciak.

Gniew i uczucie upokorzenia prysły. Zadbały o to ciemność i ból. Tad teraz pragnął jedynie wydostać się stąd.

Wyteżył wzrok, usiłując przeniknąć ciemność, przypomnieć sobie, gdzie znajdowało się wyjście. Zakład był olbrzymi, bez światła opuszczenie go nie będzie łatwe. Może powinien zostać tutaj, przeczekać w ciszy i bezruchu, aż w mieście znów włączą prąd?

Nie. Nie mógł tu zostać. Musiał zwiewać, byle dalej stąd.

„Uciec. Po prostu wynieść się stąd. I to natychmiast” — pomyślał Tad.

Podniósł się z pistoletem w dłoni i drugą ręką zwieszającą się bezwładnie wzdłuż boku. Macając stopą przed sobą, usiłował odnaleźć drogę powrotną do drabinki, prawie nie oddychał, bał się, że w każdej chwili z mroku może dosięgnąć go kolejny cios. Jeden krok, trzy, pięć...

W ciemnościach uderzył w coś łokciem.

Wyciągnął przed siebie dłoń z pistoletem i dotknął czegoś szorstkiego, twardego i łuskowatego. Czy to przewody hydrauliczne? Nie. Raczej nie. Ale przecież prócz nich nic więcej tu nie było. Nie tu — w patroszalni.

Przygryzł wargę, tłumiąc zrodzony z trwogi szloch.

To przez tę ciemność tak się zachowywał. Nie przywykł do absolutnej ciemności. Może gdyby nacisnął spust, tylko raz, w świetle wystrzału zdołałby dostrzec, gdzie się właściwie znajdował. Tracił orientację. Jeden strzał w dach nikomu przecież nie zaszkodzi.

Uniósł pistolet i strzelił w górę.

W krótkim białym błysku ujrzał stojącą tuż obok niego postać, przyglądała mu się z uśmiechem. To, co zobaczył, było tak niespodziewane, tak dziwne i przerażające, że Tad nawet nie był w stanie krzyknąć.

Postać wrzasnęła za niego; był to dziwny, gardłowy, ochrypły ryk, pełen rozwścieczenia strzałem.

Zastępca szeryfa rzucił się do ucieczki. Odnalazł drabinkę i na wpół zsunął się, na wpół zszedł po niej, uderzając boleśnie kolanami o metalowe szczeble. W pewnej chwili jego stopa ześlizgnęła się ze szczebla i runął na podłogę, spadając na złamaną rękę. Dopiero teraz krzyknął z

bólu i przerażenia. Ale przynajmniej znów znalazł się na dole. Stąd było już dość blisko do wyjścia. Podniósł się ślamazarnie, z bólu zbierało mu się na mdłości. Szlochając i jęcząc, zaczął biec przed siebie, potknął się, upadł, ale zaraz znowu się podniósł. Dopiero teraz uświadomił sobie, że nadal kurczowo ścisnął w dłoni pistolet. Miał się czym bronić i będzie się bronił. Nie podda się bez walki. Odwrócił się i dwukrotnie wypalił na oślep. W błyskach wystrzału dostrzegł to coś, co sunęło w jego stronę, wyciągając przed siebie muskularne łapska i otwierając szeroko usta.

— Mooooo!

Tad musiał złożyć się do strzału, wycelować, nie powinien strzelać na oślep. Jeszcze dwa strzały, błyski ujawniły, że stwór coraz bardziej nieubłaganie zbliżał się do niego. Stróż prawa zaczął się cofać, wciąż krzyczał, oddał jeszcze dwa strzały, jego ręka dygotała nerwowo.

— Mooooo! Mooooo!

Stwór był już bardzo blisko. Policjant nie mógł chybić. Nie teraz. Powinien trafić go nieomal z przyłożenia. Uniósł pistolet, nacisnął spust.

Iglica trafiła na pustą komorę. Sięgnął po zapasowy magazynek, ale otrzymał potwornie silny cios w brzuch i upadł, zapało mu dech, pistolet pofrunął w ciemność.

Trzecie uderzenie, tym razem w zdrową rękę. Odzyskał oddech, szamotał się rozpaczliwie, krzycząc i wierzgając nogami, usiłował odpełznąć w tył, ale nie mógł, gdyż obie ręce miał całkowicie bezwładne.

— Moo! Moo! Moo!

Tad znowu wrzasnął i odepchnąwszy się obunóż, poszorował na plecach po podłodze. Znów ten przerażający głos. Leżąc na wznak, mężczyzna wierzgnął nogami, usiłując dosięgnąć potwornej istoty.

I wtedy to schwyciło go za nogę. Zastępca szeryfa poczuł miazdzący ucisk wokół kostki, a potem coś nagle ustąpiło — rozległ się chrzęst i trzask pękającej kości. Jego kości.

W chwilę później ogromny ciężar zaległ mu na piersi, a coś szorstkiego i twardego zacisnęło się po obu stronach twarzy Ta-da. Jego nozdrza wypełniła won ziemi, pleśni i nieco słabszy, lecz o wiele bardziej niemiły fetor czegoś, czego nie potrafił określić. Przez chwilę miał wrażenie, że ten dotyk będzie miły, kojący, uspokajający.

I nagle uścisk przybrał na sile, napór był bezlitosny, gwałtowny, niepoahamowany. Zaraz potem potężne łapska jednym brutalnym ruchem przekręciły mu głowę niemal o sto osiemdziesiąt stopni. Tad ujrzał tuż przed nosem śliskie, gładkie płytki podłogi. Jego uszy przepelnił rozdzierający trzask, palący, rozdzierający ból eksplodował u podstawy jego karku, a potem ciemność przed oczami zastąpiło oślepiająco białe, wszechogarniające światło...

PIĘĆDZIESIĄT TRZY

Corrie leżała pośród cuchnącej ciemności. W tym przerażającym, dezorientującym mroku nie sposób było stwierdzić, ile czasu upłynęło od jego odejścia. Godzina? Doba? Miała wrażenie, że cała wieczność. Bolały ją wszystkie kości, szyja paliła żywym ogniem w miejscach, gdzie ścisnęły ją twarde jak z żelaza palce.

Mimo to nie zabił jej. Najwyraźniej zamierzał ją torturować. Chociaż nie, tortury nie były w tym przypadku adekwatnym określeniem. Zupełnie jakby bawił się, igrał z nią w jakiś potworny, niewyjaśniony sposób.

Rozmyślanie na temat zabójcy mijało się z celem. Było niemożliwością, aby zrozumiała coś tak obcego, tak pokiereszowanego, tak innego niż wszystko, czego kiedykolwiek doświadczyła. Przypomniała sobie, że nikt nie przyjdzie jej na ratunek, nikt nie dotrze tak daleko w głąb tego labiryntu jaskiń. Nikt nie wiedział, że tu była. Jeżeli miała przeżyć, musiała coś zrobić sama. Musiała to zrobić, zanim on wróci.

Znów zaczęła szamotać się, usiłując poluzować więzy, ale w efekcie

tylko pocierała i pokaleczyła sobie nadgarstki. Sznury były wilgotne, gdy ją krępowano, i węzły stały się twarde jak włoskie orzechy.

Kiedy on wróci? Ta myśl ożywiła w jej wnętrzu falę paniki.

„Corrie, weź się w garść” — upomniała siebie w duchu.

Przez chwilę leżała w bezruchu, koncentrując się na oddychaniu.

Następnie powoli, z rękoma skrepowanymi z tyłu, na wpół potoczyła się, na wpół popęzła po skalistym podłożu, badając je.

Było względnie gładkie, lecz tu i ówdzie napotkała szorstkie występy skalne, nieregularne — większe i mniejsze, wyrastające z podłoża w kilku miejscach jaskini. Przyjrzała się uważniej jednej z takich formacji, dotknęła jej palcami. Były to być może kryształki.

Przyjęła odpowiednią pozycję i kopnęła w nie obunóż. Pękły z głuchym trzaskiem.

Przez chwilę macała po omacku, aż w końcu jej odrętwiałe pale wyczuły ostrą, świeżą krawędź. Nachylając się nad nią z mozołem, przyłożyła skrepowane dłonie do krawędzi i zaczęła w tę i z powrotem pocierać sznurem o ostry brzeg.

Boże, ależ to bolało. Nadgarstki miała poobcierane do żywego, z każdą chwilą czuła większe strużki krwi spływające po wewnętrznych stronach jej dłoni. Prawie straciła już czucie w palcach. Mimo to nie przerywała pocierania, naciskała coraz mocniej. Wilgotny sznur ześlizgiwał się, ostre kamienie raniły dłonie. Stłumiła w sobie krzyk i tarła dalej. Lepiej stracić rękę niż życie. Wreszcie sznur zaczął się przecierać. Gdyby tylko zdołała uwolnić się z więzów...

No właśnie, co potem?

...Kiedy on wróci?

Corrie zadygotała, dreszcze były tak silne, że z trudem je opanowała. Nigdy jeszcze nie była równie przemoknięta, zziębnięta i odrętwiała. Smród zdawał się przenikać wszystko, czuła go w nosie i na języku.

„Skup się na sznurze” — pomyślała.

Pocierała dalej, sznur omsknął się, znów się zraniła, lecz szlochając w głos, nie bacząc na obtarcia i skaleczenia, kontynuowała zmuśną czynność. Nie czuła już palców, ale to zmusiło ją tylko do zdwojenia tempa i jeszcze większego wysiłku.

Nawet jeśli zdoła się uwolnić, co zrobi bez światła? Nie miała zapalek ani nawet zapalniczki. Zresztą gdyby je miała, on przeniósł ją tak daleko w głąb jaskini, że wątpiła, aby sama zdołała znaleźć stąd wyjście.

Pochlipując cichutko, raz jeszcze potarła sznurem o ostry brzeg kamienia. Paradoksalnie beznadziejność sytuacji przydała sił jej udreżonemu ciału.

Nagle sznur puścił. Miała wolne ręce.

Zdyszana położyła się na wznak, łapczywie chwytając powietrze. Palący ból jak tysiące drobnych igiełek zaatakował dłonie i palce. Poczwała krew spływającą strużkami po skórze.

Spróbowała poruszyć palcami, lecz bez powodzenia. Z jękiem przetoczyła się na bok, delikatnie pocierając jedną ręką o drugą. Ponownie spróbowała poruszać palcami i tym razem doczekała się drobnej reakcji. Odzyskiwała w nich władzę.

Powoli usiadła. Nawet najdrobniejszy ruch sprawiał jej ból. Wyprostowawszy nogi, schyliła się i dotknęła sznura krepującego jej kostki. Był zawiązany w jakiś szalony sposób, z pół tuzinem prymitywnych, acz efektywnych węzłów. Spróbowała je rozsypać, jęknęła

z bólu i cofnęła dłonie. Może udałoby się jej rozciąć sznur o tę samą ostrą skałę, dzięki której uwolniła ręce. Zaczęła szukać po omacku ostrej krawędzi...

Przerwał jej jakiś dźwięk. Znieruchomiała, serce podeszło dziewczynie do gardła.

On wracał.

Słyszała stękanie, chrząkanie i pohukiwanie rozbrzmiewające echem wśród skał. Był już niedaleko. Wszystko wskazywało, że dźwigał jakieś brzemię. Coś ciężkiego.

— Hnuff!

Pospiesznie schowała ręce za siebie, położyła się na zimnym podłożu i znieruchomiała. Mimo iż było ciemno choć oko wykol, nie chciała, by zorientował się, że uwolniła dłonie z pęt.

Szuranie stóp przybliżało się. W ciemności rozeszła się nagle nowa, silna woń, odór świeżej krwi, żółci i wymiocin.

Leżała w całkowitym bezruchu. Było tak ciemno, może o niej zapomniał.

Usłyszała odgłosy wleczenia czegoś ciężkiego, a potem metaliczny brzęk i szcęk, być może klucza. Zaraz potem coś ciężkiego łupnęło na podłogę jaskini tuż obok niej.

Potworny odór przybrał na sile.

Stłumiła krzyk narastający w jej gardle.

A on tymczasem znów zaczął nucić i mówić do siebie. Dał się słyszeć grzechot metalu, zgrzyt zapałki i oto stała się światłość, skądinąd dość słaba, ale zawsze lepsze to niż nic. Na moment Corrie zapomniała o wszystkim, o bólu, o swym fatalnym położeniu, na widok wątlej, żółtawej

poświaty zrobiło się jej nieco lżej na duchu. Blask zdawał się płynąć spomiędzy ścianek dziwnie wyglądającej latarni, bardzo starej, z przesuwanymi ściankami z przezartego przez rdzę metalu. Światło umieszczono w takim miejscu, że on sam pozostawał w cieniu, widać było jedynie ciemny, poruszający się kształt, szarą plamę pośród czerni. Zniknął za rogiem, robiąc coś w jednej z nisz, wciąż nucił i gadał do siebie.

A zatem mimo wszystko on także potrzebował światła, choćby nawet słabego.

Skoro jednak był w stanie tak wiele zdziałać po ciemku, donieść ją tutaj i związać, na czym polegała czynność, do której potrzebował oświetlenia?

Corrie nie chciała się nad tym dłużej zastanawiać. Tak łatwo było porzucić o tym myśli, światło przyniosło jej chwilową ulgę, a równocześnie przepełniło uczuciem rozleniwienia, sennego, otepiającego odrętwienia. Jakaś częśćka niej pragnęła poddać się, zrezygnować z dalszej walki.

Rozejrzała się wokoło. Światło, choć słabe, powracało do niej w postaci odbijających się zewsząd oślepiających refleksów. Czekwała w bezruchu, jej oczy powoli przyzwyczajały się do półmroku.

Znajdowała się w niedużej jaskini. Ściany pokryte były pierzastymi, białymi kryształami, które lśniły w słabym świetle latarni, ze sklepienia zaś zwieszały się niezliczone stalaktyty. Do każdego z nich dołączony był dziwaczny, niewielki ornament z patyków i kości powiązanych zmyślnie szpagatem. Przez dłuższą chwilę Corrie wodziła wzrokiem wokoło, nie pojmując tego, na co patrzyła. Wreszcie przeniosła spojrzenie na ściany, przyglądała się im przez chwilę, aż w końcu zlustrowała wzrokiem skalne podłoże.

Obok niej leżało jakieś ciało.

Stłumiła w sobie krzyk. Znow ogarnęły ją zgroza i przerażenie. Jak ta odrobina światła mogła sprawić, że zapomniała, choćby tylko przez chwilę...?

Zamknęła oczy. Ale czerń okazała się teraz jeszcze gorsza niż przedtem. Była nie do zniesienia. Dziewczyna musiała wiedzieć.

Twarz była tak okrwawiona, że w pierwszej chwili Corrie nie zdołała ujrzeć rysów. Zaczęła dostrzegać je powoli, jakby stopniowo ujawniały się jej oczom. Miała przed sobą zmasakrowane oblicze Tada Franklina; oczy miał otwarte, niewidzące, usta rozdziawione w niemym krzyku.

Odwróciła energicznie głowę, usłyszała swój własny krzyk, jeden, potem drugi.

Rozległo się głucho sapnięcie i dopiero teraz ujrzała go po raz pierwszy, wyłonił się zza załomu korytarza z długim, ociekającym krwią nożem rzeźnickim w jednej ręce i czymś wilgotnym i czerwonym w drugiej.

Uśmiechał się i podśpiewywał do siebie.

Na jego widok w jednej chwili krzyk uwiązał jej w gardle.

Ta twarz...!

Hazen stał przed grupą funkcjonariuszy policji. To, co miał do powiedzenia, nie powinno zająć mu wiele czasu, ludzie byli dobrze wyszkoleni, a plan dopracowany. McFelty nie miał żadnych szans. Pozostawał już tylko jeden problem. Tad nie wrócił jeszcze z zakładu, wysiadła także łączność. Hazen wolał udzielić mu szczegółowych instrukcji przed wyruszeniem na akcję, ale nie mógł już dłużej czekać. Medicine Creek było należycie zabezpieczone i pozostawało w dobrych rękach. Tad z pewnością wszystkim się zajął. Do dziesiątej zostało zaledwie kilka minut. Nie chciał, aby McFelty wymknął się pod osłoną burzy. Musieli ruszać. Tad będzie wiedział, co ma robić.

— Gdzie psy? — zapytał Hazen. Odezwał się Hank Larssen.

— Przywiozą je bezpośrednio pod dom Krausów. Tam się spotkamy.

— Mam nadzieję, że tym razem będą to prawdziwe psy tropiące.

Poprosiłeś o psy tego szczególnego gatunku, które są szkolone w Dodge? Wiesz, chodzi mi o tę hiszpańską rasę. Jak one się nazywają?

— Dogo canario, psy kanaryjskie — rzekł Larssen. — Zrobiłem to. Powiedziano mi, że nie zakończono jeszcze ich szkolenia, ale byłem nieustraszony.

— To dobrze, mam serdecznie dość uganiania się za pieskami pokojowymi. Kto jest ich opiekunem?

— Ten sam facet, co ostatnio. Lefty Weeks. Jest najlepszy.

Hazen skrzywił się, wyjął z paczki papierosa i zapalił. Zlustrował przeciągłym spojrzeniem całą grupę.

— Wszyscy znacie regulamin, więc będę się streszczał. Najpierw idą

psy, potem opiekun, Lefty, następnie ja i Raskovich. — Wskazał papierosem szefa ochrony KSU.

Raskovich skinął głową był wyraźnie spięty, szczęki miał mocno zaciśnięte.

— Raskovich, umiesz posługiwać się strzelbą dwunastką?

— Tak jest.

— Wobec tego wydam ci strzelbę. Za nami, w charakterze wsparcia, pójdą Cole, Brast i szeryf Larssen. — Hazen skinął na dwóch policjantów z drogówki w pełnym rynsztunku bojowym, czarnych kombinezonach z licznymi kieszeniami, wysokich butach na grubym protektorze i kamizelkach kuloodpornych. Nie nosili już kapeluszy, szli na poważną akcję. Ponownie spojrzał na Larssena.

— Zgadzasz się, Hank? Szeryf z Deeper pokiwał głową.

Hazen wiedział, jak ważna jest polityczna strona tej rozgrywki, musiał wciągnąć w to Hanka, dopilnować, by został członkiem zespołu. Hankowi było to nie w smak, nic jednak nie mógł na to poradzić, znajdował się na terenie Hazena i dopóki operacja nie dobiegnie końca i nie zostanie przywrócona łączność, musiał tańczyć tak, jak Hazen mu zagra. A ten z pewnością postara się, by Larssen tylko na tym skorzystał. Wszyscy tylko na tym zyskają, Raskovich również — nikt nikomu nie wbije noża w plecy podczas procesu.

— Zasady postępowania są proste. Wszyscy otrzymacie strzelby szturmowe, ale nie róbcie z nich użytku, dopóki nie znajdziecie się w sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia. Czy to jest jasne?

Wszyscy przytaknęli.

— Mamy pojmać sprawcę żywcem, całego i zdrowego. Wchodzimy do

jaskini, rozbrajamy sprawcę, wyciągamy go stamtąd skutego, ale postarajcie się, aby włos nie spadł mu z głowy. To nasz główny świadek. Jeżeli wpadnie w panikę i zacznie strzelać, wycofajcie się i pozwólcie, aby zajęły się nim psy. A te psy są tak wyszkolone, że nawet gdy zarobią kulkę lub dwie, i tak spełnią swoje zadanie.

Cisza, lekkie skinienie głowy.

— Jeśli któremuś z was marzy się, by zostać bohaterem, szczerze odradzam. Zapomnijcie o tym. Bo sam was aresztuję. Mamy działać razem. Stanowimy zespół.

Wymienili krótkie spojrzenia. Hazen najbardziej martwił się o Raskovicha, ale jak dotąd facet zachowywał niezłomny spokój. Chyba warto zaryzykować. Do licha, był gotów zaryzykować i dać Raskovichowi kredyt zaufania, jeśli tylko dzięki temu w Medicine Creek zostanie założone eksperymentalne pole uprawne.

— Shurte i Williams, staniecie na straży przy wejściu do jaskini. Nie oznacza to jednak, że macie się lenić. Nie ma mowy o wysiadywaniu u wejścia, gdzie moglibyście zostać zaskoczeni przez sprawcę. Jeżeli wypłoszymy McFelty'ego i facet spróbuje uciec, musicie być gotowi, aby go pojmać. Ty, Rheinbeck, udasz się do domu Krausów, by wręczyć nakaz i wypić herbatkę z Winifredą. Bądź gotów udzielić wsparcia Shurte'owi i Williamsowi, gdyby okazało się to konieczne.

Oblicze Rheinbecka nie zdradzało żadnych emocji, dostrzec można było tylko lekkie pulsowanie skóry po jednej stronie jego zuchwy.

— Wiem, Rheinbeck, to trudne zadanie, ale stara z pewnością nielecho się zdenerwuje. Nie chcielibyśmy, aby dostała ataku serca. Czy to jest jasne?

Rheinbeck pokiwał głową.

— Pamiętajcie, tam, na dole, nie będziemy mieć łączności ze światem zewnętrznym. A w razie gdybyśmy się rozdzielili, nie będziemy mieć także łączności między sobą nawzajem. Dlatego musimy trzymać się razem. Rozumiemy się? — Rozejrzył się dokoła. Wyglądało na to, że jednak go zrozumieli. — W porządku, Cole opowie nam teraz o goglach noktowizyjnych.

Cole postąpił naprzód. Oto mieli przed sobą uosobienie typowego gliniarza z policji stanowej, wysokiego, muskularnego mężczyznę z fryzurą na zapałkę i zaciętym wyrazem twarzy. To zabawne, że wśród stanowych nigdy nie było grubasów. Może nie przyjmowali do służby osób otyłych. Cole trzymał w dłoni szary kask z podpiętymi u dołu okazałymi goglami.

— W jaskini — zaczął — nie ma żadnego światła. W ogóle. Dlatego zwykle noktowizory starlight byłyby dla nas nieprzydatne. W tej sytuacji zmuszeni jesteśmy skorzystać z oświetlenia podczerwonego.

Podczerwień działa podobnie jak zwykła latarka. Tu, z przodu kasku, umieszczona jest lampa czołowa. Tu znajduje się włącznik. Trzeba go przycisnąć jak w zwykłej latarce. Gołym okiem światło jest niewidoczne, kiedy jednak nałożycie gogle noktowizyjne, ujrzycie czerwoną poświatę. W razie wyłączenia lub awarii lampy czołówki, wasze gogle przestaną funkcjonować i ujrzycie jedynie ciemność. Czy to jest zrozumiałe?

Wszyscy przytaknęli.

— Będziemy nosić gogle noktowizyjne, aby nie wystawić się na cel. Byłoby tak, gdybyśmy używali latarek. Sprawca nie może nas zobaczyć.

Wyłączymy oświetlenie górne i wejdziemy po cichu, a zabójca nie zorientuje się, ilu nas jest.

— Czy mamy mapę tej jaskini lub coś w tym rodzaju — zapytał Raskovich.

— Dobre pytanie — rzekł Hazen. — Nie. Nie mamy. Przez większość jaskiń prowadzi drewniany chodnik. Poza głównymi komorami znajdują się inne, mniejsze. Jest ich góra dwie, może trzy. W jednym z tych pomieszczeń znajduje się stary kocioł i zapewne właśnie tam znajdziemy naszego człowieka. Nie mówimy tu o Jaskiniach Karlsbadzkich. Zachowajcie zdrowy rozsądek, trzymajcie się w zwartej grupie, a wszystko będzie w porządku.

Szef ochrony pokiwał głową.

Hazen podszedł do szafki z bronią, wyjął strzelbę, przełamał ją, załadował, zatrzasnął wprawnym ruchem nadgarstka i oddał Raskovichowi.

— Czy wszyscy sprawdzili broń?

Zrobiło się lekkie poruszenie, po chwili mężczyźni jeden po drugim odpowiadali zdawkowymi potaknięciami.

Hazen po raz ostatni sprawdził sprzęt, który miał przypięty do służbowego pasa, przesunął się odwrotnie do ruchu wskazówek zegara: zapasowe magazynki, pałka teleskopowa, kajdanki, pojemnik z gazem pieprzowym, pistolet, wszystko było na swoim miejscu.

Wziął głęboki oddech i zapiął aż pod samą brodę kewlarową kamizelkę kuloodporną.

W tej samej chwili światła w biurze zamigotały, pojaśniały i zgasły. Rozległ się chór jęków i cichych szeptów.

Hazen wyjrzał przez okno. Jak okiem sięgnąć w całym mieście zapanowały egipskie ciemności. W Medicine Creek na dobre wysiadło światło. Cóż. Można się było tego spodziewać.

— To niczego nie zmienia — mruknął. — Ruszamy.

Otworzył drzwi i jeden po drugim wyszli w burzliwą, czarną noc.

PIĘCDZIESIĄT PIĘĆ

Wjechawszy do Medicine Creek, prowadzący wielkiego rollsa agent Pendergast zwolnił, po czym wyłuskał z kieszeni komórkę i ponownie spróbował skontaktować się z Corrie Swanson.

Jedyną odpowiedzią było regularne buczenie, nie włączyła się nawet automatyczna sekretarka. Padły stacje przekaźnikowe.

Schował aparat. Policyjne radio także wysiadło, podobnie jak światło w całym miasteczku. Medicine Creek zostało skutecznie odcięte od reszty

świata.

Jechał wzdłuż Main Street. Korony drzew kołysały się z boku na bok, targane porywami rozszalałego wiatru. Strugi deszczu chłostały ulice, tworząc błotniste wiry w do niedawna zapiaszczonych przepustach odprowadzających nadmiar wody.

Miasto było jak wymarłe, wszystkie okiennice pozamykane, żaluzje opuszczone. Życie zdawało się tętnić wyłącznie w biurze szeryfa. Na zewnątrz stało kilka wozów policji stanowej, szeryf i gliniarze z drogówki krzatali się na ulicy, załadowując sprzęt do policyjnego furgonu i wsiadając do radiowozów. Wszystko wskazywało, że szykowała się jakaś operacja, znacznie poważniejsza niż działania mające zabezpieczyć miasto przed skutkami szalejącej burzy.

Agent pojechał dalej, pozostawiając w tyle bramę Wyndham Parke Estates. Okna stojących tam przyczep były mocno oklejone taśmą, na wielu dachach poukładano ciężkie kamienie. Wszędzie panowały egipskie ciemności, jeśli nie liczyć dostrzegalnego tu i ówdzie błysku świecy lub promienia latarki przeświecającego przez szczelinę w oklejonym taśmą oknie. Wiatr hulał wśród wąskich, pylistych ścieżek, kołysał przyczepami, podrywał kamyki z ziemi i ciskał nimi w aluminiowe ściany. Huśtawka w pobliskim ogródku bujała się w szaleńczym tempie, jakby wprawiła ją w ruch ręka jakiegoś obłąkanego ducha.

Pendergast wjechał na podjazd przed przyczepą Swansonów. Samochód Corrie zniknął. Agent wysiadł z samochodu, podszedł żwawo do drzwi i zapukał.

Żadnej odpowiedzi. W domu było ciemno.

Zapukał ponownie, tym razem głośniejsze.

Ze środka dobiegło głucho stuknięcie, a potem błysnął promień latarki.

— Corrie? To ty? — zawołał głos. — Napytałaś sobie biedy, młoda damo.

Pendergast pchnął drzwi — uchyliły się na pięć centymetrów, czyli na długość założonego w nich łańcucha.

— Corrie? — wychrypiał głos. Pojawiła się twarz kobiety.

— FBI — rzekł Pendergast, pokazując legitymację. Kobieta przyjrzała mu się spomiędzy listewek żaluzji. Z jej

uróżowanych warg zwieszał się na wpół wypalony papieros, wysunęła latarkę przez szczelinę i poświeciła mu prosto w oczy.

— Szukam panny Swanson — powiedział Pendergast. Zmęczona twarz wciąż patrzyła na niego przez rozchylone żaluzje, ze szczeliny w oknach wypłynął obłoczek papierosowego dymu.

— Wyszła — odparła kobieta.

— Jestem agent specjalny Pendergast.

— Wiem, kim pan jest — ucięła kobieta. — Pan jesteście ten tajniak federalny, co to potrzebował na gwałt asystentki. — Wypuściła ustami kolejny kłęb dymu. — Ja tam swoje wiem, mój panie, nie musisz mnie pan bajerować. Bujać to my, ale nie nas. Nawet gdybym wiedziała, gdzie jest Corrie, i tak bym panu nie powiedziała. Asystentka. Dobrze sobie. No jasne.

— Czy wie pani, kiedy panna Swanson stąd wyszła?

— Nie mam pojęcia.

— Dziękuję.

Pendergast odwrócił się i szybkim krokiem ruszył w stronę swego auta. Gdy to uczynił, drzwi przyczepy otwarły się szeroko i na uginającym się stopniu stanęła sterana życiem kobieta.

— Zapewne pojechała szukać pana. Niech pan nie sądzi, że jest w stanie zamydląć mi oczy, panie Złotousty, ten czarny gajerek nie zdoła mnie zmylić, od razu pana przejrzałam.

Pendergast wszedł do swego samochodu.

— No proszę, co my tu mamy, rolls-royce'a? A niech mnie drzwi ścisną. To ci dopiero agent FBI.

Pendergast zatrzasnął drzwiczki i uruchomił silnik. Kobieta przeszła po wąskim spłachetku trawnika w strugach zacinającego deszczu, przytrzymując koszulę nocną, którą miała na sobie. Odgłosy burzy wytłumiły jej słowa.

— Mierzi mnie pan, wie pan o tym? Rzygać mi się chce! Znam takich jak pan i niedobrze mi się robi, gdy...

Pendergast wykręcił z podjazdu, kierując się na powrót w stronę Main Street.

W niecałe pięć minut później zatrzymał wóz na parkingu przy domu Krausów. Tu także nie było samochodu Corrie.

Wewnątrz domu Winifreda siedziała w swym ulubionym fotelu, przy blasku świecy kończąc robótkę. Gdy wszedł, uniosła wzrok, a jej papierowe oblicze rozjaśnił słaby uśmiech.

— Martwiłam się o pana, panie Pendergast, zwłaszcza przy tej paskudnej pogodzie. Gdy szaleje taka burza, człowiekowi nic, tylko chciałoby się spać. Cieszę się, że wrócił pan cało i zdrowo.

— Czy była tu dziś panna Swanson? Winifreda odłożyła robótkę.

— Nie. Chyba raczej nie.

— Dziękuję. — Pendergast uklonił się i skierował ku drzwiom.

— Chyba nie chce pan znowu wyjść na dwór?

— Obawiam się, że tak.

Pendergast przeszedł przez parking z posepną, zamyśloną miną. Jeżeli zdawał sobie sprawę, że wokoło szalała burza, hulał wiatr i lał deszcz, to ani trochę tego nie okazywał.

Wyciągnął rękę i dotknął klamki w drzwiach samochodu. Nagle znieruchomiał i odwrócił się, rozmyślając. Poza domem z zaciemnionymi, mrocznymi oknami czarne pole kukurydzy kołysało się z dziką zawziętością. Tablica z reklamą Jaskini Krausa bujała się na wietrze i stukwała jak pokutująca dusza.

Pendergast puścił klamkę i szybkim krokiem minął dom, idąc wzdłuż drogi. Jakies sto metrów dalej dotarł do pylistej ścieżki prowadzącej na pole.

Dwie minuty później stanął obok auta Corrie.

Następnie odwrócił się i równie szybkim krokiem wrócił na drogę. W tej samej chwili w oddali pojawiły się światła nadjeżdżających samochodów, zbliżających się z ogromną prędkością pośród gęstniejącej szarówki. Kiedy samochody minęły go i zbliżając się do parkingu pod domem Krausów, zatrzymały się, błyskając światłami hamowania, narastający niepokój przerodził się u Pendergasta w pewność i agent zdał sobie sprawę, że stało się to, co było nie do pomyślenia.

Za sprawą jakiegoś ironicznego uśmiechu losu cała ich trójka, najpierw on, potem Corrie, a teraz Hazen, doszła do tego samego wniosku: że zabójca ukrywał się w jaskini.

Pendergast szybko przeszedł przez pole, kierując się w stronę wejścia do jaskini. Gdyby udało mu się wślizgnąć do środka, zanim. ...

Spóźnił się zaledwie o minutę. Gdy wyłonił się spomiędzy łąnów,

Hazen stojący przed otworem wiodącym w głąb jaskini, spostrzegł go i odwrócił się z posepnym wyrazem twarzy.

— Proszę, proszę, toż to agent specjalny Pendergast. A ja już myślałem, że wyjechał pan z miasta.

PIĘCDZIESIĄT SZEŚĆ

Szeryf Hazen spojrzał na Pendergasta. Na moment zapanowała niezręczna cisza, a Hazen poczuł, jak narasta w nim gniew. Ten facet miał nieprzyjemny zwyczaj pojawiania się znikąd w najbardziej nieodpowiednim momencie. No cóż, najwyższy czas, aby szeryf stawił skurwielowi czoło i rozprawił się z nim raz na zawsze. Tandeciarz z FBI nie będzie już zabierał mu więcej czasu.

Podszedł do wysokiej, szczupłej postaci, siląc się na uśmiech.

— Pendergast, cóż za niespodzianka.

Agent zatrzymał się. Jego czarny garnitur był prawie niewidoczny w tę burzliwą noc, jego blada twarz zdawała się pławić w powietrzu jak ulotna zjawia.

— Co pan tu robi, szeryfie? — mówił cicho, ale w jego głosie wyczuwało się niespotykaną dotąd zaciętość.

— O ile sobie przypominam, rano otrzymał pan oficjalny nakaz zaprzestania wszelkich działań w terenie. Narusza pan odgórne postanowienia. Mógłbym pana aresztować.

— Zamierzacie wejść do jaskini w pościgu za mordercą — rzekł Pendergast. — Domyślił się pan, że tam się właśnie ukrywa.

Hazen poruszył się niepewnie. Pendergast musiał strzelać w ciemno. Niemożliwe, aby zdobył gdzieś informacje, sprawa była poufna.

Agent mówił dalej.

— Nie ma pan zielonego pojęcia, w co się pakuje, szeryfie, nie zna pan miejsca, do którego zmierza, ani nie wie, z jakim przeciwnikiem przyjdzie się panu zmierzyć.

Tego już było za wiele.

— Wystarczy, Pendergast.

— Balansuje pan na granicy otchłani, szeryfie.

— To pan, zdaje się, przekroczył pewną granicę.

— Zabójca ma zakładnika.

— Pendergast, tym razem już pan przesadził.

— Jeżeli pan tam wejdzie, interwencja może doprowadzić do śmierci zakładnika.

Mimo pewnego niedowierzania Hazen poczuł na plecach lodowate ciarki. To był prawdziwy koszmar każdego gliniarza.

— Doprawdy? A kto niby ma być tym zakładnikiem?

— Corrie Swanson.

— Skąd pan to wie?

— Zniknęła. Nie ma jej od rana. I właśnie odnalazłem jej wóz, ukryty wśród kukurydzy, sto metrów na zachód stąd.

Znów zapadła pełna napięcia cisza, aż wreszcie Hazen pokręcił głową z dezaprobatą.

— Od samego początku, Pendergast, torpeduje pan prowadzone przeze mnie śledztwo swoimi absurdalnymi teoriami. Gdyby nie pan, sprawca siedziałby już dziś za kratkami. A zatem wóz Swanson stoi na polu.

Pewnie dziewczucha poszła między łany z jakimś chłopakiem.

— Weszła do jaskini.

— Cóż za błyskotliwa dedukcja. Drzwi do jaskini są wykonane z grubego żelaza. Jak dostała się do środka? Sforsowała zamek?

— Proszę, niech pan sam to sprawdzi.

Hazen spojrział w stronę wskazaną przez Pendergasta, w głąb przejścia wiodącego do jaskini. Żelazne drzwi w ogóle nie były zamknięte, kłódka leżała na ziemi, na wpół przysypana liśćmi i ziemią.

— Jeżeli uważa pan, że to Corrie Swanson zdjęła kłódkę, Pendergast, jest pan jeszcze większym głupcem, niż sądziłem. To nie robota jakiegoś dzieciaka, lecz prawdziwego, zawodowego włamywacza. Ściśle rzecz biorąc, człowieka, którego ścigamy. I to wszystko, co powinien pan wiedzieć na ten temat.

— O ile dobrze pamiętam, szeryfie, to właśnie pan oskarżał pannę Swanson o...

Hazen pokręcił głową.

— Dość już usłyszałem, Pendergast, proszę mi oddać broń. Jest pan aresztowany. Cole, skuj go.

Cole postąpił naprzód.

— Szeryfie?

— Ten człowiek świadomie sprzeciwia się legalnemu nakazowi zaprzestania działań w terenie. Bezprawnie wszedł na prywatny teren. Biorę na siebie pełną odpowiedzialność za tę decyzję. Po prostu chcę, żebyś natychmiast zabrał mi tego typa sprzed nosa!

Cole podszedł do Pendergasta. W chwilę później Cole leżał na ziemi, rozpaczliwie łapiąc powietrze, a Pendergast zniknął. Hazen patrzył

osłupiały.

— Auu! — jęknął Cole, podnosząc się do pozycji siedzącej i rozcierając obolały brzuch. — Ten sukinsyn walnął mnie w dołek.

— Chryste! — mruknął Hazen, świecąc latarką wokoło. Pendergasta jednak nigdzie nie było widać. W chwilę potem dał się słyszeć ryk potężnego silnika i odgłos opon przetaczających się ostro po żwirze.

Poczerwieniały na twarzy Cole wstał i otrzepał się z kurzu.

— Zapuszczujemy go za stawianie oporu przy aresztowaniu i napaść na funkcjonariusza policji.

— Daj spokój, Cole. Mamy ważniejszego ptaszka do schwytania. Zróbmy, co do nas należy, a tą sprawą zajmiemy się jutro.

— To skurwiel — wycedził przez zęby Cole. Hazen poklepał go po plecach i uśmiechnął się.

— Następnym razem, gdy dokonujesz aresztowania, miej oko na zatrzymywanego, Cole.

Gdzieś nieopodal trzasnęły drzwi, a Hazen usłyszał ochrypły głos niknący wśród szumu wiatru. W chwilę potem na ścieżce przy starym domu pojawiła się blada jak widmo postać Winifredy Kraus. Podmuchy wiatru łopotały i szarpały jej koszulę nocną. Patrząc na nią, Hazen miał przez chwilę wrażenie, jakby widział ducha płynącego pośród nocy. Rheinbeck głośno protestując, szedł szybkim krokiem za staruszką.

— Co wy robicie? — krzyknęła starsza kobieta, podchodząc do nich. Włosy miała pozlepiane w strąki od deszczu, wilgotną twarz. — Co to ma znaczyć? Co robicie na mojej posesji?

Hazen odwrócił się do Rheinbecka. — Na miłość boską, przecież miałeś...

— Próbowałem jej to wyjaśnić, szeryfie, ale wpadła w histerię.

Winifreda zlustrowała wzrokiem stróżów prawa, wzrok miała dziki, szalony.

— Szeryfie Hazen! Domagam się wyjaśnień!

— Rheinbeck, zabierz ją...

— To powszechnie szanowane miejsce, znana atrakcja turystyczna!

Hazen westchnął ciężko i odwrócił się do niej.

— Pani Winifredo, mamy podejrzenie, że zabójca ukrył się w tej jaskini.

— To niemożliwe! — krzyknęła kobieta. — Sprawdzam ją dwa razy w tygodniu!

— Musimy wejść do jaskini, aby go stamtąd wyciągnąć. Chciałbym, aby pani została w swoim domu z funkcjonariuszem Rheinbeckiem, proszę zachować spokój, wszystko będzie dobrze. On zajmie się panią...

— Nic z tego! Nie wazcie się tam wchodzić! To moja jaskinia. Nie macie prawa! Tam nie ma żadnego zabójcy

— Przykro mi, panno Kraus. Mamy nakaz. Rheinbeck?

— Już go jej pokazywałem, szeryfie.

— Pokaż jeszcze raz i zabierz ją stąd. Natychmiast.

— Ale ona nie chce mnie słuchać...

— Zanieś ją do domu, jeśli będzie trzeba. Nie rozumiesz, że w ten sposób marnujemy tylko czas?

— Tak jest. Bardzo mi przykro, ale muszę panią prosić...

— Nie waż się mnie tknąć! — Winifreda zamachnęła się na Rheinbecka, który odruchowo odskoczył do tyłu.

Odwróciła się i zbliżyła do Hazena, zaciskając dłonie w pięści.

— Precz z mojej posesji! Zawsze byłeś tylko prymitywnym mięśniakiem! Jazda mi stąd!

Schwycił ją za nadgarstki, a ona zaczęła się wyrywać i splunęła mu w twarz. Hazena zdumiała siła i zawziętość tej niemłodej przecież kobiety.

— Panno Kraus — zaczął raz jeszcze, usiłując zachować spokój i nadać głosowi jeszcze bardziej kojący ton. — Proszę się uspokoić. To ważna sprawa. Prowadzimy działania operacyjne.

— Precz z mojej ziemi!

Hazen starał się ją unieruchomić i poczuł silne kopnięcie w goleń. Inni stali wokół, gapiąc się na tę niespodziewaną sensację.

— Może któryś z was zechciałby mi łaskawie pomóc? — ryknął.

Rheinbeck schwycił kobietę w pasie, podczas gdy Cole podszedł z drugiej strony i złapał staruszkę za jedną rękę.

— Tylko spokojnie — rzekł Hazen. — Bardzo spokojnie. To, bądź co bądź, starsza osoba.

W jej krzyku pojawiła się nuta hysterii. Trzej mężczyźni unieruchomili ją na moment, dzięki czemu Hazen mógł trochę odsapnąć. Z westchnieniem ulgi przekazał staruszkę w ręce swych młodszych pomocników. Rheinbeck, z pomocą Cole'a, podniósł ją z ziemi. Staruszka wciąż wierzgała i kopała dziko we wszystkie strony.

— Diabły! — wrzasnęła. — Nie macie prawa!

Jej krzyki ucichły, kiedy Rheinbeck zniknął pośród burzy, niosąc na ramieniu szamocące się dziko brzemie.

— Jezu, co jej odbiło? — spytał zdyszany Cole. Hazen otrzepał spodnie z kurzu.

— Zawsze miała nierówno pod sufitem, stara dziwka, ale czegoś

takiego nie spodziewałem się po niej nigdy. — Skończył doprowadzać się do porządku. Po kopnięciu w goleń wciąż bolała go noga. Nieźle mu przygrzmociła. Wyprostował się. — Wchodzimy do jaskini, zanim pojawi się ktoś jeszcze, aby zepsuć nam całą zabawę. — Odwrócił się do Shurte'a i Williamsa. — Jeśli ten sukinsyn, Pendergast, wróci, macie prawo użyć wszelkich możliwych środków, aby powstrzymać go przed wejściem do jaskini.

— Tak jest.

Hazen pierwszy, a tuż za nim pozostali, wszedł w głąb czarnego otworu w ziemi. W miarę jak schodzili coraz niżej, odgłosy burzy stawały się coraz bardziej przytłumione i odległe. Otworzyli nie zamknięte na kłódkę drzwi, włączyli lampy na podczerwień i gogle noktowizyjne, po czym zaczęli schodzić po kamiennych stopniach. W przeciągu paru minut otoczyła ich niemal całkowita cisza, zmacona jedynie odgłosami kapiącej wody. Wkraczali do innego świata.

PIĘĆDZIESIĄT SIEDEM

Rolls kolebał się i trząsał z boku na bok, sunąc po polnej drodze, snopy świateł reflektorów ledwie przenikały rozszalały półmrok, grad dudnił o metal. Kiedy auto nie było już w stanie jechać dalej, Pendergast zatrzymał je, zgasił silnik, wcisnął zrolowaną mapę pod marynarkę i wyszedł w sam środek wściekłej burzy.

Tu, w najwyższym punkcie hrabstwa Cry, mezocyklon osiągnął swoje

apogeum. Ziemia wyglądała jak pobojuwisko, zasłana tym, co przyniosły ze sobą bezlitosne wiatry: gałęziami, szczątkami roślin, grudami ziemi zebranych z odległych pól. W oddali wciąż niewidoczne drzewa otaczające Mounds kołysały się i skrzypiały, liście i konary ocierały się o siebie nawzajem przy wtórze dźwięku przypominającego łoskot fal rozbijających się o skały. Cały świat Widmowych Wzgórz został zredukowany do dźwięków i nieopisanej furii.

Odwracając głowę i nachylając się pod wiatr, Pendergast ruszył wzdłuż ścieżki w kierunku wzgórz. Gdy podszedł bliżej, ryk burzy wzmógł się jeszcze bardziej, przedzielany od czasu do czasu rozdzierającym trzaskiem rozłupywanego drewna i łoskotem spadających na ziemię konarów.

Znalazszy się pośród gwarantujących względne bezpieczeństwo drzew, Pendergast był w stanie ujrzeć nieco więcej niż dotychczas. Wokoło szalały ulewa i wichura, zasypując wszystko grudami ziemi i wielkimi kroplami zacinającego deszczu. Otaczające go strzeliste topole skrzypiały i trzeszczały złowrogo.

Pendergast wiedział, że obecnie największym zagrożeniem nie były deszcz ani grad, lecz prawdopodobieństwo wystąpienia tornada wysokiego stopnia, które mogło uformować się właściwie w każdej chwili wzdłuż flank frontu burzowego.

Mimo to nie było czasu na zachowanie ostrożności. To nie była pora ani okoliczności, w jakich zamierzał stanąć twarzą w twarz z zabójcą. Tyle tylko, że nie miał już wyboru.

Pendergast zapalił latarkę, jasny promień rozciął półmrok wśród drzew. W tej samej chwili rozległ się potworny trzask. Agent uskoczył w bok, gdy z ciemności błyskawicznie wyłoniła się wielka topola, tocząc się w dół

zbocza z przeraźliwym łoskotem, od którego trzęsła się ziemia, i rozsypując we wszystkie strony kaskady liści, pogruchotanych gałęzi oraz grudy ziemi.

Pendergast wyszedł spomiędzy drzew i ponownie znalazł się w sercu burzy. Ruszył naprzód, najszybciej jak potrafił, odwracając wzrok, aż znalazł się u podnóża pierwszego z pagórków. Odwracając się do wiatru plecami, powoli omiół promieniem latarki podstawę wzniesienia, dopóki nie zyskał właściwego, pełnego punktu odniesienia. Następnie, pośród ciemnej nocy i szalejącej burzy, wyprostował się, złożył ręce na piersi i znieruchomiał. Odgłosy i odczucia zaczęły odpływać z jego świadomości, gdy z marmurowego grobowca wewnątrz gotyckiej rezydencji swoich wspomnień wybrał obraz Widmowych Wojowników. Jedno, dwu, trzykrotnie odtworzył zrekonstruowaną sekwencję ze ścieżki wspomnień — gdzie po raz pierwszy wyłonili się z tumanów kurzu i gdzie ponownie zniknęli — starannie nakładając ten wzorzec na otaczający go krajobraz.

Wreszcie otworzył oczy i opuścił ręce do boków. Potem powoli, równym krokiem przemierzył odległość dzielącą go od drugiego końca sąsiedniego pagórka. Niebawem zatrzymał się przed okazałym wapiennym występem. Obszedł go powoli, zwrócony tyłem do burzy, nie zważając na wiatr i zacinający deszcz. Z najwyższą uwagą przyglądał się kamieniom, dotykając najpierw jednego, potem drugiego, aż w końcu znalazł to, czego szukał — pół tuzina niewielkich, luźno osadzonych głazów wpasowanych w skalną szczelinę. Obejrząwszy je pobieżnie, Pendergast odtoczył mniejsze głazy na bok, jeden po drugim, odsłaniając ukryte wejście. Pospiesznie usunął kolejne kamienie. Ze strzępiastego otworu wypłynęła fala chłodnego, wilgotnego powietrza.

Miał przed sobą miejsce, skąd wyłonili się zagadkowi Widmowi Wojownicy i gdzie zniknęli po dokonaniu masakry. Oraz, jeśli się nie pomylił, tylne wejście do Jaskini Krausa.

Pendergast prześlizgnął się przez otwór, omiatając całe przejście promieniem latarki. Było dokładnie tak, jak podejrzewał, mniejsze wejście znajdowało się wewnątrz dawniejszej, dużo większej naturalnej szczeliny.

Odwrócił się, kierując promień latarki w głąb przejścia biegnącego stromo w dół. Kilka kamyków potoczyło się w rozbrzmiewającą echem ciemność. Gdy agent zaczął schodzić, zatrważająca furia burzy bardzo szybko poczęła cichnąć, jakby schodząc na dalszy plan. Wkrótce pozostało po niej tylko wspomnienie. Czas, burza i cały świat zewnętrzny przestały istnieć w niezmiennym, ponadczasowym środowisku jaskiń. Pendergast musiał dotrzeć do Corrie, zanim uczynią to szeryf i jego pozał się Boże namiastka grupy uderzeniowej.

Im niżej schodził, tym korytarz coraz bardziej się rozszerzał i wyrównywał, w pewnym momencie Pendergast dotarł do pierwszego zakrętu. Podeszedł ostrożnie do załomu ściany i odczekał chwilę, nasłuchując, z pistoletem w dłoni. Kompletna cisza. Błyskawicznie wyskoczył zza zakrętu korytarza, oświetlając przestrzeń przed sobą silnym promieniem latarki.

Jaskinia, którą ujrzał, miała co najmniej trzydzieści metrów szerokości. Oczom agenta ukazał się zdumiewający, choć w gruncie rzeczy spodziewany widok. W jaskini teraz poruszały się jedynie jego blade oczy i żółty promień latarki, której światło wyłuskiwało z ciemności kolejne szczegóły zapierającej dech w piersiach sceny.

Trzydzieści martwych koni w pełnym indiańskim rynsztunku bojowym

ułożono w pozycji klęczącej w kręgu, pośrodku jaskini. Powietrze jaskini sprawiło, że zwierzęta uległy mumifikacji, ich ciała były pomarszczone i skurczone, przez skórę wystawały sterczące kości, zeschnięte wargi uniosły się, ukazując żółte zęby.

Każdy z wierzchowców był ozdobiony w stylu południowych Czejenów, smugami jasnoczerwonej ochry na pyskach, białymi i czerwonymi odciskami dłoni na szyjach i kłębnie oraz orlimi piórami wplecionymi w grzywy i ogony. Niektóre z nich miały na grzbietach typowe dla Czejenów skórzane siodła z wysokim łękiem, inne tylko derkę, jeszcze inne nie miały na grzbiecie w ogóle nic. Większość złożono w ofierze pojedynczym, bardzo silnym uderzeniem nabitą krzemieniami maczugą, które pozostawiało dokładnie między oczami każdego zwierzęcia głęboki, gładki otwór.

W drugim kręgu wewnątrz pierwszego znajdowało się trzydziestu męźnych Czejenów.

Widmowi Wojownicy.

Ułożyli się na kamiennym podłożu jak szprychy koła — świętego koła słońca. Każdy z nich lewą ręką dotykał swego wierzchowca, w prawej zaś dzierżył broń.

Byli tu wszyscy — ci, którzy polegli podczas ataku pospołu z tymi, którzy przeżyli masakrę. Tych ostatnich złożono w ofierze, tak samo jak ich wierzchowce, uśmiercono ich jednym ciosem nabijanej maczugi. Ten, który umarł ostatni, ten, który złożył ofiarę z pozostałych, leżał na wznak, a zmumifikowana dłoń Indianina wciąż zaciskała się na rękojeści krzemiennego noża tkwiącego w jego sercu. Nóż był taki sam jak ten, którego ułamany kawałek znaleziono przy ciele Chauncy'ego. Każdy z

wojowników miał również kołczan ze strzałami, takimi jak te, które odkryto obok ciała Sheili Swegg.

Spoczywali tu jako nieme świadectwo tragicznych wydarzeń, ukryci w jaskiniach pod Medicine Creek od owego wieczora, 14 sierpnia 1865 roku. Ci z wojowników, którzy przeżyli atak, złożyli sami siebie w ofierze i spoczęli wraz z wierzchowcami w sekretnej pieczarze, wybierając godną śmierć, odejście z honorem, na własnej ziemi. Ci dumni mężczyźni nie zamierzali dopuścić, aby biali zagnali ich do rezerwatu. Nikt nigdy nie mógł ich zmusić do podpisania obłudnych traktatów, jazdy koleją czy wysyłania dzieci do odległych szkół, gdzie za posługiwanie się rodzimym językiem czekały ich srogie kary, gdzie stopniowo byli odzierani z własnej godności i kultury.

Widmowi Wojownicy widzieli, jak nawałnica białych przetacza się bezlitośnie przez ich kraj. Wiedzieli, co im przyniesie przyszłość.

To właśnie tu, w tej wielkiej jaskini ukryli się i czekali w zasadzce. Właśnie stąd wyruszyli podczas burzy piaskowej, pojawili się jakby znikąd, by bez litości wyrznąć w pień oddział Czterdziestu Pięciu. I tu później powrócili, by w tym miejscu odnaleźć wieczny spokój oraz honor. W relacji słownej Kudłatego Jima i w znacznie bardziej szczegółowym opisie zawartym w osobistym dzienniku jego pradziadka padły stwierdzenia, że wydawało się, jakby Widmowi Wojownicy wyłonili się spod ziemi. I rzeczywiście tak było. Co więcej, pomimo że w roku 1865 pagórki te musiały być gęsto porośnięte krzewami, Harry Beaumont tuż przed swoją śmiercią musiał zorientować się, skąd przybyli zagadkowi wojownicy. Przeklął ten teren z bardzo konkretnego powodu.

Pendergast przystanął tylko na moment, aby rzucić okiem na mapę.

Potem szybkim krokiem minął cichą, martwą ekspozycję i skierował się w stronę ciemnego tunelu wiodącego w głąb labiryntu jaskiń.

Zostało mu niewiele czasu — o ile, rzecz jasna, w ogóle jeszcze go miał.

PIĘĆDZIESIĄT OSIEM

Hazen maszerował za Leftym i psami po drewnianym chodniku Jaskini Krausa. W przeciwieństwie do poprzedniej pary, te psy aż rwały się do pościgu. Może nawet za bardzo — szarpały smycze, wrywały się naprzód, a z ich gardzieli przez cały czas dobywał się zduszony, groźny warkot. Lefty z trudem nad nimi panował, ciągnęły go z boku na bok, podczas gdy mężczyzna na próżno usiłował je okiełznać. To były wielkie psiska, brzydkie jak jasna cholera, z wielkimi, pomarszczonymi odbytami i potężnymi jądrami zwieszającymi się nisko jak u byka. Dogo canario, psy hodowane do zabijania psów. I nie tylko. Ich ofiary równie dobrze mogły być dwunożne. Hazen nie miał ochoty na bliższe z nimi spotkanie, nawet uzbrojony w winczestera załadowanego grubym śrutem. Zauważył, że policjanci także zostali nieco w tyle. Gdyby miał choć odrobinę oleju w głowie, McFelty padłby na kolana i zaczął błagać o łaskę, gdy tylko te paskudne psiska wybiegną zza załomu korytarza i pomkną w jego stronę.

— Sturm! Drang! — krzyknął Lefty.

— Co to za imiona? Jaki pies tak się wabi? — spytał Hazen.

— Nie mam pojęcia. To hodowca tak je nazwał.

— Dobra, przyhamuj je trochę, Lefty. To nie Indianapolis 500.

— Sturm! Drang! Spokojnie!

Psy prawie nie zwróciły uwagi na jego komendy.

— Lefty...

— Prowadzę je tak wolno, jak tylko mogę — wycedził przez zęby Weeks. — Przecież to nie są pudelki.

Gdy w jaskini wyłączono górne oświetlenie, jej wnętrze w podczerwieni gogli noktowizyjnych nabrało różowawoczerwonego odcienia. Hazen nigdy wcześniej nie korzystał z takiego sprzętu i nie spodobało mu się, że redukowałam on cały świat do rangi monochromatycznego, upiornego pejzażu. To przypominało oglądanie telewizji na starym, czarno-białym odbiorniku. Drewniany chodnik na wprost nich, spowity purpurową poświatą, wyglądał jak droga do piekła.

Minęli Kryształową Katedrę, Bibliotekę Olbrzyma, Kryształowe Dzwonki. Hazen ostatni raz był w tej jaskini jeszcze jako dziecko, z wycieczką szkolną, ale bywali tu wówczas co roku i zdziwił się, jak wiele pamiętał z tamtych jakże odległych czasów. To Winifreda zawsze oprowadzała wycieczki. Wtedy nie wyglądała jeszcze tak szpetnie jak teraz. Przypomniawszy sobie, jak jego kumpel, Tony, wykonywał wobec niej sprośne gesty, gdy tego nie widziała, ponieważ wystukiwała akurat jakąś melodyjkę na stalaktytach. Od tamtej pory bardzo posunęła się w latach. Zmieniła się w prawdziwą dziwaczka, starą jędzę.

Dotarli do granicy pomieszczeń dostępnych dla turystów, a Lefty nie bez trudu osadził psy w miejscu. Hazen także przystanął, starając się zachowywać dystans dobrych trzech metrów od groźnie wyglądających

zwierząt. Psy wpatrywały się z uwagą w ciemność za Sadržawką Nieskończoności, powarkiwały bez przerwy, jęzory zwieszające się z ich pysków wyglądały jak wielkie, czerwone pieluchy. Ślina zwierząt, widziana przez gogle, wyglądała niczym krew.

Hazen zaczekał, aż dołączą do niego pozostali gliniarze, po czym odezwał się półgłosem.

— Nigdy nie dotarłem dalej niż do tego miejsca. Od tej pory absolutna cisza. Ani mru-mru. Lefty, czy uważasz, że dasz radę choć odrobinę uciszyć te psiska?

— Nie. Nie dam rady. One warczą instynktownie.

Hazen pokręcił głową i dał Lefty'emu znak, by ruszył dalej. Podążył za nim z Raskovichem, potem Cole i Brant, Larssen ubezpieczał tyły.

Przemaszerowali przez sadzawkę, wyszli na drugim brzegu i pospieszyli za Leftym w głąb tunelu, który najpierw się zwężał, potem wznosił w górę, a następnie ostro skręcał w lewo. Za zakrętem widniały drugie żelazne drzwi.

Były uchylone, żelazna kłódka leżała opodal na ziemi.

Hazen uniósł oba kciuki w górę, dając znak Lefty'emu, żeby szedł dalej.

Psy warczały teraz o wiele bardziej natarczywie, głębokie, gardłowe dźwięki sprawiały, że Hazenowi zaczęły się jeżyć włosy na karku. O całkowitym zaskoczeniu McFelty'ego nie było mowy, ale może to nie było takie złe. Ten warkot byłby w stanie skłonić nawet Rambo do złożenia broni.

Za drzwiami tunel przerodził się w rozległą jaskinię. Psy zaczęły węszyć i pobiegły naprzód, ciągnąc za sobą Lefty'ego. Hazen dał pozostałym znak, aby poczekał. Następnie on i Raskovich zajęli pozycje;

Hazen po lewej, a Chester po prawej. Ze strzelbami gotowymi do strzału spenetrowali wnętrze jaskini w podczerwiennym świetle.

Brawo, trafili do starej bimbrowni. Hazen powoli zlustrował całe pomieszczenie. Stary stół, ogarki świec, stare latarnie, potłuczone naczynia i butelki. W drugim końcu pieczary z mroku wyłonił się kształt wielkiego kotła do destylacji; był tak wielki, że można by w nim ugotować nawet konia. Ze względu na jego wielkość musiano zapewne wносить go do jaskini w częściach i dopiero na miejscu je pospawano. Nic dziwnego, że już tu pozostał.

Kiedy Hazen upewnił się, że podziemna komora była pusta, gestem przywołał do siebie pozostałych i zbliżył się do kotła destylacyjnego. W powietrzu wciąż jeszcze unosił się swąd dymu, zmieszany z innymi, mniej przyjemnymi zapachami. Nachylił się nad kotłem i zajrzał do środka. Na dnie coś leżało, coś niedużego i rozmazanego w świetle noktowizyjnych gogli.

To było ludzkie ucho.

Odwrócił się, czując nagłą żądzę odwetu zmieszaną z odrazą.

— Niech nikt niczego nie dotyka.

Pozostali pokiwali głowami.

Hazen w dalszym ciągu przepatrywał wnętrze jaskini. Przez chwilę wydawało mu się, że dotarli do kresu drogi, że jaskinia była pusta, że McFelty zdołał zbiec. Nagle jednak spostrzegł niskie, łukowato sklepione wejście w bocznej ścianie, zaledwie splechetek szarości wiodący w jeszcze gęstszy mrok.

— Wygląda na to, że tam jest jeszcze jedno pomieszczenie — powiedział, wskazując ręką kierunek. — Chodźmy. Lefty, poprowadź psy.

Idziesz pierwszy.

Weszli przez niewielki otwór do kolejnej jaskini. Ta musiała służyć bimbrownikom za śmietnisko, wciąż bowiem zalegały w niej sterty gnijących odpadów, potłuczonych butelek, strzępów papieru, blaszanych puszek i jeszcze innych, trudniejszych do zidentyfikowania śmieci nagromadzonych pod jedną ze ścian.

Zatrzymał się. W jaskini było zimno, a w wyjątkowo chłodnych wnękach sąsiedniej ściany dostrzegł zapas świeżej żywności. To była spiżarnia. W świetle noktowizyjnych gogli ujrzał torebki z cukrem, bochenki chleba, pakiety suszonej wołowiny, kostki masła. Był tu również zapas świec, kilka pudełek zapalek i uszkodzona latarnia. Po drugiej stronie jaskini walające się na ziemi puste torby i opakowania od masła oraz puste puszek i ogarki świec świadczyły, że McFelty przebywał tu już od bardzo dawna.

Kontynuując obserwację przez noktowizyjne gogle, Hazen zauważył, że korytarz ciągnął się dalej, wiodąc do następnej jaskini. McFelty, o ile jeszcze tu był, do tej pory z pewnością musiał ich usłyszeć i zapewne czekał teraz za ścianą, z bronią gotową do strzału, zamierzając urządzić im niemiłą niespodziankę.

Dotknął dłonią ramienia Lefty'go i szepnął mu do ucha:

— Spuść psy i każ im oczyścić sąsiednią jaskinię. Są w stanie to zrobić?

— Jasne.

Szeryf Hazen rozstawił swoich ludzi u wylotu jaskini, aby natychmiast obezwładnili i zakuli w kajdanki każdego, kto stamtąd wyjdzie. Następnie skinął na Lefty'ego.

Lefty odpiął smycz od obróż psów i cofnął się.

— Sturm, Drang! Wymiatanie!

Zwierzęta natychmiast pomknęły jak szalone i po chwili rozplynęły się w ciemnościach. Hazen ze strzelbą gotową do strzału przykucnął obok wejścia. Słyszał psy uganiające się po sąsiedniej jaskini, zwierzęta warczały, węszyły, kręciły się nerwowo to w jedną, to w drugą stronę. Minęło parę chwil. Dźwięki zaczęły cichnąć.

— Zawołaj je — rzekł Hazen. Lefty zagwizdał cicho.

— Sturm, Drang, Powrót! Znów odgłosy węszenia i warkot.

— Sturm! Drang! Powrót!

Psy wróciły, choć z wyraźnym wahaniem. W czerwonej poświacie gogli wyglądały jak ogary piekieł.

Hazen był już prawie pewien, że McFelty zdołał się ulotnić. Niemniej jednak akcja nie okazała się kompletną klapą, wręcz przeciwnie. Znajdą tu całe mnóstwo materiałów dowodowych, potwierdzających, że przebywał w tej jaskini, i łączących go z zabójstwami: odciski palców, próbki DNA. Fantastycznym znaleziskiem samym w sobie było to ucho, należące bez wątpienia do Stotta. Choćby tylko po to warto było się tu pofatygować. Dysponując taką masą dowodów przeciwko McFelty'emu, namówienie go, w zamian za złagodzenie kary, aby zaczął śpiewać i wsypał Lavendera, powinno być dziecinnie proste.

Hazen podniósł się.

— No dobra, wejdźmy i zobaczmy, co tam jest. Wkroczyli do trzeciej jaskini. Była mniejsza od pozostałych.

Hazen stanął jak wryty. Nawet nie próbował ukryć swego zdumienia. Pomieszczenie wyglądało jak pokój, ale gdy rozejrzał się dokoła, nie bez

kozery zaczął zastanawiać się, kto mógł tu mieszkać. Pod ścianą stało łóżko, zbutwiałe i zapadnięte, z materaca wyłaziło włosie, ale łóżko było nieduże, dziecięce. Nad łóżkiem wisiał uszkodzony obrazek przedstawiający jabłoń i drugi, z wizerunkiem kłowna. W kącie leżało kilka zepsutych drewnianych zabawek, zbutwiałych i pokrytych gęstą warstwą pleśni. Była tu drewniana komódka, niegdyś pomalowana na jasnoczerwony, ognisty kolor, obecnie kulawa i przechylona na bok, z powysuwanymi do połowy szufladami. Znajdowały się w nich jakieś stare, przeżarte zgnilizną ubrania. Na przeciwległym końcu jaskinia zwężała się w wąską szczelinę.

Jezu, co to za miejsce. Hazen podciągnął spodnie i sięgnął do kieszeni po camela.

— Wygląda na to, że nasz ptaszek wyfrunął. Musieliśmy się z nim minąć.

— Co ma znaczyć to wszystko? — spytał Raskovich, rozglądając się wokoło w świetle swej czołówki.

Hazen zapalił papierosa, zgasił zapałkę i schował ją do kieszeni.

— Powiedziałbym, że to jakieś pozostałości jeszcze z czasów bimbrowni.

Zapadła długa cisza. Wszyscy spuścili nosy na kwintę, wyglądali na rozczarowanych. Hazen zaciągnął się głęboko i wypuścił ustami kłęb dymu.

— W tym kotle na dnie leży ucho Stotta — oznajmił półgłosem.

Tak jak się tego spodziewał, wszyscy natychmiast się ożywili.

— Zgadza się. Odwaliliśmy kawał dobrej roboty, chłopcy. Mamy dowód, że zabójca przebywał tutaj i że właśnie w tej jaskini ugotował

Stotta. Mamy dowód, że to miejsce było jego kryjówką. To oznacza zasadniczy przełom w śledztwie.

Wszyscy przytaknęli. Rozległy się ciche szepty. Psy zaczęły warczeć.

— Jutro ściągniemy ekspertów i techników, aby dokładnie przeszukali to miejsce. Myślę, że jak na jedną noc, zrobiliśmy już swoje. — Hazen ponownie się zaciągnął, po czym palcami zgasił papierosa i wsunął do kieszeni. — Wracajmy do domu.

Kiedy się odwrócił, zauważył, że Lefty próbuje odciągnąć psy od szczeliny w skale. Bez powodzenia, psy z przeraźliwym, gardłowym warkotem rwały się w kierunku szczeliny.

— Co się z nimi dzieje?

Lefty raz jeszcze brutalnie szarpnął smycze.

— Sturm! Drang! Noga!

— Na miły Bóg, pozwól im tam podejść. Niech zobaczą, co tam jest.

Lefty podszedł z psami w stronę szczeliny. Potężne zwierzęta z głośnym skomleniem wpadły do wąskiego przejścia, ciągnąc za sobą rozpaczliwie protestującego Lefty'ego. W chwilę później już ich nie było.

Hazen zbliżył się i zajrzał do środka. Wewnątrz szczeliny znajdowało się przejście wiodące do zakrętu i dalej opadające w dół na długości metra, by skończyć się czymś, co wyglądało jak ślepa uliczka.

Ale przejście musiało ciągnąć się dalej. Po prostu musiało. Hazen słyszał głos Lefty'ego dochodzący z mrocznej oddali, dziwnie zniekształcone wołanie, gdy opiekun bezskutecznie usiłował okiełznać swoich podopiecznych.

— Psy złapały trop — rzucił przez ramię Hazen. — I wygląda na to, że trop jest świeży.

PIĘĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

Corrie leżała nieruchomo, z rękoma za plecami. On zaśmiał się, gdy krzyknęła, jego upiorny, wysoki śmiech zabrzmiał jak pisk świnki

morskiej. Teraz robił coś z ciałem Tada. Głowę miała odwróconą, oczy zamknięte. Słyszała trzask pękającego materiału, a potem inny, wilgotny odgłos darcia. Zacisnęła mocniej powieki, usiłując nie dopuścić do siebie tych dźwięków. On był niewiele ponad metr od niej, śpiewnym tonem nucąc i mamrocząc coś do siebie bez ładu i składu. Za każdym razem, gdy się poruszył, czuła napływającą ku niej falę dławiącego fetoru — odoru potu, pleśni, zgnilizny i innych, jeszcze gorszych rzeczy.

Koszmar w swej absolutnej nierealności był tak dojmujący, że instynktownie zaczęła zamykać się w sobie.

„Wytrzymaj, Corrie” — myślała.

Ale nie mogła wytrzymać. Już nie. Instynkt samozachowawczy, który nakłonił ją do uwolnienia rąk, wypalił się wraz z nadejściem tej istoty dźwigającej ciało Tada Franklina.

Umysł dziewczyny zaczął błędzić, czuła dziwne, nieopisane otępienie. W myślach raz po raz widziała fragmenty na wpół zapomnianych wspomnień, gdy jako dziecko bawiła się z ojcem w berka, gdy jej matka z wałkami na głowie rozmawiała z kimś przez telefon, śmiejąc się, ujrzała też tego grubaska, który kiedyś w trzeciej klasie był dla niej miły.

Czuła, że umrze, a jej życie wydawało się przeraźliwie puste, ten bezmiar pustki rozciągał się tak daleko, jak tylko była w stanie sięgnąć pamięcią.

Miała wolne ręce, ale czy teraz miało to jakiegokolwiek znaczenie? Nawet gdyby zdołała uciec, dokąd miałyby się udać? Jak znaleźć wyjście z jaskini?

Z jej ust dobył się cichy szloch, ale potworna istota wciąż nie zwracała na nią uwagi. On był odwrócony do niej plecami. Dzięki Bogu, dzięki

Bogu.

Otworzyła jedno oko, jej wzrok padł na latarnię. Postawił ją za skałą, która niemal całkiem przesłaniała blask. Stare metalowe przesłony były opuszczone, przez wąskie szczeliny przesączało się wątle, żółtawe światło. Wyglądało na to, że on nie lubił światła. Boże, był taki biały, tak bardzo blady, że jego skóra miała niemal szary odcień. A ta twarz, jego twarz z długą, rzadką brodą.

Znów ogarnęło ją mącące umysł przerażenie. To faktycznie był potwór. Jeżeli nie wydobędzie się stąd, spotka ją ten sam los co Tada.

Zaczęła oddychać nieco szybciej, znów odzyskiwała chęć do działania. Ręce miała już wolne. Opodal stała latarnia, miała zatem światło. Natomiast na drugim końcu tej niedużej jaskini dostrzegła mocno wydeptaną ścieżkę, niknącą w ciemnościach. Może to właśnie ta droga prowadziła do wyjścia z jaskini? Nawiedziło ją kolejne wspomnienie. Niewiarygodnie wyraziste.

Była na trawiastym boisku za parkingiem przyczep, gdzie uczyła się jeździć na dwukołowym rowerku, który dostała od ojca na siódme urodziny. W pewnej chwili straciła równowagę i upadła na trawę. Upadków takich było kilka. Przypomniała sobie, jak ojciec ocierał z jej twarzy łzy złości i przemawiał do niej cichym, kojącym głosem: „Nie poddawaj się, Cot. Nie poddawaj się. Spróbuj jeszcze raz”. To dziwne, ale chyba nigdy nie podniósł na nią głosu ani nie okazał wobec niej złości.

— W porządku — rzuciła w ciemność. — Nie poddam się.

Centymetr po centymetrze zaczęła przesuwać się po kamiennym podłożu, poszukując ostrego występu skalnego — przez cały czas trzymała ręce za plecami. Gdy odnalazła wystającą ostrą krawędź, uniosła związane

w kostkach stopy i zaczęła pocierać nimi powoli o brzeg odłupanego wcześniej kryształu, starając się, o ile to możliwe, nie zwracać na siebie uwagi. On jednak był do tego stopnia pochłonięty swoją pracą, że nie zorientował się, co robiła. Spod półprzymkniętych powiek obserwowała jego plecy, przez cały czas przecierała mozolnie gruby sznur o ostry brzeg kalcytu. On tymczasem porzucił na chwilę ciało Tada i pochylił się teraz nad czymś, co wyglądało jak trzy jutowe worki, wypełniając je...

Odwróciła się, uznawszy, że nie chce zobaczyć nic więcej.

Tarła i tarła, aż w końcu poczuła, że sznur zaczyna pękać. Naprężyła mięśnie nóg i poruszała stopami, poluzowując go jeszcze bardziej.

Wreszcie uwolniła jedną stopę, a potem drugą.

Znów położyła się na ziemi. Zastanawiała się intensywnie. Była wolna. Co teraz?

Schwyci latarnię i rzuci się do ucieczki. Podąży wzdłuż wydeptanej ścieżki. Na pewno dokądś nią dotrze.

Tak, złapie latarnię i pobiegnie co sił w nogach. On, rzecz jasna, ruszy za nią w pościg, ale Corrie była szybka, w jej klasie tylko jedna dziewczyna była od niej szybsza.

Leżała, oddychając głęboko, jej serce biło jak szalone z przerażenia i niepewności wobec tego, co zamierzała uczynić. Teraz, gdy podjęła już decyzję o próbie ucieczki, zaczęła obmyślać dziesiątki powodów, dlaczego byłoby dla niej lepiej pozostać tam, gdzie obecnie leżała. On znalazł sobie inne zajęcie. Może po prostu o niej zapomniał...

Nie. Tak czy owak, musiała się stąd wydostać. Raz jeszcze rozejrzała się dokoła, usiłując odzyskać orientację. Wzięła kilka głębokich oddechów, po czym policzyła do trzech, schwyciła latarnię i zaczęła biec.

Z tyłu, za nią rozległ się donośny, nieartykułowany ryk.

Poślizgnęła się na wilgotnych kamieniach, nieomal upadła, zdołała jednak utrzymać równowagę i wbiegła pędem w mroczną czeluść szczeliny znajdującej się po drugiej stronie jaskini. Przejście prowadziło do długiego przesmyku, kończącego się osobliwą galerią ociekających wodą formacji skalnych i złowieszczo wyglądających wstęg wiszących blisko podłoża wapieni. Za nimi rozciągała się płytka sadzawka, tam także sklepienie opadało przeraźliwie nisko; przeszła przez wodę i przeczołgać się pod nisko zwieszającym się kamiennym nawisem, trzymając latarnię w uniesionej ręce. W chwilę potem znalazła się w znacznie większej jaskini, wypełnionej od podłoża po sklepienie grubymi stalagmitami, wiele z nich łączyło się ze stalaktytami powyżej, tworząc niezwykle żółto-białe kolumny. Czy on ją ściga? Czy jest tuż za nią i lada moment znów ją dopadnie?

Kluczyła pomiędzy bladymi, błyszczącymi kolumnami, ciężko łapiąc powietrze ze zmęczenia i przerażenia, światło latarni odbijało się od grubych, kamiennych filarów. Latarnia uderzyła w jeden z nich, świeca zamigotała, a Corrie poczuła nową falę strachu, jeżeli świeca zgaśnie, będzie po wszystkim.

„Zwolnij. Zwolnij” — upominała się w myślach.

Wyminęła kolejną kolumnę i boleśnie kalecząc się w kolano, wpadła na zwalony blok kalcytu, który odpadł od sklepienia. Przystanęła na chwilę, rozglądając się nerwowo i rozpaczliwie walcząc o oddech. Dotarła do końca jaskini. W tym miejscu wydeptana ścieżka prowadziła pod górę. Gdy dziewczyna wodziła wzrokiem z boku na bok, zorientowała się, że na ścianach widniały prymitywne wzory, jakby wyrzyte ostrym kamieniem:

dziwne, koncentryczne wstęgi, patykowate figurki, wielkie chmury bliżej nieokreślonych zawijasów. Corrie nie miała jednak czasu na podziwianie widoków i zaczęła piąć się w górę zbocza; co chwila osuwała się i ześlizgiwała, gdy osypywały się pod nią kamienie. Wyjście stawało się coraz bardziej strome, kiedy zaś uniosła latarnię nad głowę, ujrzała kamienny próg, najprawdopodobniej górną krawędź zbocza. Schwyciła zań wolną ręką i podciągnęła się z wysiłkiem.

Na wprost niej rozciągał się długi, lśniący tunel z błękitnego jak lód wapienia, powyżej zwieszały się fantazyjne formacje przepięknych kryształów. Zaczęła biec. Podłoże tunelu było płaskie, ale korytarz kręty. Pośrodku płynął wąski strumyk. Także na tych niebieskich ścianach dostrzegła wyryte dziwaczne, prymitywne, niepokojące znaki i symbole. Corrie pognąła przed siebie, jej stopy rozbryzgiwały wodę, tupot kroków rozbrzmiewał głośnym echem w głębi tunelu. Nie usłyszała jednak odgłosu kroków ścigającego ją potwora. Nie mogła w to uwierzyć, ale jednak się jej udało. Zdołała uciec! Prześcignęła go!

Biegła dalej, wydobywając z siebie resztki sił. Znalazła się w wielkiej jaskini, której podłoże pokrywało całe mnóstwo pogruhotanych, strzaskanych stalaktytów. Przepelzła pod i nad tymi gigantycznymi kolumnami, podążając za wciąż jeszcze widoczną wydeptaną ścieżką. Szlak wiódł aż na drugi koniec jaskini, ku przeciwległej ścianie. Dostrzegła na niej ślady potwora. Ścisnęła zębami rączkę latarni i zaczęła się wspinać. Uchwyty dla dłoni i stóp były śliskie i pościerane. Mimo to strach dodawał sił, pomógł zapomnieć o bolących dłoniach i kostkach. Im dalej dotrze, tym bardziej się oddali od potwora. Ta droga musiała dokądś prowadzić, prędzej czy później Corrie znajdzie wyjście. Wreszcie z

westchnieniem ulgi dotarła na sam szczyt, podciągnęła się...

I on już tam był. Czekał na nią. Jego monstrualne ciało pokryte było plamami krwi i strzępami tkanek, niesamowite, nieludzkie oblicze przecinał krzywy uśmiech. Krzyknęła, a z jego bladych ust wypłynął piskliwy śmiech. Śmiech uradowanego dziecka.

Corrie usiłowała prześlizgnąć się obok niego, ale wielka łapa smagnęła w dół i powaliła ją na ziemię. Oszołomiona dziewczyna upadła na wznak. Latarnia potoczyła się po podłożu, świeca zaczęła przygasać. Stwór stanął nad nią, klaszcząc w dłonie i śmiejąc się, na jego twarzy malowało się nieprawdopodobne wręcz zadowolenie.

— Odejdź ode mnie! — krzyknęła, odpędzając w tył. Sięgnął oburącz, schwycił ją za ramiona i podźwignął na nogi.

Cuchnący oddech bijący z jego odrażających ust przywodził jej na myśl smród rzeźni. Corrie krzyknęła, a on znów zapiszczał wesoło. Targnęła całym ciałem, próbując mu się wyrwać, ale jego ręce były jak wykute ze stali, trzymał ją mocno, śmiejąc się i z każdą chwilą wzmagając uścisk.

— Nie rób mi krzywdy! — wrzasnęła. — Sprawiasz mi ból!

— Hooooo! — powiedział, a z jego ust prysnęły na jej twarz kropelki cuchnącej, lepkiej śliny. Nagle puścił ją, wycofał się i zniknął.

Podniosła się na klęczki, dysząc ciężko, była otepiała ze zgrozy i niedowierzania. Czekwała, aż ból minie, by odzyskać jasność umysłu. Wokoło panowała cisza i czerń. Światło zgasło.

— Hiiii! — Z ciemności dobiegł wysoki głos i odgłos klaskania w dłonie. Corrie skuliła się, zdesperowana, przybita, sparaliżowana strachem. Ciche skrzypnięcie, błysk zapalki i latarnia znów rozbłysła żółtym światłem. Zaraz potem ujrzała potwora, stał nad nią, szczerząc się i śliniąc,

ukazując w uśmiechu pieńki poczerniałych zębów. Stwór zachichotał i czmychnął za kolumnę.

Właśnie wtedy Corrie zrozumiała. On bawił się w chowanego. Przełknęła ślinę, zadygotała, spróbowała wydobyć z siebie głos.

— Chcesz się ze mną pobawić?

Zatrzymał się i roześmiał w głos, jego rzadka broda zafalowała, grube wargi były wilgotne i czerwone, gdy na przemian to zaciskał, to rozwierał pięści, dostrzegła jego pięciocentymetrowe paznokcie.

— Pafić się! — zawołał, podchodząc do niej.

— Nie! — krzyknęła. — Zaczekaj! Nie w ten...!

— Pafić się! — ryknął, pryskując ją śliną i unosząc wielką jak bochen chleba pięść do ciosu.

Pafić się! Corrie skuliła się, oczekując na to, co nieuchronne.

Nagle stwór gwałtownie odwrócił głowę. Jego małe, zimne oczka zwilgotniały, powieki o długich rzęsach zamrugały nerwowo. Dłoń zawisła w powietrzu, gdy spoglądał gdzieś w ciemność.

Sprawiał wrażenie, jakby nasłuchiwał.

A potem podźwignął ją w górę, przerzucił sobie przez ramię i znów pomknął jak strzała z przerażającą szybkością. Corrie widziała tylko przyprawiającą o zawrót głowy plątaninę przejść, korytarzy i kamiennych izb. Zamknęła oczy.

Wkrótce potem poczuła, że się zatrzymał. Otworzyła oczy, by ujrzeć niedużą jamę, czarny szyb u podnóża wapiennej ściany. Poczowała, że zsuwa się z jego ramion i że stwór wsuwa jej stopy w głąb otworu.

— Proszę, nie... — Próbowwała złapać go wpół, schwycić się czegoś, czegokolwiek, poorwała paznokciami po kamieniach. Stwór położył dłonie

na jej ramionach i pchnął brutalnie, Corrie ześlizgnęła się metr w dół i wylądowała ciężko na kamiennym podłożu.

Usiadła oszołomiona i poobijana. On spojrzał na nią z góry, trzymając w ręku latarnię i przez chwilę miała okazję ujrzeć gładkie jak szkło ściany dołu, do którego ją wrzucono.

— Hooo! — zawołał stwór, wydymając wargi w groteskowym grymasie.

W sekundę później jego głowa i światło znikły, a Corrie została sama na dnie jamy, w całkowitej ciemności, pośród wilgotnej, lodowatej ciszy podziemnej jaskini.

SZEŚĆDZIESIĄT

Pendergast przemierzał bezgłośnie mroczne, kamienne korytarze, poruszając się możliwie jak najszybciej i podążając za słabo już widocznymi śladami. System jaskiń był naprawdę olbrzymi, a mapa agenta odzwierciedlała zaledwie drobny zarys jego faktycznej złożoności. Zawierała liczne błędy i brak było na niej całych poziomów podziemnych tuneli. Układ jaskiń był wyjątkowo złożony, korytarze przecinały się i łączyły w niewiarygodny sposób, pozwalając, by ktoś, kto znał doskonale ich sekrety, znalazł się w kilka minut w miejscu odległym na mapie o kilometr w linii prostej. Mimo uszczerbków jednak i ewidentnych niedociągnięć, mapa była wyśmienita, stanowiła dowód na to, czego nie potwierdzały mapy Amerykańskiego Urzędu Geologii — że Jaskinia Krausa to zaledwie wierzchołek góry lodowej, wejście do podziemnego systemu korytarzy, przecinających wydrążone jak plaster miodu tereny pod Medicine Creek i okolice strumienia, z których jeden połączony był z Widmowymi Wzgórzami.

Z oddali przed Pendergastem dobiegał szum płynącej wody. W minutę później agent dotarł do źródła dźwięku. Podziemny tunel, utworzony przed wiekami przez wodę pod olbrzymim ciśnieniem, przeciął równolegle wapienną jaskinię, którą przemierzał mężczyzna. Po podłożu płynął wartki

strumień, jedyna pozostałość nieposkromionej potęgi sił natury, które pierwotnie wyciosały te osobliwe, mroczne korytarze.

Pendergast zatrzymał się przy strumieniu, ukląkł, nabrał wody w dłoń i skosztował.

To była ta sama woda, którą pił w domu Krausów — z tego ujęcia czerpało całe miasto. Znów się napił. Tak jak się spodziewał, to była woda, zdaniem Lu Yu, autora Chajin — Świętej księgi herbaty — najlepiej nadająca się do przygotowania zielonej herbaty, bogata w tlen i minerały, woda pochodząca z podziemnego strumienia płynącego wapiennym korytem. To właśnie owa herbata i woda uświadomiły mu, że Jaskinie Krausa muszą być rozleglejsze, aniżeli mogłaby świadczyć niewielka część podziemnych grot, otwarta i dostępna dla zwiedzających. Podróż do Topeki potwierdziła jego przypuszczenia i uzbroiła w mapę, którą miał teraz przy sobie. Niemniej jednak ta wiedza mogła go drogo kosztować. Nie przypuszczał, że Corrie spróbuje działać na własną rękę i że posługując się jedynie dedukcją, domyśli się tak wiele, choć w gruncie rzeczy mógł się przecież tego spodziewać.

Wyprostował się, odwrócił i ponownie znieruchomiał. Na obrzeżach kręgu światła rzucanego przez jego latarkę coś leżało, rozdarty w szwach, płócienny plecak. Przeszedł przez strumień i ukląkł, wyjmując z kieszeni złote pióro, aby za jego pomocą rozchylić brzegi materiału. Wewnątrz znajdowała się mapa samochodowa, kilka rydli oraz baterii używanych do dużych latarek lub wykrywaczy metali.

Pendergast omiół plecak promieniem latarki. Na ziemi tuż obok wały się groty strzał i skorupy naczyń. Skóra rozciągnięta na drewnianym stelażu była ozdobiona wizerunkami w stylu południowych Czejenów,

identycznymi jak te, które widział w grobowcu pod wzgórzem...

...Wtem, metr dalej, promień światła odnalazł zmierzwiony pęk włosów, jasnych, tlenionych, z ciemnymi odrostami. Sheila Swegg. Kopiając wśród wzgórz, przypadkiem musiała natknąć się na tylne wejście do jaskini. Było dobrze ukryte, ale w gruncie rzeczy łatwo dostępne, jeśli wiedziało się, które kamienie należy usunąć. Musiała zdziwić się, ujrzawszy Widmowych Wojowników spoczywających w swym grobowcu. Weszła w głąb jaskiń w poszukiwaniu kolejnych skarbów.

Miał tego znalazła coś innego. Odnalazła jego...

Nie było czasu na dalsze oględziny. Spojrzawszy raz jeszcze na żalosne szczątki, Pendergast odwrócił się i podążył wzdłuż małego, podziemnego, płynącego gładko strumyka.

Kilkaset metrów dalej strumień wnikał do głębokiego dołu, wypełniając jaskinię oparami mgieł. Pendergast zaczął piąć się w górę, korzystając z o wiele węższych niż dotychczas przejść i przesmyków. Ślady pozostawione przez kogoś, kto krążył w tych podziemiach od dawna, były tu znacznie wyraźniejsze. Agent zbliżał się do zamieszkanym obszarów jaskini.

Od początku wierzył, że zabójca pochodził z tego miasteczka. Jego błąd polegał na tym, że sądził, iż morderca jest jednym z mieszkańców. Ale nie, nie był to ktoś, kogo mógłby znaleźć w rejestrach podatników, ten człowiek żył obok nich, ale nie pośród nich.

To odkrycie sprawiło, że poznanie tożsamości zabójcy stało się względnie proste. Aczkolwiek równocześnie agent zdał sobie sprawę, a raczej zaczął rozumieć, z jak zepsutą zdeformowaną i amoralną istotą ma do czynienia. Był to wyjątkowo niebezpieczny morderca, którego poczynań nawet on — Pendergast — od lat badający mechanizmy

działania umysłów psychopatycznych morderców, nie był w stanie przewidzieć.

Dotarł do kolejnego wąskiego korytarza. Na podłożu znów widać było zmineralizowany kalcyt, tworzący roziskrzoną połyskującą, zamarzną rzekę. Pośrodku nurtu widać było kilkunastocentymetrowe wgłębienie, dzieło ludzkich stóp wędrujących tą drogą od wielu lat. Na końcu korytarza tunel raz po raz się rozwidlał, w każdej odnodze widać było oznaki częstego użytkowania — okruchy zmiażdżonych kryształków, rozmazaną smugę na pokrytych wapiennymi naciekami ścianach; śladów obecności człowieka było tak wiele, że nie sposób zliczyć. Pendergast raz i drugi zgubił się w labiryncie korytarzy, lecz za każdym razem za pomocą mapy udało mu się wrócić na właściwy szlak. Gdy powrócił tam po raz drugi, w świetle latarki dostrzegł coś krzykliwie barwnego — na półce skalnej spoczywała kolekcja indiańskich fetyszy, pozostawionych tam setki lat temu. Obok nich leżało kilka nowszych przedmiotów, wykonanych z kawałków szpagatu, kory, kauczuku i taśmy klejącej.

Pendergast przyglądał im się przez chwilę. Były dziwne, prymitywne, a jednak wykonano je z drobiazgową pieczołowitością.

Mężczyzna zmusił się, by ruszyć dalej, i przyspieszył kroku, starając się wybierać najbardziej uczęszczaną drogę. Od czasu do czasu przystawał, by zaznaczyć coś na mapie lub po prostu zapamiętać rozrastający się coraz bardziej trójwymiarowy schemat podziemnego labiryntu korytarzy. Był on doprawdy niezwykły, z całym mnóstwem tuneli rozciągających się we wszystkich kierunkach, rozchodzących się, łączących i przecinających tak, że tworzyły niewyobrażalnie złożony układ kamiennych pasaży. Były tu skróty, sekretne tunele, ukryte przejścia, ślepe zaułki i nisze, których

zbadanie i poznanie mogło zająć wiele lat. Wiele długich lat.

Fetyszy było coraz więcej, towarzyszyły im dziwaczne, skomplikowane symbole i wizerunki wyryte na kamiennych ścianach. Gdzieś tam, przed nim — nie wiedział, jak duża odległość dzieliła go jeszcze od celu — mieściła się kryjówka zabójcy. I właśnie tam, o czym był przekonany, odnajdzie Corrie. Żywą lub martwą.

W swoich wszystkich dotychczasowych dochodzeniach Pendergast zadał sobie wiele trudu, aby zrozumieć i przewidzieć sposób myślenia oraz dalsze poczynania przeciwnika. W tym przypadku psychologia zabójcy wymykała się wszelkim przewidywaniom, jego profil okazał się niemożliwy do nakreślenia z uwagi na niezwykłość i nieortodoksyjny sposób postępowania. Ten morderca wykraczał poza wszelkie znane Pendergastowi standardy. Jedno było pewne. Właśnie tu, w tej jaskini, Pendergast stawia czoło największej zagadce kryminalnej w całej swej dotychczasowej karierze agenta FBI.

I ta świadomość wcale nie dodawała mu otuchy.

SZEŚĆDZIESIĄT JEDEN

Hazen biegł w dół rozszerzającej się stromizny tunelu, usiłując dogonić Lefty'ego i psy. Słyszał za sobą sapanie Raskovicha, a jeszcze dalej z tyłu

tupot kroków i pobrzękiwanie sprzętu pozostałych jego ludzi. Hen przed nim rozlegało się żalosne ujadanie psów. O podejściu ukradkiem nie było mowy, psy narobiły takiego hałasu, że słyhać je było z odległości wielu kilometrów. Jaskinie okazały się rozleglejsze, aniżeli się komukolwiek wydawało. Pokonali już dobre czterysta metrów, trudno było uwierzyć, że psy zaciągnęły Lefty'ego tak daleko.

Chwilę potem, jakby w odpowiedzi na nurtujące go pytanie, w oddali przed nim pojawił się Lefty, dłonią w rękawiczce mocno ścisnął napięte smycze, mamrocząc coś gniewnie. W końcu udało mu się zapanować nad zwierzętami.

Hazen zwolnił, zadowolony, że może wreszcie choć trochę odsapnąć i zaraz potem zrównał się z nim zdyszany Raskovich.

— Lefty, zaczekaj chwilę — rzekł Hazen. — Niech dołączą do nas pozostali.

Ale już było za późno. Psy zaczęły ujadać jak oszalałe, rwąc się w stronę pobliskiego tunelu.

— Co się dzieje? — zawołał Hazen.

— Coś tam jest! — odkrzyknął Lefty.

Psy wściekały się coraz bardziej, skowycząc i szarpiąc smycze, ciągnęły stawiającego opór Lefty'ego w głąb tunelu.

— Do cholery, Lefty, zrób coś z nimi, niech tak nie gnają! — ryknął Hazen, biegnąc w jego stronę.

— Dlaczego mnie opieprzasz? Chcesz mnie ochrzaniać, proszę bardzo, ale nie tutaj. Wyjdźmy stąd. Nie podoba mi się to miejsce. I te psy też nie. Sturm! Drang! Do nogi!

Psy warczały i ujadały złowrogo, echo ich głosów brzmiało jak skowyt

strażnika piekiel — Cerbera. Lefty brutalnie szarpnął łańcuch, a jeden z psów zakręcił się jak fryga, kłapiąc groźnie zębami. Opiekun psów uskoczył w tył, omal nie wypuszczając smyczy. Hazen widział, że Lefty jest przerażony. Trop był świeży. I bardzo silny. Zbyt silny. Jeżeli psy dopadną teraz McFelty'ego, mogłyby go zabić.

To byłaby katastrofa.

Przyspieszył kroku, aby zrównać się z Leftym, Raskovich był tuż obok.

— Lefty! — zawołał — jeśli nie opanujesz tych psów, to jak mi Bóg miły, osobiście je zastrzelę.

— Te psy są własnością stanu...

Hazen patrzył, jak bladoczerwone kształty Lefty'ego i psów znikają za załomem korytarza, hen, przed nim. Nastąpiła chwila ciszy, a zaraz potem dał się słyszeć krzyk. Zaciekle ujadanie psów przybrało na sile, gardłowe, groźne szczeknięcia, które ni stąd, ni zowąd przeszły w wysoki, przeraźliwy pisk.

— Szeryfie, przed nami! — rozległ się zdyszany głos Lefty'ego. — Chryste, coś tam się rusza!

Coś? O czym ten Lefty mówi? Hazen skręcił za załom korytarza, chłonąc nosem i ustami wilgotne, jaskiniowe powietrze i usiłując nasycić nim złąknione płuca. I nagle stanął jak wryty.

Lefty i psy zniknęli w istnym lesie wapiennych kolumn. Wzdłuż ścian zwieszały się grube girlandy mineralnych nacieków. Wszędzie wokoło widać było wyloty tuneli, szczeliny i mroczne, ziejące otwory.

Słyszał szaleńcze ujadanie powracające echem z głębi tego osobliwego kamiennego lasu, lecz dźwięki były tak zniekształcone, że nie miał pojęcia, skąd dochodziły.

— Lefty! — Jego własny głos przetoczył się wokół jaskini, zdawało się, że minęła cała wieczność, nim ucichł. Oparł się o złamaną kolumnę i dysząc ciężko, zastanawiał się, który ma wybrać tunel.

Raskovich, zasapany, przystanął obok niego. Hazen dostrzegł w jego oczach wyraz narastającej paniki.

— Gdzie oni się podziali?

Hazen pokręcił głową. Akustyka była tu iście diabelska. Szeryf ponownie ruszył naprzód poprzez labirynt kolumn, jego stopy rozbryzgiwały wodę z płytkich kałuż — kierował się w stronę, gdzie echo wydawało się najdonośniejsze.

Jazgot psów oddalał się, jakby zwierzęta przesuwały się w głąb odległego tunelu, lecz w ich skowycie słyhać było coraz bardziej histeryczną nutę.

Wtem dźwięki zmieniły się diametralnie. Szczekanie jednego z psów przerodziło się w coś, co przywodziło na myśl ostry pisk samochodowych hamulców. Ujadanie zlało się w jedno z niskim, gniewnym, gardłowym warkotem.

Nawet w czerwonej poświacie noktowizora twarz Raskovicha miała barwę popiołu. Teraz do upiornego chóru dołączył charakterystyczny krzyk. Ludzki krzyk. Krzyk Lefty'ego.

— Matko Boska — jęknął Raskovich, zerkając trwożliwie na lewo i prawo.

Był bliski paniki. Wystarczyłby jeden impuls, aby rzucił się do ucieczki.

— Wyluzuj — warknął Hazen. — Zapewne psy osaczyły McFelty'ego. Mam wrażenie, że wyszli z tej jaskini i weszli do któregoś z bocznych tuneli. Chodź, musimy ich znaleźć. — Larssen! — ryknął na całe gardło.

— Cole! Brast! Jesteśmy tutaj!

Zniekształcone skowyty i wrzaski wciąż powracały odbitym echem. Szeryf miał coraz większe problemy z zebraniem myśli. Nie martwił się już o psy, lecz o McFelty'ego.

— Raskovich, wszystko gra.

Mężczyzna cofnął się niepewnie o dwa kroki, minę miał nietęgą, z całej siły ścisnął w dłoniach strzelbę. Hazen zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji, było niedobrze. Raskovich był bliski paniki i miał w ręku nabitą broń.

Przeraźliwe wrzaski mieszały się z gardłowymi warknięciami, pośród których dało się słyszeć zdławione sapanie i Charkot.

— Raskovich, wszystko gra, naprawdę. Wyluzuj i opuść tę strzelbę.

Broń wypaliła z ogłuszającym hukiem i ze sklepienia posypał się grad skalnych okruchów, które odbiwszy się z brzękiem od kamiennych kolumn, wylądowały w płytkiej wodzie.

Odległe ujadanie psów... przerażone oblicze Raskovicha... Hazen zdał sobie sprawę, że cała ta operacja coraz bardziej wymykała mu się spod kontroli.

— Larssen! — krzyknął. — Szybko do mnie!

W tej samej chwili Raskovich obrócił się na pięcie i rzucił do ucieczki, pozostawiając dymiącą jeszcze strzelbę na ziemi, tam, gdzie ją upuścił.

— Raskovich! — Hazen pobiegł za nim, krzycząc ile sił w płucach. — Hej! Nie w tę stronę!

I gdy tak biegł, przeraźliwa kakofonia zwierzęcych i ludzkich dźwięków, rozlegająca się gdzieś z tyłu, za nim, nagle ucichła, a wokoło zapanowała głucha, niepokojąca i wyjątkowo złowróżbna cisza.

SZEŚĆDZIESIĄT DWA

Pendergast przystanął, nasłuchując. Doszło go echo dźwięków rozbrzmiewających wśród kamiennych pasaży, choć zniekształcone nie do poznania. Czekał, wyteżając słuch, lecz nie zdołał wychwycić nic prócz najcichszego szeptu, tak zmienionego akustycznymi właściwościami jaskiń, że przywodził na myśl szum wiatru wśród drzew lub łoskot fal rozbijających się o brzeg.

Przyspieszył kroku, zmierzając — jak uznał — we właściwym kierunku i klucząc pomiędzy wielkimi, zwałonymi stalaktytami. Przy końcu jaskini, gdzie ślady rozdzielały się, ponownie się zatrzymał i nasłuchiwał przez chwilę.

Dźwięki nie ucichły.

Spojrzał na mapę, odnalazł w przybliżeniu swe obecne położenie. Znajdował się w samym środku przypominającej labirynt sieci korytarzy, z mnóstwem przesmyków, pasaży i ślepych zaułków. Zlokalizowanie źródła

dźwięku w tak diabelskim labiryncie będzie dość trudne. Mimo to wiedział, że w jaskiniach takich jak te dźwięk rozchodzi się zazwyczaj z prądem powietrza. Wydobycszy z kieszeni wąską, złotą zapalniczkę, Pendergast zapalił ją i uniósł w wyciągniętej ręce, starannie obserwując, w którą stronę wychyla się płomyk. Następnie schował zapalniczkę do kieszeni i podążył dalej w kierunku, skąd dobiegały dźwięki.

Nagle odgłosy ucichły.

W jaskiniach znów zapanowała cisza, przerywana jedynie pluskiem kapiącej wody.

Pendergast szedł dalej przez tunele i przesmyki. Gdy dźwięki ucichły, ponownie skonsultował się z mapą, by za jej pomocą dotrzeć do centralnej części niezwykłego układu jaskiń. Przy końcu szczególnie wąskiego przejścia zatrzymał się i poświecił latarką na przeciwległą ścianę. Miał przed sobą wąską, pionową szczelinę, której nie było na mapie, a która — jak wszystko na to wskazywało — prowadziła do sąsiedniej pieczary. Tym sposobem mógłby zaoszczędzić sporo drogi. Podeszedł do szczeliny i nasłuchiwał przez moment.

Znów doszły go słabe dźwięki. Szum wody przemieszany z ludzkim głosem. A w każdym razie brzmiało to jak ludzki głos, choć zniekształcony do tego stopnia, że agent nie zdołał zrozumieć słów.

Omiatając promieniem latarki ziemię u swych stóp, stwierdził, że nie był pierwszą osobą korzystającą z tego skrótu.

Wślizgnął się do szczeliny, która niebawem rozszerzała się na tyle, że mógł iść nią normalnie. W podłożu pojawiła się nagle rozszerzająca się rozpadlina, ściany jednak znajdowały się na tyle blisko, że udało mu się iść dalej, stawiając stopy po obu stronach rozpadliny i równocześnie

przeciskając tors przez wąską szczelinę. W tej pozycji bardzo łatwo można było się nabawić zarazem klaustrofobii i lęku wysokości.

W oddali, pośród czerni, zamajaczył wylot szczeliny. Mężczyzna znalazł się na wąskiej półce niemal trzydzieści metrów powyżej podłoża wielkiej jaskini o rozległym, kopułowym sklepieniu. Z góry spływał podziemny strumień, rozbryzgując się spienioną kaskadą daleko w dole i wypełniając jaskinię echem płynącej wody. Niezliczone mrugające światełka, refleksy odbite od fantastycznych kryształów gipsu, migotały w całej jaskini niczym roje świetlików.

Promień latarki Pendergasta z trudem sięgał podłoża pieczary. U wejścia do szczeliny widniały ślady stóp, zatem musiała istnieć droga prowadząca na dół.

Poniżej półki skalnej, na której stał, w świetle latarki dostrzegł liczne wgłębienia i występy, uchwyty dla rąk i nóg. Z dołu bez przerwy dochodziły niepokojące dźwięki, teraz były znacznie wyraźniejsze.

Czy Hazen i jego ludzie odnaleźli zabójcę i Corrie? Wolał o tym nie myśleć. Wiązały się z tym nieprzyjemne skojarzenia.

Pendergast przykucnął na wąskiej półce i poświecił latarką w ciemność poniżej. Nie dostrzegł niczego prócz mnóstwa zwalonych stalaktytów, które odpadły od sklepienia podczas któregoś z dawniejszych trzęsień ziemi.

Agent zdjął skarpetki i buty, związał je razem sznurówkami, po czym zawiesił sobie na szyi. Zgasił latarkę i wsunął ją do kieszeni, teraz i tak nie na wiele by mu się zdała. Sięgnąwszy ręką, ponownie zacisnął palce na pierwszym kamiennym uchwycie i opuścił się w dół, jego bose stopy odnalazły śliskie, skalne występy. Po pięciu minutach ostrożnego

schodzenia dotarł na dno jaskini. W całkowitej ciemności ponownie nałożył buty, nasłuchując.

Dźwięki dochodziły z czerni po drugiej stronie jaskini. Ktokolwiek je wydawał, nie miał latarki ani zapalek. Odgłosy wzmagaly się i cichły w dziwny, bełkoczący sposób, ale jedno nie ulegało wątpliwości, to był człowiek, i w dodatku ranny.

Pendergast ponownie zapalił latarkę, wyjął pistolet i szybkim krokiem ruszył naprzód.

Barwny błysk, coś zaśniło w słabym świetle latarki, ponownie omiótł to miejsce jej promieniem i spostrzegł coś żółtego, co leżało na ziemi za ukruszonym głazem.

Miękko jak kot wskoczył na kamień, kierując w dół pistolet i światło latarki. Wlepił wzrok w niszę pod głazem. Po chwili schował pistolet do kabury, zeskoczył z głazu i dotknął dłonią mężczyzny, leżącego w pozycji płodowej na ziemi, w cieniu skały.

Mężczyzna był niski, przemoczony do suchej nitki i przez cały czas mamrotał do siebie. Tuż obok walał się standardowy zestaw gogli noktowizyjnych i kask z lampą podczerwienną.

Po dotknięciu przez Pendergasta mężczyzna skulił się jeszcze bardziej, osłaniając głowę ramionami i zaskomlał żałośnie.

— FBI — rzekł półgłosem Pendergast. — Co z panem?

Na dźwięk tych słów mężczyzna zadrzał, po czym uniósł wzrok. Para zaczerwienionych oczu spojrzała na agenta, twarz mężczyzny była cała uwalana krwią. Na jego czarnej kurtce widniało żółte logo wydziału K-9 policji z Kansas. Usta powyżej rzadkiej, spiczastej bródki zatrzęsły się, ale spomiędzy nich dobył się tylko cichy szloch, przemieszany z

nieartykułowanym bełkotem. Białe rzęsy zadrżały.

Pendergast pośpiesznie przyjrzał się mężczyźnie.

— Wygląda na to, że nic panu nie jest — powiedział. W odpowiedzi usłyszał tylko nieartykułowany bełkot. Marnowali czas. Pendergast schwycił mężczyznę za kołnierz kurtki i podźwignął go na nogi.

— Weźcie się w garść, policjancie. Jak się nazywacie? Ostry ton przywołał tamtego do porządku. Mężczyzna doszedł trochę do siebie.

— Weeks. Lefty Weeks. Robert Weeks. — Zaczął szczekać zębami.

Pendergast puścił go; Weeks zachwiał się, ale nie upadł.

— Skąd ta cała krew na waszym ciele, Weeks?

— Nie wiem.

— Weeks — wycedził Pendergast. — Nie mamy czasu. Gdzieś w tych jaskiniach czai się zabójca, który porwał młodą dziewczynę. Muszę ją odnaleźć, zanim pańscy przyjaciele doprowadzą do jej śmierci.

— Racja — mruknął Weeks, przełykając ślinę. Pendergast podniósł leżące nieopodal gogle, stwierdził, że były pęknięte i uszkodzone, toteż upuścił je na ziemię.

— Idzie pan ze mną.

— Nie! Nie, proszę...

Pendergast schwycił go za ramię i energicznie potrząsnął.

— Panie Weeks, proszę się zachowywać, jak na policjanta przystało.

Czy to jest jasne?

Weeks ponownie przełknął ślinę, próbował wziąć się w garść.

— Tak jest.

— Proszę trzymać się za mną, iść moim śladem i zachowywać się cicho.

— Nie, Boże, nie! Niech pan tam nie idzie, błagam! Tam jest to coś...

Pendergast odwrócił się i spojrzał tamtemu w oczy. Weeks miał błędny wzrok, widać było, że przeżył ciężki szok.

— To? — spytał.

— To. Znaczący ten mężczyzna.

— Opiszcie go.

— Nie mogę. Nie mogę! — Weeks ukrył twarz w dłoniach, jakby chciał odegnać od siebie ten widok. — Biały. Olbrzymi. Jakby obrzmiały. Muskularny. Dziwne mętne, zamglone oczy. Wielkie dłonie i stopy. I... ta twarz... Ta twarz!

— Co z nią?

— Jezu Przenajświętszy, ta twarz... Pendergast spoliczkował go.

— Co z jego twarzą?

— On ma... Boże drogi... ma twarz dziecka... taką... Pendergast nie pozwolił mu dokończyć.

— Idziemy.

— Nie! Proszę, tylko nie tam! Nie w tę stronę!

— Jak chcecie! — Pendergast odwrócił się i zaczął iść szybkim krokiem. Weeks, skomląc cicho, pospieszył za nim.

Pozostawiając w tyle jaskinię z pogruchotanymi kolumnami, Pendergast wszedł do szerokiego, wapiennego tunelu pełnego wielkich, żółtych kopców nacieków. Weeks został nieco w tyle, kuląc się w sobie i postępując cichutko. Bał się iść za Pendergastem, ale jeszcze bardziej bał się zostać sam. Promień latarki agenta przesuwiał się od jednego nacieku do drugiego, Pendergast znów szedł po śladach.

Nagle przystanął. Światło jego latarki zatrzymało się na jednym z

kopców, który wyglądał inaczej niż pozostałe. Jego żółtą powierzchnię przecinały szerokie strużki czerwieni, a u podstawy rozlewała się rozległa, szkarłatna kałuża. Coś w niej pływało, coś, co było wielkości człowieka, choć kształtem wcale go nie przypominało.

Weeks zamilkł.

Pendergast poświecił latarką na ścianę jaskini, wznoszącą się za kopcem nacieku. Ciemną skałę zdobiły karmazynowe łuki, tu i ówdzie widać było rozbryźnięte ślady czegoś białego, czerwonego i żółtego. Wreszcie promień latarki wyłuskał z ciemności wielką przednią łapę jakiegoś zwierzęcia, zapewne psa, tkwiącą w szczelinie w połowie wysokości ściany. Tuż bok tkwił fragment dolnej szczęki i coś, co mogło być częścią pyska, który przylepił się do pochyłej, kamiennej ściany.

— To jeden z pańskich psów? — spytał Pendergast. Mężczyzna w osłupieniu pokiwał głową.

— Widział pan, jak to się stało? Mężczyzna znów kiwnął głową.

Pendergast odwrócił się i omiótł promieniem latarki jego twarz.

— Co konkretnie pan widział?

Lefty Weeks czknął, odchrząknął, zakrztusił się, aż w końcu wydobył z siebie głos.

— On to zrobił. — Przerwał, przełknął ślinę. — Zrobił to gołymi rękami! — dodał łamiącym się głosem.

SZEŚĆDZIESIĄT TRZY

Dotarłszy do rozgałęzienia tuneli, Hazen zaczął na gliniarzy stanowych i Larssena. Minęło pięć, potem dziesięć minut, ale wreszcie jego przyspieszony oddech wrócił do normy. Wyglądało na to, że albo nie poszli za jego głosem, albo skręcili gdzieś po drodze w niewłaściwy

korytarz.

Hazen zaklął i splunął. Raskovich zniknął, pierzchając jak spłoszony królik. Mimo iż szeryf w pierwszej chwili puścił się za nim w pościg, nie zdołał go dogonić. Sądząc po szybkości tamtego, facet był już zapewne w pół drogi do Kalifornii.

Cholera. Jeżeli nie zdoła odnaleźć Larssena i jego ludzi, będzie musiał w pojedynkę pospieszyć za Leftym i psami. A to na początek oznaczało powrót do wapiennego lasu. Teraz jednak, spoglądając w stronę, skąd przyszedł, Hazen nie miał pewności, z którego właściwie tunelu się wyłonił. Chyba z tego po prawej, ale nie był o tym stuprocentowo przekonany.

Przełknął ślinę, chrząknął.

— Lefty? Cisza.

— Larssen? — Przyłożywszy złożone dłonie do ust, zawołał: — Hej! Jest tam kto? Jeśli mnie słyszycie, krzyknijcie!

Cisza.

— Jest tam kto? Odpowiedzcie!

Pomimo chłodu i nieprzyjemnej wilgoci Hazen poczuł na plecach lodowate ciarki. Spojrzał w stronę, skąd przyszedł, rozejrzał się dokoła i ponownie skierował wzrok przed siebie. Noktowizor przydawał wszystkiemu bladej, czerwonawej, odrealnionej poświaty. Gdy tak się rozglądał, policjant miał przez chwilę wrażenie, jakby znajdował się na Marsie. Sięgnął dłonią do pasa i jego wcześniejsze obawy potwierdziły się — podczas pościgu zgubił gdzieś latarkę.

Cała ta operacja okazała się jedną wielką klapą. Zostali rozdzieleni. Raskovich zniknął, Larssen był Bóg wie gdzie, o tym, co stało się z

Leftym i psami, mógł jedynie domniemywać. W najgorszym razie McFelty wiedział, że tu byli. Czy był martwy, czy może tylko ranny... Hazen uznał, że ma dość kłopotów, aby na dodatek przejmować się niepewnymi przypuszczeniami.

Musiał ponownie zebrać grupę, oszacować sytuację i nakreślić przebieg dalszych działań.

Cholera, tak trudno było przypomnieć sobie, z którego tunelu wyszedł...

Zlustrował podłozę w poszukiwaniu jakichś tropów czy śladów stóp, ale wyglądało, jakby wszystkie korytarze były ostatnio równie często uczęszczane.

I już to samo w sobie wydało mu się dziwne.

Powtórzył w myślach przebieg ostatnich wydarzeń, usiłując przypomnieć sobie jakieś punkty orientacyjne. Wszystko było takie mgliste i niewyraźne, koncentrował się jedynie na próbie dogonienia uciekającego Raskovicha. Mimo to odniósł wrażenie, że przybiegł ni mniej, ni więcej tylko z korytarza po prawej.

Przemaszerował jakieś cztery i pół metra w głąb tunelu. Na podłozu, jak rozsypane zęby, walały się fragmenty pokruszonych stalaktytów. Nie przypominał sobie tego. Czy tak szybko biegł, że mógł ich nie zauważyć?

Sukinsyn.

Przeszedł jeszcze kawałek, ale nic w tym tunelu nie wyglądało znajomo. Klnąc na czym świat stoi, wrócił do kolumnowej jaskini i wybrał jeden z pozostałych tuneli. Ruszył wolno przed siebie, wyteżając pamięć, a serce w jego piersi zaczęło bić nieco szybciej. Także ten korytarz nie wyglądał znajomo. Ociekające wilgocią skały, pierzaste kryształy, prążkowane, połyskujące wypukłości — to wszystko wyglądało raczej

dziwnie.

I wtedy usłyszał dźwięk. Ktoś był przed nim, w głębi korytarza i nucił jakąś melodyjkę.

— Hej! — Potruchtał naprzód, skręcił za załom korytarza i zatrzymał się przy rozgałęzieniu tuneli.

Głos umilkł.

Hazen obrócił się na pięcie.

— Larssen? Cole? — zawołał. Wciąż głucha cisza.

— Odpowiedzcie! Odezwijcie się, do cholery!

Czekał. Czyżby go nie słyszeli? On słyszał to mruczenie bardzo wyraźnie. Dlaczego oni nie słyszeli jego?

Znów ten sam dźwięk, nieco wyższy i odleglejszy, dochodzący z tunelu po lewej.

— Larssen? — Zdjął z ramienia strzelbę i wszedł do korytarza po lewej.

Dźwięk był głośniejszy, wyższy, bliższy. Hazen posuwał się teraz ostrożniej, był czujny, nasłuchiwał z uwagą i równocześnie usiłował choć trochę uspokoić rozkołataną, niemal wyrywającą się z piersi serce.

Kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie. W jednej chwili przystanął i odwrócił się.

— Hej!

Widział tę postać zaledwie przez ułamek sekundy, zanim rozplynęła się w ciemnościach. Ale choć trwało to tak krótko, Hazen nie miał cienia wątpliwości, że ten ktoś, kogo spostrzegł, nie należał do jego zespołu.

I z całą pewnością nie był to również McFelty.

SZEŚĆDZIESIĄT CZTERY

Chester Raskovich skręcił za załom korytarza i przystanął. Groteskowy widok, jaki się przed nim pojawił, zmusił go do przerwania szaleńczej ucieczki. Patrzył, a w myślach miał mętlik. Na wprost niego, blokując mu drogę, kucała przyodziana w łachmany postać o długich, pozlepianych w strąki włosach, patrząc nań pustymi oczyma, z rozdziawionymi ustami i wyszczerzonymi groźnie zębami.

Raskovich cofnął się o krok, a z jego gardła dobył się pisk przerażenia. Miał chęć uciec, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa, toteż czekał, aż istota poderwie się z ziemi i rzuci na niego. Czuł się niczym uwięziony w koszmarze, nogi miał jakby wrośnięte w ziemię, były całkiem sparaliżowane.

Nabrał powietrza raz i drugi, po czym stopniowo paraliż i trwoga zaczęły ustępować na rzecz zdrowego rozsądku. Podeszedł bliżej. Miał przed sobą ni mniej, ni więcej tylko zmumifikowane zwłoki Indianina w kucki siedzącego na podłodze, usta miał otwarte, pomarszczone wargi uniosły się, odsłaniając zbrą-zowiałe zęby. Wokół mumii stały półkolem gliniane miseczki, w każdej z nich spoczywał kamienny grot strzały. Łachmany, które miał na sobie Indianin, mogły być kiedyś kozłą skórą.

Odwrócił wzrok, przełknął ślinę, spojrział raz jeszcze i zaczął oddychać w miarę normalnie. Oto poznał przykład pradawnego indiańskiego obrządku grzebalnego. Widział szczątki ozdobionych paciorkami mokasynów na powykrzywianych stopach tuż obok pokrytej malunkami, rozpiętej na stelażu skóry i kilku postrzępionych piór.

— Kurwa mać — zaklął w głos Raskovich, zawstydzony, że dał się ponieść panice, uświadomiwszy sobie, co właśnie zrobił.

Sfuszerował. Pierwsze prawdziwe zadanie, które otrzymał jako glina, i dał ciała — koncertowo, bo w obecności szeryfa Hazena. Uciekł jak spłoszony zając. Teraz był tutaj, zagubiony pośród jaskiń, w których ukrywał się niebezpieczny morderca; nie miał pojęcia, w którą stronę powinien się udać. Ogarnęło go zawstydzenie i rozpacz; powinien był zostać w kampusie, gdzie mógł przeganiać dzieciaki od wieży ciśnień i wypisywać mandaty za złe parkowanie.

Nagle w przypiływie frustracji i gniewu z całych sił wymierzył mumii kopniaka. Jego stopa przy wtórze głuchego „pach!” trafiła w cel i wierzchołek głowy Indianina eksplodował chmurą brązowego pyłu. Ze środka wypełzły skłębioną strugą białe robaki, wyglądały jak karaluchy albinosy — a mumia przechyliła się i upadła na bok, jej zuchwa odpadła i

przetoczywszy się kilka razy po ziemi, znieruchomiała wśród szczątków roztrzaskanej czaszki. Wąż koloru kości słoniowej, ukryty pośród łachmanów, wyprysnął jak strzała i znikł w ciemnościach niczym duch.

— O cholera — jęknął Raskovich, odskakując odruchowo do tyłu. — Niech to szlag!

Stał przez chwilę, sapiąc ciężko i wsłuchując się w charkot własnego oddechu. Nie miał pojęcia, gdzie się znajdował, jak daleko odbiegł ani w którą stronę powinien się udać.

„Myśl” — upomniał siebie w duchu.

Rozejrzał się dokoła, omiatając promieniem podczerwonej lampy wilgotne połacie skał. Przebiegł przez wąską, wysoką szczelinę o piaszczystym podłożu. Szczelina sięgała tak wysoko, że nie był w stanie dostrzec jej szczytu.

Widział na piasku ślady swoich stóp. Nasłuchiwał — żadnych dźwięków, nie było słyhać nawet płynącej wody.

„Wróć po swoich śladach” — powiedział do siebie.

Zerknąwszy raz jeszcze na obecnie zbezczeszczone miejsce dawnego pochówku, Raskovich odwrócił się i przeszedł przez szczelinę, nie odrywając wzroku od ziemi. Dopiero teraz dostrzegł to, czego biegnąc na oślep, nie zauważył — niemal we wszystkich niszach i na skalnych półkach po obu stronach przejścia spoczywały kości i rozmaite przedmioty — malowane naczynia, kołczany pełne strzał, czerepy tętniące jaskiniowym życiem. To było mauzoleum, indiańskie katakumby.

Zadrżał.

Z niejaką ulgą już wkrótce zostawił za sobą podziemny grobowiec. Szczelina rozszerzyła się, a sklepienie obniżyło i niebawem ujrzał nad

głową ponuro wyglądające stalaktyty. Piaszczyste podłoże ustąpiło miejsca płytkim sadzawkom rozmieszczonym tarasowo na kilku poziomach, jak pola ryżowe. Gdy zostawił za sobą usłane piaskiem podłoże, równocześnie stracił możliwość maszerowania dalej po swoich śladach. Przed sobą miał dwa przejścia, jedno wąskie, po części zablokowane zwalonymi blokami wapienia, drugie stojące otworem. Które powinien wybrać?

„Myśl, dupku. Przypomnij sobie” — przemknęło mu przez głowę.

Tyle tylko, że za nic w świecie Raskovich nie potrafił przypomnieć sobie, którędy tu dotarł.

Przez chwilę miał ochotę kogoś zawołać, ale zmitygował się. Po co zwracać na siebie uwagę? Ten stwór, którego znalazły psy, wciąż mógł tu gdzieś być. Kto wie, może nawet go szukał. Jaskinia okazała się większa, aniżeli podejrzewano, ale z czasem — o ile nie podda się panice — Raskovich znajdzie wyjście. Poza tym na pewno będą go szukać. Nie powinien o tym zapominać.

Wybrał większe wejście i aż odetchnął z ulgą, ujrawszy przed sobą długi, prosty tunel. Wyglądał jakby znajomo. Po chwili w goglach noktowizora zobaczył coś jeszcze — niewyraźną, rozmytą, czerwonawą plamę spoczywającą na kamiennej półce obok mrocznego otworu. Jakieś przedmioty, które ktoś tu zostawił. Kolejny pochówek?

Podszedł bliżej. Na skale leżała czaszka Indianina, kilka piór, grotów strzał i kości. Ich układ na kamieniu wydawał się jednak dość osobliwy. Wyglądało to dość niepokojąco, Raskovich nigdy nie widział czegoś takiego w książkach ani na wystawach w muzeum. Znajdowały się tu również przedmioty nieindiańskiego pochodzenia — dziwne małe figurki ze sznurka i szpagatu, złamany ołówek, spróchniały klocek z literami

alfabetu, potrzaskana główka porcelanowej lalki.

Chryste Panie, na sam widok tych rzeczy zrobiło mu się zimno. Ciarki przeszły mu po plecach. To wcale nie było stare. Ktoś pozbierał kawałki kości i poukładał je tutaj razem z innymi przedmiotami. Raskovich wzdrygnął się mimowolnie.

Z ciemności za jego plecami dobiegło ciche chrząknięcie.

Raskovich nie poruszył się. Nie usłyszał nic więcej, cisza, jaka zapadła, była wręcz absolutna. Minęła jedna minuta, potem druga, lecz Raskovich nie ruszył się z miejsca, stał jak obrócony w kamień, podczas gdy w jego wnętrzu narastały niepewność i zgroza.

Wreszcie nadeszła chwila, kiedy nie mógł się już powstrzymać i po prostu musiał się odwrócić. Obrócił się wolno, bardzo wolno, aż ujrzał to, co wydawało ów dźwięk.

Raskovich znieruchomiał, ponownie stanął jak wryty, nawet najcichszy szelest oddechu nie wypłynął z jego ust.

To stało tam — groteskowe, zniekształcone, upiorne. Widok był tak potworny, że każdy, najdrobniejszy nawet szczegół zapisał się w umyśle mężczyzny. Czy faktycznie dostrzegł ręcznie robione krótkie spodenki z szelkami, nogawki, które opinały potężne, poskręcane kończyny — i czy wspomniane szelki ozdobione były wizerunkami koników na biegunach? Czy złachma-niona, zwisająca w strzępach koszula, spod której wзираł muskularny, pękaty tors, upstrzona była przeplatającym się wzorem w postaci komet i rakiet kosmicznych? A ta twarz powyżej, czy była to tak naprawdę...?

Odrażająca postać postąpiła krok naprzód. Raskovich patrzył, nie mogąc ruszyć się z miejsca. Grube, poprzecinane węzłami mięśni ramię

zatoczyło półokrąg i dosięgło go, uderzając na odlew. Upadł na kamieniste podłoże, noktowizor spadł mu z głowy i potoczył się w mrok.

Uderzenie pozwoliło Raskovichowi otrząsnąć się z przerażenia i dopiero teraz zdołał odzyskać na dobre władzę w rękach i nogach. Zaczął czołgać się w tył, na oślep, a z jego gardła dobyło się dzikie, przeciągłe skomlenie. Słyszał, jak potwór, powłócząc nogami, sunie w jego stronę, wydając głośne, ohydne cmoknięcia. Wreszcie mężczyzna zdołał podnieść się z ziemi i cofnął się o kilka kroków, gdy wtem pod jego stopami otworzyła się czarna czeluść. Stracił równowagę i runął w tył, naprężył mięśnie, spodziewając się, że wyląduje na kamienistym podłożu jaskini, lecz wokół nie było nic, zupełnie nic, tylko pustka i posepny szum wiatru towarzyszący mu, gdy tak spadał coraz niżej i niżej w czarną, zdawałoby się bezdenną otchłań...

SZEŚĆDZIESIĄT PIĘĆ

Hank Larssen odwrócił się do Cole'a i Brasta. W czerwonym świetle obaj mężczyźni wyglądali jak wyłupiastookie monstra.

— Szczerze mówiąc, nie sądzę, aby poszli tędy — rzekł Larssen.

Żadnej reakcji.

— No to jak? — Larssen zlustrował wzrokiem Cole'a, a potem Brasta. Dwaj gliniarze z policji stanowej wyglądali nieomal jak bliźniacy, szczupli, wysportowani, z włosami obciętymi na zapałkę, zaciętym wyrazem twarzy i zimnymi, stalowymi oczyma. A raczej kiedyś były one zimne i twarde jak stal. Teraz nawet w bladej poświacie gogli noktowizyjnych malowały się w nich niepewność i zakłopotanie. Zdał sobie sprawę, że popełnili błąd, opuszczając wielką jaskinię pełną wapiennych kolumn, aby odnaleźć Hazena. Ujadanie psów nagle ucichło, oni zaś skręcili w jeden z niezliczonych bocznych korytarzy, podążając za odgłosem, który uznali za tupot oddalających się kroków. Korytarz jednak już wkrótce się rozwidlił, raz, potem drugi, by zmienić się w istny labirynt krzyżujących się ze sobą podziemnych tuneli. W pewnej chwili odniósł wrażenie, że usłyszał Hazena wołającego go po nazwisku. Przez ostatnie dziesięć minut jednak nie doszedł go żaden, nawet najcichszy dźwięk. Znalezienie stąd wyjścia będzie nie lada zadaniem.

Zastanawiał się, jakim cudem stał się de facto przywódcą tej małej, radosnej gromadki. Cole i Brast należeli wszak do elitarnego zespołu interwencyjnego, przeszkolonego w działaniach podwyższonego ryzyka i obeznanego z sytuacjami takimi jak ta, w której się obecnie znajdowali. W komendzie głównej policji stanowej mieli siłownię, urządzenia do treningu, basen, strzelnicę, specjalne seminaria szkoleniowe i weekendowe wyjazdy na ćwiczenia. Larssen miał tylko nadzieję, że nie będzie musiał

niańczyć tych osiłków.

— Obudźcie się, śpiochy! Słyszycie? Uważam, że oni nie poszli w tę stronę.

— No, nie wiem — mruknął Brast. — Wydaje mi się, że to tam.

— Wydaje ci się — powtórzył sarkastycznie Larssen. — A co ty o tym sądzisz, Cole?

Cole tylko pokręcił głową.

— Wobec tego klamka zapadła — dodał Larssen. — Zawrócimy i wynosimy się stąd.

— A co z Hazenem? — spytał Cole. — I z Weeksem?

— Szeryf Hazen i funkcjonariusz Weeks to wyszkoleni policjanci, którzy potrafią o siebie zadbać.

Dwaj gliniarze stanowi tylko na niego patrzyli.

— Czy jesteśmy co do tego zgodni? — spytał Larssen, podnosząc głos. Cholerni idioci.

— Ja tak — rzekł Brast z wyraźną ulgą.

— Cole?

— Nie podoba mi się, że kogoś tu zostawiamy — burknął Cole.

„Prawdziwy bohater” — pomyślał Larssen.

— Sierzancie Cole, dalsze błądzenie w tych tunelach nie ma sensu — powiedział na głos. — Możemy wezwać posiłki. Tamci mogą być właściwie gdziekolwiek. Nie zdziwiłbym się, gdyby okazało się, że już dawno stąd się ulotnili.

Cole oblizwał wargi.

— No dobrze — odparł.

— W takim razie chodźmy.

Zawrócili i przez pięć minut błądzili, usiłując odnaleźć wapienny las, gdy nagle przy nieznanym im dotąd rozwidleniu dróg Larssen usłyszał niepokojący dźwięk. Pozostali także musieli go usłyszeć, gdyż podobnie jak on odwrócili się. Dźwięk był słaby, lecz rozpoznali go od razu, to był tupot biegnących stóp, odgłosy przybliżały się, ktoś zmierzał w ich stronę. Ale to nie mógł być człowiek, kroki sugerowały coś ciężkiego i bardzo szybkiego. To było coś ogromnego.

— Broń! — krzyknął Larssen, przyklękając na jedno kolano i unosząc strzelbę szturmową do ramienia. Wycelował broń w głąb bocznego tunelu. Odgłosy wciąż się zbliżały, towarzyszył im teraz metaliczny brzęk. W chwilę potem z ciemności wyłonił się jakiś olbrzymi, czerwony kształt. Cokolwiek to było, było wielkie.

— Cel!

Stwór runął na nich z zatrważającą szybkością. Przemknął przez płytką kałużę, rozbryzgując dokoła strugi wody.

— Zaczekajcie! — rzucił nagle Larssen. — Wstrzymać ogień! To był jeden z psów.

Zwierzę biegło w ich stronę, ale nie zdawało sobie w ogóle sprawy z ich obecności, dziko łypiące ślepią wpatrywały się gdzieś w dal. Jedynymi odgłosami wydawanymi przez psa był ciężki tupot łap uderzających o kamienne podłoże. Gdy przemknął obok nich, Larssen zauważył, że pies był cały we krwi, miał oderwane jedno ucho, stracił także sporą część zuchwy. Wielkie, czarne wargi i język zwieszały się luźno, ociekając pianą i krwią.

W chwilę potem zwierzę zniknęło, odgłosy jego panicznej ucieczki niebawem ucichły zupełnie. W tunelu ponownie zapanowała głucha cisza.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że Larssen przez chwilę wątpił, czy wszystko nie było jedynie dziełem jego wyobraźni.

— Co, u diabła? — wycedził Brast — Widzieliście...? Larssen chciał przełknąć ślinę, ale miał sucho w ustach.

— Chyba musiał się gdzieś poślizgnąć i spaść.

— Gówno prawda — uciął Cole, nienaturalnie donośnym w tym wąskim korytarzu głosem. — Przy upadku nie straciłby połowy dolnej szczęki. Ktoś musiał go zaatakować.

— Ktoś lub coś — dodał Brast.

— Na miłość boską, Brast — rzekł Larssen. — Pokaż, że masz choć trochę ikry.

— Czemu tak uciekał? Ten pies był śmiertelnie przerażony.

— Wynośmy się stąd — rzucił Larssen.

— Jestem za.

Zawrócili, Larssen utkwiał wzrok w pozostawionych przez psa wilgotnych śladach. Mogli ufać zwierzęciu. Doprowadzi ich do wyjścia. To powinno ułatwić sprawę.

W ciszy, jaka nastąpiła, rozległ się głos Brasta.

— Chyba coś słyszałem. Znow przystanęli.

— Coś przeszło przez tamtą kałużę.

— Nie zaczynaj znowu, Brast.

I wtedy Larssen także to usłyszał, cichy plusk rozbryzgiwanej wody, ktoś brnął przez kałużę, szedł wolno, noga za nogą.

Spojrzał w głąb tunelu za nimi, w podczerwieni ściany miały różowawy odcień. Nie dostrzegł niczego.

— To pewnie tylko cieknąca woda. — Wzruszył ramionami i

pomaszerował dalej po śladach zostawionych przez psa.

— Moooeeee!

Brast krzyknął i w tej samej chwili Larssen poczuł nagłe brutalne pchnięcie w plecy, po którym runął jak długi na ziemię, gubiąc podczerwienne gogle. Brast wciąż krzyczał, a Cole wrzasnął przeraźliwie. Larssen był ślepy jak kret. W przypiływie desperacji jął czołgać się na czworakach, macając dłońmi przed sobą i aż odetchnął z ulgą, gdy jego palce napotkały znajomy kształt gogli. Nałożył je niezdarnie i rozejrzał się wokoło.

Cole leżał na ziemi, wrzeszcząc i trzymając się za ramię. Brast pełzał na czworakach pod przeciwległą ścianą, poszukując noktowizora, podobnie jak Larssen przed chwilą i na przemian to sapał, to kłął na czym świat stoi.

— Moja ręka! — ryknął Cole. Z jego ramienia pod dziwacznym kątem wystawał ostry koniec złamanej kości, z rany buchała krew, prawie biała w podczerwiennej poświacie gogli.

Larssen oderwał wzrok od rannego policjanta i rozejrzał się dziko dokoła, wypatrując tego, co ich zaatakowało. Strzelbę trzymał gotową do strzału, jednak nie dostrzegł niczego — jak okiem sięgnąć widać było jedynie posępną, sztuczną poświatę ścian jaskini.

Z ciemności nieopodal dobiegł niespodziewanie pojedynczy dźwięk, przywodzący na myśl triumfalny okrzyk lub może śmiech. Larssen zacisnął dłonie na kolbie szturmowej strzelby. Nie potrafił określić, skąd konkretnie napłynął ten niepokojący zew.

Był pewien jednego — dochodził z bardzo bliska.

SZEŚĆDZIESIĄT SZEŚĆ

Kapral Shurte z drogówki z Kansas zacisnął palec wskazujący na spuście strzelby i zakołysał się na palcach stóp w tył i w przód. Spojrzał na zegarek — wpół do dwunastej. Hazena i pozostałych nie było już od godziny. Ile potrzebowali czasu, aby namierzyć McFelty'ego, dopaść go, zakuć w kajdanki i wywlec na zewnątrz? To było wkurzające, tak stać na czatach, nie mając żadnego kontaktu z pozostałymi. Po części winę za to ponosiła rzecz jasna pogoda. Mieszkał w tej części Kansas przez całe życie, ale nie pamiętał burzy tak potężnej jak ta. Zwykle w tych rejonach nawałnice kończyły się równie szybko i niespodziewanie, jak się pojawiały. Ta wszelako trwała od dobrych paru godzin i wszystko wskazywało na to, że jeszcze nie powiedziała ostatniego słowa. Niesamowity porywisty wiatr, potworna ulewa i błyskawice rozcinające

niebo. Zanim siadła łączność radiowa, odebrano kilka raportów o tornadzie — F3, sunącym w stronę Deeper, rzekomo miało się tu rozpętać prawdziwe piekło, autostrady były zablokowane.

I jeszcze te kłopoty z zasilaniem, zwykle jeśli już padała sieć, to tylko jeden, góra dwa jej odcinki. Tej nocy jednak wydawało się, jakby jakaś olbrzymia łapa wykręcała korki kolejnym napotykanym na swej drodze miasteczkom. Po Medicine Creek przyszła kolej na Hickok, DePew, Ulysses, Johnston City, Lakin, a w końcu na Deeper, po czym radiostacja Shurte'a w końcu zamilkła z braku łączności z którymkolwiek ze sprawnych przekaźników. Shurte pochodził z Garden City i cieszył się, że kataklizm dotknął innej niż jego rodzime strony części hrabstwa. Mimo to martwił się o żonę i dzieci. W taką noc jak ta nikt nie powinien przebywać poza domem.

Zaopatrzona w osłonę propanowa lampa rzucała słabą poświatę w głąb wylotu jaskini, gdzie ją ustawiono. Williams, stojący po drugiej stronie wejścia, skulony na deszczu, wyglądał jak zombi — w ciemnościach nie było widać jego oczu, a jedynie dwie czarne, ziejące plamy. O tym, że był człowiekiem, mógł świadczyć żarzący się koniuszek papierosa tkwiącego w kąciku jego ust.

Kolejna błyskawica rozcięła niebo nieomal od horyzontu po horyzont. W strugach siekącego deszczu blask rozświetlił przez chwilę widoczną z tyłu, za jaskinią, rezydencję Krausów, samotną, opuszczoną i posępną.

Shurte spojrział na Williamsa.

— Jak długo będziemy tu jeszcze sterczeć? Przemokłem do suchej nitki.

Williams upuścił peta, zdusił go pod butem i wzruszył ramionami.

Znowu błysnęło. Shurte spojrział na ciemny wylot tunelu. Może namierzyli tego łajdaka i osaczyli, a teraz usiłowali zmusić go, aby wyszedł ze swej kryjówki...

Wtem od wylotu jaskini pośród ryku wichury dobiegł ciężki odgłos biegnących stóp.

Shurte postąpił krok naprzód, unosząc strzelbę.

— Słyszysz to? — spytał ostro.

Niespodziewanie z korytarza wyłoniła się ciemna postać, gnająca na łeb na szyję w ich stronę. Był to wielki pies, pędzący jak szalony, ciągnący się za nim łańcuch chłostał powietrze niczym pejcz, łapy ciężko uderzały o ziemię.

— William! — krzyknął Shurte.

Zwierzę wybiegło z jaskini na otwartą przestrzeń. W tej samej chwili niebo rozciął zygzak kolejnej błyskawic, po czym rozległ się ogłuszający, dudniący grzmot. Pies przystanął zdezorientowany, zaczął kręcić się w kółko, szczerząc kły i dziko tocząc ślepiami. W błysku pioruna Shurte spostrzegł, że były one jasnoczerwone, wilgotne i błyszczące.

— Niech to szlag — zaklął.

Pies ruszył niepewnie w stronę światła latarni, wciąż dygotał jak osika, ale nie wydawał z siebie żadnych dźwięków.

— Ożeż ty... — mruknął Williams. — Widziałeś jego pysk? Chyba zarobił postrzał z bliska.

Pies zachwiał się, poniżej jego łba zaczęła formować się kałuża posoki, zaraz jednak zebrał się w sobie i wyprężył, choć jego masywne łapy nadal przeszywało niekontrolowane drżenie.

— Złap go — rzekł Shurte. — Chwyć za łańcuch. Williams schylił się i

powoli podniósł koniec łańcucha. Pies

po prostu stał, dygocząc z bólu i przerażenia.

— Spokojnie, psinko. Tak. Już dobrze. Grzeczny piesek. Williams zaczął wolno przesuwać smycz w stronę jedyne

miejsca, o które mógł ją zahaczyć — wystającej górnej części zawiasu przy drzwiach wiodących do jaskini. Nagle pies, który poczuł delikatne szarpnięcie za szyję, obrócił się jak fryga i rzucił się na Williamsa.

Mężczyzna upadł, skowycząc jak zwierzę, i wypuścił smycz z ręki. Chwilę potem psa już nie było, czarny kształt zniknął między łanami kukurydzy.

— Ten skurwiel mnie ugryzł! — krzyknął Williams, zaciskając dłoń na zranionej nodze.

Shurte podbiegł i omiótł leżącego na ziemi policjanta promieniem latarki. Spodnie stróża prawa były rozdarte, z rany na udzie sączyła się krew.

— Jezu, Williams — rzekł Shurte, kręcąc głową. — I pomyśleć, że dziabnął cię, pomimo iż miał tylko połowę szczęki.

SZEŚĆDZIESIĄT SIEDEM

Larssen nachylił się nad Cole'em, który siedział na ziemi, kołysząc się w przód i w tył oraz pochlipując cichutko. To było paskudne złamanie, tuż ponad łokciem wystawał ostry, postrzępiony kawałek kości.

— Nic nie widzę! — rozległ się z tyłu za nim głos Brasta. — Nic nie widzę!

— Wyluzuj — odparł Larssen. Rozejrzał się wokoło, mając na oczach gogle, przepatrywał grunt w świetle podczerwiennej lampy. Pozostali zgubili swoje noktowizory podczas ataku. Dostrzegł jeden z nich leżący w kałuży wody, jedno ze szkieł było stłuczone. Drugiego noktowizora nigdzie nie było widać. Czy tylko on cokolwiek jeszcze widział? Chyba tak.

— Pomóż mi znaleźć moje gogle! — zawołał Brast.

— Są uszkodzone.

— Nie, nie!

— Brast! Cole jest ranny. Weź się w garść.

Larssen zdjął koszulę i podarł ją na pasy, starając się nie zważać na wilgoć i chłód panujące w jaskini. Rozejrzał się dokoła, szukając czegoś, co mógłby wykorzystać jako łąbki, ale nie zauważył nic użytecznego. W tej sytuacji najlepiej będzie przywiązać ramię Cole'a do torsu, nic innego

nie można było zrobić. Musieli jak najszybciej wydostać się stąd. To było najważniejsze. Larssen nie bał się zbytnio, nigdy nie należał do bojaźliwych, niemniej jednak zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Ktokolwiek ich zaatakował, musiał doskonale znać te jaskinie. Ten ktoś przebywał tu od bardzo dawna. Znał wszystkie zakamarki i był piekielnie szybki. Mężczyzna widział jego sylwetkę, potężną, zwalistą, zgarbioną po latach przemieszczania się w nisko sklepionych tunelach...

Hazen miał tylko połowiczną rację. Zabójca faktycznie ukrywał się w jaskiniach, lecz nie był to McFelty ani żaden inny zausznik Lavendera. Ta sprawa była o wiele bardziej tajemnicza i złożona.

Skupił się na bardziej palącym problemie.

— Cole? — rzucił.

— Tak? — Głos Cole'a był słaby, Larssen zauważył, że mężczyzna obficie się pocił. Szok.

— Nie mam z czego zrobić łubków, więc będę musiał unieruchomić twoje ramię, przywiązując je do tułowia.

Cole kiwnął głową.

— Będzie bolało. Cole znów skinął głową.

Larssen związał dwa pasy materiału w pętle, przełożył je przez głowę Cole'a jak temblak, po czym, najdelikatniej jak potrafił, wsunął w nie rękę Cole'a. Ten skrzywił się, krzyknął.

— Co to było? — zawołał z paniką w głosie Brast. — Czy on wrócił?

— To nic takiego. Zachowaj spokój, bądź cicho i rób, co ci każę.

Larssen starał się nadać swemu głosowi uspokajający ton. Niemal żałował, że nie ma tu z nim Hazena. Szeryf mógł być dupkiem, ale nikt nigdy nie zarzuciłby mu tchórzostwa. Oderwał jeszcze kilka pasów

materiału ze swojej koszuli i obwiązał nimi klatkę piersiową Cole'a, unieruchamiając w ten sposób złamaną rękę. Strzaskane kości zgrzytnęły jedna o drugą. Cole skrzywił się. Bardzo się pocił i miał dreszcze.

— Możesz wstać?

Cole pokiwał głową, wstał, zachwiał się. Larssen podtrzymał go.

— Możesz iść?

— Chyba tak — wychrypiał.

— Nie odejdziecie stąd, prawda? — zawołał Brast, usiłując odnaleźć Larssena w ciemnościach.

— Idziemy wszyscy.

— A co z moimi goglami?

— Mówiłem już, są uszkodzone.

— Chcę je zobaczyć.

Larssen, sycząc z irytacji, podniósł je z wody i podał Brastowi.

Mężczyzna schwycił je rozpaczliwie, spróbował nałożyć. Strzeliły iskry, coś zasyczało. Cisnął je precz.

— Jezus Maria, jak my się stąd teraz... — zawołał wysokim, przepelnionym paniką głosem.

Larssen schwycił Brasta za koszulę pod szyją i szarpnął brutalnie.

— Brast?

— Widziałeś to? Czy to widziałeś?

— Nie. I ty też nie. A teraz stul dziób i rób, co mówię. Odwróć się, muszę dostać się do twojego plecaka. Skorzystamy z twojej liny. Obwiążę się nią w pasie, a drugi koniec podam tobie i Cole'owi. Będziesz trzymać linę w jednej ręce, a drugą podtrzymywać Cole'a. Czy to jasne?

— Tak, ale...

Larssen silnie potrząsnął Brastem.

— Powiedziałem ci, stul dziób i rób, co mówię! Brast zamilkł.

Larssen sięgnął do plecaka, znalazł linę i przewiązał się nią w pasie. Zostało jeszcze około trzech metrów sznura. Larssen dopilnował, aby Brast i Cole mocno schwycili linę.

— Teraz się stąd wydostaniemy. Niech lina będzie przez cały czas naprężona, nie upuście jej i na miłość boską, bądźcie cicho.

Powoli zawrócił w głąb długiego, mrocznego korytarza. Jego ramiona drżały, ale nie miało to nic wspólnego z panującym w jaskiniach chłodem. Rozpaczliwe słowa Brasta: „Czy to widziałeś?” rozbrzmiewały pod jego czaszką, pomimo iż starał się je w sobie zagłuszyć. Prawdę mówiąc, Larssen zdołał to zobaczyć, widział to coś tylko przez mgnienie oka, ale w zupełności mu wystarczyło...

„Nie myśl o tym. Teraz najważniejsze to wydostać się stąd” — upominał siebie w duchu.

Z tyłu, za nim, Cole i Brast — obaj ślepi jak krety — szli, powłócząc nogami i potykając się. Od czasu do czasu Larssen ostrzegał ich przed leżącymi na ziemi przeszkodami lub pomagał policjantom ominąć widniejącą w podłożu rozpadlinę. Szli powoli, upłynęło dobre kilka minut, zanim dotarli do kolejnego rozgałęzienia tunelu.

Larssen przyjrzał się rozwidleniu dróg, zauważył, w jakim kierunku zmierzały ślady krwawych łap. Ruszyli dalej, teraz nieco szybciej. Podłoże było tu pofałdowane, pełne płytkich kałuż, plusk wody pod ich stopami rozchodził się echem w głąb jaskiń. Ślady były rzadsze i pojawiały się w większych odstępach. Gdyby tylko zdołali znaleźć powrotną drogę do wielkiej jaskini z wapiennymi kolumnami, wszystko będzie w porządku;

Larssen był pewien, że stamtąd uda mu się trafić do wyjścia.

— Czy aby na pewno przyszliśmy właśnie tędy? — spytał Brast wysokim, pełnym napięcia głosem.

— Tak — odrzekł Larssen.

— Co, u licha, nas zaatakowało? Widziałeś to? Czy...? Larssen cofnął się, ominął Cole'a i z całej siły wyrznął Brasta na odlew w twarz.

— Widziałem to! Widziałem! Widziałem! — darł się nadal Brast.

Larssen nie odpowiedział. Jeśli Brast wkrótce się nie zamknie, on sam, Larssen, wyprawi go na tamten świat.

— To nie był człowiek. Raczej jakiś neandertalczyk. I ta jego twarz... jak... o Boże... jak wielki...

— Powiedziałem, zamknij się.

— Nie zamknę się. Musisz to usłyszeć. Mamy do czynienia z czymś nienaturalnym... nadnaturalnym...

— Brast? — wycedził przez zęby Cole.

— Co?

Cole zdrową ręką skierował swoją strzelbę w głąb ciemnego tunelu i pociągnął za spust. Rozległ się ogłuszający huk. Kaskady drobnych kamyczków naruszonych przez vibracje posypały się na ich ramiona, podczas gdy echo wystrzału jeszcze przez długą chwilę odbijało się w labiryncie tuneli.

— Chryste Panie, po co to zrobiłeś? — wrzasnął przeraźliwie Brast.

Cole schwycił linę i odczekał, aż ucichnie echo po wystrzale. Wówczas odezwał się krótko.

— Jeśli się nie zamkniesz, Brast, następny pocisk będzie dla ciebie.

Zapadła cisza.

— Chodźcie — rzucił Larssen. — Marnujemy czas.

Ruszyli dalej, zatrzymując się na krótko przy kolejnym rozwidleniu dróg. Ślady okrwawionych psich łap prowadziły w prawo i tą drogą dotarli do kolejnego, nisko sklepionego przejścia. W kilka minut później tunel doprowadził ich do rozległej jaskini ozdobionej z dwóch stron formacjami wapiennymi i wypełnionej masywnymi kolumnami.

Larssen odetchnął z ulgą. Znaleźli ją. Cole potknął się, stęknął, po czym omal nie upadł w sam środek płytkiej kałuży.

— Nie zatrzymuj się — rzekł Larssen, ujmując go za zdrową rękę i pomagając wstać. — Wiem już, gdzie jesteśmy. Musimy iść dalej, dopóki się stąd nie wydostaniemy.

Cole skinął głową, zakasłał, postąpił krok naprzód, zachwiał się, ale zaraz zrobił kolejny. „Jest w silnym szoku” — pomyślał Larssen. Musieli wydostać się stąd, zanim jego stan jeszcze bardziej się pogorszy.

Ruszyli przez wielką, przypominającą las jaskinię. Kilka tuneli widniejących na przeciwległym jej końcu wyglądało w różowawej poświacie gogli noktowizyjnych jak szeroko rozwarte usta. Larssen nie przypominał sobie, aby widział aż tyle korytarzy. Wypatrywał śladów psich łap, ale płynący środkiem jaskini płytki strumień musiał zmyć je wszystkie.

— Zaczekajcie — rzucił stanowczym tonem. — Cisza. Zatrzymali się. Z tyłu, za nimi rozległ się dziwny, głośny plusk,

którego nie można było wytłumaczyć głośnym, rozlegającym się wewnątrz jaskini echem. W chwilę potem dźwięki ucichły.

— Jest za nami! — zawołał Brast.

Larssen zaciągnął ich za jedną z wielkich, grubych kolumn,

przeładował strzelbę, po czym poprawiwszy gogle, rozejrzał się wokoło. Jaskinia była pusta. Czyżby to jednak było echo?

Odwróciwszy się, ujrzał Cole'a półprzytomnego, opierającego się ciężko o wapienny filar. Mężczyzna zaczął osuwać się na ziemię.

— Cole! — Silnym szarpnięciem postawił go na nogi. Cole zakasłał, zachwiał się. Larssen natychmiast położył mu dłoń na karku i zmusił mężczyznę, aby pochylił głowę.

Cole zwymiotował.

Brast milczał, jego ciałem targały dreszcze, w oczach malował się strach, gdy rozpaczliwie usiłował przeniknąć wzrokiem ciemność.

Larssen schylił się, nabrał w złożone ręce trochę wody i opryskał nią twarz Cole'a.

— Cole? Hej, Cole!

Mężczyzna przechylił się w bok, oczy wywróciły mu się w oczodołach. Zemdlał.

— Cole! — Larssen raz jeszcze spryskał mu twarz wodą i wymierzył kilka lekkich policzków.

Omdlały zakasłał i znów zwymiotował.

— Cole! — Larssen starał się podźwignąć go na nogi, ale tamten był bezwładny i ciężki jak worek cementu. — Brast, pomóż mi, do cholery!

— Jak? Nic nie widzę!

— Przesuwaj się wzdłuż sznura. Znasz uchwyt strażacki?

— Tak, ale...

— Zrób to.

— Nic nie widzę, a poza tym nie mamy czasu. Zostawmy go tutaj i sprowadźmy pomoc...

— Raczej ciebie tu zostawię — warknął Larssen. — Jak ci się to podoba? — Odnalazł dłonie Brasta i złożył je w siodełko. Następnie obaj schwycili się, opasali ramionami wiotkie ciało Cole'a i ponownie spróbowali go podnieść.

— Chryste, on waży chyba tonę — poskarżył się Brast, sapiąc jak lokomotywa.

W tej samej chwili Larssen usłyszał wyraźny plusk, jeden, potem drugi, ciężkie kroki w płytkich kałużach wody, które pokonali zaledwie kilka minut temu.

— Mówię ci, tam, za nami coś jest — wychrypiał Brast, wyęzając siły i próbując podźwignąć Cole'a z ziemi. — Słyszałeś to?

— Ruszaj się.

Cole osunął się ciężko do tyłu, lada chwila mógł wyslizgnąć się im z rąk. Poprawili uchwyt i wolno, z mozołem zaczęli posuwać się naprzód.

Z tyłu wciąż słyhać było głośny plusk rozchlapywanej wody.

Larssen obejrzał się przez ramię, ale dostrzegł jedynie rozmazane różowoczerwone smugi. Skierował wzrok na wprost, wybrał wąskie przejście w przeciwległej ścianie, które — jak uznał — mogło być tym właściwym i ruszył noga za nogą w tamtą stronę. Gdyby zdołali zająć dogodną pozycję do obrony, zapewne byłby w stanie odeprzeć atak tego potwora; bądź co bądź, miał przecież strzelbę.

— Boże — jęknął łamiącym się głosem Brast. — O Boże, o Boże...

Najszybciej jak tylko mogli, wślizgnęli się do wąskiego przejścia, dźwigając pomiędzy sobą Cole'a. Larssen zachwiał się, gdy sznur zahaczył o jego kostki; wyprostował się i ruszył dalej. Niebawem sklepienie nad nimi zaczęło wypiętrzać się w górę ku dziwnej formacji tysięcy

przypominających igły stalaktytów, niektóre z nich były cienkie jak włosy.

„Boże, nie pamiętam niczego takiego” — pomyślał Larssen.

Znów głośny plusk, rozlegający się z tyłu, za nimi.

Nagle Brast potknął się o kamień. Cole wysunął się z ich uchwytu i upadł ciężko na złamaną rękę. Jęknął głośno, przetoczył się na drugi bok i znieruchomiał.

Larssen puścił go, uniósł strzelbę i wymierzył ją w ciemność.

— Co się stało? — zawołał Brast. — Co tam jest?

W tej samej chwili z mroku wyprysnął gigantyczny, potworny kształt. Larssen krzyknął i wypalił, odskakując w tył, podczas gdy Brast stał jak wryty, sparaliżowany strachem, gorączkowo wymachując rękoma na prawo i lewo.

— Jezu, nie zostawiaj mnie...!

Larssen schwycił go za rękę i przyciągnął do siebie. Właśnie wtedy olbrzymi, blady kształt dopadł leżącego bezwładnie na ziemi Cole'a. Dwie postacie w świetle podczerwiennych gogli zlały się w jedną wielką czerwoną plamę. Larssen znów zaczął się cofać, ciągnąc za sobą Brasta i równocześnie mocując się ze strzelbą. Usłyszał wilgotny chrzęst, jakby ktoś odrywał udko z indyka. Cole wrzasnął przeraźliwym, rozdzierającym falsetem.

— Pomóż mi! — krzyknął Brast, chwytając się Larssena niczym tonący, spychając go do tyłu i uniemożliwiając celowanie. Larssen brutalnie odepchnął go na bok, próbując unieść strzelbę do strzału, lecz Brast znów przywarł do niego, szlochając i opasując go z całej siły ramionami.

Strzelba zagrzmiała, ale strzał chybił celu, długie, wapienne igły

posypały się z hukiem na kamienne podłoże i właśnie wtedy olbrzymia postać, podźwignąwszy się z ziemi, spojrzała na nich. Larssen zamarł z przerażenia; stwór trzymał w jednym łapsku oderwaną rękę Cole'a, palce wciąż jeszcze drżały spazmatycznie.

Larssen strzelił raz jeszcze, jednak zbyt długo się wahał i postać sunęła już w ich stronę. Teraz mógł jedynie odwrócić się na pięcie i pobiec co sił w nogach w głąb wilgotnego, ciemnego tunelu z Brastem trzymającym się go kurczowo i mamroczącym coś bez ładu i składu.

W oddali, za nimi, Cole wciąż jeszcze był przeraźliwie. Larssen gnał dalej. Miał wrażenie, że ten bieg nigdy się nie skończy.

SZEŚĆDZIESIĄT OSIEM

Corrie przez dłuższy czas leżała w ciemnościach, zdezorientowana i oszołomiona, zastanawiając się, gdzie się znajduje, co się stało z jej pokojem, łóżkiem i oknem. A w końcu usiadła, poczuła tępe pulsowanie pod czaszką i wraz z bólem powróciło wspomnienie jaskini, potwora... i jamy.

Wyteżyła słuch. Wokoło panowała cisza, jeśli nie liczyć odgłosu kapiących kropeł. Corrie wstała, zachwiała się lekko, lecz pulsowanie w jej głowie zelżało. Wyciągnęła ręce przed siebie, dłonie napotkały śliską, gładką ścianę dołu.

Zatoczyła krąg, przesuwając dłońmi po mokrej ścianie w poszukiwaniu szczelin lub występów, czegoś, co mogłoby jej pomóc wydostać się stąd. Ściany jednak, wygładzone przez wodę, stały się śliskie jak lód, o wspinaczce nie było mowy. Poza tym, co by zrobiła, nawet gdyby wyszła? Bez światła, tak czy owak, nie miała szans, aby wydostać się z tej pułapki.

Znalazła się w fatalnym położeniu. Nie było wyjścia. Mogła jedynie czekać. Czekać, aż potwór wróci po nią.

Corrie czuła ogarniające ją uczucie obezwładniającej bezradności i rozpacz, tak silne, że nieomal zbierało się jej na mdłości. Przygnębienie było tym silniejsze, że zdusiło w zarodku nadzieję zrodzoną przez niedawną próbę ucieczki. Tu wszelako, w tym dole, dziewczyna utraciła resztki nadziei. Nikt nie wiedział, gdzie się znajdowała, nie powiedziała nikomu, że wybiera się do jaskini. A ten stwór w końcu powróci. I będzie chciał się z nią pobawić.

Na tę myśl aż zaszlochała w głos.

To będzie kres jej żalosego, nic niewartego życia.

Corrie oparła się o śliską ścianę i osunęła na ziemię. Zaczęła płakać. Dała tym samym upust nagromadzonym w niej przez lata żalom i cierpieniom. W umyśle pojawiały się obrazy zmieniające się jak w kalejdoskopie. Przypomniała sobie, jak będąc w piątej klasie, wróciwszy któregoś dnia do domu, zastała matkę siedzącą przy stole w kuchni i opróżniającą jedną po drugiej miniaturowe butelki wódki; zastanawiała się wówczas, dlaczego tak bardzo je lubiła. Przypomniała sobie, jak dwa lata później matka wróciła w Wigilię o drugiej nad ranem z jakimś mężczyzną. Nie było prezentów, wiszących skarpet, niczego, co mogłoby świadczyć, że są święta. Matka wstała tego dnia późno, skacowana jak zwykle. Corrie

przypomniła sobie, z jaką satysfakcją nabyła gremlina za pieniądze zarobione w Książkowym Kąciku, zanim nieszczęsny sklepik nie wyzionął ducha, i jak zła była na nią matka, kiedy Corrie wróciła do domu za kółkiem własnego auta. Pomyślała o szeryfie, jego synu, zapachu licealnych korytarzy i zimowych zawieruchach, które zaścięły ścierniska grubą warstwą śnieżnego puchu. Rozmyślała o czytaniu książek w długie letnie wieczory i o kąśliwych komentarzach szkolnych prześmiewców, dla których takie zachowanie było zdecydowanie passe.

Stwór wróci i zabije ją, a wtedy wszystkie te wspomnienia przepadną na zawsze. Nikt nigdy nie znajdzie jej ciała. Będą szukać Corrie, to oczywiste, ale bez większego przekonania i już wkrótce wszyscy o niej zapomną. Matka zrobi kipisz w jej pokoju i w końcu znajdzie pieniądze, ukryte pod szufladami w jej biurku, a wtedy będzie szczęśliwa. Będzie szczęśliwa, że cały ten szmal należy wreszcie do niej.

Dziewczyna nie próbowała powstrzymać łez, echo gwałtownego łkania rozbrzmiewało ponad jej głową, odbite od gładkich, wilgotnych, kamiennych ścian.

Powróciła teraz wspomnieniami do okresu wczesnego dzieciństwa. Przypomniła sobie, jak pewnego niedzielnego poranka wstała wcześnie i wraz z ojcem zrobiła naleśniki, krzątając się i śpiewając niczym żołnierz z Czarnoksiężnika z krainy Oz. Wszystkie wspomnienia dotyczące jego osoby były szczęśliwe — pamiętała go roześmianego, zadowolonego, przekomarzającego się z nią nad strumieniem. Pamiętała, jak mył swego mustanga, jak go czyścił i polerował, z papierosem w ustach i błyszczącymi, niebieskimi oczami, jak brał córkę na ręce, by mogła przejrzeć się w lśniącej karoserii, a następnie wybierali się na wspólną

przejażdżkę. Pamiętała to, jakby owe zdarzenia miały miejsce wczoraj — jak mknęli pośród łąnów kukurydzy, przepelnieni radością, szczęściem i poczuciem wolności.

A teraz, w ciszy i absolutnej czerni jamy, poczuła, że ochronne mury, które wznosiła przez lata wokół siebie, zaczynają pękać i walić się jeden po drugim. W tej niezwykłej chwili jedyne pytanie, jakie się jej nieodparcie nasuwało, brzmiało: „Dlaczego odszedł?” Dlaczego nigdy więcej jej nie odwiedził? Co było z nią nie tak, że nie miał już ochoty jej widzieć?

Ciemność nie pozwoliła jej nasycić się fałszywymi, złudnymi odpowiedziami. Pojawiło się w niej jeszcze jedno, skądinąd nie tak odległe wspomnienie — jak wróciła do domu i zastała matkę palącą jakiś list w popielniczce. Czy to był list od niego? Dlaczego nie spytała wtedy o to matki? Czyżby obawiała się, że treść listu mogłaby nie spełnić jej oczekiwań?

To ostatnie pytanie zawisło pośród czerni jak gradowa chmura, pozostawione bez odpowiedzi. I nie było mowy, aby poznała tę odpowiedź, a w każdym razie nie teraz. Zresztą i tak już wkrótce będzie po wszystkim, życie Corrie skończy się tu, w tej jamie, a to dręczące pytanie pozostanie dla niej wieczną zagadką. Może ojciec nigdy nie dowie się, że umarła...

Pomyślała o Pendergaście, jedynym człowieku, który kiedykolwiek traktował ją jak dorosłą. Jego również zawiodła. Tak głupio postąpiła, wchodząc do jaskiń, nie powiadamiając o tym nikogo. Zachowała się jak idiotka. Skończona idiotka. I zapłaci życiem za swój głupi błąd...

Znów wybuchnęła płaczem, tym razem głośniejszym, dając upust trawiącym

ją żalom i bólowi, który ją przepelniał. Dźwięk ten jednak powrócił odbity echem tak zniekształconym, posepnym i złowrogim, że zdusiła w sobie szloch, wzięła się w garść, zamilkła i po chwili się uspokoiła.

— Przystań uzalać się nad sobą — powiedziała na głos. Echo jej głosu przetoczyło się nad jej głową i przebrzmiało.

Corrie odetchnęła głęboko. W ciemnościach słyhać było odległy szept.

Czyżby to on wracał?

Nasłuchiwała z przejęciem. Wychwyciła kolejne, ciche dźwięki, tak dalekie i zniekształcone, że nie zdołała ich rozróżnić.

Głosy? Krzyki? Wrzaski? Raz jeszcze wyteżyła słuch.

I wtedy dobiegł ją długi, przeciągły huk, przypominający rozdzierający odgłos fal przyboju.

Dźwięk wystrzału.

W jednej chwili poderwała się na nogi.

— Jestem tutaj! — wołała. — Pomocy! Tu jestem! Ratunku! Proszę, pomóżcie mi! Błagam! Błagam! Błagam!

SZEŚĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

Weeks robił, co mógł, by dotrzymać kroku Pendergastowi, podczas gdy agent szedł różnym krokiem przez jaskinię. Widząc, jak federalny omiata promieniem latarki kamienne ściany, Weeks zastanawiał się, czy mógł cokolwiek przeoczyć. Zapewne nie. To trochę dodało mu otuchy.

Pewność siebie emanująca z agenta pomogła odzyskać spokój ducha i ukoić stargane nerwy Weeksa. Poczul, że powraca doń odrobina dawnej buty i zuchwałości. Jednak wciąż nie był w stanie zapomnieć widoku psa rozdieranego na strzępy przez... przez to...

Przystanął.

— Co to było? — zapytał łamiącym się głosem. Pendergast odezwał się, nie odwracając głowy.

— Funkcjonariuszu Weeks? Miał pan iść za mną.

— Ale... chyba coś usłyszałem...

Pendergast położył na jego ramieniu szczupłą, białą doń. Weeks chciał powiedzieć coś więcej, ale nabrał wody w usta, gdy nacisk na ramię stał się nagle mocniejszy.

— Tędy. — Głos agenta brzmiał cicho, ale coś w jego tonie sprawiło, że w żyłach Weeksa zaczęła zastygać krew.

— Tak jest.

Ruszyli dalej i chwilę później ten dźwięk znów się powtórzył. Odgłos rozlegał się gdzieś z przodu, przeciągły, zwielokrotniony echem i odbity wśród niezliczonych jaskiń, wydawał się niemożliwy do rozpoznania. Krzyk? Huk wystrzału? Weeks był pewien jednego — niezależnie, co wywołało ów dźwięk, Pendergast bez wątpienia skieruje się do jego źródła.

Bez słowa protestu podążył za agentem.

Przeszli przez labirynt wąskich korytarzy, których niskie sklepienia pokryte były warstwą roziskrzonych kryształów. Weeks zahaczył głową o ostre jak igła kryształy, zaklął i schylił się, to nie była ta sama droga, którą pokonał z psami. Promień latarki Pendergasta przesuwiał się z boku na bok, ukazując złogi jaskiniowych pereł, zalegające w kredowych sadzawkach. Dźwięki w końcu ucichły; teraz słyszeli jedynie cichy plusk ich własnych kroków.

Nagle Pendergast przystanął, kierując światło latarki na coś, co znajdowało się pod ścianą. Weeks spojrział w tamtą stronę. W pierwszej chwili nie był w stanie rozpoznać, co właściwie ma przed sobą. Było to skupisko jakichś przedmiotów ułożonych na płaskim, szerokim kamieniu, zebranych wokół bliżej nieokreślonego centralnego obiektu. Wyglądało jak prymitywna kapliczka. Weeks nachylił się w tę stronę. Zaraz potem jego oczy rozszerzyły się i cofnął się o dwa kroki, wstrząśnięty. To był stary, pluszowy miś, spleśniały ze starości. Miś został ustawiony tak, jakby się modlił, łapki wyciągnięte do przodu, jedno czarne oczko wyzierało spod warstwy szarej pleśni.

— Co, u licha... — mruknął Weeks.

Pendergast skierował latarkę na to, do czego modlił się miś. W żółtym

światle latarki przypominało to okazałą warstwę jedwabistej pleśni. Weeks patrzył, jak Pendergast nachyla się i złotym piórem ostrożnie rozgarniał strzępy grzybów, odsłaniając znajdujący się pod nimi maleńki szkielet.

— Rana amaratis — rzekł Pendergast.

— Co takiego?

— Rzadki gatunek ślepej żaby jaskiniowej. Może pan zauważyć, że kości zostały połamane przed śmiercią zwierzęcia. Tę żabę ktoś zmiażdżył w dłoni.

Weeks przełknął ślinę.

— Proszę posłuchać — podjął ostatnią próbę — to szaleństwo zapuszczać się dalej w głąb tych jaskiń. Powinniśmy wyjść stąd jak najszybciej, wezwać pomoc.

Pendergast jednak skupił swoją uwagę na przedmiotach ułożonych wokół pluszowego misia. Pieczołowicie odsłaniał kolejne drobne szkielety i częściowo rozłożone truchła owadów. Następnie znów wrócił do miśka, podniósł go, oczyścił z pleśni i przyjrzał mu się badawczo.

Weeks nerwowo rozejrzał się wokoło.

— Chodźmy już. Chodźmy.

Zamilkł, kiedy agent FBI spojrział na niego. Białe oczy Pendergasta wydawały się puste, agent był jakby nieobecny, pogrążony w głębokiej zadumie.

— Co to jest? — spytał półgłosem Weeks. — Co to ma znaczyć?

Pendergast odłożył pluszaka na miejsce.

— Chodźmy — rzucił krótko.

Agent FBI szedł teraz znacznie szybciej, przystawał tylko od czasu do

czasu, aby spojrzeć na mapę, którą miał przy sobie. Odgłos płynącej wody był teraz głośniejszy, brodzili w niej niemal przez cały czas. W dodatku zrobiło się tak zimno, że z ich ust przy każdym oddechu wypływały obłoczki pary. Weeks próbował dotrzymać kroku agentowi i zapomnieć o tym, co zobaczył. Czyste szaleństwo. Dokąd w ogóle szli, u diabła? Kiedy już stąd wyjdzie — o ile wyjdzie — natychmiast odejdzie z policji ze względu na obecne przeżycia; będzie miał szczęście, jeśli pozostanie mu po tym jedynie szok pourazowy...

Nagle Pendergast stanął jak wryty.

W świetle latarki pojawiło się ciało spoczywające na kamiennym podłożu. Postać leżała na wznak, z otwartymi oczami i rozrzuconymi rękoma i nogami. Głowa wydawała się dziwnie zniekształcona, wydłużona i spłaszczona, potylicą była rozłupana, pękła jak przejrzały melon. Oczy wyszły z orbit, patrząc niewidzącym wzrokiem w dwóch kierunkach. Usta były otwarte, rozdziawione zbyt szeroko. Weeks odwrócił wzrok.

— Co się stało? — wykrztusił, usiłując przemóc narastającą zgrozę.

Pendergast oświetlił sklepienie promieniem latarki. W żółtym kręgu światła pojawił się czarny otwór. Znajdował się dokładnie nad leżącym na ziemi ciałem.

— Czy może go pan zidentyfikować?

— To Raskovich. Ochroniarz kampusu z policji stanowej Kansas!

Pendergast skinął głową i skierował wzrok ku wąskiemu otworowi powyżej.

— Wygląda na to, że pan Raskovich miał nieszczęśliwy wypadek — mruknął pod nosem.

Weeks zamknął oczy.

— O Boże.

Pendergast gestem nakazał mu iść dalej.

— Ruszajmy. Czas nagli. Weeks jednak miał już dość.

— Nie idę dalej. Nie ma mowy. Co pan sobie w ogóle wyobraża? — W jego głosie pobrzmiwała coraz wyraźniejsza nuta paniki. — Pies nie żyje, Raskovich także. Widział pan ich ciała. Gdzieś tam czai się potwór. Czego pan tak naprawdę chce? Ja jeszcze żyję. To o mnie powinien pan się teraz martwić. Bo przecież...

Pendergast odwrócił się do niego. Weeks zamilkł w pół słowa, ujrzawszy pełne pogardy, zuchwałe spojrzenie agenta. Po chwili policjant spuścił wzrok.

— Chodziło mi o to, że po prostu marnujemy tu tylko czas. — Głos zaczął mu się łamać. — Skąd ma pan pewność, że ta dziewczyna jeszcze żyje?

Jakby w odpowiedzi usłyszał dochodzący z oddali dźwięk. Był słaby, zniekształcony, ale rozpoznał go w jednej chwili. To był ludzki krzyk. Ktoś rozpaczliwie wzywał pomocy.

SIEDEMDZIESIĄT

Larsen biegł, jakby goniły go wszystkie demony piekieł. Brast, tuż za nim, trzymając się liny, lawirował od ściany do ściany, ale jakimś cudem — mimo iż pędził na oślep — jak na razie, udawało mu się dotrzymać

kroku partnerowi. Upłynęło kilka minut, odkąd ucichły przeraźliwe wrzaski, lecz Larssen wciąż słyszał je w myślach, odtwarzając te odgłosy raz po raz niczym jakieś upiorne nagranie: ostatni, przedśmiertny krzyk Cole'a, który urwał się nagle przy wtórze trzasku gruchotanych kości. To, co tego dokonało i co ich obecnie ścigało, nie było w pełni człowiekiem. To był jakiś potwór.

Nie mógł uwierzyć. Nie wierzył, że to prawda. A jednak to widział. Zobaczył to coś.

Nie zważał, dokąd biegnie, w jakim znajdował się tunelu, czy zmierzał ku wyjściu, czy raczej w głąb jaskiń. Było mu to obojętne. Pragnął jedynie znaleźć się jak najdalej od tego czegoś.

Dotarli do sadzawki, bladej, lśniąco czerwonej w podczerwiennym świetle; Larssen bez wahania wszedł do lodowatej wody, zanim dotarł na drugi brzeg, sięgnęła mu do piersi. Brast podążał za nim na oślep, starając się utrzymywać równe tempo. Po drugiej stronie sklepienie było bardzo niskie. Larssen ruszył naprzód wolniej niż dotychczas, z bronią stale gotową do strzału, odłupując ostre stalaktyty zwieszające się przed jego twarzą. Sklepienie obniżyło się jeszcze bardziej. W chwilę później dało się słyszeć głuchoe łupnięcie, a po nim głośne przekleństwo, gdy Brast wyrznął głową w skałę.

Wkrótce jednak strop znów zaczął się podwyższać, ukazując dziwną, popękana komorę z całym mnóstwem szczelin rozciągających się we wszystkich kierunkach.

Larssen przystanął, rozglądając się w górę, w dół i na boki, a w kilka sekund potem Brast wpadł na niego z tyłu.

— Larssen? Larssen? — Brast schwycił go, jakby chciał się upewnić,

że towarzysz był prawdziwy.

— Cicho. — Larssen nasłuchiwał z uwagą. Nie usłyszał plusku wody z tyłu. Ten stwór nie podążył za nimi.

Czyżby udało im się uciec?

Spojrzał na zegarek — dochodziła północ. Bóg jeden wie, jak długo uciekali.

— Brast — wyszeptał. — Posłuchaj. Musimy się ukryć, dopóki nie nadejdzie pomoc. Sami nigdy nie znajdziemy stąd wyjścia, a jeśli będziemy błądzić w tunelach, możemy znów natknąć się na tego stwora.

Brast pokiwał głową. Miał podrapaną twarz, ubłocone ubranie, oczy puste, otepiałe ze zgrozy. Krew spływała krętą strużką z paskudnego rozcięcia na czaszce.

Larssen znów spojrzał przed siebie, świecąc dokoła podczerwienną lampą. Wysoko w ścianie widniała szczelina większa od innych, wypływała z niej struga wapiennych nacieków. Wyglądała na dostatecznie dużą, by pomieścić człowieka.

— Muszę coś sprawdzić. Pomóż mi. Podsadź mnie.

— Nie zostawiaj mnie!

— Mów ciszej. Za chwilę wracam.

Brast podsadził go, a w chwilę później Larssen wślizgnął się do szerokiej szczeliny. Rozejrzał się wokoło, jego gołe ramiona drżały, smagane podmuchami zimnego powietrza. Mężczyzna odwiązał sznur od pasa i upuściwszy go na dół, stanowczym sykiem polecił Brastowi, aby zaczął się wspinać.

Brast przez chwilę badał po omacku wilgotną ścianę, po czym zaczął pisać się w górę.

Obaj wpełzli jeszcze dalej w głąb szczeliny. Podłoże było tu nierówne i usłane dużymi kamieniami. Kilka metrów dalej przejście zmieniało się w tunel, wysoki na tyle, by mogli pójść nim dalej na lekko ugiętych nogach.

— Zobaczmy, dokąd prowadzi — wyszeptał Larssen.

Po minucie mozolnego marszu dotarli na skraj czeluści. Tunel po prostu nagle się urywał. Dalej była tylko pustka. Larssen zatrzymał Brasta, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Zostań tu.

Wyjrzał poza krawędź otworu, ale nie zdołał dostrzec dna. Znalazł nieduży kamyk, cisnął go w bezdenną czerń i zaczął liczyć. Dał sobie spokój, kiedy doliczył do trzydziestu.

W górze, nad nimi znajdował się pionowy szyb, z którego ścian spiralnie spływała wąska strużka wody. Nie musieli obawiać się ataku stwora z tej strony. Mógł dostać się do nich jedynie przez szczelinę, którą tu dotarli.

Doskonale.

— Zostań tutaj — szepnął do Brasta. — Nie idź dalej, tam jest wielka dziura.

— Co ty powiesz? Głęboka?

— O ile zdołałem się zorientować, bezdenna. Po prostu siedź i nigdzie się stąd nie ruszaj. Zaraz wracam.

Podpełzł do drugiego krańca szczeliny, położywszy się na brzuchu, zaczął zgarniać leżące wokoło kamienie i zapępniać nimi otwór. Po pięciu minutach nagromadził ich dość, by całkowicie zabezpieczyć szczelinę.

Zabójca, o ile dotrze do pieczary poniżej, zobaczy tylko kamienie.

Żadnego otworu.

Odnaleźli idealną kryjówkę.

Odwrócił się do Brasta.

— Posłuchaj — rzucił pospiesznie. — Masz się nie ruszać. Kompletna cisza. Ani mru-mru. Nic, co mogłoby nas zdradzić. Zaczekamy tu, aż zjawi się oddział SWAT i wykurzy tego skurwiela z jaskini. A na razie musimy stulić uszy po sobie i siedzieć cicho jak pod miotłą.

Brast pokiwał głową.

— Ale czy jesteśmy bezpieczni? Jesteś pewien, że nic nam tu nie grozi?

— Dopóki będziesz trzymał gębę na kłódkę.

Czekali, cisza i ciemność stawały się coraz bardziej niepokojące.

Larssen oparł się plecami o ścianę, zamknął oczy i wsłuchał się we własny oddech, starając się nie myśleć o szaleńcu czającym się w jaskiniach poniżej.

Usłyszał, jak Brast obok niego porusza się niespokojnie. To go rozdrażniło, nawet najcichszy hałas mógł ich zdradzić. Otworzył oczy, poprawił gogle i rozejrzał się we wszystkie strony.

— Brast! Nie!

Za późno, rozległo się krótkie „szur” i tuż obok niego zapłonęła zapałka. Larssen wytrącił mu ją z dłoni. Spadła na ziemię z cichym sykiem. W ciemnościach rozszedł się słaby, siarczany swąd.

— Co, u diabła...?

— Ty sukinsynu — wysyczał Larssen. — Co robisz, do cholery?

— Znalazłem zapałki. — Brast nie próbował już pohamować łez. — Miałem je w kieszeni. Powiedziałeś, że jesteśmy bezpieczni, że tu nas nie znajdzie. Nie zniosę dłużej tej ciemności. Po prostu nie mogę.

Dało się słyszeć ciche skrzypnięcie, po czym zapłonęła druga zapalka. Brast zaszlochał z ulgą, oczy miał rozszerzone, przepełnione przerażeniem.

Nagle Larssen, półnagi i rozdygotany, zdał sobie sprawę, że nie ma dość siły woli, aby powtórnie zgasić wąty płomyk. Poza tym zablokował wejście do szczeliny grubą warstwą kamieni. Słabe światło zapalki z pewnością nie przebije się do jaskini poniżej. Zsunął gogle na czoło i rozejrzał się dookoła, mrugając powiekami. Po raz pierwszy widział wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Płomyk, choć mizerny, roztaczał w tym upiornym miejscu przyjemną, ciepłą poświatę.

Znajdowali się w niedużym, kamiennym przesmyku. Nieco ponad półtora metra za nimi rozpościerała się przepaść. Z tyłu, po drugiej stronie przejścia o niskim sklepieniu mieli wyjście zablokowane stertą kamieni. Byli bezpieczni.

— Może znajdę coś, co moglibyśmy spalić — rzekł Brast. — Coś, co dałoby choć odrobinę ciepła.

Larssen patrzył, jak gliniarz z policji stanowej przetrząsa kieszenie. Przynajmniej na chwilę zamilkł.

Brast zaklął pod nosem, gdy zapalka oparzyła mu palce. Kiedy zapalił trzecią, z tyłu za Larssenem rozległ się cichy stukot, grzechot przesuwanego kamienia. A potem odgłos spadających kamieni, jednego, zaraz potem drugiego.

— Zgaś ją, Brast! — zasyczał.

Ale Brast odwrócił się i wstał z zapalką w dłoni, po czym spojrział poza Larssena, a rysy jego twarzy wykrzywił grymas śmiertelnego przerażenia. Przez jedną krótką, choć zdającą się trwać całą wieczność, chwilę Brast

stał w całkowitym bezruchu. I nagle, zgoła niespodziewanie, odwrócił się i pognął na łeb na szyję w stronę krawędzi otchłani.

— Nieee! — krzyknął Larssen.

Ale Brast już runął w mroczną czeluść. Płonąca zapalka, którą trzymał w ręku, tańczyła, migocząc w powietrzu, po czym za-syczała i zgasła.

Larssen z ciężko bijącym sercem czekał niemal bez końca, nasłuchując pośród nieprzeniknionej czerni urywanego, chrapliwego oddechu zlewającego się z jego własnym. A potem niezdarnymi, drętowymi palcami powoli opuścił gogle na oczy i odwrócił się nieubłaganie, by samemu spojrzeć w oblicze niewysłowionego koszmaru.

SIEDEMDZIESIĄT JEDEN

Rheinbeck siedział w ciemnym salonie, kołysząc się w tył i w przód na starym, drewnianym krześle o sztywnym oparciu. Nieomal cieszył się, że w domu było ciemno, gdyż czuł się jak idiota, siedząc tu w czarnym, bojowym kombinezonie i kamizelce kuloodpornej, otoczony makatkami, wyrobami z koronki i całą masą bibelotów.

„To ci dopiero zadanie — pilnowanie staruszki. Cholera” — pomyślał.

Wielki, stary dom wciąż jęczał i skrzypiał pod naporem szalejącej na zewnątrz burzy, ale przynajmniej nie było już słychać krzyków staruszki zamkniętej w piwniczce dla ochrony przed tornadem. Osobiście zamknął na dwa spusty masywną klapę i był stuprocentowo pewien, że kobieta, której pilnował, nigdzie nie ucieknie. Będzie bezpieczna tam, na dole,

dużo bezpieczniejsza niż on, gdyby w okolicy rozszalało się tornado.

Było już dobrze po północy. Co, u licha, oni robili tam na dole? Wpatrując się w słabą poświatę propanowej latarni, rozpatrywał w myślach kolejne potencjalne scenariusze. Zapewne udało im się osaczyć sprawcę i teraz negocjacjami usiłowali nakłonić go do wyjścia na zewnątrz.

Rheinbeck kilkakrotnie miał okazję być świadkiem policyjnych negocjacji i nieraz wydawało się, że trwają one w nieskończoność. Łączność padła, większość dróg została zablokowana przez powalone wicherem drzewa, nikt nie odpowiedziałby, gdyby on, Rheinbeck, był zmuszony wezwać do staruszki pogotowie. Deeper zostało obrócone w perzynę, a w całym hrabstwie obowiązywał stan zagrożenia tornada F3. Sytuacja była delikatna, to zadanie dla lekarza, nie dla policjanta.

Rany boskie, cóż za fatalne zadanie.

Rozległ się krzyk, a zaraz potem brzęk szkła. Rheinbeck poderwał się z miejsca, przewracając przy tym krzesło, w mig jednak zorientował się, że to rozkołysane gałęzie drzewa, targane wiatrem, wybiły kolejne okno w domu. Tylko tego było potrzeba, lepszego przewiewu. Teraz, kiedy front chłodny już przeszedł, zrobiło się naprawdę zimno. Przez jedno z wybitych okien do domu wpadały strugi deszczu, na podłodze rozlewały się kałuże. Mężczyzna postawił krzesło i ponownie usiadł. Jego kumple zawsze będą mu to wypominać.

Blask latarni zafalował, Rheinbeck spojrzął na nią i skrzywił się. Typowe — nikt nie pomyślał o wymianie butli i latarnia lada moment zgaśnie. Pokręcił głową, wstał i podszedł do kominka. Polana i rozpałka były już ułożone, wystarczyło tylko rozpalić w kominku. Na kamiennym

obramowaniu leżało duże, stare pudełko zapalek.

Zastanawiał się przez chwilę. „Do diabła z tym” — pomyślał. Dopóki przyszło mu tkwić w tym upiornym, starym domu, mógł przynajmniej zadbać o swoje wygody.

Zajrzał do kominka, aby upewnić się, czy przewód kominowy był otwarty. Następnie sięgnął po zapalki i rozpałił ogień. Płomienie liznęły gazetę i w jednej chwili poczuł się lepiej, ciepła poświata ognia przydała mu odrobinę pewności siebie.

Kiedy drewno opałowe zajęło się ogniem, wewnątrz saloniku spowiła żółta, przyjemna poświata, odbijając się od oprawnych w ramki wyszywanek oraz szklanych i porcelanowych bibelotów. Rheinbeck podszedł i zgasił gazową lampę. Lepiej oszczędzać paliwo, może jeszcze okazać się potrzebne.

Rheinbeckowi zrobiło się żal staruszki. Z ciężkim sercem przyszło mu zamknięcie jej w piwniczce. Ale przecież w całej okolicy obowiązywało zagrożenie tornadowe, a kobieta nie wyrażała najmniejszej chęci współpracy. Usiadł na bujanym fotelu. To musiało być ciężkie przeżycie dla leciwej pani, gdy pośród strasznej burzy, w środku nocy wpadł do niej oddział uzbrojonych ludzi z psami. Takie wydarzenie wywołałoby silny szok u każdego, a co dopiero mówić o zamkniętej w sobie, starej pannie Kraus.

Odchylił się do tyłu na fotelu, radując się ciepłem migoczącego blasku płomieni. Przypomniały mu się niedzielne popołudnia, które spędzali z żoną u jego matki. Zimą parzyła cały dzbanek herbaty i potem pili ją wspólnie właśnie przy kominku. A do herbaty zawsze podawała ciasteczka. Znała rodzinny przepis na ciasteczka imbirowe, który

obiecowała przekazać jego żonie, lecz nigdy tego nie zrobiła.

Doszedł do wniosku, że staruszka siedziała w piwnicy przeszło trzy godziny bez jedzenia i picia. Teraz, kiedy trochę się uspokoiła, powinien jej coś zanieść. Nie pozwoli, by ktokolwiek oskarżył go o głodzenie lub narażenie staruszki na niebezpieczną dla zdrowia utratę płynów. Może zaparzy dla niej herbatę. Najlepiej cały dzbanek. Nie było prądu, ale może zagotować wodę nad ogniem w kominku. W gruncie rzeczy żałował, że nie pomyślał o tym wcześniej.

Wstał z fotela, zapalił latarkę i poszedł do kuchni. Zaopatrzenie było tu wyśmienite. Na półkach pod ścianami stały pudełka z całym mnóstwem ziół i przypraw, o których nigdy nie słyszał, były tu rozmaite odmiany octu i peklowane warzywa w słoikach. Na kontuarach stały srebrne pojemniki z japońskimi, a może chińskimi ideogramami — nie potrafił ich rozróżnić. W końcu udało mu się odnaleźć czajnik, stał przy kuchence, między garnkiem do gotowania makaronu a jakimś dziwnym urządzeniem z metalu, z lejkiem u góry i obrotową rączką z boku. Zaczął przetrząsać szafki i znalazł kilka staroświeckich torebek z herbatą. Lodówka była równie dobrze zaopatrzona i w kilka minut później na niewielkiej tacy znalazły się cukier, śmietanka, herbatniki, dżem, marmolada oraz chleb. Koronkowa i bawełniana serwetka oraz nóż i widelec dopełniły dzieła. Wkrótce herbata była już gotowa, Rheinbeck postawił czajnik na tacy i ruszył po schodach na dół.

Przystanął przed opuszczoną klapą i trzymając tacę na jednym ręku, zapukał kilka razy. W środku coś się poruszyło.

— Panno Kraus? Ciska.

— Przyniosłem pani herbatę i ciastka. To panią wzmocni. W piwnicy

znów coś zaszurało, a po chwili zza drzwi dobiegł go jej głos.

— Proszę chwilkę poczekać. Muszę poprawić włosy.

Czekał cierpliwie, spokojny ton kobiety sprawił mu prawdziwą ulgę. To zdumiewające, jak ci starsi ludzie potrafią radzić sobie ze stresem.

Minęło kilka chwil, po czym staruszka znów się odezwała.

— Może pan już wejść, jestem gotowa — rozległ się kojący, opanowany głos.

Rheinbeck ze śmiechem wyjął z kieszeni wielki, żelazny klucz, wsunął go do otworu zamka i przekręciwszy, otworzył wejście do piwniczki burzowej.

SIEDEMDZIESIĄT DWA

Szeryf Hazen czuł pot ściekający mu po dłoniach i karbowanej kolbie strzelby. Przez ostatnie dziesięć minut słyszał rozmaite odległe dźwięki — huk wystrzałów, krzyki, wrzaski — wyglądało, że gdzieś w tunelach doszło do ostrej walki. Odgłosy dochodziły z jednej strony i tam właśnie skierował się, najszybciej jak potrafił, szeryf Hazen...

Inni mogli pierzchać w popłochu, ale on był gotów uczynić wszystko, aby dopaść tego parszywego typu.

Na piaszczystym podłożu dostrzegł obecnie ślady bosych stóp — takie same widział już wcześniej.

Wyprostował się. To były ślady bosych stóp zabójcy.

Uświadomił sobie, że pomylił się co do McFelty'ego. Mimo iż widział zabójcę tylko przez ułamek sekundy, zdążył mu się przyjrzeć. Być może mylił się też w kwestii związku z Lavenderem. Miał natomiast rację co do jednego — zabójca faktycznie urządził sobie kryjówkę w jaskiniach. To była jego baza operacyjna. Hazen dodał dwa do dwóch i zamierzał uczynić wszystko, aby wyciągnąć stąd tego sukinsyna.

Szeryf ruszył po widocznych na piasku śladach. Czyj to był trop? Na to pytanie uzyska odpowiedź później. Najpierw musi znaleźć tego typu i wywlec go stąd. Nic prostszego. Gdy już znajdzie się w ich rękach, cała reszta w mig się wyjaśni, czy był on związany z Lavenderem, polem eksperymentalnym i w ogóle. Wszystko się wyjaśni.

Skręcił za ostry załom korytarza, wciąż podążając tropem zabójcy. Przejście było tu szersze, sklepienie znajdowało się znacznie wyżej, zarysy ścian rozmywały się w podczerwieni jego noktowizora. Podłóże zaścielały wielkie, skrzące się kryształy. Nawet w monochromatycznych goglach Hazen potrafił stwierdzić, że były one różnokolorowe. Jaskinia była ogromna, dużo większa i wspanialsza aniżeli żalosna trój komorowa atrakcja turystyczna otwarta przez Krausa. Przy właściwym zarządzaniu to miejsce mogło stać się prawdziwą kopalnią złota. A miejsca pochówku Indian, które widział, z pewnością przyciągną archeologów, a może nawet ekspertów z licznych muzeów. Nawet jeśli w Medicine Creek nie zostanie założone pole eksperymentalne, jaskinie były dostatecznie duże, by przyciągnąć tu ludzi z całego kraju. Nagle przyszło mu na myśl, że miasteczko mimo wszystko ocaleje. To było lepsze niż Jaskinie Karlsbadzkie. Przez cały czas siedzieli na żyle złota i nie mieli o tym bladego pojęcia.

Hazen otrząsnął się z chwilowego zamyślenia. O przyszłości będzie mógł podumać, kiedy już ten paskudny drań znajdzie się za kratkami. Wszystko w swoim czasie.

Na wprost niego w skalistym podłożu ział olbrzymi, czarny otwór, z którego dochodził szum płynącej wody. Obszedł go ostrożnie i pomaszerował dalej, za widniejącymi na piasku śladami stóp.

Były wyraźne. I wyglądały na świeże.

Wyczuł, że zbliża się do swojej ofiary. Tunel zwęził się i ponownie rozszerzył. Hazen dostrzegał coraz więcej oznak świadczących, iż miejsce to było zamieszkane: dziwne symbole wyryte na ścianach ostrymi kamieniami, butwiejące indiańskie fetysze porozkładane pieczołowicie

wewnątrz skalnych nisz i umieszczone na szczytach wapiennych kolumn. Zacisnął mocniej dłoń na kolbie strzelby i ruszył dalej. Ten dziwoląg, kimkolwiek był, przebywał tu od dość dawna.

Na wprost niego tunel rozszerzał się, łącząc się z kolejną jaskinią.

Hazen ostrożnie wyjrzał zza załomu ściany i znieruchomiał osłupiały.

Jaskinia była bardzo bogato zdobiona. Z tysiąca stalaktytów zwieszały się na sznurkach dziwne figurki ze szpagatu i kawałków kości.

Zmumifikowane zwierzęta jaskiniowe zostały poustawiane razem, jak na muzealnych dioramach. Widać było ludzkie kości oraz czerepy rozmaitych kształtów i wielkości. Inne leżały na kamiennym podłożu, układając się w dziwne, zagadkowe symbole, jeszcze inne wały się w stertach nieopodal, jakby oczekiwały, że ktoś kiedyś zechce zrobić z nich użytek. Na prowizorycznych półkach porozkładano stare latarnie, blaszane puszki, przeżarte rdzą gadżety z przełomu wieków, indiańskie artefakty i jakieś trudne do rozpoznania śmieci. To miejsce wyglądało jak kryjówka szaleńca. I w gruncie rzeczy było nią w istocie.

Hazen odwrócił się powoli, omiatając niezwykle miejsce promieniem podczerwonym swego noktowizora. To wszystko było takie dziwne, naprawdę dziwne. Przełknął ślinę, oblizał wargi i cofnął się o krok. Może popełnił błąd, wpadając tu w pojedynkę, jak bohater z filmu lub komiksu. Może zbyt szybko się pospieszył. Wyjście z jaskini nie mogło znajdować się daleko stąd. Może powinien wrócić na górę, wezwać wsparcie, posiłki...

Wtem jego wzrok padł na przeciwległą ścianę jaskini. Kamieniste podłoże było tu szczególnie nierówne i opadało w dół, w aksamitną ciemność.

Na ziemi ktoś leżał. Nie poruszał się.

Unosząc lufę strzelby, Hazen zaczął iść naprzód.

Opodal, na topornym kamiennym stole spoczywały jakieś nieduże, omszałe przedmioty. Jeszcze dalej leżało kilka pustych, płóciennych chlebaków. Za nimi zaś na podłodze spoczywała jakaś postać. Być może spała.

Z bronią gotową do strzału, powoli, krok po kroku poszedł do kamiennego stołu. Teraz, kiedy się zbliżył, stwierdził, że przedmioty leżące na blacie wcale nie były omszałe. Przypominały tuziny pukli czarnych włosów — czarnych wąsów, kręconych włosów, ze zwisającym zeń nadal strzępem skalpu, pukle większe i mniejsze, dłuższe i krótsze, i Bóg wie co jeszcze tam się znajdowało. W jego myślach znów pojawiło się wspomnienie twarzy oskalpowanego i ociosanego Gasparilli. Odegnął je od siebie, koncentrując uwagę na postaci, która — jak stwierdził, kiedy przyjrzał się jej bliżej — faktycznie była pogrążona we śnie, tyle że wiecznym. Miał przed sobą trupa.

Podkradł się nieco bliżej, a napięcie w jego ciele narastało z każdą chwilą — stwierdził, że zwłoki zostały wypatroszone. Jama żołądka była pusta, wszystkie wnętrzności usunięto.

O Boże, kolejna ofiara.

Podszedł do niej, dłonie ślizgały mu się na kolbie strzelby, nogi miał zeszywniałe z przerażenia. Zabójca z sobie tylko znanych przyczyn ułożył zwłoki w tej pozycji, pozbawił je większości odzieży, pozostawiając jedynie kilka strzępów, twarz trupa pokrywała skorupa zaschniętej krwi. Ofiarą był młody chłopak, w zasadzie jeszcze dzieciak. Hazen, nachyliwszy się, rozdygotaną dłonią — gdyż nijak nie był w stanie opanować drżenia — otarł chustką krew i grudki ziemi z twarzy

nieboszczyka.

Nagle zastygł w bezruchu, z chusteczką przyłożoną do zimnej skóry, a w jego wnętrzu, jak lawa wylewająca się z wulkanu, zaczęły narastać ból, odraza i poczucie dojmującej straty.

To był Tad Franklin.

Zachwiał się, w jednej chwili ugięły się pod nim nogi.

Tad...

I właśnie wtedy coś w nim eksplodowało. Z ust mężczyzny dobył się przeciągły, niemal zwierzęcy skowyt wściekłości i smutku, a zaraz potem szeryf zaczął obracać się wokół osi, raz po raz strzelając na lewo i prawo, a kiedy tak dawał upust swej furii, pośród atramentowej ciemności co chwilę pojawiały się pomarań-czowoczerwone jęzory ognia, towarzyszące wystrzałom. Z tym hukiem zlewał się brzęk roztrzaskujących się stalaktytów, spadających na kamieniste podłoże niczym kryształowy deszcz.

SIEDEMDZIESIĄT TRZY

— Co to było? — spytał Weeks, krzywiąc się i mrugając nerwowo powiekami.

— Ktoś strzelał z dwunastki. — Pendergast wciąż trwał w bezruchu, nasłuchując. Następnie spojrzał na broń Weeksa. — Umiecie posługiwać się strzelbą?

— Oczywiście. — Weeks pociągnął nosem. — Otrzymałem dyplom za wzorowe wyniki w strzelaniu, byłem najlepszy w mojej drużynie w Dodge Academy. — W owym czasie w jednostce K-9 było zaledwie trzech kadetów, ale Pendergast nie musiał wiedzieć wszystkiego.

— Wobec tego przeładujcie broń i bądźcie czujni. Trzymajcie się przez cały czas po mojej prawej i idźcie równo ze mną.

Weeks roztarł dłonią kark, od wilgoci zawsze dostawał wysypki.

— Śmiem twierdzić, że zgodnie z procedurą powinniśmy wezwać wsparcie, zanim zdecydujemy się pójść dalej.

Pendergast odpowiedział, nie oglądając się przez ramię.

— Weeks — wycedził. — Słyszeliśmy krzyk kolejnej potencjalnej ofiary zabójcy. Słyszeliśmy strzały. Czy naprawdę uważacie, że powinniśmy postąpić zgodnie z procedurą? Czy waszym zdaniem mamy dość czasu, by poczekać na wsparcie?

To pytanie zawisło w chłodnym powietrzu jak gradowa chmura. Weeks poczuł, że się czerwieni. W chwilę potem w korytarzach jaskiń rozległ się kolejny, słaby, wysoki i bez wątplenia kobiecy krzyk. Pendergast natychmiast ruszył naprzód, kierując się w głąb tunelu. Weeks pospieszył za nim, niezdarnie mocując się ze strzelbą.

Krzyk zdawał się to cichnąć, to znów przybierać na sile, gdy tak szli dalej, słabł na parę chwil, po czym znów stawał się głośniejszy. Dotarli do bardziej suchej i przestronnej części jaskini. Podłóże w niektórych miejscach pokrywały splechcie piasku, na którym dostrzec można było odciski bosych stóp.

— Czy wie pan, kim jest zabójca? — spytał Weeks, nie umiejąc pohamować drżenia głosu.

— To człowiek. Ale jest nim tylko z wyglądu.

— Co chce pan przez to powiedzieć? — Weeks miał już dość tego mówiącego zagadkami agenta FBI.

Pendergast schylił się, by obejrzeć ślady stóp.

— Musi pan zrobić tylko jedno i niech to panu wystarczy — zidentyfikować cel. Jeśli to będzie zabójca, a mogę zapewnić, że zorientuje się pan co do tego w mgnieniu oka, proszę niezwłocznie strzelać, aby zabić. O więcej niech się pan nie martwi.

— Nie musi pan być tak dokuczliwy. — Weeks zamilkł, ujrawszy spojrzenie Pendergasta.

„Człowiek, ale tylko z wyglądu”. Widok tego czegoś — Week-sowi ten stwór wcale nie przypominał człowieka — unoszącego jednego z miotających się psów i rozdzierającego zwierzę na strzępy gołymi rękami, wciąż nie dawał spokoju policjantowi z wydziału K-9. Mężczyzna zadygotał. Pendergast nie zwrócił jednak na to uwagi, maszerował rażno naprzód, z pistoletem w dłoni, od czasu do czasu tylko przystając, aby przez chwilę nasłuchiwać z przejęciem i wyteżoną uwagą.

Krzyki, zdawałoby się, ucichły zupełnie.

W kilka minut później Pendergast zatrzymał się, aby spojrzeć na mapę. Wreszcie za jej pomocą ruszyli tą samą drogą, którą tu dotarli. Odgłosy wróciły na chwilę, po czym znów zaczęły cichnąć. Na koniec Pendergast ukląkł i zajął się uważnym oglądaniem śladów, przemieszczając się w tę i z powrotem, zdawałoby się w nieskończoność, nisko pochylony, z nosem niemal tuż przy samej ziemi. Weeks patrzył na niego z coraz większym zaniepokojeniem.

— Pod nami — rzekł Pendergast.

Agent przecisnął się przez szczelinę widniejącą w jednej ze ścian, po czym wślizgnął się do wąskiego, opadającego niemal pionowo przesmyku. Weeks podążył za nim. Przez pewien czas brnęli noga za nogą by dotrzeć do istnego kamiennego ula, rozległego gniazda naturalnych otworów i

wgłębień w ścianie jaskini, z niektórych z nich wypływały zastygłe rzeki podziemnych wycieków. Pendergast przez kilka chwil oświetlał przypominającą plaster miodu kamienną ścianę, promieniem latarki wybrał jeden z otworów, po czym — ku narastającemu przerażeniu i konsternacji Weeksa — wpełził do środka. Otwór był śliski i z wyglądu wilgotny, Weeks już miał zaprotestować, lecz zmitygował się, gdy światło latarki agenta niespodziewanie zgasło. Ześlizgując się za Pendergastem w dół ostro opadającego przejścia, Weeks na wpół wyskoczył, na wpół wpadł w tunel uczęszczany do tego stopnia, że w jego wapiennym podłożu wydeptano ścieżkę. Podniósł się, otrzepał z błota i sprawdził strzelbę.

— Od jak dawna ten zabójca żyje pod ziemią? — zapytał, wpatrując się z niedowierzaniem w ścieżkę.

— We wrześniu minie pięćdziesiąt jeden lat — odparł Pendergast. Agent już ruszył dalej, oddalając się w głąb wąskiego korytarza.

— Wie pan, kim on jest?

— Tak.

— Jak się pan tego domyślił, u licha?

— Weeks, czy możemy odłożyć tę rozmowę na później? Pendergast pomknął w głąb przejścia. Krzyki ustały, ale teraz agent FBI zdawał się wiedzieć na pewno, dokąd ma się udać... Szedł tak pewnie, jakby znał drogę...

I nagle, dość niespodziewanie, zatrzymał się. Na wprost niego ze strzępiastej szczeliny w sklepieniu wypływała struga skryzalizowanego gipsu, całkowicie blokując przejście. Pendergast oświetlił latarką podłoże korytarza, a Weeks zauważył, że wydeptana ścieżka zniknęła.

— Nie ma czasu — wymamrotał do siebie Pendergast, omiatając

promieniem latarki tunel, ściany i sklepienie. — Nie ma czasu.

Cofnął się o kilka kroków od ściany gipsu. Wydawało się, że liczył cicho pod nosem.

Weeks zmarszczył brwi, może jego pierwsze wrażenie wcale nie było mylne i popełnił błąd, zabierając się z Pendergastem.

W pewnej chwili agent stanął, nachylił się w stronę ściany.

— Panno Swanson? — zawołał.

Jakie było zdumienie Weeksa, gdy w chwilę potem usłyszał ciche westchnienie, szloch, a następnie zduszony krzyk.

— Pendergast? Agent Pendergast? O Boże...

— Proszę zachować spokój. Idziemy po panią. Czy on jest w pobliżu?

— Nie. Wyszedł... Dawno temu. Nie wiem, ile czasu upłynęło.

Powiedziałabym, że parę godzin.

Pendergast odwrócił się do Weeksa.

— Ma pan szansę się wykazać. — Wskazał na ścianę gipsu. — Proszę strzelać. O ile to możliwe, właśnie w to miejsce.

— Czy on nie usłyszy wystrzału? — spytał Weeks.

— Jest już niedaleko. Wykonajcie rozkaz, Weeks! Pendergast powiedział to tak władczym tonem, że Weeks aż drgnął nerwowo.

— Tak jest! — Złożył się do strzału, wymierzył i pociągnął za oba spusty.

Huk wystrzału zabrzmiał ogłuszająco w ograniczonej przestrzeni. Promień latarki Pendergasta ukazał chmurę skrzącego się gipsowego pyłu, a poza nią wielki otwór w przeświecającej ścianie. Przez chwilę nic się nie działo. Nagle gipsowa ściana pękła z głośnym hukiem i runęła na

kamienne podłoże, rozbryzgując wokoło lśniące, kryształowe odłamki. Po drugiej stronie znajdowało się kolejne przejście, obok niego zaś wąski otwór ciemnego dołu. Pendergast podbiegł, ukląkł przy krawędzi jamy i poświecił do środka. Weeks podszedł do niego i zajrzał ostrożnie ponad jego ramieniem.

Na dnie jamy spostrzegł umorusaną dziewczynę z fioletowymi włosami, patrzącą w górę; na utyłanej, okrwawionej twarzy malował się grymas przerażenia.

Pendergast odwrócił się, by na niego spojrzeć.

— Jest pan opiekunem psów. Musi pan mieć w plecaku zapasową smycz.

— Tak...

W jednej chwili poczuł, że silne ręce zdejmują z jego ramion plecak. Pendergast sięgnął do środka i wyjął zapasową smycz, długi łańcuch ze skórzaną obrozą. Przywiązał łańcuch do podstawy wapiennej kolumny, a drugi koniec wrzucił do otworu.

Z wnętrza jamy dobiegł brzęk łańcucha i szloch dziewczyny.

Weeks znów zajrzał do środka.

— Nie sięga — stwierdził. Pendergast zignorował jego uwagę.

— Niech nas pan osłania. Gdyby on nadszedł, niech pan strzela, żeby zabić.

— Ejże, chwileczkę...

Ale Pendergast znikł już wewnątrz jamy. Weeks pozostał przy krawędzi otworu, zerkając jednym okiem do środka, drugim zaś obserwując korytarz. Agent FBI z niezwykłą zwinnością opuścił się po łańcuchu, a gdy dotarł do jego końca, zawisł na jednej ręce, wyciągając drugą w dół,

do dziewczyny, aby schwyciła jego dłoń. Sięgnęła po nią, zamachnęła się, niestety, chybiła.

— Proszę się odsunąć, panno Swanson — rzekł do dziewczyny agent Pendergast. — Weeks, proszę zrzucić do jamy kilka większych kamieni. I niech się pan postara nie porozbijać nam głów. Tylko niech pan przez cały czas obserwuje uważnie tunel.

Weeks stopą zepchnął do wnętrza rozpadliny kilka okazałych kamieni. Następnie spojrzął na dziewczynę, a ta, zrozumiałwszy go w okamgnieniu, ułożyła je w stos pod ścianą i wspięła się na nie. Teraz Pendergast mógł już złapać ją za rękę. Podciągnął Corrie w górę, wsunął wolną rękę pod jej ramiona i ponownie zacisnąwszy drugą dłoń na ogniwach łańcucha, powoli zaczął pisać się pod górę ku krawędzi rozpadliny.

Agent nie wyglądał na osiłka, ale musiał mieć niezłą krzepę, skoro był w stanie wspiąć się po łańcuchu z wtuloną w jego ciało, przywierającą doń kurczowo, przerażoną dziewczyną.

Wypętlili z jamy, a Corrie natychmiast osunęła się na kolana, szlochając histerycznie. Mimo to przez cały czas z całej siły obejmowała Pendergasta.

Agent ukląkł obok niej. Wyjąwszy z kieszeni chustkę, Pendergast delikatnie otarł twarz dziewczyny z krwi i brudu. Następnie obejrzał jej nadgarstki i dłonie.

— Bola? — zapytał.

— Teraz już nie. Cieszę się, że pan przyszedł. Myślałam... Myślałam...
— Pozostałe słowa utonęły w jej szlochu.

Agent ujął ją za ręce.

— Corrie. Wiem, co myślisz. Byłaś bardzo dzielna. Ale to jeszcze nie koniec i potrzebuję twojej pomocy — mówił szybko, lecz łagodnym

tonem, niskim, ponagląjącym szeptem.

Zamilkła, pokiwała głową.

— Możesz iść?

Kiwnęła głową po czym znów wybuchnęła płaczem.

— On bawił się ze mną — zaszlochała. — I bawiłby się mną, dopóki...
dopóki bym nie umarła.

Pendergast położył dłoń na jej ramieniu.

— Wiem, to bardzo trudne. Mimo to musi być pani silna, dopóki się
stąd nie wydostaniemy.

Przełknęła ślinę, spuściła wzrok.

Pendergast wstał i pospiesznie rzucił okiem na mapę.

— Możliwe, że jest stąd inne, krótsze wyjście. Będziemy musieli
zaryzykować. Za mną. — Agent zwrócił się do Weeksa: — Pójdę
pierwszy. Potem panna Swanson. Pan zabezpiecza tyły. I niech pan
naprawdę się przyłoży, Weeks, on może zaatakować właściwie zewsząd, z
góry, z dołu, z boku i z tyłu. Porusza się bezszelestnie. I jest piekielnie
szybki.

Weeks oblizwał spierzchnięte wargi.

— Skąd ta pewność, że zabójca będzie nas ścigać? Pendergast spojrział
na niego, jego blade oczy zaśniły w ciemnościach.

— Ponieważ nie odda nam dobrowolnie swojej jedynej przyjaciółki.

SIEDEMDZIESIĄT CZTERY

Hazen szedł szybko, przystając tylko na chwilę, by się rozejrzeć, u załomów i rozwidlenia korytarzy. Z taką siłą zaciskał dłonie na strzelbie, że aż zbieleły mu kłykcie, palce — wskazujący i środkowy, spoczywały na bliźniaczych spustach.

Ten drań był już, praktycznie rzecz biorąc, martwy.

Minał kolejną ekspozycję i jeszcze jedną, na skalnym występie leżały nieduże kryształki i martwe jaskiniowe stworzenia. Psychopata. To właśnie tu, w tej jaskini, dopracowywał swoje szaleństwo, zanim wyszedł na zewnątrz i zaczął robić to samo z ludźmi. Sukinsyn zapłaci za to. Żadnego przedstawiania należnych mu praw czy wzywania adwokata, dwa strzały z bliska w pierś, a potem dla pewności jeszcze jeden w czaszkę.

Na podłożu dostrzec można było tak liczną plątaninę śladów, że Hazen nie miał już pewności, czyim tropem podążał ani czy był on świeży. Mimo to wiedział, że zabójca nie może być daleko. Policjantowi było obojętne, jak długo potrwa poszukiwanie. Te korytarze nie mogły przecież ciągnąć się w nieskończoność. Znajdzie go. Prędzej czy później go dopadnie. Z wściekłości poczuł nieprzyjemne swędzenie skóry na czaszce, a jego twarz, pomimo panującej w jaskiniach wilgoci i chłodu, nabiegła żarem i spąsowiała. Tad... Zupełnie jakby Hazen stracił syna.

Na szczęście potrafił teraz opanować swój smutek i żal. Zawdzięczał to trawiącej go wściekłości. Czuł łzy spływające strużkami po policzkach, ale nie towarzyszyły temu żadne głębsze emocje. Odczuwał jedynie nienawiść. Płakał z nienawiści.

Tunel nagle kończył się kamiennym zawaliskiem. Ponad miejscem, z którego osunęły się głazy, widniał nieduży, czarny otwór. W promieniach podczerwieni spostrzegł drobne ślady, biegnące w górę zawaliska i znikające w czymś, co wyglądało jak podwyższona galeryjka.

Hazen z pochyloną głową i uniesioną, wycelowaną przed siebie strzelbą zaczął piąć się po zboczu. Wszedł na rozległą, kamienną półkę. Wysoko w górze delikatne kryształy zwieszające się z długich pasm wapienia kołysały się lekko pod wpływem ruchów podziemnych prądów powietrza. Korytarze rozchodziły się stąd we wszystkich kierunkach. Zlustrował wzrokiem podłoże, walcząc o odzyskanie tchu i opanowanie targających nim emocji; odnalazł coś, co wyglądało jak świeży trop i ruszył tym śladem poprzez labirynt tuneli.

Po kilku minutach uświadomił sobie, że coś było nie tak. Tunel jakimś cudem zatoczył pełny krąg i Hazen znów znalazł się w punkcie wyjścia. Wybrał kolejny korytarz, ale sytuacja znów się powtórzyła. Wściekłość wzbierała w nim do tego stopnia, że czerwona poświata gogli niespodziewanie zaczęła rzednąć, rozproszona gorejącymi w jego wnętrzu gniewnymi emocjami.

Gdy powrócił do tej samej jaskini po raz trzeci, przystanął, uniósł strzelbę i wypalił. Huk wystrzału rozbrzmiał wśród skał, a drobne kryształki z brzękiem posypały się wokół niego jak roziskrzony śnieg.

— Ty skurwysynu! — ryknął. — Tu jestem, pokaż no się, ty pojebie!

Wypalił ponownie, a potem po raz trzeci, wykrzykując w mrok coraz to wymyślniejsze wyzwiska.

Otrzymawał niezmienną odpowiedź — powracające echo wystrzałów,

przetaczające się szaleńczo raz po raz przez labirynt podziemnych komór i korytarzy.

Magazynek był pusty. Dysząc ciężko, Hazen ponownie załadował broń. To wcale nie pomogło, wrzaski i strzelanie ani trochę go nie uspokoiły. Musiał go znaleźć. Po prostu. Tylko tyle. I aż tyle.

Wszedł do kolejnego tunelu. Ten wyglądał inaczej, był długi, lśniący od wapiennego nalotu, z małymi sadzawkami, w których spoczywały jaskiniowe perły. Przynajmniej zdołał wydostać się z zakłętego kręgu zapętających się tuneli. Nie pamiętał już, gdzie był ani dokąd zmierzał. Po prostu parł naprzód.

I właśnie wtedy dostrzegł z boku jakąś wielką, mroczną postać.

Widział ją zaledwie przez moment, ot, cień, który przemknął w zasięgu jego gogli, ale w zupełności mu wystarczyło. Odwrócił się, przykląkł na jedno kolano i tak jak nauczono go na strzelnicy, wypalił, a postać runęła z głuchym łoskotem na ziemię.

Hazen natychmiast oddał jeszcze jeden strzał. A potem jął podkradać się naprzód, gotowy w każdej chwili ściągnąć spust po raz trzeci.

Spojrzał w dół, ale w czerwonej poświacie noktowizyjnych gogli miast trupa dostrzegł jedynie rozszczępiony na dwoje przez ładunki z jego strzelby potężny stalagmit leżący w kawałkach na kamienistym podłożu. Pohamował się, by nie zakląć i nie roztrącić połupanych szczątków kopnięciem. Powoli, ze spokojem uniósł strzelbę i pomaszerował w głąb pełnego echa tunelu. Dotarł do jednego, potem drugiego rozwidlenia, aż w końcu przystanął.

W oddali przed nim coś się poruszyło. Usłyszał jakiś dźwięk. Ruszył naprzód, tym razem wolniej, ostrożniej, z bronią gotową do strzału. Minął

załom korytarza, ukląkł na jedno kolano i zlustrował tunel przed sobą. Nawet nie zauważył ciemnej postaci, która błyskawicznie wychynęła z ciemności poza nim, poczuł dopiero silne uderzenie w bok głowy i brutalne, szybkie szarpnięcie, wtedy było już jednak za późno i czerń nocy otoczyła go niczym gęsty kokon, w płucach zaś nie zostało mu już dość powietrza, by mógł wydać z siebie jakikolwiek, choćby nawet najcichszy dźwięk.

SIEDEMDZIESIĄT PIĘĆ

„Może to wszystko jest tylko snem” — pomyślała Corrie. Ta szaleńcza, wyczerpująca ucieczka przez niekończące się podziemne korytarze. Może agent Pendergast wcale się nie zjawił, a ona nie została uratowana. Może wciąż tkwi na dnie jamy, pogrążona w koszmarnym półśnie, czekając, aż obudzi ją powrót...

Z drugiej strony, ból w nadgarstkach i kostkach oraz pulsujące ćmienie w skroni przypominały jej, że to jednak nie sen.

Agent Pendergast uniósł rękę, dając znak, by się zatrzymali. Promień jego latarki przeciął mrok, gdy spoglądał na swą dziwną przybrudzoną mapę. To wahanie najwyraźniej mocno zdenerwowało towarzyszącego im mężczyznę. Dopiero po kilku minutach Corrie, pogrążona w stanie bliskim stuporowi, zorientowała się, że prócz Pendergasta był z nimi ktoś jeszcze. Ten niski człowiek miał wysoki głos, jasne włosy i rzadką, kozią bródkę. Jego mundur był cały w błocie i pokryty zakrzepłymi resztkami czegoś, o czym nawet wolą nie myśleć.

— Tędy — wyszeptał Pendergast. Corrie zmusiła się, by podążyć za nim, nierealne wrażenie snu na jawie powróciło.

Przeszli przez niską, chłodną pieczarę, po czym pokonali kręty korytarz, skręcili najpierw w lewo, potem w prawo. Nagle sklepienie nad ich głowami uniosło się hen w górę, niknąc gdzieś pośród czerni. Corrie bardziej wyczuła, niż ujrzała znajdującą się przed nimi ogromną jaskinię. U wejścia do niej Pendergast znów przystanął, nasłuchując. Zadowolony, że nie wychwycił żadnych innych dźwięków poza tymi, które sami wydawali, ruszył dalej.

Jeden krok, potem drugi i ściany jakby rozstały się przed promieniem latarki agenta.

Pomimo szoku i wyczerpania Corrie rozglądała się ze zdumieniem wokoło, podziwiając przedziwną podziemną komorę, której kolejne szczegóły wyłuskiwał z mroku promień latarki Pendergasta. Była to wyjątkowo wysoka jaskinia z krwistoczerwonego kamienia, tak wilgotnego i śliskiego, że miejscami wyglądał jak polerowany. Podłóżę pokrywały liczne płytkie kałuże. U szczytu jaskini kamienna ściana poprzecinana była mnóstwem poziomych pęknięć, przez które wypływały

nagromadzone latami warstwy kalcytu.

Ogromne, białe formacje, nakładające się na czerwoną, litą skałę, kojarzyły się w niewiarygodnie wyrazisty sposób z bogato zdobioną lożą w teatrze.

Problem polegał na tym, że na drugim końcu jaskini nie było wyjścia. Ulga, którą zaczęła już odczuwać Corrie, w jednej chwili przysła, zastąpiona przez nową falę przerażenia.

— Dokąd teraz? — spytał zdyszany mundurowy. — Wiedziałem. Przez ten pański skrót wszyscy tu zginiemy.

Pendergast patrzył przez chwilę na mapę.

— Znajdujemy się o niecałe sto metrów od dostępnej dla turystów części Jaskini Krausa. Ale aby tam dotrzeć, będziemy musieli iść wzdłuż osi Z.

— Osi Z? — powtórzył mężczyzna. — Osi Z? O czym pan mówi?

— Musimy iść tamtędy. — Pendergast wskazał na niewielkie, łukowato sklepione wejście, którego Corrie wcześniej nie zauważyła, usytuowane jakieś dwanaście metrów nad podłożem, na wysokości jednej z formacji skalnych. Wypływał z niej podziemny strumień, ściekający po nagromadzonej warstwie minerałów i znikający w ziejącej rozpadlinie podłoża jaskini.

— Jak mielibyśmy się tam dostać? — spytał wojowniczym tonem mężczyzna.

Pendergast zignorował go, przepatrując w świetle latarki skalną ścianę.

— Chyba nie myśli pan o wspinaczce, prawda? No bo niby jak? Bez liny?

— Nie mamy wyboru.

— To ma być wybór? Z tą wielką, ziejącą rozpadliną poniżej? Jedno omsknięcie i...

Pendergast zignorowawszy go, odwrócił się do Corrie.

— Jak pani kostki i nadgarstki? Wzięła głęboki, drżący oddech.

— Dam radę.

— Wiem o tym. Pójdzie pani pierwsza. Ja będę tuż za panią. Będę mówił, co robić. Weeks pójdzie na końcu.

— Dlaczego ja na końcu?

— Ponieważ musi pan ubezpieczać nas z dołu. Weeks splunął na ziemię.

— Racja. — Pomimo chłodnego, wilgotnego powietrza mężczyzna mocno się pocił, na jego umorusanej twarzy widać było ślady pozostawione przez spływające strużki potu.

Pendergast błyskawicznie podszedł do skalnej ściany. Corrie szła za nim krok w krok. Jej serce znów zabiło szybszym rytmem, starała się nie patrzeć na masywną, kamienną ścianę. Zatrzymali się o kilka metrów od szerokiej rozpadliny w podłożu. Spływające do niej strugi wody tworzyły zasłonę mgły, pokrywającą i tak już śliską skałę. Nie dając dziewczynie czasu do namysłu, Pendergast popchnął ją lekko, kierując promień latarki na pierwsze dogodne dla dłoni i stóp uchwyty na skale.

— Jestem tuż za panią, panno Swanson — rzekł półgłosem. — Proszę się nie spieszyć.

Corrie przylgnęła do ściany, usiłując stłumić ból w dłoniach i odrzucić jeszcze cięższe brzemie strachu. Aby dotrzeć do otworu powyżej, musieli wspinać się po przekątnej, niemal dokładnie nad przepastną rozpadliną. Pofałdowany wapień zapewniał mnóstwo oparc dla rąk i nóg, ale skała

była wilgotna i śliska. Dziewczyna starała się nie myśleć o niczym poza kolejnym podniesieniem najpierw ręki, a potem nogi i podciągnięciem się o dalsze piętnaście centymetrów. Po dobiegających z dołu odgłosach domyśliła się, że obaj mężczyźni zaczęli już wspinać się na skałę.

Pendergast wydawał komendy, udzielał rad, kilka razy nawet pomógł jej i dłonią skierował stopę Corrie na właściwy, mogący utrzymać ciężar ciała dziewczyny kamienny występ. Ta wspinaczka była nie tyle trudna, ile raczej przerażająca, uchwytów w skale nie brakowało, przypominało to raczej wchodzenie po drabinie. W pewnej chwili Corrie spojrzała w dół, zobaczyła czubek głowy Weeksa i czeluść, jaką mieli poniżej.

Znieruchomiła i zamknęła oczy. Zakręciło się jej w głowie. Także tym razem dłoń Pendergasta pomogła jej utrzymać równowagę, a jego delikatny, kojący głos zmusił ją, by ruszyła dalej, tyle tylko, że nie wolno jej było patrzeć w dół, w górę jak najbardziej, przed siebie owszem, ale nigdy w dół...

Jedna stopa, jedna dłoń, druga stopa, druga dłoń. Corrie wolno pięła się po skale. Teraz czerń ziała zarówno w dole, jak i nad nią, światło latarki Pendergasta prawie nie przenikało mroku. Serce dziewczyny zabiło jeszcze szybciej niż dotychczas, ręce i nogi zaczęły drżeć z wysiłku, nienawykłe do trudów wspinaczki. Jakimś dziwnym trafem im bardziej zbliżała się do wylotu korytarza powyżej, tym bardziej była zdesperowana. Nie odważyła się już spojrzeć w górę, nie miała również pojęcia, czy od celu dzieliło ją jeszcze półtora metra czy dziesięć metrów.

— Tam na dole coś jest! — zawołał nagle Weeks wysokim, pełnym przerażenia głosem. — Coś tam się rusza!

— Funkcjonariuszu Weeks, zaprzyjcie się o skałę i osłaniajcie nas —

rzekł Pendergast. Następnie zwrócił się do Corrie: — Corrie, jeszcze tylko trzy metry. Udawaj, że wchodzisz po drabinie.

Nie zważając na ból przeszywający nadgarstki i palce, Corrie schwyciła za następny występ, odnalazła kolejny uchwyt dla stóp i podciągnęła się w górę.

Usłyszała krzyk Weeksa.

— To on! O Boże, on tu jest!

— Użyjcie broni, Weeks — rzekł spokojnym tonem Pendergast.

Corrie rozpaczliwie zacisnęła dłoń na następnym kamiennym występie, wyszukała stopą kolejne dogodne wgłębienie. Jej stopa omsknęła się po mokrej, śliskiej skale i serce dziewczyny omal nie zamarło ze zgrozy, gdy zaczęła ześlizgiwać się w dół. Pendergast jednak znów był przy niej, gdy potrzebowała pomocy, złapał ją, podtrzymał i pomógł postawić stopę w dogodniejszym miejscu. Zdusiła w sobie szloch, ale w głębi serca była tak przerażona, że nie potrafiła nawet zebrać myśli.

— Odszedł — rzucił zdławionym głosem Weeks. — A w każdym razie już go nie widzę.

— Wciąż tam jest — powiedział Pendergast. — Wspinaj się, Corrie. Wspinaj się.

Corrie, sapiąc z wysiłku i bólu, podciągnęła się w górę. Kątem oka dostrzegła, że Pendergast, zwinnie przytrzymując się jedną ręką szerszego kamiennego występu, odwrócił się, by spojrzeć w dół. Stał plecami do ściany, z latarką w jednej ręce i pistoletem w drugiej, przeczesując laserowym wskaźnikiem wnętrze jaskini poniżej.

— Tam! — krzyknął Weeks.

Corrie usłyszała ogłuszający huk jego strzelby, jeden, potem drugi.

— Szybki jest! — zawołał Weeks. — Za szybki!

— Oślaniam was z góry — powiedział Pendergast. — Zostańcie na pozycji i strzelajcie uważnie.

Huknęły kolejne dwa strzały.

— Jezu Chryste, Jezu Chryste — powtarzał Weeks, szlochając i dysząc ze zmęczenia.

Corrie zaryzykowała i spojrzała w górę. W słabym świetle latarki Pendergasta dostrzegła, że od wylotu tunelu dzieliło ją zaledwie półtora metra. Tylko że w pobliżu nie było już uchwytów dla rąk i nóg. Zaczęła macać wokół siebie, skała była gładka jak szkło.

Kolejny krzyk, jeszcze jeden huk wystrzału.

— Weeks! — zawołał ostro Pendergast. — Strzelacie na oślep! Patrzcie, gdzie strzelacie! Musicie dobrze wycelować!

— Nie, nie, nie! — Strzelba znów wypaliła. W chwilę potem Corrie usłyszała głuchy trzask, gdy Weeks w panice cisnął precz pustą, bezużyteczną już broń i zaczął wściekle wspinać się na skałę.

— Funkcjonariuszu Weeks! — krzyknął Pendergast.

Corrie znów sięgnęła dłońmi na boki, rozcapierzając palce i szukając choćby najmniejszego uchwytu. Bez powodzenia. Z jękiem przerażenia spojrzała w dół na Pendergasta, błagając o pomoc. I nagle zamarła w bezruchu.

Z ciemności poniżej wyprysnął olbrzymi kształt, pnąc się po skalnej ścianie jak wielki pająk. Pistolet Pendergasta plunął ogniem, ale kształt nie przerwał wspinaczki, zbliżał się do nich w przerażającym tempie. Przez chwilę padło nań światło latarki Pendergasta, ale stwór tylko warknął gniewnie i uchylił się przed promieniem. Mimo to Corrie zdążyła go

zobaczyć, raz jeszcze ujrzała tę wielką, pyzată jak księżyc, nieludzko białą twarz, rzadką, długą brodę, małe, niebieskie oczka upstrzone krwawymi plamkami i otoczone długimi, niemal kobiecymi rzęsami, ten sam dziwny uśmiech zastygły jak grymas na ustach nieboszczyka. To była twarz dziecka, dziecka zdawałoby się niewinnego, a jednak tej istoty nie sposób było nazwać człowiekiem. Była tak obca i kierowały nią tak dziwaczne, nieprzewidywalne myśli oraz emocje, że w żadnym razie nie przypominała istoty ludzkiej.

Corrie patrzyła z przejęciem, a upiorna postać z zatrważającą szybkością wciąż pięła się po skale. Znów zagrzmiał pistolet Pendergasta, a Corrie zauważyła, że wspinający się desperacko Weeks znalazł się dokładnie pomiędzy nim a potworem i agent nie mógł już oddać kolejnego strzału. Przyłgnęła do kamiennej ściany, serce tłukło się jej w piersi, nie mogła się ruszyć, nie potrafiła odwrócić wzroku, nie była w stanie uczynić nic. Zupełnie.

Zabójca dopadł pnącego się szaleńczo po skale Weeksa, machnął wielką łapą i trafiając mężczyznę w plecy, zmiażdżył go o ścianę jak robaka. Z okrzykiem bólu Weeks odpadł od skały i zaczął zsuwać się w dół. Olbrzymie ramię znów przecięło powietrze i tym razem trafiło Weeksa z boku, uderzając jego głową o kamienną ścianę. Corrie patrzyła ze zgrozą, jak mężczyzna już bezgłośnie runął w dół i zniknął wśród oparów mgieł unoszących się nad przepastną rozpadliną.

Niemal natychmiast znów trzasnął pistolet Pendergasta, lecz olbrzym zwinnym, małpim susem uskoczył w bok i ponownie z nadludzką zwinnością jął pięć się po skale. Zanim Corrie zdążyła zaczerpnąć tchu, potwór zrównał się z Pendergastem. Jeden cios i pistolet wypadł z dłoni

agenta, by z brzękiem potoczyć się po kamiennym podłożu w dole. Zaraz potem wielka jak młot pięść stwora uniosła się, by zadać kolejne mordercze uderzenie, a Corrie odnalazła w sobie siły, by krzyknąć na całe gardło.

— Nie!

Kiedy pięść opadła, Pendergasta już tam nie było, miękko uskoczył w bok. Teraz agent zaatakował, łącząc palce i nasadą dłoni zadając potworne uderzenie w nos niehumanoidalnej istoty. Rozległ się głuchy trzask, buchnęła krew. Olbrzym jęknął z bólu i znów machnął ręką, by strącić Pendergasta ze ściany. Ten zachwiał się, zaczął osuwać się w dół, zdołał jednak złapać się kolejnych występów metr niżej.

Ale już było za późno. Potwór, cały we krwi, tocząc pianę z ust, minął Pendergasta i szybko, nieubłaganie zbliżał się do Corrie. Dziewczyna była całkiem bezradna, nie mogła nawet uwolnić jednej ręki, aby spróbować się bronić, z całej siły obiema dłońmi przytrzymywała się skalnych występów. Monstrum podpełzło do niej w mgnieniu oka, wielkie, szorstkie łapy znów zacisnęły się na jej szyi, ale tym razem potwór już się nie wahał, w jego martwych oczach nie było nawet cienia człowieczeństwa, nie było w nich nic prócz gniewu, pełnej oburzenia wściekłości i żądzy mordu. Corrie zaczęła się dusić, ale wydawane przez nią rozpaczliwe dźwięki zagłuszył brutalny, donośny ryk potwora.

— Moooooooooooooo!

SIEDEMDZIESIĄT SZEŚĆ

Wiatr wiał jeszcze silniej niż dotychczas, a Shurte i Williams skryli się w niszy u wejścia do jaskini. Shurte zdawał sobie sprawę, że nie tam szeryf polecił im trzymać straż, ale było mu to już obojętne; minęła pierwsza w nocy, a oni od trzech godzin z okładem sterczeli na deszczu i chłodzie.

Usłyszał jęk, a potem głośne przekleństwo płynące z ust Williamsa. Spojrzał w jego stronę. Williams Przeczochał się nieco dalej od wejścia, w dłoni ścisnął propanową latarnię. Shurte opatrzył ranę kolegi, korzystając z apteczki pierwszej pomocy w radiowozie. Ukąszenie nie było tak poważne, jak można by sądzić z zachowania Williamsa. Prawdziwy problem stanowiła ich obecna sytuacja. Policyjne radiostacje nie działały, w całej okolicy nie było prądu, zamilkły nawet nieliczne docierające na to zadupie galaktyki komercyjne stacje radiowe. W rezultacie nie mieli nic, żadnych informacji, bieżących wiadomości czy nowych rozkazów. Hazen i reszta przebywali w jaskiniach już od trzech godzin, a na zewnątrz powrócił przez ten czas tylko jeden pies z oderwaną połową szczęki.

Shurte miał złe przeczucia.

Powietrze płynące z jaskiń cuchnęło wilgocią i mokrymi kamieniami. Shurte wzdrygnął się. Wciąż myślał o tym nieszczęsnym psie, który

wyłonił się z ciemności jak duch, brocząc krwią. Co mogło tak brutalnie rozszarpać wielkiego psa?

Znów spojrzął na zegarek.

— Jezu, co oni tam robią tak długo? — spytał po raz dziesiąty Williamsa.

Shurte pokręcił głową.

— Powinienem już być w szpitalu — poskarżył się Williams. — Mogę się nabawić wścieklizny.

— Policyjne psy są zdrowe. Wścieklizna ci nie grozi.

— Skąd wiesz? Na pewno wda się jakaś infekcja.

— Nałożyłem pod opatrunek grubą warstwę maści z antybiotykiem.

— To dlaczego tak cholernie mnie boli? Jeśli wda się infekcja, przypomnę ci, kto zakładał mi opatrunek, doktorze Shurte.

Shurte starał się go zignorować. Nawet przeciągłe zawrozczenie wiatru u wylotu jaskini było lepsze od tych żalonych jęków.

— Mówię ci, potrzebuję profesjonalnej pomocy lekarskiej. Ten psi syn wyżarł mi spory kawałek ciała.

Shurte parsknął.

— Williams, po prostu ugryzł cię pies i tyle. Ale nie martw się, będziesz mógł ubiegać się o przyznanie ci wstęgi Purpurowego Serca za obrażenia odniesione na służbie.

— Ale dopiero w przyszłym tygodniu. A boli mnie już teraz, cholera.

Shurte odwrócił wzrok. Co za palant. Może powinien poprosić o zmianę partnera. Gdy sprawy przybierały niepomyślny obrót, Williams najzwyczajniej w świecie wymiękał. I to po czym... Po ukąszeniu psa. Koń by się uśmieł.

Błyskawica rozdarła niebo na dwoje, przez mgnienie oka otaczając rezydencję potokami widmowej bieli. Wielkie krople deszczu cięły powietrze niczym pociski, w zawodzącej wicherze. Do jaskini zaczęły spływać istne potoki wody.

— Pieprzę to. — Williams podniósł się. — Pójdę do domu, zmienię Rheinbecka. Zajmę się pilnowaniem starszej pani, a Rheinbecka przyślę tutaj.

— To nie należy do nas. Mieliśmy inne rozkazy.

— Pieprzyć rozkazy. Tamci mieli opuścić jaskinie nie później niż po pół godzinie. Jestem ranny, zmęczony i przemoczony do nitki. Ty możesz zostać tutaj, jeśli chcesz, ja idę do domu.

Shurte odprowadził go wzrokiem, a gdy kolega zniknął mu z oczu, splunął na ziemię. Co za dupek.

SIEDEMDZIESIĄT SIEDEM

Ryk potwora został nagle zagłuszony przez inny odgłos, suchy, ostry i ogłuszający w ograniczonej przestrzeni jaskini. Corrie poczuła, jak olbrzym uderza w nią całym ciężarem, rozplaszczając brutalnie na powierzchni kamiennej ściany. Ryczał jej dziko wprost do ucha, jakby z

bólu, a wraz z tym dźwiękiem twarz dziewczyny omiółł jego oddech przesycony wonią zepsutych jaj. Uchwyt wielkiej łapy opasującej jej szyję zelżał, po czym zniknął zupełnie, dzięki czemu była w stanie odwrócić głowę i nabrać powietrza. Przez mgnienie oka mogła przyjrzeć się twarzy odległej od jej oblicza o kilkanaście centymetrów — szerokiej, nienaturalnie gładkiej, białej jak płótno, z małymi oczkami i wypukłym czołem.

Huknął kolejny wystrzał i tym razem usłyszała, jak śruciny odbijają się od skalnej ściany nieopodal. Corrie łapczywie zaczerpnęła powietrza, przywierając z całych sił do śliskiej powierzchni. Ktoś z dołu strzelał do olbrzyma. Potwór ześlizgnął się ze skały, ale zaraz znów się jej złapał, machając ręką i rycząc jak dziki zwierz w stronę, skąd padł strzał. Jak przez mgłę usłyszała rozlegający się poniżej głos Pendergasta.

— Teraz, Corrie! Teraz!

Corrie wciąż miała mroczki przed oczami. Jedną ręką rozpaczliwie sięgnęła w górę i znalazła niewyczuwalny dotąd uchwyt. Płacząc i oddychając z trudem, podciągnęła się na rękach, uniosła stopę i nagle poczuła, jak silna łapa z mocą szczęk stalowego imadła zacisnęła się wokół jej kostki.

Krzyknęła, usiłując uwolnić stopę, lecz olbrzym szarpnął brutalnie, starając się ściągnąć dziewczynę ze skały. Stawiała zaciekły opór, aby utrzymać się na kamiennym podłożu, lecz monstrum było zbyt silne. Jej palce, i tak już spuchnięte i krwawiące po przejściach w jamie, były zbyt obolałe, aby mogły wytrzymać tak silny nacisk. Corrie krzyknęła ze strachu i rozpacz, czując, że zaczyna się ześlizgiwać, orząc paznokciami po kamieniach.

Dał się słyszeć jeszcze jeden rozziewający wystrzał i potworny ucisk niespodziewanie zelżał. Corrie poczuła ostry, piekący ból w łydce i uświadomiła sobie, że musiała ją trafić jedna lub nawet więcej śrucin.

— Nie strzelać! — zawołał w dół Pendergast.

Potwór nagle zamilkł. Huk strzelby, ryki bólu i wściekłości powróciły odbitym echem i w końcu ucichły zupełnie. Corrie czekała, zastygła ze zgrozy, przywierając całym ciałem do kamiennej ściany. Nieomal wbrew swojej woli odwróciła głowę i spojrzała w dół.

Był tam, pyzată jak księżyc w pełni twarz miał całą we krwi. Wpatrywał się w nią, jego oblicze wykrzywił upiorny, groteskowy grymas, zamrugał energicznie powiekami. W chwilę potem jego dłonie spazmatycznie rozwarły się, tracąc uchwyt na kamiennej ścianie. Patrzył na nią, odchylając się w tył, jak w zwolnionym tempie i oderwał się od skały. Wolno, bardzo wolno runął do tyłu i nawet gdy już spadał, jego twarz wydawała się pogodna i spokojna. Corrie patrzyła ze zgrozą i odrazą, jak potwór uderzył w kamienną skałę kilka metrów niżej, odbił się od niej przy wtórze wilgotnego plaśnięcia, rozbryzgując dokoła krew, po czym obrócił się jeden raz i wylądował ciężko u wylotu rozpadliny. Przez chwilę leżał w bezruchu, następnie rozległ się jeszcze jeden wystrzał, uderzenie gwałtownie odwróciło gigantyczne ciało, odrzucając je tak, że zawisło częściowo nad przepaścią. Mężczyzna ze strzelbą postąpił naprzód — był to szeryf Hazen. Wymierzył i przyłożył lufę strzelby do głowy olbrzymia.

Przez chwilę jedna z wielkich rąk potwora przytrzymała się skraju rozpadliny. Nagle palce dłoni zwiotczały i monstrum ześlizgnęło się w otchłań, znikając w niej jak kamień ciśnięty do studni. Corrie czekała,

nasłuchując, ale nie usłyszała nic, żadnego plusku ani ostatniego agonalnego okrzyku bólu, zwiastującego śmierć potwora. Po prostu zniknął, pochłonięty przez mroczną czeluść ziemi. Szeryf stał u skraju rozpadliny, nie zdążywszy oddać ostatniego strzału.

Jako pierwszy odezwał się Pendergast.

— Teraz powoli i spokojnie — zwrócił się do Corrie. — Jedną ręką za drugą. Widzę stąd całą drogę na górę. Uchwyty dla dłoni i stóp są całkiem niezłe, a do szczytu zostało już tylko niewiele ponad metr.

Corrie westchnęła głęboko, zaszlochała, całym jej ciałem wstrząsnął silny dreszcz.

— Będzie pani mogła popłakać, gdy już wdrapie się na górę, panno Swanson. A teraz musi się pani wspinać.

Rzeczowy, oschły ton strzaskał opokę strachu, który sparaliżował ją na skale. Przełknęła ślinę, sięgnęła ręką, znalazła dla niej uchwyt, zacisnęła na nim palce i przemieściła stopę. Kiedy znów wyciągnęła rękę w górę, napotkała ostrą krawędź skały — dotarła na szczyt. Chwilę potem podciągnęła się i wpełzła na górę. Leżała na zimnym podłożu tunelu twarzą do dołu i szlochała jak bóbr, nie próbowała nawet powstrzymać łez. Żyła.

Przez minutę, może dwie była sama. Potem pojawił się obok niej Pendergast, ukląkł i objął ją ramieniem.

— Już dobrze, Corrie — powiedział uspokajającym tonem. — Nic ci nie jest. Jego już nie ma, a ty jesteś bezpieczna.

Nie była w stanie wydobyć z siebie głosu, mogła jedynie płakać, łzy przynosiły jej ulgę.

— Jego już nie ma, a ty jesteś bezpieczna — powtórzył Pendergast,

gładząc jej czoło chłodną, białą dłonią. I przez chwilę oczyma duszy znów ujrzała ojca, nieomal czuła obok siebie jego obecność. Pocieszał ją w ten sposób tylko raz, kiedy zraniła się na placu zabaw... Wspomnienie było tak żywe, że stłumiła w sobie szloch, czknęła i spróbowała usiąść.

Pendergast odsunął się, aby zrobić jej miejsce.

— Muszę zejść teraz do szeryfa Hazena. Jest ciężko ranny. Niedługo wrócimy.

— Czy to on...? — wykrztusiła Corrie.

— Tak. Uratował cię. Ocalił ci życie. Mnie również. Pendergast skinął głową, po czym odszedł.

Corrie położyła się na wznak na kamiennym podłożu. Dopiero teraz ogarnęła ją istna lawina emocji — strach, ból, ulga, groza, szok. Z ciemności poniżej powiała lekka bryza, mierzwiąc jej włosy. Podmuch powietrza niósł ze sobą znajomy, odrażający fetor, woń kotła w izbie, gdzie zabójca dopadł ją po raz pierwszy. Ale wraz z nim przyniósł coś jeszcze, słaby zapach czegoś innego, o czym prawie całkiem już zapomniała — zapach świeżego powietrza.

Może wtedy zasnęła lub po prostu się wyłączyła. Następne, co zapamiętała, to odgłos kroków na kamiennym podłożu.

Otworzyła oczy i ujrzała przyglądającego się jej agenta Pendergasta. Federalny znów trzymał w dłoni pistolet. Obok niego, opierając się ciężko na agencie, stał szeryf — był cały okrwawiony, ubranie miał w strzępach, a w miejscu jednego ucha widać było tylko strzępiaste chrząstki. Corrie zamrużyła powiekami i spojrzała ponownie. Szeryf wydawał się śmiertelnie zmęczony, był cały poobijany i ciężko ranny, wręcz słał się na nogach, ale mimo to wciąż jakoś się trzymał.

— Chodźmy — odezwał się Pendergast. — To niedaleko. Szeryf potrzebuje pomocy nas obojga.

Corrie podniosła się chwiejnie. Przez chwilę ugięły się pod nią kolana, ale agent zdążył ją przytrzymać. Chwilę potem powoli, noga za nogą ruszyli we trójkę w głąb tunelu. A kiedy słodki zapach świeżego powietrza zaczął przybierać na sile, Corrie zrozumiała, że to nie jest sen, że naprawdę zmierzali w stronę wyjścia z upiornego labiryntu jaskiń.

SIEDEMDZIESIĄT OSIEM

Williams maszerował wzdłuż ścieżki, boląca noga z każdym krokiem coraz bardziej dawała mu się we znaki. Pola kukurydzy przy drodze zostały obrócone w perzynę, okrywy kaczanów znikły gdzieś, kolby walały się po całej ścieżce, połamane łodygi ocierały się, szeleszcząc złowrogo. Zaklął siarczyście, złorzecząc ulewie i wichurze. Powinien był zabrać się stamtąd już przed godziną. A teraz w dodatku by ranny i przemoczony. Ani chybi nabawi się zapalenia płuc.

Wczłapał ciężko na ganek, pod jego stopami chrzęściło szkło z wybitej przez wicher szyby. Dostrzegł płynącą ze środka słabą poświatę.

W kominku płonął ogień. Pięknie. Wygląda na to, że Rhein-beck nieźle się tu urządził, podczas gdy on i Shurte sterczeli w strugach deszczu, strzegąc wejścia do jaskini. Cóż, teraz jego kolej ogrzać się przy ogniu.

Williams przystanął, opierając się o drzwi, aby trochę odsapnąć. Poruszył klamką, drzwi były zamknięte. Blask ognia sączył się migotliwie przez witrażowe okienka, tworząc w szkle ciepłe, kalejdoskopowe wzory.

Zastukał kilka razy kołatką.

— Rheinbeck! To ja, Williams! Żadnej odpowiedzi.

— Rheinbeck!

Odczekał jedną minutę, dwie. Wciąż cisza. „Chryste — pomyślał Williams — pewnie poszedł do łazienki. Albo do kuchni”. Tak, na pewno. Siedział teraz w kuchni, pałaszując coś w najlepsze lub — co bardziej prawdopodobne — pociągając z butelki i nie słyszał wołania przez ten cholerny zawodzący wiatr.

Williams postanowił obejść dom i stwierdził, że szyba w bocznych drzwiach była wybita. Przyłożył usta do otworu.

— Rheinbeck! — zawołał. Dziwne. Bardzo dziwne.

Wybił resztę szyby, sięgnął ręką do środka i uporawszy się z zasuwką, otworzył drzwi, przyświecając sobie latarką.

Wnętrze domu zdawało się przepelnione odgłosami burzy, skrzypieniem, szuraniem i zagadkowymi zgrzytami. Williams z niepokojem rozejrzał się wokoło. Dom wydawał się całkiem solidny, ale stare budowle, takie jak ta, mają tendencję do butwienia. Miał nadzieję, że ta chałupa nie zwali mu się na głowę.

— Rheinbeck!

Nadal żadnej odpowiedzi.

Williams pokuśtykał naprzód. Drzwi prowadzące z salonu do jadalni były na wpół uchylone. Pchnął je i zajrzał do środka. Wewnątrz panował absolutny porządek, na stole leżał obrus, stał też na nim wazon ze świeżo ściętymi kwiatami. Poświecił latarką do kuchni, ale było tam ciemno i nie czuło się zapachu przyrządzanych potraw.

Wrócił do wejścia do salonu i przez chwilę stał niezdecydowany i

zakłopotany. Wyglądało na to, że Rheinbeck i staruszka ulotnili się. Może wreszcie dotarła tu karetka. Tylko dlaczego nie zadali sobie trudu, aby powiadomić o tym jego i Shurte'a? Do jaskini było stąd pięć minut drogi piechotą. To typowe dla Rheinbecka, martwił się wyłącznie o siebie, a wszystkich innych miał w głębokim poważaniu.

Williams spojrzął na kominek, żółta, ciepła poświata ogarniała całe wnętrze salonu.

„Chrzanić to” — stwierdził w duchu. Dopóki przyszło mu siedzieć w tym ponurym, starym domu, mógł przynajmniej zadbać o własne wygody. Bądź co bądź, został ranny na służbie, nieprawdaż?

Pokuśtykał w stronę sofy i wyciągnął się na niej. Tak, od razu lepiej, poza tym ciepły blask ognia jakimś sposobem dodawał mu otuchy. Odetchnął z ulgą i zadowoleniem, wpatrując się w poświatę płomieni, odbijającą się w oprawnych w ramki makatkach oraz szklanych i porcelanowych bibelotach. Westchnął raz jeszcze, tym razem z większą swobodą, po czym zamknął oczy, ale nawet przez opuszczone powieki czuł ciepło falujących jeziorów ognia.

Obudził się nagle zdezorientowany, przez chwilę zastanawiał się, gdzie się znajduje. Zaraz jednak wszystko sobie przypomniał. Najwyraźniej zdrzemnął się przez chwilę. Przeciągnął się i ziewnął.

Gdzieś niedaleko rozległo się głucho łupnięcie.

Znieruchomiał, natychmiast jednak uświadomił sobie, że musiał to być wiatr wdzierający się do domu przez wybitą szybę. Usiadł, nasłuchując.

Kolejne łupnięcie.

Zdawało się dobiegać z wnętrza domu. Z dołu, jakby z piwnicy. I wtedy Williams w mig wszystko zrozumiał. To oczywiste, z uwagi na zagrożenie

tornadowe Rheinbeck i staruszka zeszli do piwnicy. Dlatego dom wydawał się opuszczony.

Westchnął z irytacją. Powinien tam zejść, choćby po to, aby się zameldować. Wstał z wygodnej sofy, spojrzął z żalem na emanujący ciepłem kominek i pokuśtykał w stronę drzwi do piwnicy.

U szczytu schodów przystanął, po czym wolno zaczął schodzić po stopniach. Drewniane deski skrzypiały pod jego ciężarem, dźwięk ten zagłuszał nawet szum wichury szalejącej na zewnątrz. W połowie drogi zatrzymał się i wychylił głowę, usiłując przeniknąć wzrokiem atramentową ciemność.

— Rheinbeck!

Znów dało się słyszeć głuchoe łupnięcie, a zaraz po nim westchnienie. To westchnienie wypłynęło z jego ust.

Chryste, czym tak się martwił? Przecież to on był ranny, do cholery.

Poświecił latarką w dół, omiótł jej promieniem całe pomieszczenie, szczeble barierki rzucały na przemian żółto-czarne smugi światłocienia w niedużej, ciasnej przestrzeni. Opoдал w kamiennej ścianie widniała okazałych rozmiarów kłapa, wejście do piwniczki burzowej. I tam właśnie musiały znajdować się poszukiwane przez niego osoby.

— Rheinbeck?

Kolejne westchnienie. Teraz, gdy podszedł bliżej, dźwięk ten wcale nie kojarzył mu się ze świstem wiatru wpływającego przez wybitą szybę. Odgłos ten wydawał się wymuszony, dziwnie wilgotny...

Pokonał kolejne dwa stopnie i znalazł się u podnóża schodów. Wejście do piwniczki burzowej miał dokładnie przed sobą. Pokuśtykał do nich i wolno, bardzo wolno otworzył kłapę.

Na niedużym, roboczym stole, oświetlonym blaskiem świecy stała taca z rozłożonymi na niej starannie dwiema filiżankami, dzbankiem z herbatą oraz dodatkami, śmietanką, ciasteczkami, marmoladą, dżemem i chlebem.

Rheinbeck, zwiotczały, siedział na krześle przy stole, jego ręce zwieszały się ciężko do ziemi, krew spływała mu do ust z paskudnej, ziejącej rany na czaszce. Na ziemi obok niego leżała potłuczona porcelanowa figurka.

Williams patrzył z niedowierzaniem, po czym rzucił niepewnie:

— Rheinbeck?

Żadnego ruchu. Fala odległego grzmotu zatrzęsa całym domem w posadach.

Williams był jak sparaliżowany, jego umysł nie funkcjonował, nie potrafił nawet sięgnąć po służbowy pistolet. Z jakiejś przyczyny mógł jedynie patrzeć z niedowierzaniem. Nawet tutaj, na dole, stary dom wydawał się tętnić życiem za sprawą rozszalałej burzy na zewnątrz, skrzypiał i trzął się w posadach, ale Williams nie był w stanie oderwać wzroku od serwisu do herbaty.

Z otępienia wyrwał go kolejny głuchy dźwięk, który rozległ się gdzieś z tyłu, za nim. Williams odwrócił się, promień jego latarki omiół ściany, a dłoń sięgnęła po pistolet. W tej samej chwili, jakby znikąd, pojawiła się nieduża postać, rozrzucając dokoła paki i skrzynie — upiorna, dzika kobieta w bieli, z uniesionymi w górę rękoma, rozwichrzonymi, sterczącymi na wszystkie strony włosami, w postrzępionej koszuli nocnej i z komandoskim nożem Rheinbecka zaciśniętym kurczowo w dłoni. Usta miała otwarte, wyglądały jak różowy, bezzębny otwór, z którego dobywał się przeciągły wrzask: — Diabły!

SIEDEMDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

Wichura i ulewa osiągnęły taką moc, że Shurte zaczął się martwić, iż

kolejna fala tornad może skierować się ku Medicine Creek. Do jaskiń wpływały strugi wody, toteż Shurte wycofał się w głąb wejścia do pieczar, gdy nagle usłyszał dobiegające stamtąd, przybliżające się odgłosy kroków, ciężkie, powłóczące i co najmniej niepokojące.

Z mocno bijącym sercem, przeklinając w duchu Williamsa za to, że zostawił go samego, Shurte stanął obok propanowej latarni i wymierzył strzelbę w głąb przejścia.

Z półmroku zaczęły wyłaniać się milczące, niewyraźne sylwetki. Shurte przypomniał sobie o psie i poczuł, jak cierpnie mu skóra.

— Stój, kto idzie? — zawołał, usiłując opanować drżenie głosu. — Ani kroku dalej, dopóki nie powiecie, coście za jedni!

— Agent specjalny Pendergast, szeryf Hazen i Corrie Swanson — padła oschła odpowiedź.

Shurte opuścił strzelbę, odetchnął z ulgą, sięgnął po latarnię i wyruszył im na spotkanie. W pierwszej chwili nie był w stanie uwierzyć własnym oczom — ta cała krew i w ogóle; szeryf Hazen, okrwawiony od stóp do głów, był prawie nie do poznania. Towarzyszyła mu młoda dziewczyna, mocno poobijana, posiniaczona i upačkana ziemią. Shurte rozpoznał w trzeciej postaci agenta FBI, który przyłał Cole'owi, ale nie miał czasu, by zastanawiać się, w jaki sposób federalny dostał się do jaskini.

— Musimy przewieźć szeryfa Hazena do szpitala — rzekł agent FBI.
— Dziewczyna także wymaga pomocy lekarskiej.

— Cała łączność padła — odparł Shurte. — Drogi są nieprzejezdne.

— Gdzie Williams? — spytał Hazen.

— Poszedł do domu, aby... ee... zmienić Rheinbecka. — Shurte zamilkł, nieomal bał się zadać to pytanie. — A co z pozostałymi?

Hazen tylko pokręcił głową.

— Kiedy tylko zostanie przywrócona łączność, wyślemy na dół drużynę poszukiwawczo-ratowniczą — odparł ze znużeniem w głosie Pendergast. — Proszę pomóc mi doprowadzić tych dwoje do domu.

— Tak jest.

Shurte objął Hazena ramieniem i delikatnie podprowadził go po schodach na górę. Pendergast szedł tuż za nimi, podtrzymując dziewczynę. Wyszli z jaskini i pochyłili się, gdy dosięgła ich furia szalejącego żywiołu, strugi deszczu chłostały niemiłosiernie, porywisty wicher obrzucał bezlitośnie połamanymi łodygami i liśćmi kukurydzy. Dom Krausów majaczył przed nimi, ciemny i milczący, jedynie w oknach salonu migotało słabe światełko. Shurte zastanawiał się, gdzie podziali się Williams i Rheinbeck. To miejsce wyglądało na opuszczone.

Przeszli wolno po chodniku i wspięli się po schodach na ganek. Shurte patrzył, jak Pendergast porusza klamką — okazało się, że drzwi były zamknięte. W chwilę potem ze środka dobiegł stłumiony trzask, a zaraz po nim krzyk i odgłos wystrzału.

Jednym płynnym ruchem Pendergast sięgnął po broń. Gdy tylko pistolet znalazł się w jego dłoni, agent z całej siły kopnął w drzwi. Gestem dając Shurte'owi znak, aby został z Hazenem i dziewczyną wpadł jak burza do środka.

Shurte wyjrzał zza drzwi ze strzelbą gotową do strzału. Dostrzegł dwie postacie walczące w korytarzu, u szczytu schodów wiodących do piwnicy — Williamsa i kogoś jeszcze, odrażającą sylwetkę w okrwawionej koszuli nocnej, z dziko rozwianymi siwymi włosami. Shurte nie mógł uwierzyć własnym oczom — to była stara panna Kraus. Rozległ się kolejny krzyk,

tym razem piskliwy i prawie nieartykułowany.

— Mordercy dzieci!

Równocześnie znów błysnęło i dał się słyszeć huk wystrzału.

Trzema susami Pendergast dopadł i powalił kobietę w bieli na ziemię. Szamotanina trwała krótko, rozległ się kolejny wysoki krzyk. Broń poszorowała po podłodze, walczący zniknęli Shur-te'owi z oczu, a Williams zbiegł po schodach na dół. Upłynęło może pół minuty. Wreszcie Pendergast znów się pojawił, niosąc staruszkę na rękach i szepcząc jej coś od ucha. W chwilę potem z piwnicy wyłonił się Williams, podtrzymując Rheinbe-cka, który chwiał się na nogach i przykładał dłoń do krwawiącej głowy.

Shurte z Corrie i szeryfem weszli do domu, do saloniku rozświetlonego — jak się przekonał Shurte — migoczącym blaskiem ognia rozpalonego w kominku. Tam Pendergast ułożył staruszkę na fotelu i wciąż szepcząc do niej kojące, niezrozumiałe słowa, luźno założył jej kajdanki. Następnie wstał i pomógł Shurte'owi ułożyć szeryfa na sofie przed kominkiem. Williams usiadł na sofie rozdygotany, możliwie jak najdalej od staruszki. Dziewczyna osunęła się na fotel z drugiej strony kominka.

Pendergast omiótł wzrokiem wnętrze pokoju.

— Funkcjonariuszu Shurte?

— Słucham.

— Proszę przynieść z radiowozu apteczkę i opatrzyć szeryfa Hazena. Stracił większy fragment lewej małżowiny usznej, doznał prostego złamania kości łokciowej, ma uszkodzone gardło oraz liczne stłuczenia i skaleczenia.

Kiedy kilka minut później Shurte pojawił się z apteczką stwierdził, że w

pokoju zapalono nowe świece, a do kominka dorzucono nowe drewno opałowe. Pendergast otulił staruszkę wełnianym szalem. Panna Kraus łypała na nich gniewnie spomiędzy pozlepianych, opadających na twarz kosmyków zmierzwionych, siwych włosów.

Pendergast miękkim krokiem podszedł do Shurte'a.

— Proszę zająć się szeryfem Hazenem. — Zbliżył się do dziewczyny i powiedział coś półgłosem.

Skinęła głową. Następnie, wyjąwszy z apteczki niezbędne rzeczy, zabandażował jej nadgarstki i opatrzył skaleczenia na szyi, ramionach i twarzy. Shurte zajął się Hazenem, który stękał tylko cichutko, heroicznie znosząc cierpienie.

Kwadrans później było po wszystkim. Zrobili wszystko, co mogli. Teraz pozostało im już tylko czekać na przyjazd karetki. Mimo to agent FBI wydawał się niespokojny. Krążył po pokoju, lustrując obecne w nim osoby przenikliwym spojrzeniem swoich srebrnych oczu. Kiedy zaś podmuchy wichury i grzmoty towarzyszące burzy wstrząsnęły po raz kolejny fundamentami starego budynku, zatrzymał wzrok na postaci okrwawionej staruszki, która z pochyloną głową, zakuta w kajdanki siedziała bez ruchu na fotelu.

OSIEMDZIESIĄT

Ciepło ognia, para unosząca się znad kubka herbatki rumiankowej i otepiający efekt podanego jej przez Pendergasta środka uspokajającego sprzysięgły się, by wytworzyć w Corrie wrażenie nierealności. Nawet jej poranione, poobijane kończyny wydawały się odległe, ból był prawie niewyczuwalny. Westchnęła i upiła łyk, usiłując zatracić się w prostej, mechanicznej czynności i starając się o niczym nie myśleć. To nie na wiele się zdało, gdyż w jej odczuciu nic nie miało sensu — ani koszmarne monstrum, które ścigało ją po jaskiniach, ani nagły wybuch morderczej wściekłości Winifredy Kraus, nic, dosłownie nic. To było bez sensu, jak nocny koszmar.

W drugim końcu salonu siedzieli policjanci Williams i Rheinbeck, ten drugi miał zabandażowaną głowę i nogę. Jeszcze jeden policjant, Shurte, stał przy drzwiach, wyglądając przez szybę na tonącą w ciemnościach drogę. Hazen z półprzymkniętymi oczami wyciągnął się na miękkiej sofie, był cały w bandażach, posiniaczony i pokiereszowany. Obok niego stał

Pendergast, przyglądając się z uwagą Winifredzie Kraus. Stara kobieta łypała na nich z fotela, jej pałające wściekłością oczy przypominały dwa węgielki gorejące w białej, upudrowanej twarzy.

Wreszcie Pendergast przerwał ciszę, która zapanowała w saloniku.

— Z przykrością muszę poinformować, panno Kraus, że pani syn nie żyje — powiedział, nie odrywając wzroku od staruszki.

Kobieta jęknęła głośno i targnęła całym ciałem, jakby te słowa zraniły ją do żywego.

— Został zabity w jaskini — ciągnął półgłosem Pendergast. — To było nie do uniknięcia. Nie potrafił zrozumieć. Zaatakował nas. Było wiele ofiar. To się stało w samoobronie.

Kobieta kołysała się w fotelu i pojękiwała.

— Mordercy, mordercy — powtarzała raz po raz. Ale oskarżycielski ton powoli odpłynął z jej głosu, pozostał jedynie smutek.

Corrie spojrzała na Pendergasta, usiłując zrozumieć to, co przed chwilą usłyszała — jej syn? Pendergast odwrócił się do niej.

— To pani podsunęła mi ostatni element tej łamigłówki. Wspomniała pani, że panna Kraus w młodości była znana ze swego... ee... najogólniej mówiąc, rozwiązłego trybu życia. Naturalnie zaszła w ciążę. W owych czasach taką kobietę zwykle odprawiano z domu, by urodziła dziecko. — Ponownie odwrócił się do Winifredy Kraus. — Ale ojciec nie odesłał pani z domu, zgadza się? — dodał łagodnym tonem. — Miał inny sposób na uporanie się z tym problemem. Chciał, by musiała pani żyć we wstydzie i hańbie.

Z oczu staruszki pociekły łzy. Pochyliła głowę. Zapadła długa cisza. W tej ciszy szeryf Hazen powoli, przeciągle wypuścił powietrze, gdy zdał

sobie sprawę, do czego zmierzał Pendergast.

Corrie spojrzała na niego. Szeryf miał całą głowę w bandażach, z jednej strony gruby opatrunek przesiąknięty był krwią, sączącą się z oderwanego ucha. Oczy miał podkrążone, policzki posiniaczone i opuchnięte.

— O Boże — wyszeptał.

— Tak — mruknął Pendergast, spoglądając na Hazena. — Ojciec w przyływie fanatycznej, świętoszkowatej pobożności zamknął ją i owoc jej grzechu w jaskini. — Odwrócił się do Winifredy. — Urodziła pani dziecko w jaskini. W jakiś czas później została pani stamtąd wypuszczona. Ale dziecko musiało tam pozostać. Ono, ten owoc pani grzesznego związku, zostało skazane na dożywotnie przebywanie w jaskini. I właśnie tam musiała je pani wychowywać.

Przerwał na chwilę. Winifreda milczała.

— Aczkolwiek po pewnym czasie okazało się, że to nie taki kiepski pomysł, prawda? Całkiem odizolować dziecko od zepsutego, złego świata. W gruncie rzeczy to marzenie każdej matki. — Głos Pendergasta był spokojny, kojący. — Zawsze miałyby pani przy sobie swego małego chłopca. Dopóki był w jaskini, nie mógł pani opuścić. Nie mógł uciec z domu ani dać się zwieść urokom wielkiego świata, nie mógł zostawić pani dla innej kobiety ani po prostu odejść, tak jak matka kiedyś porzuciła panią. Robiła to pani, aby ochronić go przed zakusami plugawego świata, nieprawdaż? Dzięki temu zawsze byłaby mu pani potrzebna, byłby od pani uzależniony i kochałby panią. Na zawsze należałby tylko do pani.

Łzy spływały strużkami po policzkach staruszki. Jej głowa kołysała się smętnie.

Hazen miał otwarte oczy, patrzył na Winifredę Kraus.

— Jak mogłaś...?

Pendergast jednak ciągnął tym samym ciepłym tonem.

— Czy mogę zapytać, jak miał na imię, panno Kraus?

— Hiob — wymamrotała.

— Biblijne imię. Oczywiście. W dodatku trafnie dobrane, jak się okazało. Wychowywała go pani w tej jaskini. Wyrósł na wielkiego mężczyznę, w dodatku silnego, niewiarygodnie silnego, gdyż w swoim świecie mógł przemieszczać się jedynie dzięki wspinaczce. Hiob nigdy nie miał okazji bawić się z dziećmi w swoim wieku. Nie chodził do szkoły. Mówił bardzo słabo. Prawdę mówiąc, przez pierwsze pięćdziesiąt jeden lat swego życia nie spotkał innej istoty ludzkiej oprócz pani. Był bez wątplenia chłopcem o ponadprzeciętnej inteligencji i silnym instynkcie twórczym, lecz jako człowiek wychowywał się w skrajnym odosobnieniu. Odwiedzała go pani od czasu do czasu, gdy było to bezpieczne. Czytała mu pani. To jednak nie wystarczyło, by poznał coś więcej prócz szczątkowych podstaw mowy. Mimo to chłopak był bardzo bystry. I niesamowicie twórczy. Proszę spojrzeć, czego sam się nauczył — rozpalać ogień, robić różne proste rzeczy, wiązać węzły, tworzył całe światy z drobiazgów, które znajdował w otaczających go jaskiniach. Być może w którymś momencie zdała sobie pani sprawę, że źle robi, przetrzymując go w jaskini — z dala od słońca, cywilizacji, kontaktów z ludźmi i społecznych interakcji — ale wtedy, rzecz jasna, było już za późno, by to zmienić.

Staruszka, wciąż pochylona, płakała bezgłośnie.

Hazen znów zrobił głęboki wydech.

— Ale on się wy dostał — rzucił ochryple. — Ten sukinsyn wy dostał

się stamtąd. I właśnie wtedy zaczęły się te morderstwa.

— Zgadza się — przytaknął Pendergast. — Sheila Swegg podczas prac na terenie Mounds odkryła stare indiańskie wejście do jaskiń, tylne wejście. Tak się składa, że właśnie z niego skorzystali Widmowi Wojownicy, dokonując zasadzki na Czterdziestu Pięciu. Wejście zostało zablokowane od środka, kiedy wojownicy wrócili do jaskini i po ataku popełnili rytualne samobójstwo. Sheila Swegg jednak podczas prac na terenie Mounds odkryła je. Na swoją zgubę. To musiało być dla Hioba zaiste wielkim szokiem, kiedy Sheila Swegg weszła do jego jaskiń. Prócz swojej matki nigdy jeszcze nie spotkał innej ludzkiej istoty. Nie miał pojęcia, że w ogóle istnieją inni ludzie. Zabił ją w przyływie strachu, bez wątplenia niezamierzenie. A potem znalazł zrobiony przez Sheilę świeży wylom w skale. Wtedy właśnie po raz pierwszy wyszedł na zewnątrz i ujrzał wielki, cudowny, dotąd mu nie znany nowy świat. Cóż to musiała być za chwila! Bo przecież pani nic mu nie mówiła o zewnętrznym świecie, prawda, panno Kraus?

Powoli pokręciła głową.

— Tak więc Hiob wyszedł z jaskini. To musiało się stać nocą. Uniósł wzrok i po raz pierwszy ujrzał gwiazdy. Rozejrzył się wokoło i zobaczył ciemne drzewa rosnące nad strumieniem, usłyszał wiatr poruszający łanami kukurydzy, poczuł gęste, wilgotne powietrze typowe dla upalnego lata w Kansas. Jakże różniło się to wszystko od klaustrofobicznej ciemności, w której przyszło mu spędzić pół wieku! Później, być może, hen poza łanami, dostrzegł światła samego Medicine Creek. I właśnie w tej chwili, panno Kraus, do reszty straciła pani nad nim kontrolę. Tak bywa z każdą matką. Tylko że w pani przypadku Hiob miał ponad pięćdziesiąt

lat. Wyrósł na potężnego i bezpowrotnie spaczonego umysłowo człowieka. Niestety, tego dzina nie dało się już zamknąć z powrotem do butelki. Hiob musiał wychodzić raz za razem, by poznawać ten nowy świat. — Głos Pendergasta rozpląnął się w chłodnej ciemności.

Staruszka zaszlochała cichutko, żałośnie. W salonie zapadła cisza. Na zewnątrz wiatr z wolna tracił na sile. Z oddali, jakby po namyśle, dobiegł cichy grzmot. W końcu się odezwała.

— Kiedy zginęła ta pierwsza kobieta, nie miałam pojęcia, że zrobił to mój Hiob. Potem jednak on... on sam mi o tym powiedział. Był taki podekscytowany, taki szczęśliwy. Opowiedział mi o świecie, który odkrył — jakby nie zdawał sobie sprawy, że ja już to wiem. Och, panie Pendergast, on tak naprawdę wcale nie chciał nikogo zabić. Chciał się tylko bawić. Próbowałam mu to wyjaśnić, ale on nie rozumiał... — Zdusiła w sobie szloch.

Pendergast odczekał chwilę, po czym podjął swój wywód.

— W miarę jak dorastał, nie musiała już pani odwiedzać go tak często. Przynosiła mu pani prowiant i niezbędne rzeczy raz, może dwa razy w tygodniu, stąd — jak sądzę — miał zarówno masło, jak i cukier. Do tej pory stał się właściwie całkiem niezależny. System jaskiń był jego domem. Przez lata wiele się nauczył, osiągnął umiejętności potrzebne, aby przeżyć pod ziemią. Największy uszczerbek jednak poniósł na swojej psychice, nie wpojono mu bowiem typowych dla człowieka zasad moralnych. Nie odróżniał dobra od zła.

— Staralam się, a jakże, wyjaśniać mu te sprawy! — wybuchnęła Winifreda Kraus, kołysząc się w przód i w tył.

— Są rzeczy, których nie sposób wyjaśnić, panno Kraus — odparł

Pendergast. — Człowiek sam je musi zaobserwować. Musi nimi żyć.

Podmuch silnego wiatru załomotał o ściany domu.

— Dlaczego jego kręgosłup był tak zdeformowany? — spytał już na sam koniec Pendergast. — Czy to dlatego, że Hiob mieszkał w jaskini? A może w dzieciństwie przeżył nieszczęśliwy wypadek? Czy miał liczne złamania, po których kości źle się zrosły?

Winifreda Kraus przełknęła ślinę i odzyskała nieco pewności siebie.

— Spadł, gdy miał dziesięć lat. Myślałam, że umrze. Chciałam zabrać go do lekarza, ale...

Hazen wszedł jej w słowo, jego głos pełen był obrzydzenia, gniewu, niedowierzania i bólu.

— Ale co miały znaczyć te aranżacje na polach? O co w tym wszystkim chodziło?

Winifreda pokręciła głową z przejęciem.

— Nie wiem. Pendergast znów się odezwał.

— Być może nigdy się nie dowiemy, co miał na myśli, gdy wykonywał te aranżacje. To była forma autoekspresji, osobliwa, być może niepojęta dla nas próba działalności twórczej. Widzieliście wzory i rysunki wyryte na ścianach jaskini, figurki z patyków i sznurka, układy z kości i kryształów. To dlatego Hiob nigdy nie pasował do typowego wzorca seryjnego zabójcy. Ponieważ tak naprawdę on nie był seryjnym zabójcą. Nie rozumiał pojęcia zabijania. Był całkowicie amoralnym człowiekiem, socjopatą w najczystszej postaci, jakiego można sobie wyobrazić.

Staruszka milczała, nie podnosząc głowy. Corrie zrobiło się jej żal. Przypomniała sobie zasłyszane historie o tym, jak surowy i bezlitosny był jej ojciec, jak bił ją za najdrobniejsze naruszenie jego rygorystycznego

kodeksu częstokroć sprzecznych z sobą zasad, jak zamykał tę dziewczynę na całe dnie w jej pokoju, gdzie szlochała w samotności, zagubiona, samotna i odrzucona. To były stare opowieści, a ludzie zawsze kończyli je, kręcąc głową z niedowierzaniem, słowami: „Ale to przecież taka miła staruszka. Może jednak wcale tak nie było. Może to wszystko nieprawda”.

Pendergast wciąż krążył po pokoju, spoglądając raz po raz na Winifredę Kraus.

— Znamy kilka przykładów dzieci wychowujących się w ten sposób. Na przykład chłopiec wilk z Aveyron czy przypadek Jane D., która spędziła pierwsze czternaście lat swego życia zamknięta w piwnicy przez matkę schizofreniczkę. Wynika z nich wyraźnie, jak wielkie, nieodwracalne szkody, zarówno neurologiczne, jak i psychologiczne ponoszą osoby, które pozbawiono możliwości typowego rozwoju, nauki mowy i wychowywania się wśród innych ludzi. W przypadku Hioba stało się coś jeszcze gorszego — on został pozbawiony całego świata.

Winifreda niespodziewanie ukryła twarz w dłoniach i zakołysała się w fotelu.

— Och, mój biedny, mały chłopiec — zawołała. — Mój biedny, mały Hiobuś...

W pokoju zapadła cisza, przerywana tylko cichym mamrotaniem Winifredy.

— Mój biedny synek, mój biedny, mały Hiobuś... — powtarzała raz po raz bez końca.

Corrie usłyszała dochodzący z oddali zawodzący jęk syreny. W parę sekund za wybitymi oknami frontowymi domu pojawiły się światła wozu strażackiego, rzucające długie, barwne smugi na ściany i podłogę salonu.

Rozległ się pisk opon zatrzymujących się pod domem karetki i radiowozu. Dał się słyszeć trzask drzwiczek pojazdów i ciężkie kroki na ganku. Drzwi otwarły się i do wnętrza domu wpadł rosły, ogorzały strażak.

— Wszystko u was w porządku? — zapytał donośnym, tubalnym głosem. — Drogi były nieprzejezdne, ale udało się nam je w końcu oczyścić i...

Zamilkł na widok okrwawionego Hazena, staruszki przykutej kajdankami do fotela i pozostałych osób pogrążonych w wywołanym szokiem stuporze.

— Nie — odparł cicho, nieomal szeptem Pendergast. — Nic nie jest w porządku.

EPILOG

1

Promienie zachodzącego słońca spowijały miasteczko Medicine Creek w Kansas jak znak bożego błogosławieństwa. Burza przełamała falę upałów; niebo było czyste, w powietrzu czuło się pierwszy powiew jesieni.

Kukurydza, która przetrwała nawałnicę, została zżęta, a miasto poczuło się wolne od jej klau-strofobicznego brzemienia. Migrujące setkami kruki przelatywały nad miastem, lądując na polach i wybierając ze ścierniska ostatnie zapomniane kolby. Na skraju miasta wznosiła się wieża kościoła luterańskiego, wąska iglica odcinająca się lśniąco bielą na tle błękitu i zieleni. Drzwi do kościoła były otwarte na oścież, ze środka dochodziły dźwięki odprawianych nieszporów.

Niedaleko od tego miejsca Corrie leżała na swoim starym łóżku, usiłując dokończyć *Poza granicę lodu*. W przyczepie panowały spokój i cisza, przez szeroko otwarte okna wpływało świeże, rześkie powietrze. Po niebie przesuwały się kłębiaste kumulusy, ich cienie jakby z mazołem brnęły przez ścierniska. Od strony kościoła dobiegły dźwięki organowej muzyki, pierwsze takty hymnu *Zbawiciel Nasz*, a pośród nich cichy śpiew. Jak zwykle grająca na organach Klick Rasmussen zagłuszała wszystkich.

Corrie, słuchając tego, mimowolnie uśmiechnęła się pod nosem. To pierwsza msza odprawiana przez nowego, młodego pastora, wielbnego Tredwella, z którego przybycia miasteczko było tak dumne. Jej uśmiech poszerzył się, gdy przypomniała sobie całą tę historię, którą usłyszała, będąc jeszcze w szpitalu; o tym, jak Smit Ludwig, bez butów, posiniaczony i poobijany, wyszedł, słaniając się na nogach, z pola kukurydzy, gdzie leżał nieprzytomny ze wstrząśnieniem mózgu prawie przez dwie doby i pomaszerował wprost do kościoła, gdzie odprawiano właśnie mszę za spokój jego duszy. Córka Ludwiga, która przyjechała na jego symboliczny pogrzeb, zemdląła. Nikt jednak nie był bardziej zaskoczony jego pojawieniem się niż pastor Wilbur, który przerwał mowę pożegnalną i doznał ataku apopleksji, przekonany, że zobaczył ducha.

Obecnie Wilbur przechodził rekonwalescencję gdzieś daleko stąd, a Ludwig szybko wracał do zdrowia, pisząc jeszcze w szpitalnym łóżku pierwsze rozdziały książki o swoim spotkaniu z mordercą z Medicine Creek, który nie zabrał mu niczego prócz butów i pozostawił na polu, przekonany, że jego kolejna ofiara nie żyje.

Corrie odłożyła książkę i położyła się na wznak, wyglądając przez okno i obserwując przepływające w górze chmury. Miasteczko starało się jak mogło, by powrócić do normalności. Krążyły plotki, że KSU założy swą eksperymentalną uprawę gdzieś w Iowa, ale nikt nie rozdzierał szat z tego powodu. Wręcz przeciwnie, wszyscy byli zadowoleni z takiego obrotu sprawy. Pendergast podejrzewał, że Dale Estrem i Wspólnota Farmerów mieli rację, jeżeli chodziło o zagrożenia dotyczące genetycznie modyfikowanych upraw. Ludzie zresztą niewiele przejmowali się tą sprawą, gdyż w miasteczku zaroilo się od gości z National Park, speleologów, fotografików z „National Geographic”, zwykłych łowców sensacji, z których każdy pragnął ujrzeć na własne oczy coś, co w gazetach określano mianem największego zespołu jaskiń od czasu odkrycia Jaskiń Karlsbadzkich. Wyglądało na to, że miasteczko stało u progu nowej ery, która przyniesie wszystkim bogactwo, a na pewno pozwoli im odbić się od dna, gdzie ugrzęźli. Czas pokaże.

Corrie westchnęła. Dla niej to wszystko nie miało znaczenia. Jeszcze rok, a potem na dobre i na złe opuści to miejsce. Medicine Creek stanie się dla niej historią.

Leżała na łóżku, podczas gdy za oknem powoli zapadł zmierzch, nadeszła noc. Dziewczyna wstała i podeszła do komódki. Wysunęła szufladę, sięgnęła pod nią i ostrożnie odkleiła plik pieniędzy. Tysiąc

pięćset dolarów. Matka wciąż ich nie znalazła, a po tym, co się stało, na razie przestała wypytywać o nie Corrie. Nawet była miła dla córki pierwszego dnia po jej powrocie ze szpitala. Ale Corrie wiedziała, że to nie potrwa długo. Jej matka wróciła do pracy i bez wątpienia znów przyjdzie do domu z torebką pełną grzechoczących buteleczek z wódką. Za dzień, dwa, kiedy wyda wszystkie pieniądze, cały cyrk zacznie się od nowa.

Powoli, w zamyśleniu obracała banknoty w dłoniach. Pendergast spędził cały ostatni tydzień w miasteczku, współpracując z Hazenem i glinami z policji stanowej, by zabezpieczyć wszystkie potencjalne materiały dowodowe w sprawie. Chciał zamknąć tę fazę śledztwa. Odwiedził Corrie, by powiedzieć, że nazajutrz wyjeżdża wczesnym rankiem, i pożegnać się, a także odebrać swoją komórkę. Wiedziała, że przede wszystkim chodziło mu właśnie o telefon.

Kilkakrotnie odwiedził ją w szpitalu. Był bardzo miły i troskliwy, a mimo to liczyła na coś więcej. Czego się spodziewała? Że zabierze ją ze sobą, uczyni swoją stałą asystentką? To czysty absurd. Poza tym najwyraźniej bardzo mu się spieszyło, chciał jak najprędzej opuścić miasto, twierdził, że w Nowym Jorku czekały nań jakieś niecierpiące zwłoki sprawy. Kilkakrotnie zadzwonił do niego niejaki Wren, ale agent zawsze wtedy wychodził z jej pokoju i nie słyszała, o czym z nim rozmawiał. Zresztą to już bez znaczenia. On wyjeżdżał, a ona za dwa tygodnie zaczynała nowy rok szkolny w liceum. Ostatni rok piekła. Jej ostatni rok w Medicine Creek. Przynajmniej ze strony szeryfa Hazena nie musiała się już niczego obawiać. To zabawne, ocalił jej życie, a teraz nie wiedzieć czemu zaczął odnosić się do niej z iście ojcowską troską. Musiała przyznać, że zachował się z klasą, kiedy odwiedziła go w dniu wypisu ze

szpitala. Był naprawdę w porządku. Co więcej, nawet ją przeprosił — zbyt wylewnie, ma się rozmieć — ale i tak wywarło to na niej wielkie wrażenie. Podziękowała mu za ocalenie życia. A potem się rozplakał, powiedział, że mógł zrobić więcej, że tak w ogóle nie uczynił nic. Biedaczysko. Po śmierci Tada kompletnie się załamał.

Spojrzała na pieniądze. Jutro, wyjeżdżając z miasta, powie Pendergastowi, co zamierza z nimi zrobić.

Pomysł zrodził się w niej powoli, przez te wszystkie dni, które spędziła w szpitalu. Właściwie zdziwiła się, że nie pomyślała o tym wcześniej. Do rozpoczęcia zajęć zostały jeszcze dwa tygodnie, miała pieniądze, była wolna: szeryf oddalił wszystkie zarzuty wobec niej. Nic jej tu nie trzymało, nie miała przyjaciół, z którymi mogłaby pogadać ani pracy, a jeśli tu zostanie, matka — prędzej czy później — odbierze jej cały szmal.

Nie miała żadnych złudzeń od momentu pojawienia się tego pomysłu po raz pierwszy w jej głowie. Wiedziała, że gdy go odnajdzie, zapewne okaże się, że był facetem jak wielu innych, któremu nie ułożyło się w życiu, typowym nieudacznikiem. Bądź co bądź, poślubił jej matkę, a potem zwinął żagle, pozostawiając obie na łasce losu. Nigdy nie płacił na nią alimentów, ani razu jej nie odwiedził, ani nie napisał... tyle wiedziała na pewno. Reszty dowie się sama.

Nieważne. Był jej ojcem. Czowała, że postępuje właściwie. Że powinna to zrobić. A teraz miała fundusze i czas, aby zrealizować swój plan.

Znalezienie go nie powinno być trudne. Niekończące się utyskiwania matki przynosiły niespodziewany uboczny efekt, a mianowicie była informowana na bieżąco o jego poczynaniach. Po okresie włóczenia się po środkowym zachodzie osiadł wreszcie w Allentown w Pensylwanii, gdzie

naprawiał auta w warsztacie samochodowym. Ilu Jessich Swansonów może mieszkać w Allentown? Powinna dotrzeć tam w ciągu dwóch dni. Pieniądze otrzymane od Pendergasta wystarczą na benzynę, noclegi w motelu i ewentualną naprawę auta, gdyby wysiadło do reszty.

Nawet jeśli okaże się, że ten człowiek był nieudacznikiem, miała na jego temat same dobre wspomnienia. Nie odbierała go jako frajera. Nie był nim. Kiedy jeszcze tworzyli rodzinę, był dobrym ojcem, chodził z nią do kina i na minigolfa, wspólnie dobrze się bawili i często się śmiali. A zresztą, co to znaczy być nieudacznikiem. Dzieciaki w szkole także miały ją za nic. A ojciec ją kochał, była tego pewna... nawet jeśli zostawił ją samą z upiorną wiedźmą alkoholizką.

„Tylko nie rób sobie wielkich nadziei, Corrie" — upomniała samą siebie.

Złożyła banknoty i wsunęła do kieszeni spodni. Wyciągnęła spod łóżka plastikową walizkę, położyła na łóżko, otworzyła i zaczęła wrzucać do środka ciuchy. Wyjedzie z samego rana, zanim matka się obudzi, pożegna się z Pendergastem i ruszy w drogę.

Niebawem walizka była spakowana. Corrie wsunęła ją z powrotem pod łóżko i w jednej chwili usnęła.

Obudziła się w nocnej ciszy. Wszystko tonęło w ciemnościach. Usiadła, rozglądając się niepewnie dokoła. Coś ją obudziło. To nie mogła być jej matka, pracowała na nocną zmianę w klubie i...

Zza okna jej pokoju dobiegł nagle cichy gulgot, szmer, szuranie i ciche, miękkie łupnięcia. Uczucie otępienia i senności opuściło ją w jednej chwili, zastąpione przez dojmującą zgrozę.

Zaraz potem rozległ się znajomy syk, szum i odgłos kropel zraszających

ścianę przyczepy.

Spojrzała na zegarek. Druga w nocy. Osunęła się z powrotem na łóżko, omal nie wybuchnęła śmiechem, odetchnęła z ulgą. Tym razem to naprawdę były zraszacze pana Dade'a.

Wstała, by zamknąć okno. Przystanąła na chwilę, chłonąc chłodne podmuchy powietrza i aromat świeżej trawy.

Po czym podeszła do okna i wychyliła się, by je zamknąć.

W tej samej chwili z ciemności wychynęła olbrzymia dłoń i schwyciła za krawędź okna, nie pozwalając go domknąć. Dłoń była okrwawiona, z połamanymi paznokciami.

Corrie opuściła ręce i cofnęła się bez słowa.

Teraz w oknie pojawiła się biała twarz, pyzata jak księżyc w pełni, pokryta mnóstwem skaleczeń i sińców, jakby po dziecięcemu obrzmiała. Przerazająca dłoń powoli odchyliła okno tak daleko, jak tylko się dało. Potworny fetor — tym straszniejszy, że obudził w niej uspione wspomnienia, wpłynął do wnętrza przyczepy i wypełnił nozdrza Corrie.

Dziewczyna cofała się w stronę drzwi, odrętwiałe palce sięgnęły do kieszeni w poszukiwaniu telefonu komórkowego. Znalazła go i dwukrotnie wcisnęła klawisz, aby wybrać numer, z którym łączyła się ostatnio. Numer Pendergasta.

Silnym szarpnięciem dłoni wyrwała całą framugę taniego aluminiowego okna, szkło rozprysnęło się w drobny mak.

Corrie odwróciła się i wybiegła z pokoju, przebiegła na bosaka przez korytarz, kierując się w stronę...

Rozległ się ogłuszający trzask i frontowe drzwi otwarły się na oścież. Stał w nich Hiob; wciąż żył, jego jedna gałka oczna pękła i wypływał z

niej żółty płyn, ubranie przerośniętego dziecka, które miał na sobie, było całe podarte i brudne, pokryte zakrzepłą krwią, włosy olbrzyma były zmierzwiłone, skóra nabrała niezdrowego ziemistego odcienia. Jedno ramię zwisało bezwładnie, pogruchothane, ale druga ręka sięgnęła w jej stronę.

— Moooeeee!

Ręka wyciągnęła się w jej stronę, a palce rozcapierzyły, kiedy on postąpił krok w jej stronę z obliczem wykrzywionym wściekłością, wypełniając wnętrze przyczepy swym odrażającym smrodem.

— Nie! — krzyknęła. — Nie, nie, odejdź stąd...!

On wciąż się zbliżał, wymachując ręką i rycząc coś niezrozumiale. Odwróciła się i pobiegła korytarzem do swego pokoju. Był tuż za nią, zataczając się i obijając o ściany. Zatrzasnęła za sobą drzwi i zasunęła zasuwkę, ale sforsował je, z impetem uderzając w nie całym ciałem. Zasuwka rozleciała się, drzwi z cienkiej sklejki, niemal wyrwane z zawiasów, uderzyły o ścianę. Corrie bez namysłu wyskoczyła przez okno, wykonując klasyczny tygrysi skok, przetoczyła się po tłuczonym szkłe i wilgotnej trawie. Wstawszy, pobiegła w stronę miasta. Z tyłu za nią rozległ się głuchy trzask, ryk wściekłości i kolejny łomot. W sąsiednich przyczepach zapalały się światła. Obejrzawszy się przez ramię, ujrzała ryczącego jak wściekle zwierzę Hioba, który dosłownie rozdzierał na strzępy to, co pozostało z wybitego okna, ciosami pięści i silnymi szarpnięciami torując sobie drogę na zewnątrz.

Gdyby zdołała dotrzeć do głównej drogi, powinno się jej udać, a przynajmniej miałaby jakąś szansę. Przebiegła przez parking dla przyczep. Do bramy zostało jej jeszcze kilkaset metrów.

Usłyszała gardłowy ryk, a gdy zerknęła w bok, ujrzała przygarbioną,

ranną postać z przerażającą prędkością pędzącą jak krab przez trawnik, aby odciąć jej jedyną drogę ucieczki, wiodącą w kierunku miasta.

Przyspieszyła kroku, łapczywie chwytając powietrze, ale on zbliżał się do niej z boku. Nie miała innego wyjścia, musiała zawrócić z powrotem na parking przyczep, w stronę rozciągających się za nim mrocznych ściernisk. Sięgnęła do kieszeni, wyjęła telefon i nie przerywając biegu, uniosła aparat do ucha. Usłyszała pełen spokoju głos Pendergasta.

— Już jadę, Corrie. Zaraz tam będę.

— Błagam, on mnie zabije...

— Przyjadę najszybciej, jak to tylko możliwe, z policją. Uciekaj, Corrie. Uciekaj. Biegnij najszybciej jak umiesz.

I biegła, dając z siebie wszystko, przeskoczyła przez siatkę na tyłach parkingu przyczep i zeskoczyła na pole; ostre łodygi kukurydzy na ściernisku raniły jej bosc stopy.

— Mooooa! Mooooa! Mooooaaaa!

Hiob był tuż za nią, zmniejszając dystans pomiędzy nimi dziwnymi, niemal małpimi susami, przy każdym kroku podpierał się kłykciami zdrowej ręki. A Corrie gnała w nadziei, że może on w końcu się zmęczy, może zrezygnuje, może ból go pokona, lecz mimo to wciąż ją ścigał, rycząc z wściekłości i męki. Musiał strasznie cierpieć, a jednak nie zaprzestał pogoni.

Jeszcze bardziej przyspieszyła kroku, jej płuca płonęły żywym ogniem. Nic z tego. Nadal się zbliżał. Powoli, lecz nieubłaganie doganiał ją. W końcu ją dopadnie. Jakkolwiek szybko by biegła, dopadnie ją. Dogoni.

Nie...

Co mogła zrobić? O dobiegnięciu do strumienia nie było mowy. A

gdyby nawet, co by jej to dało? Oddalała się od miasta, zapuszczając się coraz dalej na odludzie. Pendergast nie zjawi się, by ją ocalić. Nie zdąży. Nic z tego.

— Moooo! Moooo!

Usłyszała odległe zawodzenie syreny. Ten dźwięk tylko potwierdził jej przypuszczenia, że Pendergast był zbyt daleko. Została zdana wyłącznie na siebie. On dogoni ją, złapie od tyłu i zabije.

Usłyszała tupot stóp rozbrzmiewający w szaleńczym akompaniamencie do jego przepełnionych cierpieniem jęków i wrzasków. Nie mógł być dalej niż dziesięć metrów za dziewczyną. Dobywała z siebie resztki sił, ale czuła, że z każdym krokiem coraz bardziej słabnie, nogi stawały się coraz cięższe, płuca nieomal eksplodowały z wysiłku. A on wciąż gnał w ślad za nią, zmniejszając dzielący ich dystans. Za chwilę ją dopędzi. Musiała coś zrobić. Musiał być jakiś sposób, aby coś do niego dotarło, aby zdołał zrozumieć, aby przestał.

Odwróciła się.

— Hiob! — zawołała.

Biegł dalej, rycząc, nie zwracał uwagi na to, co do niego krzyczała.

— Hiob, zaczekaj!

W następnej chwili poczuła uderzenie, potwornie silny cios, po którym runęła na wznak na miękką ziemię. A on dopadł ją, rzucił się na nią z gardłowym rykiem, opryskując jej twarz kropelkami śliny i unosząc wielką, masywną pięść, by jednym ciosem zgruchotać jej czaszkę.

— Przyjaciółka! — wrzasnęła. Zamknęła oczy, odwróciła głowę, by nie widzieć spodziewanego ciosu. — Przyjaciółka! — powtórzyła. — Chcę być twoją przyjaciółką! Chcę się z tobą zaprzyjaźnić! — Zakrztusiła

się, zaczęła szlochać, raz po raz powtarzała te same słowa. —

Przyjaciółka, chcę być twoją przyjaciółką, chcę się z tobą zaprzyjaźnić...

Nic się nie wydarzyło. Czekwała, przełknęła ślinę, otworzyła oczy.

Pięść wciąż wisiała w powietrzu, zastygła w górze nad jej głową, ale wyraz twarzy olbrzyma nieoczekiwanie się zmienił. Gniew i wściekłość zniknęły. Obecnie oblicze Hioba przepełniał całkiem inny, nowy grymas, wyraz niezmiernych, głębokich emocji.

— Ty i ja — wychrypiała Corrie. — Przyjaciele.

Na twarzy olbrzyma pozostał szpetnie wykrzywający się grymas, ale Corrie odniosła wrażenie, że dostrzegła iskierkę nadziei, a może nawet pełnego niepokoju i radości wyczekiwania, połyskującą w głębi jego jedyne zdrowego oka.

Powoli wielka pięść rozluźniła się.

— Psyjaciółka? — spytał piskliwym głosikiem Hiob. — Psyjaciele?

— Tak. Przyjaciele — wykrztusiła.

— Popafić się z Hiop?

— Tak, pobawię się z tobą, Hiobie. Jesteśmy przyjaciółmi. Będziemy się razem bawić. — Mówiła coraz bardziej nerwowo, bełkotliwie, niewidzialna dłoń strachu ścisnęła ją za gardło, rozpaczliwie walczyła, aby odzyskać nad sobą panowanie.

Ręka opadła. Usta wykrzywił odrażający grymas, który — jak stwierdziła Corrie — musiał być uśmiechem. Uśmiechem nadziei.

Hiob niezdarnie spełzł z niej, podniósł się niepewnie, skrzywił z bólu, ale mimo to nadal się do niej szczyrzył. Na sam widok groteskowego uśmiechu Corrie poczuła na grzbiecie lodowate ciarki.

— Pafić się. Hiop się pafić.

Corrie odetchnęła głęboko i usiadła, wykonując każdy ruch bardzo wolno, aby go nie przestraszyć.

— Tak. Teraz jesteśmy przyjaciółmi. Corrie i Hiob przyjaciele.

— Psyjaciele — powtórzył powoli Hiob, jakby przypominał sobie z dawna zapomniane słowo.

Jęk syren zbliżał się. Usłyszała odległy pisk hamulców, trzask drzwiczek.

Corrie spróbowała wstać, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

— Nie. Nie będę uciekać. Nie musisz mnie krzywdzić. Zostanę tu i będę się z tobą bawić.

— Pafić się! — Hiob aż zapiszczał z radości, a jego przepelniony entuzjazmem głos poniósł się w mrok zalegający nad ścierniskiem.

2

Rolls-royce stał na parkingu przy Maisie's Diner. Był cały zakurzony, jego lśniąca niegdyś karoseria została podczas niedawnej burzy pyłowej wypiaskowana tak, że całkiem zmatowiała. Pendergast opierał się o samochód; jak zwykle miał na sobie czarny garnitur, dłonie wsunął do kieszeni. Stał w bezruchu, w jasnym świetle poranka.

Corrie zjechała z ulicy i zatrzymała gremlina obok limuzyny. Przełączyła dźwigienkę automatycznej skrzyni biegów na parkowanie. Silnik zgasł, z rury wydechowej buchnął jeszcze kłęb czarnych spalin. Corrie wysiadła.

— Panno Swanson, w drodze powrotnej do Nowego Jorku będę przejeżdżał przez Allentown. Na pewno nie chce pani, abym ją tam podrzucił?

Corrie pokręciła głową przecząco.

— To coś, co chciałabym zrobić sama.

— Może mógłbym sprawdzić nazwisko pani ojca w naszej bazie danych, aby powiadomić panią, w razie zaistnienia jakiejś... dajmy na to... niezwykłości w jego obecnej sytuacji?

— Nie. Wolałabym nie wiedzieć niczego z góry. Nie spodziewam się cudów.

Spojrzał na nią z powagą, nie odezwał się słowem.

— Dam sobie radę — zapewniła. Po chwili pokiwał głową.

— Nie wątpię. Jeśli jednak nie chce pani, abym ją podwiózł, musi pani przynajmniej przyjąć to.

Postąpił krok bliżej, wyjął z kieszeni kopertę i podał jej.

— Co to takiego? - spytała.

— Proszę to potraktować jako przedwczesny prezent na okoliczność ukończenia liceum.

Corrie otworzyła kopertę, z której wysunęła się książeczka depozytowa. Na konto powierniczego funduszu edukacyjnego, założone na jej nazwisko, wpłacono dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

— Nie mogę tego przyjąć - zawahała się. Pendergast uśmiechnął się.

— Nie tylko pani może, ale nawet musi.

— Przykro mi, nie mogę.

Pendergast zamilkł na chwilę. Wreszcie znów się odezwał.

— Proszę pozwolić, że wyjaśnię, dlaczego musi to pani zrobić -

powiedział niemal szeptem. - Wskutek pewnego dość osobliwego zrządzenia losu w okolicznościach, o których nie chciałbym tu wspominać, jesienią ubiegłego roku otrzymałem dość pokaźny spadek po odległym i nader zamożnym krewnym. Niech wystarczy, że powiem, iż zbił on swoją fortunę na pewnych nielegalnych praktykach. Staram się choćby nawet po części naprawić jego winy i zmazać plamę pozostawioną przez niego na nazwisku Pendergast, przekazując jego pieniądze na prawdziwie szczytne cele. Po cichu, ma się rozumieć. Pani, Corrie, to najwłaściwszy cel, jaki mogłem sobie wymarzyć. Naprawdę.

Corrie na chwilę spuściła wzrok. Nie była w stanie odpowiedzieć. Nigdy w życiu nikt niczego jej nie dał. Czuła się dziwnie, mając świadomość, że ktoś się o nią troszczy, zwłaszcza ktoś tak wyniosły, beznamiętny i chłodny jak Pendergast. Przecież tak naprawdę wcale jej nie znał. A mimo to trzymała w dłoni książeczkę depozytową, fizyczny dowód przeczący jej konsternacji.

Znów spojrzała na książeczkę. I wsunęła ją z powrotem do koperty.

— Co to znaczy powierniczy fundusz edukacyjny? - spytała.

— Czekają panią jeszcze rok liceum. Skinęła głową.

W oku Pendergasta zabłysła żywa iskierka.

— Słyszała pani o Phillips Exeter Academy?

— Nie.

— To prywatna szkoła z internatem w New Hampshire. Na moją prośbę trzymają tam dla pani miejsce.

Corrie spojrzała na niego.

— A więc to nie są pieniądze na college?

— Najważniejsze, aby pani stąd jak najszybciej wyjechała. To miasto panią zabija.

— Ale szkoła z internatem? W Nowej Anglii. Nie zdołam się tam przystosować.

— Moja droga Corrie, czy przystosowanie się jest aż tak ważne? Mnie to się nigdy nie udało. Jestem pewien, że dasz sobie radę. Znajdziesz tam innych podobnych sobie wyrzutków, inteligentnych, twórczych, ciekawych życia i z gruntu sceptycznych. Będę tamtędy przejeżdżał na początku listopada w drodze do Maine i sprawdzę, jak sobie radzisz. — Delikatnie kaszlnął w dłoń.

Ku swemu zdziwieniu, Corrie odruchowo postąpiła krok naprzód i uściskała go. Poczowała, że cały zeszywniał, ale już po chwili rozluźnił się i delikatnie uwolnił się z jej uścisku. Spojrzała na niego ze zdziwieniem, wydawał się szczerze zakłopotany, a nawet odrobinę zażenowany.

Odchrząknął.

— Proszę wybaczyć, nie przywykłem do fizycznego okazywania uczuć — stwierdził. — Dorastałem w rodzinie, w której... — Nie dokończył i lekko się zapłonił.

Cofnęła się, czując targające nią sprzeczne emocje, wśród których dominowały dezorientacja i oszołomienie. Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, a na jego ustach znów pojawił się ten delikatny, zagadkowy uśmiezek. Zaraz potem ukloniwszy się, ujął ją za rękę i uniósł jej dłoń niemal na wysokość ust, po czym szybko odwrócił się i wszedł do swego samochodu. Po chwili

rolls ruszył i przy wtórze równego rytmu silnika pomknął ku zachodzącemu słońcu, którego promienie odbiły się jeszcze od pełnej

obłości karoserii. Wkrótce jednak samochód zniknął w oddali, pochłonięty przez długą, równą jak stół wstęgę szosy.

Corrie odczekała kilka sekund i wsiadła do swego gremlina. Rozejrzała się dokoła — walizka, taśmy, trochę książek — musiała upewnić się, że o niczym nie zapomniała. Włożyła książeczkę depozytową do schowka na rękawiczki i zabezpieczyła go drutem. Następnie zapuściła silnik i wcisnęła lekko gaz, aby go rozruszać; nie chciała, aby zgasł. Gdy wyjeżdżała z parkingu przy barze restauracyjnym Maisie, jej wzrok padł na stację benzynową i warsztat samochodowy Ernie's Exxon po drugiej stronie ulicy. Był tam Brad Hazen. Syn szeryfa napełniał zbiornik paliwa niebieskiego caprice Arta Riddera, jedną ręką nalewał benzynę z dystrybutora, drugą oparł na bagażniku auta. Dżinsy mu się obsunęły tak, że Corrie dostrzegła jego przyblakłe, szare gacie i górny fragment bladych pośladków. Brad patrzył z rozdziawionymi ustami w stronę, w którą odjechał rolls-royce Pendergasta. Po chwili odwrócił się, pokręcił głową z niedowierzaniem i sięgnął po gumową myjkę do szyb.

Corrie zrobiło się żal szeryfa. To dziwne, ale w rezultacie okazał się porządnym facetem. Nigdy nie zapomni go leżącego na szpitalnym łóżku, z głową okutaną w bandażu, wspartą na miękkiej poduszce. Wyglądało, jakby w jedną noc postarzał się o dziesięć lat. Szeryf ze łzami w oczach opowiadał o Tadzie Franklinie. Corrie ponownie zerknęła na Brada, zastanawiając się, czy on również ma gdzieś w sobie głęboko ukrytą szlachetność.

Pokręciła głową i docisnęła stopą pedał gazu. Nie zamierzała zabawić tu dostatecznie długo, by się o tym przekonać.

Gdy wyjechała na szosę, zaczęła zastanawiać się, jaki będzie ten

następny rok, gdzie będzie — za rok, za pięć, za trzydzieści lat. Po raz pierwszy w życiu przyszła jej do głowy taka myśl. Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Było to zarazem cudowne i przerażające uczucie.

Widoczne w lusterku wstecznym miasteczko nikło w oddali, stawało się coraz mniejsze, aż w końcu widziała tam już tylko pola kukurydzy i błękitne niebo. Uświadomiła sobie, że nie żywi już nienawiści do Brada Hazena ani tym bardziej do Medicine Creek. Zarówno Brad, jak i to miasto przechodzili w jej myślach z teraźniejszości do przeszłości, w której powoli z czasem na zawsze się rozplyną. Wyruszyła w świat na dobre i na złe i wiedziała, że już nigdy nie wróci do Medicine Creek.

3

Szeryf Dent Hazen, z nadal mocno obandażowaną głową i ręką w gipsie, stał na końcu krótkiego korytarza, rozmawiając z dwoma policjantami, kiedy zjawił się Pendergast. Natychmiast przerwał rozmowę i podszedł do agenta FBI, podając mu lewą dłoń na powitanie.

— Jak ręka, szeryfie? — spytał Pendergast.

— Goi się, ale do końca sezonu kija już raczej nie pomoczę.

— Przykro mi to słyszeć.

— Wyjeżdża pan?

— Tak. Chciałem tu zajrzeć jeszcze ostatni raz. Miałem nadzieję, że pana zastanę. Chciałem panu podziękować, szeryfie, że pomógł pan... tak

urozmaicić mój skromny urlop.

Hazen jakby od niechcienia pokiwał głową. Jego oblicze pokrywały głębokie zmarszczki, malował się na nim grymas udreki i głębokiego rozgoryczenia.

— Zjawił się pan w samą porę, aby zobaczyć, jak starsza pani żegna się ze swoją pociechą.

Pendergast kiwnął głową. Między innymi właśnie po to tu przyjechał. Mimo iż nie spodziewał się, by ta wizyta obfitowała w jakieś rewelacje, nie znosił nie dokończonych spraw — a nawet jedno pytanie pozostające bez odpowiedzi czyniło każdą sprawę, którą się zajmował, nie dokończoną. W tym przypadku pytań bez odpowiedzi było znacznie więcej.

— Będzie pan mógł obserwować przez lustro weneckie czuły moment rozstania. Wszyscy psychiatrzy już tam są, zlecieli się jak muchy do miodu. Chodźmy.

Hazen wprowadził Pendergasta przez nieoznakowane drzwi do ciemnego pokoju. W przeciwległej ścianie widniało pojedyncze okno, duży prostokąt bieli. Po drugiej stronie znajdował się „cichy pokój” zamkniętego oddziału psychiatrycznego szpitala lu-terańskiego w Garden City. Przed lustrem weneckim stała grupa psychiatrów i studentów medycyny z notesami w dłoniach. Półgłosem wymieniali między sobą uwagi. W sąsiednim pomieszczeniu nie było nikogo, światło przygaszono. W chwili gdy Pendergast i Hazen podeszli do szyby, podwójne drzwi otworzyły się i dwóch mundurowych policjantów wtoczyło do środka Hioba. Miał zabandażowaną głowę i klatkę piersiową, a bark i jedną rękę w gipsie. Pomimo przyciemnionego światła Hiob zamrugnął powieką

zdrowego oka, nawet takie słabe oświetlenie najwyraźniej go drażniło. W talii opięty był szerokim skórzanym pasem, przez pętlę pośrodku przechodził łańcuch połączony z kajdankami na nadgarstkach. Obie nogi miał zakute w kajdany wprawione w obudowę wózka inwalidzkiego.

— Spójrz no na tego sukinsyna — rzucił Hazen, bardziej do siebie niż do Pendergasta.

Agent patrzył z przejęciem, jak policjanci przetaczają wózek z Hiobem na środek pokoju, po czym stają po obu jego stronach.

— Cholera, chciałbym wiedzieć, dlaczego on robił to wszystko — ciągnął Hazen cichym, ochrypłym głosem. — Co on właściwie wyprawiał na tych polach? Te aranżacje, kruki i cała reszta. Stott ugotowany jak wieprzek, psi ogon zaszyty w ciele Chauncy'e-go... — Przełknął ślinę. — I Tad. Zabicie Tada. Co mu się roilo w tym jego kapuścianym łbie?

Pendergast nie odpowiedział.

Drzwi znowu się otworzyły i do środka, wspierając się na ramieniu trzeciego policjanta, weszła Winifreda Kraus. Miała na sobie szpitalną koszulę i ledwie powłóczyła nogami. Pod pachą trzymała starą, rozlatującą się książkę. Twarz miała bladą, pochmurną, kiedy jednak ujrzała Hioba, natychmiast się ożywiła i rozpromieniła.

— Hiobuś, kochanie? To ja, twoja mamusia.

Jej słowa przeniknęły do ciemnego pokoju za ścianą przez głośniki zamontowane nad lustrem weneckim, w panującej tam ciszy głos staruszki brzmiał oschle i sztucznie.

Hiob uniósł głowę, na jego wykrzywionych ustach pojawił się delikatny uśmiech.

— Mamusia!

— Mam dla ciebie prezent, Hiobuś! Spójrz, to twoja książeczka.

Hiob wydał nieartykułowany okrzyk radości.

Kobieta podeszła i przystawiła sobie krzesło, by usiąść obok syna.

Policjanci sprężyli się, gotowi do działania, ale ani Winifreda, ani Hiob nie zwracali na nich uwagi. Staruszka usiadła przy nim, objęła chudą, wymizerowaną ręką i przyciągnęła do siebie. Zaczęła nucić cichutko, podczas gdy Hiob wyszczerzył się w uśmiechu i przytulił do matki, jego kretyńskie oblicze promieniało radością i szczęściem.

— Chryste — mruknął Hazen. — Proszę spojrzeć, ona kołysze go jak małe dziecko!

Winifreda Kraus położyła sobie książkę na podolku i otworzyła na pierwszej stronie. Był to zbiór wierszyków dla dzieci.

— Zacznę od samego początku, dobrze, Hiobuś? — zagruchała. — Tak jak lubisz.

Po czym śpiewnym, melodyjnym głosem zaczęła czytać.

Sypnijcie rażno groszem Czyż śpiewać sam dziś mam Dwadzieścia
cztery kruki Na obiad komuś dam W pasztecie zapieczone Że wnet nam
leci ślinka Gdy nożem go rozkroję Popłynie od kominka

Tych kruków śpiewne trele Rozbawią wszystkich nas Ach, ucza to
królewska Więc jedzmy póki czas

Hiob kiwał wielką głową w rytm jej głosu, a z jego ust płynęło na
przemian to cichnące, to znów narastające, przeciągłe: „Ooooooo!”

— Chryste Panie! — rzekł Hazen. — Dziwoląg i jego mamuśka. Od
samego patrzenia ciarki mi chodzą po grzbiecie.

Winifreda Kraus dokończyła rymowanekę, po czym przewróciła stronę.
Hiob rozpromienił się, wybuchnął śmiechem. Znów zaczęła czytać.

Mały pan Pierozek Do wrzątku w kotle wpadł Ktoś wnet go polał
masłem Ocukrzył, no i zjadł

Hazen odwrócił się i dotknął ręki Pendergasta.

— Wychodzę stąd. Do zobaczenia w czyścicu. Pendergast bez słowa
uścisnął jego dłoń, ale zdawał się

w ogóle nie zwracać uwagi na szeryfa. Wzrok miał utkwiony w
rozgrywającej się przed nim scenie. Obserwował matkę czytającą swemu
dziecku rymowanki.

— Spójrz na ten śliczny rysunek, Hiobuś! Popatrz! Kiedy Winifreda
Kraus uniosła książkę, Pendergast przez

mgnienie oka zdołał dostrzec wspomnianą ilustrację. Książka była stara,
strona naddarta i poplamiona, ale rysunek mimo wszystko nadal widać
było wyraźnie.

W jednej chwili rozpoznał, co było na rysunku. I przypomniał sobie
inną, bardziej naturalistyczną scenę. Olśnienie było tak nagłe, że agent
poczuł się przez moment, jakby otrzymał cios w głowę niewidzialnym
młotem. Cofnął się od szyby.

Hiob uśmiechnął się i kołysząc głową, wciąż zawodził głośno.

— Oooooo.

Winifreda Kraus, radosna i spokojna, powoli przewróciła kolejną
stronę. Nienaturalny, wzmocniony elektronicznie głos matki wciąż
rozbrzmiewał z ukrytych głośników.

Z czego, ach, z czego są mali chłopcy ulepieni?

Z czego, ach, z czego są w środku chłopcy ci zrobieni?

Z węży, ślimaków i ogonków szczeniaków,

Z tego są chłopcy ci stworzeni...

Pendergast nie zamierzał słuchać tego dłużej. Grupa psychiatrów i studentów stojąca przy szybie nawet nie zauważyła, kiedy mroczna, szczupła postać opuściła tonące w ciemnościach pomieszczenie; byli zbyt zajęci rozpatrywaniem charakteru danego przypadku i spierali się między sobą, czy na podstawie obecnej wiedzy z dziedziny psychiatrii i psychologii klinicznej ktokolwiek będzie w stanie zdiagnozować tego niezwykłego, jedyne w swoim rodzaju pacjenta.